



JAN MASZCZYSZYN

# NECROLOTUM



*Córkom*  
*Alice i Natalie*

*Któż pojmie? – prócz tych samych, którzy  
Pląsali z falą rozigranej burzy  
Tę pełność życia, ten żar krwi, co pali  
Serce żeglarza na bezdrożnej fali...*

**Byron**

*Zaprawdę brudną rzeką jest człowiek  
Trzeba być morzem, aby móc przyjąć brudną rzekę  
Samemu się nie brudając.*

**Fryderyk Nietzsche**

# Spis treści

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65  
66  
67  
68  
69  
70  
71  
72  
73  
74  
75

76  
77  
78  
79  
80  
81  
Epilog

# PROLOG

*Wybrzeże oceaniczne stanu Victoria.*

*Późne popołudnie 12 stycznia roku 1908.*

Profesor Ocearus Molier otrzymał tego dnia pośpieszny telegram.

Używana przez Królewski Urząd Pocztowy miedziana koperta wieloużytkowa zwykle zawierała materiały poufne. Dodatkowy fakt doręczenia jej do rąk własnych przez pocztyliona z rangą boczną pozwalał przypuszczać, iż zawartość posiada treść nie tyle niepokojącą, co cenną. Miał bowiem ów uczony wszystkich już krewnych na tamtym świecie, a sam unikał był wszelkiej ludzkiej bliskości, by nie popadać w niepotrzebne smutki.

Stąd natychmiast spojrzął na imię i nazwisko adresata.

„Pan Honozobiusz Bambley” – bezgłośnie przeczytał. I u spodu dodatkowo drobnym druczkiem: „Emerytowany latarnik jego królewskiej mości Edwarda VII, króla Anglii”.

Zrozumiałe więc były wszelkie pocztowe ryczałty.

Nie przypominało to bynajmniej przesyłki rządowej.

A więc wiadomość wysłała mu osoba bliżej nieznaną, można powiedzieć całkowicie obca. Jak się potem okazało, był nią podobnie zdziwaczały samotnik, zamieszkujący jedną z tych zaniedbanych i opuszczonych latarni morskich, w dobie automatycznych przybrzeżnych sterowców zwykle pustych i całkowicie zbędnych. Szczęśliwy traf chciał, że położona ona była w lokalizacji Ocearusowi znanej i ulubionej z racji licznych wypadów wypoczynkowych.

Z przedmieść Melbourne do wybrzeża i półwyspu Liptrap prowadziła brukowana granitową kostką dwustukilometrowa szosa, którą pan profesor wraz ze służącym pokonali srebrnym automobilem marki Cureus Vipo, z rozrzędem zewnętrznym i olbrzymim gaźnikiem. Dystans pokonali w przeciągu czterech godzin i dwudziestu dwóch minut, precyzyjnie odmierzonych profesorskim chronometrem. Dane te uczony skrętnie zapisał w książce pojazdu.

Noc tuż przed umówionym porannym spotkaniem nasi podróżni spędzili w pobliżu celu, to jest w przyjemnej gospodzie nieopodal zacisznego Walkerville. Około szóstej piętnaście rano nakręcili motor i tocząc się na pełnych obrotach po polnej drodze lokalnej, wdarli się w gęsty i suchy o tej porze roku busz półwyspu Liptrap.

Jakby na przekór spodziewanym prognozom gorączki letniej, ranek obudził się mglisty. Na domiar złego pierwszy brzask przyniósł irytującą mżawkę. Stąd od miejsca postojowego aż do samej plaży czarny sługa Marcellus musiał towarzyszyć panu idąc z rozpiętym, wielkim parasolem w roztrzęsionej od zimna dłoni. Był zmuszony się śpieszyć. Przodem bowiem znacznie szybciej kroczył inny dżentelmen: dziarski, szybki,

bezkompromisowy i zdecydowany. Wcale już niemłody, ciut tęgi i niewątpliwie krzepki, miał na sobie ciężką rybacką kurtę, która, tak jak jej pan, nic sobie nie robiła z padających na nią kropel. Co więcej, zdążył zatknąć pomiędzy zęby ustnik wielkiej fajki, zaciągając się kilkakrotnie i idąc, puszczać dym w kształcie regularnych marynarskich kółek, jak przystało na dawnego bosmana. Co chwila pokasływał, trzymając dolną krawędź dłoni na ustach, sposobem starych morskich wyg. Spluwał też podobnie i całkiem zamasyście. Marszczył przy tym srogo czoło i poruszał krzaczastymi brwiami, w miarę jak wzrok napotykał nadmorskie skały. Obracał się do profesora za każdym razem, gdy o wybrzeże uderzała szczególnie duża fala, i międlif wtedy na ustach ten swój przyjacielski uśmiech, jakby z dumy, jakie to harce wyprawia dziś morze.

Pod pachą wyga dzierzył spory sztucer, którym lokalni zwykli polować na zdziczałe, karmiące się ludzkim mięsem foki i operujące przybrzeżnie pingwiny.

– Daleko jeszcze mam iść? – spróbował zainicjować konwersację pan profesor Molier, bo gospodarz od pół godziny słowa wydobyć z gardła nie raczył.

– Tam, obok tej wielkiej skały – rzucił latarnik, wskazując ustnikiem miejsce, do którego zdecydowanym krokiem podążał. – Odnalazłem owo mechaniczne cudo zaraz po wielkim nocnym przypływie! – dodał, przekrzykując rozbijające się o nabrzeże fale. – Niewątpliwie pływało. Zagadką będzie, jak taki kolos potrafił utrzymać się na powierzchni wody, bo jest za ciężki. A żeby go z piasku wydobyć i przenieść na pokoje, potrzeba siły dwóch koni.

– Za ciężki? To znaczy z nierdzewnej stali go wykuto?

Wyga morski zatrzymał się, by z fajki wystukać na skale popiół, i powiedział:

– Przy pierwszych oględzinach stwierdziłem, że jest odlany z żeliwa, ale później nie byłem pewny. Zrewidowałem własne głupie stanowisko. Zbadałem powierzchnię z bliska. Użyłem lupy. I wtedy dostrzegłem wzory charakterystyczne dla porowatości skalnej, więc uznałem – choćby to wydawałoby się panu niemożliwe – iż wykonano go bardzo dawno temu i że jest odlewem z lawy. Czytałem bowiem w młodości Parcavelsa i jego teorie dotyczące się technologii podmorskiej rasy gluorów. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie fotografie ilustrujące pracę. Tak, tak, owszem, fantazjuję. Widzę po pańskiej minie, że nieprzyzwoite to sprawia wrażenie i umniejsza powagę mego wieku. No ale cóż, taki już jestem.

– Ależ proszę się nie obwiniać. Słucham z całą należną powagą.

– No więc, długo się nie zastanawiając, zbadałem machinerion z zegarmistrzowską precyzją, bo przywiódł mi na myśl starogrecką maszynę liczącą z Antykithyry<sup>1</sup> odnanioną całkiem niedawno, bo w roku 1901.

– Dość pan jesteś odcytany jak na latarnika – pochwalił profesor z jawną przyjemnością.



– Cóż robić w wolnym czasie? Poszukiwałem więc kółek zębatach bądź ich obrysów na powierzchni maszyny, a wiadomo, dość pordzewiała, nie wykazywała subtelnych różnic. Poza tym migiem rozpoznałem linię konstrukcji znacznie starszą niż grecka z roku dwusetnego przed naszą erą. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale zaryzykowałem stwierdzenie, iż oto mam do czynienia z artefaktem atlantydzkim. Natychmiast doznałem entuzjastycznej drżączki. Pobiegłem do domu po szmatki antyrdzewne i płyn Hoghlanda. Po przemyciu kilku powierzchni bocznych przyuważyłem zarys klapki, która stosunkowo łatwo dała się otworzyć. Stamtąd wyciągnąłem wspomniany list foliowy i poszarpane mapy, które pochłonęły mnie zupełnie już przy pierwszym rzucie oka. Były ząb w ząb podobne do rycin z księgi nawigacyjnej admirała Piri Reisa<sup>2</sup> bazujących na dwudziestu kilku źródłach obcych, których wiek sięga daleko poza antyczną Europę. – Mężczyzna mówił, a z oczu wycierał mu tak szalony blask euforii, że aż przestraszył nim profesora. Stąd uczonego zdecydował się szarpnąć go z lekka za ramię i uspokoić stwierdzeniem:

– Już dobrze, wierzę w każde pańskie słowo. Ale chodźmy czym prędzej, bo już mocno mnie pan tym wstępem zaintrygował.

Obaj dżentelmeni spokojnie zeszli ze skarpy i wolnym krokiem podążyli do miejsca lądowania obiektu. Tam obeszlą urządzenie, czasem się zatrzymując i komentując, a czasem tylko krążąc w milczeniu i gapiąc się z nieprzerwanym podziwem. Służący z trudem w tej gonitwie nadążał za panem Ocearusem, a już z utrzymaniem parasola miał oczywisty kłopot. Wiatr się bowiem wzmacniał i deszcz zaczynał pod kątem zacinać, chlapiąc na surduty i twarze. Sprytny Murzyn zdecydował się więc obejść przedmiot morski i salwować profesora od strony nadchodzącego oceanicznego szkwału.

Tak udało mu się wykreować chwilowe zacisze wolne od mżawki.

Wszyscy trzej, mocno zaintrygowani, pochylił się, aby przez szkła zestawu lupowego bliżej przyjrzeć się szczegółom obiektu. Wciąż pozostawało faktem niewątpliwym, że przedmiot, choć mocno zasypany piaskiem, wykazuje aktywność mechaniczną. Napędowe turbiny pomimo klekoczących łopatek wciąż z cichym szumem pracowały, a śrubowe wypustki usiłowały uchronić rzecz od dalszego zasypania, odgarniając piasek. Machina wyglądała więc jak próbujący się wydobyć z pułapki żółw morski.

Trzeba przyznać naszym odkrywcom, że ani na chwilę nie przyszło im do głowy, żeby się bać. Co raz tręcali kuriozum patykami, co chwila eksperymentowali zatykając dysze i rozwierając liczne kłapy. Odstępowali na kilka kroków wstecz, gdy nagle coś kopcilo i pośród wydobywającej się pary można było wyczuć domieszki wstrętnego i bliżej nierozpoznanego smrodu nieziemskiego oleju.

– Gdzie znajduje się skrytka na listy?

– Tutaj.

- Aha...
- Otworzyć raz jeszcze?
- Proszę bardzo. Niech pan otwiera. Wszystko inne już przepatrzyłem.
- Proszę...
- Dziwne odrzwia izolowane miękką gumą – skomentował Ocearus.
- Dla szczelności, przypuszczam.
- A więc od początku zamiarom konstruktora przyświecał zamysł przesyłania korespondencji – ocenił uczony.
- Najprawdopodobniej tak.
- Taka współczesna butelka morska – podsumował.
- Tak wygląda. Tylko na cóż zbudowano ją tak wielką? Czyżby służyła do pokonywania przestrzeni i przeszkód nam nieznanymi?
- Hm...Czy aby na pewno widział pan ze szczytu swojej wieży, jak toto zdalnie przybija do wybrzeża? – spytał Molier nieco zaskoczony całkiem prawdopodobną hipotezą dobrodzieja.
- A jakże, widziałem. Robiło to, alarmując wszystkich dźwiękiem.
- Coś podobnego! – zdziwił się uczony.
- Syreną parową się ozwało mocniej od cumującego okrętu. I co lepsze, grzebie dalej w ziemi, bo zamyśla powrót w morskie żywioły. Jednak wnioskując z listów, misja jego po dotarciu w pobliże Melbourne<sup>3</sup> wygląda na skończoną.
- Intryguje mnie pan coraz bardziej. Czy aby naprawdę zaadresowano to wszystko prawidłowo?
- A czyż ja wyglądam na dowcipnisią, których pełno w wielkim mieście? Oczywiście, że do pana były pisane listy. Wszystkie przeczytałem, lecz przyznam otwarcie, iż strony tłumaczeń natury technicznej w pełni nie pojąłem. Same liczby i symbole, rozpiski i wykresy.
- Urządzenie wygląda mi na antyczne – konkludował profesor, puszczając mimo uszu godną pochwały szczerłość. – Kształtem przypomina niebywale ostry pocisk. – Obchodził przedmiot wokół, referując pokrótce to, co widział: – Dotąd nie odnalazłem na żeliwnej powierzchni tabliczki znamionowej żadnych bitych znaków firmowych huty lub choćby miejskiej odlewni. Brakuje również numerów stoczni, która jest zobowiązana wydać takie w przypadku klasyfikacji i wypuszczenia cuda na odmetę. Są tylko jakieś rozmyte lub okopcone gryzmoły.
- Wie pan, sam podejrzewałem, że spadła z nieba.
- Hm, wątpię. Nie posiada nadtopień charakterystycznych dla gwałtownego przejścia przez atmosferę. Nie widzę nic, co potwierdzałoby sugerowane przez pana pochodzenie kosmiczne.
- Miałyby nadejść z podziemi?

– Otóż właśnie sobie myślę, że jest to prawdopodobne. Któż bowiem na powierzchni potrafiłby konstruować z lawy podobne wytwory? – spytał profesor tonem nie wiadomo czemu pełnym zawodu.

– Myśli pan, że to lawa przemysłowa?

– Czemuż nie?

– Może czegoś więcej dowie się pan z załączonych listów?

– Pewnym jest, iż przedmiot przybył z daleka, ze światów archaicznych i dziwnych.

Raptem pan Molier, tknięty osobliwym przeczuciem, zdecydował się obejrzeć przeciwległy bok obiektu.

– Pomóżcie mi, panowie, przewrócić znaleźisko na drugą stronę – poprosił obydwu. – Może gdzieś tam jest ogromne wiertło? Wtedy dałoby się wyjaśnić pochodzenie obiektu, a przynajmniej potwierdzić, że przewiercił się przez powłokę ziemską.

Z pomocą Marcelussa, który poskładał minutę temu parasol, spróbowali przetoczyć żeliwniaka na inną kanciastą stronę, ale nawet we trzech nie dali rady. Zbyt opornie szło wydobywanie takiego ciężaru z piasku.

– Potrzebne będą tutaj konie – wymyślił służący.

– Już zawezwałem odpowiedzialne służby. Niech się pan nie boi pracy i ciągnie z łaski swojej – rzucił latarnik z pretensją. Murzyn ze złością wzruszył ramionami i odsunął się o krok wstecz.

Ocearus znów uznał incydent za niebyły.

– Kształt tego czegoś u spodu zdaje się przypominać grecką amforę o przedłużonym brzuscu, w której ongiś przewożono trunki. Niezwykły to przedmiot – podsumował profesor Molier. – Podejrzewam, że wyposażony jest w zegarową pamięć, co stawia go w rzędzie automatów.

– Hm, automatów<sup>4</sup>? Ani Niemcy, ani Imperialna Japonia takich jeszcze nie produkują.

Ocearus kiwnął na zgodę i dorzucił:

– Zdziwiająco, jak odnalazł nas na kontynencie tak wielkim? Jego historia intryguje mnie coraz bardziej.

– Doprawdy? – Tutaj latarnik zmrużył oczy i palnął z zaskoczenia: – Nadawcą był pański brat.

Słowa zrobiły wielkie wrażenie. Czarny sługa i pan spojrzeli po sobie.

– Tyle że Immanuel udał się przed niespełna dwudziestoma laty z wyprawą ku Jowiszowi – usprawiedliwiająco jęknął Ocearus.

– A więc ten tutaj – latarnik wskazał obiekt swą fajką – musi być pociskiem międzyplanetarnym. – To mówiąc, roześmiał się grubiańsko. I bijąc się łapskiem po piersi, nie umiał przestać.

– Lub też kompletnie czym innym – skonstatował rozdrażniony profesor. W jednej chwili się odmienił. Jakby się uparł i rozgniewał. Bo faktem było szerzej znanym, że mu już nieraz wypominano, iż brat jego ukochany zhańbił się nieudanym naukowym eksperymentem i w ucieczce przed światem w najgłębszych pieczarach Ziemi odnalazł schronienie. A wraz z nim siedemdziesiąt milionów biedaków, których porwał rewolucyjnym słowem i czynem.

– W listach wspomina się o Necrolotum – oznajmił Honozobiusz, gdy Ocearus wydał się już całkiem opanowany i ponownie skory do prowadzenia śledztwa.

– A cóż to takiego?

– Jest to kombinacja wyrazów pochodzenia grecko–łacińskiego, a jeszcze dawniej – atlantydzkiego. Oznacza podmorską międzyplanetarną sieć, do której otwarcia służy bezgłośne słowo. Słowo symbol. Słowo klucz.

– Czyżby miało coś wspólnego ze śmiercią? – Pytanie naukowca zawisło na chwilę w próżni. Wzbudziło irracjonalny lęk.

– Tak – całkiem spokojnie zgodził się dawny bosman..

– Z ożywiającą śmiercią, reinkarnacją, z hinduską samsarą<sup>5</sup>, - ożywił się Ocearus, pojmując z nagłą wagę odkrycia – z jej bogactwem cyrkulowanych elementów, z tradycją i tajemnicą najgłębszych wód i...

– Atlantów<sup>6</sup> – dokończył latarnik, uśmiechając się enigmatycznie. – A najlepiej jeszcze gluorów<sup>7</sup> – dodał, nabijając fajkę świeżym, pachnącym ładunkiem z wyciągniętego z kieszeni woreczka.

– Tak, właśnie. Dokładnie to miałem na myśli – zgodził się z przedmówcą pan Ocearus. – I to wszystko znalazł pan w listach?

– O wiele więcej, mój panie, o niebo więcej... – zapewnił.

---

<sup>1</sup> Mechanizm z Antykithyry – starożytny mechaniczny przyrząd, zaprojektowany najprawdopodobniej do obliczania pozycji ciał niebieskich. Datowany na lata 150–100 p.n.e. Ze względu na stopień zaawansowania technicznego dowodzi istnienia w czasie antycznym swego drobnego przemysłu wyrobniczego maszyn precyzyjnych o różnym stopniu złożoności i zastosowania praktycznego. Pojawiły się różne spekulacje dotyczące pochodzenia przyrządu. Między innymi uważa się, że konstruktorem był Hipparach, mieszkający wówczas na wyspie Rodos astronom, bądź że przyrząd wykonali uczniowie Archimedesesa, choć wtedy data jego powstania przesunęłaby się wstecz, do około 200 roku naszą erą. Szkoda, że nie dostrzeżono wówczas potencjału rozwojowego tej dziedziny ludzkiej wiedzy. Gdyby tak się stało, moglibyśmy przypuszczać, że Grecy opanowaliby konstrukcje pierwszych maszyn parowych, Rzymianie nie tylko lataliby dwupłatowcami, ale i lądowaliby na Księżycu i Marsie.

Natomiast gatunek ludzki w czasach nowożytnych nie ograniczałby się do jednej planety, a płąwiłby się w rozwoju cywilizacyjnym sięgającym gwiazd.

2 Piri Reis – Otomański admirał, który powszechnie znany był z posiadania niezwykle map i ksiąg zawierających informacje o nowym, jeszcze nieodkrytym świecie. Twierdził, że skompletował owe informacje kopiując w 1528 roku dwadzieścia jeszcze starszych dokumentów źródłowych. Można by wysunąć tezę, że ludzkość jako gatunek przedstawia sobą istoty permanentnie zapominalskie, które na ruinach dawnych budowli wznoszą zbyt pośpiesznie kolejne warstwy ruin zawierających nowe, lotne idee. Rychło jednak nowo zdobyta wiedza ulega zatarciu lub z braku jakichkolwiek sensownych zapisów historycznych przepada z kretesem.

3 Melbourne – drugie co do wielkości miasto Australii, leżące w stanie Victoria. Od Oceanu Południowego oddziela je sporej wielkości zatoka Port Philip Bay, od północnego wschodu ograniczają Alpy Australijskie.

4 Automaton – tutaj słowo występuje w charakterze opisowym. Pierwotnie oznaczało samooperujące fikcyjne dziewiętnastowieczne urządzenie, imitujące zachowanie człowieka. W rzeczywistości definicja stwierdza, że jest to abstrakcyjna maszyna o skończonej liczbie stanów DFA (Deterministic Finite – state Automaton). I w analogii do powyższej konkluzji autor rozpatruje sens istnienia każdego systemu biologicznego jako z góry zdeterminowanego funkcyjnie. Korzeni samego pojęcia można doszukiwać się w starożytnej Grecji, gdzie Heron z Aleksandrii w drugim wieku przed naszą erą wykazał się nie tylko niezwykle pomysłowością, ale i genialną erudycją. Do głównych jego wynalazków można zaliczyć „banię Herona” będącą pierwowzorem parowej turbiny, „fontannę Herona”, czyli maszynę do czerpania wody oraz różnego rodzaju maszyny obłężnicze. Jego prace teoretyczne dotyczyły pneumatyki, automatów, mechaniki, metryki i zwierciadła.

5 Samsara (albo sansara) – w hinduizmie, dżinizmie i buddyźmie termin oznaczający nieustanne wędrowanie, nieskończony proces tworzenia i upadku, cykl reinkarnacji i jego przerażający łańcuch odrodzeń, któremu od niezmiernego czasu podlegają wszystkie istoty żywe. W buddyźmie sansara oznacza również cykl przemian, którym podlegają wszystkie byty i zjawiska, włącznie z naszymi myślami.

6 Atlantyda – mityczna kraina, którą przed kilkoma tysiącami lat dotknęła seria straszliwych katastrof. Pierwsza wzmianka o tajemniczym lądzie pojawia się w pracach Platona. Według greckiej mitologii podczas podziału świata pomiędzy bogów Atlantyda przypadła Posejdonowi. Atlanci, będąc potomkami Posejdona i kobiety o imieniu Klejto, wzniesli wspaniałe miasto otoczone złotymi murami i wyłożone srebrem. W mieście znalazły miejsce liczne świątynie ku czci boga, tereny rekreacyjne i sportowe. Poszczycić się też mogło znakomitą infrastrukturą oraz portem pełnym rzędów doskonale wyposażonych, potężnych statków. Obecny świat naukowy odnosi

się do idei zatopionego lądu dość sceptycznie, jednak poszukiwanie zatopionej Atlantydy przyczyniło się do rozwoju różnych dziedzin wiedzy, między innymi archeologii i geologii.

7 Glorzy – obca rasa, wymyślony przez autora fikcyjny odłamu narodu atlantydzkiego.

# 1

W kilka lat od tego zdarzenia siedzieliśmy na sofie, ja i Abelia, mocno przytuleni, w gorączce dyskutując na bieżące tematy:

– Czegóż jeszcze od siebie wymagasz? – zapytywała narzeczona, kobieta piękna, młoda i finansowo uposażona, lecz kompletnie rozstrojona wynikiem ostatnich wypadków.

Tłumaczyłem jej długo i zawile, sam niekiedy wątpiąc w słuszność mej tezy: ...że będąc raczej słabo rokującym dziennikarzyną „The Argus” niż wziętym korespondentem nigdy niczego nie osiągnę, że będę tkwił w papierach po uszy i prosił się tępych redaktorów o marne rubryki. Z kiepskiej pensji nie dam rady pokryć czynszu łożnego dwunastopokojowego mieszkania, nie uposażę dzieci, nie usatysfakcjonuję w stopniu najmniejszym jej szlachetnej osoby z renty oficerskiej i farmerskich wpływów. I że żywię wobec niej uczucia najgłębszej miłości i wielkiego szacunku, że śnię każdej nocy o jej bliskości, że potrafiłbym udać się do samego dna piekieł, gdzie nieskromnie zażądałbym od szatana, by kupił mą duszę i wymienił na lata szczęścia u jej boku. Nie byłoby rzeczy, której bym dla niej nie zrobił, góry, której bym nie zdobył i morza, którego bym nie przepłynął, lecz we wspomnianej materii o to jedno ją, ukochaną ponad wszystko, proszę...

Głaskała me ramię i trzeźwymi słowami od nowego pomysłu odwodziła. Wtedy ja w inne wpadałem tony:

– Pani ma najdroższa – mówiłem, oczekując współczucia – owszem, mógłbym ruszyć mobilem pasażerskim do Ballarat<sup>s</sup> i tam, harując w kopalniach złota, dorobić się po latach pięknego domu z wyciągowymi balkonami, z wieżami o zmiennej wysokości, o murach z kontrastami, ale taka perspektywa ciężkiej pracy fizycznej staje w opozycji do mego światopoglądu – dodałem.

– Ależ któż ci każe pracować tak ciężko, Jack?

Znów jej przerwałem:

– Poza tym jakie hańbiące to byłoby zajęcie dla dżentelmena, którym ze zmiennym szczęściem zawsze byłem? Dla inżyniera kawitologa, dla licencjonowanego geologa i hydrologa? Dla literata i filozofa? Dla podróżnika?

– Już dość zrobiłeś dla ludzkości. Te wszelkie wyprawy i poczynione dla ratowania zaginionych ekspedycji wspinaczki! Dla armii utraciłeś zdrowie – dorzuciła egzaltowanym tonem. – Masz już czterdzieści sześć lat. Myślałam, że biologicznie postarzały, psychicznie też się ustatkujesz, a tu nagle dochodzisz do konkluzji niesłusznej, że jeszcze nie dość? Nie za późno już na skrajne ryzyko? – rozważała.

– W życiu nie upaprałem sobie smarem ręki – wyznałem na poły szeptem, na poły do siebie, ciągle myśląc ze wstrętem o fizycznej pracy, a puszczając jej wnioski mimo uszu.

Wtedy podała mi list, który jej wysłałem nie tak dawno. Kazała mi na głos czytać:

*Moja Najdroższa Abelio* – pisałem dnia 24 czerwca roku 1912.

Przed oczyma stanął mi inny poranek i inna ulica. Wspomnienia zdawały się na nowo żywe.

*Nie dalej jak dwa miesiące temu oddział speleologów militarnych, którym będąc w spoczynku kierowałem, otrzymał propozycję wysoko płatnej asekuracji misji ratunkowej dowodzonej przez jeszcze mi wtedy nieznanego lorda Duncana Bizzarda. Znany powszechnie podróżnik i łowca dzikich bestii udawał się w głąb nie tak dawno odkrytej szczeliny skalnej, nazwanej na cześć odkrywców jaskinią Portiera Meddisona. Najgłębsza i najrozleglejsza pieczara, jaką do tej pory odkryto, trafiła natychmiast do stanu zasobu armijnego. Nie wysłano do wnętrza ludzi, ale automaty kroczące. Sterowana drutem telegraficznym żeliwna rura balonowa zapuściła się aż na czterysta szósty kilometr. Tylko brak było informacji, czy dystans ten był przez maszynę mierzony w pionie, czy w poziomie.*

*Żyjemy w arcyciekawych czasach, najdroższa ma Abelio!* – pisałem dalej.

*Oto zaledwie dwa lata wcześniej sir Albert Chesley zdobył na pokładzie sterowca „Ambomidall” biegun południowy. Książę Randall Huppier założył w wydrążonych lodowcach arktycznych pierwsze w historii pływające bazy polarne, a inżynier Pustoo zbudował pontonowe mosty, łączące kontynenty Europy i Afryki.*

*Podczas gdy książę Eduardo Petersbourough szykuje się do swej pierwszej wyprawy na Księżyc, niewielka radiotelegraficzna skrzynka w locie bezzałogowym właśnie mija Plutona.*

Kazała mi przerwać na chwilę.

– Po co mi o tym wszystkim pisałeś? – zapytała. – Chciałeś mnie ujrzyć zasmuconą?

Po namyśle odparłem:

– Jako że byłeś i jesteś mi drogą sercu duszą, ufałem, że mnie zrozumiesz. Tylko się wtedy usprawiedliwiałem, że cały świat się w odkrywczości rozszalał i rozkochał, a ja wraz z nim do reszty sfiksowałem. Za pierwszym razem, będąc jeszcze świeżym speleologiem kadetem, musiałem wziąć udział w militarnym eksperymencie i wraz z tysiącem innych odważnych przetrzeć szlaki konstrukcji kawitalnej<sup>2</sup>. Ryzykowałem, zapinając na ścianach ogromne szyny i wprowadzając na nie po raz pierwszy w świecie parowe automatony. Sam przecież zakładałem łącza, klejałem w precyzyjne odlewy druty sterowania i naprowadzając obiekty na tory, instruowałem pamięć mechaniczną, jak dalej toczyć powinna machinerion w głąb ziemskich otchłani. Nie chciałem tej męskiej gorączki utracić. Kim byłbym, pozbawiony jej? Wytartym szczegółem zajmującej historii? Wybacz, ale jeszcze nie chcę.

„W sumie zapięto do skały drabiny szynowe o łącznej długości dwudziestu tysięcy metrów – dodałem w myśli. – Z eksploracji zrezygnowano zaraz po tym, jak w składzie



atmosferycznym podziemia dostrzeżono niebezpieczne stężenia ulatniającego się ze ścian gazu lub jeszcze czegoś innego. O czym sza... W końcu Brytyjska Armia Imperialna zdecydowała się otwory wejściowe zaczopować i na lata całe wszelkie dostępy do korytarzy obmurować i zamknąć kratą. Dopiero skonstruowanie przenośnej i lekkiej maski gazowej pozwoliło na bezpieczne przebycie szeregu zatrutych kilometrów”.

– A pamiętasz, kiedy przybył do mego domu pewnego popołudnia dumny i w nieco podeszłym wieku oficer? – zapytała.

– Był to pan Bizzard?

– Otóż to. On właśnie – potwierdziła, rozsiadając się wygodniej na sofie, którą zajmowaliśmy wspólnie.

– Pamiętam, że kilka lat wcześniej, będąc jeszcze asystentem inżyniera kawitologii, pana Morrisa Hugleya, ukończyłem zaoczne studia z zakresu potamologii. Trzeba ci, pani, wiedzieć, że to wprost królewska nauka o rzekach, strumieniach i jeziorach. W kraju, w którym większość dzikich ostępów stanowią niezmierzone pustynie, na niewiele by mi się jednak przydała. Pogłębiłem więc studia hydrologii i oceanografii. I tu znów fiasko. Zaczepiłem się więc o geologię. Ta ostatnia zgłębiona szczegółowo wiedza wespół z kawitologią stosowaną stały się na długo źródłem mego utrzymania. Zdobyłem od ręki licencję kadeta speleologicznego. Sam namiestnik cesarski korony australijskiej pogratulował mi sukcesów.

– Jednym słowem stałeś się fachowcem, którego oprócz skał interesowała woda, woda i jeszcze raz woda, i to woda w każdym jej stanie skupienia, sprężenia i krystalizacji czy obszarów występowania. Mój ty kochany wodniaku – rozmarzyła się panna, tuląc na nowo do mego ramienia.

– Jak dobrze wiesz, na przeciąg kolejnych dwóch lat oddaliłem się od życia publicznego i poświęciłem całkowicie armii. Wziąłem udział w wielu poważnych ekspedycjach naukowych. Uczyniono mnie korespondentem gazety codziennej „The Argus”, której biuro prasowe mieści się w tym samym budynku na Elizabeth Street, co „The King Rodent” i „La Puffalo”. Dotarłem do najgłębszych jaskiń Nowej Południowej Walii, gdzie budowałem dla rządu systemy jeszcze raczkujących urządzeń wydmuchu kawitacyjnego. Technologia ta, wykorzystująca pryncypium rozprzestrzeniania lawy, zdolna była do stopienia każdych gruntów i do wydmuchiwania cieczy skalnej w przygotowaną nieckę na przestrzeni kilku podziemnych kilometrów. Idealna do podziemnej inwazji na obce, zagrażające naszym politycznym interesom państwo. Parowe drabiny nie były jeszcze wtedy tak sprawne jak dzisiaj. Mechanizm z trudem dawał sobie radę z ciągnięciem ich w głąb potężnych studni wulkanicznych. Bezwzględnie wymagały asysty człowieka. W tamtej pracy niemal straciłem obie nogi.

- I musisz akurat teraz wracać wspomnieniem do tych ponurych szpitalnych czasów?
- Mam swoje powody. Muszę. – Mój grobowy nastrój chyba się jej udzielił, bo nagle posmutniała. – I tam, w przyszpitalnym ambulatorium, los zetknął mnie z osobowością nie tyle inspirującą, co przemożnie umysłowo wpływową, która wywróciła moje poglądy w kwestii otaczającego nas świata i wskazała istotne dynamiczne, a dotąd mi nieznane powiązania. Był to naukowiec, profesor nadzwyczajny i hrabia w jednej osobie: Ocearus Gwidon Molier.
- To miałeś szczęście – niemal zaszydziła.
- Zajmowaliśmy się wówczas w laboratorium na Bourke Street szczytną analizą wyników hydrogeologii złożowej. Interesowały nas szczególnie różnice w wykrytych przez wspomnianego pana Moliera specyficznych zanieczyszczeniach w zbiornikach wód podziemnych. Ponieważ byłem, jak mówiono, wyjątkowo uzdolnionym fachowcem w tej dziedzinie, Ocearus zadał mi do przeprowadzenia szereg niekonwencjonalnych eksperymentów, które przy takim nadmiarze faktów i wydzwięku ideowym wzbudziły zarówno moją czujność, jak i ciekawość.
- Poddał cię interwencji?
- Tak. Interesowały go tajne informacje militarne. Chodziło mu przede wszystkim o prognozowanie migracji wód. O sposoby regulacji przepływu i wszelkie wzrosty i niedomiary. Pytał o okresy posuchy w najgłębszych znanych nam jaskiniach, o poziom wilgotności powietrza, a nawet o napotykaną życie biologiczne w rodzaju nieznanym nam bliżej form robaków i glonów.
- Ocearus pytał o migrację wody? Nie rozumiem, dlaczego armia zajmowała się tak prozaicznym tematem.
- Na wojnie nie ma prozaicznych tematów.
- Przecież panuje pokój.
- Coś takiego jak „pokój” nie istnieje. Zwykle intensywnie przygotowujemy się do kolejnej wojny.
- Czegoż więc szukał profesor? Czyżby pracował dla obcych wywiadów?
- Spokojnie. Jest dobrym patriotą i zasłużonym bohaterem. Uważał, że część zasobów wodnych Ziemi nie należy do planety, a przybywa z innych wymiarów.
- Skrajnie nieprawdopodobna hipoteza.
- Też tak myślałem. Dostawałem gęsiej skórki na samą myśl o ewolucji gatunków w najgłębszej eksplorowanej przez człowieka, bo podłądowej strefie ziemskiej skorupy. Profesor mówił z tak dziwnym przekonaniem i tak zawile perswadował, że czasem podejrzewałem go o szaleństwo. Szczególnie gdy podsuwał mi szkice odnalezionych organizmów. Bałem się onych wyimaginowanych skorupiaków, szczególnie form na powierzchni już zapomnianych, z dawna zaginionych. Tam, gdzie planeta według biegłych uczonych ukrywała trzykrotne zasoby wodnej masy wszystkich

powierzchniowych oceanów, mogło istnieć życie ekstremalne i potworne w każdym rozmiarze.

– Miałeś partnera do dyskusji. Chociaż sama lubuję się w okresie kambryjskim.

– Och, tak. Człowiek to świątły i biegły w każdym rozumowaniu. Wówczas też wspomniałem mu o wynalazku, który, jak wiesz, pragnąłem jak najszybciej upublicznić. Przez kilka najbliższych dni mnie nękał i napominał, bym bezwzględnie nikomu wyników moich badań nie pokazywał. W końcu wysupłał kilkaset funtów i zachęcił mnie do milczenia. Zabronił na podstawie umowy pisemnej puścić wynalazek w patenty i sprzedaż aż do dnia pierwszego stycznia roku tysiąc dziewięćset trzynastego.

– Czyżby to była data przypadkowa?

– Nie wiem. Zabrałem pieniądze i podpisałem papiery.

– Czy to ten sam projekt, w którym utopiłeś kilka tysięcy moich funtów?

– No cóż... Jesteś moim największym udziałowcem.

– Ale ja też nie ujrzałam nawet odrobiny tej nurkowej maszynerii.

– Mam to już w konstrukcji.

– Mówisz mi to od roku.

– Lada dzień przyniosę prototyp.

– No dobrze. I wtedy słuch o profesorze zaginął?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Tak. Na próżno go szukałem. Rok cały lub dłużej nie dawał znaku życia. Dopiero niedawno ujrzałem na progu moich drzwi posłańca, dość enigmatycznie uśmiechającego się lorda Duncana.

– Już go widzę, jak się dumnie wypina.

– Stał z zapaloną fajką. Raptem ją o odrzwia wystukał i zamyślony strzepnął popiół na wycieraczkę. Wstrząśnięty własnym zachowaniem, przeproszał, obwiniając swój stan nerwowy.

– Było to pierwsze wasze spotkanie?

– Tak. Przedstawił mi pokrótce siebie i misję, w której ja miałem również wziąć udział. Stwierdził lakonicznie na koniec, że mój udział w wyprawie będzie ekstraordynaryjnie istotny.

– Ekstraordynaryjnie istotny? Mój Boże, jakże proste słowa potrafią cię uwieść!

– Oczywiście wpuściłem go do środka. Wkroczył. Rozglądał się po przedpokoju z nonszalanckim uśmieszkiem. Miał przewieszony przez ramię pas z potężnym, podwodnym rewolwerem, a w ręce, której mi nie podał, teczkę bodajże z mapami wszystkich światów.

Scena ta jak żywa stanęła mi w pamięci.

– Przybyłem tu z polecenia profesora Moliera – zaprezentował się. Gdy usiadł i tak mówił, rzetelnie dobierając słowa, aż powiało od niego myśliwskim trofeum, potrzęsnał mną dreszcz niesłychanych emocji. Poniosły się wokół ostre śwędy, a to z dalekiego buszu, a to z nakrapianych skałami niezmiernych pustyni z żerującymi na nich metrowymi skorpionami. Bo przybysz był z tych niezłomnych, co po trupach dążą do celu.

– Pan Molier, pańskiej pomocy mnie poleciwszy – wyrzekł ogłędnie, napinając pomiędzy nami atmosferę – kazał wspomnieć butlę parową, której fragmenty miałeś pan kiedyś okazję oglądać.

– A tak, przypominam sobie – potwierdziłem, chociaż wciąż mnie senność i zmęczenie trapiły, czyniąc wspomnienie niewyraźnym i nieautentycznym. Ale tak, zauważyłem coś takiego w hotelowym apartamencie zaraz po powrocie ze szpitala! Niewyraźnie przypominałem sobie fragmenty podmorskiej butli.

– Otóż mam drugą taką samą, przybyłą niedawno na mój adres własny, a mieszkam nad morzem, w okolicy Inverlock. Znalazłem wewnątrz list wzywający mnie do natychmiastowego udzielenia pomocy i opisujący wypadki nieprawdopodobne i prawie niemożliwe. Otóż pan Ocearus Molier testujący teleportacyjne węzły wiodące ku planetom obcym zarówno z najgłębszych morskich otchłani, jak i z nieprzebytych pieczar, uwięziony został przez wypadki niefortunne na najniższym podziemnym poziomie. Tam jego życiu zagraża bliskość aktywnego za ścianą skalną wulkanicznego kanału. O tym właśnie wspominał Edward Roche, twierdząc, że lawy rozpuszczone spoczywają tam na metalicznym jądrze.

– Tak, ale Roche<sup>10</sup> mówił coś o odosobnionych jeziorach lawy, nie o całej podpowierzchni<sup>11</sup>.

– W rzeczy samej, przypominam sobie. Jednak ich obszerność nie może być tak wielka, gdyż inaczej przyciąganie Słońca i Księżyca spowodowałyby dotkliwe przyptywy.

– Powiedzmy.

– Podług więc tej hipotezy, obniżając się ku środkowi Ziemi natrafimy na jeziora roztopionych mineralnych materii, a tuż obok na stwardniałe jej części i ciągnące się w nich kawitacje.

– Tak myślę.

– Tam więc nasz dobrodziej przebywa. Najniższy to poziom. Lata zabrałyby mu droga na powierzchnię.

– Niestety, trzeba mierzyć siły na zamiary.

– Mierzył, jednak... Stał biedak przed problemem mechanicznej kraksy. Niemożnością było uruchomienie posiadanego sprzętu. Zatem zdesperowany uprosił

przyjaciela, aby się poświęcił i zawrócił ku morzu. On to miał spróbować mnie odnaleźć za pomocą szczególnie dokładnie zaadresowanej podmorskiej butli.

– Sam nie mógł się przez to morskie przejście pofatygować i bezpiecznie zawrócić? – drażniłem lorda, chociaż dawno już podjąłem decyzję.

– Chodzi o przetestowanie obu metod transportacji. – Złościł się. – Skoro pierwsza droga wodna nie sprawia większego problemu, pora skoncentrować się na drugiej.

– Rozumiem zatem, że jest osaczony w mroku najgłębszych skał?

– Właśnie.

– Pozostała mu wspinaczka?

– Bite osiemdziesiąt kilometrów z dołu do góry. O dystansach horyzontalnych lepiej nie wspominać. Tak właśnie się sprawa przedstawia. Szczerze pana upraszam – ponaglił lord, gdy przeglądałem przyniesione przez niego nie tylko mapy, ale także dokumenty i listy. Przystudiowałem również prawdziwość pieczęci na zezwoleniach wojskowych i zbadałem podpisy znanych mi znacznych generałów. Wszystko wydawało się być w idealnym porządku. Nieczęsto zdarzał się ktoś, kto tak błyskawicznie zdobywał sobie zaufanie admiralicji, a szpiegów i sprzedawczyków japońskich było zatrzęsienie.

– Nie musi się pan spieszyć. Poczekam – rzekł lord, ukrywając złość, bo się widać zorientował, że go mam za agenta Orientu.

– Zatem jeszcze raz podsumujmy. Twierdzi pan, że profesor Molier, zapuściwszy się w najdalsze oceaniczne głębie, zaplanował później drugą próbę wyjścia na ląd? Na podziemia!... Jak to możliwe? Czyżby nie obawiał się zalania i utopienia? I dlaczego ryzykował tę bardziej niebezpieczną drogę?

– To już będzie inna opowieść. Mniemam, że sam pan Molier wyjaśni rzecz całą w szczegółach. Zresztą dla takiego kawitologa jak pan sprawy szybko staną się oczywiste.

Na jawne pochlebstwo uśmiechnąłem się pod wąsem. Było jasne, że lord pragnie mnie sobie zjednać. Co do kawitologii, to nowa dziedzina szybko zdobywała popularność. Przemysł na jej fundamentach powstały mógł odmienić losy cywilizacji nie tylko ziemskiej, ale też księżycowej – w planach kolonizacyjnych.

– Błagam pana o pośpiech.

– A to dlaczego?

– Losy profesora ważą się teraz, bo w każdej chwili może on zginąć z ręki nieznanym nam bliżej plemion, zamieszkujących najgłębsze ziemskie otchłanie. Nie wiadomo, czy to są dzicy ludzie, czy udające inteligentne małpoludy. Upraszał szczególnie o pańską pomoc. Pańskiej grupie speleologicznej również poświęcił chwilę uwagi. Zażądał, aby go możliwie najszybciej ratowano.

– Zaraz mam pójść? – roześmiałem się.

– Nie mamy czasu do stracenia – odparł żarliwym, rozkazującym tonem. – Niech się pan czym prędzej ubiera! I zawezwie kamerdynera, by ten pobiegł do stacji telegrafu i zawiadomił innych, najbardziej pana zdaniem zaufanych i pomocnych.

I gdy ja, tak zdumiony własną reakcją, rozsyłałem wieści listowne do przyjaciół rozrzuconych po miastach i miasteczkach w obrębie stanu Victoria, on już załatwiał następne glejty, kody do maszyn drabiniastych i pozwolenia wejścia do obszarów ściśle zamkniętych.

W mig byliśmy gotowi.

---

8 Ballarat – miasto położone na południu Australii, w stanie Victoria, około 120 km na północny zachód od Melbourne. Od 1851 roku odkryto w jego pobliżu znaczne pokłady żył złotoносnych.

9 Kawitacja – tutaj: fikcyjna nauka pozwalająca na zamianę skały w gorącą magmę lub parę przy pomocy specjalnego promiennika. W rzeczywistości termin ten określa zjawisko fizyczne, polegające na gwałtownej przemianie fazowej z fazy ciekłej w fazę gazową pod wpływem zmniejszenia ciśnienia.

10 Edward Roche (1820-1883) – ówczesnie sławny francuski geolog, astronom i meteorolog. Popularyzował model układu słonecznego Laplace’a, co było w owym czasie tak trudne, jak krzewienie wiedzy o darwinizmie. Najbardziej znane pozostały jego prace na temat komet, zachowania roi niewielkich cząstek materii w silnym polu magnetycznym oraz teorii formowania się pierścieni Saturna. W tym ostatnim przypadku otwarty umysł naukowca podpowiedział mu rozwiązanie w postaci rozerwania niewielkiego księżycyca w silnym polu grawitacyjnym potężnej planety.

11 Terminy napotymane w tekście, takie jak „podpowierzchnia” oraz „strefa podładowa” – należą do wymyślonego zasobu słownictwa świata alternatywnego. Jest to celowa archaizacja terminologii opisowej. A co próbuje opisać? Dlaczego zmierza do przypomnienia dziewiętnastowiecznych idei zamieszkałego centrum ziemi? Otóż okazuje się, że nie wszystko jest jeszcze jasne i strukturalna budowa planety nadal pozostaje nieodgadnioną tajemnicą. Nie wiemy, czy wydobywane paliwa ciekłe i gazowe są biogeniczne, czy abiogeniczne. Jeśli abiogeniczne, źródeł podobnych surowców możemy spodziewać się na Marsie, Księżycu lub gdziekolwiek indziej. Obie teorie nadal zaciekle ze sobą rywalizują. Dla zobrazowania naszego poziomu rozumienia spraw związanych z budową geologiczną planety dodam, że najgłębszy w historii odwiert dokonany w Rosji do 2015 roku miał zaledwie 12 kilometrów, co przy 12 tysiącach średnicy ma się jak pchła do słonia. Jak można przypuszczać, eksperyment niewiele wniósł do zrozumienia budowy płaszcza Ziemi, zważywszy, że grubość płyty litosferycznej łądu przyjmuje się na średnio 40 km. W badaniach teoretycznych uważa się, że trzydzieści procent powierzchni kontynentalnej leży pod

poziomem morza. Wyniki ekspertyz paleontologicznych i radioizotopowych mówią o ich wieku 4 miliardów lat, gdy tymczasem najstarsze znane fragmenty skorupy oceanicznej nie mają więcej niż 200 milionów. Obraz więc pozostaje zaciemniony i niestety nie powstała jeszcze nauka, która w sposób satysfakcjonujący pozwoliłaby nam na eksplorację wnętrza Ziemi. Ale, co ciekawe, w roku 1994 doszło na terenie Boliwii do jednego z najgłębszych znanych trzęsień ziemi, którego efekty odczuła cała planeta. Analiza sejsmicznej fali w rejonie maksimum wstrząsu pozwoliła badaczom na szczegółowe zobrazowanie granicy pomiędzy niższym a wyższym płaszczem skorupy ziemskiej. I oto odkryto istnienie na głębokości 660 kilometrów pod kontynentem południowoamerykańskim podziemnego masywu górskiego o wysokości porównywalnej z Himalajami. Wcale nie znaczy to, że napotkamy tam świat rodem z powieści Juliusza Verne'a, ale faktem jest, że od tej pory obraz dynamiki geologicznych nawarstwień znacznie różni się od tego z przyjętego z modelu teoretycznego. Zatem jeśli pod ziemią również formują się góry, to z powodzeniem mogą istnieć tam odizolowane, samoskrapłające się akweny i potężne przestrzenie pustki, które powinny inspirować do opowieści takich jak ta.

Opowiadając całą historię Abelii, przypomniałem sobie inny list, zapewne wmieszany w plik pozostałych, adresowanych do pięknej mej pani. Niestety, nie potrafiłem go szybko odnaleźć. Wysypałem tedy ze szkatułki całą korespondencję i bez jej pozwolenia zacząłem grzebać w słoiku na rulony pocztowe, stojącym na stoliku obok. Odnalazłem ten właściwy. Otworzyłem i już bez zachęty odczytałem:

*Przygoda stała się symbolem czasów. Ryzyko modą. Sława potrzebą!* – tak brzmiał zamieszczony w kopercie bilet wojskowej rekomendacji. Skupiłem się na treści listu:

*Najdroższa Abelio...*

*Nasza doskonale wyekwipowana ekspedycja dała z siebie wszystko, by dotrzeć do wskazanej przez lorda Bizzarda komory. Niestety, była ona jeszcze pusta. Z wielkim mozolem posuwaliśmy się dalej w głąb nieznanych szczelin, których być może żadna jeszcze ludzka stopa nie tknęła i wzrok ludzki ich piękna nie ogarnął. Stropy wyrastały przed nami w dal i otwierały się nowe, w skorupie ziemskiej zaistniałe dziury. Pusta przestrzeń zdawała się biec w nieskończoność, przesywając ziemski glob być może na wskroś. Sam w to nie wierzyłem, bo gdzieś przecież musiały mieścić się owe jądrowe piece pełne gorącej lawy i gazu, te wentylacyjne kanały, poprzez które nasza staruszka planeta oddychała na trudnej orbitalnej drodze.*

*Wkrótce pobiliśmy wszelkie rekordy głębokości. Zeszliśmy poniżej trzydziestu pięciu tysięcy dwustu metrów i naszym zegarom maszynowym skończyły się skale. Gdzie nam tam było do spodziewanych sześćdziesięciu kilometrów? – myślałem. Niemożliwym wydawał się taki dystans, ale dane przez lorda słowo honoru potrafiło przekonać najgorszego uparciucha. Trzeba było ciągle przystawać i regulować psujące się tarcze. Wygrzebanie z plecaka nowych, wcześniej już przez zegarmistrzów przysposobionych, wkrótce stało się niemożliwym. Ich też zabrakło. Zalały mnie wszystkie możliwe poty i obleciał po jakimś czasie prosty, żołnierski strach. Zatrzymaliśmy się na krótki biwak, rozstawiając na trójnogach światło, więc skorzystałem z okazji, by rozwiać wątpliwości:*

*– Lordzie Duncanie, niemożliwym są wskazania pana Moliera – jęknąłem do prowadzącego ekspedycję. – Nie ma w skorupie ziemskiej takich dotów.*

*– Czegóż się pan obawia, do diaska? – warknął, przewijając na nowo liny i spoglądając niespokojne w niezakłóconą żadnym światłem głębię. Wielka elektryczna lampa na jego hełmie zaledwie się już żarzyła, wypuszczając krótkie, niewyraźne błyski.*

*– Najpewniej erupcji wulkanicznej – zakpił ktoś z boku, widząc moją kwaśną minę. Ta sama para przyjaciół parsknęła zdrowym śmiechem. Dodawali mi otuchy tym ciągle kipiącym, ożywczym poczuciem humoru.*

*– Lawa pana w nagłej erupcji przesmaży – ryknęli nowym rechotem inni.*



- Doprawdy, tego się pan takich ewentualności boi? – upewnił się łowca, patrząc na mnie badawczo. – Taki z pana kadet? – wszedł mi na ambicję.
- Widzi pan, sporo na temat geologii i szybów powietrznych czytałem i wiem. Kawitologiczne triki potrafią przerazić – wyjaśniłem, siląc się na spokój. – Ta biegnąca w nieskończony dół szczelina wygląda mi na jaskinię, powstałą w wyniku gwałtownego wydalania lawy. Komory wyglądają jak próżnie po dużych pęcherzach gazów wulkanicznych. Niewątpliwie były nieczynne przez setki milionów lat, ale obraz ten może ulec zmianie w ciągu najbliższej sekundy. Przekłęcie gorąco się robi.
- Może i tak wyglądają, ale zapewniam pana, iż jest to typowa szczelina grawitacyjna, powstała w rezultacie ruchów masowych: spęływania, długoletniego osuwania i nagłych obrywów. Jeśli jaskinie wytrzymały w tym stanie setki milionów lat, a wiek ich zapewne może pan potwierdzić, to wytrzymają jeszcze ten rok i następny – zaśmiał się. – Temperatura wkrótce spadnie, a powietrze znacznie się polepszy. Byłem tu. Zaszedłem tak daleko. O, tam leży ogryzek mojego wyrzuconego cygara. Tam stałem, mierząc się z ciemnością i też myśląc o rezygnacji.
- W końcu pan zawrócił?
- I żałuję – odrzekł, patrząc na mnie z niechęcią.
- Ależ wskaźniki zegarów dawno już przekroczyły głębokość limitu zejścia – zripostowałem usprawiedliwiającym tonem. – Zmieniamy tarcze po raz dwunasty. Poza tym kończy nam się jedzenie i pozostaje pytanie, kto nas zaprowadzi z powrotem, gdy zabraknie nam baterii i paliwa w maszynierii drabiniastej lub choćby oleju do pochodni reflektorowej?
- Niech pan nie panikuje. Wiem, co robię – odparł lord Duncan, wężąc nieustannie, jakby ciemność w dole skrywała znane mu, a piekielnie niebezpieczne tajemnice. – A pan, jak widzę, znakomitym jesteś urządzeń drabiniastych operatorem. Nigdy nie widziałem lepszego. Chodzą pod pana komendą i ludzie, i zawory, jak się patrzy! Organizacja działa pod okiem mistrza – ocenił dziarsko. Hm, podnosił nam morale. – Maszyna to się składa, to wydłuża, to sapie, ale odnajduje się w ciasnych wnękach i trzyma najmniejszej skalnej półki. Powtarzam panu nie po raz pierwszy, że już tu z profesorem Molierem bywaliśmy. A co do jedzenia, to wkrótce coś upoluję. Pojawią się rośliny i bardzo pożywne grzyby. Ugotujemy tam na dole zupę, wykorzystując gorące źródła. Cierpliwości trochę.
- Ależ to nie może być. Armia ten teren zaliczyła do sekretów wojskowych. Wszystko tu spisano i zewidencjonowano. Nie ma żadnych źródeł – udowadniałem.
- Odkryliśmy z Ocearusem przejścia zupełnie niezależne. Nikogo tam przed nami nie było. Oczywiście jest, że wojskowi nie wyściubili dalej nosa.
- Gdzieżby miały być wydrążone naturalne studnie, pełne wody i życia?
- Niech pan nie myśli, że mu tak od razu odpowiem. Jeszcze kilkanaście kilometrów i dojdziemy do tego miejsca.

– *Kilkanaście?*

*Machnął niecierpliwie ręką, zbywając moje uwagi.*

– *Gdzieś tam czeka pan hrabia Molier ze swą hinduską ekipą nurków i braminów. Co mówię? Wspina się w naszą stronę, czym prędzej wbijając w opokę haki i przewijając liny, i hardo sobie po indyjsku przyśpiewując. Bo to lingwista jak się patrzy i człowiek doprawdy święty. To samo mówi o panu, bo szalenie go sobie ceni i za poglądy miłuje.*

– *Znowu mnie pan urabia.*

*Tymczasem lord Duncan nie przerywał:*

– *Posiada on wszelkie narzędzia, zapasy olejów i pożywienia, i minerałów dopingowych niezbędnych do życia w jaskiniach. Metamorfozy znane tylko braminom ma w jednym palcu. Co pan myśli? Toż to wybitny naukowiec i fachowiec w jednym. Gdy się w końcu spotkamy, jednym rzutem wyguzdamy się na powierzchnię. Zresztą, gdzie się panu tak śpieszy? Przecież trwają w Melbourne letnie czterdziestostopniowe upały.*

*Jakby po dobrej chwili dopiero do mnie dotarło, żem przysnął, bo już ramiona mi omdlewały, a mięśnie nóg przebiegały bolesne skurcze.*

– *To ile szczelina sobie liczy metrów według pana? – zapytał młodzieniec kształcący się na wspinacza. – Bo wiem od wuja o oficjalnie najgłębszej leżącej w Gruzji, a sięgającej zaledwie dwóch tysięcy metrów.*

– *Proszę pana, owa dziurka przez pana wspomniana jest dostępna dla turystów i pasjonatów – odezwał się pan Bizzard, dziwiąc się obecności smarkacza, którego bodaj nikt by nie zatrudnił. – Pchła przy słoniu, jeśli nazwać rzecz dosadnie i po imieniu. Też lubię pasażerów na gapę, ale skąd pan tu się wziął, u diaska? – strofował młodziana, patrząc od razu na mnie i poszukując wskazówki.*

– *A jaka jest oficjalna interpretacja? – drążył zainteresowany, zupełnie niespieszony potraktowaniem z góry.*

– *Hm. Jaskinia Krubera<sup>12</sup> nie jest obiektem ścisłego zaszeregowania militarne – skomentowałem.*

– *Dlaczego?*

– *Mówiąc szczerze, ze względu na ukształtowanie i niewystarczającą długość nie nadaje się do przeprowadzenia podziemnej inwazji na obce królestwo.*

– *A więc groty militarne są dłuższe i otoczone ścisłą tajemnicą? – spytał młodzian, bynajmniej nieobznajmiony z nomenklaturami.*

– *Oczywiście. Ich położenie i rozmiary są tajemnicą państwową. Służyć mogą do potencjalnego desantu podziemnego. A jaką zna pan oficjalnie najdłuższą?*

– *Mówi się o amerykańskiej, Mamuciej<sup>13</sup>...*

– *I ile ma kilometrów?*

– *Bodaj pięćset sześćdziesiąt.*

– Widzi pan więc – wtrącił szybko pan Bizzard – że co jest możliwe w poziomie, to powinno być i w pionie. I niech pan z łaski swojej zejdzie z linii mego wzroku, bo nie chcę dochodzić, skąd pana się tu wzięła obecność.

– Ależ sam panu powiem. Jestem reporterem prasowym.

– Ot i szmaciarz się prześliznął! – zareagował z humorem pan Bizzard. – Niech pan przynajmniej pisze prawdę. Niech nas czytają i podziwiają! – dorzucił, aż echo się po wnękach poniosło.

– Z pewnością, panie szanowny. Zrelacjonuję jak się patrzy.

Zapanowała chwilowa konsternacja, jakby wykryto w towarzystwie obecność tajnej policji. Wreszcie ja postanowiłem drażnić:

– Ale skąd dobrodziej pan Molier wziął się na takiej głębokości? – jeszcze raz się dopytałem, czując, że rośnie mi pod bokiem grono wątpiących w ideę dalszego zejścia.

– Dotarł tam od strony morskiej – odpowiedział dość niechętnie Bizzard.

Tutaj roześmiałem się w głos, aż kolejne echo się w groźnej ciemności poniosło, zamieniając w oddali w dziwne szczekanie. Przeszły mnie ciarki na myśl, co akustyka pomieszczenia potrafi zrobić z dźwiękiem.

– Przecież gdyby wszedł hrabia od strony wodnej, dawno by siebie i nas potopił, bo to by były naczynia połączone?

– Proszę trzeźwiej myśleć, panie De Waay. Mamy w ziemskiej skorupie do czynienia z wieloma milionami izolowanych próbek. Każda z nich wywiera wpływ na pozostałe. Balansy utrzymują się automatycznie. Wszelkie kapilary są tego najlepszym przykładem. Zresztą kogo mam uczyć? Geologa?

– Przyznam, że ostatnie wypadki wprowadzają dość poważny bałagan do mej dotychczasowej wiedzy.

Tu mnie kompletnie swoim pytaniem zaskoczył i zaniepokoił:

– Ale może on od innych poziomów morza przybywa?

„A niby skąd?” – pomyślałem. Dałem spokój tej inwestygacji, bo lord wyraźnie na nerwach się wznosił i gotowy był mnie zepchnąć w czeluści.

– Jeszcze niech pan zapamięta mą radę – dodał. Tu zbliżył się, patrząc na mnie spode łba.

– Środowisko przyrodnicze w najgłębszej pieczarze odznacza się dużą specyfiką własną. Mocno ją wspiera stały mikroklimat. Zwyczajny brak wahań temperatury i duża wilgotność sprzyja życiu swoistemu i zupełnie wyjątkowemu. Być może pochodzącemu z innych światów. Nie tylko w miejscach przy otworach, gdzie wy, uczeni uniwersyteccy, dajecie mu szansę na wodę i słoneczne światło.

Pokręciłem głowę z niedowierzaniem i ganiąc go za nietakt, odpowiedziałem równie przyciszonym głosem:

– Zwykła logika pozwala przypuszczać, że istotnie tak jest. Nauka boi się profanacji zasadnej tezy.

– Oj, panie, panie... Wiedza szkolna to za mało. Potrzebna jest wiedza dogłębna, intuicyjna, dopuszczająca istnienie zjawisk przyrodniczych w iście niezwykłych warunkach, wręcz bramińska – wyjaśnił. – Gdzieś od czterdziestego kilometra w dół zobaczy pan nagłą różnorodność organizmów podpowierzchniowych, takich jak kartupnie i chodaki, występujące wyłącznie w obszarach i wodach podziemnych. Owe troglobionty<sup>14</sup> czerpią widocznie energię z rosnących tam na gwałt w siłę ognisk mineralnych. Ujrzy pan mnogość gorących źródeł. Odnajdzie pan w głębi całe lasy zaginionych lub nigdy niewystępujących na powierzchni roślin, gigantycznych ziół i kwiatów, a w gąszczu przygruntowych chaszczki zaszytych tam mieszkańców, których istnienie na powierzchni nigdy nie byłoby możliwe.

– Ma pan na myśli praszczury?

– Mam raczej na myśli formy plioceniczne, nie tak bardzo odległe jak kredowe i jurajskie. Oraz byty obce, pochodzące z sekretnych bram.

– Matpoludy? – Powiem, że na nowo przeszły mnie ciarki jeszcze głębsze i o dłuższej konsekwencji bolesnej. Dopiero teraz naprawdę zrozumiałem, dlaczego nas prowadzi w dół myśliwy, a nie jakiś powszechnie dostępny górnik z licencją strzałowego i wspinacza.

– Raczej podejrzewam potomków plemion dzikich, którzy w odległej historii tu zeszli i się zadomowili.

– Musieliby oslepnąć od mroków.

– Ależ dlaczego? W dole ściany wydzielają własne fosforowe luminescencje, a z powodu bliskości ciekłego jądra pojawiają się gdzieś podskalne żyły biegnącej lawy. Gwarantuję, że kiedy dotrzemy do celu, zdziwi się pan niepomierne. – Tyle mi powiedział...

Zakończyłem czytanie. Tymczasem Abelia już nie słuchała. Usnęła biedaczka, oparta głową na mym prostym, oficerskim ramieniu.

---

<sup>12</sup> Jaskinia Krubera – obecnie najgłębsza znana jaskinia na świecie, będąca zarazem jedyłą, która przekracza głębokość 2000 metrów.

<sup>13</sup> Jaskinia Mamucia, zlokalizowana w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kentucky, należy do najdłuższych na świecie. Łączna długość jej korytarzy wynosi 651km.

<sup>14</sup> Tryglobiont – termin posiadający korzenie greckie, pochodzący od słów *trogles* – jaskinia i *bios* – życie. Określa organizm przystosowany do życia wyłącznie w środowisku jaskiniowym, w jamach i łączących się w podziemiach ciekach wodnych. Wodne tryglobionty określane są terminem stygobiont. Ponownie jest to wyraz pochodzenia greckiego, a pochodzi od: *Styks* – podziemna rzeka i *bios* – życie. Ze względu na specyfikę życia w środowisku zwykle pozbawionym światła u organizmów tego typu obserwuje się zanik wzroku i pigmentu skórniego. U zwierząt tych dodatkowo występuje fotofobizm, to jest instynktowne unikanie światła, zanik periodyczności sezonowej oraz spowolnienie procesów metabolicznych. Jednocześnie

można zaobserwować gwałtowny rozwój narządów dotyku oraz narządów typu linia boczna, ułatwiających orientację w ciemności. Oczywiście najbardziej interesującymi dla autora są tak zwane paleostygobionty, których rodowód sięga form występujących miliony lat temu i które przeniknęły do zamkniętych i odizolowanych mikrośrodków w wyniku bliżej nieznanymi kataklizmów. Zachowanie formy biologicznej oraz instynktu wydaje się dla tych organizmów absolutnym priorytetem, jakby tego typu zachowanie gwarantowało im w przyszłości powrót do określonej niszy ewolucyjnej, co w tym przypadku nie jest zagwarantowane.

Tyle tych wspomnień...

Tymczasem dużo bliżej, bo na Collins Street, najpiękniejszej na kontynencie ulicy, toczył się ospale kablowy tramwaj piętrowy, ciągnący dwa odkryte wagony pełne roześmianych i rozśpiewanych dam z koronkowymi, przeciwśłonecznymi parasolkami. Budziły respekt i wywoływały uśmiechy śpieszących gdzieś dżentelmenów. Niektórzy, odnajdując znajomą twarz, uchylali rąbka lśniącego cylindra i spontanicznie, jak to bywało na antypodach – pozdrawiali; inni, będący zapewne taktowniej nastawieni lub powodowani względami szacunku najwyższego sortymentu, zdejmowali kapelusze lub meloniki. Byli też tacy, co stając z boku, kornie spuszczały oczy. Podejrzywałem w nich służących lub kamerdynerów. Trębacz na przedzie tramwaju zagrał kolejną melodię, a pastor z ospowatą twarzą, stojący przy ławce, zachęcał do podejmowania pieśni.

Parsknąłem krótkim śmiechem. Collins Street, będąca symbolem dynamicznie rozwijającego się Melbourne, posiadała swój nieprzeciętny walor i szyk, i bulwarową ekstrawagancję. Tutaj palił się znicz dynamicznie rosnącej ludzkiej cywilizacji. Tutaj rwała rzeka inwencji i lokowały swe przedstawicielstwa przedsiębiorstwa będące owocem najbardziej ryzykownych inwestycji. Otwierały się biura i zakłady z całego modnego świata. Mijałem niebywale stłoczone tu dorożki, jakieś najnowsze automobile i jednoślady parowe lśniące od blach i roznoszące pachnidło nie tylko niedopalonych oktanów, ale i najnowszej, zastosowanej w oponach gumy. Spotykało się też wolnych jeźdźców lub też łowców zdziczałego bydła ciągnących spokojnym stępem ku granicom miasta z wielkimi, parowymi strzelbami w olstrach.

Roześmiane twarze mieszały się z krzykliwymi grymasami sprzedawców gazet. Na smutek brakowało tu miejsca.

Tumult głosów i obrzydliwy zapach prostego robotniczego potu mieszał się na chodnikach z wykwintnymi perfumami starych panien plotkujących w ogrodach. Ostre wonie wód kolońskich nadbiegały od gładko ogolonych, pryszczatych pysków młodzieży szkolnej. W bramach i przejściach należało się zmierzyć z fajkowym odorem stojących przy rozwartych kramach wytrawnych sklepikarzy i jarmarcznych krzykaczy.

Obojętnie minąłem siedzących na krawężniku żebraków i samotną kobietę z uwijającym się przy drobnych kradzieżach stadkiem dzieci. Naprawiający trotuar robotnicy głośno i sprośnie śpiewali. A ja, już ostatecznie znudzony i powodowany pragnieniem spokoju i chłodu, skręciłem w poprzeczny zaułek.

Wkrótce dotarłem do mojej prywatnej kamienicy na Elizabeth Street. Nic dziwnego, że wzbudziłem zdziwienie stojącego przy bramie dozorca. Ani on, ani pozostali

domownicy nie spodziewali się mnie o tak wczesnej porze.

Dlaczego?

Muszę powrócić pamięcią do poranka dnia poprzedniego.

Wszystko zaczęło się w deszczu. W nagłej iluminacji i przyptywie szalonej refleksji postanowiłem poważnie się na krok ostateczny. Zapraǳniałem spalić za sobą wszystkie mosty, a osoby drogie uwolnić od swego ciężaru.

Po mych policzkach spływały zimne krople padającego deszczu. Nos pozwalał sobie być mokry, a zwisająca z niego kropla wydawała się wprost ordynarna i obrzydliwa.

Jakże robiłem sobie na złość...

Załomotałem do drogich mi drzwi. Skrzydła rozwarły się nagle i na progu nie ujrzałem czarnej służącej, jak to zazwyczaj bywało, ale kwiat ów precudny, którym w doczesności życia można tylko wymarzyć niespełnione sny.

Uniosłem roztrzęsioną rękę. Gdzieś tam wymierzyłem. I wstrzeliłem, przesywając kulą wielkie serce w pięknej piersi. Abelia z głuchym łomotem runęła na pieczołowicie wypastowane deski podłogi. Nie wydała przy tym z siebie ani jęku, ani westchnienia. Odeszła tak niespodziewanie, jak ja pomknąłem w dół ulicy, wpadając na dorożki i potracając dżentelmenów na bacyklach. Płacząc i złorzeczając na siebie za mord, wyżalałem się do obcych, powodowany nerwowością i goryczą. Wszystkie te konie i chmary latających pocztylionów zewsząd mnie osaczały i ogłuszały pustym oskarżeniem – morderca!

Nie, nie wystrzeliłem żadnej kuli.

Broń ty Boże...

Sam sobie wpierw winienem był rozchlapać mózg!

Spoglądałem w roztargnieniu, boleśnie roześmiany, i z na poły zaciśniętym gardłem, rozżalonym tonem zacząłem:

– Jestem, o pani, bydlakiem najgorszej maści, gatunku podłego przedstawieniem, niewartym oglądania ułamkiem, a nie wielkością człowieka. Pragnę najmocniej prosić o wybaczenie!

Bredziłem, ciągnąc jej dłoń, a z palca pierścioneł zaręczynowy o sporej wartości zdzierałem. Zakupiłem już bowiem na jego poczet gumę, miedź i szkło. Niezbędne składniki jedynych w swoim rodzaju podręcznych batyskafów.

– Jack? To ty? Chcesz się z małżeństwa wycofać, ot tak, zaraz? Mam rozumieć twe słowa jako pogardliwe, a podniecenie wziąć za radosny pęd do ucieczki, a nie do kochania? – Rwało się jej serce z ust. A z rosnącym bólem, zadyszana i spocona, ciągle wątpiła. Bo widząc mnie nonszalancko nadchodzącego ulicą, z pokoju na piętrze puściła się pędem, by jeszcze przed służącym ująć srebrną kłamkę i rozewrzeć podwoje przed ukochanym.

– Mam już czterdzieści sześć lat – tłumaczyłem się i jąkałem. – Muszę coś wreszcie osiągnąć. A kocham panią ponad wszystko, i zawsze będę. Me uczucie nigdy nie wygaśnie, a serce, dla pani rosnąc, nie zwiędnie. To nie żar zwykły, to prawdziwa huta gotowa roztopić wszystkie ziemskie kawałki stali.

– Cenię w mężczyźnie nie tylko szlachetność, ale i dojrzałość. Pragniesz mi udowodnić, że w tym drugim się pomyliłam?

Spróbowałem więc z innej beczki. Klęknąłem na schodku. Ucałowałem chłodną dłoń.

– Tak się składa, że postanowiłem porzucić pracę, dom i karierę, zamknąć marne bankowe konta i wrzucić wszystko w jeden portfel.

– I moje pieniądze też utopiłeś?

– Też. – Tu ona, już nie wątpiąc, sama z siebie ściągnęła pierścioneł i rzuciła mi w twarz. Upadł był i brzęknął o stopnie. A ja toczący się po schodach klejnot zręcznie pochwyliłem w samą porę i dalej mówiłem jak w malignie:

– Udać się pragnę na niebezpieczną, jedyną w swoim rodzaju wyprawę na Ocean Południowy. Tam zasłynę i dorobię się fortuny!

– Do krainy fok, pingwinów i wielorybów? Kompletnie zdurniałeś?

– Abelio... zrozum.

– Niech zgadnę... Z tym fałszywym wielorybnikiem, szaleńcem, rozwodnikiem i oszustem w jednej osobie? – Targała jej słowami złość. Rozświetlał wymowę złowrogi blask cudownych oczu. I wciąż leciały epitety. – Z bezecnym naukowcem, podupadłym profesorem? Badaczem wszelakich bzdurnych praindyjskich tajemnic? Tym samym, który ponoć wyniki czyjejs pracy naukowej zrabował i pomysły sobie bezczelnie przywłaszczył?

– Pan profesor Molier nie jest wielorybnikiem, nie jest oszustem, a co więcej – nigdy nie był niemoralnym łotrem! Jest człowiekiem prawym, uczonym w każdym calu i ze wszech miar rozgarniętym, którego podła żona puściła z torbami, a córki w starości zapomniały.

– Sam widzisz.

– Co widzę? Darzę go szacunkiem i wprost uwielbiam.

– Zniszczysz naszą miłość dla łachudry?

– Nic to nie ma do rzeczy. Niczego nie zniszczę. Tylko bardziej cię ukocham i żarliwiej będę o tobie myślał.

Puściła me słowa mimo uszu, ale widziałem, że robią na niej wrażenie. Drżała na chłodzie poranka.

– To cóż takiego wyjątkowego odnalazłeś w człeku, który nie tylko może ogołocić cię z majątku, ale i z życia?

– Dżentelmen ten posiada rozległe zainteresowania i sięga w badaniach do samej głębi rzeczy niezrozumiałych, tajemnych i normalnym zjadaczom chleba



niedostępnych, a broń, którą zabiera w podróż, nie jest przeznaczona bynajmniej do zabijania wielorybów. Sieci nie służą do łapania ryb, wprost przeciwnie – do ich odstraszania. Wielkie pływające magnesy wypuszczają z siebie lepkie liny przydatne nie tylko do ogłuszania, ale i krępowania zdobyczy tak wielkiej, że porównywalnej z masą całego statku. Pojmujesz teraz? – Spojrzawszy na jej rozczarowane oblicze, dodałem: – Ale gdzież zwykła dama byłaby w stanie te wielkości zrozumieć i podziwiać?

– I ja niby jestem ta zwykła? – Z miny wywnioskowałem, że trzaśnięciem drzwi gotowa mi była uciąć łeb.

– Tak się akurat składa, że wielowarstwowe siatki, zdalnie kierowane harpuny i karabiny maszynowe szykowane są na wypadek spotkania z gromadą masywnych stworzeń, pochodzących z wymiarów nieprzynależnych tym światom.

– Spirytualistyczne brednie! – zakrzyknęła, aż porwały się w powietrze wystraszone gołębie.

– Nigdy ci nie przyszło do głowy, że duchy i straszdyła mogą nie pochodzić ze świata zmarłych? Może są to byty niepokorne, które żadnym sposobem nie potrafią się zmieścić w ciele człowieka czy zwierzęcia? Być może pochodzą z dalekich światów albo, co gorsza, z tych równoległych?

– Czegóż więc on szuka?

A ja, zamiast zrazu wyjaśnić, przekonywałem:

– Nikt dotąd nie przygotował się tak skrupulatnie! Przynajmniej nieznany mi jest podobny męczennik nauki.

– Doprawdy? – ironizowała.

– Zgromadził mnóstwo rzetelnych informacji, a fotografiami wyspy fantomowej na południe od Macca wprost mnie zachwyił. Podarował mi owe dane wydane w formie katalogu oprawionego w wojskowe skórzane portfele i tak zakodowane, by możliwość odczytania ograniczyć tylko do wtajemniczonych.

– A ten fałszywy lord, którego sam nazwałeś upartym, aczkolwiek honorowym draniem?

– Ależ to postać nienaganna. Twardy, zdecydowany mężczyzna. Charakter o wojskowym wychowaniu i najwyższym oficerskim morale.

– I niby to wszystko, tak mało znaczące szczegóły, odwiódły cię od małżeństwa ze mną? – spytała z bólem. – A miłość, Jack? Czy kiedykolwiek czułeś coś do mnie? – wzywała me serce.

– Oczywiście, że jesteś mi bezcenna. A zaraz po powrocie ożenię się z tobą i już na zawsze pozostanę u boku twego pantoflarzem.

– Dlaczego więc uciekasz się do ostateczności? Przecież nawet będąc mym mężem mógłbyś kontynuować swe pasje.

Zadrżały mi wargi, lecz opanowanym tonem jej słowom się oparłem:

– Pragnę sięgnąć po szlachetną rękę pani, będąc już finansowo uposażony, z bogatym szlacheckim dorobkiem, być może z medalem zasługi i rentą roczną Kolonialnej Akademii Nauk. Interesują mnie kwoty miesięczne opiewające na co najmniej czterysta funtów w złocie. Marzy mi się dom na przedmieściach z balkonami na wszystkie pory roku, rozległym parkiem i niańkami dla dzieci. Nie chcę stać się ciężarem dla pani i ciężko pracującego w interesach teścia ani strupem bolesnym i nędznym dla teściowej, lady Miriam, która już nieraz patrzyła na me wyczyny krzywym okiem.

– Ale przecież nikt tego od ciebie nie wymaga, Jack. – W jej głosie zawibrowała nie tylko rozpacz, ale i nadzieja. Stała się niesłychanie ciepła i łagodna. Pięknym oczom pozwoliła błysnąć, a ustom rozchylić się delikatnie. – Ojciec mój dawno już pana zaakceptował! Postawił nawet czynszową kamienicę w mieście, która w przypadku gdybyśmy w niej nie mieszkali, przyniesie roczny dochód wysokości czterech tysięcy funtów w złocie. Słowem: zabezpieczył mnie przy panu na całe życie.

– Nie chcę jałmużny. Przyrzekam do pani po mej wyprawie dalekomorskiej powrócić i spełnić jej wszelkie roszczenia. Stąd proszę o rok, dwa zwłoki i uruchomienie zasobów jeszcze większej cierpliwości.

– Raz zamknięte drzwi mogą się już nie otworzyć – ostrzegła.

– Pragnę najbardziej pani serca i tylko na nie stawiam – powściągliwie odpowiedziałem na jej wątpliwość, bo mnie ciut tym ostrzeżeniem uraziła. – Na nikim więcej mi nie zależy – dodałem sucho.

Odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

Zaskrzypiała zamykana żeliwna furtka?

Nie...

Jakiż pisk ohydny wydała! Ileż w nim było żalości! Nie muszę mówić, jak zawtórował on bólowi, który cierpiałem. Krok wykonałem, a już cierpienie sprawiła mi ta rozłąka. Krążyłem po ulicach jak pijany. Bóg mi tylko świadkiem, ile razy wracałem pod jej dom, stawałem na krawężniku, wzdychałem, gdy poruszyła się dyskretnie zasłonka w oknie, i zawracałem, by pogrążyć własną osobę w mrokach oficyn. Godzinami krążyłem po okolicy, bijąc się z myślami.

Nie było wątpliwości, że na polu miłości polegnę. Przecież tutaj ryzykowałem najbardziej. Nikt nie miałby wątpliwości, że odrzucenie uczucia tak gwałtownego i jednocześnie niestałego, jakim jest kochanie, wiązać się może tylko z nieszczęściem. Dlaczego, na Boga, szczęście osobiste stawiałem na ostrzu noża? Czemuż zawsze narażałem fortunę, stawiając wszystko na jedną kartę? Skąd brała się u mnie ta lekkomyślność, nikczemność i samozniszczenie? Praca i kariera były niczym w porównaniu z utratą bliskości najszlachetniejszej duszy.

Wreszcie po tygodniu nie wytrzymałem, zrezygnowałem z fochów i pobiegłem do dzielnicy arystokratów. I znów stanąłem, mierząc się z zamkniętą na cztery spusty furtką do rezydencji.

Stukałem, pukałem i nic.

Pobiegłem wzdłuż płotu.

Wreszcie po drugiej stronie ujrzałem lady Miriam, matkę mej ulubienicy, jak pielęgnuje róże. Dyskretnie zawołana, podeszła i przeszła mnie najgorszym z możliwych spojrzeń:

– Stary kawaler Jack De Waay? Niech mnie pan obecnością swej osoby w nerwach nie roznosi! – zagrzmiała. – Naszej Abelii nie ma. I długo nie będzie. Wyjechała z Melbourne do majątków mineralnych Daylesford<sup>15</sup> i nie wiem, kiedy wróci. I proszę tu już nie przychodzić i nie dreptać po okolicy, bo się bogaci sąsiedzi niepokoją. Nie wypada też po tym, co pan zrobił, zebrać o widzenie po przyjaciółach hrabianki – zwróciła się do mnie tonem najwyższej pogardy. – Natomiast tu, przy rezydencji, obiecuję poszczuć pana hartami i obrzucić aborygeńskim urokiem. Jeśli to pierwsze nie pomoże, to drugie przyprawi pana o śmierć.

Odsunąłem się na dystans, nie wiedząc, co robić. Odszedłem w stronę miasta. Tymczasem zamykana na klucz furtka szczęknęła, gdy ją mijalem, a spoza niej wychyliła się ponownie ciekawska głowa niedoszłej mej teściowej.

– I z kim pan się zadaje? – odezwała się jeszcze raz z pretensją. – Z tym szaleńcem i pomylnym naukowcem, Ocearusem Molierem? Z lordowskim bandytą Duncanem Bizzardem? Wszyscy oni nie są warci złamanego szeląga!

Tu odwróciłem się na pięcie i z oburzeniem skonstatowałem:

– Szlachetna pani, wspólnie planujemy wyprawę badawczą, która przyniesie krocie w sztabach metali szlachetnych.

– Głupcem pan jesteś. Czytam gazety. Wielu się tam gorączkuje fotografiami z japońskiej fregaty. Wciągnięto na pokład poczwarę wielkości wieloryba. Też mi coś! Pełno w oceanie niewyjaśnionych tajemnic, zagadek i sekretów zatopionych przez starożytną potęgę. A pański profesor już na samym początku się zrujnował. Wydał sześćset tysięcy funtów na jakąś podwodną baryłę i ekwipunek do niej. Nie wiem, co za idiota mógł mu pozwolić załadować owe ciężary na ten nędzny bryg! Pańskie sztaby? Pomogą tylko panu się utopić.

– Widzę, że posiada pani wielką wiedzę szemraną. Nic, tylko plotki i pomówienia.

– Bez przesady, Jack, nie tylko famy ludzie roznoszą. Niestety, bardzo mało posiada pan Molier życzliwych wokół siebie osób. Zwykle otaczają go sami prześmiewcy. Wiem już tyle, by skutecznie odradzić córce zamążpójście. Tylko by pan młode życie zniweczył. A taka wyprawa się panu przyda. Może zdrowie pan utraci albo i życie? – zażyczyła sobie stara jędzka.

- Widziałem próbki wodne pełne złotych drobin.
  - Toż to bluźnierstwo dla rozsądnej myśli. Napoili pana herbatą ze zwidami?
  - Sir Ocearus miał brata...
  - Który zaginął w tej samej mętnej i bezdennej głupiej wodzie? – spytała dama. – Tamten przynajmniej konstruktorem był, bogaczem ponad miarę. Roztrwonił majątek, ale stał się dla nauki i techniki zasłużonym. Sam potrafiłby skonstruować pocisk marsjański, wsiąść weń i odważnie odlecieć. A ten pana Ocearus? Maniak i nieudacznik.
  - A wie kto, czy gdzieś skrycie w swej prywatności tejsze sztuki nie dokonał?
  - Zbudowałby w tajemnicy bazę na Księżycu? Bardzo wątpię. Proszę mi wierzyć, to fajtłapa i nadgorliwiec. Do widzenia panu. – Machnęła na pożegnanie ręką. W półmroku ogrodu jej wielki kwiatowy kapelusz zaledwie majaczył, gdy tak odchodziła i stawała się coraz bardziej zamazana we wzbierającej przedwieczornej mgle. Wspinając się po stopniach schodów, wołała:
    - I proszę już tu nie przychodzić. Niech czas pozwoli córce mojej pana zapomnieć.
- 

15 Daylesford – znana miejscowość uzdrowiskowa w pobliżu Melbourne. W okolicy znajdują się liczne źródła mineralne, powiązane z występowaniem tu przed milionoleciami dość dynamicznej aktywności wulkanicznej.

I tak więcej się przyjść nie ośmieliłem.

Dwa dni później nadeszły listy od siostry lady Hurstbridge kierowane do ojca mojej młodej narzeczonej, a zaręczające, że nikt powozem do majątku nie przybył i że wujostwo niepokoją się o dalsze losy panny Abigail nazywanej przeze mnie rozkosznym zdrobnieniem: Abelia. Czyżby została porwana po drodze przez czarnych dzikusów lub rozszarpana przez wściekłe o tej porze roku kangury?

Zaraz rozesłano policyjne patrole i wojskowe automobile stanęły przy najważniejszych rogatkach, bo rodzina Hurstbridge była przez ogół mieszkańców bardzo szanowana.

Udręczona matka presji nie wytrzymała. Sama przyszła pod moje drzwi, zebrząc o widzenie. Dowiedziała się od służących, że już odjechał i od paru godzin najprawdopodobniej śpię ukołysany krótką falą zatoki Port Philip Bay<sup>16</sup>. Zresztą niejednen statek widziano o tej porze z podniesionymi żaglami odpływający w kierunku potężnych fortów żelaznych Queensclif i Barwon Heads.

W istocie tak było. Szliśmy halsem po nawietrznej australijskiej wielkiej floty wojennej. Kursem naszym kierował niewielki balon stalowy umocowany plecionymi z nici żeliwnej linami do dziobu jednostki, a wystawiany przez porty do obowiązku holowniczego. Dawał on czas wszystkim kotłom parowym na wyszykowanie śruby do mocnego uderzenia w samym oceanie. Zwykle był odbierany u wejścia na szerokie wody, ale w przypadku „Minerwy” należał do jej stałego wyposażenia pokładowego. Holowacz<sup>17</sup> posiadał spore śmigło własne i balon kierunkowy blaszany, nadmuchiwany wodorem w zależności od pożądanej szybkości wyprowadzenia z redy na pełne morze.

W sumie manewr był dość nudny, zachęcający raczej do pracy w zaciszu własnej kajuty, czego podjąłem się z najwyższą starannością. Otworzyłem otrzymane materiały. Przejrzałem papiery. Przeczytałem na wrywki artykuły, by wreszcie pochylić się ze szczególnym zainteresowaniem nad detaliczną mapą ponoć nigdy nie kartografowanej wyspy Emerald<sup>18</sup> położonej na 57 stopniu szerokości południowej i 162 długości wschodniej.

Cóż było w niej niezwykłego?

Otóż nie znano człowieka, który choćby tknął stopą jej powierzchni.

Muszę dodać: suchą stopą. Mógłby to zrobić co najwyżej spod wody, obserwując zarys lądów wokół, mierząc i kopiającym ołówkiem rysując.

Dlaczego? Otóż, jak zaręczały źródła amerykańskie, w 1909 roku nie odnaleziono tam nawet ziarenka suchego piasku. W danym obszarze statek poszukiwawczo-badawczy „Nimrod”, eksplorując dno, nie natrafił na ślad jakiegokolwiek splotenia czy mielizny, a nawigatorów posiadał tęgich i bystrych opłacanych z kasy narodowej. A

jeszcze w grudniu 1821 roku kapitan William Elliot się zarzekał, iż żeglując na południe od wielkiej wyspy Macquarie odnalazł pośród mgieł ową wysepkę Emerald nęcącą rykiem nieprzeliczonych stad fok, lwów morskich i czegoś jeszcze – podobnie okropnego – dającego o sobie znać przeraźliwym trąbieniem porównywalnym do ryku uwięzionego w lodach parostatku, co przerażeni marynarze brali za grzmot rozszerzonego oceanu. Sam kapitan, ze względu na majaczący w polu lunety zarys stworów, z trudem potrafił nad własną trwogą zapanować. Trudno było bowiem straszdyło zaliczyć do przewidywalnych stworzeń ziemskich, czujących obawę przed białym człowiekiem.

Morze wkoło aż kipiło od igraszek wielotonowych degeneratów, tyle że mniejszych od pierwszego widzianego w polu lunety i nie tak zaciekłych. Z koloru białe, z natury obślizgłe i grzybiaste, w pływaniu pomagały sobie podobnymi do ludzkich ramionami. Posiadały dłonie zakończone długimi paluchami, którymi całkiem sprawnie manipulowały, obierając nieszczęsne foki ze skóry i flaków. Całkiem zdolnie współpracowały, zapędzając setki bezbronnych ryb w kierunku rozwartej, wielkiej paszczy kamrata. Na ogół osiągały wielkość dwudziestu do trzydziestu metrów długości i pięciu na szerokość, ale były i większe.

Japończycy, którzy często i bezprawnie kręcili się po brytyjskich wodach, nazywali stwory ningenami<sup>19</sup>. Opowiadali na ich temat wiele historii mających swe źródła w ludowych podaniach i starych legendach. Czasem niestworzone brednie pletli, zaręczając o międzygwiezdnych pochodzeniu tych mitycznych zwierząt. Lecz nikt nigdy z Japońców nie wpadł na doskonały pomysł inżyniera Ocearusa Moliera, który postanowił za pomocą fal radiowych i przylepionego do skóry zwierzęcia odbiornika myśli o wielkiej mocy pokierować istotami, zaprzęgając je do słusznej pracy dla człowieka.

– Proszę poznać kapitana Graysona. – Profesor pierwszego dnia przedstawił mnie ciekawie i szelmowsko zerkającemu na mnie oficerowi. – Ten już słusznego wieku młodzieniec jest naszym nie tylko znakomitym hydrologiem, ale i wybitnym kawitologiem. Pan Jack De Waay.

– Ile ma pan lat, przepraszam?

– Prawie czterdzieści siedem – przyznałem się z niechęcią.

– Rzeczywiście, słuszny z pana młodzieniec – zaszydził oficer i parsknął krótkim śmiechem. – Ale, ale, profesorze, już pan mi hydrologów przedstawiałeś.

Zmieszany na krótką chwilę Molier szybko się opanował:

– Tej klasy specjalistów nigdy nie za wiele. – Tu przerwał i skierował uwagę kapitana na stojącego nieopodal arystokratę. – Oto łowca w swej przesławnej osobie: lord Duncan Bizzard. Obaj wspomniani panowie zajmą zapasową kajutę przy prawej

burcie, w ostatniej bowiem chwili zdecydowali się nam towarzyszyć. Chwała im za to, bo wiązę z nimi szczególne plany.

– Trzeba było powiedzieć, wyszykowałbym kajutę przy mesie.

– Nie byłem pewny do ostatniej minuty, czy zgodzą się podjąć trudów tak niebezpiecznej ekspedycji.

– Aha. Miło mi, panie De Waay – mruknął stary wilk morski, potrząsając po krótkim zastanowieniu swoją dłonią. – Huśta dzisiaj trochę nieprzyjemnie. Będzie gorzej, gdy wyjdziemy z zatoki na szkwały – ostrzegł ze śmiechem. – Pan to chyba pierwszy raz na łajbie? Trudno złapać równowagę, he? Wygląda pan na kogoś, kto niespecjalnie jest przyczepny do podłoża.

– Nigdy tak na poważnie w oceany się nie zapuszczałem – przyznałem. – Chyba zjadłem dzisiaj rano nieopatrznie coś parszywie blokującego żołądek.

– Odczuwanie mdłości to dla niektórych przymus życiowy.

– Proszę mi wybaczyć – rzuciłem i w te pędy udałem się do toalety.

– To dlatego nasz miły profesor kazał mi panów trzymać pod kluczem? – zwrócił się kapitan do Moliera i lorda.

– Jak to? – Bizzard spojrzał niepewnie na profesorską błazeńską minę. Ten w odpowiedzi skinął głową z wyrozumiałym uśmiechem.

– Nie chcę panów zgubić – wygarnął, gdy już wróciłem. – Na pokładzie w żaden sposób się nikomu nie przydadacie, a lepiej wiedzieć, gdzie was szukać w razie katastrofy – żartował. Pan Duncan nic na to nie odrzekł. Udał, że się zastanawia. Potem zniknął gdzieś, pozostawiając mnie samego z uczniem.

Poczęły mi się kłębić w głowie niewesołe myśli. Czyżby Molier pragnął mnie użyć w charakterze przynęty dla ningena? Może miałem przywieszać owe plastry lepiące na ciałach w połowie uspiomych? Nie, nie może być, za inteligentny to człowiek i za honorowy, by w sposób obraźliwy poniżać kogokolwiek.

Zmyślnie zwodził oficera, by ten nie dowiedział się prawdy. Złękniiony bowiem zamieszanym, jakie planowaliśmy poczynić w morzu, z pewnością wypowiedziałby nam umowy na przewóz w okolice antarktyczne.

– Nie musi wszystkiego wiedzieć – rzucił do mnie, gdy już oficer odszedł do obowiązków i nie mógł nas usłyszeć. My tymczasem udaliśmy się na pokład mieszkalny.

Prawdziwy cel ekspedycji utrzymywany przed kapitanem w sekrecie? Hm... A cóż na to jego oficerowie? Naprawdę nikt z tej inteligentnej szlachty pospolitej nie potrafiłby wyniuchać intrygi wyczuwalnej na kilometr?

W innych okolicznościach bawiłaby mnie cała sytuacja, jednakże przybrany przez profesora ton i jego szczeniackie poczucie humoru budziło pewne obiekcje natury

moralnej. Tym bardziej że Moliere zupełnie nie przejmował się konsekwencjami swoich kłamstw.

– Jak dotąd nikt nigdy nie udomowił zwierzęcia morskiego – referował temat, spoglądając na mnie wesołym wzrokiem, jakbyśmy od dawna poruszali się po meandrach specjalizacji osławiania bestii. Właśnie zatrzymaliśmy się przy naszej – mojej i lordowskiej – kajucie i ręka moja zawisła nad klamką. Nic to, stanąłem rozluźniony i wsłuchałem się w profesorskie słowa, gdy mówił:

– Zawsze tylko mordujemy stworzenia podwodne, a to na skóry, a to z powodu zachłannego pragnienia wzbogacenia się na ich tłuszczu, a to dla mięsa smakowitego w każdym gatunku. Zaledwie gościmy na powierzchniowych wodach, a już rabujemy z czystości głębie, zsyłając tam najgorsze nasze wybroczyny i olejowe ścieki. Bo o ile zadbamy o grządkę na lądzie, o tyle w morzu jej nawet nie posprzątamy, a owoc nam się podoba i wybornie smakuje. – Poczęstował mnie cygarem z noszonego przy sobie blaszanego pudełka i pozwolił sobie odpalić z mojej trzymanej uprzejmie zapalniczki. Odchrząknąłem w odpowiedzi, udając uprzejmość, a wtedy on raczył kontynuować:

– Nie mamy wyżłów morskich, które wysłane w głębie przynosiłyby w pyskach rybę. Nie posiadamy krów podwodnych, które jak wieloryby dałyby nam bogate w nieznanne witaminy hektolitry morskiego mleka. Wyobraź pan sobie samonapędzające się stado – mówił z wyrazem rozmarzenia na starej twarzy. – Idzie takie w rykach od pełnego morza. Wpływa do dojnego doku i czeka na batyskafy automatycznie zaczepiające się do wymion. Z jednego dojenia można byłoby wyprodukować tony serów i zdrowego masła.

– Musiałby pan posiadać w wodnych obszarach jakichś pasterzy.

– I otóż to, mój panie. Ma pan oczywistą rację. Oni sami wybraliby znane sobie bydło hodowlane odpowiadające ludzkim potrzebom, a jeśli nie, to wytworzylibyśmy takowe z krzyżówek akwenowych.

– Człowiek z jego upodobaniem do hałasów i cuchnących olejem maszyn by temu zadaniu nie podołał.

– Tym bardziej więc byłby nam na rękę wytresowany radiową falą ningen, który odpowiednio przyuczony zapędziłby na początek stado wielorybów pod harpun parowego kutra. A później, gdyby stwór okazał się inteligentny, sam mógłby wytoczyć z onej ryby oleje, zapakować do beczek i sprzedawać w dowolnych punktach na wybrzeżach handlarzom i to po cenie hurtowej.

Zaciągnąłem się cygarem i spoglądając wokół, spytałem lekko zamieszany:

– Ale nie jest to główny cel naszej wyprawy, jak przypuszczam? Kryje się za tym tematem jeszcze inny, którym podzieli się pan niewątpliwie z nami w odpowiadającym panu czasie?



– Ależ oczywiście, że nie ostatni to temat, niech pan nawet nie wątpi. Wolę jednak pana usta zamknąć niewiedzą, by się pan przed wystraszoną załogą za wcześniej nie wygadał. Marynarze są jak dzieci. Tyle że reagują w sposób irracjonalny, niepotrzebnie szafując bronią palną.

– Nie śmiałybym prosić. Opowieści o duchach wodnych słuchałem tylko w dzieciństwie z ust mej babki, a przestach z nich płynący towarzyszył mi już potem przez resztę życia. Ponoć strachy białe, podobne do rozszalałych grzywaczy, wypełzają z żołądków krążących w podwodach rekinów, pełnych niestrawionych trupiszczy?

– Bujdy, proszę pana. Ludziom pod wpływem tych akwenowych nieskończoności się mieszają zmysły. Dlatego lepiej niech pan siedzi pod kluczem i nie myśli za wiele, bom nie pański porywacz, tylko dobrodziej. Pijany marynarz mógłby niechcący poderżnąć panu gardło podczas jakiejś libacji, byle tylko nie słuchać pańskich uczonych wywodów o magnetyzmie rozszalanej fali potrafiących z otchłani niebytu wywoływać dawno zapomniane spirytualizmy.

– Uzyskano niezaprzeczalne dowody – oponowałem.

– Proszę pana! Innym razem bym pana ofuknął. Kto niby uzyskał potwierdzenie eksperymentalne? Ten pomyleniec Sigmund Broyle<sup>20</sup> i jego dwaj asystenci – elektrycy z Bożej łaski: Archibald Gnomey i Charles Bido? Niby oni całemu zająsciui świadcowali? Ja po naszej wyprawie spodziewam się wyłącznie wielkiego sukcesu. Nie tylko rzekomego, jak w przypadku wspomnianych dżentelmenów, zamieszanych w cudaczne eksperymenty. Wszyscy na tej łajbie zdobędziemy przywileje w nowym świecie i najwyższe tytuły, co najmniej książęce, a nazwiska nasze odtąd będą znane w podręcznikach historii podmorskich.

– Oby miał pan rację, bo na szali postawiłem własne szczęście.

– Wiem – odparł, tajemniczo się uśmiechając.

---

16 Port Philip Bay – zatoka, nad którą położone jest Melbourne i Geelong, w kształcie przypominające potężną gruszkę, zamkniętą wąskim ujściem do Oceanu Południowego. W Queensclif, na krańcach przesmyku umieszczone zostały broniące do niej dostępu forty. Autor wzbogaca tę wizję, konstruując dodatkowe fikcyjne bazy militarne.

17 Fantastyczny element wyposażenia statku – metalowy sterowiec ulokowany na dziobie okrętu, służący do samodzielnego odholowania i wyjście z portu.

18 Wyspa Emerald – jedna z wielu wysp fantomowych, to jest takich, których faktyczne istnienie nie zostało potwierdzone. Mapy takich obiektów powstały w wyniku błędów kartografów lub na podstawie wymysłów żeglarzy. Co ciekawe, niejednokrotnie w historii tego typu lądy stanowiły „widmowy kapitał” i miały wpływ na kolonialne decyzje polityczne, które zmieniały bieg historii.

19 Ningen – człowiek-wieloryb, legendarny humanoidalny twór widywany przez japońskich rybaków na Pacyfiku, Atlantyku oraz Oceanie Arktycznym. Jest to jeden z ciekawszych przypadków kryptozoologii na świecie. Z opisów rybaków wynika, iż jest to ogromne stworzenie, z wyglądu przypominające człowieka. Jego wielkość jest szacowana na dwadzieścia do czterdziestu metrów. Przy okazji: kryptozoologia to kolejny termin pochodzenia greckiego: kryptos – *ukryty*, logos – *nauka*. Jest to dział pseudonauki zajmującej się zwierzętami, których istnienie oficjalna nauka neguje i z braku materialnych dowodów odrzuca.

20 Postacie fikcyjne.

Bazując na relacjach i księgach nawigacyjnych brata pana Moliera, podobno uzyskanych z rejestru nawigacyjnego butli morskiej, ustaliliśmy nowy kurs, i obowiązkowo podając podczas wychodzenia z portu jego koordynaty, wypłynęliśmy poza forty miasta Melbourne.

Stało się to pewnego ciepłego grudniowego poranka roku 1912. Widziałem przez iluminator, jak minęliśmy potężne parowe latarnie morskie w punkcie Lonsdale: czterysta ton stalowej podstawy, z której dodatkowo brały początek wzniesione ponad oceanicznym żywiołem mosty handlowe łączące miasta i forty po obu stronach półwyspu. U wejścia do zatoki Philipa czuwało jeszcze piętnaście militarnych sterowców obrony wybrzeża i jakieś patrolujące plaże oddziały kawalerii konnej. Stały też wielkie mobilne bunkry nic sobie nie robiące ani ze środowiska wodnego, ani błotnego. Ale z nich tylko obserwowano, a nie wysyłano członków załóg na przeszpiegi, jak się to działo w portowym Barwon Heads. Tam, w oddaleniu, dało się zauważyć prawdziwą armadę stalowych balonów chodzących góra – dół jak na ćwiczeniach. Uparciuch mógłby dosłyszeć grzmot dział i syreny strzelniczej celności. Ja jednak wolałem zacisze kajuty.

Wdarliśmy się na wzburzone oceaniczne wody. Ciągłe szliśmy na asekuracyjnym napędzie niewielkiego, wznoszącego się ponad pokład holowacza. Za parę godzin czekał nas rozruch właściwy. Trwały gorączkowe przygotowania. Zwinięto wszystkie żagle pomocnicze z wyjątkiem stałych blaszanych, rozpiętych na rufie, i wraz ruszyły zgodnym rytmem kotły. Na wysokości King Island<sup>21</sup> – pozostawionej po prawej burcie – z komina poszedł dym tak czarny, że się przeraziłem.

Spojrzałem po pokładzie.

Nikt się zakopceniem nie przejął.

Kilku majtków właśnie zajętych było pakowaniem zapasowych żagli i zabezpieczaniem lin. Niezbędne one by się okazały w przypadku niesprawności maszyn lub przypadłości pogodowej, kiedy to ożaglowanie i wyciągane motorowe maszty mogły się zdać pomocnymi. Marynarze otrzymali do pomocy nowego chłopca okrętowego. Ze zdumienia przecierałem oczy. Czyżby mnie zmysły myliły? Doprawdy, z anielskiej niemal i żeńskiej twarzy nie schodziły rysy zupełnie przypominające mi moją porzuconą na lądzie, najdroższą Abelię. Aż się zaczerwieniłem i zmieszałem, napotykając jego przenikliwy wzrok. Chodził tam i z powrotem, roznosząc majtkom narzędzia i zbierając te już użyte i w operacjach niepotrzebne.

Wszedł i do nas z jedzeniem około drugiej pięć po południu i gapił się w milczeniu na rozpakowane oprzyrządowanie kawitacyjne. Unikałem jego wzroku jak mogłem.

Ale w duszy mojej poruszył był ów chłopak cierń bolesny.

Oczywiście nic nie mówiłem, a obecność gagatka całkowicie zignorowałem.

On też zresztą postąpił podobnie, co w naszych relacjach wziąłem za dobrą monetę.

Skoncentrowałem się na sprzęcie, który w największej tajemnicy w kilku skrzyniach wniósł na pokład mój prywatny służący jeszcze przed rozpoczęciem podróży. Siedzący na koi pan Duncan Blizzard dotąd nie miał wiele prywatności. Jakże drażniłem go tym ciągłym grzebaniem i zwyczajowym pochrząkiwaniem! Nabił tytoniem fajkę i spokojnie zapalił, co wyraźnie go odprężyło. W zamyśleniu studiował moje ruchy i patrzył na wysiłki złożenia komponentów w zgrabną całość.

Widoczny spoza smugi dymiącej fajki, zdawał się być odległy i nieobecny.

Nie tak dawno on sam poddał inspekcji wszystkie swoje sztucery, jak również broń krótką i harpunniczą. I to ja musiałem znosić smród smarów i wód czyszczących. Na nudę w zamkniętym na klucz pomieszczeniu najlepszym lekarstwem zdawała się rozmowa, ale ta jak do tej pory nam nie wychodziła.

– Masz pan widzieć jakieś tajemnice? – zagadnął wreszcie, obserwując moje wysiłki zmierzające do ukrycia przed jego wzrokiem sposobów łączenia komponentów.

Zmilczałem. Zaczerwieniłem się i otworzyłem drugie pudło. Z niemałym trudem opróżniłem je całe, wyjmując elementy i układając je na podłodze.

– Mam podstawy twierdzić, iż moim oxygenatorem zainteresują się najważniejsze fabryki – stwierdziłem raczej pewny swego. – Stąd chronię patenty.

– Inżynierem raczej pan nie jesteś, więc wpierw zlekceważą – sprostował, uznając moją uwagę za mrzonki. – Nasz uczony raczej niespecjalnie doceni w panu konstruktora, ale kawitologa – owszem. Te pańskie uczelniane super ostre generatory topliwe wprowadzą go w entuzjazm, natomiast aparatus odłączający wodór od tlenu wyda mu się zbyt tradycyjnym rozwiązaniem.

– Zapewne po pewnym czasie doceni. To mądra głowa.

– Profesorem nadzwyczajnym, a nawet doktorem wszelkich nauk ścisłych był jego przesławny brat, Immanuel Hallowell Molier, który, jak wieść niesie, zabrał się za doświadczenia z wulkanizmem indonezyjskim.

Przerwałem pracę na moment i spojrzałem na lorda z zaciekawieniem.

– Oj, albo mówimy o kimś innym, albo pan grubo się mylisz – stwierdziłem oschle. – Przecież ów pan znakomity pracował na Cejlonie, w tamtejszych fabrykach żelaznych prowadząc wraz ze świetnymi fachowcami indyjskimi eksperymenty imputacji ziół lewitujących w stopy metali ciężkich.

Lord Duncan zaśmiał się z prawdziwym lekceważeniem.

– Nie wiem, gdzie Ocearus widzi w panu tyle potencjalnych talentów. Przecież nawet dla marnego dziennikarzyny z konserwatywnego „The Argus” są to wiadomości fundamentalne. Brat pana Moliera brał udział w niezwykłym eksperymencie

wykorzystania mocy wulkanicznej do wystrzelenia na kosmiczne odległości mocarnie ozebrowanych statków powietrznych. Mówiło się o Księżycu lub Marsie, jednakże albo uzyskały one tak potężną moc przelotową, że ich pęd w eterze przez obserwatoria został niezauważony, albo szanowny profesor wraz ze swą swiata swoich uczonych zginął jeszcze na samym starcie.

– O jakim wulkanie pan szanowny mówi?

– Jak to jakim? Tym, który w roku 1883 posiał największe zniszczenia na wodach oceanicznych wokół Australii. Krakatau!<sup>22</sup> Potworne tsunami zabiło trzydzieści sześć tysięcy ludzi i zniszczyło dwie trzecie wyspy, wynosząc dwadzieścia pięć kilometrów sześciennych masy ziemskiej na orbitę lub dalej. Rozumie pan? Odrzuciło w kosmos. Wybuch uniósł również miliony ton pyłu na wysokość osiemdziesięciu kilometrów. Ci, którzy znaleźli się bliżej niż dziesięć mil od miejsca eksplozji, na trwałe ogłuchli. Inni oślepli. Jeszcze inni zginęli od rozległych poparzeń lub po prostu utonęli. Odgłos erupcji poniósł się echem na dystans czterech i pół tysiąca kilometrów. Fala wzniesiona w wyniku kataklizmu dotarła aż do brzegów starej Anglii. Potem powróciła, trzy i pół raza obiegając ziemski glob.

– I przypuszcza się, że brat szanownego pana Ocearusa przeżył coś tak okropnego?

– Szalony brat profesora winien był zginąć. Dałbym głowę sobie uciąć, że poniósł śmierć na miejscu. Jednak znów przeczą temu fakty. Otóż nie tak dawno pisał listy.

– Może nie było go w pobliżu Krakatau?

– W ostatniej chwili stchórzył? Nie, to do dżentelmena niepodobne. Że brał udział w eksperymencie, nie wątpię. Nie tylko zniknęły owe żelazne fabryki z Cejlonu, ale i setki tysięcy zatrudnionych tam ludzi, których uczono bodaj nie bez powodu żeglowania w budowanych naprędce potężnych okrętach podmorskich. Mówi się też o sezonowych robotnikach, których liczba idzie w miliony.

– Zabitych?

– Nie, wynajętych do pracy zarobkowej w miejscu nieoznaczenie oddalonym.

– Wspomniał pan o wehikułach podmorskich?

– Eee tam... Sprzęt to był międzyplanetarny. A gdzież najlepiej symuluje się środowisko kosmiczne? Właśnie pod wodą. Niech mi pan nie mówi tylko, że nic pan nie wiesz o nieważkości i zmianach prawideł ciężenia na Księżycu i planetach słonecznych.

– No, tyle wiem.

– Całe szczęście. Jest więc pewnym, że cała się za tym kryje sensowna intryga. Dowiedziałem się potem, że nie dalej niż rok temu dotarła w profesorskie ręce butla o sekretnej zawartości. Były tam mapy wcale nie ziemskie i instrukcje spisane drobnym maczkiem, których nadawcą był ponoć wspomniany brat jego, Immanuel.

– Widziałem ów złom żeliwny w przyszpitalnym laboratorium.

– Sam otrzymałem drugą taką przesyłkę. I wcale nie był to metal, mój panie drogi. Znam się na metalurgii. Dziwię się tylko, że pan nie rozpoznał cech charakterystycznych obrobionej lawy.

– Lawy? Nie może być! Czy ciągle jest pan w posiadaniu onego automatonu?

– Niestety, musiałem go natychmiast profesorskim sługom oddać.

– Szkoda. Po powrocie do Melbourne zarządziłbym armijną inwestycję.

Przyjął to bez zająknięcia, ale widać nie przypadła mu do gustu zdrada.

– Dysponujecie panowie w światku naukowym kompresorami kawitacyjnymi – rzucił.

– Wiesz pan, że użyć ich można w odlewnictwie funkcjonalnym?

– No tak, ale daleko nam do impregnowanego ciekło-kształtu Browninga.

– Czyli teoretycznej pracy industrialnej?

– Tak jakby.

– Nie znam ani w Azji, ani tym bardziej w większości zacofanej militarnie Europy nikogo, kto poradziłby sobie z obróbką ciekłej magmy – stwierdził pan Duncan.

– Nie docenia pan Francji i Niemiec.

– Armie lądowe tych krajów nie dysponują arsenałami porównywalnymi z uzbrojeniem, którym władamy w naszej części świata.

– Dlatego, że wciąż nie są to technologie ogólnie znane. Militarna obróbka ciepła skały znalazła się w zastosowaniu na Antypodach dopiero od niedawna – rzuciłem, może nazbyt pochopnie. – Przedtem wykorzystywano ją wyłącznie w górnictwie eksperymentalnym.

– A więc musi pan wiedzieć, że ktoś w odległych o całe tysiąclecia czasach nadużywał swojej wiedzy kawitacyjnej. Wtryskiwał materiały różne i w dowolnych stopach w wyrysowane przedtem przestrzenne geometrie.

– O kim pan raczy mówić?

– O zatopionych kulturach atlantydzkich.

– A, o tym – rzuciłem, raczej niechętnie się godząc na dalsze jego dywagacje o tym wysoce dyskusyjnym temacie. – Ale nie skończył pan wspominek o szanownym bracie profesora – napomniałem, bo się gdzieś lord zagalopował.

Ten się zaraz do opowieści zapalił.

– Pan Immanuel radził Ocearusowi w listach, aby zatrudnił pewnego znanego mu od dawna wybitnego bramina, Hindusa Reynasha. Otóż osobnik ten ukrywał się w odległym Kaszmirze, w wioskach dzikich ludów, których to przedstawiciele uczeni w pismach ajurwedy<sup>23</sup> celowo zniekształcali fizycznie. Sam Reynash, poznawszy najciemniejsze sekrety władzy nad ciałem, przeraził się tak bardzo, że postanowił oddalić się od niebezpiecznych eksperymentów i na zawsze poświęcić się wyłącznie medytacjom.

– Proszę pozwolić mi zgadnąć: Ocearus wynajął pana, byś wytropił i wydostał biedaka z ukrycia?

– A owszem, była taka umowa. I nawet dodatkowa premia, opiewająca na sporą kwotę.

– Wie pan, jakoś się nie dziwię.

– No cóż, przemierzyłem na własnym słoniu pół subkontynentu. Zastrzeliłem kilka prześladowanych wioski tygrysów, wdałem się w rozliczne przygody i poniżające burdy. Wreszcie pociągnąłem za tropem. Odnalazłem rzezonego bramina w lochach jakiejś samotni, a przy nim same sensacje! Zeszytów całe torby, bo wszystkie myśli i rezultaty eksperymentów uparcie spisywał. Świat naukowy pękłby z zazdrości, zabezpieczyłem zatem zbiory, wysyłając z uzbrojonym konwojem do Delhi. Nieboraka próbowałem przekonać na wielorakie sposoby. Próbowałem nawet bicia. Kilkakrotnie więc czmychnął i pobiegł, gdzie oczy poniosą. Gdym go znów dopadł, kłamał, że tylko zbłądził, ale od czegoż mam wrodzoną intuicję? Poszedłem za nim jak dobry pies po słusznym tropie i bodaj nawet kilkakrotnie zagroziłem biedakowi śmiercią. Co gorsza, zastraszyłem go kolbą magnetyczną Sigmunda Broyleya.

– A mówiłeś pan, że broyleyowska kolba to bzdury.

– Tak się tylko z panem droczyłem.

– I co, podziałało?

– Tak się przestraszył, że razem z tajemną księgą przybył do Melbourne, wprost pod drzwi pułkownika w stanie spoczynku, i korną służbę do śmierci zaoferował.

– To pan Molier jest nie tylko profesorem, ale i pułkownikiem?

– Nie byle jakim, tylko speleologicznym.

– Speleologicznym? Dostał się aż na takie wielośrodowiskowe poziomy?

– Przecież to cudak i talent wielki budujący tamy i ryzykowne mosty. Potrafił wznieść wieże ponad przepaściami i z pomocą kawitologiczną przebić tunele w niemożliwych lokalizacjach. Nie nadaremno więc go armia mianowała swoim pułkownikiem. Japońcom podołałby napędzić pietra podziemną agresją, wymyślając pancerne rozprężacze! A wiadomo jak teren tam, w Osace, jest aktywny sejsmicznie. Takich ludzi podczas wojny niezwykle się ceni, bo wróg i bombarduje, i pali bez opamiętania cały zbudowany majątek trwały, a podziemnego nawet nie tknie.

– Coś podobnego? Toż ja żadnych takich faktów nie poznałem. Poszedłem w ciemno za gadatliwym, obiecującym mi krocie fachowcem i łowcą nieznanych zwierząt.

– Nie wiem, jakie rysuje wobec pana przyszłości plany, ale raczej wykluczyłbym kronikarstwo, bo wie pan, w takich szmatławcach jak „The Argus” pojawiają się ludzie umęczeni ideą spisywania i dokumentowania, nie woluntariusze. Nie przyuczysz ich pan do milczenia. Plotą i plotą. Tylko bezpodstawne paplanie im w głowie, czy to na

papierze, czy to na jakiś foliach filmowych przekręca prawdę zawsze na popłatne strony. A to alternatywne, a to całkowicie fałszywe.

– Nie posiadam żadnych takich aparatów filmowych.

– I całe szczęście, bo bym nie zmógł i zaraz pana trzepnął w pysk. Ołówek i kajecik jeszcze przeboleję, tylko proszę pisać szczerze i od serca. A teraz pokaż pan, co tam po pudłach chowałeś.

Szybko i zwięźle mu wyjaśniłem, do czego urządzenia służą, a że lotny miał umysł, pojął ideę błyskawicznie. Uśmiechał się pod wąsem, bo chyba po zastanowieniu prędkim on też odkrył powód zainteresowania moją osobą inżyniera Moliera. Fachowość moja biła wszystkich innych na łeb, na szyję.

– A to cóż takiego? Do nurkowania bynajmniej nie służy?

– Jest to niezbędnik kawitologiczny. Upakowany w mocnym blaszanym plecaku, nierzadko ratuje specjalistom życie.

Zapytał mnie o pozwolenie, po czym wpasował szeroką elastyczną rurę, którą przygotowałem dużo wcześniej dla siebie, i śmiejąc się rubasznie, spojrział przez grube szkło. Pomogłem mu założyć solidną uprząż na muskularne ramiona i tors, przykleić przyssawki, i już spokojnie się przyglądałem, kiedy zapinał ją na zamki błyskawiczne. Reszta mechanizmu chłonnącego wpasowała się automatycznie.

Tak oprzyrządowany, ruszył w stronę ściany.

Jednak ciężar całego urządzenia sprawiał panu Duncanowi nie lada kłopot przy chodzeniu. Szedł i pomstował na niedogodności. A to metal wyzwalacza umieszczonego przy zbiorniczku wodnym mroził przy każdym bliższym dotknięciu, a to materiał gumowy zalatywał rzeczonym szlamem. Narzekał też na części bateryjne powodujące przeskoki elektryczno-ciśnieniowego wyładowania.

– I w takie coś pan się przyobleka w obawie przed żrącą gorączką kropli wyindukowanej z ziemskiej skorupy?

– Niekiedy rozpętane termiczne piekło potrafi człowieka migiem pochłonać. Widział pan pędzące strumienie lawy? Ze względu na skład chemiczny wyróżniamy kilka ich rodzajów.

– Nie potrzeba mi wiedzieć, panie De Waay – powtrzymał mnie pan Duncan, słusznie przypuszczając, że postaram się popisać wiedzę. – Niebawą trzeba mieć odwagę.

– No, cóż. Zrozumiałą jest rzeczą, iż w środowisku wodnym komplet ten waży po trzykroć mniej. Jestem w posiadaniu kilku podobnych plecaków. Wszystkie z pojemnikiem oxygenatora, który wytwarzając rezonanse i odzyskując tlen umożliwia oddychanie nie tylko pod wodą, ale i pod błotem.

– Oxygenatora? Czyż nawet będąc zakopany, potrafiłby pan swobodnie oddychać?



– Ależ zrozumiałą to jest rzeczą i konieczną, żeby żołnierz speleologiczny potrafił się wymknąć z wrogiego usypiska.

– I oxygenator miałby pozwolić na oddychanie w błocie?

– To oczywiste. Nie tylko odnajdzie pan wodę w glebie, ale i uwięzione pary. Coś musi oddzielać wodór od tlenu i to w sposób ewidentnie wystarczający, by choć na krótką chwilę przetrwać.

Pan Blizzard jakby mnie już nie słuchał. Wyszedł na korytarz i paradował tam, podobny w chodzie do wyprostowanej jaszczurki. Pobiegłem za nim.

„Czyżby profesor celowo nie zamknął drzwi?”, pomyślałem.

Widząc moje wątpliwości, lord domyślił się ich istoty. Zatrzymał się i pochylił w moją stronę.

– Powiem panu w tajemnicy, że jak tylko usłyszałem, co się wyprawia, natychmiast pobiegłem do okrętowego ślusarza ze zleceniem, aby mi dorobił komplet kluczy.

– Nie obawiał się pan, że on później zda raporty kapitanowi?

– Nie znalazłem fachowca na miejscu. Zamiast niego ujrzałem okrętowego boya. Zapytany o skromną przysługę, odpowiedział, że zna się na rzeczy i zaraz mi komplet dorobi.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

– Zachowanie wcale niepodobne do lorda, a do bandyty.

– A myśli pan, że cokolwiek mnie czyjaś opinia obchodzi? Nie dam się zamknąć, ot co.

– A co jeśli panikę wśród załogi wzbudzi to chodzenie? – mruknąłem, nasłuchując, czy aby ktoś nie nadchodzi.

---

21 King Island – jedna z trzech wysp znana z niesławnych Ryczących Czterdziestek, zlokalizowana w Bass Strait, cieśninie oddzielającej Tasmanię od głównego australijskiego masywu kontynentalnego.

22 Krakatoa lub Krakatau – wyspa, która jest jednym gigantycznym stratowulkanem położonym w Cieśninie Sundajskiej, pomiędzy wyspami Sumatra i Jawa w Indonezji. Stratowulkan jest typem wulkanu w kształcie stożka, zbudowanym z wyrzuconych materiałów lawy, pyłów i skały. Krakatau znany jest przede wszystkim z potężnej erupcji wulkanicznej z 1883 roku, która stała się powodem jednej z największych odnotowanych w historii klęsk żywiołowych. Donośne wybuchy były słyszalne z odległości pięciu tysięcy kilometrów, a słup dymu, popiołów i gazów osiągnął wysokość dwudziestu siedmiu kilometrów. Każda z erupcji przynosiła gigantyczny spływ piroklastyczny lawy i gruzu, który wpadając do oceanu z szybkością 150 km na godzinę i przemieszczając się na poduszce eksplodującej od gorąca pary spowodował wytworzenie kilkudziesięciu niszczycielskich tsunami o wysokości do czterdziestu

metrów. Niektóre z nich docierały aż do wybrzeży Ameryki Południowej, wywołując tam spustoszenie i panikę. Natomiast fala sejsmiczna powodowana siłą eksplozji wulkanu okrążyła całą Ziemię aż siedmiokrotnie. Eksplozja sprawiła również, że dwie trzecie wulkanu zniknęło bezpowrotnie z powierzchni planety.

23 Ajurweda – system naturalnej medycyny indyjskiej opartej na starożytnych księgach. Termin pochodzący z sanskrytu jest zlepkiem słów *ajuh* – życie oraz *weda* – oznaczającego wiedzę o życiu. Ajurweda w kulturze indyjskiej zajmuje się zdrowiem fizycznym, psychicznym i duchowym. Jako koncepcja terapii jest uznawana przez Światową Organizację Zdrowia i jako jedyna medycyna niekonwencjonalna wykorzystuje chirurgię. Eksperymenty naukowe dowodzą, że niektóre substancje używane w niej mogą zostać wykorzystane do produkcji skutecznych leków. System ajurwedy opiera się na wierze, że istoty żywe reprezentuje wszechobecna *prana*. *Prana* w sanskrycie oznacza oddech i jest rozumiana jako siła witalna podtrzymująca życie. Energia ta przepływa przez kanały subtelne zwane *nadi*. Na *pranę* składają się trzy bioenergie: *wata* – związana z ruchem, *pitta* – metaboliczna siła oddziaływania oraz *kapha* – regenerująca siły. Utrzymanie równowagi tych mocy zapewnia zdrowie i harmonię współpracujących ze sobą narządów.

Nadszedł już chyba czas, by przedstawić czytelnikowi sylwetkę naszej potężnej morskiej maszyny. Bryg o dumnym imieniu „Minerwa”<sup>24</sup> miał siedemdziesiąt tysięcy ton wyporności, choć każdy, kto go przynajmniej raz ujrzał, przysięgłby, że ponad powierzchnię wystaje niewiele więcej niż tysięcy piętnaście. I wszystko to prawda. Z mocnym pancernym dziobem i wrytym na burcie masywnym logo armatora przedstawiał się jeszcze okazalej pod linią wodną, gdzie kryły się z dawien dawna nie kontrolowane ładownie i na poły zalane, zapomniane parowe rozrządy niosące statek w razie potrzeby do lądowych desantów.

Odkupiony z armijnego złomu za nędzne osiemdziesiąt tysięcy funtów i odnowiony w części mechanicznej za góra dwanaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt osiem, spisywał się najprzykładniej na szerokich wodach. Wypuszczał niewielki, holujący go po kursie wytyczonym balon i całkowicie automatycznie skracał blaszany żagiel, gdy przychodziła pora na turbiny. Miałby się z pyszna ten, kto by z nim zadarł, idąc na burtę. Niezłomny to był żeliwniak. Odparłby wroga jak bokser pięścią.

Tego ranka wszyscy goście przyjęli kapitańskie zaproszenie.

Stawiliśmy się jak jeden mąż na widokowym balkonie, tuż pod wzbierającym od wydechów kominem. Niektórzy asekurowali ciała linami, niektórzy sięgali po roznoszone przez stewarda napitki. Większość zainteresowała się rozrysowanym na luźnych kartkach papieru kursem.

Wkrótce po wyjściu z płycizn przybrzeżnych ozwały się dzwonki rozruchu właściwego. Okręt zadymił ciężko i ruszył z przeciągłym grzmotem. Poszedł od razu pełną mocą napędów śrubowych, przekonując z miejsca szczury lądowe i innych wątpiących darmożjadów, iż od teraz mają trzymać się relingu, że oto dzielny rozpruwacz grzywaczy wdziera się na bezkresne zimne wody Oceanu Południowego<sup>25</sup> i wymaga od żywiołów posłuchu. Wezbrany spieniony wał wodny na froncie wyglądał imponująco. Rósł ciągle i potężniał, jakby się oto roztworzyły przed nim łamane góry. Huk mielonej wody był nieprawdopodobny, niemożliwy wprost do wytrzymania. Trzeba było zatykać uszy i uciekać pod pokład. Kipiel to wznosiła się, to opadała, a to ogarniała nas i prawie zagarniała, a to cofała się i sromotnie dezercerowała. Znów zapadliśmy się w dolinę wilgoci i piany. Rzucaliśmy się na wzbierający grzbiet. Na nowo rozpoławialiśmy falę. Dwieście śrub napędowych na plecach! Toż to dopiero była potęga. Wszystkie rozwirowane, słusznie naoliwione i ostre niczym brzytwa łopatki cięły wodę, wkręcały się w jej tworzywo i odpychały z mocarną siłą. Darły i tłukły. Do przodu i prędzej. I gwałtowniej, i mocniej. Dopiero początek to był naszej podróży, a już z boków poszybowały delfiny i większe jakieś foki ludojady. Nie

widziałem, bo w szaleńczych wykwitach piany trudno było coś dojrzeć. Słuchałem tylko, co mówią i krzyczą inni.

Jak na wycofaną z użytku jednostkę wojskową „Minerwa” wykazywała niezwykle osiągi. Długa na trzysta sześćdziesiąt metrów, szeroka na czterdzieści dwa i piętnaście centymetrów, z czego ponad połowę powierzchni pokładu zajmował potężny kopcający komin, wdzierająca się w morskie otchłanie z gwałtownością tytana. Nie mówiąc o kolosalnym cielsku pod linią wody, które służyło za taran w rozgarnianiu i topieniu lodowców, a teraz szło, odkładając na bok łatwe wodne skiby.

Zaparłszy się barierki tuż przy najwyższym kapitańskim mostku, podtrzymałem przy oku składaną armijną lunetę. Mogłem się tak rozejrzeć po pokładzie przez nikogo nienagabywany. Krzychałem przy tym radośnie i wywijałem figury, taka we mnie radość zagrała z powodu naszego świetnego startu.

Poza najgłębszą linią zanurzenia, jaką kiedykolwiek widziałem, miał nasz okręt jeszcze inne atuty. Wspomnijmy bowiem wyższy pokład, lądowisko „E” mieszczące się na rufie. Miejsca wystarczyłoby chyba dla całej floty obrony powietrznej wybrzeża. Pusty mógłby posłużyć za niezłą stopkę do przycupnięcia dla dwupłatowców. Pod nim znajdowały się magnesy stałe i czerpaki kanałowe do utrzymania w nich trzech wybornych łodzi podwodnych i niezliczone komory wystrzałowe dla jednoosobowych batyskafów, których mrowie zwykle wykorzystywała armia do szerzenia spustoszenia w bitwie podwodnej.

Teraz w większości świeciły pustkami i pomimo zgrzytu w nich kołowrotów i dzwonięcia łańcuchów sprawiały wrażenie niepełnych i zagubionych w rwącym potoku pracy mechanicznej. Bo głęboko pod drżącym pokładem tłukły się tłoki i waliły korby.

Odwróciłem wzrok od rufy, kierując uwagę na dziób.

Wciąż biegłym okiem wynajdowałem więcej miłych mi szczegółów.

Na ten przykład zachwyciły mnie pochylnie parowe umieszczone w masywnych żeliwnych wyżłobieniach na obydwu burtach. Szyny biegnące do owych spadków wprost z czerpaków łańcuchowych mogły dowodzić, iż bywały one wykorzystywane do szybkiego spuszczenia łodzi torpedowej pod wodę. Mogły też wyciągać z głębiny zaczepione do masywnych ostrych haków złowione bestie, zrazu je opatrując z flaków i rozrzynając na mięsne płaty, by poporcjowane schować do nastawionych beczek.

Spojrzałem na szyny.

Gdzieś tam stał zacumowany prywatny stalowy „Morrlitius” profesora Moliera oraz kilka wspomnianych batyskafów z powodzeniem wykorzystywanych do wypuszczania się na wodne rejsy analityczne. Niewybaczalnym błędem byłoby ich niedostrzeżenie, tak zachwyciły gracją linii konstrukcyjnej i finezyjnym wykończeniem w drewnie i mosiądzu morskim.

Wróciłem do kajuty kompletnie rozkołysany. Z trudem pozbierałem myśli.

Profesor zamknął nas jak zwykle i odszedł.

Pozostało mi spoglądanie przez iluminator zajmujący całą ścianę.

Przy pełnej prędkości trzydziestu węzłów i dobrej pogodzie w dobę dotarliśmy do pierwszego lądu. Minęliśmy skaliste wybrzeża Tasmanii. Zeszliśmy na jej rozległe półwyspy i atole. Zaledwie przemknęliśmy obok spienionej ostrej rafy, a już pojawiły się inne skały, wysepki i fiordy.

Wielka wyspa szybko wzbiła się ostrym konturem, pod niebem gwałtownie zaciemniała, by po chwili leniwie się rozpląszczyć i tak na długo pozostać zaledwie zaznaczona bielejącą na horyzoncie wstęgą piasku. Wreszcie uznała za stosowne usunąć się pod ciężki nawis pędzących od nocy chmur.

Na drugi dzień przykryły ją gęste, smoliste kłęby naszego dymu kładące się na morze bezszelestnie niczym żałobny kilim. Jakby tego było mało, nasz pordzewiały komin wydał z siebie ostry ryk. I puścił białą parę przez moment za nami tańczącą, podobną w tym ruchu do rozbudzonego ducha.

Niebawem nasi motorzyści obrali kurs na południowy wschód, pozostawiając ląd Abła Tasmana<sup>26</sup> daleko za rufą. Zrobiło się wkrótce dość chłodno. Nadszedł od frontu parszywy szkwał. Niósł ze sobą diamentowo-rubinowe drzazgi lodu. Niebawem komin uległ mocnemu oszronieniu, a śruby w szaleńczej wirowej gonitwie nierzadko roztrzaskiwały kawałki napotykanego lodu.

Wkrótce pogoda zupełnie się zrujnowała. Ocean oszalał. Przetaczały się po pokładzie wściekłe grzywacze, porywając wszelkie luźne sprzęty. Podczas gdy my z niepokojem przyglądaliśmy się tańcowi naszej zmarniałej w otulinie niepokornych żywiołów skorupy, kapitan z trudem trzymał się wytyczonego kursu. Rozszalałe wody nie pozostawiały złudzeń, kto tu panem, a kto nędznym żeliwnym śmieciem.

Ogarnął nas lęk, potem trwoga, bo szwał przybierał na sile.

Wszyscy obawialiśmy się, że im dalej na południe, tym wyższa będzie fala. Gorzej, dał huragan. Na załogę padł blady strach, gdy z dziwnym pianem koguta nadszedł burzliwy poranek.

Tocząca się po nas nawałnica wcale nie osłabła. W dali usłyszano zawodzenie. Nie wiadomo, czy to nie śpiewanie noszące się od kipieli poczęło się przybliżyć i gasnąć? Piana rozrzucona na pokładzie stała się ciepła i klejąca, a wiadomy to był znak budzących się demonów.

Prości marynarze sięgnęli po broń palną. Już żaden nie zmrużył oka. Chodzili podpici, rozzłoszczeni i żądni krwi.

Profesor Molier, nie zwlekając, zamknął się z nami w kajucie i zagroził, by nie czynić najmniejszych hałasów. Ostrzegł, że stan majtków jest straszny.

– Chodzą wzburzeni, poszukując na statku powodów tego zdziczenia natury – referował niespokojnym tonem. – Bo każdy z nich wierzy w magnetyzmy. Uważają, że

niektórzy ludzie powodują przyciąganie nieszczęścia.

Ja martwiłem się jednym.

Szczerze wątpiłem, czy otrzymam od losu szansę na przetestowanie skompletowanego z takim trudem jednoosobowego oxygenatora. W tak zimnych i namagnetyzowanych wodach precyzyjne komponenty łatwo mogły ulec zepsuciu.

Pogoda się wreszcie uspokoiła. Marynarze nie wiadomo czemu z jeszcze większą trwogą obserwowali południowy horyzont. Podobno działały się tam rzeczy straszne. Od wód ciągnęło niesłychanym mrokiem, a i nocą przysiagłbym, że słyszałem dalekie grzmoty jakby przesuwania po oceanicznym dnie całych ruchomych od magii, a nigdy niewynurzonych lądów. Kapitan z trudem dawał sobie z panikarzami radę. Podobno jeden z załogantów obwiniał za omamy obecnych na pokładzie obcokrajowców. Czyżby przyuważył u naszego Hindusa wystające z pleców wysokoobrotowe fiszbiny?

Sam słyszałem, że mówiono o płetwach. Ale fiszbiny<sup>27</sup>?

Nie dziwiłem się, że nas zamykano. Bo i nam pobladły twarze, a z oczu jakoweś widmo wychodziło, po którym wszelkim obecnym szły po ciele ciarki i robiło się niedobrze. Do tego stopnia czułem się prześladowany, iż bałem się samotnie zapuszczać na pokłady. Wszędzie te czujne spojrzenia i nienawiść rodząca się w prostych duszach. Jakże fanatyzm i autosugestia potrafią ludzką istotę otepić i wszelkie w niej dobro zniweczyć? Po raz pierwszy poczułem się na tej pływającej ludzkiej wyspie prawdziwie obcym tworem.

---

24 Minerwa jest prawdopodobnie bóstwem pochodzenia etruskiego. Wraz z Jowiszem i Junoną u starożytnych Rzymian tworzyła Trójcę Kapitołińską. W koncepcji artystycznej przedstawiano ją zazwyczaj w pancerzu i w hełmie, uzbrojoną we włócznię. Chociaż ta córka Jowisza była uznaną boginią mądrości, nauki i sztuki, to w samym Rzymie uzyskała również godność strategicznej bogini wojny, w związku z czym ofiarowywano na jej rzecz część zdobyczy wojennej.

25 Ocean Południowy – także znany jako Ocean Arktyczny – obszar raczej umowny, rozciągający się od wybrzeża Antarktydy do równoleżnika 60., wzdłuż którego łączy się z oceanami Spokojnym, Indyjskim i Atlantyckim. Jest najzimniejszym z oceanów.

26 Abel Tasman był pierwszym Europejczykiem, który oficjalnie dotarł do wybrzeży Tasmanii i Nowej Zelandii podczas wyprawy w latach 1642–43, zorganizowanej przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską. Natomiast pierwsi ludzie dotarli i skolonizowali Tasmanię znacznie wcześniej, bo aż pięćdziesiąt tysięcy lat temu, przechodząc suchą stopą cieśninę rozdzielającą wyspę od kontynentu australijskiego. Spadek poziomu wody morskiej był spowodowany gwałtownym oziębieniem klimatu i związaną z nim epoką lodowcową, wiążącą wielkie masy wodne w postaci

gigantycznych mas lądolodów przemieszczających się i zagarniających powierzchnię Europy, Syberii i obu Ameryk.

27 Fiszbiny – płyty rogowe zwisające z podniebienia w jamie gębowej wieloryba i wspomagające go w odcedzaniu planktonu z wody morskiej. Ogólna waga fiszbinu w paszczy wieloryba dochodzi do 1500 kg, a poszczególne płyty dochodzą do 80 kg. Fiszbin był przez długi okres cennym surowcem. Rozgrzany w parze lub piasku, dawał się ugniatać w dowolne kształty. Robiono z niego gałki lasek, pejczy oraz pręty parasoli. Mieszkańcy Alaski robili z fiszbinów pułapki na drapieżne zwierzęta. W jaki sposób? Zgięty polewano wodą, która zamarzała i utrzymywała go w pozycji zgiętej. Następnie smarowano zamarznięty fiszbin grubą warstwą tłuszczu. Zwierzę połykało pachnącą tłuszczem przynętę. Gdy lód stopniał, w żołądku zwierzęcia fiszbin się prostował, przebijając jego wnętrze.

Dnia dziesiątego naszej wyprawy zostaliśmy zaproszeni na zamkniętą wczesną kolację do kapitańskiej mesy.

Pokój był to znaczny, cały obity żeliwną lamperią z królewskimi pieczęciami. Na ścianach umocowano śrubami obrazy w metalowych ramach przedstawiające wodowanie rozlicznych batyskafów i desanty kolonialne z początku dziewiętnastego wieku, w czym nasza jednostka też się wyspecjalizowała i zasłużyła. Sufit wisiał wysoko, bo na trzy i pół metra, licząc od miedzianej podłogowej listwy. Z niego zniżały się ku siedzącym za wielkim stołem spore żyrandole, kute i ozdobione kolekcjami z najjaśniejszych kryształów morskich i srebrnych muszel spotykanych w nieckach głębinowych. Dla nikogo nie było tajemnicą, iż tuby opalizujące potrafiły rozświetlić pomieszczenia samoistnie. Wystarczyło tylko lekko je namagnesować i umieścić w oprawie mosiężnej, wtedy słaby prąd puszczony po drucie zapalał je niby ogień szczapę.

Ściany naszej jadalni poza galerią zapełniały jeszcze szerokie półki wykonane z rzadkiego hebanu podwodnego. Wypełnione woluminami ozdobnymi, prezentowały się wręcz cudownie. Przeważała literatura morską, żeglarską, kotłową i astronomiczną, chociaż zdarzały się i pamiątki najstarszych kontrahentów, zażalenia pasażerów, długie na dwieście stron, i raporty admirałów nurkowych z podróży tajemniczych i niemożliwych. Obok stały też szafy na trunki, na cylindry, na szaliki, i sejfy zamykane kłódkami na wszelaką rzadką broń podmorską.

Zajęliśmy miejsca za stołem. Tu zrazu uprzejmy steward poczęstował nas cygarami kalifornijskimi, by po chwili usłużny Marcellus mógł podać nam po szklance wybornej whisky i wnieść przekąski na talerzu murmańskim, który, jak wiadomo, ruskim zwyczajem potrafi samoczynnie się podgrzać. Potem wniesiono nadziewane kaczki, duszone w sosach nowozelandzkie kartofle i sałatki w kilku rodzajach, które obficie obsypano orzechami, pistacjami i migdałami.

Zaraz po kolacji nadszedł nasz śliczny chłopiec okrętowy dźwigający rulony pergaminów i schematów o sporym wymiarze. Młodzieniec miał obwiązaną bandażami szyję i wyglądał na dość poważnie schorowanego. Najpewniej zaszwankowało mu gardło, bo z trudem artykułował sylaby i w ogóle ignorował nasze pytania o zdrowie. Usta miał wykreślone wprost w dziewczęcy sposób, brwi delikatne, a rzęsy doprawdy rozmarzone. W oczach jego widziałem znane mi skądinąd głębie. Spuściłem wzrok, niczym z nagłą oparzony. Jakże mogłem tak gapić się na płęć męską?

Odchrząknąłem zażenowany, bo pan Molier zganił mnie piorunującym spojrzeniem.



No cóż.

Widywałem częstokroć młodego panicza na podpokładzie dla musztry, gdzie w obcisłych rajtuzach i kurcie oddawał się ćwiczeniom szermierczym. Musiałem przyznać, że świetną dysponował techniką. Giętki niby najszlachetniejsza stal, potrafił wyczyniać niespotykane figury. Magią musiał niewielki ten człowiek dysponować, aby być tak sprawnym i zuchwale do broni przysposobionym. Nikt by mu nie sprostał w tym sporcie. A że podobieństwem do Abelii się odznaczał, tylko podrażnić mógł moje odczuwane względem niej wyrzuty sumienia. Przecież nigdy nie widziałem u dziewczyny mojej myśliwskiego noża, a co dopiero szabli czy rapiera.

Czekaliśmy na załogantów, ale widocznie zdecydowano inaczej.

Brak było pośród nas kapitana. Nie pojawił się też żaden z jego oficerów starszych czy nawet wachtowych. Mowy nie było o bosmanie czy motorzystach udekorowanych zegarami kontroli olejowej. Stał natomiast w mrocznym kącie nasz Hindus cokolwiek skupiony, jakby zamrożony i nieruchomy. Oczy mu się szklily, siwa broda niby ośnieżeniem jaśniała, a on sam, niczym zapakowany w pergamin, prawie nie oddychał.

A my, nieco przestraszeni tą izolacją od marynarskiej braci i sterroryzowani przenikliwym profesorskim spojrzeniem, mówiliśmy pomiędzy sobą szeptem. Konsumowaliśmy i zaraz szczerze omawialiśmy każde danie, chwając lub ganiąc na przemian.

Pan Molier zaraz po kolacji jednym ruchem zgarnął na bok resztki jeszcze nieposprzątanej zastawy, powybierał z serwet nieużyte widelce i oddalił kompoty. Od razu przystąpił do rzeczy:

– Pan, panie De Waay, z pewnością dalej zachodzisz w głowę: po cóż mnie ów sławny jegomość profesor Molier zatrudnił? Czyżby w dowód wdzięczności za poratowanie jaskiniowe? A może inne odnalazł atuty? Czyżby chodziło o pańskie zabawy z lewitacją kropel w jaskiniowych wnękach? A może zdalne kierowanie wodną strugą w tychże miejscach? Słyszałem, słyszałem. – Zaśmiał się krótko. – Po cóż przyciągnąłem pana i z wielkim zapałem popchnąłem na mroźne wody oceaniczne, aż ku brzegom Antarktydy?

Pokiwałem głową, przyznając mu rację. To prawda, nie wiedziałem.

– No tak, masz pan rację, myślałem o tym dość często – zgodziłem się, przetykając podany mi w blaszanym kubku zmrożony alkohol. Nie potrafiłem się opędzić od przenikliwego spojrzenia okrętowego chłopca, który po wypitce jeszcze bardziej przypominał mi najdroższą i ukochaną córkę lady Miriam. Tyle że wyprężony i przepisowo ostrzyżony, bez wątplenia musiał być płci brzydkiej. To czerwieńiałem, to bladłem w wyniku nieopanowanego uczucia sympatii doń. – To prawda, od lat szkolnych pałam wielkim zamiłowaniem do nauki o cieczach, jak i o telekinetycznych

właściwościach ludzkiego umysłu. Jakoś tak z natury przychodzi mi łatwość obchodzenia się z wodą. Ale zapewniam, że nie są to jakoweś cyrkowe numery.

– Doskonale to rozumiem, panie De Waay. Pamiętasz pan nasze rozmowy?

– No tak, oczywiście. Często je wspominam. Rozprawialiśmy o kawitologicznym przedsięwzięciu, z racji którego już wcześniej pobrałem od pana zaliczkę na zakup drogiego sprzętu. Nie wystarczyło to jednak na wiele. Gdyby nie finansowa pomoc mojej narzeczonej, nie dałbym rady ukończyć projektu – mówiłem z lekką pretensją, na co skąpy mój dobrodziej nie omieszkał się skrzywić. – Następna sprawa dotyczyła asekuracji w próbie poskromienia pewnych podmorskich bestii. Ale to było przedmiotem umowy werbalnej. W każdym razie niczego innego w kształcie zbliżonym do umowy pisemnej z panem nie zawarłem.

Molier rozczesał palcami okazałe bokobrody, skinął z pobłażliwym uśmiechem na boya i patrząc, jak ten rozkłada na stole mapy oraz poglądowe rysunki, zaczął:

– Gdy kompletowałem dokumenty podróże w akademickiej bibliotece, na placu centralnym miasta Geelong, zewsząd dochodziły krytyczne głosy. Zerzano na mnie wprost z jawną niechęcią. A to tematyka wsteczna, a to dokumentacja fragmentaryczna lub zawieruszona, a to niezgodne jest z konstytucją. Jednak ostra i wpływowa krytyka spotykała mnie w najmniej spodziewanym momencie. A moja praca *O kierowanej chemicznie metamorfozie*” oraz artykuł w „The Orbiter”, zatytułowany *Retro ewolucja*<sup>28</sup> – *kontrolowane odmiany regresji*” spotkały się z jawną wrogością elit naukowych i politycznych. Natychmiast znalazły pośród nich posłuch niemoty i intryganci, którzy moje już w pełni wstępnie ufundowane przez akademię przedsięwzięcie ekspedycyjne uważali za stratę pieniędzy. Uznali decyzję zarządu za nader pochopną i ryzykowną w całej rozciągłości. Postanowiono zablokować rozliczne już uruchomione konta, oskarżyć mnie i innych dżentelmenów o malwersacje i zwykłe bankowe oszustwa. Do gazet dostały się artykuły, w których w sposób wredny i kłamliwy obnażano niektóre aspekty mojej pracy, piętnując za brak politycznej wyobraźni, lekkomyślność, a nawet szkalowanie dobrego imienia boskiego. Co więcej, zagrożono każdemu, kto poważyłby się na pomoc w moich eksperymentach laboratoryjnych, więzieniem lub jeszcze gorszą ekskomuniką.

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie Molier. A jak pan znakomicie się orientuje, nie jestem z prasą na bakier – uznałem za słuszne mu przerwać. – Wiem tylko, że brata pańskiego nadal uważa się za marksistę.

– Najbardziej prawdopodobnie przebywał pan wtedy na swoich wywczasach – dopiekl mi do żywego.  
– To jest, chciałem powiedzieć, ważnych z punktu widzenia armii wyprawach jaskiniowych. Ale, jak sądzę, winny się panu były obić o uszy doświadczenia I.J. Albrechta? Naprawdę nie miał pan nic wspólnego z biologią tamtych czasów?

– Ależ skąd! Prenumerowałem dawniej „Melbourniański Przegląd Chemiczny”. Posiadam też kilka najważniejszych numerów wydawanego w mieście Geelong „The Orbitera”.

– Musiał pan więc zauważyć stosowny artykuł w numerze pięćdziesiątym szóstym ubiegłego roku? Dotyczył rezurekcji pewnego niezmiernie interesującego organizmu, *saccorhytusa*<sup>29</sup>, którego pierwociny powstania datuje się na okres kambryjski. A to jest, jak powszechnie wiadomo, jedna z najdawniejszych epok geologicznych.

– Niestety, nie czytałem – odwraknąłem, całkowicie już rozłożony.

– Radzę uwierzyć słowu profesorskiemu, panie De Waay – uznał za stosowne wtrącić pan Bizzard. – Nie strzępiłby dobrodziej nadaremnie języka, jeśli nie byłby celowo zastraszone. Nie wymyślił sobie też tego wszystkiego na poczekaniu. Sam znałem członków pewnej tajnej organizacji nazywającej siebie „Gniewem Bożym”. Aktywiści zajmowali się powoływaniem podejrzanych przed sąd ostateczny.

– Przed jaki sąd?

– Mordowali naukowców eksperymentujących z genetyką i biologicznymi krzyżówkami ludzkimi. Liczby idą w dziesiątki wybitnych indywidualności.

– No więc co z naszym *saccorhytusem*? – zapytałem, powściągając nerwy.

– Gatunek ten uznany został za praprzodka wszelkich kręgowców, w tym i praojca ludzkości.

– Był aż tak ważny w naszej drodze ewolucyjnej?

– Owszem. *Saccorhytus* jest jednym z najprymitywniejszych przedstawicieli deuterostomów uważanych za przodków wszystkich zwierząt lądowych i morskich. Kilka lat temu odkryto zaledwie parę mikroskamieniałości tego gatunku w południowych Chinach. Jednakże badania przeprowadzone w najgłębszych jaskiniach australijskich pozwoliły natknąć się na nasze rodzime resztki *saccorhytusa*. Przed eonami organizm ten przypominał wielką sakwę z miejscem na otwór gębowy. Co najbardziej interesujące, nie posiadał odbytu. Zapewne zapyta pan dlaczego? Ponieważ w sposób fenomenalny opanował sposób na bezresztkowe pozyskiwanie energii ze zdobytego pokarmu.

– Bez wydalania? – zastanawiał się pan Bizzard. – Zapewne zjadał dokładnie tyle, ile potrzebował?

– U stworzeń tak niewielkich skóra zwykle przejmuje wszelkie funkcje wydalnicze. Jak wynoszę z pańskich słów, rozmiarami nie powalał? – wtrąciłem.

– Tak mogło być – zastanowił się profesor. – Jednak przed pięciuset pięćdziesięcioma milionami lat ciągle pozostawał w kształcie niepozornym. Mierzył około milimetra średnicy. Żerował biedak w piaskach dna oceanicznego – wyjaśnił profesor. – Najciekawszym jednak jest to, że wraz z uczonym Albrechtem wyizolowaliśmy podobny organizm z próbki wód przydennych Oceanu Południowego. Ten nowo

odkryty przedstawiciel *saccorhytusa* osiągał centymetr średnicy, a w hodowli sztucznej udawało się otrzymać egzemplarz dochodzący nawet do całego metra.

– Akurat słyszałem o tym skandalu na uczelni – rzuciłem.

– Jakim skandalu? Co pan wygaduje?

– Nie pozostawiłbym nawet skrawka tego bluźnierstwa przy życiu.

– Nic to, że komisyjnie go spalono?

– Za mało. Wiem na pewno, że szaleństwu nie ma końca.

– Racja. I nam, wbrew wyrokowi wysoko postawionego gremium naukowego, udało się na czas odpowiednie chemikalia z bazy genetycznej wyodrębnić i w próbkach przemycić do mojej prywatnej piwnicy. Tam w najgłębszej tajemnicy kontynuowaliśmy doświadczenia, nawet wodując wspomniany kolejny egzemplarz naszej zdrobniacie nazwanej „sakwy” w zatoce.

– Widzi pan? Czyż naukowy świat nie ma opamiętania? Przecież organizm ten mógł okazać się niebezpieczny dla całej reszty środowiska naturalnego!

– Niech pan nie przesadza. W tych rozmiarach? Był zupełnie nieszkodliwy.

– Ależ miał metr średnicy! Któreż to zwierzę ewoluuje w przeciągu roku z milimetra do metra! A co z rozmnażaniem?

– Skutecznie zablokowaliśmy tę ewentualność. Zresztą nie dałby rady we współczesnych skażonych olejami i ściekami wodach.

– Przynajmniej tyle.

– Niezmiernie bolałem nad późniejszym losem uczonego Albrechta. Biedak doznał obłądzenia. Zamknięto go w instytucji psychiatrycznej tylko dlatego, że sprawnie wyizolowany najczystszy materiał genetyczny podał w postaci iniekcji własnemu psu, który niebawem zaginął w przypałacowym stawie, swobodnie oddychając w wodzie.

– No cóż... Każdy, kto podejmuje się zamachu na święty porządek natury, musi brać pod rozwagę gniew boży.

Tutaj Ocearus zareagował rechem.

– Dość tego. Mówi pan jak kaznodzieja. Gdybym pana nie znał, posądziłbym o wsteczność – syknął lord.

– Pan wymknął się sprawiedliwości, jak mniemam? – zagadnąłem Ocearusa, przechodząc obojętnie nad uwagą przyjaciela.

– Owszem, udało mi się zebrać pozostały potężny materiał dowodowy dotyczący laboratoryjnych krzyżówek biologicznych, między innymi naszej sakwy *saccorhytusa*, i ukryć dokumenty w wynajętych pokojach na Collin Street. Oficjalnie zmieniłem kierunek badań. Z powodzeniem udałem, że zabieram się za niespecyficzne studia mistyczne. Nie bez powodu wybrałem tę dziedzinę. W starohinduskich pracach naukowych odkryłem wszystko to, co nasza nauka uniwersytecka rozwijała dopiero w załączkach.

– I wtedy nadszedł ów osławiony list? – spytał lord Duncan.

– Tak.

– To w nim znalazły się informacje dotyczące wyspy? – pytał dalej.

– Zawierał dokładne dane na temat długości i szerokości geograficznej oraz podawał w cyklach dwumiesięcznych okresy jej wynurzeń. Przekonałem wpływowe osoby. Uzyskałem niezależność finansową. Stąd urzędowo udaję się na ten niewielki ląd, by przejąć wyspę Emeraldę z całym jej majątkiem trwałym i włączyć w poczet Korony Brytyjskiej. Posiadam konieczne glejty i zezwolenia, które w sposób formalny uczynią mnie gubernatorem. A to, jak wiadomo, nadaje mi status prawodawcy. W zgodzie z własnym sumieniem i prawem Jego Wysokości Edwarda VII mogę pochylić się nad dowolnym, w moim odczuciu ważkim problemem hodowlanym lub retro ewolucyjnym, obojętnie czy jest on zgodny z naukami Biblii, czy też nie.

– Nieżle obszedł się pan z regulacjami – odchrząknął lord Duncan, patrząc na mnie. Skrzywiłem usta.

Molier uśmiechnął się prostodusznie.

– W razie powrotu z negatywnymi wynikami badań genetycznych uniknę konsekwencji prawnych.

– W razie powrotu? Co pan mówi? Obawia się pan wracać do Melbourne? Albo pan nie chce?

– Już nie raz mnożono na mojej drodze przeszkody. Zaskarżono wszelkie decyzje finansowe. Poddawano skrupulatnej analizie słuszność moich wydatków. Przekreślano jednym ruchem ręki skomplikowane projekty i podważano wnioski – mówił z goryczą.

– Pewne niedowładne umysłowo czynniki decydowały, inne bez zająknięcia wdrażały w życie.

– A ile pan wyciągnął od Akademii na naszą ekspedycję – spytał lord i gwizdnął z wrażenia, gdy otrzymał odpowiedź. – Jak widać, postawił pan na swoim – dodał.

– Mocno się zaparłem, aby nazwiska obu panów jako kandydatów do udziału w misji potraktowano na równi z takim znamienitościami jak profesorzy: kryptolog Godard, Horsey czy Santini – każdy po osiem tysięcy dwieście funtów składki. Jeśli ich obecność miała usprawiedliwiać szeroko pojęte aspiracje botanicznej komisji samej Akademii, to dlaczego nie mogłem zaspokoić swoich? Złożyłem podanie o specjalistów. Dlatego też towarzyszą nam w ekspedycji nurkowie: Steepvelius oraz Drodén – obaj warci po dwanaście tysięcy *per persona*, którzy od lat już cieszą się niepospolitą sławą i godną reputacją w zastosowaniu podwodnych proszków oświetlających i znajomości podmorskiej starożytności. Wszyscy oni zaakceptowali bilet uczestnictwa z entuzjazmem.

– Znaczy to, że orientują się w prawdziwym celu pańskiej misji? – zakpił sobie pan Bizzard.

– Ależ nikt tutaj, prócz mojego najbardziej zaufanego Hindusa, nie wie nic o prawdziwym celu podróży – rzucił Ocearus złowieszczym tonem i aż zjeżył się na lordowskie słowa.

– Ale zamierza pan ten pokraczny stan naszej wiedzy o sprawach bieżących odmienić?  
– ironizował dalej niebaczny arystokrata.

– Stąd bierze się nasze obecne tu spotkanie.

Spojrzeliliśmy z lordem po sobie, a potem wskazując innych obecnych, zgodnie spytaliśmy:

– A czy pański nowy chłopak okrętowy jest aby godny zaufania?

– To znajomy rodziny. Za niego ręczę osobiście.

– Oczywiście pozostawił pan nas w sytuacji nader irytującej – rzuciłem jakby od niechcienia. – Mamy tutaj niesłychane historie z dziedziny biologii genetycznej gorszące dla tych, którzy uznają wolę Boga. Opowieści o wrogości konkretnych osób. Próby oskarżeń o malwersację. I cóż jeszcze? Na koniec przedstawia nam pan, niczym wisienkę na torcie, jakiegoś Hindusa, który węszy tutaj nie wiadomo jak długo i po co. Może on przecież na stronie sporządzić od ręki staranny dokument zeznania policyjnego! A wiadomo, jaka u nich biegłość we wszelkich donosach?

– Panie De Waay, proszę osoby panu nieznaney z miejsca źle nie osądzać – oponował Molier, wodząc po naszej dwójce z nagłą wesołym uśmieszkiem. – Wiążą się z tym jegomościami inne, warte szczegółowego omówienia historie.

– Ale któż to taki dla pana, że aż nietykalny? – zapytałem, jeszcze bardziej rozsierdzony profesorską reakcją, bo stanęły mi przed oczyma inne kajutowe kroniki lorda Bizzarda, który przecież onegdaj sporo o nim rozpowiadał.

– Jest znakomitym i sławnym pośród kasty najwyższych doktorów nauki specjalistą hinduskiej wedy chemicznej, mistrzem najsekretniejszych przepisów retro ewolucyjnych. Bywał prywatnym sekretarzem mojego starszego brata Immanuela. Dodam, że jest osobą ściganą na terenie Imperium Brytyjskiego za eksperymenty genetyczne na ludziach.

– Retro ewolucyjne – podkreślił pan Duncan.

– Ano właśnie. Przedstawiam panu radzę Reynasha Prothamphura.

Nie mogłem opanować śmiechu. Niechcący wymknął się na moją twarz również wyraz wzgardy. Tak prymitywna wesołość wzbudziła tylko zgorszenie Moliera, bo uczony, jak wielu mu podobnych, uważał indyjski kontynent za pełen kuriozów i duchowych wyniosłości, i dodatkowo specyficznej kolorystyki. Sekretnie odosobniony od reszty świata poligon zawsze tonący pod wilgotną mgielną portierą, ciągnął swe tajemnice od wybrzeży aż do poszarpanych grani Tybetu. Niby pół-ład, niby subkontynent, a skrywający skarby nieprzewidziane i nieskończone źródła wszelkich

nauk i tajemnych wartości mogących zrównoważyć sumy osiągnięć cywilizacyjnych wszystkich lądów planety.

– Może wpierw wyjaśnię szczegółowiej one niuanse stanowiące meritum sprawy? – zapytał pan Molier. Tutaj skinął na wspomnianego Reynasha. Gdy pokraka podszedł, profesor podał mu kluczyk i kazał przynieść ze stojącej w rogu wielkiej komody części nieznannej mi dotąd butli morskiej. Sam się zdziwiłem, bo ta już widziana i znana mi z lokalizacji przyszpitalnej była dla mnie kuriozum niespotykanym i rzadkim, wręcz niemożliwym do zdobycia. Nie mogłem naukowca tej klasy posądzać o fałszowanie danych. Artefakty z nowej partii wyglądały na większe i – banalne stwierdzenie – utrzymane w mroczniejszej kolorystyce. A więc ten człowiek posiadał drugą butlę pływającą? Jak skompletował antyczny automat?

Profesor zażądał umieszczenia tych części w imadle wielofunkcyjnym zapiętym przez boya na stole i wskazując palcem, podążał wzdłuż obrysu funkcjonalnego. Sam się zadziwiłem. Widoczna kompleksowość zdumiewała na każdym kroku. Głowica z finezyjnie owiniętymi dookoła rurkami prezentowała się jeszcze okazalej w świetle ultrafioletowym. Komponenty, z wyglądu mosiężne, w dotknięciu okazywały się całkowicie niemetaliczne, złowieszczo wibrujące i miękkie. Jeszcze coś: ciągnęło odeń mroźnym powietrzem jak od włączonego wentylatora. Powiem szczerze, że bałem się podejść bliżej. A co jeśli machinerion zdzierzy wytworzenie z powietrza kajutowego mieszanki trującej? Rozniósł się już nie byle jaki zapach.

Molier, ściskając ostry śrubokręt w dłoni, podważył jedną z blaszek, oderwał i przekazał mi, bym się jej bacznie przyjrzał. Wziąłem płatek palcami z pewną obawą przed poparzeniem. Potem przyjrzałem się z niekłamaną odrazą, jakbym trzymał łuskę zdechłego, nieznanego nauce węża. Sprawiała wrażenie, że jest ceramicznego pochodzenia, ale nie z kryształu czy wypalanej glinki. Czyżby technologiczna lawa?

– Do czego służą rurki i zawory? – spytałem.

– Mniemam, że niby papierki lakmusowe doskonale spełniają zadania związane ze szczegółową analizą wody. Proszę spojrzeć. Całość posiada w swej strukturze siatki opinające zawory i zaworki. Dzwonki niepospolite, które tutaj widzimy, pojawiły się później i to na drodze całkowicie naturalnej. W pierwszej chwili myślałem, że nie posiadają funkcji i podobne są do zapodzianych muszli, których na dnie oceanu jest pełno. Jednak wszystkie one tkwią w szczególnie ponumerowanej pozycji jakoby zaprogramowanego sejfu. I stąd twierdzę, iż służą nawigacji.

– Nawigacji chemicznej? Zakłada pan różnice w rozkładzie cieczy? Jaka może być niezgodność pomiędzy wodami Oceanu Atlantyckiego a Pacyfiku? Będą to co najwyżej wartości zanedbywalne po przecinku. Gdy jeszcze właściciel wyjaśnił mi, że one pokręta służą do ustawiania kursu i samonaprowadzania w ruchu pływającym, aż zdębiałem i na długie chwile zaniemówiłem.

– Jakżeż tak? Przecież ów specjalista musiałby dysponować specyficznym atlasem doskonałych listków lakmusowych, każdy o minimalnym przesunięciu w spektrum. Jak można coś takiego wymyślić? Nie ma takiej fabryki na Ziemi, która naniosłaby podobne dane na papierek. Śmiem przypuszczać, że ani w antyku nie była, ani w przyszłości nie będzie ta sztuka możliwa. Niestety w analizach chemicznych nie robimy znaczącego postępu – wyrzuciłem z siebie wzburzonym głosem, jednocześnie łapiąc się na myśli:

„Nie może być, aby takie cudencko pływało po morzach i oceanach ziemskich przez tysiące lat, nieprzechwycone i niezbadane!”.

– Ma pan prawo tak sądzić. – Tutaj otworzył przede mną księgę, w której rozpoznałem kolorowy katalog chemiczny. Z okładki wyglądał na niewiarygodnie wręcz stary, ale wewnętrzne strony zachowywały wciąż świeżość druku. – Jednak otaczają nas wieki milczącej historii – powiedział. – I znajdzie pan miejsca w układzie słonecznym, których żaden archeolog nie tknął szpadlem. Nie od dziś wiadomo, że otacza nas ogrom wód nieogarniony i niesłychany, stanowią one siedemdziesiąt procent planety i tyleż złóż milczenia. Są tam w głębi niezmierzone mroki, a w nich organizmy sprawiające wrażenie machin fantasmagorycznych i w koncepcji unikalnych. Są miasta i maszyny pozostawione same sobie i mechanicznie ewoluujące.

– Jak pan wszedł w posiadanie tej wiedzy? Gdzie znalazł pan drugi automat? – zainteresował się lord Bizzard, nabijając tytoniem swoją nieodłączną fajkę. Rozparł się na krześle i oparty łokciem o blat, szykował się do długiej opowieści. Okazało się, że profesor i w tej materii go nie zawiódł.

– Butla owa zwana indyjską, bowiem pokrywają ją wersety sanskrytu naniesione później, to jest w wieku siódmym, pochodzi z miejscowości Chennai, bliskiej wybrzeżu zatoki Bengalskiej. Spotkały ją różne losy. Zdekompletowana przeleżała blisko czterysta lat w piwnicach radży Clouthora. Później znalazła nowego właściciela. Ten szczerze w nią zainwestował, słusznie przypuszczając, iż posiada niebagatelną wartość naukową. Kilkakrotnie odsprzedana, trafiła w końcu do kolekcjonera starożytności, który zmarł, nie pozostawiając dziedzica. Jej losy pozostały nieznane przez kolejne dwieście lat. Sporo czasu przeleżała w lokalnej świątyni używana do celów niezgodnych z jej przeznaczeniem, zanim nie wpadła w oko pewnemu przypadkowemu pielgrzymowi. Osobą tą był mój szacowny brat Immanuel. Z niebywałym wprost zapałem przeczytał naniesione na nią inskrypcje. Natychmiast postanowił odkupić przedmiot od opiekujących się miejscem kapłanów. Tyle że nikt tutaj nie ufał białym i pakistańscy eunuchowie niechętnie godzili się na odstąpienie czegokolwiek Brytyjczykowi. W końcu, po długich pertraktacjach, ustąpili. Dorzucili miedziane pudło z pozostałymi komponentami. Brat mój ze zdziwieniem ujrzał starożytne przewody giętkie klejące się od olejów i smarów, a zaopatrzone we wtopione



zegary o nieznanymi skalach opatrzone wartościami najpewniej atlantydzkimi. Sporych rozmiarów butla i jeszcze większa skrzynia z trudem zmieściły się na dwukołowym wozie ciągniętym przez muła. Na szczęście stacja kolejowa była blisko, a tam znajdowali się pilnujący porządku, zawsze uczynni żołnierze.

---

28 Retroewolucja – tu w znaczeniu regresywnym: powrót do przeszłych form biologicznych ludzkiego ciała.

29 *Saccorhytus coronaris* – gatunek wymarłych kambryjskich zwierząt wtóroustych wielkości ziarnka ryżu żyjący przed 540 milionami lat. Znany z lokalizacji w skałach osadowych w prowincji Shanxi centralnych Chin. Organizm uważany jest obecnie za najwcześniejszego przodka wszystkich kręgowców, w tym człowieka. Co ciekawe, termin „zwierzęta wtórouste” – wtórnozębowce - opisuje istoty, u których prągnęła przejęła funkcje odbytu. Według specjalistów stworzenie to posiadało duży elastyczny otwór gębowy, który mógł się rozciągnąć na większą od niego samego zdobycz, po czym wydalil resztki tym samym otworem. Fachowcom nie jest też obcy termin symetrii bilateralnej, to jest takiej, w której aktywne poruszanie się wykształciło polaryzację ciała, to jest zróżnicowanie na część przednią i tylną oraz brzuszna i grzbietową. Ale to już kolejna faza rozwoju ewolucyjnego kambryjskiego rozwoju kręgowców.

- Czyżby bratu pańskiemu grożono śmiercią?
- Tak, zdecydowanie tak – odparł profesor. – Niech pan sobie wyobrazi, że wieść o zakupie rozniosła się po okolicy błyskawicznie. Przybywając na peron, z trudem przepychał się z bagażowymi poprzez agresywny tłum. Zaraz potem tłok jeszcze bardziej zgęstniał, a rozwścieczona ciżba zaczęła obrzucać ich obelgami. Poleciały nawet kamienie. Dopiero stanowcza postawa oficerów udroźniła przejście, pozwalając na szybki załadunek. Pociąg ruszył, walcząc z napierającymi.
- Skąd u nich taka złość? – zapytałem.
- Proszę sobie wyobrazić, że zazwyczaj samoczynnie podgrzewający się automat on wyzwał szczególnie obojętne opary, w którego swędach rozlubowali się i uzależnili lokalni ludzie.
- Skraplały się w nim płyny, które następnie ulegały odparowaniu?
- Zapewne tak. Mechanizm tykał, więc działał i syntetyzował konieczne paliwo, być może wykorzystując do procesu obecne w atmosferze gazy.
- Doprawdy genialne – stwierdziłem.
- Brat mój uznał, podobnie jak pan, że obiekt ów nadaje się do szczegółowej inwestygacji. Niezwłocznie udał się do Kalkuty, gdzie znajdowały się odpowiednie pracownie i gdzie poznał nie tak dawno laboranta zajmującego się wyłącznie antykami podmorskimi. Wspólnym wysiłkiem bardzo ostrożnie rozebrali machinerion na części pierwsze. Dotarli do przykręconych portfeli z instrukcjami przydatnymi w przypadku serwisów okresowych, w które w odległych bardzo czasach zaopatrywano produkty nowe. Druk był niemal całkowicie wytarty, lecz natychmiast wpadł im w oko krótki list wryty na prawie zupełnie skorodowanej blaszce, a będący ostrzeżeniem lub groźnym napomnieniem.
- Na Boga, czyżby przesłano pańskiemu bratu telegram atlantydzki?
- Znany memu bratu kolekcjoner uznał, że to ważne. A że był biegłym w łacinie i grece, natychmiast skonstatował, iż językiem operacyjnym opisującym wszelkie szczegóły wlewów i analiz może być tylko język atlantydzki.
- Przecież niezwykle symbole atlantydzkie muszą być niezrozumiałe.
- Litery składają się w wyrazy, a symbole w kody. Dla wyborczego matematyka świat nie posiada żadnych tajemnic. Immanuel bezbłędnie odcyfrował komunikat.
- Coś podobnego!
- Niewiara w Atlantyde jest powszechna, wobec czego brat mój, znany wszem konstruktor parowy, postanowił nie tracić czasu i nie przekazywać pisma do

wiadomości publicznej. By nie wzbudzać buntów i światowych rewolucji, zdecydował się działać na własną rękę.

– Cóż było w owym ostrzeżeniu?

– Komunikat był nie tyle skandaliczny, co mogący spowodować krach na giełdzie, a jako że brat mój sam grał, nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Postanowił zaraz zainwestować własną fortunę.

– Ależ to oburzające – stwierdziłem z niesmakiem. – Wszystkich nas dotyczyła owa informacja Nie powinien być niczego zagarniać wyłącznie dla siebie.

Pan Bizzard zganił mnie wzrokiem, lecz sam kontynuował linię pretensji:

– Ja również sądzę, że brat pański nie miał prawa decydować za nas wszystkich. Automaton atlantydzki – tu wskazał traktowany niemal z nabożną czcią mechanizm – liczy sobie z powodzeniem dziesięć tysięcy lat. Nie posiada żadne muzeum ziemskie śladu starożytnych machin myślących w rejestrze artefaktów. A kto wie, do jakich skarbów na dnie oceanicznym potrafiłby nas zaprowadzić mechanizm?

– Powinien pan być podać fakty redakcjom najznamienitszych tygodników naukowych. Mogłyby pracować nad tym umysły Paryża, Brna czy Nowego Jorku. Niemcy i Japończycy również mogliby wziąć udział w analizach – mówiłem.

– Zapewne od razu zabraliby się za konstruowanie myślących bomb i podwodnych mechanicznych armii. Proszę wybaczyć, ale złe mam o nich zdanie. Narody to bojowe i groźne.

Podano nam sporej wielkości lupy, które obracane na wszystkie sposoby, dawały rozmaite obrazy części. Zanurzyliśmy się w szczegółowe badanie, co jednakże nie przeszkodziło w dalszej rozmowie.

– Jakie więc nadeszło posłanie od ludu zapomnianego? – dopytywał się pan Bizzard.

– Atlanta nadawczy wskazał nam drogę odwrotu, bowiem środowisko planetarne prędzej czy później nie pomieści gatunku odnoszącego bezpardonowy sukces na wszelkich frontach. Bardzo szczegółowo opisał mechanizmy chemiczne umożliwiające dotarcie do najodleglejszych celów. Znając ludzi nad wyraz dobrze, bolał nad naszym losem. Atlanci przekonują, że w konsekwencji swoich czynów doprowadzimy do samounicestwienia siebie i planety.

Zmilczeliśmy tę wiadomość, wpadając w ponure humory.

Na koniec profesor dorzucił już nie tylko z żalem, ale i wyrzutem:

– Wiele rozmyślałem i sądzę, że Immanuel mógł poczekać. Jednakże zabrał się do sprawy szybko i szczególnie starannie. Będąc bogatym z nadania, zaangażował środki, na jakie żadne państwo współczesne w tak krótkim czasie sobie pozwolić by nie mogło. Uruchomił na terytorium kolonii brytyjskich w Indiach własne fabryki i uniwersytety. Kształcił na potęgę i konstruował maszyny nawet dziś uważane za przyszłościowe.

– Czyżby zakończył swoje prace sukcesem? – zagadnął pan Duncan.

– Ależ pan niecierpliwy!

– Od tygodnia trzyma nas pan pod kluczem. Nie rozmawia. Nie wyjaśnia. Nie stawia zadań do wykonania. Normalnym jest powstanie uczuć zawodu i rozgoryczenia – rzucił niepodobny do siebie w złości lord. Widać jemu, tak jak i mnie, dokuczyciło traktowanie nas z góry.

Molier przyjrzał się nam uważnie.

– Zupełnie się nie dziwię waszym nadpobudliwym reakcjom, panowie. Jestem po części nawet za nie odpowiedzialny – oznajmił z prawdziwie krzywym uśmiechem.

– Jak to? – zapytaliśmy, wpadając sobie w słowo.

– Bardzo mi zależało na waszmościów uczestnictwie w ekspedycji, w związku z czym pozwoliłem sobie na chemiczne zasadzki – perorował. – Mój szlachetnie rodzony Hindus przyrządza pewne bezwonne napary, którymi potrafi zamroczyć i uzależnić. Wykorzystuje do tego celu sprytnie rozmieszczone na drodze ofiary pułapki.

– Niech pan nie mówi, że osaczał nas pan już dawniej hinduskim smrodem?

Tu zaśmiał się otwarcie.

– Owszem. Szpiegowaliśmy panów na każdym kroku. Zapewne natrafiliście na subtelne wonie roznoszące się w domowej bibliotece? A czyż nie pachniało wam powietrze w pracy i w samochodzie? Wszędzie posyłałem moich służących, aby w sposób przebiegły rozkładali dymiące pręty suszonych ziół ramidowych. Również tutaj, w kajucie pokładowej, porą nocną nasączaliśmy wasze umysły całkiem słuszną trucizną uległości. Skąd nagle tak uparty lord mógł odnaleźć w sobie tyle serdeczności? Skąd u pana, panie De Waay, wziął się tak wspaniały naukowy entuzjazm? Wiele złego z was wyszło wraz z radiacją potów.

– Ależ to podłe – syknąłem. Lord Bizzard również z trudem nad sobą panował. Boy skrycie parsknął śmiechem.

– Mógł nas pan chociaż zapytać – użalał się arystokrata.

– Koniecznym jest impregnowanie ciała ziołami dymnymi, aby nadało się do dalszej obróbki chemicznej. A cele nasze są dalekosiężne.

– Planuje pan jeszcze użycie trucicielskich maści? Czegóż jeszcze pan użyjesz, aby nas sponiewierać? – monitowałem tonem już cokolwiek wrogim.

Pan Molier uśmiechnął się smutno i pod nosem coś odburknął, po czym oskarżył:

– Oniemiałem, patrząc, co pan z życiem swoim samoistnie wyprawia. Temu porzuceniu narzeczonej, tej rezygnacji z zajęć zawodowych, celowemu izolacjonizmowi się przyglądałem! Gdybym nie zadziałał i środków chemicznych nie podałem, wyróciłby pan swoje dotąd spokojne życie całkiem do góry nogami. Takie wstąpiło w pana szaleństwo, że już czuł się pan milionerem i wynalazcą! Czy rzeczywiście tak postępują ludzie o wielkiej twórczej pasji? Pozerzy, mordercy, złodzieje: wszyscy oni za nic mają

cierpienia innych, im podobnych, i pan chciałeś do nich się przyłączyć? Doprawdy, są to pierwsze objawy starości.

– Oskarżę pana. Pójdzie pan jak nic pod sąd!

– Taaak? Aparat przez pana skonstruowany mógłby się okazać przełomem w podboju mórz ziemskich. Pewnie szybko stałby się pan milionerem, ale jakież bałagan wprowadził do wody! Wstyd!

– Roztrząsa pan fakty nieistotne, bo niebyłe.

– A ujrzał pan okiem wyobraźni konsekwencje własnych czynów? Wypełniłyby się akweny gangami goniącymi za zyskiem. Opustoszałyby strona naturalna, a wzrosłaby na to miejsce populacja ludzka wroga wszelkiemu naturalnemu ułożeniu. Potem zrobiłoby się nad wyraz tłoczno i niewygodnie. Po jakimś czasie ścisk osiągnąłby zenit. Nadmiar populacji wywołałby głód i choroby. A ja tak nie lubię tłoku, panie De Waay. Wprost nienawidzę. Jak pan widzi, dzięki mojej wyłącznej interwencji został zarówno pan, jak i aparat na długo wyeliminowany z naszej bieżącej historii technologicznej. Ziołowe nawiewy i czady zdołały w panu przywrócić znane mi z przeszłości: rozsądek, rozwagę i wstrzemięźliwość. Jest pan teraz, na wodzie, innym człowiekiem, niż byłeś pan na lądzie. A podmorską ludzką przyszłość pozostawimy pod naszą własną kontrolą.

– Jak to? Tak po prostu chciał pan pozbawić mnie zasług i zniweczyć moje odkrycie?

– Niech się pan tak nie irytuje. Oczywiście, że nie nosiłem się z podobnymi zamiarami. Chciałem obu panom tylko uzmysłwić, jak wielkie znaczenie ma chemia. Oto jak potrafi z człowieka niewinnego uczynić agresora. Z jaką łatwością wpływ gruczołów wydzielniczych lub dopływ zewnętrznych efektorów, takich jak opium, rujnuje dorobek życia, niszczy ideały lub wprost przeciwnie: dodaje siły i podnosi nas na wyżyny niedostępne. Wszystko to najszczerza prawda. Tak, dokonałem interwencji i wyrzucałbym sobie niszczenie tak szlachetnych charakterów, gdyby nie szczegółowe planowanie i nadzieje odnowy moralno-fizycznej w was pokładane. Pragnę was, panowie, przekonać do własnych planów, do tajemnych przepisów chemicznych, których bodaj nikt przedtem w historii ludzkiej, oprócz mojego brata, w odbudowie wydzielniczości organizmu ludzkiego nie stosował. Nie twierdzą, że będzie to proces łatwy i przyjemny. Sam wprzód dobrowolnie poddam się onym cierpieniom, zanim cokolwiek wam zalecę. Ale gwarantuję, że po terapii obudzicie się panowie pełni mocy herosów, wydolni w dostosowaniu się do każdego ze środowisk, bowiem wydzielnicza działalność potrafi nie tylko pomniejszyć narządy, neutralizować wpływy, ale i wznawiać efekty z dawna przez ciało zarzucone.

– Przyznam, że przyprawia mnie pan o zawrót głowy.

– Proszę, powróćmy do owych pierwocin naszej ewolucyjnej drogi. Jak kocham pana inwencję, panie De Waay, tylko Bóg wie, i widzę, że zamiłowanie do otchłani

morskiej nosi pan w sobie od kołyski. Wszystko, co do tej pory zrobiłem w ten czy inny karygodny sposób, było działaniem zmyslnym i racjonalnym, dla dobra naszej ekspedycji koniecznym, a dla szlachetności jej najwyższych humanitarnych celów niezbędnym stało się wyzwaniem. Jest nieodzownym, aby całkowicie nam zbędna obecność hordy naukowej, dziesiątków korespondentów i kupców została przynajmniej na wstępie wyeliminowana. Wszyscy oni poszukiwaliby bowiem drogi do nieuzasadnionego, szybkiego wzbogacenia się i chwały. Tymczasem my, prekursorzy wszelkich podwodnych postępów, pozostalibyśmy odsunięci w banalność. Należy skupić umysły biegle na potencjale największego bodaj zamierzenia w ludzkiej historii. Krok ten przewyższy wszystko, czego do tej pory dokonała na polu nauki i techniki nasza rasa. I ja pragnę uczynić to możliwym.

Byłem wstrząśnięty tym wielce emocjonalnym przemówieniem, co jednak nie przeszkodziło mi wyrazić uwagi:

– Jak na przykład?

– Wyodrębnienie z chaosu wodnych prądów morskich subtelnych nici wiodących do Herguyah Mari.

– Herguyah Mari? Czyżby używał pan frazy z zaginionych języków Gluorów? – zagadnął pan Bizzard, zdaje się równie dobrze obznajomiony w historii kultur i miast zalanych przez morskie żywioły. Na nowo nabił fajkę i po chwili delikatny dym począł snuć się ponad głowami pochylonych nad stołem osób.

– Tak. Zgadza się, choć znaczenia tych terminów mogą być różne.

– Jakie na przykład?

– „Napowietrzne morze”. „Najodleglejsze morze”. „Kosmiczne wody”. „Morze nieprzemierzone”.

Tutaj już musiałem załamać ręce. Moje metody wydobywania od dobrodzieja nowin zdawały się być zupełnie nieskuteczne. Kluczył, drażnił i przyprawiał mnie wręcz o szaleństwo.

– Przyznam, iż czuję się wodzonym za nos – rzuciłem – bo dotąd mi łaskawca nic nie powiedział o archeologii, o odkryciach geograficznych mitycznych Atlantów, o kosmicznych, widzianych przez sekretne lunety morzach, a tylko o tajemniczym białym człowieku - wielorybie nazwanym prześmiewczo przez Japońców ningenem, czy o pańskim saccorhytusie. Czuję się upokorzonym i pomniejszonym przez pańskie niedbalstwo – oskarżyłem żalonym niemal tonem.

Tutaj się bodaj naukowiec rozkleił, a będąc nieco już stetryczałym, złagodniał. Poklepał mnie po ramieniu i uspokoił słowami:

– Będziemy już wkrótce u celu naszej wyprawy. Ocean Południowy wspiera się tam o ląd biegunowy. Zobaczymy ostatnie wyspy i archipelagi. Pod nami znajdują się niespożyte otchłanie i wielkie tajemnice, których dotąd nie udało się zgłębić białemu

człowiekowi. Uznałem tedy, iż koniecznym i słusznym winno być odkrycie przed wami wszelkich zamiarów i planów na najbliższą przyszłość.

– No, nareszcie – westchnął pan Duncan.

– Niech pan nie myśli, panie De Waay, że tak łatwo dam się zwieść. Nie przekonał mnie pański pomysł dotyczący rezygnacji z etatu korespondenta „The Argus”. W każdym urodzonym dziennikarzynie takie grają struny ciekawości i dążności do wiedzy, że nie wytrzyma, by gdzieś tego po notatnikach i skrawkach papieru nie pospisywać. Rozumiem ów zew natury i chociaż nie w pełni go popieram, to niech się pan czuje w funkcji kronikarskiej wolnym i swoim piórem o nas skrobie. Potem to wszystko przegładnę i pozwolę lub nie po pismach w publikacjach ulokować.

– No, jeśli będzie tylko o czym pisać, bo od wód tutejszych tylko wieje nudą.

– Och, zapewniam pana i tu obecnego lorda, że sporo jest roboty. Laboratorium chemiczne idzie pełną parą. Badania stanowią ważny krok w zrozumieniu podmorskich światów i zaskakujących programów alternacji chemicznych przybyłych tu znikąd indziej, jak z kosmosu. Moi pracownicy piszą raporty doskonałe w kilku językach.

– Raporty? Analizy czego? – wyraziłem swoje zdziwienie, bo nieraz obserwowałem, jak w fiolkach przelewali zwykłą wodę.

– Cieczy morskiej. Różni się diametralnie. Odkryłem pewne istotne domieszki wprowadzone tu w sposób planowy, automatyczny i na pewno sztuczny.

– Domieszki w naszym oceanie? Nie mówi pan chyba o wpadających weń nurtach milionów rzek?

– Nie, jest jeszcze coś potężniejszego i przenikliwszego.

– Skąd tak potężny prąd miałby się tutaj dostawać? Brak mi pomysłu. Chyba nie od górzystych nieskończoności Antarktydy?

– A są tam rzeki, panie De Waay? – ironicznie zainteresował się pan Duncan.

– Niestety, nie wiem o żadnej – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– No właśnie. Nasze badania dotyczą naleciałości o wprost niezwykłej konsystencji. Zawiesistość elementów dochodzi czasem do czterdziestu procent w skali Brolliego-Mangunsena. Nazywamy je istotnymi zabarwieniami morskiej cieczy. Wszystkie są pochodzenia pozaziemskiego.

– O czym pan mówi, na Boga? – zaśmiał się lord Duncan.

– Z badań naszych wynika, że część wody oceanicznej nie pochodzi z Ziemi, a wpada tu pod wpływem chwilowego przepływu przez wielokierunkowe naturalne zawory Necrolotum.

– Jakie znowu zawory? – pytałem, nie będąc w ogóle słyszalnym.

– Toż to założenie nazbyt ryzykowne! Jest pan pewien? – dopytywał się pan Bizzard.

– Jak tego, że tu przed panem stoję – stwierdził profesor Molier. – Co więcej, moim odtąd wyłącznym zadaniem będzie udowodnienie panom słuszności tej tezy. Wy również nie pozostaniecie obojętni wobec innych wysuniętych przez moich współpracowników koncepcji naukowych. W najbliższym czasie wspólnie postaramy się o analityczną czujność, a sami się przekonacie, jak niewiele dotąd wiedzieliście o oceanach wszechświatowych.

– Jeśli na te wszystkie sensacje posiada pan silne dowody eksperymentalne, dlaczego badania pańskich analityków wciąż są otoczone najgłębszą tajemnicą?

– Przed panami nie mam tajemnic. Ale wróg czuwa. Byłby zainteresowany wiedzą, którą posiadamy – rzucił uczony.

– O kim pan mówi?

– O imperiach Japonii, Niemiec, Chin i Indii.

– Mieliby szpiegów aż tak daleko? – pytałem.

– Niech pan spodziewa się najgorszego.

– Jak poradziliby sobie z łącznością? W szyfrach radiostacji mieliby podawać listy? – zaśmiał się lord.

– Na tym statku od dłuższego czasu nie pracuje telegraf – wyjaśnił Ocearus. – Nie istnieje nic, co pozwoliłoby na kontakt z portami. Mechanizm wysyłkowy balonów informacyjnych sam osobiście przyblokowałem. Wszelkie lądujące ptactwo jest natychmiast rozganiane. Nie ma tu gołębi pocztowych ani tresowanych wron. – I widząc nasze surowe spojrzenia, natychmiast dodał: – Owszem, odciąłem nas od świata, ale dzięki temu dalsze prace badawcze mogą przebiegać w sposób niezakłócony.



Łowca uniósł czujne spojrzenie. Na ten widok Molier sprężył się i hardo podkreślił węża. Widać w sportowych pojedynkach nie raz sięgnął po złoto.

– Już wyjaśniam – pośpieszył z uwagą. – Dotarliśmy do etapu finałowego naszych przygotowań. Obecny tu bramin indyjski, pan Reynash Prothamphur, postanowił, iż nadszedł czas naszej inicjacji w wieczne księgi jego tajemnej kultury. Mowa tu o ukrytych stronach starożytnych annałach ajurwedy, o rozdziałach w archaicznym opracowaniu dotąd nietkniętych nawet próbami eksperymentalnymi i tym samym nieznanym białemu człowiekowi. Studium zawiera zbiory kanonów wykorzystywanych przez ludy pradawne i żyjące w pobliżu mórz i oceanów.

– A cóż to znowu za brednie? – nagle poparł me wątpliwości Sir Bizzard. Widać on też nie godził się na podobne przymusy. – Są to brudne eksperymenty i starohinduskie bzdury.

– Spotkałem się ze specjalnym traktowaniem zwierząt – dorzuciłem, krzywiąc się. – Owe opowieści o reinkarnacji i cielesnym odrodzeniu. A mrzonki o superinhalacji? Mielibyśmy metodą wziewną nabyć zdolności przetrwania pod wodą?

– Czyżby rodził się bunt, panowie? – roześmiał się Molier, głaszcząc krótką bródkę. Zupełnie nie przejął się naszym zdeterminowanym stanem, iskrami gniewu sypanymi z oczu i bladością twarzy sugerującą całkowity odpływ z niej krwi. Z humorem kontynuował: – Ostrzegam, że dysponuję kadzielnicami gotowymi uśpić waszą czujność niepostrzeżenie, w przeciągu minuty.

– Chyba do takiej podłości by się pan nie posunął? – zagadnął urażony łowca.

– A czemuż nie? Czy brakuje mi tu ludzi na posługi? Czyż nie mam silnych oficerów? Kanonier Gustaw obu was przewróci i przyprze wierzgających jednym ramieniem do podłogi, nie mówiąc o palaczach kotłowych, którzy wyglądają na tytanów, a jeśli nie, to poczują się takimi za dziesięć funtów w złocie. Jednak ufam w wasz rozsądek i poczucie odpowiedzialności, panowie. Poza tym wiedza i pasja naukowa was porwie, gdy w kilku słowach opiszę wam, w czym rzecz.

– No dobrze – złagodniałem. – Czymże do cholery jest ta hinduska Ajurweda?

Molier zaraz przytaszczył z ukrytych półek woluminy i rozłożył na stole kolorowe karty. Boy pomógł mu usunąć z blatu części starożytne. Rozłożył mapy i wykresy.

– Księga to nie byle jaka. Zdaje się być na pierwszy rzut oka kucharską, co nie przeszkadza jej być poradnikiem zdrowego żywienia i fizycznego dobrodziejstwa – rzucił, z uwielbieniem patrząc na sekcje starożytnych wzorów chemicznych, jak nic żywcem zerznęte z jeszcze starszych źródeł atlantydzkich. – Szczegółowo opisuje, co i w jakich dolegliwościach podawać, aby czynnie wpływać na regenerację i dobro ogólne

narządów wewnętrznych. Klucz widzi w wydzielnictwie endogennym i gruczołach. W przypadkach skrajnych stosuje formuły potrafiące wytworzyć z diety warzywno-mineralnej w ludzkim organizmie sprawny tymczasowy organ wielkości groszku, więc na ogół umykający kontroli czy nawet detekcji medycznej.

– Niebawem. Sięgałaby mineralogia aż do tajemnic przepisu na człowieka?

– Wielu sądzi, że kod genetyczny w sposób sekretny uaktywnia wyłącznie jeden osobliwy program prowadzący do konstrukcji formatywnej, to jest jedynej dostępnej, bo kompleksowej. Pozostała uszupiona część z odległej przeszłości gatunku, będąc w stanie fragmentarycznym, nie odgrywa już w historii bieżącej żadnej znaczącej roli. Wersje niekompletne ulegają z czasem przyblokowaniu chemicznemu. Byłoby poręczniej odzyskać dostęp do historycznych ewolucyjnych osiągnięć i w razie potrzeby brakujące nuty uzupełnić świeżym wpisem, prawda? Zadanie zdawałoby się niewykonalnym. Jest jednak na to sposób. Ajurweda, korzystając z mądrości rasy prastarej, być może nawet galaktycznej, poprzez swoich wybitnie wyszkolonych w chemii i mineralogii planetarnej braminów dociera do absolutnych granic programowania wydzielniczego. Pragnę przypomnieć, że cały dostarczony pokarm jest nie tylko trawiony i remodelowany w zastosowaniu ogólnoustrojowym, ale ma również podobny wpływ na ustrój jak cały złożony system wydzielniczy. W nim właśnie ukrywa się klucz do retro ewolucji. Kierunkowy rozwój może dotyczyć nie tylko regulacji wzrostu, czy w przypadku nadczynności mózgowej rozmiaru organu, ale wpływać aktywnie na rozwój lub niedorozwój narządów wewnętrznych i ich pracy wydzielniczej. Uaktywniony lawinowy proces retro ewolucji potrafi z zestawu genetycznego od setek tysięcy lat nieaktywnego wyegzekwować nową, i to dodatkową kompleksowość. W wyniku skomplikowanej diety można wytworzyć trzewia zdolne do przefiltrowania każdej z trucizn lub uruchomić immunologiczny *boom* odnowy ogólnoustrojowej niealternowany od milionów lat. Bo skąd na pewno wiadomo, że jest tylko jeden taki system odpornościowy, a nie dziesięć?

– Stalibyśmy się potworami? – skrzywiłem się, myśląc o wszechmogącym Bogu.

– Ależ wręcz przeciwnie, panie De Waay. Przeszlibyśmy genialną rewolucję, stając się superorganizmami świadomie stosującymi wewnętrzną kontrolę wzrostu i redystrybucji.

– Przypuszczam, że tenże sam organ pod wpływem zaniku bodźca prędko zwietrzeje i samoistnie się zdeintegruje?

– Takie panuje w organizmie ludzkim prawo, że wszystko na siłę wraca do oryginalnej postaci. Ciało, jak wahadło, po czasie odnajdzie swój balans.

– Toż to niemożliwe zabawy na polu biologicznym? – stwierdziłem, wręcz nielogicznie zniesmaczony. – Bo jakże można igrać tak lekkomyślnie z prawem boskim?

- Widać można – warknął lord Duncan.
- Organellon zanika tak szybko, jak tylko możliwe, bo proces jego pojawienia się to czyn nienaturalny i burzący odwieczny porządek biologiczny maszinerii stałej. Ciało ma to do siebie, iż dba o zachowanie struktury własnej z wielką czujnością. Gatunek to dla ewolucji rzecz święta.
- Daje pan gwarancję takiego obrotu sprawy? – dopytywał się lord Duncan.
- Ależ oczywiście. Wielokrotnie wypróbowałem one sposoby na sobie, sługach moich i ich dzieciach. Czy wyglądam dziwniej niż ktokolwiek z jaśnie tu obecnych?
- Nie mamy wglądu w pańskie konstrukcje wewnętrzne – stwierdził pan Duncan, wzruszając obojętnie ramionami. – No cóż, wygląda pan zdrowo.
- Badanie wydzielnicze sporo by powiedziało o pańskim metabolizmie, panie Bizzard. Niewątpliwie byłby pan uzyskanymi wynikami analitycznymi zdziwiony. Również zaobserwowanie jakości i określone nawyki żywieniowe zaświadczyłyby o prawidłowym lub nieprawidłowym stanie zdrowia. Znane jest panu zapewne powiedzenie: staje się pan tym, co pan je?
- Przecież to ostatnie zależy od smaków dziedziczonych lub tradycyjnych. Stąd inne ludy wyglądają inaczej – rzuciłem, co nie zostało przyjęte dobrze.
- Nie twierdzę, iż owe zniekształcenia metaboliczne będą miały trwałe wpływy na pańską dietę, ale zostaną przez mechanizmy mózgowe zauważone i być może wkradną się wachlarzem nowego smaku w pańskie kulinarne obyczaje. Jest ważnym, aby pańskie nowe zachowanie i być może na nowo zaktywizowana nieznana sfera atawistycznych instynktów nie wpłynęła w sposób niekorzystny na pańską kondycję zdrowotną.
- Rozumiem – przytaknął pan Duncan.
- No dość już napsuliśmy czasu – westchnął profesor. – Pora na podsumowanie. Doskonale rozumiecie panowie – ujął z rozważą – że przez wyższy wzgląd na nauki tajemne poddanie się eksperymentowi jest zaszczytnym obowiązkiem. Jednakże upewnijcie mnie, że robicie to dobrowolnie.
- Trochę się obawiam – stwierdziłem uczciwie.
- Rozumiem. Mówiliśmy o tym wcześniej. Nie ma w tym świecie niczego, czym nie kierowałyby moce wyższe. Jeśli więc nie interweniują, bądź pan pewny, że pański wybór akceptują.
- Och, widzę tu u kogoś słabość natury religijnej? – zakpił lord.
- Proszę nie zadrażniać atmosfery, panie Bizzard. A więc osiągnęliśmy konsensus? Zgodnie kiwnęliśmy głowami. Tymczasem uczonego poprosił na środek bramina i dodał:
- Nie próbujcie dyskredytować starych mistrzów, nie naśmiewajcie się z pozornego nonsensu przepisów. Wiedźcie, że wszelkie źródła owej szczątkowej wiedzy giną w pomroce najdawniejszej. Nikt nie wie, czy pochodzą od Atlantów, czy sięgają jeszcze

ku dalszym korzeniom, ku przodkom zupełnie już zapomnianym, stąd ta mnogość w naszym ciele źródeł potencjalnej zmiany. Zapewniam waszmościów, iż wraz z moim sługą całkowicie nad kompozycjami chemicznymi panujemy. Krzywda najmniejsza was nie dotknie. Poza tym wyjaśnię, że wszystkie użyte specjały to pochodne nasion naturalnych drzew bibhitaki i haritaki zupełnie w naturze nieszkodliwych. W zestawieniu z sekretnymi olejami poddane specjalnemu wolnemu podgrzaniu do temperatur im właściwych potrafią w organizmie ludzkim dokonać cudów przystosowania do życia podwodnego.

– A więc jednak – mruknął lord Duncan. – Jakim sposobem będziemy więc oddychać?

– Zobowiążę panów do przebywania w dwóch złączonych wspólnym prądem wodnych baliach, które kazałem dla was w kajucie przygotować i zamontować na podłogowych kołkach.

– Mamy siedzieć w wannach? – spytałem, już naprawdę załamany.

– I to w stanie całkowicie zanurzonym – ryknął śmiechem pan Bizzard tak szyderczym, że mi ciarki przeszły po plecach. – Powiem więcej: spodziewam się specyficznych hinduskich roztworów chemicznych, od których bez wątpienia przewrócą się panu flaki – dalej żartował, będąc już całkowicie w wisielczym nastroju.

– A więc o to chodzi? Moje poręczne batyskafy są panu przeszkodą w manipulacji biologicznej, którą prawo nasze zwykło karać wieloletnim więzieniem. Niech się świat rozszaleje chemicznie! Alterowana genetyka! – rzuciłem, usposobiony wrogo. – Ma pan mnie za nic – marudziłem. – Faworyzuje pan własne patenty! – odkrzyknąłem jeszcze z żalem, aż rozbudziłem wyraźnie chorego okrętowego boya, który zdobył się na spojrzenie pełne takiej do mnie sympatii i współczucia, że wraz zaniemówiłem. Ze wstydu utkwilem wzrok w kącie i przysiadłem na krześle, doprawdy zniesmaczony sytuacją.

– Ależ panie De Waay – odezwał się profesor dość łagodnym tonem – mam tutaj oto zminiaturyzowany pański oddzielacz tlenu. – Pokazał mi trzymany w pudełku ze szlachetnego mahoniu przedmiot posrebrzany, podobny do niewielkiej ustnej harmonii. – Długo pracowaliśmy nad nim z technikami. Mnóstwo umieściliśmy we wnętrzu miniaturowych sprężyn i zębatek. Również źródło energii o niebywalej wręcz ekonomii zamontowaliśmy w samym jego sercu. Niech Reynash panu zaświadczy lub kilka słów na ten temat opowie, bo zbytek to pierwszorzędny wykonany z platyny, a pokryty patynowym srebrem.

Sługa pokłonił się i zaczął:

– Pańska idea, panie De Waay, pozwala w sposób wręcz genialny manipulować związkami chemicznymi aż do poziomu atomowego. Jesteśmy w stanie wydzielić komponenty lub przestawić je w sposób umożliwiający kompletne wytworzenie nowych związków chemicznych. Gdybym nie znał podstaw fizyki i chemii, wziąłbym poznany proces za magię. Nazwisko pana ostanie się na wieki nieśmiertelne w historii ludzkiej. Każdy patent ma pan murowany – mówił Hindus, hipnotyzując mnie z miejsca. Jego twarz od napięcia jeszcze bardziej pociemniała, stając się mroczną i z wyglądu niełaskawą. Bałem się tych subkontynentalnych fizjonomii i zawsze podobnych ludzi unikałem. Zresztą przybywał z krainy, którą od dzieciństwa miałem za zaczarowaną. Z uwagi na przekazywane drogą ustną przez znanych mi Hindusów opowieści o latających słońiach i pasiastych bestiach przypuszczałem, że żyjący tam ludzie, w liczbie trzech miliardów, silnie są owładnięci paranoją. Za nic w świecie bym tam nie pojechał, nie uczył się jej historii i nie podziwiał fantasmagorycznych, zdobionych w szaleństwie budynków. Owe spotykane tam na stupiętrowych kamienicach czynszowych płaskorzeźby, pełne roztańczonych lub spółkujących ze sobą ludzkich ciał, napawały mnie obrzydzeniem, a duszne powietrze, gęsta roślinność i przekłeta pogoda z góry przekreślały nadzieję na odpoczynek.

Podziwiałem pana Bizzarda za jego odwagę i spryt. Przewyższał on we wszystkim każdą z moich męskich wartości. Proszę sobie wyobrazić, że ów dżentelmen powążył się wyprawić w sekretne miejsca Indii Północnych, pełne demonicznych liturgii i ludzi, którym szaleństwo przysłoniło rzeczywistość.

– Proszę spojrzeć uważniej. – Reynash pokazał inny przedmiot w łupinie ze szkła mrocznego jak smoła. Jego palce z lekka drżały, gdy trzymał w dłoni to „coś”, a na krawędzi jednego z paznokci przez chwilę zatańczyły maleńkie iskry. – To najdawniejsze znane nam dynamo pochodzące z głębi oceanicznych, tyle że nie wytwarzające prądu, a od razu magnetyzm o nieznannej funkcji i zakresie. Zaledwie rozumiejąc zasadę, spróbowaliśmy aplikacji mechanicznej. I wiesz pan co? – Tu zaśmiał się szczerze, jak robią to szczególnie usatysfakcjonowani technicy. – Udało się to znakomicie zastosować do napędu pańskiego rozdzielacza tlenu. Stąd ta genialna miniaturyzacja.

– A więc ukradliście mój patent i teraz go odsprzedacie, po stokroć podwajając zyski?

– Nikt panu, do diaska, nic nie ukradł! – rozgniewał się Molier. – Co się z panem dzieje? Nie znam pana z tej strony! Tylko zyski i zyski. Prosta sprawa, że w takiej kieszonkowej formie nada się do szerszego użycia. Nie ma tu mowy o większych niż pięć rozmiarach. Dla nurka głębinowego to rzecz oczywista. Dla pana również pewne się stanie, gdy nabędzie pan doświadczenia podwodnego i zrozumie, że miniaturyzacja jest konieczna.

Westchnąłem ciężko. Porwałem przedmiot i schowałem do kieszeni jak swój. W głębi duszy zgodziłem się z ich argumentacją. Tutaj znowu włączył się do rozmowy stary Hindus. Jego siwa broda posiadała jakąś mistyczną, magiczną moc, bo nie potrafiłem wręcz oderwać od niej oczu. Oto niby tańczyło przede mną gniazdo chowające pisklę w sinawej z lekka linii warg. A te produkowały słowa. Doprawdy, poczułem się nieswojo.

– Jak się pan znakomicie orientuje, podstawowe znaczenie dla funkcjonowania i życia organizmów w wodzie ma rozpuszczony w niej gaz, tlen, który pochodzi głównie z atmosfery. Może też być produktem ubocznym fotosyntezy przeprowadzonej przez rośliny podwodne lub fitoplankton przy udziale światła. Ale co się stanie, jeśli uda się pan wprost w głębinę, w których dostęp do obu wyżej wymienionych źródeł jest limitowany lub wręcz niemożliwy? Jak tam sobie poradzi organizm żywy wymagający do chemii wewnętrznej gazów? Otóż koncentracja tlenu w poszczególnych warstwach oceanu jest uzależniona od temperatury wody. Wraz ze wzrostem temperatury rozpuszczalność tlenu maleje, a im głębszy zbiornik, tym bardziej organizm taki staje przed groźbą niedotlenienia w jego warstwie przydennej.

– A więc znajdziemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

– Niech pan się uspokoi i słucha – skarcił mnie profesor i nawet pan Bizzard spojrzał nieprzyjemnie.

– Przenikanie tlenu z powietrza do wody zachodzi tylko na granicy zetknięcia się tych dwóch środowisk. Stąd wody stojące wchłaniają mniej tlenu niż płynące lub silnie sfalowane. Woda posiada największą gęstość w temperaturze czterech stopni Celsjusza. Powyżej i poniżej tej temperatury staje się lżejsza, co umożliwia jej mieszanie. Tam, dokąd płyniemy, jest najgęstsza.

– Sugeruje pan, że będziemy zmuszeni używać mego aparatu w wodzie na stałe, do oddychania?

– Sam tlen człowiekowi też nie wystarczy. Jest to gaz w większej ilości wręcz trujący. Stąd niezbędne będą pewne uaktywnienia rejonów pierwotnych naszego ciała.

– Co ma pan, za przeproszeniem, na myśli? – spytałem z marsowym czołem.

– Znow ten pana temperament – westchnął ciężko Reynash. – Dieta i fizyczne gimnastyki wyregulują nasze ciało i przygotowują do zmierzenia się z każdym wymaganiem środowiska. A co jeśli to nie wystarczy? Będziemy zmuszeni sięgnąć do warstw uśpionych naszego ciała, bo jest ono niczym osadowa skała pokazująca na zewnątrz jedynie powłokę, a nie nawarstwienia budowlanej doskonałości. Ale tę dziedzinę najlepiej przybliży fachowiec. Niech zatem pan profesor zabierze głos.

Molier odłożył zaczęte cygareto do popielnicy, wstał z miejsca, pokłonił się wdzięcznie i pod wąsem lekko uśmiechnął. Posiwiaste potężne bakenbardy dodawały mu szyku i elegancji. Szare oczy o spojrzeniu jastrzębia kojarzyły się z duszą twardą i nieugiętą. Surowe kontury twarzy i zapadnięte policzki sugerowały, że mamy do czynienia z osobą pracowitą i oddaną każdej wartościowej w odczuciu społecznym idei. Na nowo mnie przekonał, znow znalazłem się pod jego dominującym wrażeniem. Porywał mnie nie tylko treścią wypowiedzi, ale i przekonującą łagodnością głosu.

– Mamy zamiar z panem Reynashem nie tyle improwizować, co poruszać się po procedurach znanych i udokumentowanych praktycznie. Stąd spodziewajcie się po terapii wannowej absolutnego profesjonalizmu. W procesie transformacji cielesnej będziemy mieli do czynienia z uaktywnieniem organów i instynktów atawistycznych. Osiągniemy to za pomocą diety bogatej w tak zwane reaktory regresji ewolucyjnej. Chemiczne wzburzenie doprowadzi do aktywacji pradawnych zdolności adaptacyjnych ukrytych w organizmie ludzkim. Jak wszyscy wiemy, pochodzimy od najdalszych przodków ryb kroczących, potem gadów zajmujących wszelkie ziemskie nisze, wreszcie praprzodków szczurów prowadzących swe drogi doskonalenia do ssaków. Muszą istnieć więc gdzieś owe organiczne w genezie, wiodące w przeszłość koneksje i porzucone mosty. Nic nie zmienia faktu, że chodząc po suchej ziemi, jesteśmy takimi samymi emisariuszami wodnych światów, jak przed eonami. Czy, należąc do całości, zamykaliśmy się błoną, czy odgraniczaliśmy nasze jestestwo, odbiegając od źródła o

kilometry, zawsze pozostawaliśmy uzależnieni od oceanu, który całą tę planetę uczynił użyteczną dla życia. A mimo że składając się niemal w dziewięćdziesięciu procentach z wody, uznaliśmy się istotami lądowymi patrzącymi z wyższością i obojętnością na przelewające się wody światowe – czujemy się ich partnerami i częścią.

– Chce pan wytworzyć w organizmie ludzkim wzrost nowych kapitałów? To jest narządów podobnych rybiej naturze, które ponoć wciąż istnieją w nas potencjalnie drzemiące?

– Proszę pana, wiele archaizmów wciąż w nas funkcjonuje. Na przykład takie zęby mądrości służyły przed milionami lat do przeżuwania twardego roślinnego pokarmu zawierającego celulozę. Istnieją, tyle że dzisiaj nasze szczęki są zbyt małe, żeby je pomieścić. Dodatkowo: wyrostek robaczkowy jest zaślepioną cewką wyrastającą z jelita grubego, która u naszych dalekich przodków zwierzęcych umożliwiała właśnie trawienie celulozy, czyli, popularnie mówiąc, jedzenie trawy. Fałd spojówki rozwijający się w kącie wewnętrznym oka, który służy rybom, ptakom i ssakom jako wycieraczka i osłona przed uszkodzeniem, u ludzi objawia się niedużą różową wypukłością. Znana nam wszystkim kość ogonowa, z której wyprowadzony ogon pomagał nam w utrzymaniu równowagi podczas poruszania się po drzewach, wciąż się przydaje, ponieważ jest punktem zaczepu odbytnicy. Narząd lemieszowy w naszym nosie liczący zaledwie dwa milimetry służy do wychwytywania feromonów. Mięśnie wywołujące gęsią skórkę pozwalają ptakom stroszyć pióra, a ssakom jeżyć sierść w obronie przed zimnem lub zagrożeniem. Dawne ryby płucodyszne połykały powietrze potrzebne do oddychania. Kręgowce lądowe przystosowały się do pobierania powietrza przez otwory węchowe, które znajdują się po przeciwnej stronie przewodu pokarmowego, ale ich część wspólna pozostała. Częściowy rozdział obu układów istnieje u noworodków, które mogą jednocześnie ssać i oddychać. Czy choćby funkcja nerwu przeponowego: mimowolny, powtarzający się skurcz przepony, czyli czkawka, to nasz spadek po kijankach. Kiedy kijanka oddycha skrzelami, woda musi przepływać przez jej gardło do skrzeli, ale nie powinna się dostać do leżących głębiej płuc. Dlatego zwierzę zamyka głośnię, robiąc jednocześnie wdech, co przypomina czkawkę. Czy mam wyliczać dalej?

– Nie, wystarczy. Nie rozumiem, do czego pan swoją wyliczanką zmierza? Czyżby pragnął pan uaktywnić obecne w ludzkim organizmie potencje, czy też rozwinąć ze starych zarodków organicznych nowe formy organów w wynaturzonej skali? – zapytał lord Bizzard, zapalając fajkę.

Molier wskazał chłopca okrętowego. Delikatnie odwinął bandaż z jego gardła.

– Nasz Jarboy – zaczął przejętym tonem – już na wstępie służby zgodził się na kurację ajurwedyjską. Próbowałem go wpierw odwieść od tego zamiaru codziennym widokiem samego Reynasha zanurzonego w specjalnie przygotowanej balii z pokrywą żeliwną i



odparowywaczem. Potem, gdy i to mu do przekonania nie trafiło, obiecałem udział w naszej podwodnej wyprawie, o co dotąd bezskutecznie zabiegał.

– A planuje pan takową aż na całe miesiące? – żywo zainteresował się sir Duncan. – Bo wiem tylko o kilku tygodniach.

– Tylko w przypadku szczęśliwej metamorfozy obu panów dokooptujemy was do drużyny podmorskich wybrańców.

– I dlatego musi nas pan na czas jakiś uwięzić w baliach?

– W szczerozłotyach wannach z kompresorami i podgrzewaczami. I to tylko dla waszego dobra. Koniecznym obowiązkiem jest, bym panów ostrzegł przed wychodzeniem w tym stanie na korytarze. Niewtajemniczona w szczególności załoga mogłaby panów próbować zastrzelić przy lada podejrzeniu o chorobę morską pochodzenia. Od ryb przyszło ostatnio sporo infekcji, a te o genezie organicznej i dodatkowo wyzwalające szaleństwo opętania wodnego są najgorsze.

– Ma pan na myśli „akwapendię”<sup>30</sup>? – zapytał Lord Duncan. – Wirus morski niesiony sztormem?

– Otóż właśnie. Każdy marynarz, który za dom swój uznaje Ocean Południowy wie, jak schorzenie przebiega i z przerażeniem o nim myśli. – A widząc moje zdziwione spojrzenie, zaraz dodał: – Zmiany skórne podobne do twardych kul są nagminne. Szybko prowadzą do opuchnięć gardła, utraty mowy i łaknienia. Skórę pleców porastają twory wpięrowe podobne do liści, potem do ruchliwych miniaturowych płetw, które przy ozdrowieniu wypadają. W skrajnych przypadkach chorzy tracą zmysły i na gwałt rwą się do wody. Całe załogi wielorybnicze rzucały się w tonie i słuch po nich zaginął.

– A tymczasem... co stało się z pańskim hinduskim kucharzem umoczoną w balii pod przykryciem? Doznał przemiany? – spytałem, bo nad wyraz zainteresował mnie profesor aspektem oddechowym. Przecież nie nadaremno dwa ostatnie lata ślęczałem nad projektami i nie było dnia, bym nie utknął w równaniach dotyczących wymiany gazowej.

– Ależ oczywiście. Zobaczywszy to, chłopak zaraz się zaangażował. W dwa dni wykształcił parę nowych skrzeli i filtrując w najlepsze fitoplankton, który też może być źródłem tlenu, przeleżał w cieczy aż sześćdziesiąt godzin – wyrzucił z dumą Molier. – Na drugi dzień wraz z Reynashem kucharzył w najlepsze w naszym kambuzie.

– Nie może być! – wątpiłem.

– Ależ proszę tylko na niego spojrzeć. Przyprowadziłem go tu nie dla parady. – Tutaj kazał młodzieniaszkowi podejść bliżej i odwinąć pozostałe bandaże.

Ze zgrozy zaniemówiłem.

Ujrzałem strasznie oszpeconą szyję, a na łączeniu karku z plecami ropnie i plamy. Jakby ktoś wyhodował sobie organiczny żabot na skórze i podciągnął go niemal pod

szczękę. Ta grzybicza narośl falowała i w tętnieniach nabierała krwistej barwy. Z powodu zapotrzebowania na wodę wiotczała i układała się łagodnie niby łuska, żeby po chwili usztywnić się i na nowo sterczeć – gotowa do oddychania podwodnego. Schlapana wodą, na powrót w ruch się wdawała i dyskretnie posykiwała.

– Wyrastające wzdłuż skórniego pęknięcia na szyi koronkowe narośle – komentował profesor – to najnowocześniejsze ewolucyjnie wyrzynające się kanały skrzelowe. Podobnie były obecne w naszych organizmach przed około dwustu pięćdziesięcioma siedmioma milionami lat. Pozwalały też na odsiew planktonu i jego wprowadzenie do układu pokarmowego. Niestety w wyniku przystosowania się organizmu do życia na lądzie całkowicie uschły i w ciele zanikły. A skóra chłopca? Zauważyliście panowie ten niezwykle bijący po oczach atlas? Wciąż delikatna i gładka, jak to bywa u młodego boga! W przypadku przebywania w sąsiedztwie prądów morskich nabiera dodatkowego delikatnego kolorytu złotej akwariowej rybki. A plecy? – Tu nieco zadarł koszulę i obrócił biedaka tyłem do nas. – W łopatkach z powstałej dziury wykwitły płetwy wielkości dwukrotnej męskiej dłoni.

– To straszne – stwierdziłem, poczuwszy nie tylko współczucie, ale i obrzydzenie. Chłopak miał cudowne, niemal dziewczęco zapatrzone oczy, pod których spojrzeniem czułem się co najmniej dziwnie. – Niemal kaleką pan go uczyniłeś.

– Ależ nic podobnego. Bez stałego dopływu reaktorów retro ewolucyjnych organizm samoczynnie pozbawi się tych wysokogatunkowych ulepszeń w ciągu dwóch dni. Po kilku tygodniach nie znajdziesz pan śladu po alternacji. Proszę tylko spojrzeć. – Tu wrócił do opisu. – Płetwa to niezwykła, bo pracująca w charakterze wysokoobrotowego śmigła. Dwie takie w pracy zsynchronizowanej potrafią człowieka w postawie wertykalnej w wodzie na długie godziny utrzymać.

– Aż się wierzyć nie chce, co może z ciałem sprytna dieta uczynić – podsumował zawsze sceptyczny pan Bizzard.

– Bogata w uzdatniacze retro ewolucyjne mineralna pożywka poczyniła w metabolizmie osobniczym prawdziwe cuda.

– Niech chłopak sam nam opowie – zaproponował lord.

– W chwili obecnej nasz śliczny okrętowy boy nie będzie zdolny wyartykułować słowa. Być może pod wodą znacznie będzie bardziej gadatliwy. Jest obolały i radziłbym mu dać spokój – rzucił Molier, pokrywając zmieszanie. Bowiem boy to czerwieniał, to bladł, jakby obawiając się być po głosie rozpoznanym.

Spojrzeliliśmy po sobie. Łowca uśmiechnął się wyrozumiale.

– Czy aby niespodziewanie nie znikną owe organy, gdy pozostaniemy w wodzie zbyt długo pozbawieni odpowiedniej diety? – zapytałem, by nieco rozładować napięcie.

– I dlatego zainteresowałeś mnie pan swymi genialnymi patentami. W życiu nie poważyłbym się na ryzyko dalekiego nurkowania, zawierając wyłącznie dziecie

ajurwedy.

– A więc to jeszcze niesprawdzone?

– Posiadam dokumenty potwierdzające okres działania dłuższy niż pięć miesięcy. Ale to procedury suplementów i o tym później. Najpierw poproszę panów o pisemne poświadczenie zgody na przeprowadzenie kuracji.

Po czym pan Molier podał nam wypisane arkusze. Nie pozostało mi nic innego, jak, idąc w ślady pana Duncana, złożyć mój podpis.

---

30 Fikcyjna jednostka chorobowa.

Obaj z Sir Bizzardem przeżyliśmy prawdziwe katusze, pozostając przez najbliższy tydzień pod bacznym okiem hinduskiego bramina, który karmił nas miksturami, wmasowywał w ciało oleje, poił i biegał wokół naszych kajut z dymiącą kadzielnicą, której wyziewy były odpowiedzialne za obudzenie w umysłach przypadkowych świadków potwornych mamideł. Zdawało się, że my sami popadniemy w mentalną zapaść, stan bliski szaleństwa. Sami z siebie już po dniu kąpieli mruczeliśmy lub wypowiadaliśmy nieprawdopodobnie odpychające frazy, od których nam samym robiło się niedobrze. Przychodził wtedy Hindus. Nucił krótkie pieśni, od których ruszały się meble, i gestem magicznym nas uspokajał. Już po pierwszych dniach własne ciało stało nam się obce i wstrętne. Później wstąpiły na nas dziwne poty. Wydzielane w postaci tłustej i gęstej, czasem galaretowatej, doprowadzały mnie do bezdechu i utraty świadomości.

Ale za każdym razem budziłem się mocniejszy.

Z każdym dniem lepiej goniłem myślą krople wody skraplające się w rogach sufitu lub na obrzeżu iluminatorów.

Posłuszne stały się i plamy rosy, i para wypuszczona z naczyń.

Dłoniom ulegały pobliskie fale.

I choć nikt tego nie widział, z czasem poczułem się w wodach mocarny i pewny siebie.

Trapiły mnie również nagłe pęknięcia skóry i rozwarcia tym szersze, im głębiej otwierała się rana. Tylko szaleniec mógłby się dopatrzeć w nich biegnących zygzakiem kanałów skrzelowych. A jednak powstawały. Jeden ciągnący się wzdłuż szyi napełnił mnie wyjątkowo potwornym lękiem. Wsysał w siebie jakoby automatycznie dostępne powietrze. Może już od teraz organizm szukał wody? Może dokonywał na sobie jakiś testów? Tak naprawdę miałem uczucie nie należeć do własnego ciała. Żadnym zmysłem go nie akceptowałem.

– Bezpośrednio przed fazą wannową muszę poddać szczególnej pielęgnacji wasze uda i nogi – wspomniał Hindus przy popołudniowej wizycie technicznej. – Nie należy zapominać o wciąganiu gumowych kalesonów. Portki owe oszczędzą panom bólu zrostów. Nie chcemy tutaj powstania serenidy.

– Jakich zrostów? – jęknął lord Duncan.

– Parszywych zrostów skórnych, powstających w wyniku ruchu węzowego, czyli pływania w symulującej stały przepływ wody wannie. Wykształca się bowiem potężny ogon morświna, kompletnie zbędny w waszym tymczasowym i wyłącznie misyjnym przypadku.

– Nie wiem, lepiej niech pan trzyma się ode mnie z daleka. Jeśli ujrzę w sobie jakieś stałe zwyrodnienia, dogonię pana i rozszarpię – ostrzegł lord gniewnym głosem.

Spojrzałem na rzeczoną skórę. Występowały tam już jakieś niepokojące cętki, a złączone nogi wykazywały lepkość. Czym prędzej wdziałem wspomniane sięgające kolan portki, by przypadkiem nie ujrzyć siebie w kształcie męskiej syreny z ogonem morświna.

Wreszcie czwarty dzień nasilonej intensyfikacji przyniósł w terapii znaczącą odmianę. Zaprezentowano system wannowy. Mieszcząca się niedaleko kotła parowego tajemna kajuta posiadała elektryczne światło i wyprowadzenia wodne na zewnątrz. Wciąż tu coś bulgotało i niezmordowanie się przelewało. Reynash kazał nam się rozebrać i pozostać w samych reformach. Następnie założył na nasze ciała przyssawki z zegarami wskazującymi puls, ciśnienie i saturację, co było dla mnie niejaką medyczną nowością.

– Na pewno niejedynemu dobrodziej się zastanawiał – zaczął polubownym tonem, widząc nasz niespokojny wzrok – jakim sposobem ludzie będą potrafili porozumieć się w podmorskich światach. Otóż robiliśmy doświadczenia z dźwiękiem. Wodne środowisko jest, jak wiecie, nieadekwatnym do naszych potrzeb ludzkich. Ucho wypełnione wodą niestety nie nadaje się do wychwycenia subtelnych różnic, jak się to udaje w powietrzu. Stąd wkrótce odkryliśmy pewne sole, które, wmieszane w ciecz, doskonale wspomagają neurony mózgu w ich zdolności psychotronicznej i magnetycznej. Ciecz jest środowiskiem gęstszym niż powietrze, stąd też eksperymenty telekinetyczne udają się bardziej spektakularnie. Mówimy o zjednoczeniu materii. Mówimy o współodczuwaniu. Człowiek będący wodną kroplą na lądzie z łatwością znajduje tu wspólną płaszczyznę myśli ze środowiskiem, z którego pochodzi.

– Mam pan nadzieję solami wzbudzić w nas zdolności telepatyczne?

– Raczej przyznałbym się do próby zjednoczenia zmysłowego. Sami panowie wkrótce pojmiecie tę świetną ideę. Zatem zapraszam do złotej balii na metamorfozy.

Gdybym wiedział, jakie to będzie miało dla mnie konsekwencje, na pewno bym onego dnia ze statku wyskoczył i płynąc wpław, uciekł do brzegów Tasmanii, a potem w knieję. Rozpoczęły się najgorsze chyba w moim życiu dwie doby fizycznego cierpienia.

Profesor wtoczył mnie do cieczy jako pierwszego. Wcześniej zalepił usta, tak że dusiłem się już na samym początku. Pod powierzchnią miały zaraz podjąć pracę skrzela. Nie chciały nawet wciągnąć w siebie kropli, w związku z czym posiniałem i z rykiem przerażenia próbowałem się z onych profesorskich ramion wyrwać. Tyle że ów wprawny jegomość zaczął śpiewem mnie do uległości przymuszać, a wiadomo było, że nawet meble jego bramińskiego nucenia słuchały. Potem podjął się mnie usypiać i doprowadzać do stanu bliskiego letargowi. Byłem pewny, że oto nadchodzi śmierć od utopienia.

Wielokrotnie traciłem przytomność. Coraz trudniej ją odzyskiwałem. Po jakiejś godzinie zauważyłem, że oto nikt mnie nie trzyma. Za to ręce i nogi tkwią w okowach specjalnie ukształtowanej wanny. Spróbowałem wystawić głowę ponad powierzchnię wody, ale że usta i nos pozostawały na stałe zalepione i taśmę wzmocniono specjalnym ściągaczem, nie miałem nawet szans.

Schroniłem się pod powierzchnię i stąd obserwowałem zamazane szczegóły sufitu. Spokojnie oddychałem przez szparę w karku. Było to różne od perspiracji atmosferycznej doświadczenie. Odczuwałem słodkość ośrodka, jego ton i barwę. Nie było tak jak z obojętnym powietrzem, które dopiero gdzieś w naturze, na łąkach, nabierało smaku i różnorodności. W wodzie każdy haust był inny i bogaty.

Niepokoił mnie tylko stan mojej głowy. Czułem, że stała się od pewnego czasu w dotknięciu oślizgła i wstrętna. Broda mi przeszkadzała, a jej nieprzycięte włosy nazbyt falowały przy byle jakim ruchu. Radziłbym więc każdemu, kto podejmie się w przyszłości takiej metamorfozy, by nie zawahać się ani sekundy w decyzji ogolenia wszelkich zarostów.

Zapragnąłem się podzielić wrażeniami z lordem Bizzardem.

Przecież nie byłem w kajucie sam.

Hindus, tak jak obiecywał, zapewnił nam obu łączność kanałową, dzięki której leżąc pod wodą mogłem się z lordem Bizzardem porozumieć pociągnięciami odpowiedniej wajchy. Zrazu były to próby niezdarne, ale wkrótce doszedłem do wprawy. Po niejakiem czasie Reynash uznał wiążące nas okowy za zbędne i pozwolił na swobodne używanie dozownika z kryształami fonii. Znacznie usprawniło to nasze porozumienie.

Z początku żadnego nie miałem pojęcia o skali metamorfozy, jaką przechodziliśmy.

Wczesnymi, mroźnymi rankami udawaliśmy się na zwyczajowy spacer po pokładzie, by z dala od innych napawać się widokiem wschodzącego słońca i świeżą bryzą idącą od dalekich wód. Jakimż szokiem był nasz widok dla pracującej o tej porze nielicznej załogi. Łachmany nasze wzięli za porzucone szmaty, a nas samych, myśląc zapewne ze zjawami, zapragnęli natychmiast zepchnąć z pokładu. Udało im się kilkakrotnie.

Wpadając do mroźnej wody, doznałem przyjemnego wrażenia odświeżenia. Zauważyłem, że zsynchronizowane wymachy rąk i nóg niosły mnie pod powierzchnię dużo szybciej, niż to było dla człowieka możliwe. Ciało wiło się w rytmicznych skurczach, a wspomagające rozgarnianie i odpychanie zaskakująco mnie pochłonęły. Nawet nie zauważyłem, jak oddaliłem się na głębokość pięćdziesięciu metrów i nie zdając sobie z tego sprawy, podążałem dalej. Dopiero dźwięk gwizdka Reynasha dochodzący z łajby nade mną i obecność płynącego nieopodal lorda Bizzarda pozwoliły mi opanować te ciągoty do głębin.

Zawróciliśmy i zgodnym rytmem podążyliśmy za porośniętym muszlami dnem „Minerwy”. Zaledwie wychyliliśmy głowy ponad powierzchnię, rozległy się strzały. Zmroziła nas ta reakcja. Kule chybiły zaledwie o centymetry.

Musiał na pokładzie interweniować kapitan. Chociaż nie był mu w smak widok pokręconych od minerałów postaci, jednak dał marynarskiej braci popalić. Cały dzień chodził z wyrazem niezadowolenia na osmaganej wiatrami twarzy.

Tego samego wieczora zawezwał nas przed swoje oblicze i tak wystrofował profesora Moliera w naszej obecności, że aż mnie ogarnęła uciecha.

Wtem spojrział na mnie, oczekując jakiejś riposty, więc zgodnie z prawdą zrelacjonowałem:

– Ten tylko zrozumie, kto sam podda się organicznym przeróbkom – żartowałem, choć temat był poważny. – Nie ma takiej mocy, by powstrzymać na nowo dostrojone do wody ludzkie ciało przed nieopanowaną potrzebą nurkowania. Tylko wielka rewolucja biologiczna jest w stanie nasze cechy lądowe odwrócić. Coś za coś. I stało się! Trzeba nad naszym zachowaniem przejść do porządku dziennego, a u marynarzy powstrzymać agresję, bo inaczej durni schwytni i puścimy dopiero sto metrów pod wodą – zagroziłem, buńczucznie patrząc fatalnie jeszcze zasolonymi oczami. – Zresztą nasz profesor nie na darmo nosi wielki szal i skrywa coś pod surdudem.

– Nie pana to sprawa – odparł rozjuszony moim zachowaniem i widać zmieszany kapitańskim świadkowaniem, bo przyrzekł trzymać się z dala od wszelkiej cuchnącej stryczkiem genetyki eksperymentalnej.

– Przyznaję, ostrzegaliśmy pan przed mającą swoją granicę cierpliwością załogi – mówiłem. – Wyszliśmy z lordem na krótkotrwałe przewietrzenie, a tu zaraz jak nie wydrze się na nas hołota, jak nie ruszy do bitki! Oto od pierwszego momentu rozjuszona naszym widokiem banda awanturników zepchnęła nas z pokładu na pożarcie skutnicom<sup>31</sup>.

– Radziłem trzymać się granic kajuty – wysyczał wściekły kapitan Grayson.

– Nie wiem, jak weszliscie w posiadanie klucza, ale wiedzcie, że jest to wykroczenie nader naganne i potępiam pomysłodawcę. – Profesor raczył zareagować już spokojniej.

– I żeby mi się to więcej nie powtórzyło – dodał z groźbą w głosie kapitan.

Następnego wieczora, odczuwając nieprzewyciężony głód, zdecydowałem się rzucić ponownie w podmorskie wody. Dokonałem tego w tajemnicy przed wszystkimi, bo nawet lord Bizzard od moich zachęt do wspólnej kąpieli się odganiał. Plankton, glony i skorupiaki, które miałem okazję skonsumować za pierwszym razem, wyraźnie przypadły mi do gustu. Cóż robić, kiedy suszona treść odżywcza, którą karmił nas Hindus, była dla mnie nad wyraz niewystarczająca? Posiadała marną wartość zaledwie rozmoczonego maleńkiego suchara, co dla dorosłego mężczyzny jest dzienną dawką pokarmową wręcz śmieszna.

– Nie dostrzegam w pańskich słowach skruchy – warknął kapitan Grayson, kiedy znalazł mnie oblizującego się z zieleniny tuż przy burtowej balustradzie. – Zachowanie pańskie, warczenie i kształt głowy, którym się pan tak afiszujesz, wywołuje me najgorsze przeczucia. Wiesz pan, że podobna jest pańska łepetyna do wydłużonego, ohydneho starego arbuza? Zajrzyj pan w lustro, to się schowasz ze wstydu w ładowni...

No cóż. Miał rację.

Oślizgłość, która w stopniu nieznośnym opanowała powierzchnie skórne, była czynnikiem ciągnącym nas z lordem w oceany. Tylko w słonej, mroźnej wodzie potrafiliśmy doznać ulgi od męczącego swędzenia. Zatem skoczyliśmy, tym razem obaj, o północy do wody, aż potężnie plusnęła.

Zataczając wielkie koła, oddaliłem się samotnie od statku na dwie mile. I tam ujrzałem obiekty idące na krótkiej fali, które początkowo wziąłem za zwidy lub rzucone i ciągnięte przez wiatry płaty pradawnych, nigdy nieopadających żagli, o jakich również opowiada się dziwaczne historie w marynarskich kambuzach. Z bliska ze zdumieniem odkryłem kryształy ogromne, niby stworzone z odprysków poklejonego lodu, a lekkie, jakby wydmuchało je z ptasiego pierza samo powietrze.

– Ze środków tego dziwactwa setki patrzyły na mnie oczu – opowiadałem później uspokojonym już nieco panom Graysonowi i Molierowi. – Fosforyzacja ciał pobliskich niemal mnie oślepiła. Byłem pewny, że widzę duchy lub ich naelektryzowane do mocy megawatów wzmocnienia idące z bardzo daleka spirytystyczne echa. Wniknąłem w wody jak najgłębiej, a gdy już przestały mnie owe istoty śledzić, wypłynąłem znowu



znacznie dalej, by odkryć kilka innych idących tuż przy wodzie niby mydlane bańki stworów. Wydawały z siebie dźwięk niepodobny do niczego, co znam z doświadczenia życiowego. One również wydawały się nasz świat badać i nie przestawały się głośno dziwić. Doszedłem zatem do przerażającego wniosku. Byłem pewny, iż oto zbliżamy się do onej bramy piekielnej tak uparcie umieszczanej przez spirytystów na polach przybiegunowych. Czym prędzej odnalazłem w wodzie lorda Bizzarda, który naocznie stwierdził obecność na głębokości trzystu metrów obiektu podobnego do niekształtnej beczki.

Wszystko to mówiłem jednym tchem, bo coraz trudniej przychodziło mi oddychanie w atmosferze gazowej. Profesor mocno pobladł, prawie posiniał, jakby cała ta historia obnażała jego najgłębsze tajemnice.

Kapitan również mocno się zafrasował.

– Czyżby śledziła nas jakaś japońska łódź podwodna? Może niemiecki torpedowiec? – wyraźnie się denerwował towarzyszący nam oficer.

– Niech pan nie gada bzdur – ostrym tonem zareagował kapitan. – Mniemam, że nadmiar zażywanych przez lorda i pana De Waaya minerałów poczynił w ich mózgach pewne spustoszenia. Najpewniej widzieli rzeczy realne i poddawali je fałszywej interpretacji. Od tygodnia obserwujemy towarzyszące nam w oddaleniu walenie, stąd pan Bizzard mógł jednego z nich ujrzeć śpiącego głęboko pod pancernym kadłubem „Minerwy”. Zmęczenie i irytacja farmakologiczna robią swoje.

– Oby miał pan rację, bo nie ścierpię na pokładzie więcej tego typu eksperymentów. Złośliwe duszki wodne są mi aż za dobrze znane – rzucił oficer, zakładając dopiero co zdjętą czapkę.

– Zapewniam, że więcej się podobna historia nie powtórzy, a dla panów zarządzę codzienne dwukrotne mycie, by właściwie pozbyć się kumulujących osadów. – Molier mrugnął do mnie okiem i pogonił w stronę kajut. – Na drzwiach założę skoble.

Jednak pomimo naszego zamknięcia nerwowe napięcie na „Minerwie” wcale nie opadło. Wciąż wypatrywano w wodach obserwujących nas ślepi, a dźwięki metalicznego poszumy i bardzo odległe ryki prześladowały nas zwykle od północy do rana. Dopiero wstające słońce i rozsnuwające się mgły rozgoniły tę zacieśniającą się atmosferę trwogi.

Z każdym dniem, stojąc przy lustrze, napotykałem coraz potworniejszą fizjonomię. Czoło powędrowało bardzo do przodu. Oczy znalazły się u dołu. Włosy się przeredziły, a uszy wyraźnie zmalowały. Wyrzeźbił był z nas Hindus poczwary ludzkie z głowami jak dojrzałe arbuzy. Mogliśmy stawać w zawody rybiej piękności. Palcem starałem się zdejmować galaretowate pokrycie skóry i strzepywałem przebrzydłe zbiory na świeżo wymytą podłogę. Nie wiedziałem, skąd bierze się tego smaru taka mnogość. Był ohydny w konsystencji i cuchnący. Napotkani w korytarzu w porze śniadania

marynarze uciekali na nasz widok. Natomiast profesor Molier nie mógł wyjść z podziwu nad tą wykreowaną z człowieka potwornością.

Szczerze się dziwiłem okrętowemu boyowi, że taką piękną twarzyczkę zdołał zachować, a kragłością głowy ciągle mógł się szczycić.

---

31 Skutnica – fikcyjna foka olbrzymia, polująca na człowieka dla przyjemności i zabawy. Rozsmakowany w mięsie ludzkim drapieżnik, celowo sklonowany przez obcych, w swych ekstremach osiągał wagę do dwudziestu ton i długość do piętnastu metrów. Potrafiący swobodnie oddychać pod wodą potwór docierał do głębokości sześciu tysięcy metrów.

Rankiem 2 listopada 1912 roku nastąpiło przesilenie. Właśnie dopływaliśmy do punktu oznaczonego na mapie krzyżykiem Heroysena. Leżał jakieś trzydzieści mil morskich na południe od wyspy Macquarie<sup>32</sup> popularnie tutaj zwanej Maccą. Leżała na pięćdziesiątym czwartym stopniu szerokości południowej i sto pięćdziesiątym ósmym długości wschodniej.

Wyspa rozciągała swe ponadmorskie władanie na długości trzydziestu czterech kilometrów i wygryzała się skalistymi wypiętrzeniami w słone dno morskie na szerokości pięciu. Z kształtu przypominała rozwleczone siodło, a w trzech punktach miała skaliste zwieńczenia.

Pierwszym z nich był czterystumetrowy, zawsze zamglony Mount Hamilton na północy, a drugim nieco od niego wyższy Mount Fletcher na południu. Środkowy szczyt w tym czasie jeszcze nie posiadał nazwy.

Od sterów poszły rozkazy do maszynowni. Wstrzymano kotły, a wirujące jeszcze turbiny przestawiono na biegi neutralne. Zmniejszono przepływ pompy o połowę. Z kambuza wygramolił się tłusty bosman i zaczął wpierw głośno przeklinać, zanim gwizdkiem marynarskim nie zwołał do siebie nielicznej załogi. Rozdzielił funkcje. Zawołał na nas, przypatrujących się manewrom przy relingu, i rozkazał zająć się zwijaniem lin. Praca ta była zbyt uciążliwa, wobec czego poskarżyliśmy się natychmiast profesorowi. Zaśmiał się tylko. Kazał poszukać mechaników okrętowych a sam ruszył do rychtowania szalup. Mieliśmy towarzyszyć mu w wyprawie na ląd. Znów nie potrafiłem ukryć niezadowolenia. Czułem fatalne zimno, ledwo wyciągałem nogi i wolałem ten czas spędzić w wodzie, najlepiej w podgrzewanej wannie nakropionej wydzieliną ze świeżo złowionego planktonu. Jednak Molier dał nam obu znak, byśmy tego nie robili. Okolica należała do tych najbardziej niebezpiecznych i trzeba było z góry zorientować się w sytuacji.

Po godzinie pełnego napięcia lawirowania pomiędzy ostrymi odpryskami skał nadmorskich dotarliśmy na stały ląd. Zaczynając z samego brzegu, rozpoczęliśmy karkołomną wspinaczkę na trawiaste wzgórze. Piszę: karkołomną, jednak nie tyle że sprawiającą trudności fizyczne i powodującą wycieńczenie, co totalnie mrozącą arktycznym wiatrem i drobinami bijącego w nas ostrego lodu.

– Po co tu wchodzimy, sir? – zapytałem, będąc już doprawdy u kresu sił, bo profesor uparł się, by dotrzeć na najdalej na południu położony szczyt jeszcze przed godziną, gdy słońce jest najostrzejsze.

– Zobacz pan – rzucił za siebie krótko i szedł dalej.

Istotnie, z góry widok wydał mi się imponujący. Niewielka zatoka i kilka zdaje się opuszczonych domostw wielorybników prezentowały się na tle urozmaiconych trawą i omszałymi skałami przepięknych wzgórz cudownie. Niebo i ocean w tle dopełniały krajobrazowego splendoru.

– Nie tam niech pan patrzy, a tam! – Molier szarpnął mnie za rękaw gumowej bluzy. Ponaglany, zwróciłem spojrzenie na południe. Starłem się prześledzić ruch profesorskiej ręki i z całej siły wpatrywałem się w horyzont, nie widząc niczego prócz mgielnej, odległej kreski.

– Ależ nic tam nie ma – stwierdziłem lakonicznie.

– Zupełnie nie spodziewałem się po panu takiego niedouczenia. Patrzy pan od godziny na stada pingwinów, podziwia przelatujące ptaki<sup>33</sup>, a zupełnie nie dostrzega pan istoty wręcz fenomenalnej, która od dziesiątków lat przeraża pływających po tych wodach ludzi.

Lord Bizzard podał mi swą własną składaną lunetkę i zachęcił ręką, bym skierował szkła na południowy wschód.

– Ma pan na myśli owe wielkie koła oceanicznych zawirowań czy też prądów tuż przy linii horyzontu? – spytał pan Duncan z nonszalancką manierą. Poszukał w kieszeni fajki i stając naprzeciw wiatru, ostrożnie nabił ją tytoniem i zapalił.

– Otóż to właśnie owe prądy! – Molier przekrzyczał nagły podmuch wiatru. – Miałem na myśli całe obecne tam mrowia, zdolne wciągnąć słabą blaszaną łajbę na samo oszlamione dno. Jak donoszą naoczni świadkowie, również ci zatrudnieni na naszej „Minerwie” wielorybnicy, zachowanie tajemniczej istoty przypomina rytualne gody. Zawsze o tej porze roku, często w rytmicznym amoku wytwarzanych przez siebie burknięć czy też nawet słabo artykułowanych pieśni, dochodzi tam do grupowych zalotów. Nie byłoby w tym nic dziwnego – ot, nieznanie nauce zwierzę zamknięte w niewielkiej strefie niszy ekologicznej, której z własnej nieprzymuszonej woli nigdy nie opuszcza. Ale jest w tym jeszcze coś intrygującego.

– Niczego więcej nie widzę – wyburczałem przez zmrożone zimnym powiewem zęby.

– Pokaż pan – zirytował się pan Bizzard, wrywając mi lunetę.

Hrabia Molier podniósł do oczu własną prywatną hornettę 250 i zerknął ciekawie. Ja tymczasem stałem, jakby oczekując ferowanego przez wyższe gremium wyroku.

– Nie jestem pewny, ale zdaje się, że widzę piaszczystą łachę...

– Oczywiście, że się pan nie myli – odparł Molier, odbierając z rąk lordowskich i składając swój genialny instrument do futerału zawieszzonego na pasku arktycznego płaszcza. – To tak zwana wyspa fantomowa, którą w roku 1910 wpisano do specjalnego rejestru tysięcy podobnych obiektów. Wyspa Emerald<sup>34</sup>, jak widać, podnosi się z dna oceanu podczas rui tych potężnych samic i samców posiadających potężne ludzkie głowy i ramiona, jakby zwierzęta same brały odpowiedzialność za

mechanizm pojawiania się wyspy i jej znikania. Japońscy żeglarze nazwali tę istotę ningen, czyli człowiek morza. Krąży o nim tysiące legend, a co jedna to gorsza. Bestia jakoby miażdżyła statki i w gniewie ciskała ludźmi w denne muły. Niewielu śmiazków ją ujrzało z bliska i uszło z życiem.

– No dobrze, a co z wyspą? Mówił pan, że zaliczono ją do obiektów fantazmatycznych – zagadnął lord Duncan, którego żadną miarą nie mogły przerazić wyzute z dowodów materialnych opowieści.

– Jestem niemal pewnym, że wynurza się ona okresowo na zasadzie mineralogicznej hydrauliki, to jest gromadzenia się ogromnych bąbli powietrza w komorach gigantycznych złóż pumeksu runyjskiego znanego ze znacznej wyporności. Żyły te unoszą ów niewielki zrąb skalny z oceanicznego dna ku powierzchni w rytmie wręcz zegarowym.

– Co za bzdury – wygarnął nasz łowczy, zupełnie nieświadom, że to może być nietakt i obraza dla takiego naukowca jak Molier. Na szczęście naukowiec się nie obraził. Być może przyzwyczajony do takiego traktowania przez uniwersyteckie audytoria, potraktował uwagę obojętnie.

– Przekona się pan już niebawem – odrzekł tonem całkowicie pozbawionym emocji. – I jeszcze jedno: załoga wyraźnie zrobiła się agresywna. Wiem, że oddano kilka strzałów w kierunku, w którym pan nurkował. Nie powinien pan ryzykować samotnych wypraw. Szczególnie z rana, gdy niektórych męczy jeszcze kac.

Pokryłem zamieszanie przemiłym uśmiechem, ale widać transformacyjne zmęczenie wciąż odbijało się na moim obliczu, bo profesor raptem złagodniał. Patrząc życzliwiej, stwierdził:

– To zwykła zbieranina. Wierzą w różnego rodzaju bzdury z katalogów żeglugi niekonwencjonalnej, a potem przy alkoholu doznają nieprawdopodobnych wizji i sensacji dźwiękowych. Rozmówię się z nimi na stronie, a jeśli zajdzie konieczność, jeszcze dziś lub jutro z samego rana urządzę zebranie połączonego gremium. Dalej tak być nie może. Również dla panów wykreśliłem rozpiskę funkcjonalną. Poza tym nazbierało się ważnych anonsów, więc przy okazji zaproszę naszą gromadę i wyjaśnię wszelkie wątpliwości. Czas rozpocząć przygodę. Nieprawdaż, panie De Waay?

Nie muszę dodawać, że z ulgą powitałem naszą kołyszącą się na łagodnej fali „Minerwę”. Statek przez całą noc pozostał z włączonymi maszynami. Nic się jednak nie wydarzyło. Licho pozostało znacznie od nas oddalone. Dopiero rankiem posłyszałem zgrzytliwy mechanizm wyciągu, jak wydostawał z dna obrośniętą muszlami kotwicę.

---

<sup>32</sup> Wyspa Macquarie, o powierzchni około 126 kilometrów kwadratowych, położona jest daleko na południe od Tasmanii i oddzielona szerokim na 1500 km pasem morza

od Antarktydy. Zalicza się ją do wysp subantarktycznych.

33 Gdy w 1820 roku na wyspie Macquarie wylądował rosyjski Niemiec Fabian Bellinshausen, zarówno foki, jak i pingwiny były niemalże wytępione przez łowców skór i tłuszczu. Zbadał jednak miejsce, określił dokładnie jego położenie i sporządził mapę. Odkrył, że liczba gatunków ptaków notowanych na wyspie sięga setki. „Żeby w Antarktyce obok polarnych pingwinów żyły tropikalne ibisy i europejskie szpaki, to musi to być tylko Macquarie Island, nazwijmy ją Wyspą Ptaków” – powiedział.

34 Wyspa Emerald – przez jakiś czas na mapach na południe od wyspy Macquarie figurowała jeszcze jedna wyspa. W 1821 roku została wręcz drobiazgowo opisana przez załogę statku „Emerald”, która ochrzciła ją mianem swojej jednostki. Ale późniejsze ekspedycje wysłane w celu jej odnalezienia napotkały w tym miejscu jedynie falujący ocean.

Marynarze pośpiesznie wspięli się na wysunięte automatycznie reje. Rozwinęli samonapędzający się stalowy żagiel. Morze pozostawało niezwykle łagodne, jakby niesiony wiatrem wodny pył z południa posiadał magiczne właściwości kojenia zawsze tu burzliwej aury. Statek posuwał się teraz w kierunku południowo południowo-wschodnim, popychany napędem żagla. Zastosowane w nim magnetyzmy gazowe przyspieszały przepływ powietrza. Kapitanowi najwidoczniej zależało na zachowaniu umiaru w zwyczajowym mechanicznym hałasie, w jakim „Minerwa” zwykła się poruszać.

Wybiegliśmy z panem Duncanem na pokład, spodziewając się dopatrzeć na horyzoncie zarysów tajemniczego lądu. Zamiast tego ujrzelśmy puste morze i pozornie całkowity brak jakiegokolwiek w nim życia. Znikły nawet wielkie koła zaobserwowane w polu lunety.

Zniechęceni, udaliśmy się na obiecane przez Moliera spotkanie w kapitańskiej mesie, która tym razem z trudem nas wszystkich pomieściła. Większości oficerów wcale nie znałem i to oni winszowali mi najbardziej wystawionych na stole konferencyjnym prototypów miniaturowego oxygenatora.

Obok profesora ujrzałem przybyłego prosto z kambuza znanego mi aż nazbyt dobrze Hindusa Reynasha, którego imię naukowiec wszystkim dopiero co uczenie przedstawiał, wychwalając osiągnięte naukowe stopnie i popierając wynurzenia dyplomami i świadectwami ukończenia studiów. Znalazłem miejsce w dyskretnym rogu i zacząłem z coraz większym zainteresowaniem przysłuchiwać się dyskusji i samemu wykładowcy.

– Pora wyjawić niektóre tajemnice, bo atmosfera po ostatnich wydarzeniach stała się na pokładzie napięta.

– Nie z naszej winy – rozeszły się wśród obecnych szemrania.

– Pragnę zapewnić załogę, że nie przeprowadzamy na statku żadnych nielegalnych przeszczepów zwierzęcych zakazanych rozporządzeniem czternastym ustawy transplantacyjnej przez instytucje państwowe. Nie mamy też do czynienia z transfuzjami natury religijnej podpartymi magią lub magnetyzmem metalicznym.

Załoganci wciąż reagowali gniewem i utyskiwaniem na skandaliczną tolerancję kapitana wobec eksperymentatorów.

– Dość tego! Basta! – Tupnął nogą jeden z wyższych oficerów. – Proszę wpierw wysłuchać strony, a potem ferować wyroki!

Kapitan pochwalił takie zachowanie nieco grubiańsko brzmiącym: „Jej”.

Hindus dopiero po chwili, gdy gwar nieco przycichł, odważył się wygłosić mowę.

– Wiem, że niektórzy z państwa, szczególnie ci poddani mineralogicznym kuracjom retro ewolucyjnym, będą mieli problemy ze słownym moich wywodów poparciem. Przeistoczywszy się w bestie częściowo morskie, na skutek zmian fizjologicznych zaskoczeni zostali owi państwo zmianą modulacji głosu. Jak się to ma u dziecka poddanego procesowi mutacji, przybierają one formę zakłóceń w wysławianiu; następują częste chrypki, awarie, odbicia, śniegi w procesie wydawaniu głosu, zmiany dźwięku na wysoki i niski wprost nieoczekiwane.

– Nawet nie pragniemy ich wysłuchiwać. Niech się krępują i kryją przed naszym wzrokiem – gderała prosta hołota marynarska zebrana w grupie przy oknie, za co od razu została skarcona oficerskim spojrzeniem.

– Ten sam testosteron – wtrącił pan Ocearus, by zrugać nieco zadeklarowanych nieprzyjaciół – który powoduje u panów z braci marynarskiej stojących tam przy oknie tak silne objawy męskości, jest odpowiedzialny za powiększenie krtani i strun głosowych. Stają się one w pewnym wieku dłuższe i grubsze. Tutaj minerał zwany „yazmoz” znacznym odznacza się wpływem, wykonując pracę przekształcenia gardła i krtani w narząd oddechowy zbliżony do tego u istoty atlantydzkiej w pełni oddychającej pod wodą. Są owe przemiany całkowicie odwracalne i monstra, które obserwujecie i w prostocie ducha potępicie, powrócą po czasie do kształtów istoty ludzkiej. Ostrzegam. Nie będę tolerował jakiegokolwiek złego traktowania osób szczególnie dla mnie cennych. Proszę kontynuować, panie Reynash. Już więcej gawieź się prostackim śmiechem nie odezwie – zapewnił Hindusa.

Ten niespieszony kontynuował:

– Pragnę potwierdzić słowa profesorskie. Tak, obserwowane zmiany fizyczne uczestników transgłębinowej ekspedycji mają charakter przejściowy i w przypadku zaprzestania kuracji mineralogicznej ciało po upływie określonego czasu dokona samoistnej rutynowej rewitalizacji, to jest powrotu do swej oryginalnej formy.

– Na pewno zastanawiacie się państwo, dlaczego zdecydowaliśmy się na tak drastyczną terapię? – znów gorączkował się profesor, bo jakoś hinduskiemu lektorowi rozbrykana załoga wcale nie zamierzała okazywać respektu. – Myślę, że sporo wyjaśni list, który dotarł do mnie w naczyniu atlantydzkim nie dalej niż pół roku temu. Proszę, Jack, przeczytaj. Ty tu bowiem jesteś w całej sprawie osobą kluczową. Bez twojej wiedzy kawitologicznej i hydrologicznej nigdy nie poważylbym się na tak ryzykowną wyprawę.

Oniemiałem... A więc o to chodzi!

Serce niemal podeszło mi do gardła, tak bardzo bałem się kpiących i szyderczych spojrzeń. Nie wiem, jak znalazłem się obok profesora. Nie umiem powiedzieć, kiedy osaczyły mnie te wszystkie wyczekujące, w większości badawcze spojrzenia. A



szczególnie to jedno najprzenikliwsze należące do naszego już wspomnianego niezwykłej urody i serdecznego usposobienia chłopca okrętowego.

I trzymając tak w drżącej dłoni list i kopertę, tonąc we wspomnieniu najwspanialszych oczu, budziłem dawne chwile spędzone z ukochaną mą Abelią. Odkaszniałem i zacząłem:

*Drogi mój bracie i najdroższy mi przyjacielu...*

*Pomimo dzielącej nas przepaści lat – mowa tu o różnicy około czterdziestu wiosen – zawsze myślałem o tobie, mój Ocearusie, z wielką miłością. Pragnąłem przez owe lata szalonej i dociekliwej pracy naukowej trzymać cię z dala od bolesnych wręcz zakrętów losu i rozdzierającej goryczy, jaka towarzyszy każdemu odkrywcy w jego drodze do sławy i chwały. Pomny bowiem ojcowskich nauk, postawiłem u ciebie na edukację. Wysłałem cię wpierw do Londynu, a później do Sydney, byś tam mógł kontynuować poznawanie pasjonującej cię dziedziny. Opłaciłem wszelkie twoje studia, zadbałem o stancje i doktorów. Nie mogłeś narzekać na wysokość wypłacanej ci miesięcznie pensji. Sam w tym czasie całkowicie oddałem się służbie dla ludzkości.*

*Szczególnie ostrożnie dobierałem sobie współpracowników. Nie uciekłem jednak od krytyki. Wielu oponentów zarzucało mi brak oglądy. Żądali, bym zmienił nastawienie wobec świętych faktów wiedzy. Uważali, że należy sprzeciwić się nadmiernej dociekliwości, która jest obca stworzeniu boskiemu. Tu dawali przykład rajskiego drzewa mądrości. Wielu z mych wrogów wprost mnie oskarżało, że nie tylko czynem obrażam imię Pana, ale i myślą kalam jego sławę. Bo jak mogę przekonywać o istnieniu obcych światów, ziem i oceanów, kiedy mając pod bokiem jego dar, na wszelkie sposoby doskonały, staram się go odrzucić w ucieczce ku planetom? Miałbym namawiać ludzkość do eksploracji kosmosu i tym samym do zdrady przykazanego przez stwórcę spadku w postaci planety Ziemi? Czy to nie on odnalazł jedyne przypisane nam miejsce pomiędzy bilionami innych światów? Chciałbym sprzeciwić się wyrokowi Pana, który dom ów nadał nam na wieczność? Miałbym czelność namawiać do ucieczki i zakładać domy na innych, nieprzeznaczonych nam przez święte pismo planetach? Pytałem oponentów wprost: przez kogo niby zostały stworzone? Jaką mocą się prowadzą? Czyżby to nie stwórca miał je w swojej pieczy? Odpowiadali, że tylko szatan mógłby uczynić je bardziej wygodnymi i przyjemniejszymi od Ziemi. Pytano mnie wprost: skąd biorę tę czelność inspirowania? Czemu próbuję namawiać innych do myślenia indukcyjnego i jednocześnie wbrew naukom Biblii prowadzić ich na manowce niepotrzebnego eksperymentu? Przecież znane nam wszystkim fakty są przez Pana spisane.*

*Stąd, drogi bracie, przez długie lata pozostawałem w europejskiej rodzinie naukowej wyklęty. Pozostałem dziwaczny samotnikiem stroniącym od fajerwerków i sukcesów epoki parowej. Opuściłem Londyn i przeniósłem się na stałe do Indii. Mieszkając na przedmieściach Kalkuty, miałem wgląd w całą starożytną wiedzę subkontynentu indyjskiego. Zatrudniłem braminów i kadry pochodzące z najwyższej kasty. Wszędzie mnie*

tu spotykało uwielbienie i szacunek. Wkrótce lwią część ogromnego, pozostawionego nam przez rodziców majątku rezolutnie spożytkowałem na znane ci z opisów maszyny i podwodne sterowce. Będąc młodym, mogłeś mnie wziąć za szaleńca i strofować do woli. Jednak dziś zapewne docenisz prawdziwą wartość i ryzyko powziętych wówczas decyzji. Wyposażenie zakupiłem przednie; z fabryk niemieckich i francuskich.

Wszystko wyekwipowane porządnie i owinięte w olejowe balsamy i blachy przeciwpróżniowe przeniostałem cichaczem statkami żaglowymi i ukryłem przed brytyjskimi władzami imperialnymi, które jakimś sposobem sondowały moje poczynania. W okolicach archipelagu Indonezji zwodowałem nową flotę. Tam też w potężnych, nikomu nieznanymi jaskiniach i katakumbach przez lat dziesięć budowaliśmy i nitowaliśmy ze sobą komponenty największych pocisków międzyplanetarnych, jakie dotychczas stworzyła ludzkość. Zdeponowałem ogromne masy towarowe na ich pokładzie. Czego tam nie było! Począwszy od prostych narzędzi po broń, rzeźby i całe biblioteki.

Piszę ten list w przeddzień naszej wielkiej ekspedycji. Przestałem na twe ręce kilka sztab rodzinnej platyny. Pozwolę sobie również zasilić twoje konto bankowe sumą dwustu dwudziestu tysięcy funtów. To wszystko, co pozostało mi z ojcowizny. Mniemam, że lepiej spożytkujesz tę resztkę niż ja pozostałą sumę.

Tłuką mną wielkie nerwy. Łamią bóle w całym już niemal metamorficznym ciele. Nadchodzi sążnistymi krokami czas próby. Być może jeszcze dzisiejszej nocy nastąpi krytyczna przemiana. Będzie to w dziejach człowieka najpotężniejsza kontrolowana przez niego eksplozja. Być może to właśnie jutro dowiemy się, czy ludzkość podola zaszczepionej jej przez naturę misji panspermii kolonizacyjnej. Czy uda się nam przedrzeć przez ogromne, dzielące nas od obcych światów międzyplanetarne przestrzenie zimnej pustki? Czy człowiek poprzestanie tylko na marzeniach i zgnije na opoce tej nędznej skały zwanej Ziemią?

Życz nam szczęścia, drogi mój, zacny bracie.

I tu następowała przerwa. Kolejny zapisany fragment wydawał się pokryty innym pismem, jakby dokonywany specjalnym, podwodnym kopiowym ołówkiem. Ręka komuś wyraźnie drżała. Piszący znajdował się zapewne pod wpływem lęku lub straszliwej trwogi, jakiej doznaje się w obliczu zaświatów.

Powiedziałbym, że wszystko się znakomicie udało... Jednak niecała to prawda. Pierwsze eksplozje były zbyt słabe. Podniosły zaledwie na wysokość jedenastu kilometrów potężny słup dymu i pyłu, który tam rozpostarł się jak parasol. Wszystkich nas ów wybuch zaniepokoił. Czyżby tak słabym miał się okazać wybrany przez nas wulkan? Pojawił się cuchnący siarką gaz. Na zboczach pokazały się sploty piroklastyczne zdolne spopielić wszystko, co stanęło im na drodze. Następna eksplozja poniosła pierwszą partię statków. 26 sierpnia 1883 roku na chmurze wyrzutu o wysokości dwudziestu pięciu kilometrów nasze pojazdy sięgnęły orbity Księżyca. Telegraf nie ustawał w relacjach. Reporterzy zarzucili nas opisami. Gorączka głosów wciąż się wzbijała. Nie wiedzieć czemu żar i ciśnienie w pozostałych

*przygotowanych kanałach wciąż nie osiągnęły apogeum. Trapił nas coraz większy niepokój. Azali nasze wysiłki, nasze wykopane z trudem prowadnice, obejścia i hydropneumatyczne wzmocnienia miały okazać się wzniesionymi nadaremno? Dwie trzecie naszej podniebnej floty w ogromnych, wymurowanych kawitacyjnie sztolniach jeszcze czekało.*

*Poprzednie wybuchy okazały się być zaledwie preludium do tego, co miało nastąpić za chwilę. Dwudziestego siódmego sierpnia 1883 roku, wczesnym porankiem, gdy mała wskazówka zegara zaczęła o szóstą, Krakatau eksplodował po raz ostatni. Siłę, jaką wyzwolił ten potwór, najnowszą historią świata miała dopiero policzyć, lecz z pewnością nie znała jeszcze takiej potęgi nawet w przybliżeniu. Ruszyły więc moje statki. Wzniósł się ocieżale, a wraz z nimi tysiące ton niepotrafiącej się zatrzymać skały. Moc eksplozji była tak straszna, że do dziś trapią mnie koszmarne wyrzuty sumienia. Jak mogłem pozwolić na podobne ryzyko, biorąc odpowiedzialność za los ludzi mi powierzonych? Przecież obliczyłem wszystko do piątej liczby po przecinku! Nie pozwoliłem sobie na żaden błąd. A jednak dwa pociski noszące na pokładzie kilkanaście tysięcy członków załogi, nie wytrzymały napięcia. Pękły, rozsypując wszystko w próżni. Zmieszały się migiem z pędzącym kamienistym gruzem, skałami i na gwałt schładzaną kroplistą lawą. Na pełnej prędkości misyjnej dogoniliśmy i minęliśmy pierwsze statki pozakسیężycowe. Szły naszym śladem, lecz niestety dużo wolniej. Spojrzeliśmy po raz ostatni za siebie. Niepokój o nasz pozostawiony w tak bezbronnej kondycji ludzki świat okazał się być wcale nie mniej dokuczliwy.*

*Stąd musisz coś dla mnie zrobić. Poniżej przedstawię ci me rekomendacje oraz...*

Tu znów brakowało części kartki. Jakby celowo fragment wydzielono, wytargano i ukryto.

*Załączam wszelkie dostępne mi ziemskie mapy, rysunki i odręczne szkice dotyczące zaworów pływających pumeksowej wyspy. Jeśli trapią cię wątpliwości, pierwszej przybądź. Na miejscu dowiesz się koniecznych szczegółów. Pamiętaj, że istnieją dwa przejścia ziemskiego Necrolotum, w tym jedno wysiękliwe – jaskiniowe. Tego użyjesz w twojej drodze powrotnej na Ziemię i to oszczędzisz z racji jego wpływu na ewolucję ziemskiej flory bakteryjnej. Postanieniec mój to wysokiej klasy automat. Powie ci na drodze perforowanej, co trzeba zrobić, aby raz na zawsze odciąć tym wszystkim stworom drogę do naszej ojczyzny, Ziemi. Przywiezie on też najrzadsze minerały pomocne w wodnej diecie, które przekażesz jakiemuś indyjskiemu ekspertowi. Dodałem w skrytce wewnętrznej zupełnej wyjątkowości diamenty i perły pomocne w ufundowaniu solidnej ekspedycji i zakupie broni. Możesz również rozdysponować giętkie laski nieznanego na Ziemi ganimedowego horglomit, który wyjątkowo nada się do kontrolowanej eksplozji.*

W tym miejscu znów wykonany innym pismem wyróżniał się dopisek:

*Spodziewam się wyłącznie sukcesów.*

*W czym bezwzględnie i gorąco będę ci sekundować.*

*Natychmiast przybywaj.*

*Twój jedyny, wytrwały w miłości brat.*

*Podpisano:*

*Immanuel Molier*

*Krakatau, 26 sierpnia 1883 roku*

*Ganimedes<sup>35</sup>, 12 guola 1887 roku*

Oddałem list panu Molierowi. Jego dłoń drżała. W oczach miał łzy. Nadal zdawał się wzruszony. Reynash stanął tuż obok nas. Podjął się przemowy, podczas gdy ja z profesorskiego polecenia składałem pisma i chowałem w przeznaczonym im futerale. Profesor nie wiadomo czemu wyciągnął rewolwer i położył z hałasem na blacie stołu. Spojrzenia kapitana i Ocearusa zderzyły się. Zapadło kłopotliwe milczenie przerwane dopiero łagodnym głosem opowiadającego Hindusa. Nikt nie śmiał poruszyć się nawet na milimetr.

– Ludzki gatunek wyjątkowo ciągnie do wody. Wie o tym każdy. Jakimś cudem nie potrafimy się obyć bez jej bliskości. Nazwałbym nas w ogóle gatunkiem przybrzeżnym, nagą małpą, wodną małpą, ryjcem błotnym lub taplaczem. Nikt z nas nie pójdzie spać bez krótkiej kąpieli. Nikt nie rozbudzi się kompletnie bez choćby przemycia twarzy. A nasza skóra? Jakże cierpi na słońcu, gdy braknie jej wilgoci i przemywającego płynnego dotknięcia! Przypominamy stado pingwinów tłumnie rozciągnięte nad oceanem, wdychające cudowny jego powiew i chłone bryzgi jego fali. Brzeg zawsze zapewniał nam wszystkim dobrobyt pokarmowy i schronienie. Był pułapką dla ciągnących do wodopoju lub nieskończonym rezerwuarem dla wszelkich drapieżników. Ale to się kończy i wody ziemskie robią się z naszego powodu mętne, trujące i wreszcie z wolna pustoszeją. Nie robimy nic, aby na nowo przywrócić im świetność. Jak wiemy, środowisko stanowi z wyprowadzonym zeń organizmem jedność, zgranie, jego cechy są nam wspólne, są zeń wyprowadzone, więc siłą rzeczy organizm nasz musi być z nim synchronicznie skomponowany. W jakim stopniu – to już zależy od nas samych, ale nie może być sytuacji, w której my czujemy się elementem obcym, jakoby obdarowanym nieskazitelnością, panem wszechrzeczy. Wtedy stajemy się intruzem i pasożytem, mimo iż każdym nerwem i drganiem ściągna oraz zespoleniem w milionach symbiotycznych działań przynależymy do natury.

Tutaj zatrzymał się, bo z nagłą poczuł się przez swą wymowę porwanym i wiedzionym na stronę propagandy. Przetarł zapocone czoło i spróbował kontynuować spokojniejszym, wyważonym tonem:

– Dzieje się to wszystko instynktownie. Bowiem w blisko dziewięćdziesięciu procentach ciało nasze składa się z wodnych kropli z rozcieńczoną kompozycją popularnych metali i surowców przyrodniczych. I to nie byle jakich kropli, bo wody morskiej, która przed eonami w wyniku przybrzeżnej aktywności została wyniesiona, porwana na brzeg, i skolonizowała go w imię opuszczonego środowiska. Czyli gdzieś

tam, w naszej najgłębszej organicznej postaci, drzemią od dawna zaprzęgnięte do przystosowań wodnych sprężyny.

Hindus zupełnie mnie swą elokwencją zaskoczył. Dotąd miałem go za prymitywa i gbura, który dorwał się do nas jak do pieczeni, by móc testować bez słów krytyki bramińskie wywary minerałów i ziół prawie trujących lub też namawiać mocno zdradliwymi kulinarnymi opcjami. A tu proszę...

– I oto specjaliści z uniwersytetu z Cambridge wyliczają cechy i warunki, które powinniśmy nabyć i spełnić, by z powrotem być zdolnymi do choćby częściowego zanurzenia i trwania pod powierzchnią wody. Są to między innymi większe, znacznie bardziej wydłużone ciała – do osiągnięcia przy zintensyfikowanym wydzielaniu hormonu wzrostu i gimnastyce. Zmienione szczegóły anatomiczne koniczyn: by zapobiec utracie ciepła, palce dłoni i stopy winna łączyć błona pławna. Trwają prace nad inkluzjami z wydzielin żaby. Inna tekstura skóry zapewniłaby zmniejszenie oporu wody. Tu zastosowano substraty genetyczne z płazów i osiągnięto niewielki sukces w reprodukowaniu szczególnego łoju. Również generalna adaptacja już dostępnych narządów, jak wolniejszy rytm serca i związany z nim przepływ krwi powolniejszy lub nawet ograniczony tylko do kluczowych narządów. Należałoby zadbać o składane płuca, by zapobiec ich zapaści pod wodą. Trzeba byłoby również zbadać możliwość skupiania wzroku zarówno nad, jak i pod wodą.

– Wydaje się to być wszystko zbyt kompleksowe, wręcz niemożliwe do osiągnięcia w krótkim, dostępnym cywilizacji ludzkiej czasie – odezwał się jeden z oficerów. – Prędzej poddamy się samozagładzie niż osiągniemy stan rozumnego samousprawnienia.

– I to właśnie udaje się zrobić w wyniku przyspieszonej diety mineralogicznej, do której bezskutecznie oficerstwo namawiam od bodaj tygodnia – oświadczył Hindus z lekkim rozgoryczeniem.

– Reynash<sup>36</sup> był najbardziej zaufanym współpracownikiem mojego brata Immanuela – dodał konieczne wyjaśnienia profesor Molier, nerwowo zaciskając dłonie na brzegu stołu, co nie uszło uwadze obecnych. – Niewątpliwie wie, o czym mówi.

– Jednak są to zjawiska nowe i trudne do zaakceptowania – wątpił kapitan Grayson. – Nikt z nas na co dzień nie wątpi w potęgę nieomylnego Boga i jemu zawiera kontrolę nad sprawami być może ponad miarę rozumu ludzkiego.

– Zwykle mówi się o kodzie genetycznym jakoby będącym całą matrycą i oprogramowaniem świata ożywionego – nie odpuszczał rozdrażniony profesor, bowiem znał tego typu postawienie sprawy spowodowane naturalną u człowieka i zwierząt bojaźnią wobec otaczającego nas zła niewiadomego. – Tajemne instrukcje budowy komórek ciała znajdują się w sekwencjach nukleotydów – łatwych do mieszania i skorych do poddawania się eksperymentom w laboratoriach Wersalu. Ale

już sir Abdurant Harshwill udowodnił w sposób niezbity, iż genetyka jest tylko progiem, preludium do zagadnienia, za którym rozpościera się ogromne pole pragmatyki.

– Bałbym się na nie wkraczać bez przewodnika – wyjaśnił kapitan. – Bo rozumiem, iż życie istoty biologicznej nie wynika tylko z prostoty genetycznej ani z różnorodnej wydzielniczości, ale również z immunologicznego oporu lub przyzwolenia. Gdzie znajduje miejsca na owe znane nam wszystkim partie symbiotycznych bakterii, chorób przebytych a hartujących organizm?

– Znane nam są i ich przepisy mamy zaksięgowane.

– Dlaczego więc przepisy z immunologicznego oporu były dotąd nieznanne białemu człowiekowi?

– Były otoczone tajemnicą, za której zdradzenie groziła śmierć.

– I brat pański poważył się na zbrukanie świętości?

– Eksperymentował na morzu, aby broń Boże nie pozostawić śladów zbrodni. Niezmierzone wody chronią miliony podobnych istnień. Nieznane są ich źródła ani miejsca pochodzenia. Niemniej brat mój okazał się być jednym z tych szczęśliwszych. Słusznie bowiem przewidział rezultaty.

– Czyżby więc wymagał pan od nas podobnej postawy?

– Pragnąłbym pozyskać dla naszych celów osoby najbardziej cenne, że tak powiem intelektualną śmietankę ludzkości. Stąd potrzeba nam rezolutnej, wprowadzonej w sekretne przepisy załogi.

– W czym pomocny będzie pański kaszmirski sługa?

– Potrzebuje państwa zrozumienia i uwagi. Jest niezwykle uzdolnionym, uczynnym i przede wszystkim lojalnym człowiekiem. Od tego, czy ktoś dobrze rozwiąże równania chemicznej retro ewolucji, mogą w przyszłości zależeć losy nie tylko naszej garstki, ale i nowego ludzkiego rodu. Pragnę zapewnić, że w razie jakichkolwiek komplikacji posiadam spore finansowe środki, by pokryć wszelkie wydatki związane z leczeniem. Niespodziewane podmorskie wypadki też brane są w rachubę. Biorą państwo udział w eksperymencie o znaczeniu historycznym. Bezwzględnie jesteście pierwszymi. Naszym dokonaniom będą poświęcone podręczniki.

Ostatnim słowem Moliera towarzyszył niezdrowy pomruk. Nie każdemu wydało się zasadnym uczestniczenie w spełnianiu naukowych ambicji szaleńca. Woleli prosty chleb i uczciwy zarobek.

– Oczywiście nasze zaangażowanie spotka się z dodatkową gażą?

– Proponuję siedem tysięcy funtów premii dla każdego – oświadczył zrezygnowany już Ocearus.

– To spora i całkiem ładna sumka – rzucił sternik zmianowy. Brudny palacz kotła aż zatarł brudne ręce.

– Chodzę już zupełnie pijany po zaordynowanych mi ziołach, czy mam się spodziewać kompletnego braku przytomności po zażyciu wspomnianych dodatkowych minerałów? – spytał kucharz będący już po ziołowej terapii.

– Należy być ostrożnym. Nie robić niczego bez wcześniejszego zastanowienia. Bo jeśli zioła wydobyte z przepastnej biblioteki natury nie mogą stanowić śmiertelnej pułapki, to już po dodatkowych, jeszcze ostrzej działających minerałach mogę spodziewać się wszystkiego – odezwał się Bizzard, od razu znajdując poklask obecnych dżentelmenów.

---

35 Ganimedes – jest największym satelitą w Układzie Słonecznym o średnicy 5262 km, która przewyższa rozmiarem planetę Merkury. Jego odkrycie przypisywane jest zwyczajowo Galileuszowi, który skierował na Jowisza skonstruowaną przez siebie lunetę, ale istnieją pewne przesłanki, aby przypuszczać, że już w starożytności znane były krążące wokół gigantycznej planety obiekty. Co ciekawe, pośród naukowców panuje ogólne silne przekonanie, iż księżyc ten ukrywa pod cienką, utwardzoną warstwą pyłu i lodu ogromny rezerwuuar wody, który swą objętością przekracza aż sześć razy wszelkie rezerwy tej cieczy na Ziemi i trzykrotnie ilości ukryte pod powierzchnią innego księżyca Jowisza, Europy. Jest pewne, że siły pływowe gigantycznej planety powodują tarcie i rozgrzanie podgruntowych lodów do fazy stanu ciekłego. W najpotężniejszym oceanie układu słonecznego przez blisko cztery miliardy lat obecne są rozpuszczone w nim substancje organiczne. Stąd biorą się wszelkie spekulacje na temat istniejącego tam życia biologicznego, opartego na energii pochodzącej z licznych źródeł termalnych.

36 Reynash doskonale orientował się w szczegółach orbitalnych systemu Jowisza. I tak wiedział, że na powierzchni Ganimedesa dostrzec można obszary, które prawdopodobnie przesuwają się względem siebie, jak to robią płyty kontynentalne na Ziemi, powodując powstanie na ich obrzeżach masywów górskich. Co ciekawe, ekscentryczność orbit czterech księżyców Galileuszowych powoduje regularne deformacje kształtu tego księżyca. Grawitacja Jowisza rozciąga krążące wokół niego obiekty podczas zbliżenia, pozwalając na powrót do bardziej kulistego kształtu przy oddaleniu. To rozciąganie wytwarza ciepło wewnętrzne poprzez tarcie i jest najwyraźniej widoczne na przykładzie aktywności wulkanicznej Io. Zjawisko zapewnia też stałą temperaturę procesów zachodzących we wnętrzu globów. Szczególnie, że trzy z nich posiadają rezerwy wodne, jak już wspomniałem do sześciu razy większe niż obecne na Ziemi w przypadku właśnie Ganimedesa. Co ciekawe, właśnie Ganimedes przejawia przedziwne zmiany własnej średnicy, wytwarza silne pole magnetyczne, będące źródłem zórz polarnych oraz posiada własną, co prawda śladową atmosferę, złożoną całkowicie z tlenu.

Hindus poprosił o niewielką walizeczkę. Położył ją na blacie stołu, otworzył i oczom obecnych ukazały się cudowne okazy wspomagających metamorfozę minerałów. Każdy zaopatrzonej w tabliczkę opisu i drobny napaterek sproszkowanej próbki.

– Oto kamienie obecne w świecie naturalnym planety Ziemi. Wszystko to, co istnieje wokoło nas, może przenikać w procesy organiczne. Jesteśmy tym, po czym stąpamy. Nie należy aż tak demonizować reakcji chemicznych. Nie są one niczym niezwykłym w ciele ludzkim – reagował na ogólne zainteresowanie Reynash. – Proszę sobie wyobrazić, że każdy z nas oprócz organów cielesnych posiada układ wydzielniczy przedstawiający sobą maszynę kontrolną wydolną z owych części wydobyć przyspieszenia i czynności im nienawykłe. Czegóż potrafiłyby same dokonać w ślepotę, wobec braku zewnętrznej percepcji? Przecież to na wniosek rozrostu dokonują cudów dojrzewania! A rozrost skąd się bierze? Chemiczne sygnatury potrafią w przebiegu lat od kołyski do pełnoletności przepoczwaczyć formę niedojrzałej dziewczynki w dojrzałość kobiety. To samo uczynią z kondycją męską. Na samym spodzie ma pan programujący kod genetyczny, którego się pan nie boi, a zaraz potem zestaw narządowy gruczołów, których ciało w sposób nakazowy używa, jakby upijał je pan pięć razy z rzędu nadmiarem środków narkotycznych, doprowadzając poszczególne fazy do zaszczepienia i kontynuacji.

– Nie zapominaj pan o milionach symbiontów mierzonych od mikroskopowych do makroskopowych rozmiarów – dorzucił kapitan, najwyraźniej tematem zainteresowany. Reynash skinął życzliwie głową.

– Funkcją gruczołów jest wydzielenie specyficznych substancji niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania organizmu. One zawiadują, w owych percepcja odnajduje sposób komunikacji. Tak więc ciało ludzkie nie jest odświeżnie zbudowane z części wiodących o niezmiennym oprogramowaniu, ale i z substancji silnie reagujących, bez których się nie obywa. Są jakoby łańcuchami i pasami transmisyjnymi wprowadzającymi konieczną dyscyplinę, ruch, tempo i synchronizację.

– Ma pan na myśli tarczycę?

– Gruczoł<sup>37</sup> mogą stanowić pojedyncze komórki albo ich skupiska lub całe narządy. Może również ustanowić go specyficzny minerał dozujący substancje uaktywniające, a całkowicie w sposób sztuczny umieszczony w ciele człowieka.

– Miałby wpływać aż tak agresywnie na organizm ludzki? – zainteresował się jeden z oficerów.

– Podobnie jak się to dzieje z syntetyzowanymi przez gruczoły dokrewne hormonami zajmującymi się regulacją procesów fizjologicznych. Czy są one agresywne? Nie.



Współdziałają.

– Jednak w porządku boskim.

– Wytwarzanie hormonów nie jest ograniczone jedynie do organizmów zwierząt kręgowych, mój panie. Boży machinerion obecny jest w organizmach owadów. Tam także syntetyzowane są chemikalia, które pełnią wiele funkcji: odpowiadają za wzrost i przepoczwarzanie się młodych osobników, aktywują rozwój jaj, wywołują zmiany zabarwienia ciała. Przedstawia ów system podobne fazy aktywności i czuwania. Potrafi w okolicznościach sprzyjających zapaść w stadium nadaktywności lub wprost przeciwnie, zamrzeć i całkowicie zgasnąć. Wtedy po istocie można spodziewać się wyzwolenia najprymitywniejszych instynktów, bo kieruje nią wpleciona pamięć anachroniczna.

– Tu zbacza pan ku tematyce wzbronionej.

– Bo mówię o atawizmach? Hm... Wróćmy zatem do naszego owada. Przeprowadzono eksperyment, w którym wycięto fragment mózgowia gąsienicy motyla zbudowany zaledwie z około dwudziestu pięciu komórek odpowiedzialnych za produkcję hormonu uczestniczącego w metamorfozie jego ciała. Owad utracił zdolność wytworzenia kokonu i nie potrafił doprowadzić do procesu przepoczwarzania. Dopiero wszczepienie powrotne gruczołu w dowolny fragment jego ciała pozwoliło na dokończenie sekwencji. Stąd do dysponowania wszystkimi owymi gruczołami obecnymi w ciele człowieka należy podejść z rozwagą i zrozumieniem, ale tylko instrumentalnie, bez niepotrzebnego mitologizowania.

– Ale czy gruczoły lub ich wytworzenie w opoce cielesnej mogłyby być kluczem do kolonizacji niesprzyjających nam obszarów planety? – spytałem, spoglądając to na profesora, to na sługę. Spotkałem przychylny uśmiech i natychmiast uzyskałem odpowiedź:

– Wytłumaczę może na przykładzie – odezwał się Hindus. Odnalazł pośród schematów przyniesionych przez okrętowego boya tablicę poglądową i przesuwał po niej palcem, opisywał narządy. – Najlepsi poławiacze pereł słynący ze swych potencji nurkowych zachowują doskonałą równowagę między ilością tkanki tłuszczowej, mięśniami i pojemnością płuc. Powiększone płuca zwiększają zdolność nurka do przechowywania tlenu. Istnieje również wyraźny związek między sukcesem nurka a wielkością jego śledziony. Narząd ten jest naszym naturalnym rezerwuarem czerwonych krwinek. Może kurczyć się podczas nurkowania, uwalniając ich więcej do krwiobiegu, a to oznacza więcej hemoglobiny niosącej życiodajny tlen. Doskonałym miejscem do przechowywania tlenu są, oprócz płuc, także mięśnie. Odpowiedni trening sprawia, że powstaje w nich więcej mitochondriów. Długotrwałe nurkowanie prowadzi do powstania głodu tlenowego w mięśniach, tworzy się w nich kwas mlekowy. Jego nagromadzenie jest odpowiedzialne za bolesne zakwasy. U wielu

nurków zaciąganie długu tlenowego zaczyna się znacznie później. Wysycanie tlenem krwi w mózgu może spadać u niektórych z nich do trzydziestu procent zanim zaczną odczuwać jego wyraźne skutki, podczas gdy zazwyczaj pięćdziesiąt procent wysycenia jest uważane za granicę, po której przekroczeniu dochodzi do utraty przytomności.

– Po co nam pan to wszystko mówi? – zaproponował kapitan. – Wiedza to ogólnie dostępna oficerom morskim.

– Dochodzi jeszcze widzenie pod wodą – kontynuował niesforny sługa. – Nasze źrenice powiększają się automatycznie, podczas gdy lud Moken jest w stanie zapanować nad tym odruchem. Potrafi przymknąć źrenicę, co poprawia zdolność widzenia w wodzie.

– Pozwoli pan, że poprę pogląd kapitana? – Pan Bizzard wyglądał na poważnie zaniepokojonego rozwojem sytuacji. Jego też nasza forma cielesna deprymowała. Nie mogliśmy się opędzić od ciekawskich spojrzeń i złośliwych, wypowiedzianych szeptem komentarzy.

– Ależ nie trzeba. Doskonale panów słyszę i zapewniam, że perfekcyjnie rozumiem angielski, jeśli o to chodzi... – Hindus patrzył na naszego myśliwego z wyzywająco uniesionym czołem. Widać było, że od samego początku nie wpadli sobie w oko.

– Pozwólcie więc, panowie, że ja wtrącę uwagę – rzucił poirytowany Ocearus. – Wszystko dlatego, że nie dalej jak przedwczoraj grupa oficerów urządziła sobie strzelanie do pływających w oceanie panów. – Tu wskazał na moją i lorda osobę. – Jak widać, suto byli zaprawieni grogiem lub też dwaj pływacy okazali się tak znakomitymi nurkami głębinowymi, że im zaczęli przypominać wodne bestie. Broń ich była specjalna, używana na gruboskórne skutnice<sup>38</sup> lub przydenne niedźwiedzie. Trudno wiedzieć w czasach tak niepewnej fauny i flory.

– Czyżby użyli odrzutownic<sup>39</sup> Remingtona Barleya? – spytał roztargnionym i całkiem zaskoczonym tonem lord Duncan.

– Całkiem możliwe. Jednak wiem, że klucz do szafy pancерnej na broń specjalną nosi obecny tu oficer nadzorczy. Stąd przypuszczam, że albo nie wiedział, albo jest osobą porywczą, niebezpiecznie głupią i nie zdającą sobie sprawy z konsekwencji. To ja płacę wam wszystkim żołąd, ja pokrywam ubezpieczenia w razie śmierci i to ja zakupiłem paliwo, by ten złom mógł być uruchomionym i godnie wysłanym na oceany.

Kapitan pod wpływem gniewu armatora pociemniał ze wstydu.

– Jeszcze raz podkreślę: będziecie panowie słuchać mojego ciemnoskórego analityka dopóki, dopóty nie zrozumiecie nauki anatomii ludzkiej. Dopóki nie przeniknie do waszego mózgu zrozumienie, jak pracuje ciało każdego z was i jakich wymaga inwestycji, by dobrze funkcjonować na powietrzu. On sam niczego w nas nie imputował, tylko sumienną dietą wymusił reakcje i wzrosty. Owe potencje drzemają w każdym z was i potrafią być uruchomione minimalnym kosztem mineralnej inwestycji.

Proszę, panie Reynash. Przepraszam, ale skończyła się moja cierpliwość. Zastrzeżę każdego, kto się zaśmieje, i Bóg mi świadkiem, że wszystkich pozostałych przymuszę, aby podpisali dokument, zem przypadkiem i niechcący nacisnął spust.

– Wyjaśnienia wydają się niezbędne, bo zebrało się tu wielu takich, którzy wątpią w moje kwalifikacje może nie jako fakira i męża wedy, ale w kwestiach natury medycznej i fizjologicznej – kontynuował łagodnym głosem sługa i profesorski przyjaciel. – Jednak znam się na anatomii jak mało kto. Dlatego pragnę zwrócić uwagę na niedoceniony świat gruczołów. Jak widać na przykładzie pana De Waaya i jego lordowskiej mości, za pomocą mikstury w przeciągu tygodnia lub dwóch udało nam się zdeformować ich czaszki, wydłużyć ręce i usprawnić dłonie. Stali się oni mimowolnie nie tylko dowodem rzetelności mojej wiedzy, ale i tego, że więcej jeszcze z jej tajemnic pozostawiam w sferze ukrytej. Jednocześnie uwrażliwiam wszystkich tu obecnych na fakt, że organizm nasz w swej doskonałości nie poprzestaje na jednorazowej aktywacji chemicznej, ale ją wspaniałomyślnie kontynuuje. Chodzi o regulacje, na które nasze codzienne rytmy mają wpływ. Dieta je rozpędza lub przeciwnie, zniwecza dobroczynny ich skutek. Różnorodność wpływu na narządy, na ich nadczynność lub niedoczynność, na wręcz fenomenalną możliwość precyzyjnej regulacji jest wprost imponująca. Stąd powstaje przekonanie do wizji totalnej przebudowy człowieka i uczynienia z niego pana światów wszelakich. Przyświecało ono każdemu działaniu społecznemu od czasów wczesnego megalitu. Uznanie takich prób za przeciwstawianie się woli boskiej było i jest szkodliwe.

– Jednak sam pan przyzna, iż niesie owa chemiczna indoktrynacja pewne niebezpieczeństwo posiania chaosu w porządku genialnym? – spytał z jadowitym uśmiechem ten sam jegomość. – Nie uważam za błędne odstrzelenie głowy hydrze.

– Pan się chyba zapomina, Wenzley! – huknął kapitan Grayson.

– Układ hormonalny, podobnie jak nerwowy, jest ściśle skorelowany z całością systemu. Takie wzajemne zależności prowadzą do utrzymania w organizmie stanu równowagi zwanego homeostazą. Nie wolno nam w żadnym razie rozrzedzać tych proporcji. I jeśli ktoś określi je mianem boskich, zgodzę się, takie muszą pozostać, abyśmy nie utracili cennego charakteru naszego człowieczeństwa.

– Ale czy pan potrafi zestawić nowe równowagi? – zagadnął ten sam Wenzley, uśmiechając się jadowicie. – Idzie pan na całość.

Tutaj naszego Hindusa doprawdy poniosło:

– Wielki Brahma zadbał o ciało ludzkie, bo jako najbardziej w świecie ożywionym doskonałe i zdolne do reinkarnacji ducha zasługuje na wyświęcony uniwersalizm. Stąd też biorą się nasze możliwości dyspozycji i redyspozycji. Moja religia daje mi takie opcje. Wszelkie techniki i treningi potrafią wyzwolić w nas, mieszkańcach środkowego Orientu, niespotykane moce złączenia z bóstwem. Kontakt z siłami światłości i cienia

budzi naszą nieprawdopodobną cielesną giętkości i wytrzymałość. Owe uzdolnienia fizyczne byłyby na Ziemi wystarczające, ale tam, gdzie się wybieramy, w najdalsze i nieznane lokalizacje kosmiczne, ramy naszego przystosowania mogą się okazać za małe, za wątle i za kruche. Niemniej dalej pozostawią nas w rozmiarach ludzkich. Dalej reprezentować będą mądrość Brahmy i dalej egzekwować jego genialną ideę percepcji duchowej podarowanej ludzkości. Dlatego rozumem mi danym od Bóstw pragnę sięgnąć do prac mędrców wedańskiej mineralogii i ziemi sedymentarnej, by pokrzepić i odbudować struktury uspięne od milionów lat, a nawet wskrzesić te od dawna niebyłe.

– A gdzie się wybieramy? – spytał pan Bizzard z prawdziwym niepokojem, nagle odbiegając od tematu. Zrobił to cichaczem, niepewnie i głos mu się przy tym załamał, bo poniosło się w moim sercu od jego słów echo podobne do grzmotu.

– W obce, odległe morza przykryte skorupami skały i najtwardszego, nieprzenikliwego lodu... To pan nie wie? – pytał Hindus i patrzył oczyma okrągłymi od zdumienia.

Na szczęście dla wszystkich nikt nie potraktował go serio, a do sali wjechały wózki z kolacją. Były tam gorące, parujące dania, dopiero co wypieczone chleby i rozkrojone świeże mięso z jarzynami. Nikt nie przejmował się histerykiem i stojącym, wąpiącym już w sens uczestniczenia w tak dziwnej wyprawie lordem.

Nie braliśmy udziału w kolacji, bowiem sami już przeszliśmy na dietę planktonową niepozostawiającą resztek i obrzydliwych sekrecji. Oddaliliśmy się dyskretnie po północy.

– Jestem ciągle pod wrażeniem. Przyznam szczerze, że doznałem nieliczego szoku, wysłuchując tych wszystkich bzdur z ust ludzi wyedukowanych i zasługujących na szacunek – zwierzyłem się lordowi Bizzardowi, z którym okupowaliśmy wspólną powietrzną kajutę. – Nikt przedtem mnie tak nie skusił na przygody i tak potem nie zawiódł.

– Wiesz pan co? – stwierdził po zastanowieniu pan Bizzard, wydmuchując cowieczorną, siwą porcję dymu ze swojej fajki. – Wbrew pozorom kryje się w tym wszystkim subtelny plan, a mistyfikacje odgrywają w nim szczególną rolę. Kłamstwo staje się narzędziem, a pokusa napędowym kołem. Trzeba przyznać, iż nasz profesorek wysilił się aż za bardzo. Podjął się niebagatelnego ryzyka. Nie miałby u mnie szczególnie szans, gdyby od razu powiedział prawdę. A tak zdobył serca łatwowierne, wciągnął w sidła i wysłał do wszystkich diabłów. – Tu zaśmiał się nieprzyjemnie. – Czy gdyby po chamsku nie parł, nie zrzedził i nie przekonywał, czy wdalibyśmy się w podróżną awanturę? Czy ktokolwiek z nas podjąłby się z dobrej i nieprzymuszonej woli udziału w tej szczególnej terapii zielarskiej? Czy znalazłby się szaleniec konsumujący zgrzytające w zębach drobiny kryształu i idiota doprawdy, który

uwierzyłby w mineralogiczne dobrodziejstwo, a nie trucicielską zabawę? Bo któż by się palił do sławy i widział jej źródło w przebywaniu miesiącami pod wodą? Dla kogóż pod ziemskim słońcem miałby to być wyczyn? Dla poszukiwaczy podwodnych żył złota? Czy może dla poławiaczy pereł albo wynajmowanych na złodziejskich stawkach Hindusów układających podmorskie rurociagi? Skóra by nam się pomarszczyła lub zgniła od soli i nadmiaru wilgoci. O czym ci szaleńcy w ogóle mówią? Czy pan jako hydrogeolog spodziewa się pod wyspą Emerald jakiegokolwiek krainy pełnej nieznanych stworów i płatków pływającego złota albo może miast pełnych nieodkrytych maszynierii?

– Nawet mi przez myśl nie przeszła taka opcja.

– A ukrytej wody jest pod ziemską skorupą ponoć więcej niż we wszystkich oceanach razem wziętych. Tak mi przynajmniej dobrodziej perorował na naszym pierwszym spotkaniu. Musi tam być nieznanne życie: i ryby, i walenie, i dwudziestometrowe skutnice albo lwy morskie. Czyżby więc królestwo podmorskie gdzieś tam w najgłębszych otchłaniach oczekiwało naszego odkrycia? Czy skarby nienaruszone złota i srebra leżą na wyciągnięcie ręki? Lub może klejnoty tak sprasowane oceanicznym ciśnieniem, że stały się najczystsze i najpiękniejsze po wypraniu z nich szlamowatych brudów?

– Wątpię, czy jest tam tyle tlenu, by przeżyć. Musiałby istnieć system gazowej wymiany o mocach, jakich nie znamy.

---

37 Gruczoł – popularna definicja mówi w tym przypadku o wewnątrz lub zewnątrzwydzielniczych narządach, produkujących różne substancje niezbędne organizmowi, oddziałujące wybiórczo na określone komórki i tkanki. Gruczoły wydzielania wewnętrznego produkują hormony, które uwalniane są bezpośrednio do krwi, stąd ich popularna nazwa „gruczoły dokrewne”. Wynika z tego, co podkreśla autor, iż kontrola rozwoju i wzrostu organizmów nie kończy się na ich projektowaniu genetycznym, ale zachodzi podczas całego osobniczego życia i polega na wysoko wyspecjalizowanym programowaniu chemicznym. Co ciekawe, komórki gruczołu mogą być położone w nabłonku pojedynczo, w przypadku gruczołów jednokomórkowych, lub w większych zespołach, w przypadku gruczołów wielokomórkowych. Zatem czy praca nad klonowaniem gruczołów jednokomórkowych może przynieść jednego dnia rewolucję na polu projektowania nowej organicznej formy człowieka przyszłości?

38 Gatunki fikcyjne. W systemie Necrolotum obszar wodny planet penetrują nie tylko przedstawiciele obcych form fauny i flory, lecz również czynniki destabilizujące pierwotny system biologiczny, wpływające regresywnie lub progresywnie na dynamikę ewolucyjną. W tym przypadku zmiana objęły gatunki większości ssaków arktycznych,

począwszy od łagodnego pingwina do drapieżnego niedźwiedzia polarnego. Stały się one wrogiem człowiekowi. Od jakiegoś czasu w faunie ziemskiej są tam obecne skutnice, to jest potężne, piętnastometrowe foki, które rozsmakowały się w mięsie ludzkim.

39 Fikcyjna broń morska.

– Ale w gejzery i podwodne gazowe wydmuchy pan nie wątpisz? – spytał profesor, wchodząc bez pukania. Słyszał był wszystko i aż od gniewu spurpurowiał. Podeszedł do naszego nędznego stolika. Sięgnął za pazuchę po mapy i przekroje. Rozłożywszy je na stole, zaczął ku naszemu zdumieniu spokojnie wyjaśniać: – Wyspa, czy raczej płaska opoka skalna o grubości czterech tysięcy metrów widoczna w oddaleniu, posiada przedziwny przekrój wewnętrzny. Pływa niczym gigantyczny wieloryb. I pan jako wybitny geolog, panie De Waay, zbada na mą prośbę dogłębnie ów mechanizm jej ruchu we wszelkich możliwych rachunkach. Równie mi się przysłużysz, jeśli doradzisz rozmieszczenie ładunków wybuchowych oraz rozłamowych tuneli kawitologicznych w jej wnętrzu.

– Czy ja aby dobrze słyszę? Chce pan wysadzać lawowe korytarze i, co gorsza, upłynnić skałę gdzie indziej? Przecież sam pan jesteś speleologicznym pułkownikiem.

– Czy mam panu, jako wyższy szarżę, rozkazywać?

– No wołałbym nie.

Profesor nie odpowiedział, tylko rozwinął leżący na stole rulon i począł wyciągać z wnętrza mocno sfatygowane rysunki. Położył też obok zaostrzone kopiowe ołówki i pióra graficzne o różnorodnym profilu.

Po chwili rozciągnął przed nami jeszcze niewielkie mapy, jakby wykonane w pośpiechu i niedokładnie oddające zarys lądów farbą drukarską. Z boków okraszały je rysunki stworów nieznanych, meduz, ryb i mchów wodnych. Zajrzałem w grafikę mi najbliższą. Ujrzałem na niej stworzenia potworne mogące co najwyżej pochodzić z sennych koszmarów, a nie z ziemskiej aury.

– Toż to cała generacja monstrualnych bestii! – westchnął z podziwem lord Bizzard.

– Nie wiem, czy kaliber jakiegokolwiek ziemskiej broni sprosta zadaniu położenia trupem onej chimery.

– Otóż przysiągłem osobom znacznym, że przysłużę się ich doszczętnemu wytępieniu. Otrzymałem na ten cel solidny finansowy zastrzyk. Wiem z całą pewnością, że przedostają się ku naszym oceanom powierzchniowym, wykorzystując potężne zbudowane przez siebie denne szczeliny.

– Czyli pochodzą z terenów jeszcze niezbadanych?

– Nie jest żadna ewolucja powierzchniowa zdolna do wykształcenia tego rodzaju okropieństw – wyjaśnił spokojnie Molier.

– Ależ dlaczego?

– Na Ziemi mamy do czynienia z łagodną harmonią w przyrodzie, w której nawet tygrys czy lew zachowują się godnie i przyzwoicie, mordując tylko sztuki chore i słabe.

Tam jest inaczej. Badania, które wykonałem, udając się przed rokiem w najdalsze głębiny, sugerują istnienie wielkiego imperium przyrody o wprost niepoahamowanej, koślawej inwencji twórczej. Jest owo środowisko zwierzęce tak agresywne i dynamiczne gatunkowo, że nawet nasza przeszłość z dinozaurami jawi się sielanką. Pragnę zrobić wszystko, aby te dwa światy rozdzielić, a powiększające szczeliny istoty wytepić i na tysiąclecia zagrozić im drogę do buntowania fauny i flory.

– A co z już penetrującym nasze oceany niedobitkami?

– W przypadku powodzenia naszej misji obecne w warstwach podmorskich istoty pozostaną na wyłącznej łasce naszego środowiska naturalnego. Człowiek szybko je wytepi jako byty rzadkie i niebezpieczne.

– Ma pan na myśli ningeny?

– Nie tylko. Wszystkie już obecne tu gatunki, w liczbie około dwudziestu, podzielią ich los.

– Kiedy planuje pan rozpocząć ekspedycję?

– Jak najspieszniej. Zakładam, że są panowie psychicznie i fizycznie przygotowani?

Zaniemówiłem z wrażenia.

– Pragnę w przeciągu godziny zwodować naszego „Morrlitiusa”. Dźwigi już pracują. Proszę się wobec tego na czas przygotować. Reynash panów we wszystkich operacjach wspomóż.

– Kto oprócz nas weźmie udział w wyprawie?

– Miejsca jest na pokładzie na osiem osób, góra dziesięć. Jednak pragnąc dochować ściśle tajemnicy, wybierzemy się tylko we trzech. I sza, ani słowa kapitanowi. Wyskoczycie do oceanu od strony rufy. Spotkamy się pod wodą.

Spojrzałem na pana Duncana, a ten na mnie. Nie spodobał nam się ten pośpiech i te sekrety.

– Powiada pan, że mamy do czynienia z wyłaniającą się periodycznie skałą? – zapytałem z niedowierzaniem. – Bezcelowym będzie podejście, kiedy jest wynurzona.

– Słuszna uwaga. Wyspa właśnie opada. Osiągnie dno za dwanaście godzin i czterdzieści trzy minuty.

– Mówił pan o skalnym odłamie grubości czterech tysięcy metrów... Toż to cała góra! Nie może podnosić się i opadać w wodzie tak szybko – wątpiłem. – Istoty władające tak zaawansowaną geologiczną technologią muszą być geniuszami – rzuciłem pełną podziwu uwagę.

– A jednak to prymitywne łotry – upierał się Molier, stając się z minuty na minutę coraz bardziej poirytowany. Usłyszałem też za drzwiami na korytarzu jakąś krzątaninę. Byłem pewny, że kilku marynarzy rychtuje tam broń. Czyżby zapragnął nas przymusić siłą?



– Nigdy nie słyszałem o podobnej aktywności wulkanicznej, a pumeksy widziałem tylko wielkości pięści – rzuciłem, już poważnie przestraszony. – Musi za tym stać technologia i rozum niepospolity, któremu my, ludzie, możemy nie dać rady.

Oderwałem wzrok od schematów i podążając spojrzeniem za profesorem, śledziłem go w jego wolnym ruchu w stronę drzwi. Otworzył je i mym oczom ukazał się przedziwny strój nurka trzymany przez Hindusa. Reynash z trudem utrzymywał ciężar. Sam hełm musiał ważyć kilka kilogramów. Z kieszeni sflaczałego kombinezonu wystawały lonty. Natychmiast wyobraziłem sobie ten niesłychany pomysł podwodnego samobójcy. Od początku wydał mi się on niedorzeczny, ale cóż zrobić?

– To kombinezon z własnym napędem udający człowieka. Doskonały automat podążający za nami lepiej niż niejeden wózek. Na nim znajdzie pan całe zaopatrzenie i narzędzia, w tym niezbędne do kawitologii nagrzewnice.

– Miałbym go natychmiast wdziać?

– Jest za ciężki. Zrobi to pan pod wodą. Proszę pamiętać, iż jest on wysoce odporny na zgniecenie i eksplozje. Co więcej, w przypadku nieprzytomności nurka potrafi sam odnaleźć drogę do towarzyszącej mu łodzi podwodnej.

– Nie rozumiem pańskiego pośpiechu – rzekłem. – O ile dobrze rozumiem, w obecnym stanie aktywnego wynurzenia wyspy nie będziemy w stanie przedostać się do komór. Wydostające się z potężną siłą gazy najpewniej by nas rozniosły na strzępy. Poczekamy, aż wyspa na powrót opadnie i ulegnie w swym dole zagnieżdzeniu.

– Czyż panu nie wspomniałem? Już opada.

– Zatem pora nam się rychtować – podsumowałem z uśmiechem rozczarowania, bo przymus jest mi wstrętny.

– Trafnie pan to ująłeś – odrzekł profesor, któremu też nerwy chodziły. Odniosłem wrażenie, że zawiódł się na nas cośkolwiek. Może przypuszczał, iż łatwiej mu pójdzie z onym namawianiem? Był pewnym, że sensacje geologiczne, którymi się podzielił, wywołają nie entuzjazm, a nienawiść do istnień tak parszywych, że aż niewartych opisu. – To niezwykle, przełomowe dla rasy ludzkiej odkrycie – zapewnił po raz kolejny. – Pragnę panów przekonać, iż są na ziemi i niebie rzeczy, o których nie śniło się filozofom, i wyspa fantomowa właśnie do takich należy. Ze zdumieniem odkryłem jej mechanizm. Przeraza mnie jego ogrom. Niepodobna, by odpuścić niezmiernym potworom ich chęć eksploracji naszej planety.

Tu skinął na sługę, by wniósł inne sprzęty. Jednym z nich była potężna strzelba podwodna o niezwykłym kalibrze, do której natychmiast zaśmiały się oczy lorda. Porwał ją i zważył w dłoniach. Potem sprawdzał wszystkie zamki, zębatki zmieniające bieg strzelniczy i mechaniczne cięgna. Zadowolony z inspekcji, zachęcił profesora słowem:

– Proszę powiedzieć, po cóż nam taki kaliber? Czyżbyśmy zamierzali wywędrować do świata o odmiennym katalogu istnień?

– No właśnie – poparłem lorda.

– Jak najbardziej – uśmiechnął się Molier. – Możecie spodziewać się realizacji wszelkich złych snów, jeśli o to chodzi. Są to tereny dla białego człowieka dziewicze. A człowiek kolorowy, jak wiadomo, nigdzie się bez pozwolenia nie zapuszcza.

– Znam się na ziemskich dżunglach. Niestraszne mi niespodzianki. Czyżby chciał nas pan zabezpieczyć przed niebezpieczeństwami całkowicie nie z tej Ziemi? – Ciągle wątpił lord, bo w sensacje o obcych istotach nie chciało mu się wierzyć.

– W historii cywilizacji ludzkiej zawsze naśladowaliśmy naturę. Wydawała nam się ona mechanizmem ślepym i jednocześnie genialnym, którego moc polegała na koegzystencji całej masy przypadków i niewidzialnych związków, i z nich wynikała. Przyglądaliśmy się, analizowali i przez tysiące lat wprowadzali w praktykę podpatrzona rozwiązania. Jednakże ta sama przyroda po czasie jeszcze bardziej nas zdumiewa. Oto odnaleźliśmy układ dynamiczny podobny do wszechistnienia bezbłędnie zorientowany na poziomie wszelkich balansów i fizycznych reguł. Zawsze wyprzedza ów układ fizyczność świata o krok. Czyżby posługiwał się nieznaną percepcją? Czyżby, napotykając utrudnienie, używał umysłu? Czyżbyśmy zakładali rzecz niemożliwą? A co, jeśli nie? Odkrycie funkcjonującego mechanizmu fantomowej wyspy zrobiło na mej osobie niebagatelne wrażenie. Ze zdumienia wprost przecierałem oczy. Dlaczego? Otóż natura w tym szczególnym przypadku poważyła się na naśladowanie technologii mechanicznych tak powszechnie stosowanych przez istoty rozumne. I istnieją na to dowody niemożliwe do podważenia.

– Czyż nie poniosła pana zbytńo fantazja? – zaniepokoił się pan Bizzard. – Każdy taki machinerion byłby poczytany w swej oryginalności jako przynależny myśli istoty inteligentnej.

– Właśnie, przecież nie dalej niż przed kwadransiem twierdził pan coś wręcz przeciwnego: że zawór wyspowy jest wytworem innej cywilizacji.

– Och, panie De Waay, gdyby pan widział owe monstra, sam by pan wątpił w ich rozum. To bestie zwierzęce podobne do wielkiej fokii. A co taka potrafi na lądzie oprócz czołgania się? Nigdy nie zakładaliśmy możliwości, iż sama natura zdolna jest stanąć w szranki mechanicznej konkurencji z maleńkim i niemocnym człowiekiem. Może tym razem tak się stało?

– Musiałby pan brać pod uwagę cały kosmos – stwierdziłem.

– O takie finezje – wtrącił lord – podejrzewałem raczej demiurgów, którym sztuczną inteligencję udało się zaszczeić procesom ewolucyjnym.

– Zbyt daleko idące przypuszczenie, nie sądzi pan? – wątpił Ocearus. – Profesor doktor Volsen z uniwersytetu sorbońskiego dopiero co wysunął teorię zaszczeżenia

umysłu w minerały, a pan już sięga w snach chyba samych gwiazd?

– Hm... – zastanowił się pan Duncan.

– Pociesza mnie pańska znajomość teorii naukowych i tych wszystkich nazwisk osób o randze międzynarodowych sław – pochwalił Molier. – Tylko dobrze o panu świadczy ta zdobyta wiedza, ale są inne projekty i inni ludzie znacznie wyprzedzający czas, w którym żyjemy.

– Pan wybaczy, ale kogo ma pan na myśli?

– Choćby mojego brata Immanuela, z takim trudem zdobywającego przynależną mu sławę.

– Nieudokumentowane są jego podróże.

– Dokonywano prób kontaktu lustrzanego z orbit jowiszowych.

– Podrobiono wyniki.

– O, to już przechodzi czyste wyobrażenie! Oszczerstwo!

– Nie wybieramy się chyba w krainy aż tak odległe? – spróbowałem uspokoić atmosferę. Obaj panowie patrzyli na siebie wrogo.

– Zapewniam, że najsamopierw zrealizujemy ziemskie cele – stwierdził przez zęby Ocearus.

– Na kogóż więc profesorze ta broń? – zapytał po raz wtóry pan Duncan.

– Na ningeny, które sprytnie urządziły się w pumeksie. To na nie przygotowałem ten słuszny kaliber.

– Tu już pana kompletnie poniosło, profesorze – ośmiał się pan Bizzard. – Toż to prawie działa.

Spojrzałem na obu przekomarzających się panów z pretensją. Spróbowałem odnieść się do problemu merytorycznie.

– Poprzestańmy na wartościach geologicznych i zastanówmy się, jak zaradzić okresowemu wznoszeniu się wyspy z dna oceanicznego. W tym celu powinniśmy udać się na miejsce – stwierdziłem z przekąsem.

– Otóż to – zgodził się profesor.

Łódź podwodna została wytoczona z pokładowego magazynu na mechanicznym, niskim podwoziu kołowym. Była dość spora. Nitowana na długości jakichś dziesięciu metrów, na szerokości dwóch i pół i wysokości trzech i pół, obramowana gniecionymi w metal, zapewne w procesie zgrzewania, również metalowymi kołami. W kabinach ledwie mieścili się operatorzy, a o rozprostowaniu nóg nawet nie mogło być mowy. Tym widokiem Molier wzbudził me poważne wątpliwości.

Czyżbyśmy mieli podróżować na czymś takim miesiącami pozbawieni ruchu lub powietrza? Przecież najgłębsze otchłanie pod skorupą ziemską mogły zaskoczyć nas warunkami nie do przebycia. Aż dreszcz mnie przeszedł, gdy pomyślałem o opcji użycia mego aparatusa w roztworze siarczanów, w ciasnych korytarzach podwodnych gejzerów.

Zwodowanie łodzi podwodnej było dla naszej „Minerwy” fraszką. Posiadała potężne dźwigi wyciągowe stosowane do opatrywania wielorybów. Zaczepiono haki, dobrano łańcuchy i ustawiono na nich ogniwa. Wreszcie odsunięto brenty i naszym oczom w chłodnym zamglonym słońcu poranka ukazał się kształt „Morrlitiusa”. Wisiał już na linach dźwigu, gdy przystawiono długą drabinkę i Molier mógł się dostać na pokład.

Odwróciłem się na pięcie i począłem iść w stronę umówionego miejsca na rufie. Po drodze przywaczyłem czającego się za masztem okrętowego chłopca. Nasze spojrzenia skrzyżowały się i byłem pewny, iż oprócz przypadkowego muśnięcia wzrokiem było w tym coś więcej. Zacerwieniłem się i pochyliłem głowę. On tymczasem pomachał mi ręką na pożegnanie. A ja zadumałem się głęboko, bo szedłem w kierunku rufy w zamiarze wykonania wymaganego skoku wprost do oceanu. Jego reakcja dawała do myślenia. Czyżby znał moje tajemnice? Jakże mógł dysponować taką wiedzą byle jaki majtek?

Stałem na barierce, wymierzyłem i runąłem w falujące tonie.

Natychmiast ogarnęło mnie mroźne oceaniczne tchnienie.

Po chwili dołączył do mnie lord i migiem popłynęliśmy do już zwodowanej łodzi.

Głuchy łomot klapy i chrobot zakręcanych zaworów przywróciły mnie do rzeczywistości. Wytarłem twarz podanym ręcznikiem. Molier, już w zdecydowanie lepszym humorze, w nieprzemakalnym surducie i meloniku na głowie zaprosił nas do zajęcia miejsc naprzeciw pulpity. Tu, stojąc rozparty za kołem sterowym, poddał nasze umysły kolejnej lekcji:

– Pomyśli pan tylko, panie De Waay – zagaił, załączając dodatkowe elektryczne oświetlenie – o panujących tam w dole ciemnościach. Jakież ponure noce tam muszą panować! Zamieszkujące mroki istnienia, doskonale przystosowane, bez wątpienia

wrogo będą nastawione do przybysza pochodzącego z krain wiecznie olśniewających! – Tu opisał nam miejsca denne w szczegółach i zdawał się zachwycać roztaczającymi się z tamtej perspektywy krajobrazami, które już był poznał w poprzedniej samotnej wyprawie. Gadał jak najęty, aż popadłem w drżenie na samą myśl o nurkowaniu w najgłębszych podwodnych mułach i mineralnych hydrotermalnych komorach. Po raz kolejny zdałem sobie sprawę, że postępuję wbrew sobie, taka brała mnie złość na decyzję, którą w sposób niebaczny podjąłem.

Molier poprosił mnie do sterów. Ocieżale podszedłem. Tymczasem on wyciągnął swój kajet i spojrział na zapisane liczby.

– Zaraz sprawdzimy, czy to draństwo jest zdolne pod moją komendą pływać – zażartował.

– Wybacz pan, ale nie rozumiem – odniósł się do uwagi Sir Bizzard. – Czyż nie wypróbował pan „Morrlitusa” przed jego zwodowaniem?

– W stoczni upewniłem się co do mechanicznej jego wydolności, a w porcie po prostu nie było czasu. – Uznał, że wystarczająco się wytłumaczył, bo zajął się nawigacją zegarową.

Okręt runął w dynamicznym upadku ku samemu dnu.

Profesor odsłonił rolety na wielkich bulajach i spoglądając to na zegary, to na nas, dawał do zrozumienia, że nie ma powodu do obaw.

– Słyszę wodę w korytarzu – zaniepokojonym głosem obwieścił Lord Bizzard. Obaj wyrzeliśmy prawie równocześnie.

– Pański statek tonie! – niemal zakrzyknęliśmy.

– Proszę trzymać nerwy na wodzy. Nie ma takiej opcji.

– Ależ widzę podnoszący się poziom cieczy w korytarzu. Przeciek to skandaliczny.

Molier zachnął się na uwagi. Rychtował coś i nastawiał, kierując dźwigniami.

– Celowo wypełniam pomieszczenie wodą. Powietrze zdecydowanie bardziej przyda nam się później.

– Chce nas pan potopić? – spytałem i ujrawszy serdeczność w jego oczach, zaniemówiłem. Oczywiście wiedział, że obaj z lordem reprezentujemy już ów szczególny rodzaj przystosowania. Reynash przekonywał go od kilku dni o naszej gotowości. Nic więc dziwnego, że postanowił to na własną rękę sprawdzić.

– Widzę, że obaj panowie już w pełni rozezналиście sytuację – oznajmił. – Gdy tylko powietrze zostanie wypompowane do zasobników awaryjnych i przestrzeń wypełni się wodą, zaaplikuję w ciecz kryształy foniczne, które pozwolą na kontakt naszych świadomości. Jedyne w opanowaniu przekazu myśli potrzebujecie dalszej praktyki. A umiejętność to konieczna w świecie, gdzie każde stworzenie ma coś do powiedzenia.

Tutaj pan Bizzard parsknął żywym śmiechem.

– A ja już myślałem, żeś pan od tego pędu do doświadczenia naukowego oczadział i chciał naprawdę nas potopić! Widzi pan, zdobyłem spore doświadczenie na spręcie morskim, jednak łodzie podwodne nie są mi szczególnie dobrze znane. Zmyliłby mnie pan na każdym kroku.

– Ja również posiadam niewielkie o nich odczytanie – przyznałem.

– Zwykle wydaje nam się, że historia jest pisana dla innych. Tymczasem wszyscy winniśmy ją poznać. Niestety, zazwyczaj brak na nią czasu w naszym zabieganym życiu.

– Może, oczekując zakończenia pokładowego potopu, mógłby pan nas wprowadzić w owe zagadnienia?

– Zrobię to z całą przyjemnością – stwierdził wyraźnie zadowolony Molier. – Otóż by zacząć, muszę wybrać się do carskiej, pięćsetmilionowej Rosji. Tam po raz pierwszy w historii nowożytnej rozpoczęto próby budowy wojennej jednostki podwodnej. Piotr Pierwszy Wielki wsparł propozycję niejakiego Jefima Nikonowa, który zaoferował się skonstruować łódź uzbrojoną w ogniste rury stanowiące wczesną europejską formę pocisków rakietowych. Prototyp jednostki został ukończony w roku 1720, jednakże mimo sukcesu podczas demonstracji przed carem nie przeszedł testów na szczelność.

– Coś jakby podobnego dzieje się z pańskim pojazdem – ze śmiechem skomentował pan Bizzard. I spoglądając na mnie, dodał: – Stocznie w Melbourne naprawdę nie mają powodów do dumy.

Molier puścił uwagę mimo uszu i kontynuował:

– Prawdopodobnie pierwszym człowiekiem, który użył jednostki podwodnej w walce był Amerykanin David Bushnell – ciągnął niestrudzenie, obserwując powolne wznoszenie się poziomu wody. Urządzenia zdawały się pracować normalnie, jak gdyby konstruktor z góry przewidział wymagania środowiska, z którym przyjdzie im się zmierzyć. – Dowiódł on możliwości podwodnej eksplozji prochu oraz skonstruował pierwszą bombę zegarową. Postępował z zamiarem zastosowania obu wynalazków przeciwko brytyjskim okrętom utrzymującym blokadę morską portu Nowy Jork w trakcie amerykańskiej wojny o niepodległość. W roku 1776 zbudował swój pierwszy okręt podwodny o nazwie „Turtle”<sup>40</sup>. Utrzymywany w wodzie w pozycji pionowej pojazd wykonany był z drewna, a jego wielkość umożliwiała zmieszczenie jednoosobowej załogi oraz przekładni do poruszania wehikułu. „Turtle” mógł poruszać się z szybkością trzech węzłów i magazynował zapas powietrza wystarczający na okres trzydziestu minut. Odczepiony ładunek wybuchowy skonstruowany został w taki sposób, aby było możliwe jego przyśrubowanie do kadłuba wrogiego okrętu.

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się lord Duncan. – A czy panu udało się zastosować w konstrukcji materiały lepsze do drewna? – zakpił, wskazując na drewniane koło i szafę z zegarami równie wytwornie wykończonymi w mahoniu.

– Mój „Morrlitius” został zaprojektowany przez Wilhelma Bauera i jest najdoskonalszą łodzią podwodną tego typu, jaką do tej pory zwodowano. Na pokładzie nie ma za wiele miejsca, przyznaję, lecz planowałem z góry operacje o skromnym zasięgu.

– Panie profesorze, bez obrazy, ale dotąd tylko ogólnikowo poznałem pana plany – zagadnąłem. – Ciągłe wraca pan z czymś nowym i zaskakuje. Przecież zatrudnił pan świetnych naukowców, którzy znacznie lepiej od mojej skromnej osoby mogliby wykonać dla pana tę pracę.

Molier przyjrzał mi się uważnie. Ujrzałem w jego oczach dawno niewidzianą wobec mojej osoby sympatię.

– Za mało pan o nich wiesz – odparł z niesmakiem. – Wysłała ich na wyprawę akademia, która wysupławszy z portfela sporą sumkę, spodziewa się sporych zwrotów. Jak wobec tego miałbym im tłumaczyć moje zamiary? Czy uwierzyliby mi tak jak panowie na święte słowo, czy zdobyliby się na równie szczodry przyjacielski gest? Który z nich uwierzyłby, że już tam w części dennej zaworowej przebywałem? Jaki list mego brata miałbym odczytać, by naprawdę mi uwierzyli? Ten, którego nie ma, gwarantujący dostęp do nieskończonych surowców? – Odczytał z naszych twarzy, iż dość mamy tej przemowy, więc innym już tonem się odezwał, zmieniając temat:

– Pozwoliłem sobie na naszym „Morrlitiusie” na szereg innowacji. Jest tu między innymi w składzie urządzeń filtrujących pański oxygenator wodorowy. Będzie więc pojazd bezpieczny we wszelkich wodach, nawet tych najgłębszych lub najdalszych, o znikomej ilości gazów.

---

40 Prawdopodobnie jednak pierwszym człowiekiem, który zaprojektował łódź podwodną zdolną przepłynąć pod wodą, był Korneliusz Drebbel, holenderski inżynier i wynalazca. Jego napędzana przez dwunastu wioślarzy jednostka odbyła podwodną podróż wzdłuż Tamizy w Londynie w roku 1620. Jednakże wydarzenie opisali jedynie świadkowie. Nie zachowały się żadne formalne dokumenty, stąd to wyczyn Bushnella powszechnie uznaje się za krok inicjujący eksplorację świata podwodnego.

Wnętrze podwodnej maszyny wypełniła woda i po przerwie przystosowawczej mogłem na powrót logicznie myśleć. Pan Molier nie omieszkał załączyć potężnych reflektorów na przedzie łodzi, stąd mogliśmy obserwować odległe jeszcze o jakiś kilometr skały. Pokryte gęstą roślinnością, miały bogatą i aktywną florę. Zauważyłem zwierzęta o ciałach długich niczym langusty pokryte futrem lub obfitym pierzem. W ruchu podobne do lwów morskich, przemykały w załomach skał. Były tam również pingwiny w ilościach niemożliwych do przesłedzenia. Najpewniej przyciągało je tu bogactwo pożywienia. Ryby uwijały się pośród milionów wydmuchiowanych z wnętrza skały powietrznych bąbli. Wiadomą rzeczą było, iż każdy taki przeciąg zaopatrywał okoliczne wody w setki ton planktonu, krabów i robali, w chmurach wprost nieogarnionych wzrokiem. Można było żerować na tym tygodniami.

Pan Molier rozpuścił ponad naszymi głowami kilka garści fonicznych kryształów, lecz dopiero po dobrej chwili dotarły do nas jego myśli.

– Wyspa jeszcze nie osiadła – przyznał. – Proponuję opuszczenie łodzi zaraz po tym, jak uda nam się przycumować do podstawy jej głównej komory. Proszę mnie wysłuchać uważnie, bo w samym terenie będziemy mieli ograniczone możliwości kontaktu. Każdy z nas posiada w kieszeniach kombinezonu niewielki pojemnik z solą foniczną powodującą wzbudzenie cieczy, to jest stan, w którym okoliczna woda staje się jakby przedłużeniem umysłu. Dlaczego tak się dzieje? Bo wspomniana ciecz, w związku z domieszkami mineralnymi i organicznymi, przyjmuje formę zbliżoną do nieskończonej siatki neuronalnej. Soli wystarczy jednak zaledwie na kilka minut ograniczonego obszarowo porozumienia..

– Jak to możliwe?

– Zapewne będzie to z początku trudne, jednak zwerbalizuje pan myśl, wysyłając ją jak po przewodzie w cieczy zawierającej miliony prymitywnych istnień bakteryjnych. A sól specjalistyczna nie robi niczego innego, jak tylko łączy i spaja nasze świadomości. Jakbyśmy, będąc we wspólnym ośrodku naczyniowym, stali się raptem jednością.

– A więc to telepatia?

– Nie aż tak szczególna, bo łącząca neuronalnie wszystkie organizmy znajdujące się w zasięgu roztworu. Stąd i ryby przypadkowo mogą przemówić, i skorupiaki. Radziłbym pozostawić tę możliwość na sam koniec. Natychmiast jak tylko zawór główny komory ulegnie zamknięciu i rozpocznie ona gromadzenie wydzielającego się gazu, wypływajcie panowie na wody.

Rozłożył przed nami przekrojową mapę, która w wodzie uległa samoistnemu usztywnieniu.



- Panie De Waay, zdaje się, że należy nam się kilka słów wyjaśnienia? – powiedział.
- W kwestii kawitologicznej szuka pan porady?
- No właśnie.

Sięgnąłem po jeden z leżących plecaków. Wystające z niego rury i rureczki wiły się niesfornie.

– Jest to niezbędnik kawitologiczny znany panom jeszcze z kajuty. Nowość zupełna. Upakowany w mocnym blaszanym plecaku, nierzadko ratuje specjalistom życie. Proszę...

Obaj dżentelmeni wpasowali szerokie elastyczne rury, które przygotowałem dużo wcześniej na swój rozmiar. Popuszczali ściągacze i nastawiali na nowo wszystkie sprężyny. Pomogłem im założyć solidną uprząż na ramiona i tors, przykleić przyssawki i już spokojnie się przyglądałem, kiedy dopinali wszystko na zamki błyskawiczne i kluczowe od strony głowy. Reszta mechanizmu wraz z miotaczem magmowym wpasowała się automatycznie.

Sam nie pozostawałem bierny.

Tak oprzyrządowani, ruszyliśmy w stronę wyjścia.

Jednak ciężar całego urządzenia sprawiał im nie lada kłopot przy chodzeniu. Moi towarzysze płynęli i pomstowali na niedogodności. Narzekali też na części bateryjne, powodujące przeskoki elektryczno-ciśnieniowego wyładowania.

Wróciliśmy, by jeszcze raz przestudiować szczegóły mapy.

– Od podnóża komory biegnie korytarz B, który przydzielił pan mojej skromnej osobie. Czy dalej obstaje pan, abym to ja złożył w nim ładunki? – zapytałem.

– Jak najbardziej. Niech pan również poprowadzi ogień magmowy i wydmucha kawitologicznie krzyżujące się korytarze. Nowo powstałe kominy lawowe szybko osłabią strukturę skalną wyspy i doprowadzą do jej zatopienia. Pan Bizzard ustawi się w pobliżu i będzie miał oko na otoczenie. Ja tymczasem okrążę naszym batyskafem wyspę i postaram się założyć ładunki po przeciwnej stronie w rejonie analogicznym. Również w miarę możliwości upłynię setki ton skały. Proszę pamiętać, iż laski horglomu posiadają dwa rodzaje lontu. Proszę użyć wpierw dłuższego, godzinnego, następnie pójdą lonty krótsze, półgodzinne. Zapalamy je poprzez silne pociągnięcie.

Przeszliśmy do korytarza, w którym lord Duncan odnalazł torbę z dodatkowymi rolgułami<sup>41</sup>, i tak zaopatrzeni zbliżyliśmy się do już otwartej klapy. Tu podaliśmy sobie wszyscy dłonie na pożegnanie i życząc sobie nawzajem sukcesu, wypłynęliśmy.

Dopiero teraz ujrzałem cały majestat wznoszącej się nade mną pływającej wyspy. Słońce zakradało się tutaj od południa i rzucało miodowe blaski na potężny, zdawało się rosnący w nieskończoność blok skalny. W dole czaiły się mroki, a w nich delikatne wyładowania lub niezwykle miniaturowe ognie podwodne, o których wspominała autorka znanej nam współcześnie „Mitologii Saby”.

Płynęliśmy szybko i wkrótce oddalający się „Morrlitius” zaginął poza skalnymi załomami. Miałem przed sobą kamienną norę podobną do wielkiego, nieregularnego rurociagu, wbijającą się w opokę korytarzem bez końca. Dałem znak Bizzardowi, aby ten zajął stanowisko, a ja sam, pomny zasłyszanych uwag, wpłynąłem we wnętrza, przyświecając sobie skromną podwodną latarnią. Może najbardziej obawiałem się zakłócić mieszkańcom sen, bo miałem wrażenie przekroczenia progu czyjegoś lokum. Lecz jak dotąd napotkałem jedynie chmary małych ryb i nieszkodliwych skorupiaków. Natomiast to, co ujrzałem w głębi, w pierwszej chwili wzbudziło me przerażenie.

Wróciłem w te pędy do pana Duncana i na migi mu wytłumaczyłem, w czym rzecz. Wyrychtował strzelbę i wspólnie zapadliśmy w ciemny korytarz, wsparci tylko marnym moim ręcznym oświetleniem. Po jakiś stu metrach ujrzelśmy zajętego robotą ningena. Wielkie dłonie pracowały całkiem sprawnie, a on sam zaangażowany w wyplatanie sieci, w ogóle nas nie zauważał.

Pan Bizzard całkiem słusznie uznał, iż olbrzym w tym stanie nie stanowi zagrożenia i dał mi znaki, abym cichaczem i po innym zboczach posunął się dalej w głąb i tam założył ładunki. Podjąłem się wykonania jego planu. Pragnął być może w rumowisku pogrzebać olbrzyma żywcem.

Prędkim ruchem płynąłem tuż przy ziemi. Zerkałem od czasu do czasu na zegar głębokościomierza wpięty w pasek i podług niego się kierowałem. W pewnym momencie zatrzymała się wskazówka, stąd byłem pewny, że masa skalna usadowiła się w swej dennej pozycji. Tu przystawiłem wylot i uruchomiłem miotacz magmowy. Jak poucza instrukcja kawitologiczna, niemożliwym jest roztopienie powierzchniowej warstwy skały. Proces przebiega nagle i gwałtownie wewnątrz, na głębokości od półtora metra w głąb. Tam zapalają się poszczególne ogniwa i skalna kropla rozprzestrzenia się proporcjonalnie niczym odbijająca się od wybrzeża fala. Tyle że do czynienia miałem z rodzajem pumeksu, stąd żar począł się gromadzić, a z porowatości umykało ciśnienie w postaci milionów bąbli.

Na froncie podziemnej wojny byłaby to rzecz zwyczajna, tutaj w przypadku ograniczonej przestrzeni i masy niewielkiego odłamu stawała się efektem niebezpiecznym wymagającym od operatora umiejętności i rozwagi.

Postanowiłem na tym poprzestać.

Odwróciłem się i zacząłem instalować w przeciwległej ścianie ładunki. Wykorzystywałem do umocowania wszelkie pęknięcia, a że skała była porowata i o wyraźnym wulkanicznym pochodzeniu, oferowała miejsc bez liku. Pozostało mi już tylko przepłynąć wokoło potwora, gdy ten mnie przyuważył. Zaraz się zorientował, że to nie żadna ryba, tylko stworzenie rozumne i czelne jej się przeciwstawić. Obrócił się do mnie frontem, percypując, co tu robię.

Spojrzałem na robotę przez niego prowadzoną i ku zdumieniu swojemu zauważyłem, że nie sieć rybacką wytwarza, ale naprawia wszelkie poniszczone łącza, którymi natura od milionów lat kontrolowała obiekt. Wydało mi się to dziwne i zabawne zarazem. Skąd wzięło się owo przypuszczenie Moliera o urządzeniu przez przyrodę wyrzucanym i przez nią samą kontrolowanym? Przecież jasnym był udział w tym osoby trzeciej.

Staliśmy z ningenem naprzeciw siebie i mierzyliśmy się wzrokiem.

Wówczas lord Duncan wystrzelił, by uwagę olbrzyma skoncentrować na sobie. Chybił i kula w rykoszetach nas obu, wrogich sobie, jeszcze bardziej ku sobie zniechęciła. Ningen poruszył ogromnym, wielorybim cielskiem. Na siłę pragnął nas swą masą zmiażdżyć, bo oto zauważył, że dwa dziwadła ludzkie w obliczu sekretów współdziałają. Uznał zapewne, że to o dwa za dużo i należy śmiałków zgnieść jak najprędzej. Wtem dotarły do niego drżenia i eksplozje z odległej części wyspy, i jakby pojął wszystko w oka mgnieniu. Zatrąbił wielkimi ustami z całej siły, jak to robią dragoni w chwili okrążenia. Udało mi się w tym momencie przemknąć bokiem i, kiedy od moich pozostawionych w skale ładunków począł dobywać się ogień, para dmuchnęła i pomknęła szalonymi wirami, a eksplozje wynikły potworne, wszyscy trzej runęliśmy w jednakiej panice ku wąskiemu gardłu przejścia.

Największy rwał pierwszy, wobec czego lord strzelał gadowi w plecy i ranił olbrzyma szkaradnie. Ten jęczał, szybko płynąc i krwawiąc. Duncan nie przestawał go ostrym nabojem razić. Ramię mu omdlewało od trzymania potężnej strzelby, co w postawie pływaka było nie lada sztuką, bo kolbę w chwili strzału przytrzymywał stopami, idąc tylko na rozpędzie. Ale widać dobrze też nie potrafił się z onej pozycji pływackiej nastawić ani celnie przyłożyć, bo tylko ranił i jątrzył uciekającego potwora.

Ten już sięgał krawędzi wylotowej skały. Obrócił się, aby po mnie płynącego ostatkiem sił sięgnąć łapskami o potwornych, ruchliwych szponach. Spróbował zgarnąć mnie do zaopatrzonej w potężne ssawki paszczy. Nie przestraszyłem się tego ruchu zupełnie. Zbyt jeszcze gibki i silny pozostawałem.

Co innego jego wielkie dodatkowe oczy umieszczone u podstawy jakby nadruchliwej szyi. Te mnie osaczały. Czuję się drobiną naprzeciw mocy tak dawnej, że w bibliotece zachowawczego instynktu nie było już po niej śladu. Z jakże obcym w wymowie miałem do czynienia spojrzeniem! Oczy te wydawały lśnienia podobne do wilczych blasków. I mimo że różniły się diametralnie od zwierzęcego światła wydzielanego w sekundzie ataku przez bestie znane mi z lądów, tak samo informowały o dramatycznym mym końcu. We wzroku tym drzemały pradawne korzenie okrucieństwa i nienawiści do wszelkiego plemienia szwendającego się pod powietrznym niebem, bo świat morski nienawidził całym sercem świata lądowego. Lekceważyły bowiem one bestie wszelką istotę błagającą o krople ożywczego,

pozbawionego soli morskiej deszczu. Jej rolę w systemach ekologicznych negowały, a przystosowania uważały za zbędne i bezowocne. Rozgniewane za naruszenie oceanicznego spokoju, potrafiły się tylko mścić.

Zagradzający nam przejście ningen pałał żądzą odwetu, bo czuł, że umiera. Z każdą chwilą jego zdesperowane serce wpompowywało w wodną przestrzeń kolejny litr wypływającej z otwartej rany krwi. Słabł w oczach. Raz po raz targały nim potężne drgawki, a że za każdym razem poważny kaliber pocisku Lorda Duncana targał jego wnetrzności, na nowo wrywał się w bolesnym skoku dalej i bliżej ku mnie, który to, korzystając ze skalnego wyżłobienia, byłem wyzwolenia najbliższej, już przy krawędzi.

Na ziemi byłoby monstrum dawno poległo, tutaj natomiast pędzący prąd wodny idący od eksplozji niósł coraz bardziej bezwładną masę wprost na mnie, mieszając krew z kamieniami i mułem i niemal tratując cielesnym ścierwem. Ostatkiem sił spod tej prasy umknąłem, ale nie bez uszczerbku w postaci bolesnych odarć.

Ningen mnie ominął. Ześliznął się do jakiegoś pokrytego roślinnością podwodnego żlebu i tam zdechł. Wtedy ozwał się na ostatek piekielnym trąbieniem przechodzącym w krótkotrwałe grzmoty. Oczy powoli zaszły mu mgłą, paszcza się rozwarła, a żołądek oddał się ostatnim wymiotom.

Nie mogłem na to więcej patrzeć.

Tym bardziej że lord nie ustawał w strzelaniu.

Wielki sztucer przewiązał był przez plecy i, odnajdując mnie całego i zdrowego, wymachiwał rękami. Kazałem mu przestać i pociągnąłem do przodu. Mocarnymi pchnięciami odbiłem się tak, że objąłem w nurkowaniu prowadzenie.

Eksplozje na wyspie nie milkły. Rozpołowienia gruntów objęły całą skałę, jakbyśmy uruchomili w pumeksie efekt domina. Siłę ziemskiego trotylu można było przy eksplodującym horglomicie<sup>42</sup> przyrównać do mocy zapalanej zapałki, takiej narobił szkody. Fragmenty skał odrywały się od ściany, natychmiast kruszały i wraz z półpłynną magmą i chmurami dennego mułu wirowały ponad naszymi głowami, a w dole i z boków wypryskiwał gruz. Wyspa, podług wskazań mojego zegara, jeszcze bardziej opadła. Uderzyła o dno, zachwiała się i poszła na bok, a miast kompletnie się przewrócić, tak się przekrecona ostała.

Wydarliśmy się na opustoszałą przestrzeń wodną. W dole ujrzałem nieskazitelną mroczną otchłań.

Z całych sił rozgarniałem wodę. Parłem do przodu, wijąc się i wyginając ciało. Starając się uczynić je jeszcze bardziej opływowym, powstrzymywałem na długie minuty oddech.

Po niejakiem kwadransie, rozglądając się bacznie po owej rozświetlonej dalekim słońcem nicości, ujrzałem w głębinie jakieś ruchy, ale bardziej mi one przypominały wijące się w gnieździe robaki, niżli drapieżne, ogromne bestie. Dopiero po chwili

zorientowałem się, jak mocno okazała się myląca wodna perspektywa. Nie miałem bowiem w środowisku wodnym żadnego przybliżonego pojęcia o dystansie, żadnego doświadczenia ani zdolności obrachunku czyjegoś ruchu. Wkrótce nadpłynęły ze wszystkich stron poczwary. Zbliżyły się do zapadłej wyspowej skały i poczęły przepatrywać rumowisko w poszukiwaniu swoich. Oddalaliśmy się czym prędzej, niemal krzycząc ze zgrozy, bo było tego robactwa zatrzęsienie i z bliska wydawało się być okropnym powyżej limitów ludzkiego bezguścia.

Dopiero po kwadransie ujrzeliśmy zbliżający się spokojnie kadłub „Morrlitusa”. Profesor sterczący do połowy w luku wejściowym wkrótce porwał nas w ramiona i serdecznie gratulował osiągniętego rezultatu.

Niemal w biegu skoczyliśmy do oświetlonego wnętrza, zatrzaskując gruby na dziesięć cali właz żeliwny. Z wielką ulgą się tam znalazłem błędnie przekonany o braku konsekwencji za czyn. Bo nie igra się z mocami innego, nieznanego ci świata. Zawsze z respektem odnosić się należy do istoty obcej.

Pan Molier bez wytchnienia pracował przy urządzeniach nastawczych. Tylko mimochodem pogonił naszą dwójkę do sterowni. Tutaj, opływając pulpity, załączał pompy, przekładał dźwignie i przykręcał zawory. W końcu, będąc za długo roztargnionym, wygasił przekłete, demaskujące nas reflektory.

Teraz z bezpiecznego zacisza pozwolił zerknąć na skałę, operując jedną z zewnętrznych wstecznych lunet. Pomimo panującego półmroku mogliśmy w wielkim okularze przyrzeć się rosnącej zbieraninie istot morskich.

Przedstawiała wybór okropny. Od istnień nam nieznanych po zdradliwe, pożerające ludzkie mięso foki i białe denne niedźwiedzie. Zebrało się tego gniotu kilkaset sztuk i biadoliło ponad trupem. Zaraz...

Okazało się, że wybuchami więcej narobiliśmy szkody, bo co chwila wyciągano nowe martwe ciało.

Przełknąłem ślinę z przestachu.

Czyżbyśmy mieli być za chwilę słusznie potępieni?

Pozostawało tylko wymierzyć z działka i rozgonić hołotę dobrym śrutem, na co profesor Molier w żadnej mierze się nie godził, obawiając się słusznie rozpęknięcia całkowitego pumeksowej skały i być może jej rozdrobnienia na miał nie uszczelniający niczego. Wtedy ów zawór, o którym z taką trwogą mówił, pozostałby otwarty na wylot, pozwalając piekielnym marom lub jeszcze gorszym i większym poczwarom na stałą penetrację ziemskich mórz i oceanów.

– Poczekajcie chwilę – zdecydował, bulgocząc w fonicznych kryształach rozrzuconych niedbałym ruchem.

Przerzucił kilka znanych sobie dźwigni, przekręcił klucze pompy na atmosferę powietrzną, więc wkrótce mogliśmy nasze stresy odreagować, pocieszając się szklanką

grogu i cygarami. Zezwolił na przebranie. Odczułem ulgę, gdy poczułem na sobie czyste, schludne ubranie. Z całą przyjemnością założyłem buty. Zaczesalem włosy do tyłu i pośpiesznie podciąłem przed lustrem bokobrody. Poczulem się bohaterem, bo co jak co, ale profesor potrafił okazać zadowolenie.

Zasiedliśmy obaj z Molierem za sterami i profesor zezwolił mi pod czujnym swym okiem na manewry. Opadło napięcie. Oddalaliśmy się od skały w coraz szybszym tempie. Wkrótce jej zarysy ledwo majaczyły w zielonkawej toni.

– Dzięki przebyтым kuracjom mineralogicznym nie potrzebujecie panowie bynajmniej martwić się o stan swego podwodnego zdrowia – mówił do mnie, nieśpiesznie kręcąc zaniedbanym i mokrym jeszcze wąsem. – Nabyliście z panem Blizzardem już sporo odporności nurkowej, a ciało poprzerastane membranami filtrującymi barier immunologicznych żyje w stanie bezpieczniejszym niż na stałym lądzie. – Tu okręcił się i pochwycił za dźwignie biegów, wzmacniając moce motorowe. – Poza tym spójrzcie na inne walory! Ten wspaniały proces pochłaniania planktonu i jego wydalania zachodzący przy pomocy respiracji saccorhytusa! Toż to biologiczna rewolucja! Nigdy człowiek nie był tak unikatowym specjałem! Wydalenie więcej nas nie zwiąże ze smrodem i brudem. Przypominać bowiem będzie proces oddechowy pozbywania się zużytych gazów i drobin niepotrzebnych. Stanie się zabiegiem dbałości o czystość o wyjątkowej klarowności i energetycznej oszczędności. Wybór świata oceanicznego pozwoli ludzkości na ucieczkę od kaprysów pogody, głodu, pragnienia i przeklętych, roznoszących epidemie insektów. Poza tym od kosmosu rozdzieli nas na zawsze bariera dwóch ośrodków, co uczyni nasze życie na planecie podwójnie bezpiecznym – mówił tak i mówił tonem coraz wznioślejszym i radośniejszym.

– Pytanie tylko, czy Bóg by tak chciał?

Zdębiał doprawdy. Musiałem go rozbawić tym stwierdzeniem, bo parsknął śmiechem i odpowiedział z przekonaniem:

– Szczerze wątpię, że go obchodzimy. W świetle faktów myślę, że nie ma nic wspólnego z naszą zbudowaną w znoju i trudzie cywilizacją. Wierzę w święte prawa ewolucji gatunków. Twierdzę, że nie raz ryby wychodziły na ląd z oceanów i nie raz z powrotem wchodziły. Zdarzało się, że w niejednym przypadku nowe gatunki podbijały nie tylko niziny, ale i góry. Niektóre ich rodzaje powróciły na stałe do pierwotnego środowiska, inne nie. Wszystkie wieloryby i delfinowate są tego znakomitym przykładem. Wtórnie się do wody asymilowały. U waleni kończyny tylne zanikły, a ogon przekształcił się w poziomo ustawioną płetwę. Żyją w stadach od kilku do kilkuset osobników o wyraźnie zaznaczonej hierarchii. Posiadają wrodzoną zdolność do echolokacji, a także do elektrolepcji. Porozumiewają się za pomocą dźwięków określanych jako język delfinów.

– Sądzi pan, że nadeszła pora na człowieka?

– Jestem tego pewny. Szczególnie teraz, kiedy dokonaliśmy tak przełomowego odkrycia.

– Jakiego odkrycia?

Machnął niecierpliwie ręką.

– Czyż nie wspominałem o kanałach galaktycznego przepływu?

Zamilkłem, bo zdałem sobie sprawę, że od onej odległej skały wciąż przesuwał się z boku w wielkim oddaleniu oderwał się pościg kilkunastu ciemnych postaci. Nic to, że nie zająknąłem się na ten temat. Widzieli wszyscy. Poczulem, jak wielka gula nieokielzanej trwogi staje mi w gardle i dusi. Ruch tych figur był poczwarny w wymowie. Nawet duch cmentarny nie sprawiłby na mnie gorszego wrażenia. Stan ich finezyjnego, mrocznego nadejścia można było przyrównać do nadchodzącego tańca, w którym niecierpliwość jest prowadzącym, a lęk postępującym. Zdawało się, iż to czarny ogień się rozlewa lub rozlana smoła za nami podąża. Wariacji na ten temat mogło być kilka. Sam zresztą wątpilem w swe zmysły. Stan moich oczu po nagrzewaniu magmowym był fatalny. Powieki dotknięte okropną opuchlizną nie tyle od soli, ile od zawieszonych w zmięszanych kwasach obecnych w wysadzonym lub topionym korytarzu, nie pozwalały się otworzyć. A otwarte oczy łzawiły, wyzwalając szczypiący ból.

Tkwiłem tak w swym strachu ogłuszony, milczący i nieszczęśliwy. Dopiero po chwili dotarły do mnie odgłosy rozmowy, bo przyjaciele już w sytuacji rozeznani ochłonęli.

To lord Bizzard rozpytywał przez chwilę naszego dobrodzieja o kaliber broni i szczegóły przedziwnej jej konstrukcji. Z tego, co mówił, wynikało, że nigdy podobnej w żadnym znanym mu zakątku Ziemi nie spotkał.

– Musi to być jakiś pozaziemski grat, który dostał się przypadkowo w pańskie nieodpowiedzialne ręce – komentował, wpatrując się z uwielbieniem w profesorskie oczy. A były one zadowolone jak u antykwariusza lub szczura, który sprzedając trofeum ulubieńcowi, poczuwa się mistrzem zdobywcy.

– W rzeczy samej. Jest to rękodzieło rusznikarza ganimedowego, Gluora.

– Przywlokłeś pan podobną z podziemnej wyprawy? Gdzie są położone owe ganimedowe pokłady? – pytał wciąż, chyba nie rozumiejąc, bo naukowiec mówił o kosmosie. – Czyżby w samym jądrze planetarnym?

– Są to krainy, które nic z jądrem ziemskim nie mają wspólnego. – Lord spojrzał na mnie, a potem zawiesił wzrok na ustach Moliera. – Nie powiem nic więcej, bo czasu mamy mało. Jak najspieszniej trzeba nam wydobyć łódź na pokład „Minerwy” i odbić od tych wód jak najdalej. Gniew ningenów bywa bowiem straszny, a z całą powagą mówiąc: boję się ich pościgu. Wszystko panom na pokładzie „Minerwy” pokrótce opowiem i obiecuję, że sięgnę po dowody pisemne, takie jak kroniki, gwaranty i

wszelkie funkcjonalne opisy. Grunt, że wyspa pozostanie już na zawsze w dno wbita niewzruszoną opoką.

---

41 Fikcyjny rodzaj amunicji pozwalający na kontrolowany rykoszet.

42 Fikcyjny materiał wybuchowy wytwarzany z minerałów obecnych na Ganimesesie.



Proces wydobywania podmorskiego pojazdu obserwowałem stojąc przy najbliższej wyciągom burcie. Łódź właśnie oderwała się od powierzchni wody i zawisała, huśtając się na pordezwiątych linach. W dół lunęły wzburzone krople.

Boczne dźwigi miały to do siebie, że mechanizm biegów ciągle się w nich zakleszczał. Należało części naoliwić i zastartować parą napędzane przekładnie od nowa. Szczęście, że siłowniki hydrauliczne wciąż pracujące nie pozwalały na najmniejszy nawet opad. Wkrótce ramiona dźwigu z wielkim mozołem obróciły się ku sobie i mechanizm, uniósłszy ponad mokry pokład obły kształt „Morrlitusa”, pozwolił mu po chwili opaść na wcześniej przygotowane potężne wsporniki kadłubowe. Dziwiłem się, że nie wykorzystano do wyciągu pochylni parowych umieszczonych w masywnych żeliwnych wyźłobieniach na obydwu burtach. Szyny biegnące do owych spadków wprost z czerpaków łańcuchowych mogły zapewnić znacznie szybsze wciągnięcie lub spuszczenie łodzi torpedowej pod wodę. Może dlatego, że w pełni nie działały, a może blokowały je niezliczone komory wystrzałowe dla jednoosobowych batyskafów, których mrowie zwykle wykorzystywała armia do szerzenia spustoszenia w bitwie podwodnej – tak czy owak pozostały bezużyteczne.

Tymczasem procedura wyciągnięcia łodzi dobiegła końca.

Na powierzchni wody ciągle pozostawały dwie kołyszące się szalupy z trzymającymi asekuracyjne liny marynarzami. Wtem chłopak okrętowy stojący na jednej z łodzi, tej bliższej lewej burty, z przerażeniem wrzasnął.

Pobiegłem zaraz śladem jego spojrzenia.

Wskazywał coś ręką, co z najgłębszych otchłani się do nas niby świetlna raca wznosiło. Było już blisko zmroku, a więc światło bijące od wód nas przeraziło. Na widok potężnego cielska płynącego nam na spotkanie z głębokich wód przejęła wszystkich trwoga. Strzelano w powietrze, walono pociskami w wodę. Poszły w ruch rakietowe harpuny. Nic to, wszelkie wysiłki chybiały celu. Pan Molier, dzierząc inną wielką pukawkę, pobiegł na dziób okrętu. Tam ustawił ją na stojaku i kazał Murzynowi w rozfalowane tonie celować i walić seriami, bo stalowy boks pełen był taśm z nabojami. Tam obok stał drugi wypełniony po brzegi. Sam profesor, stanąwszy na skrzynce prowiantowej, rozciągnął posiadaną niezawodną hornettę 250 w kierunku domniemanej wyspy Emerald.

W odległości kilometra znów bulgotało morze. Wschodziła pumeksowa zaraza, przeklęta kraina niczym potępiony topielec wychynęła ze spienionych wód i gorzała niby unowocześniony piekielnym zaklęciem wulkan. Jakby występowała z samego dna magmowego szafu wraz ze śmiertelnie rozkręconymi wirami, mieliznami na zawołanie

i ostrą koroną podwodnych raf czyhających na żeglującego śmiałka. Nie dotarła jednak całkowicie do powierzchni, tylko jakby schorowana, ociężała runęła z powrotem w głąb. Tam znów powstrzymana niewidzialną liną dźwignęła się, podskoczyła i na powrót się wspięła.

– Do diaska! – ryknął profesor w naszą stronę. – Za mało założyliśmy ładunków, panie De Waay! Bryła ciągle pływa. Zawór przeklęty na nowo zasysa wody.

Nie zwracałem na niego uwagi, bo inne mnie trapiły strachy. Patrzyłem w dół ku pieniającej się z nagła wodzie. Z przerażonym grymasem na nieruchomej twarzy śledziłem potworny węzowy splot, jak się wychyla ku ofierze. Czułem, jakby mi magik ściągnął kremem usztywniającym godne lica, nabił cekinami ścięgni i wypił krew z warg, skąd stały się zdrewniałe i zacięte. Posiniałem z gniewu na widok rozgrywającej się tam w dole tragedii.

Oto jakieś ramię, niby potężne, chwytne kleszcze wielkości portowego dźwigu, wynurzyło się i pochwyciło naszego pięknego chłopca okrętowego wpół. I porwało, łamiąc nim nędzną łupinę ratunkowej szalupy niby taranem!

Przypadkiem napotkałem jego pożegnalny wzrok. Było tym w spojrzeniu tyle smutku, rozpaczy i jakiejś niespełnionej miłości do mnie, że osłupiałem i nie strzymałem. Ryknąłem w takiej samej desperacji jak on. Odbiegłem od relingu, skoczyłem do pobliskiego kambuza, by wyszarpnąć z szuflady cokolwiek na kształt wielkiego widelca lub kuchennego noża. Napotkałem rzeźniczy toporek leżący zupełnie bez sensu na komodzie. Porwałem go, wybiegłem, przeskakując z rozpędu reling i krzycząc wniebogłosy, że przybywam, idę z odsieczą, z przekleństwem i karą dla złoczyńcy. I zanim ktokolwiek zdołał mnie powstrzymać, zanurzyłem się w toń tuż za ofiarą, ignorując innych walczących o życie majtków i pośledniej szarzy krzykaczy.

Mrok potworny mnie ogarnął. Z roztargnienia zapomniałem zebrać haustów powietrza na zapas, a wściekły umysł zaraz wyzwolił konsekwencje. Zareagował całą masą wrażeń, poczynając od tych nieprzyjemnych, jak mroczki i tężenie mięśni. Ze zdumieniem ujrzałem klejące się do siebie nogi i wydłużające się w zagadkowy sposób dłonie. Z ogromną energią parłem, niepomny własnego cierpienia, w dół i w głąb. Silniej. Najszybciej jak potrafiłem, by na czas dosięgnąć chropowatego odwłoku zwierza. Posiadłszy przewagę w zwinności, zbliżyłem się błyskawicznie, bo ningen nadal z trudem rozpędzał cielesną masę. Niemal zderzyłem się z pracującym ogonem. Skręciłem ciało i przemknąłem, by jak najbliżej znaleźć się wydłużonego tułowia. Wtedy uderzyłem porwanym toporkiem, chlasnąłem z tuzin razy niby batem, aż gruba skóra pękła od ciosów, a on, odwróciwszy się do mnie, ze zdziwieniem zaryczał, gubiąc się w rytmice podwodnych grzmotów.

Widać ma obecność zdziwiła go niepomiernie, a oceniając ją jako niewygodną i urągliwą z punktu widzenia honoru istoty większej i o niebo silniejszej, usiłował mnie

drugim łapskiem szybko pochwycić i zmiażdżyć. Stąd zamachał nim bezradnie, niby strasząc bezczelnie natrętną muchę.

Zamiast mnie pochwycić, zacisnął kilkakrotnie dłoń na próżni, wyduszając z wody krwawe bąble.

Dostałem się w pole wzroku ofiary. Widziała mnie i z radości niemal wybuchła krzykiem. Wdała się w szaloną walkę. Wiła się w uwięzieniu, drapała i gryzła.

Robiłem wszystko, by w tych wysiłkach ją wspomóc. W tym celu uderzyłem z całej siły toporkiem w przegub wiążącej ją dłoni. Metal przeciął skórę, przesunął się po kości, naruszył ścięgno i rozciął jakąś niewielką arterię. Krew jeszcze wyraźniej zabarwiła okoliczną wodę. Byłem pewny, że zacisk stał się omdlały, że oto stawałem przed szansą rozwarcia piekielnego łapska. Postanowiłem działać. Rzucić wszystko na jedną szalę.

W tym celu założyłem broń za pasek. Zaparłem się, próbując ze wszystkich sił rozewrzeć parszywe łapsko. Pomagałem sobie całą hydromagiczną mocą, jaką wtedy znałem. Wówczas zaskoczony ningen opędzający się dotąd niczym od natrętnej muchy zauważył obecność mego rozumnego wzroku. Skierował na mnie przekłętą spojrznię. Wycelował i trafił w świadomość.

Nigdy nie odczułem bardziej szkaradnego wiercenia. Przeszywał nim, gasił siły i wolę, by wreszcie przeżreć niby kwas na wylot. Musiała mieścić się w nim przekłęta moc łączącej nas cieczy, bo drgawki mną potrzęsnęły prawie jak przedśmiertelne.

Tłumaczył mi bowiem profesor onegdaj, jak łatwo łączą się w wodzie jaźnie i jak składna świadomość pod wpływem wymykających się z mózgowi magnetycznych prądów destabilizuje osobowość.

Widziałem to władcze skupienie poczwary. Strzelały też podskórne iskry i cały łeb jej od nich płonął, tak mnie w przyływie straszliwego bólu znienawidziła. Nie walczyła ze mną w onym momencie wcale, tylko zacisnąwszy mocniej na ofierze łapsko, tak żeby ta przestała się wiercić, pociągnęła nas wszystkich w dół prądem wirowym na tyle szybkim i klejącym, że mi od różnicy ciśnień i mięśniowej bezradności pociemniało w oczach. Gdy zabrakło powietrza, rozwarły się pory na mej szyi, tocząc żywą krew. Z trudem nadązały nowe skrzela, całkowicie przejmując funkcję trudnego podwodnego oddychania. To samo tyczyło się chłopaka. Też krwawił. Spadek w otchłań był potężny. Rwaliśmy niczym pocisk. Boy próbował się sam uwolnić, z wielkim wysiłkiem operując małym nożem.

I prawie by mu się udało, gdy raptem z nicości wychynął drugi ningen. Błyskawicznie dostosował prędkość do naszego spadku. Przepatrzył nasze ludzkie zamiary i uderzeniem łapy niemal rozdarł mnie na dwoje. Zamroczyło mnie na moment, ale już w sekundę potem płynąłem jeszcze chężej, stosując się do prądu, doganiając pierwszą bestię i rażąc ją w odwłok toporkiem gdzie popadnie.

Tutaj dopiero się zreflektowałem. Miałem bowiem do czynienia z tytanem. Robiłem tylko drobne, krwawe rysy na grubej porcelanie. Wielki niczym wieloryb stwór zwrócił na mnie swą straszną mordę po raz wtóry. Powstrzymał parcie ku dennym osadom. Zajrzał mi w duszę, że aż zdębiałem. Zderzyłem spojrzenie z oczyma potworniejszymi od źrenic gada, a na ich spodzie samo piekielne zło wypływające niczym trucizna z dna przeklętych trzewi walnęło we mnie posoką zaklęcia.

Trzymając chłopaka miotającego się na wszystkie strony, wykręcił się i trzepnął mnie ogonem jak maleńką piłkę. Ciemność mnie ogarnęła, ale zaraz wrócił do formy. Wtedy nadpłynął drugi już wspomniany ningen i trysnął w moim kierunku jakimiś drobinkami fonicznego kryształu. Usłyszałem słowa leniwym rytmem wypowiedane lub wznoszącą się, dziwną, melodyjną pieśń. Usypiając nią, próbowałem szybki mój kształt pochwyć. Nie dałem się. Wzbudziłem wobec siebie śliskie prądy, w sztuce jakiej nigdy przedtem ani potem nie potrafiłem powtórzyć. Zdębiał, zastygł z mocarnym ramieniem wzniesionym do ostatecznego ciosu.

Nie rozumiałem – dlaczego nie chce mnie zabić?

Co go powstrzymuje?

Pierwsza z istot wciąż trzymająca chłopięce trofeum nagle puściła się w otchłanie z impetem pocisku. Wyzwoliła wizg przeraźliwy siejący wokół miliony drobnych powietrznych bąbli. Boy, coraz ode mnie dalszy i dalszy, wrywał się z całych sił. Kopiać i gryząc, bezgłośnie wrzeszczał.

Pozostałem bezradnie zapatrzony i zrezygnowany.

Wtem otrzymałem jedno z tych piekielnych pchnięć. Uderzenie niemal mnie rozpołowiło. Nadeszło z boku od osobnika znacznie mniejszego, bo nagle ujrzałem, że otoczony. Więcej i więcej gromadziło się onej gadziny wokół. Dostrzegłem czające się w oddaleniu podwodne niedźwiedzie i pamiętam, że ten widok zmroził mnie najbardziej, bo one również człowieka, pana stworzenia wszelkiego, nienawidziły z całej szczerości serca.

Tracąc już przytomność, ujrzałem sypiący się z góry deszcz garnków, luźnych desek i potarganej blachy. Sunął w dół ostry maszt. Niby rzucony ku dnu sztylet wysunął się z tego bałaganu na prowadzenie. Leciały jakieś szczelne beczki wypełnione olejem przekładniowym braci Harbox. Potem, wirując, opadł rozpołowiony kadłub „Minerwy”.

To on uratował mi w onym czasie życie, bowiem istoty, z obawy przed opadającym ciężkim gruzem, odstąpiły na bok. Pochwyciłem się jakiejś części z całych sił i tak wraz z nią w dół poszybowałem ku coraz chłodniejszym i mroczniejszym wodom.

Wciąż biłem się z obrazami wspomnień. Wciąż skupiałem na detalach zerodowanej pamięci. Jednak pomimo poczynionych trudów kawałki pozostawały zagadkowo nieprzystające. Winilem za to poranioną głowę, a próby sklecenia sensownej myśli

coraz bardziej oddalały mnie od rzeczywistości. Pozostałem tak, mierząc się szklistym wzrokiem z widokiem bez znaczenia. Wreszcie na dobre straciłem przytomność w tym chaosie tonących kształtów. Ale z żeliwnej balustrady palców nie zjechałem i uchwytu nie popuściłem.

W chronologii naszej opowieści pozwólmy sobie na pewne zamieszanie i wróćmy na chwilę na tak gwałtownie opuszczony przez naszego bohatera pokład.

Wszyscy zgromadzeni przy burcie i relingu ludzie krzyknęli z przerażenia, gdy młody kawaler De Waay skoczył ku powierzchni lodowato zimnej wody. Oto dopiero co widoczne stopy młodzieńca pluskały na powierzchni, oto w uderzeniach ramion rozgarniał fale, a już wniknął w głębie niby perłowy dalekosiężny nurek. Szybki i gibki – w zygzakach błyskawicznych zaginął tam w dole, w najdalszej morskiej otchłani. I tyle go widziano.

Nastąpiła wymowna cisza.

Nawet dotąd głośnie mewy zamilkły na stalowym grotmaszcie.

Stojących przejęła nagła groza. Nikt się nie poruszył, gdy gwizdek bosmana zażądał na powrót spuszczenia podwodnej łodzi. Gdy on sam nakazał odsunąć resztki rozbitej szalupy i wskakując poza reling, asekurował opuszczający się żelazny kształt, wzruszyli się najtwardsi.

Profesor Molier ocknął się z szoku. Przywołał do siebie Hindusa i obaj natychmiast pobiegli po nurków i wielkie, siedmiometrowe koło mosiężne, które z trudem we czwórkę wytoczyli na pokład. Przyprawdzili je najbliżej wody, po czym profesor zażądał, by mu udzielono pomocy przy przykręcaniu drewnianych rączek do zewnętrznej obudowy.

– Cóż to takiego, profesorze? – spytał wyższy z nurków, Steepvelius. – Czyżby jakowaś magnetyczna pułapka na ningeny?

– Nic podobnego – wyjaśnił Molier, ciągle nieskory do żartów w takiej chwili. – Proszę się przyjrzeć zegarom, skalom i podziałkom na obudowie. Ustawiłem obręcz na głębokość trzystu dwudziestu metrów. I po wrzuceniu do wody na tę opadnie. Wy, panowie, pozostaniecie przy niej, choćby nie wiem co się działo. Odpowiadacie za urządzenie głową..

– Ale cóż to takiego? Chyba należą nam się jakieś wyjaśnienia? – zagadnął drugi nurek, Drodén.

– Jest to konstrukcja oparta na pradawnej „qumocky”, używanej w najstarszych indyjskich studniach do wydobycia artezyjskiej wody. Nazwaliśmy to urządzenie descenderem. Mój czcigodny brat dokonał w mechanicznych systemach wielu przeróbek i oto powstała winda grawitacyjna, która z powodzeniem pozwoli nam zejść w największe głębie.

– Toż to rewolucja będzie w górnictwie? – z podziwem ozwał się jeden z nurków.

– Czym prędzej wrzućmy ją do wody – zaproponował drugi.

- Czy aby na pewno opadnie automatycznie do zadanej głębokości?
- Tak, na pewno.
- W razie ataku umówmy się zatem wszyscy przy kole.
- Z wolna zapada zmierzch. W oceanie jest już ciemno. Ale zapalicie kierunkowe lampy tylko wtedy, gdy nadejdzie ku temu pora lub wcale. Rozumiemy się?
- Przecież w wodzie zamarzniemy.
- Wy nie, ale ci biedacy tak – wyrzekł Molier, wskazując na przerażonych, obserwujących wszystko z dystansu marynarzy. – Prędeż! Pchajcie to w odmęty! I raz! I dwa!

Okręt zakołysał się od potężnych ciosów. Nagły przechył tylko wspomógł wysiłki, bo koło potoczyło się i runęło w tonie, a za nim jego operatorzy, prócz Moliera, który dojrzał w panicznie biegającym tłumie lorda Duncana. Ten mąż honorowy szykował dla siebie jednoosobowy stary batyskaf. Profesor stanął nad nim i wskazując wyłaniającą się na lewej burcie fantomową wyspę, zaordynował:

– Jakimś sposobem wypłynęła. Zostaw pan beczkę nurkową w spokoju. Mam lepszy pomysł. Staranujemy skałę gąsienicami ostrymi jak noże. Może złamiemy ją wpół? Z pewnością więcej nasz atak pochłonie ofiar pośród wrogów niż pańska samotna reakcja – przekonywał.

Lord Duncan ustąpił. Szybko wydobył ciało spośród sprzączek okablowania i rur powietrznych. Udał się bez słowa za profesorem, a ten już wydawał stosowne polecenia i zaraz zgromadził wokół siebie ważnych oficerów z kapitanem na czele.

– Niech pan, Duncanie, wyrychtuje działka na dziobie i harpuny. Niech pan nie stosuje żadnej ulgi. Samice czy młode niech giną. Ludzi tam zmyła fala idąca od bestii. Tych niech pan oszczędzi.

– Sporo tego.

– Da pan sobie radę. Jakby co, spotkamy się przy znanym panu descenderze.

Lord pobiegł, gdy tymczasem morze się zapieniło, a konflikt począł narastać, osiągając coraz wyższe szczyble.

– Kapitanie, proszę ustawić marynarzy ze strzelbami na bandach i niech, na Boga, strzelają!

Statek zakołysał się powtórnie i pod wpływem zbiorowego parcia na burtę niemal opadł na bok. Jakiż potężny musiał otrzymać cios! Z tępym skrzypem powrócił do pionu. Masa żeliwna kadłuba nie pozwoliłaby mu się usunąć z kursu nawet o cal. Szedł na pełnej mocy. Rwał nadbiegające fale. Wspiął się, z grzmotem walił i opadał, aż bryzgi i piana padały wokół.

Skały były coraz bliższe.

Sternicy przy trzech kołach siłowali się z potężnym naporem fal idących niestrudzenie od strony lewej burty. Trwogą porażały widoczne na powierzchni koła mieszających się

wirów, jakby kąpeli zażywało jednocześnie tysiące morskich smoków lub innych istot żerujących na przestkach ludzi.

– Ster prawo na burt! Ustawić się dziobem do fali! – darł się mokry od morskiej piany kapitan. – Maszyny na pełną moc! Bosmanie, skrzynie tranzytowe, raz! Włączyć gaśniczniki, wystawić zbieraki! Do desantu!

Huknął z komina potężny, podwójny dym. Szły w ruch przegrody, a za nimi uruchamiały się turbiny. Brzęk łańcuchów i pasów transmisyjnych stał się ogłuszający. Pociemniało wokół i opadła jakby oleista rosa. Widać było, jak z wydechu idą iskry, potem żywe płomienie niby krwiste welony upstrzyły pełen sadzy opar. Krótkie wstęgi poprzepłatanej złotem czerni wałyły z bocznych rur wydechowych. Wtedy dziób wynurzył się jeszcze wyżej, łamiąc fale już w wierzchołkach, gdzie były najsłabsze.

Poczułi kolejne uderzenie idące od boku. Potem nieprzewyciężony napór wody. „Minerwa” już miała się obrócić ku wyłaniającej się wyspie burta, gdy doznała ostrego zrywu i wdarła się na opokę. Dziób okrętu wyskoczył w niebo na kilkanaście metrów, niczym wieża. Prute poszycie wydało z siebie przeraźliwy, ostateczny zgrzyt. Niezabezpieczony ładunek począł się zsuwać, tratować i miażdżyć ludzi. Tymczasem gaśniczniki nie poddawały się, ruszyły pełną parą. Okręt pomimo dziur wciąż się na wyłaniającą wyspę wspinał, aż skała pod spodem zadrżała i zaczęła pękać od nadmiernego ciężaru.

Wreszcie trzasnęła niczym przesło i masa statku zaczęła zapadać się w rozpadlinę. Wtedy ujrzeli setki gniazd tych obrzydliwych istnień. Zduszone wrzeszczały, wyskakiwały na boki, wyciskane z trzewi istoty piszczwały lub mdlały od zalewu krwi. „Minerwa” dusiła pod metalowym cielskiem wszelkie pleniące się na skałach życie.

Pozostające w wodzie ningeny samce wydały z siebie rozpaczliwy ryk. Wtedy ozwały się karabiny maszynowe i działka. W dół posypały się kule.

W kadłub uderzyły nowe prądy. Złamał się jak za długi patyk. Komin całym rozpędem grzmotnął o wody i potoczył się dobrych kilkadziesiąt metrów po powierzchni niby rozszalały w rozgniataniu walec, zanim zniknął w wykwitach ostatecznego dymu.

Kto żyw, garnął się do szalup.

Kto potrafił, nurkował.

Reszta szła na dno.



Rozbudził mnie czyjś niespokojny głos. Głos płynący poprzez wodę, jakby ośrodek, w którym poruszał się dźwięk, uzyskał nagle przeźroczystość i ostrość kryształu. Dźwięczał. Ujrzałem zawieszoną postać pana Bizzarda z wielką, znaną mi strzelbą w rękach. To podnosił mnie z dna morskiego na zgrabnie rzuconym lassie, to opuszczał, by na nowo wycelować gdzieś przed siebie. Wreszcie przyciągnął ku sobie i patrząc na mnie, wolną ręką szarpał, wołając:

– Panie De Waay, panie De Waay!

Zamroczenie i towarzysząca mu nieprzytomność były stanem tak ponętym, że nie chciało mi się z niego wracać. Zaledwie wzniosłem głowę, ta zaraz leciała bezwładnie ku tyłowi. Traciłem raptem słuch i wzrok, które odzyskiwałem dopiero przy kolejnym głuchym, podwodnym wystrzale. A że lord strzelał coraz częściej, znęcona świadomość powracała. Wreszcie spostrzegłem rozbryzgujący pocisk pędzący w dół w chmurze parujących, tylko na sekundy rozkwitłych iskier.

Chaos, zupełny chaos.

Nieopodal dojrzałem podłużny kształt przesuwającej się podwodnej łodzi. Jakiś nieznan mi nurek dawał z niej znaki, abym się nie poddawał. Profesor Molier, dotarłszy do mnie poprzez wody, potrząsał mną w nieustannych pytaniach o zdrowie. Pociągnął mnie wreszcie z wielkiej niecierpliwości za sobą w stronę palącej się nierzeczywistym światłem latarni i wskazał potężny kształt niby wielkiego sterowego koła całego wykonanego z mosiądzu nurkowego. Urządzenie mogło zatrudnić piętnastu sterowniczych, a okupowała je nieporadna grupka ocalałych z pogromu niedobitków. Byli tam dwaj nurkowie: Steepvelius i dopływający doń Drodén, oraz naukowcy, Godard i Santini.

I oto pojąłem całą grozę. Owo koło, miał ich ratować i wynieść ku powierzchni, wciąż tkwiło zawieszone na określonej przez zegary zaporowe głębokości.

– Panie De Waay! Czy pan rozumie chociaż słowo? – pytał profesor. – Leci panu głowa! Hola! Trzeba się opanować w tych drgawkach... Niech pan mrugnie chociażby jednym okiem lub da znak ręką. Machnie dłonią. Ruszy palcem, do cholery! Czy pan jeszcze żyje? – nawoływał mnie do opamiętania, chociaż ja brałem te odgłosy za urojenia obitej głowy. Wnioskowałem bowiem słusznie, że żadną miarą nie może woda przewodzić dźwięków. A on, profesor, przemówić w ośrodku wodnym może co najwyżej w marzeniach sennych.

– Niemożliwym jest wyartykułowanie słowa na odległość – wymruczałem. Mógł bulgotać w odpowiedzi, ale nie – zaraz się ucieszył i gwoli wyjaśnienia dodał:

– Rozsypaliśmy z Reynashem Hindusem sole, które w promieniu dwudziestu metrów na pewien czas usztywniają oraz sensualizują ośrodek ciekły. Przypomnę raz jeszcze. Stajemy się jakoby w fazie specyficznej częścią wielkiej oceanicznej zupy. Łączą się wszelkie jaźnie i myśli śmigają w nich jak po kablu. Niczym się wtedy przekaz nie różni od gazowego. No wie pan, od naszego operowania powietrznym przepustem przez struny głosowe. A to tutaj to oczywiście złudzenie, któremu podlegamy. Z telepatią w podmorskim środowisku mamy do czynienia jak nic. Chociaż niektórzy twierdzą, że jakoweś nici neuronalne kryształ aktywizuje i przekaz jest prawie fizyczny. Ale nie wiem, czy dać tym tłumaczeniom wiarę. Miałoby się okazać, że mikroby nam są w świadomości równe? Niech pan ruszy wreszcie chociażby ręką – upominał, patrząc na mnie z coraz większym niepokojem.

Ruszyłem dłonią. Kilkakrotnie mrugnąłem. Ujrzał te objawy pozytywnej reakcji i wyraźnie się ucieszył.

– Teraz potrzeba panu uruchomić zakleszczone gardło. Nigdy w słonej wodzie nie wypowie pan słowa o jakimkolwiek brytyjskim pochodzeniu. Wszystkie te wyartykułowane frazy pochodzą ze zmieszania ośrodków: zewnętrznego oceanicznego i wewnętrznego cielesnego, oczywiście podobnie mokrego i tak samo przewodzącego. Rozumienie raczej polega tu na prawidłowej interpretacji przekazanego drgania. A ważna jest jedynie myśl, która owo drganie wyzwała. Jakbyśmy stanowili z tłem jedno ciało. Niech pan popróbuje.

Już mi obrzydził życie tymi opisami.

Próbowałem pójść za jego radą i coś powiedzieć. Jakkolwiek ciecz wydała mi się ciepła, formowane ustami jej partie i wypuszczanie z ogromnym wysiłkiem ustnego wydmuchu powodowały jedynie mdłości. Wyprodukowałem przykrą bezmyślność. Patrzyłem na innych w dole i się im dziwiłem, jak szybko sobie z porozumieniem radzili.

Tkwiliśmy w zawieszeniu ponad kołem jakieś dziesięć dobrych metrów. Rozświetlona delikatnym wewnętrznym żarem obręcz grawitacyjnego descendera przypominała wielkie ognisko zagubione pośród mrocznej, smolistej nocy. Zapewne dlatego, gdy powyżej zapadła już ciemność i niebo przykryło się gwiazdami, ono świeciło i ciepłem przyciągało.

– Mam tam w górze na pokładzie podwodnej łodzi kilku odratowanych z katastrofy marynarzy – zagadnął zasapany nie wiedząc czemu Ocearus. – Wszyscy są mniej lub bardziej poturbowani. Nikt z nich nie jest w stanie pokierować maszyną samodzielnie. Niektórzy zaledwie przyszli do siebie, a już na powrót zapadli w śpiączkę. Pewnie nałykali się przekłętą moczu stwora grasującego wokół pływających resztek parowca. Nie wiadomo, czy czasem specjalnie nie zanieczyścił on wody w promieniu kilometra, aby wytluc wszelkie lądowe gnidy? Bodaj zaszliśmy im poważnie za skórę. Boję się, że

odchody na dłuższą metę mogą być dla normalnych ludzi toksyczne, stąd poprosiłem o najdalsze możliwe zanurzenie naszej nurkującej maszyny.

– A my? – spytałem z bólem. – Co pan zamierza zrobić z nami? – Ciągłe się martwiłem, mając na myśli siebie i mego kajutowego towarzysza przy kole, nie widząc tego, co wirowało w dalekiej toni. Molier tkwił naprzeciw mnie, utrzymując w wodzie równowagę dzięki plecowym fliperom stabilizacyjnym, których nie spodziewałem się ujrzeć u takiego wątłego w budowie staruszka. Z początku widok mnie rozśmieszył – wyglądały bowiem jak przytroczone dziecięce zabawki, lecz potem skręt jego ciała i straszny błysk w oku zdały mi się tak dalece odbiegające od rzeczywistości, że zląkłem się i zaniemówiłem. Czyżby tak nieporównanie daleko odszedł od ciała ludzkiego?

– Jesteście zaopatrzeni we wszelki towar na miesiąc z góry. Niech się pan opanuje i wreszcie opamięta.

– Ale czyż nie chce pan nas czasem pozostawić własnemu losowi?

– A dlaczego miałbym? Zainwestowałem w was krocie! Samej chemii było kilka milionów funtów w złocie. Ciemni marynarze i zabobonny kapitan, chociaż poinformowani o pozytywach, specyfikiem mineralnym wzgardzili. Dlatego cierpią. Muszę więc zawrócić i osobiście odtransportować ich na wyspę Macca. Mam nadzieję, że sobie poradzą w tej surowej subpolarnej okolicy. Są tam jakieś wzniesione z blachy szopy i pozostawione w skrzyniach puszki z jedzeniem. A dla sezonowych załóg wielorybicznych przywieziono nawet opał.

– O moją osobę się pan nie troszczy? Dlaczego pan nie pyta? Proszę mnie też odtransportować. Na ląd wyspowy żądam – rzuciłem, z całej tej niepewności o los zgorzkniały i marudny.

Spojrzał na mnie z prawdziwym zniechęceniem. Nigdy go jeszcze takiego nie widziałem. Zresztą falująca woda pomiędzy nami mogła stworzyć fałszywe wrażenie obcości, a niewystarczające światło bijące od koła naigrywać się z kształtów.

– Muszę panów tu na kilka godzin pozostawić samych – rzucił, jakby przerywając sam sobie. – Nie zmieszczę wszystkich naraz – rzekł w roztargnieniu i kazał podpływającemu z dołu Hindusowi zająć się mną.

Ten szarpnął mnie niemal gniewnie i pociągnął za sobą w głębię jak niesforne psa.

– Lepiej tutaj przy powierzchni nie sterczeć. Nie należy kusić losu – mówił.

– Moja tylko sprawa, co zrobię – odwarknąłem, sam się sobie dziwiąc.

– Zaledwie jest pan odratowany, a już się pan stawia – zwrócił się do mnie Reynash. – Zdziorny młody człowieku, proszę za mną! – usilnie nastawał, chociaż ja, ciągle jeszcze obrócony do odpływającego Moliera, adresowałem doń utyskiwania:

– To niepodobna, żeby pozostawiać nas w tak tragicznej sytuacji... – protestowałem cały w nerwach. – Zostaniemy żywcem zeżarci!

Bańki, które wypuszczałem podczas całego tego procesu podwodnej konwersacji, nie zawierały powietrza. Ustami je modelowałem jak substancję galaretowatą. Wydychałem bądź same spomiędzy warg mi wyciekały? Nie wiem. Przypominały oleiste, wielkie tańczące krople zawieszane w jednej sekundzie i znikające w drugiej. Zdawało się że wędrują, posiadłszy obrzydliwe kształty, poszukując adresu, a ciecz z racji krystalicznego zanieczyszczenia natychmiast w nich kształci interpretacje i przekazy...

Znów się z tego snu ocknałem.

Reynash przyjrzał mi się z uwagą. Już płynęliśmy zgodnie, z głowami skierowanymi w dół.

– Patrzę tak na pana, panie De Waay, i pomimo żeś pan cały w rozsypce, czuję, iż zaraz pana z otwartej ręki palnę.

– W rzeczy samej – nie zaprzeczyłem. – Dwoi mi się w oczach i troi. Co gorsza, nic nie pamiętam.

W pozycji z nogami w górze, w której mnie ciągnął, lepiej mi się myślało. Tak płynąłem obok rzeczonoego Hindusa i pośród migotów wodnego ośrodka usiłowałem dopatrzeć się wyrazu jego twarzy.

Reynash ponaglił mnie ruchem dłoni, jednocześnie prawiąc:

– Fala akustyczna jest niczym innym jak zaburzeniem gęstości ośrodka, któremu towarzyszą drgania cząstek tegoż skupiska. Dla wody szybkość rozchodzenia wynosi tysiąc pięćset metrów na sekundę. Jest więc pięciokrotnie szybsza niż ta sama wytworzona i rozbiegająca się w powietrzu. Źródłem dźwięków słyszalnych są ciała wprawione w drgania, których energia jest dostateczna, aby wywołać w ludzkim uchu wrażenie słuchowe. Oznacza to, że natężenie dźwięków musi przekroczyć próg słyszalności.

– Nie powie mi pan chyba, że do odbioru dźwięku w wodzie używam uszu, bo mam wrażenie stałego ich zatkania, wręcz bólu.

– Podam panu później środki oczyszczające ze śluzu, które tym nieprzyjemnym odczuciom zaradzą. Jednak ma pan rację. Tutaj, w rejonie zaaktywizowanej bazy mineralnej, mamy do czynienia z dwoma funkcjami zarażonej życiem organicznym cieczy. Zeszły się oto odrębne krople: kropla ludzka i oceaniczna. Obie symbiotyczne w złożeniu. Obie świadome swego istnienia i aktywne. Czyżby przekaz myśli stał się ważniejszy od dźwięku? Bo nie wiadomo, który jest tu istotniejszy. Najlepiej będzie, jeśli przejdzie pan już nad tą ideą do porządku dziennego.

Dotarliśmy do potężnego koła. Dziwiłem się sobie, że obecność tak ogromnego urządzenia na pokładzie przeoczyłem. Wolno się obracało, a uczeplieni go ludzie z całą starannością próbowali jego obsługi. Natychmiast przystąpił do mnie lord Duncan.

– Dobrze widzieć pana przytomnym i w dobrym humorze – powitał. Inni też ostentacyjnie pogratulowali, ale będąc zbyt zajęty, raczej mnie z daleka ignorowali.

– Powiada pan? – rzekłem, już na dobre odzyskując podwodną równowagę wertykalną. Pomogły mi w tym uwolnione nagle od oporu tkaniny flipery łopatkowe. Zdumiony patrzyłem, jak Reynash opływa mnie wokół z ostrym nożem i wydobywa narząd wirującej płetwy, który dotąd napełniał mnie wstydem i zażenowaniem. Zauważyłem też u wszystkich jego obecność. Panowie wyglądali jak podwodni duszkwie. Strzępy mojej pociętej koszuli wirowały, a ja przyglądałem się nowym strojom załogantów. Czyżby to był jakiś kolejny dziwaczny sen?

– Zaraz znajdę dla pana odpowiednią kamizelę gumową – mruknął pan Bizzard, szukając czegoś w swej prywatnej szkatule przytroczonej do spodu maszyny. Dziwne, że ja jakoś nie miałem tam swojego miejsca. Znow gorycz i złość na profesora mnie wzięła.

– Spokojnie. Jakoś wytrzymam – na powrót zwróciłem się do oczekującego w pobliżu Hindusa. – Mówił pan o czymś?

– A pytał pan o coś?

Zastanawiałem się dobrą chwilę.

– Nie pamiętam – stwierdziłem z zażenowaniem.

– Zapewne miał pan na myśli naukę psychicznej równowagi – wszedł mi w słowo lord Bizzard. – Na gwałt chłopak potrzebuje jakiejś opowieści.

– Przed tysiącami lat – zaczął Reynash – bramini hinduscy, najważniejsi wtenczas na ziemskiej planecie, odkryli wszystkie stany ludzkich wewnętrznych balansów.

– Któż to taki, ten bramin? – przerwałem mu z nieprzyjemnym zgrzytem.

– W hinduizmie to członek najwyższej warny: klasy kapłańskiej. Przynależność do warny bramińskiej jest dziedziczona. Według mitologii indyjskiej bramini powstali przy stworzeniu świata z ust Puruszy.

– Ach, tak. – Wcale nie robiło to na mnie wrażenia. Postanowiłem jednak jego bzdur wysłuchać do końca, więc zachęciłem go ruchem dłoni do kontynuacji.

– Otóż najpierw w mądrości odkryli przed pięcioma tysiącami lat niezwykle metodę porozumienia podwodnego. Ów język oceaniczny wpierw słyszalny pośród koralowców – lewitowano bowiem wówczas ponad wodami bardzo często – nie znalazł jeszcze odpowiednika w strefie powietrznej, jakkolwiek intensywne prace w tej dziedzinie w Kaszmirze są do dziś prowadzone.

– Z dźwiękiem w jego tradycyjnym wymiarze nie ma ów język nic wspólnego?

– Trochę tak, a trochę nie. Najlepiej charakteryzowałby zjawisko teoria membran wodnych Dashala i Hamara, którzy utwierdzili uczonych w przekonaniu, iż pobudzony mineralnie specyficzny plankton oceaniczny zwany „yora” tworzy pod

wplywem transmitowanej energii kryształu timbru rodzaj strefy aktywnej w symbiotycznej jaźni.

– Mikroby miałyby budować oceaniczną społeczność, co ja mówię – osobowość – o niemal boskiej potencji przekazu? Przyznaję, porusza pan tymi szalonymi teoriami struny mojej duszy... – Nagle stanęły przed moimi oczyma wszystkie wygaszone obrazy. Zebrało mi się na dreszcze i płacz. Ledwo się opanowałem. – Szkoda, że tak niefortunnie się wszystko skończyło – wyjąkałem, będąc w tym momencie całkowicie przekonany o totalnej klęsce mojej osobistej kariery, co ja mówię: życia całego!

– Wiem – potwierdził ze smutkiem. – Cała nasza misja dosłownie wisi teraz na włosku.

– Niech pan nie tragizuje – wtrącił poklepujący me ramię pan Bizzard. Podał mi kamizelkę i pokazał, jak działają zapinki i guziki. – Pozostało nas w sumie siedmiu i to najlepszych speców, poza tym dżentelmenów w każdym calu wybornych. Prawda, że to może być za mało, aby kontynuować badania dna morskiego. Jednak sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak panu się wydaje. Honoru i odwagi nam nie brakuje, a wyspa, w większości czasu niewydolna, stacjonuje w przeznaczonym gnieździe. Dodatkowych kilka bomb uszkodzi ją już bezwzględnie.

– Lord ma rację. On jedyny zachował spokój i przytomność umysłu na zaatakowanym przez ningeny statku – potwierdził Hindus.

– Jak pan wie, każdego ranka myszkowałem po pokładzie, poszukując latających ryb lub, jak kto woli, tego, co po nich pozostało. Przechodząc parę dni wcześniej, zajrzałem pod szczelnie zasnuowaną plandekę i odkryłem przestawny, jak miemam, aparat Moliera. – Tu zaśmiał się z nieprzyjemnym bulgotem. – Drugi taki egzemplarz, ale już oryginalny, atlantydzki, gdzieś ponoć w podziemiach zagubił, jak wyjaśniał mi w listach dobrodziej. – Wzruszył zabawnie ramionami.

– Tylko dzięki uporowi i sile tego pana kawalera udało się nam we trójkę wtoczyć do wody descendera. Właściwie w ostatniej chwili. Bo potem zapadł się pokład – dodał Reynash.

To mówiąc, wskazał na potężne, wolno wirujące siedmiometrowe koło żeliwne, widać odlane w hucie niemieckiej w jednym masywnym kawałku grubym na pół metra, z rozmieszczonymi w równych odstępach drewnianymi, przykręcanymi trzymadłami, których było dziesięć sztuk. Kilka pozostałych postaci będących znanymi mi poprzednio z licznych rozmów bezpośrednimi znajomymi profesora krzątało się przy urządzeniu, zmieniając położenia dźwigni i montując brakujące komponenty hydraulicznego wzmocnienia.

– Gdzież podział się chłopak? – spytałem, nagle wszystko sobie przypominając. – Czy ktoś go wyzwolił?

Najbliżsi mi w wodzie towarzysze ze smutkiem spuścili wzrok.

– Nie było nawet szans. Niech pan się cieszy, że spod rumowiska pana udało się nam wygrzebać.

– No dobrze, niech mi wreszcie ktoś wytłumaczy: czymże jest owo sterownicze koło? Czyżby wypełnione było po korek jakimś lewitującym żelem? Bo wydaje się być konstrukcją żeliwną z wydechowym napędem spalinowym.

Zadania podjął się zawsze wścibski i łasy na pochwały lord Duncan:

– Mechanizm przez profesora nazwany descenderem jest niczym innym jak windą grawitacyjną o niespotykanej mocy udźwigu. Tak, jest to żeliwo podróżne, czyli kosmiczne, najprzedniejsze, nierdzewne we wnętrzu, które w roztworach specjalnych naciągnęło specyficznymi grawitacyjnymi magnetyzmami. Na dodatek wewnątrz skomplikowany tkwi mechanizm upakowany dyskretniej i lepiej niż niejeden ludzki mózg w czaszce. Dzięki pracy, jaką wykonuje, niwelując lub wzmagając pole przyciągania ziemskiego, potrafi pokonać najsrozsze głębiny i wydostać się spod prasy najcięższych ciśnień. I to jeszcze nie wszystko. Zapewni nam w tej finezji operowania mocą grawitacyjną bezpieczeństwo i energię na długie miesiące podróży.

– Bezpieczeństwo? Azali coś emituje?

– Podług słów profesorskich utrzymuje te straszne foki zwane skutnicami na dystansie. Stronią odeń jak wilki od bliskości ognia, bo drgania specyficzne są przez wiele zwierząt odbierane. Tak samo jak pola elektryczne. Ufam, że powrócimy całą siódemką z przygód na dnie morskim cali i zdrowi. Zawitamy do Melbourne w znakomitej krzepie i psychicznej kondycji – zakończył. – Reynash! – zawołał, obracając się w stronę Hindusa. – Teraz niech pan da dobry przykład i się przebierze w gumowe wierzchnie okrycie. Potrzebne płaszcze przeciwpasożytnicze są umieszczone w szafkach bocznych koła.

Lord spojrział na mnie z jakimś niezdrowym uwielbieniem.

– Będiesz pan odtąd pod moją komendą. Koniec z samotnymi wyskokami do wody. Za chwilę nasi nurkowie rozdadzą personalne mineralogiczne portfele przynależne każdemu w przypadku zagubienia.

Przeszkolę też pana w obsłudze windy. Wszyscy musimy się na tym znać, by w razie niebezpieczeństwa móc wzajemnie na sobie polegać.

Po tej introdukcji Reynash oddalił się już na stronę przeciwległą descendera, gdzie przy mechanizmie pracowali nurkowie Steepvelius i Drodén, pozostawiając mnie z panem Duncanem sam na sam. Łowca podał mi nowe ubranie. Kapota szczególnie mi się spodobała. Była nieznanego mi kroju, spinana dwoma szczególnie piękności pasami uposażonymi w rząd zegarów – wyjątkowo sprytnie rozmieszczonych – tak, żeby noszący mógł kiedy chce rzucić okiem na skale termometrów, barometrów oraz dalmierzy i by się zbytnio wyciąganiem i przekręcaniem karku nie frasował. Posiadała



mnóstwo kieszeni, a materiał wyślizgany do nieprzyzwoitości wyglądał na foczą skórę. Dostałem też hełm podobny jak dwie krople wody do cylindra miejskiego. Zapięty na brodzie paskiem skórzanym i dobrze usadzony na czaszce stanowił niechybnie najlepszą gwarancję przed niespodziewanym przy tej szybkości przepływu wyrżnięciem o skałę.

Z boków miał niewielkie latarenki, ale niestety prąd w rurkach musiał być produkowany ręcznie w zwisającym na lince miniaturowym dynamie. Na koniec wdziałem gumowe kalesony i solidne żeglarskie buty, tyle że z kolcami w podeszwie – podobnie z wytryskującym w razie potrzeby jadem, gdyby przyszło walczyć z kimś na solidne kopniaki.

Tak uposażony, spojrzałem na towarzysza z radosnym grymasem. Lord Duncan podkręcił pływającego węża, przechylił się w moją stronę i jakby próbując słowa wymawiane w wodzie ukryć przed pozostałymi oddalonymi o całe metry, powiedział:

– Musi pan coś jeszcze wiedzieć.

– Cóż takiego? – zapytałem, mimowolnie rozglądając się za bestiami.

– Otóż przejrzałem pańską młodą duszę na wylot – zaśmiał się z lekka sardonicznie. I patrząc na mnie z sympatią, kontynuował: – Wiem już, dlaczego skoczył pan za chłopcem w otchłanie.

– Doprawdy? Bo ja tego nie wiem – przyznałem się do oczywistego błędu. Sam bowiem wstydziłem się przed sobą. Co mną tak szarpnęło? Uwielbienie gładkiej skóry? Uśmiech perłowy? Ogniki radosne bijące od szczerych oczu? Czyżbym w młodzieńcu się rozkochał i zapomniał o podobieństwie płci?

– Podpowiedziało panu serce, kim jest młodzian – stwierdził ze znanstwem. – Miłość posiada doprawdy wszelkie gleyty, wielki wymiar i zbawczą moc. Wiesz pan? To pańska Abelia ukryła się w przebraniu chłopięcym! Ta sama, która uprosiła naszego Moliera, by w postaci okrętowego smolucha przyjął ją na pokład!

– Nie może być – jęknąłem, tak mnie zatkało.

Przecież stawał mi ów widok dnia każdego przed oczyma jak żywy. Kibić wykręcana na wsze sposoby nie mogła kłamać. Nie mogłaby być pociągającą, gdyby była prostacko męską. I skoro służyła do przyciągnięcia wzroku od czasu jej stworzenia, z pewnością przynależała do damy pierwszorzędnej urody. A więc byłem zdrowy!

– Szanowałem bardzo ojca młodej pani – opisywał swój stosunek do sprawy Bizzard.

– Niczego szlachciance nie mógłbym odmówić: ani urody, ani tym bardziej inteligencji, a profesor zupełnie przy pasjach hrabianki zgłupiał i zniewieściał.

– Azali zna pan tę rodzinę z dżentelmeńskich kontaktów towarzyskich? – spytałem dla zabicia czasu, bo taka ogromna gorycz zalała moją duszę, że zbierało mi się na płacz i drżączkę.

– Oczywiście, bywałem tam na przyjęciach – wyrzekł z nonszalancją szlachcica.

– Toż to jest nie do zniesienia! – rozsierdziłem się. – Jak mogliście mi nie powiedzieć, że tak dobrze się znacie?

– Zamierzaliśmy po czasie. Niestety, ubiegł nas smutny los. Nie wszystko na tym świecie kończy się szczęśliwie.

Zmilkiałem. Tymczasem lord dalej zamierzał się pastwić, bo mówił:

– Przywiozła ze sobą na statek fortunę niemałą i pozwolenie ojcowskie na piśmie drukowanym. Dorzuciła na poczet wyprawy jakąś szkatułkę wypełnioną osobistymi klejnotami. Znane sobie papiery i poręczenia edukacyjne zrobiły również wrażenie. Któż by takiej osoby w poczet załogi nie przyjął? – Zaśmiał się znowu, ale czy widząc mą wściekłość, czy reflektując się w nietakcie, zaraz dodał: – Wszystko natychmiast pan Molier przez posłańca wraz z listem zwrócił rodzinie Hurstbridgów. Zapewnił w listach, że nic dziewczynie nie grozi, że będąc na pokładzie, zagwarantuje jej bezpieczeństwo na koi i nie pozwoli, by wdała się w nurt wszelkiej złej przygody. Ale ona, jakby na przekór ojcowskim radom, uparła się, by uczestniczyć w każdej mineralogicznej próbie.

– Jak to ona – mówiłem ze wzrastającym zgorznięciem. Zapatrzyłem się w głębie, czując, że za chwilę się na nowo zerwę. Nawet nie słyszałem, co do mnie mówił.

– Z pasją, którą i mnie porwała, objaśniała swe doraźne cele. Jakby sama układała naukowy program i wytyczała drogi eksperymentalnej realizacji. Pana osoby jakoś w tych jej spełnieniach nie przyuważyłem. Pragnęła ujrzeć na nowo ożywioną całą przedpotopową faunę Charlesa Walcotta<sup>43</sup> z Burgess Shale 1886: wiwaxię, opabinię, anomalocaris, hallucygennię. Marzyły jej się trylobity, amonity i prajaszczury widziane na żywo! Jakbyśmy się nie brali za nurkowanie w oceanicznej szczelinie, a wybierali do samego centrum Ziemi! Do skarbów i cmentarzy zaprzesłych er! Co za ochota? Co za radość i tupet! Pańska narzeczona przebiła po tysiackroć zaradnością i wyobraźnią pańską skromną osobę. Ona jedna przeprowadziłaby nas przez piekło. I jest teraz tragicznie porwaną i pociągniętą przez najpotworniejsze plugawe monstra w głębinie bez początku i końca.

– Pan mnie najgłębiej ranisz...

Dreszcz, jaki mnie przejął, nie miał nic z tego świata. Ryknąłem przeciągle, aż zadrzały wody po same otchłanie. Taka żałość we mnie wstąpiła i złość, że potrafiłbym targać skały.

– Nie ryzykujemy żadnej pochopnej akcji, panie De Waay – odezwał się z domieszką akcentów Reynash. Widząc moje ochoty ku głębi, oponował: – Zaczekamy z tym na profesorski powrót i wsparcie torped, jakie wozi na swoim Morrlitiusie – dodał, widząc, co wyprawia z mą duszą lord Bizzard.

I tak się zerwałem, nie słuchając. Dobrze, że pan Duncan mnie powstrzymał od głębszego jeszcze nurkowania. Wisieliśmy w toni zaledwie dwadzieścia metrów od

descendera i ponad światem, tam w górze, powoli rozciągała panowanie poranna zorza. A profesora wciąż jak nie było, tak nie było.

Następnej nocy rozpaliliśmy centralną na descenderze podwodną latarnię. Leniwe światło się rozpleniło, pozostawiając nas zawieszonych w mrokach niby przynętę na zarzuconej linii.

– Czyż nie lepiej byłoby to światło zgasić? – spytałem rozgoryczony.

– Wtedy już zupełnie pozostaniemy zdani na łaskę stworów – wyrzekł Hindus, rozglądając się bojaźliwie. – A i mięsożerne foki trzymają się od blasku z daleka. Tym bardziej mułowe niedźwiedzie wściekle od widoku ludzkiego żywego ścierwa.

– Foki przecież nie zjadają ludzi. Cóż to za brednie wszyscy rozpowiadacie?

– Nie? To jeszcze nie wie pan wszystkiego – mówił, przewracając oczyma jak szalenię. – Ningeny uczą lokalne zwierzęta barbarzyństwa. Na powrót przekonują najdrobniejsze ssaki, ryby i kałamarnice do powrotu do agresywności i nieposłuszeństwa wobec człowieka. Nie boją się nas nawet podwodne szczury. Nadejdzie dzień, że uzbroją całą tę ziemską watahę w nieznanne nam i szybko zabijające trucizny, wyostrzą zęby i wyhodują pazury przecinające blachę. A wtedy biada nam, polarnikom i ludom przybrzeżnym.

Mógłbym się przyznać, że nie wiedzieć czemu spociły mi ręce te opisy. Od razu oklapłem. Spuściłem nos na kwintę i jak wszyscy zacząłem spoglądać na mroki z obawą.

– Nie kryjmy się za bardzo, panie De Waay – uspokoił mnie poklepywaniem lord Bizzard. – Jesteśmy dżentelmenami najwyższego kroju. Nie straszna nam byle foka. I chociaż nie ma takiego żelaza, którego ningen nie potrafiłby przegryźć, damy radę.

– Sam na własne oczy widziałem, co potwór zrobił ze slopem: blachę darł szczękami jak papier – marudził Reynash, nagle chowając harde spojrzenie. Lord zadałby mu bobu, gdyby ośmielił się dalej nas straszyć.

– Ale palba z rolguł napędziła mu pietra, to mogę z czystym sumieniem zagwarantować – stwierdził arystokrata. – A jeśli już porwały stwory pannę w jakimś celu, to zapragną ją sobie na długo utrzymać przy życiu.

– Po co?

– Co najmniej z paru względów. Krążą pogłoski pośród japońskich wielorybników, że obce duchy przeszukują gatunki ziemskie, badając odpowiadające im zakresy zbieżności rozplodowej. Powstały już całe legendy o mieszańcach. W tym widzę nadzieję na jej przeżycie. Inaczej dawno byłaby poddana zgnieceni lub rozszarpaniu, jak kilkunastu innych nieszczęśników z naszej męskiej załogi.

– To straszne. Dziewczyna tak delikatna zmanipulowana ordynarnymi narządami zwierzęcymi załamie się. Nawet targnie na życie.

– Przeszukamy całe dno, choćbyśmy mieli tu spędzić wieczność.

Spodobał mi się w tej obietnicy i nie mogłem się powstrzymać, by serdecznie nie potrząsnąć jego dłonią.

– Nigdy nie myślałem, że to nas spotka.

– Widzi więc pan, że są rzeczy na ziemi i niebie, które nie śniły się filozofom. I niech lepiej Bóg nimi kieruje, a nie jakieś nieczyste lichy. Tyle sobie życzę.

---

43 Charles Walcott w roku 1909 odkrył stanowisko paleontologiczne środkowokambryjskiej fauny w Górach Skalistych Kanady. Tak zwane łupki ze stanowiska Burgess Shale składają się z czarnych i ciemnoszarych skał mułowcowych i ilastych, tworzących warstewki. Są to osady morskie zdeponowane u stóp podwodnego klifu, zbudowanego ze skał wapiennych. W czasie orogenezy laramijskiej, w późnej kredzie zostały one wyniesione na około 2500m n.p.m. Reprezentują one skamieniałości życia biologicznego obecnego w ówczesnej strefie równikowej. Bogata fauna zawiera ponad 140 gatunków, przede wszystkim różnego rodzaju stawonogi, co ciekawe, nigdy przedtem nieobecne na planecie. Stąd ukuła się nazwa eksplozji kambryjskiej, która do fauny istot miękkich nagle wniosła całe multum zwierząt kręgowych. Nie tak dawno odkryto inne stanowisko, powstałe na tej samej zasadzie nagłego usunięcia się setek ton mułu i błota na żyjący drobiazg. Jest to miejsce zlokalizowane w południowych Chinach, które w swym skarbcu skamieniałości pochodzących sprzed 518 mln lat posiada aż 53 procent nieznanymi przedstawicieli podwodnej fauny. Gdyby przyjąć działanie ewolucji na zasadzie skokowej, to najprawdopodobniej ludzkość czekałaby ponura przyszłość. Pytanie tylko, skąd w naturze się bierze tak ogromną różnorodność skali projektowania? Jak przebiega proces oceny środowiskowej?

– Niech pan z łaski swojej przypomni sobie historię wyspy Emerald. Niby jest, a jej nie ma – zaniepokojony zwierzyłem się rano panu Duncanowi z podsłuchiwania zagadkowych, odległych grzmotów. – Czyżby znowu pokrywa skalna się podnosiła sponad wrzącej dziury?

Obaj się zasłuchaliśmy.

– Słyszysz pan ten odległy, potężny łoskot podobny do podziemnego wstrząsu lub do przesuwania po schodach gigantycznej szafy? A co jeśli ziemską skorupę roztworzy wewnętrzne korytarze i przyjdzie mi mojej ukochanej szukać w świecie tak odległym rzeczywistości ziemskiej, że tam szczenę? – pytałem z coraz większą irytacją. Żałość w dwójnasób rozbudziły we mnie te wyobrażenia.

Wszystkie myśli moje wypełniała w całości Abelia.

Poza tym to czekanie i męki prób przebicia się wzrokiem przez gęstniejące zielonkawe tonie doprowadzały mnie do szaleństwa i rozpacz. Sam już widziałem zewsząd zdążające na nas kształty, które poniewczasie okazywały się być krążącymi wodnymi cieniami, czyli nieobliczalnym zgęstnieniem arktycznej cieczy.

– Niech panowie płyną sami – zawyrokował Reynash, tracąc w końcu cierpliwość. Patrzył na mnie i współczuł bólowi, który przeżywałem. Inni też mnie żalowali. Każdy z osobna życzył mi ukojenia w pościgu, bo o sukcesie w takich odmętach nikt nie marzył. – Odnajdziecie w wewnętrznych kieszeniach portfeli osobistych minerał luminescencyjny zwany trudyjskim. Podobny jest w konsystencji do metalicznego sodu, który rozgryziony zębami w odpowiedniej proporcji, wydobywa z materii organicznej fosforyzujący blask. Przy odrobinie dobrej woli można nauczyć się kierować wydzielaniem światła i poprowadzić promień uchodzący z gardła niby zamknięty obudową ustnego reflektora. Mnie się to udaje, więc tacy dzentelmeni jak wy z tym kłopotu mieć nie będą.

– A pan? Planuje pan tu biernie oczekiwać?

– Mamy dwóch wybitnych nurków, dwóch impulsywnych pracowników nauki i maszynę doprawdy nadzwyczajnej jakości. Niech waszmościowie płyną, a my wspólnie z tęgimi głowami znajdziemy sposób na zepchnięcie z profesorskiego zblokowania skrzyni biegów i poruszenie naszego descendera na wolne wody. Wtedy was w otchłani odnajdziemy.

– Może dobrodziej zawadził w drodze powrotnej o fantomową wyspę, bo mu jej unoszenie nie dawało spokoju? – rzuciłem uwagę, wciąż poruszony tak oficjalnie okazaną mi sympatią.

– Sam by założył nowe ładunki? – wątpił pan Duncan.

– Kto wie? Jest ze wszech miar utalentowany.

– Chyba zdesperowany. Hm, życzylibym sobie, by pierwiej wrócił, ale nie zdziwię się, jeśli i tak będzie – oświadczył Hindus.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni z każdym z obecnych, a z przedsiębiorczym Hindusem mocno uściskali. Przyjął naszą serdeczność z dżentelmeńskim spokojem.

Lord Duncan od razu się zgodził mi towarzyszyć. Czy miał ogromną ochotę na eksplorację, czy też dosyć nudnego towarzystwa? Nie wiem, dość że pośpiesznym ruchem porwał inną, nieznaną mi strzelbę i ładownice pełne rolguł. Pociągnął mnie gwałtownie do głębszego nurkowania i zaprzestania tego nieustannego paplania z czarnuchem, aż zaszumiało mi w głowie od jego napędu w mocarnym skoku w przepaść.

– Jack? Słyszysz mnie pan? – monitował.

– Trochę gorzej, ale oczywiście tak – cieszyłem się, bo pustka ogromna po utracie narzeczonej kompletnie mnie przez noc zszargała. Ganiłem się w myśli, raz bardziej agresywnie, raz łagodniej, a stratę odczuwałem dotkliwiej niż tam, na melbourniańskim trotuarze. Jeszcze głębiej mi duszę rysowały wyrzuty sumienia, a na nie, jak wiadomo, nie ma rady.

– Kryształy usztywniające wodę prawdopodobnie już spomiędzy nas zdążyły odparować – rzucił pośpiesznie pan Bizzard. – Będzie tylko gorzej. Dlatego przewiążę pana linką, zanim pan zapadnie w zupełną głuchotę, o ślepotę już nie wspominając, bo sam mało co w tej zieleninie widzę. – Tu zatrzymał się i wprowadził w czyn swoje plany. – Popłyniemy obaj w dół. Podam panu mój podwodny rewolwer na rozpryskujące śruty. Proszę trzymać na wypadek napotkania gadziny niespotykanej brzydoty.

Tu się zaśmiał, by zaraz mnie pochwalić:

– O tak, dobrze sobie radzisz z zamkiem i zabezpieczeniami. A teraz zalecałbym wsadzić broń ostrożnie do kieszeni i porządnie zaasekurować guzikiem. O, właśnie... To wszystko, co mamy. Kilka naboji w rurze. Jeśli to z ręki panu raz wyleci, na próżno przypadnie broni szukać. Głębia tu straszna i nie ostatnia na Oceanie Południowym. Sięga bodaj pięciu tysięcy metrów. Jakby mógł pan przejrzeć wody i ujrzeć dno, straszłaby pana przepaść nieznaną na lądzie. Potworna szczelina bez końca.

– A sztucer? Miał pan przecież broń przez producenta gwarantowaną.

– Hm... Sztucer? Pokiereszowany i pogryziony. Strzelbę na calowe śruty mi z rąk wytracono. Dwie inne zgubiłem w walce. A pamiętny jeszcze z zakładania prochów na wyspie, ten sięgający piąty piękny karabin wypadł wytracony z ręki i się utopił. Tyle go widziałem.

– Rozumiem – powiedziałem, przyjmując kilka dodatkowych naboji.

Puściliśmy się ostrym rzutem w najtęszą wodę. Z podziwem obserwowałem płynącego tuż przede mną Duncana. Nieco przerośnięty plecowy aparat co i rusz wirnikiem organicznym startował. Zaśmiałem się dziko, bo podobnego i ja używałem. Przypominał ów dżentelmen lecący w ton przede mną ważkę lub podwodnego, rzuconego w wygodne tonie anioła. Wił się przy tym rytmicznie ciałem i falował niczym nieposiadający żadnych kości joga. Ja sam zaskakiwałem siebie elastycznością i niesamowitym wyczuciem wodnego ośrodka. Wprawiałem mą własną parę wirnikowych płetw w ruch zupełnie instynktownie. Jakbym się z nimi urodził. Nigdy nie posądziłbym nas, ludzi, o tego typu morskie wydolności. A z jaką radością witałem tę moc! Z jaką chęcią zaciągałem się wodnym oddechem! Zapachy oceaniczne przypominały mi trawy rozłonecznionej, spoconej łąki. Zapewne miały nań wpływ nieznane wodorosty i prądy przywlekające z odległych dennych krain wonie dziewicze, pewnie od razu interpretowane przez chłonna, nieznaną się jeszcze na rzeczy ludzki organizm, jako zdrowotne napary.

Zapadaliśmy w tę straszącą głębię ze wzrastającą prędkością. I, co najlepsze, zupełnie nie odczuwaliśmy rosnącego ciśnienia! Jakby w ogóle nie istniało gęstniejące wodne środowisko, nie operowało ciśnienie w głębinach. Gdzież podziewał się ten wiszący ponad nami tonaż cieczy? Winien był nas miazdżyć, a nie chronić!

Ale czegoż wyczynić nie mogą niezmożone adaptacje ciała odkryte dzięki wiedzy starożytnych mędrków?

Wiem, że pędziliśmy dwadzieścia, pięćdziesiąt metrów na minutę, a wbrew odczuciu przepływu nie dostrzegaliśmy żadnej różnicy w kolorycie otaczających nas mroków. Ocean<sup>44</sup> na tej głębokości wyglądał jak martwy. Pociemniał nieco? Przecież mieliśmy do czynienia z jednym z najgłębszych uskoku Oceanu Południowego! Rów Macquarie nacinał bowiem płytę litosferyczną więcej niż pięciokilometrowym uskokiem. W głąb planetarnej płaszcza mogły jeszcze stamtąd prowadzić niespożyte dziury i bezdenne studnie pełne trujących żeli i przedpotopowego błota.

Tyle że zrobiło się nieco chłodniej, co ku memu zaskoczeniu jeszcze bardziej poprawiło moje skrzelowe oddychanie i wyostrzyło percepcję nadchodzących od toni zapachów.

Z obawą wystawiłem ręce do przodu. Jakbym raptem zapragnął się obronić przed nadchodzącym ciosem. Czyżbym gdzieś tam, w ciemności, instynktownie wyczuł dno i w tym tempie straszliwego spadku obawiał się z nim, niczym ze ścianą, zderzyć? Przeklęty ślepiec ze mnie – myślałem.

Z jakiegoś powodu uznaliśmy, że mijamy wystające skały. Może dlatego, iż poczuliśmy silne wzburzone prądy idące po zewnętrznej stronie naszego spływu.

Zupełnie machinalnie daliśmy się porwać i w tej rwącej rzece odważnie popłynąć. Wtedy sir Bizzard uznał za stosowne rozgryźć na koniuszku języka podarowaną mu

przez Reynasha niewielką szczyptę minerału. Jego usta jakby ożyły. Rozbłyły niby pociągnięte odblaskowym nalotem szminki. Młde światło rozświetliło najbliższe otoczenie.

Nic, tylko czerń.

Lord Duncan w swej nerwowości nie poprzestał materiału przeżuwać, więc już zajęły się fosforycznym blaskiem jego dziąsła i gardło. Stąd wyprodukował nieśmiały promień kształtowany nerwowymi ustami. Snop się leniwy wydobył. Liznął dale i napotkał nic, tylko jeszcze dalszą pomrokę.

Wtem z boku ujrzeliśmy całą masę pokręconej, zapadającej się skały. Popędziliśmy na czele tego rumowiska w stronę jakiejś błękitniejącej w dole pod nami, coraz bardziej malejącej dziury. Czyżby otwór ten powieść nas miał do ukrytych w naszym ziemskim świecie innych oceanów?

Przyciągnąłem linę. Chwyciłem się mocniej łokcia Bizzarda. Bo on również cały drżał. Gdzież zaprowadzi nas ta zasysająca wszystko kluza? Na jakie dostaniemy się jeszcze głębokości lub do której wpadniemy trującej studni? Nie było czasu, by się zastanowić lub oprzeć siłom tej straszliwej przyrody.

A więc rację miał stary Ocearus.

Fantomatyczna wyspa, najpewniej złożona z samego pływającego pumeksu, niczym potężna maszyna z tłokami zanurzała się w głęb i niemal przykrywała już sobą ten straszny, ciągnący nas wir. Jeszcze trochę i by nas przygniotła, tak idąc z góry ku dołowi. Rozpędziliśmy się w nurkowaniu, wspomagając żywioły, i pomknęli w głębi tych wszystkich bezmiarów z siłą wprost koszmarną.

---

44 Ocean – u starożytnych Greków i Rzymian oznaczał mityczną rzekę oblewającą cały świat. Woda pokrywa w sumie 78 procent powierzchni ziemskiego globu. Nic więc dziwnego, że na dnie panuje ogromne ciśnienie hydrostatyczne. Dla przykładu na głębokości 11000 metrów wynosi ono 1101 atmosfer, czyli jest równe tejże liczbie kG na centymetr kwadratowy. Niemożliwe jest więc przebywanie człowieka na dnie rowu Mariańskiego bez odpowiedniego wsparcia technicznego. Co ciekawe, jednak i tam spotyka się organizmy żywe, dla których przeżycie w tych warunkach nie przedstawia trudności. Stąd nadzieja, że wizja autorska może się kiedyś spełnić.



Jakim zaskoczeniem napełnił nas widok delikatnych połyskliwości przedostających się z najdalszych odległych zenitów! Albo byliśmy pod oceanicznym dnem, albo nie. Czymże nagle stały się tu stropy? Nowym mineralnie rozświetlonym niebem? Albo kloszem ze stałego lodu i gliny?

Spojrzałem na nasze zapięte zegary ciśnieniowe i przebyty metraż. Wciąż wątpiłem w prawidłowość wskazania. Nie było takich znanych geografom europejskim głębi w ziemskim oceanie! Nie wierzyłem w żaden składnik diety mineralnej, który byłby w stanie oszczędzić strukturę ludzkiego ciała od nieporządku metabolicznego lub ocalić przed natychmiastowym zmiżdżeniem w wypadku działającej ogromnej ilości cieczy. Chyba że czegoś nie wiedzieliśmy.

Zrobiło mi się słabo od tej wiedzy.

Przed oczyma przeleciały krwawe plamy.

Pisk w uszach stał się niemożliwy do wytrzymania.

I nagle ustąpił jak ucięty nożem.

Sensacje bliskiego rozerwania głowy – również.

– Co jest? – pytałem siebie z niepokojem, obserwując mijaną w straszliwym tempie okolicę. Naszej wspomaganego nurkowaniem zapaści nie było końca.

Wiedziałem, że w najgłębszym punkcie oceanu ciśnienie wzrasta i osiąga osiem ton na kwadratowy cal! Jest to ekwiwalent siły potrzebnej człowiekowi do utrzymania stu pięćdziesięciu lokomotyw parowych. Niczego takiego jednak nie doświadczałem.

A temperatura? Woda winna być lodowata!

Średnia dla oceanu światowego to dwa stopnie Celsjusza. Niemożliwe, by na dnie wskazywała tendencję wzrostową. Tymczasem ciepłota ośrodka, w którym płynąłem, wynosiła osiemnaście i pół stopnia. Czyżbym znajdował się w jakimś innym, zagadkowym akwenie?

Oczywiście spekulować można było o nieznanymi formacjach geologicznych, o uskockach i wulkanicznych komorach niesamowitej wręcz pojemności, ale z tego, co już wiedzieliśmy w świecie naukowym, wynikało jasno, iż pozostało nam tylko cieszyć się urojeniem. Szybko powędrowałem myślą do znanych mi danych i faktów. I tak jawił się wszystkim Pacyfik rajem dla nurków i speleologów.

Oprócz naszych sensacji były jeszcze inne.

Przejrzyjmy tylko najważniejsze grzbiety oceaniczne: gdzie Clarion, łańcuch Clippertona i Galapagos miały po cztery tysiące kilometrów długości? Zajrzyjmy na gujoty będące pojedynczymi podwodnymi górami o względnej wysokości do kilku tysięcy metrów zakończonymi płaskimi wierzchołkami, takimi jak szczyt Ramapo –

minus siedemdziesiąt trzy metry od standaryzowanej powierzchni morza, góra Ornea – minus dwadzieścia dziewięć metrów poniżej powierzchni czy Wildera z minus pięć, czyli będącą już w zasięgu pletwonurka alpinisty.

Tak zwane rowy, Filipiński czy Mariański, czyli kaniony oceaniczne ciągnące się niczym z nagła powstałe szramy w zbitej ziemskiej skorupie, zapadały się w Oceanie Spokojnym na ponad dziesięć kilometrów. Wartość to uskoku wręcz nieprawdopodobna!

A jednak musiałem przyznać, że żaden z nich w całym znanym akwenie Pacyfiku nie liczył sobie aż trzydziestu sześciu tysięcy metrów widocznych na skali tykającego głębokościomierza Moliera. Czyli nowo odkryty był wszystko, co znaleźliśmy do tej pory, na łeb na szyję.

Czy można było te dane zweryfikować?

Niestety nie.

Spuszczenie ołowianki nie wchodziło w rachubę z racji braku danych o umiejscowieniu morskiego dna. Nie mogło też być mowy o ustanowionej dla wyzerowania skali powierzchni. Czy wykoncypowanie danych ze wskazań ciśnieniomierza było możliwe? Jak najbardziej tak.

Czyli dochodziliśmy do natychmiastowego wniosku dowodowego.

Presja wodna winna była nas tu sprasować na miazgę w przeciągu sekundy.

Tymczasem my czuliśmy się jak przysłowiowa ryba w wodzie.

Nagle przypuszczać zacząłem, iż jakimś niewiadomym i na pewno szczęśliwym trafem udało nam się przedostać przez sporą szczelinę w oceanicznym rowie na przeciwległą stronę planety. Mimo że niemożliwym się owa fantazja wydać mogła, począłem rozpatrywać ją na serio. A co gdyby zostać zassanym w pobliżu grubej na setkę kilometrów płyty kontynentalnej, gdzie jak twierdzą niektórzy ojcowie geologii, mogą działać prądy grawitacji przeciwbieżnej? Wtedy ciśnienie ośrodka uległoby rozproszeniu. Temperatura jednak winna tam niesłychanie wzrosnąć, a ciecz ulec doszczętnemu odparowaniu. Na szczęście nic takiego też nie miało miejsca. Panowało przyjemne ciepło i dalecy byliśmy od stanu ugotowania.

Cóż więc się wydarzyło?

Przecież nie mogłem potwierdzić skuteczności magii oddziaływania jakiś starohinduskich receptur. Nic takiego nie powinno było zakłócać sił przyrody na podobnie szeroką skalę.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że błędzę w jakimś dziwnym śnie. Znów sondowałem wzrokiem otaczającą nas czerń. Znów doznawałem krótkotrwałych sensacji migotów i odblasków. Chociaż wciąż szybko płynęliśmy w głąb otchłani, zdawało się, że tkwimy zawieszeni na wieki w bezmiarze wody lub uwięzieni, jak kto woli, w jednym określonym miejscu. Jakby niecna siła zatrzymała nas w stanie

budzącego grozę zamrożenia wszelkiego ruchu. Czas, owszem, płynął, ale przestrzeni już zupełnie nie odczuwaliśmy.

Po niecałej godzinie ośrodek nas otaczający stał się nazbyt gęsty jak na wodę, lepki i podobny do oleistej i klejącej zupy.

Nic tu nie było normalne.

Spojrzałem na głębokościomierze: mój i pana Duncana, by porównać wskazówki – utrzymywały podobną wartość.

Trudno tu było mówić o pomyłce.

Straszliwa wartość!

Minęła kolejna godzina, podczas której dotarliśmy na trzydziesty ósmy kilometr pod powierzchnią oceanu. Pobiliśmy chyba wszelkie ludzkie rekordy dotąd ustanowione. Spodziewanych zmian ciśnienia nadal nie było. Wciąż żyliśmy tam, gdzie winniśmy byli być dawno chorzy lub martwi od rozgniecenia.

Jak dotąd nie spostrzegłem nawet śladów porywaczy mojej Abelii. W całym otaczającym nas oceanie brakowało jakiegokolwiek ruchu. Nic nie pływało w rozgarnianej rytmicznie wodzie, a warunki do życia wydawały się tu być wprost idealne. Przede wszystkim dużo lepiej radziłem sobie z oddychaniem niż w warstwach zewnętrznych.

Po jakimś czasie poczuliśmy rosnący głód.

Pozwoliliśmy sobie z lordem na ostrożne odfiltrowanie przez nos pożywnego fitoplanktonu, który w zawiesistych chmurach momentami przepływał z boków ku górze. Światło od niego było ponure i straszne.

Przełknięty z oporem, szybko nas nasycił.

Już wyobrażałem sobie, jak nasz układ pokarmowy rozbłyskuje setką nieznanych barw.

Akurat to ostatnie nie tyczyło się pana Duncana.

Mój towarzysz Bizzard wydawał się chory od nadmiaru pasty świetlnej, którą przełknął. Pewny swego łowca, zapewne niepomny hinduskiego ostrzeżenia, miał metaliczną grudę podzielić na dozy, przegryzł całość i przedawkował. Teraz obawialiśmy się, aby z tej nieostrożnej gwałtowności wytworzonego sztucznego światła nie pękł. Chemia jego musiała być straszna. Zatrucie ogromne. Ból głowy torpedujący świadomość. A jeszcze bardziej lękaliśmy się odbicia energii od jakiegoś lustrzanego przedmiotu, w wyniku czego nastąpiłaby śmierć nas obu od spalania w zatłuszczonej wodzie.

Całkowicie wynurzony okręt podwodny automatycznie wysunął długi komin i tak nagle buchnął z niego dymem i parą, aż wszystkich obecnych rozbitków na pokładzie przestraszył. Szedł na szybkim kołowrocie i śrubie polarnej prostym kursem na majaczący w oddaleniu ląd.

Dotarł po jakimś czasie do otoczonych wodną kipielą skał, minął je z rozmysłem, kierowany widać fachową ręką sternika i, ocierając się żeliwnym dnem o piasek, wysadził zziębniętych i przemoczonych ludzi na lodowaty brzeg.

Zacinał ostry śnieg i zewsząd wiało. Kolonie pingwinów stłoczyły się przy skałach. Obserwowały ludzki desant ze spokojem. Trwał zamglony poranek i w nim zabrzmiał przytłumiony echem przyboju głos profesora. Molier stał przy klapie, trzymając się peryskopu. Strasznie się przy tym bujał jego maleńki stateczek już zepchnięty na przybrzeżną głębię.

– W bród tu wszelkiego ptactwa i pingwinów, i fok. Pozostawiłem wam dwie strzelby, cztery litry przedniego oleju kuchennego, kanister z benzyną i noże. Z powodzeniem się panowie wyżywicie sami. Brak zabitego kapitana i oficerskiego przewodnika, ale w mig kogoś spośród samych siebie wybieriecie. Tylko zimno może wam doskwierać i brak należytego opału. Zaraz więc zabierajcie się za zbiór słomy i drzewnych szczap spod wrzosowiska przy polanie. Z pokładu łodzi podwodnej wyślę w kierunku Melbourne balony, które zaopatrzone w igły magnetyczne, podobne w konstrukcji do zmysłu pocztowego gołębia, odnajdą cel błyskawicznie. Dolecą do miasta bez zająknięcia, gdzie czekać będą moi słudzy już powiadomieni. Wiedzą, co czynić. Kuter zaopatrzeniowy dopłynie tu w tydzień lub dwa. Przywiezie węgiel i prowiant, potem zabierze was na stały ląd. O przygodach lepiej nie rozprowadajcie. Wrócę i sprawdzę wszelkie raporty, zanim wam i rodzinom wypłacę szczodre rekompensaty. Teraz wracam w morskie ostępy, by ratować innych i poszukać ciała waszego kapitana.

– Ale łódź pańska przecieka, profesorze – ostrzegł marynarz. – Stałem po kostki w marznącej wodzie.

– Każda łódź podwodna przecieka, panie Brandt – zarechotał w odpowiedzi Molier. Był w tym śmiechu nie mniej szalony niż wydarzenia, w które wszyscy zostali uwikłani. Schylił się w głąb nawigacyjnej komory. Sięgnął po coś szybko. Wydobył zawiniątko i rzucił stojącym. – Trochę w tym pudle pozostało nieużywanych fajek, tytoniu i zapalek. Całość ostemplowana z gwarantującym świeżość woskowym spawem – dodał i pomachał dłonią na pożegnanie.

Po czym poddał „Morrlitusa” szybkiemu zanurzeniu.

Długo obserwował przez peryskop ginącą w oddali grupkę pozostawionych samym sobie ludzi. Stał po pas w wodzie, a łódź z trudem torowała sobie drogę powrotną przez nie wiadomo czemu zanurzoną w podwodną przestrzeń, grubą na pół metra krę.

Marynarze długo pamiętali obrazek, jaki rozmazała mgła: wspartego na otwartej klapie zamysłonego dziwaka.

Mroki nie ustępowały. Zapadaliśmy głębiej i głębiej. Czasem mignęła sylwetka jakiejś przemykającej dziwacznej ryby, niekiedy zamajaczył większy, tajemniczo ruchomy obszar podobny do rozświetlonej sennej mary. Wtedy instynktownie łapałem za broń.

Wiele z przyuważonych organizmów charakteryzowała dziwaczna forma zwana żabnicokształtną. Niektóre stwory posiadały duże, świecące oczy, inne szeroko roztwarte paszcze, przy których nasz lord z pełnym rozwarciem iluminacyjnej szczęki nie miał nawet szans konkurować.

Wiedziałem z uczonych, uroczych ksiąg morskich, że większość z tych tworów widziała przy świetle niewidocznym dla człowieka. Niektóre z nich były ślepe, a jeszcze inne posiadały specjalne komórki wytwarzające światło dzięki narządom umieszczonym w skórze, tak zwanym fotoforom. Wierzyłem, że lord Duncan poprzez to mineralne nasmarowanie jamy ustnej zainicjuje powstanie świecących komórek gruczołowych. Sam chętnie pokryłbym nimi, to jest fotocytami, własną skórę, czyniąc ją odblaskową na wszelkie moje życzenie.

Najniezwyklejsze były organizmy posługujące się elektrolokacją, to jest wytworzeniem elektrycznego obrazu otoczenia, w którym widoczne mogą być: wielkość, kształt, odległość od przedmiotu lub pojemność elektryczna. Co ciekawe, niektóre gatunki ryb strętowkształtnych wykorzystywały pole elektryczne do komunikowania się, wyprzedzając nasze ludzkie próby o miliony lat. Doprawdy, natura bywała odkrywczą niezrównanym.

Wszystko to gdzieś spieszyło, pozostawiając nas niemal ogłuchłych od samotności. Z trudem percypowałem nasz zstępujący ruch. Już niemal automatyczny wymach ramion, nieustanne odpychanie ośrodka za siebie, męczące wicie się ciała i delikatne wibracje płetwy na plecach doprowadzały mnie do szału.

Tak dotarliśmy do poziomu minus sześćdziesiąt tysięcy metrów. Gdzieś tutaj powinien znajdować się wylot jaskini prowadzącej do znanych nam komór pod Melbourne, skąd niecały rok temu wraz z lordem Duncanem wydostaliśmy ledwo żywego profesora Moliera.

Myliłby się jednak ten, kto uważałby takie odnalezienie igły w stogu siana za proste i możliwe. Nic nie świadczyło o istnieniu korytarza ani na siedemdziesiątym tysiącu, ani na osiemdziesiątym. Nic nie było wiadomo o wodospadach mułu zapewne usuwającego się z rejonów przesiąkniętych płynną masą gruntów.

Mój Boże, przecież nie wszystko tu musiało być skalą? Gdzież podziały się owe wentylacyjne otwory wypełnione lawą i erupcyjnymi gazami sztolnie? Gdzież dno, a w nim kryjówki naszych poszukiwanych bestii? Czyżby wyprowadziły mą ukochaną na

manowce głębi? Sprawily, że zboczyliśmy z kursu? A może wciąż i niezmiennie kręciliśmy się w kółko?

Boże! Nie spodziewałem się gorszej odmiany piekieł!

Powoli wpadałem w rozpacz.

Lord Duncan również czuł się coraz bardziej nieswojo. Widziałem to po jego tracących pewność ruchach i niemal nieustannym zerkaniu na podświetlane własnym, wytworzonym w ustach światłem tarcz zegarowych.

Otaczała nas niemal kosmicznych wymiarów wodna pustka, w porównaniu z którą przesuwany się z szybkością biegu nurkowego człowiek zdawał się być robakiem bez znaczenia.

Przy poziome stu tysięcy metrów zanurzenia nawet pan Bizzard stracił rezon. Mocno zwolnił. Postarał się o zmianę kursu. Według kompasu kierowaliśmy się teraz na północny zachód. Spad kontynuowaliśmy ostry. Jednak i tu nic nie wskazywało na istnienie jakiegokolwiek dna.

Już traciłem nadzieję, gdy raptem w oddali, mocno z boku i nieco ponad nami, ujrzeliśmy szybko nadciągające światło. Przybliżyło się pod kątem trzydziestu stopni. Mocno fosforyzujące, nabrało po godzinie niespotykanej ostrości. Zastanawialiśmy się, co też to być mogło, gdy wyrzuciło na strony intrygujące, wędrujące bąble niebieskawej jonizacji. Szły po skosie i po jakimś czasie byłyby zbladły, spłowieły i wreszcie znikły w smolistej czerni, gdyby zafascynowany ich niecodzienną prezencją mój towarzysz nie kazał mi za sobą szybko płynąć w ich kierunku. Właściwie nie miałem wyboru, bo i tak wpół przewiązany liną okazałem się być z dużą siłą holowany. Nie opierałem się. Nie stawiałem oporu. Śmiertelnie znużony, sam poddałem ciało ruchowi. Coś się wokół nas nareszcie działo. Poza tym ów nowy cel był bardziej konkretny niż otaczający nas ziąb nieprzeniknionych mroków ciągnących się nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co.

Dopłynęliśmy prędko i wniknęliśmy bez trudu przez cieniutką błonę jonizacji wodnej do wnętrza. Bańka bynajmniej nie prysła i nie pękła pod wpływem naszego wtargnięcia. Tylko się wzmocniła i w zagadkowy sposób powstrzymała parcie wody. Rozglądając się ciekawie, doszedłem do wniosku, iż była to zakłócona funkcyjnie porcja kryształowej wody, w którą ktoś wgrał nie wiedząc jakim sposobem werbalny komunikat.

„Lordzie Duncanie! Panie De Waay! Bąbel wodny umożliwia komunikację zwrotną. Proszę o bezzwłoczny respons, podpisane: Reynash”.

Nie trzeba było długo czekać, by pan Bizzard podjął się próby kontaktu:

– Mówi lord Duncan, dotarliśmy do wnętrza przesyłki.

Na tle rosnących trzasków dało się wyróżnić słowa odpowiedzi:

– Proszę natychmiast spojrzeć ku sklepieniu bąbla. Jest tam widoczny kod punktowy wysłanej serii. Ile widzi pan kropek?

Łowca szybko głośno przeliczył. Spojrzał na mnie. W półmroku zaledwie się widzieliśmy, ale skinąłem głową, potwierdzając jego wynik.

– Sześćdziesiąt siedem – powiedziałem.

– Dobrze. Wiem, gdzie jesteście. Zaraz podejść bliżej.

Wkrótce ujrzeliśmy znane nam wirujące wolno siedmiometrowe koło żeliwne z rozświetlającą mroki latarnią w centrum i rzędem uczepionych koncentrycznych trzymadeł dla mężczyzn dookoła.

Descender! – ucieszyłem się.

Niektóre miejsca były puste. Zajęto sześć siedzeń i mocno się zastanawiałem, dlaczego pośród obecnych wciąż nie widzę profesora Moliera. Gdzież podziła się jego podwodna łódź? Czyżby Oceanus został powtórnie zaatakowanym i być może w finale rozszarpanym przez bestie?

Wszystkie wątpliwości rozwiązał Reynash rozpylający wokół substancję usztywniającą ciecz lokalną. W powstałych kanałach myśl ludzka rozchodziła się swobodnie na kanale metabolizmu bakteryjnego i przekaz nie ulegał zniekształceniom jak wyżej w warstwach Oceanu Południowego. Czyżby bioplazma była tutaj bardziej inteligentna?

– Profesora jeszcze nie ma, ale przestrzegł mnie, abym o określonej porze, zaznaczonej automatem dzwonkowym na chronometrze descendera, zszedł na głębokość stu tysięcy metrów, co też z całą sumiennością uczyniłem.

Widać podobne odczucia dzielił ze mną pan Duncan, bo zaraz spytał:

– Czyżby przypuszczał pan, że jego podwodny wehikuł uległ uszkodzeniu?

– Jeśli tak, to jesteśmy zgubieni – zajęczałem.

Reynash spojrział na mnie z wyrzutem.

– Ależ od samego początku łódź ta była przeznaczona na stracenie. Nie na darmo zawierała ponad cztery tony dodatkowego trotylu górniczego, który miał dopomóc profesorowi w realizacji jego planu wysadzenia mechanizmów fantomowej wyspy, jedynej drogi wiodącej do oceanu ziemskiego. Jeśli udało się mu rozładować materiały wybuchowe za pomocą poręcznego dźwigu, zapewne pojazd ocalał, ale jeśli nie? No cóż...

– Czy ja aby dobrze słyszę? Molier zapragnął nas zgubić, zniszczyć naszą jedyną drogę powrotną, nie pytając nas o zdanie? – wściekł się lord Duncan, chwytając się wraz ze mną trzymadeł aparatusa grawitacyjnej windy i zabezpieczając nasze ciała paskami.

– Nie inaczej. Winny panów przekonać nasze bezwzględne priorytety. Nie miejsce na miłość własną, gdy są zagrożone racje wyższe. Znane są bowiem plany jego imperatorskiej mości, cesarza Japonii. Zażądał schwywania ningenów i użycia ich dla



celów militarnych w przyszłej wojnie inwazyjnej, do czego w żadnym razie nie wolno nam było dopuścić.

– Ale gdzież jest koniec tej cholernej wody? Czy już do samego jądra Ziemi prowadzi droga? – zapytałem, bo polityka w tym momencie była nie na miejscu.

– To nie tyle droga, co korytarz, panie De Waay. I niech pan doceni jakość własnych wykształconych w wyniku retro ewolucji zmysłów. Gwarantuję, że tymczasowo więcej doświadcza pan z ich powodu strat niż pożytku. Zapewniam jednak, że z biegiem lat będzie tylko lepiej. Zdolny pan będziesz sprostać nowym wymogom, które nie mogłyby się nawet przyśnić istocie ludzkiej. Będziesz pan władny zaledwie przy pomocy zmysłu smaku rozróżnić przemierzone wodne warstwy, a rozumem sięgać obcych gwiazd. Poruszamy się bowiem w gigantycznym korytarzu wytworzonym przez samą przyrodę, a zwanym Necrolotum.

Zapowiadała się długa prelekcja, która zapewne wiele by wyjaśniła, a może wszystko pogmatwała, gdy nieoczekiwanie usłyszeliśmy paraliżującą wszelkie zmysły potężną, zwielokrotnioną echem eksplozję.

Zobaczyliśmy z ogromnego oddalenia niewielki ogień i serię następujących po sobie błysków, a fala grzmotów zdawała się nie mieć końca. Przetoczyła się po nas też dynamiczna wibracja, budząc nie tylko trwogę, ale i pokłady niezdrowych emocji. Jeśli ten nasz profesor szaleniec zginął tam w trakcie?... Czego mu w tym momencie z całego serca życzyłem. Czekala nas w tej czeluści tylko powolna śmierć.

Jakże ja wtedy żałowałem mojej Abelii.

Kto jak nie ja zgotował jej tak podły los?

Nie pozostało nam nic innego, jak dalej pozwolić nieść się maszynie, a ta wyraźnie była zaprogramowana. Szła teraz po szybkim poziomym kursie napędzana nieznaną energią wykorzystującą planetarną masę. Jednak nawet nasz podstarzały Hindus miał minę skwaszoną i nos spuszczone na kwintę, co obserwowałem w świetle wydzielanym z obręczy descendera. Odnalazłem też pod spodem wysunięty z obudowy schodek, na którym każdy z użytkowników swobodnie mógł nie tylko oprzeć stopy, ale i jak w samochodzie kontrolować obroty zegarów. I mało tego, mógł się przytwierdzić pasem bezpośrednio do maszyny, co w przypadku przyśnięcia czy pod dyktando bezpieczeństwa było niezmiernie korzystnym rozwiązaniem.

Niebawem ujrzelśmy kolejne niepozorne światło.

Czyżby była to jakowaś przystań?

Wątpiłem bardzo.

Igrało zaledwie na pograniczu percepcji, wydając się być zwidem.

Tym bardziej że intensywność onego źródła malała, by nagle wzrosnąć ku naszej szalonej radości. Tylko Hindus pozostał powściągliwy w wyrażaniu uczuć. On też nieprzerwanie grzebał coś w pulpitych i przestawiał, jakby mu spotkanie ze światłem wcale nie było na rękę.

Jakież było moje zdumienie, gdy po niespełna dobie przybliżeń i oddaleń rozrosła się wielkość nadchodzącej jednostki do rozmiaru potężnego podwodnego sterowca opasanego ciasno obręczami miedzi. Przeszedł ponad nami niczym dumny żaglowiec. Zawrócił i znów zajaśniał rzędami lśniących od wewnętrznego światła aluminiowych iluminatorów na burtach i plamami świeżej iluminacyjnej farby ogłaszającej wszem i wobec jego imię i nazwę armatora.

Statek wyglądał mi na pasażerski, bo w okienkach ujrzałem ciekawskie twarze ludzi, mężczyzn w melonikach, kobiet w przepięknych kapeluszach i dzieciarni w nurkowych hełmach z wielokształtnej gumy morskiej.

Po raz kolejny majestatycznie przepłynął ponad nami, prezentując skomplikowane podbrzusze pełne technikaliów, zakamarków hydraulicznych, zaworów i upustów pary oraz osprzętów dokujących, takich jak łańcuchy, cztery pary kotwic, pracujące zębatki, koła, paski idące od miniaturowych rozrządów oraz produkujące bąble miedziane rurki.

Poczuliśmy bijący odeń, a przechodzący ostrą falą prąd wodny. Więcej, od potężnych, wirujących wolno napędowych śrub nawet niebezpieczne odczuliśmy przyciąganie.

Nadeszły jakieś transmitowane przez wodny ośrodek stłumione porykiwania i zgrzyty. Okręt podmorski oddalił się po długim łuku, by po chwili z migotem reflektorów

frontowych powrócić, nadając z najwyższego bodaj sterowniczego poziomu pokładów sygnały świetlne w alfabecie Morse'a.

Nasz Hindus przygotowany był na taką ewentualność, bo natychmiast odpowiedział, trzymając w ręku niepokąźnych rozmiarów elektryczną lampę. Pulsując w kierunku sterowca światłem żółtym, dawał znaki zawezwania do przyjęcia na pokład. Byłem pewny, iż profesor Molier wtajemniczył go w swoje plany w najdrobniejszych szczegółach.

Wkrótce sterowiec zupełnie zatrzymał potężne wirniki. Zawisł ponad nami zgrabnie niczym ważka. Mechanizmy dźwigów pochwyciły naszego descendera i w spokojnym rytmie wciągnęły na pokład załadunkowy, gdzie można było ujrzeć spory park maszynowy.

Podczas gdy wypływający na spotkanie ludzie, w większości Pakistańczycy, pomagali nam wejść do windy, nie mogłem wprost wyjść z podziwu nad stanem ich ubioru i noszonego sprzętu adaptacyjnego. Wszyscy obecni oddychali bowiem swobodnie pod wodą, śmiali się i rozkoszowali ośrodkiem ciekłym. Ich szyje pokrywały zwoje kolorowego perkalu, z czego wnosilem, że bardzo wstydzą się swojej rybiej istoty rozbudzonej zapewne przez mineralne operacje z czasów pradawnych. Skłonni raczej byli odziać ciała tradycyjnym ubraniem, byle ukryć niepotrzebny ambaras.

Musieli pochodzić z kasty znaczącej, bo jakość użytych materiałów była wyśmienita. Ich wartość użytkowa w słonej wodzie zapewne odbiegała od używanych przez nas prostych, sztywnych gumowych surdutów i cylindrów.

W tym momencie odnotowałem absencję Reynasha. Dyskretnie się ulotnił. Rozglądając się, zauważyłem, że oddalił się w kierunku dokowanej w części magazynowej windy grawitacyjnej i coś przy niej przez długą chwilę grzebał. W końcu zgubiłem go z pola widzenia niesiony rozentuzjasmowanym tłumem gospodarzy.

Wpłynęliśmy do wnętrza pojazdu prowadzeni korytarzem przez oficera pokładowego. Woda wypełniająca wnętrza pojazdu była specjalnie uzdatniona i znacznie cieplejsza niż jej oceaniczny odpowiednik. Pozwalała na ruch w jego zwyczajnym napowietrznym rytmie. Zadziwiająca właściwość minerałów usztywniających i tutaj sprawiła nam niespodziankę.

– Kapitan Von Settler zaprosił was, panowie, do części luksusowej, więc spodziewajcie się niebawem niemiłej dekompresji i przejścia przez komory powietrzne – wyznał oficer szczególnie zachwalającym tonem. A że również był ciemnej karnacji, podejrzewałem onego kapitana o narodowość indyjską i pochodzenie z najwyższej społecznej kasty, być może nawet z tamtejszych braminów. – Pragnie was przyjąć tradycyjnym napitkiem europejskim i hawańskimi cygarami.

Już widziałem, jak naszemu łowcy i nurkom australijskim zaśmiały się na samą myśl oczy.

Niebawem siedzieliśmy w wygodnych fotelach wysuszeni i przebrani w wygodne rzeczy gumowe z wycięciami na przyłopatkowe płetwy. Zażywaliśmy luksusów i zbytków natury spożywczej, pomni wszechogarniającej wokół, mrocznej wodnej pustyni.

Potężne okna bez ram wewnętrznych, ze szkła najpewniej podwójnie hartowanego, wychodziły stąd na front tego bodaj kilometrowej długości nitowanego w każdym calu kolosa. Złapałem się na niepokojącej myśli: kiedy i gdzie zbudowano takie cacko?

Czyżby brat pana Moliera jednak nie planował w wyrzucie wulkanicznym wyprawić się ku planecie Mars i w tajemnicy założył na Ziemi jakieś podmorskie imperium sięgające być może samego gotującego się jądra?

Miałem się wkrótce przekonać, bo niezmiernie zdziwiony śledziłem wchodzące postacie. W pierwszym nowo przybyłym natychmiast z jękiem podziwu rozpoznałem całego i żywego profesora Moliera. Już zdążyłem mu wybaczyć jego winy, a serdecznie ściskając dłonie jego i towarzyszącego mu kapitana Von Settlera, niemal się rozplakałem.

Kapitan był to postawny biały jegomość z równie wielkimi jak u profesora bokobrodami i korkowym hełmie na głowie, zapewne przybranym w wyniku niezwykłego poczucia humoru i chęci do zabawy. Bokobrody jego posiadały żółtawy nalot, najpewniej z winy wód morskich, w których zazwyczaj nurkował. Wtajemniczony wiedziałby, że niemal kompletnie wyłysiał i dostał na skórze głowy wykwitów czerwieni przypominających oparzenia.

– Oto wspomniany w rozmowie nie dalej niż kwadrans temu młody panicz De Waay – zaprezentował mnie profesor. – Opowiadałem panu o naszych jaskiniowych przygodach. Tam odegrał wielką rolę, wykazując się niezwykłym talentem kawitologa, wielkiego mierniczego i geologa. Jednak, jak wspominałem, nie udało nam się przedostać wygodnie i szybko do najgłębszych, sześćdziesięciokilometrowych partii jaskiniowego lochu, stąd pozostała nam do zabezpieczenia przed ningenami tylko droga morska.

– No tak – mruknął kapitan. – Podziwiałem pana konstrukcję – zwrócił się do mnie.

– Oxygenator wodorowy jest doprawdy genialnym wynalazkiem. Wodór bowiem potrafi mieć przeróżne zastosowania, nie tylko napędowe.

– Owszem. Ja jednak myślałem o tlenie – odparłem, raczej rozżalony.

– W tej dziedzinie radzimy sobie, jak już pan wie, znacznie lepiej i wygodniej.

– Nie wątpię.

– Ale może wpierw poznajmy gospodarzy – zaproponował nieco zagubiony Molier. Na próżno bowiem szukał pośród obecnych gości swego zaufanego Hindusa. Czyżby sądził, że w międzyczasie stało mu się coś złego? Że był aresztowanym i torturowanym? Może już zabitym i wyrzuconym jakimś nowym skutnicom na

pożarcie? – gorączkowo rozmyślałem. – Przecież niewiele mogłem wiedzieć o ścisłych tajemnicach wiążących tych dwojga. Nigdy nikt nie zaznajomił mnie z historią pierwszego tutaj pobytu imć uczonego. Zaledwie przeczuwałem istnienie społeczeństwa kolonialnego zamieszkującego wodne jądro Ziemi, a tym bardziej nie miałem pojęcia o politycznych waśniach dzielących te skromne ludzkie gromady. Spojrzałem na uczonego, potem szybkim wejrzeniem objąłem wpatrzonych w niego arystokratów. Poczułem, jak przez plecy przechodzi mi zimny dreszcz, bo raptem spostrzegłem w tej z pozoru cieplej uprzejmości płytko skrywaną nienawiść.

Siląc się na spokój, Ocearus kontynuował:

– Przedstawiam panom kapitana Johna Von Settlera. Towarzyszący mu pan to pierwszy oficer Mick Stanton.

Skloniliśmy z lordem Duncanem uprzejmie głowy, podczas gdy profesor anonsował wszystkich kolejno podchodzących oficjeli, których nazbierała się dwudziestka. Dwóch z nich, w niewygodnych strojach nurków wulkanicznych, przedstawił nam sam kapitan Von Settler:

– Przy sterach znajdują się jeszcze wsławieni manewrami przydennymi Bryn Austin i Ian Struthers. To niezwykli oblatywacze podmorskich szlaków. Motorzyści z urodzenia – oznajmił.

Stojący niedaleko panicz w nienagannym smokingu podwodnym zdawał się być za skromny, by zabrać głos. Kapitański anons był tu niezbędnym:

– Proszę nie zapominać o naszym laborancie wodnym, Ericu Linfieldzie – mówiąc, pociągnął obserwowaną postać w światło rozmowy. Od razu polubiłem gościa. Z serdecznością właściwą tylko osobom szczerym i miłym, wyściskał nasze dłonie. – Postać to niezbędna w podróżach podmorskich. Jak dobry kartograf określa, w który akwen żeśmy się zapuścili i z jakim podziemnym oceanem mamy do czynienia.

W tak doborowym towarzystwie przesiedliśmy się do wielkiego stołu, na którym zamiast jadła i talerzy odnaleźliśmy wszelkiego rodzaju mapy i kilka dziwacznych, nieznanym mi globusów. Dowiedziałem się, że żadnej stawy spodziewać się nie można. Uważało się bowiem powszechnie pod wodą używanie systemów wydzielniczych, szczególnie wydalanie stolca, za obraźliwe dla dżentelmena. Zachowania takiego mogła dopuszczać się hołota robotnicza lub wędrowcy denni.

Zrozumiała więc była nieobecność wszelkich pisuarów i ubikacji, w których woda miałaby ponieść zanieczyszczenia do środowiska, którym wszyscy przecież oddychali.

Wzorem był tu nasz mikroorganizm saccorhytus, którego idea sakwy i totalnej utylizacji przyjętego pokarmu była podawana za wzór do naśladownictwa.

Profesor Molier stał, podczas gdy wszyscy już siedzieli. Uśmiechał się dość słabo. Po przebytych ciężkich przejściach chwiał się na nogach. Widocznie miał nam wszystkim coś do zakomunikowania, bo tylko czekał na odpowiednią chwilę.

Czułem rosnące podniecenie, pomimo iż w głębi ducha ciągle rozpaczałem po stracie ukochanej. Widział to, bo chyba z pierwotnej mowy zrezygnował na rzecz pocieszenia. Szturchnął kapitana i dał mu znak wymownym spojrzeniem, by ten raczył me problemy wspomnieć.

– Pragnę na samym wstępie zapewnić obecnego tu pana De Waaya o naszym głębokim żalu w związku z porwaniem hrabianki Hurstbridge. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by odnaleźć dobrodziejkę żywą i przywrócić jej wolność i świetność. Zwykle damy tego pokroju ningeny pozostawiają przy życiu. Widać szlachectwo krwi jest dla nich wystarczająco pociągające – powiedział kapitan.

– Przecież nie ma nawet mowy, aby w tych okropnych, niezgłębianych przestrzeniach wodnych odnaleźć jakiegokolwiek dno, a w nim siedziby lub gniazda tych okropnych stworzeń – mruknąłem rozzalony i gniewny.

– Po pierwsze – odezwał się kapitan – nie są to takie mroki, za jakie je pan uważa. Istnieje sporo odbitego promieniowania, a denny wulkanizm jest na tyle mocny, by okraszyć magicznym światłem cały ten wodny obszar aż po najdalsze powierzchnie. Tyle że dotąd pozostawałeś pan na ten zakres kompletnie nieczułym, że tak powiem dosadnie: byłeś pan ludzko ślepy. Dokonamy pewnych udoskonaleń w ciele szklistym pańskiego oka i wstrzykując igłą substancje wzmagające sensualność, otworzymy przed panem nową perspektywę. Oczywiście jeśli obaj panowie się na operację zgodzicie – mówiąc, wodził spojrzeniem po naszych twarzach – a zapewniam, że w towarzystwie nie tylko oficerskim wszyscy posiadamy ciało szkliste oka wzmocnione kryształami optycznymi o nieprzeciętnym zakresie odbioru i rozdzielczości. Po drugie, posiadam rozliczne kontakty personalne w środowiskach naukowych Kallistian<sup>45</sup>. Przy maksymalnym zbliżeniu wzajemnym księżyców potrafią oni dokonać wypośredkowanej wróżby lokalizacyjnej, posługując się czytańdem myśli i zamiarów. Znajdą pannę, a my ją wtedy uwolnimy.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Jakich księżyców? – zapytałem zdumiony, zupełnie nagle zdając sobie sprawę z jakiejś nieznanej mi bliżej, aczkolwiek przeczuwanej od dłuższego czasu tajemnicy.

– Jak to? To pan nie wiesz? Znajdujesz się pan w najniższej warstwie oceanów Ganimedesa.

Raptem zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Zmroziła mnie ta wiadomość. A więc nie znajdowałem się po prostu w jakiejś otchłani ziemskiego jądra, tylko wpadłem w jeszcze bardziej niezmierną głębię kosmosu? Ile to mogło być kilometrów dzielących mnie od domu? Szybko odnalazłem w pamięci pożądaną wartość. Znajdując się w opozycji, czyli po tej samej stronie Słońca odległość do Jowisza wynosiła minimum 626 milionów kilometrów. Zatem była to dla mnie przepaść kolosalna, jak studnia bez dna. Jakimże sposobem w tak krótkim czasie odległość ta została pokonana?

I znów przejęła mnie groza niesłychana.

Jeśli to wszystko prawda, to gdzież miałbym szukać mojej Abelii?

Aż ręce mi zadrżały od ogarniającej mnie bezsilności.

Tymczasem kapitan kontynuował:

– Pana zstępowanie wzięło początek ze ściany najdalej wysuniętej na zachód. I stamtąd rozpoczął pan nurkowanie głębinowe. Jednocześnie pragnę powiadomić, że zawór międzyplanetarny został nieszczęśliwie zaczipowany przez obecnego tu upartego profesora Moliera w nadziei, że już żadne ciemne lichy nigdy stąd nie zagrozi naszej odległej Ziemi. Wystarczyłby filtr z kraty nierdzewnej, nieprawdaż?

W tym ostatnim zdaniu wyczułem dziwną nutę niezdrowego rozgoryczenia. Jakby Von Settler nagle objawił mi się naszym najbardziej zaciętym wrogiem. Była mu nasza obecność całkowicie zbyteczną, a postawa profesorska jawiła się lekkomyślną i wręcz szkodliwą. Rzuciłem na niego przelotne spojrzenie. Jego lodowaty wzrok kierował się to na Moliera, to na Bizzarda. Mroził w ustach jakieś przekleństwo. Gładził kościstą dłonią brzeg szklanki i zastanawiał się, czy aby nie zmiażdżyć na którejś twarzy szkła.

Poczułem się nagle zupełnie nieswojo. Oto w obliczu tak potwornej ciemności i kosmicznego horroru ludzie pragną sobie skoczyć do gardła.

---

<sup>45</sup> Kallisto – drugi co do wielkości księżyc Jowisza. Z czterech tak zwanych Galileuszowych księżyców najbardziej oddalony od planety. Załedwie o jeden procent jest mniejszy od Merkurego, lecz około trzykrotnie od niego lżejszy. Kallisto obraca się synchronicznie i zawsze jest zwrócony do Jowisza tą samą stroną. Jest tak zwanym księżycem lodowym. Składa się w przybliżeniu z równej ilości skał i lodu.

– A więc twierdzi pan, że znajdujemy się na księżycu Jowisza? – zainteresował się sprawą lord Duncan, kierując pytanie do Linfelda, kiedy napięcie po zakrapianej alkoholem herbacie opadło.

Przysiadł się bowiem do naszej kanapy hydrolog pojazdowy, tak mile opisywany przeze mnie poprzednio, i gawędził. Podczas gdy kapitan wraz z Molierem odeszli na stronę i w bibliotece obok ostro się kłócili, my rozkoszowaliśmy się oddechem powietrznym i delektowaliśmy werbalną komunikacją.

– Tak. Ze wskazań moich zegarowych lokalizatorów wynika, że znajdujemy się na poziomie zerowym oceanu Gallupa. Oznacza to, że przebyliśmy za pomocą descendera aż sto dziesięć tysięcy metrów. – I tu zreferował pokrótce nasze położenie. Eric Linfeld, bo on tu był obecny, odczytując spisane na podręcznej maszynie liczącej koordynaty, mile się uśmiechał i towarzyszył nam serdecznym wzrokiem. – Wyżej wznoszą się warstwy na poły pływających skał o grubości tysięcy metrów wsparte na lodzie i kryształach. Następnie warstwy lodu zamieszkałe przez społeczności ryjówek. Wiem, że natychmiast pomyślą państwo o gatunku jakiś pospolitych ssaków gnieźdzących się byle gdzie. Są to jednak istnienia bardziej zmyślne, budujące skomplikowane miasta i społeczności kastowe zbliżone do ludzkich. Podobnie do naszych pingwinów zasiedlają kilkunastokilometrowe lodowce aż do akwenów najwyższych wypełnionych gęstymi solankami i żelami mineralnymi. Poniżej dna oceanu Gallupa znajdują się jeszcze inne, większe i niezbadane akweny. Niestety, dotąd nie udało nam się odnaleźć żadnego przejścia. Wyznam panom szczerze, iż studiując geologię Ganimesesa, odkryłem jego znaczne podobieństwo do struktury skorupy ziemskiej, o której do niedawna nie wiedzieliśmy za wiele. Ba! Nic zupełnie!

– A przepraszam, że zapytam – zwróciłem się doń – ale kim wy wszyscy jesteście? Czyżbyście byli potomkami jakiś starożytnych astronautów, argonautów lub pradawnych speleologów?

Eric, dziwnie unikając wzroku stojącego niedaleko pierwszego oficera, wyjaśnił:

– Profesor Molier miał ongiś sławnego brata, czterdzieści lat odeń starszego, który odkrywając zapisy w starożytnych księgach indyjskiej wedy, będących w wysokiej mierze odpisami źródeł atlantydzkich traktujących o istnieniu w głębi kosmosu niezmiernych imperiów oceanicznych – postanowił wykorzystać energię wulkaniczną do wystrzelenia wraz z warstwą skalną potężnych pocisków międzyplanetarnych. Było ich sześć. Każdy z dziesięciomilionowym tłumem załogi na pokładzie, maszynami, szynami kolei podmorskiej, lokomotywami dennymi i sterowcami potrafiącymi pomieścić tysiące członków załogi lub braci robotniczej.



- A więc to wszystko prawda? – Jakoś nagle komplet wszelakich zasłyszanych informacji ułożył się w mojej głowie w całość logiczną i spójną.
- Dlaczego więc nie wykorzystał przejścia ningen? – spytałem zaaferowany.
- Wtedy jeszcze o nim nie wiedział. Księgi braminów tylko nadmieniały o istnieniu naturalnych zaworów łączących wszechświatowe oceany. Były one bowiem jakoby odnogami potężnego strumienia wody podobnego do świętej i tajemnej rzeki Ganges, tyle że idącego przez całe Uniwersum. Główny bowiem kanał przebiegał przez wszechświat niczym potężna brama. Od wody rozpoczyna się wszelkie istnienie i ona w świecie fizycznym miała od samego początku pierwszorzędne znaczenie. Wodór był pierwiastkiem pierwszym, a tlen, powstając w fizycznym ucieleśnieniu zbiegu jąder pierwszych, ustanowił molekułę, na której bazie te wszystkie cuda stały się możliwe. Wedy hinduskie koncentrowały się na globalnej morskiej jaźni biegnącej przez wszechbytny drogocenna żyła i wspólnej wszelkiemu stworzeniu ciekłej konstytucji.
- Jak w takim razie doszło do odkrycia tej najniezwyklejszej w świecie dziury?
- Pozwoli pan, że zachowam chronologię?
- Proszę uprzejmie.
- Niestety tylko trójka maszyn kosmicznych dotarła do celu, to jest do Ganimedesa, i zdołała się przetopić poprzez warstwy zewnętrzne lodu i skały do masy ciekłej księżycy. Dwa nieszczęśliwie minęły destynację i po latach wyczerpującej podróży dotarły na Enceladusa, księżycy Saturna. I z nimi posiadamy wyłącznie kontakt telegraficzny. Nie odnaleźliśmy jeszcze rozpadliny dostatecznie obszernej, by pozwoliła na przecięnięcie się czegoś solidniejszego niż tylko drut. Pragnęliśmy poszerzenia, które umożliwiłyby przedarcie się choćby ciała dorosłego mężczyzny.
- I nie znaleźliście państwo?
- Dotąd niestety nie.
- A co stało się z ostatnim pojazdem? – spytał zaintrygowany sir Duncan, którego ta historia porwała tak samo, jak i mnie. – Powiedział pan, że pocisków było sześć.
- W istocie, tak mówiłem – przyznał Eric z tajemniczym, krzywym uśmiechem. – Na pokładzie ostatniej jednostki znajdowałem się ja wraz z moją matką i ojcem. Kierował nami przesławny brat pana dobrodzieja, obecnego tu profesora. Kapitan Von Settler zrobił wszystko, by przekierować maszynę na tory właściwe. Manewry zajęły nam cały rok. Kilka tysięcy ludzi pomarło z głodu i wycieńczenia, bo trzeba państwu pamiętać, iż podróż z Ziemi już pochłonęła lata i wszystkie nasze zapasy zostały niemal doszczętnie wykorzystane. Na szczęście nasz żeleźniak wpadł w odpowiedni ciąg orbitalny i dotarł na inny księżyc Jowisza, Europę.
- Tam założyliście kolonię?
- Tam pod najgrubszym lodem odkryliśmy miejsce do podwodnego życia i wielkie porzucone pływające miasta Atlantów, które przywróciliśmy do świetności i

przepychu. Niestety pozbawione były automatonów. Trzeba przyznać, że nawet po tysiącach lat ich parowe maszyny korekcyjne bezbłędnie utrzymywały je na dowolnej zadanej głębokości i z łatwością poddały się reperacji. Mieliśmy teraz pewność, że gdzieś ukryta jest droga łącząca nas przez Necrolotum z Ziemią. Może przejść było nawet kilka?

– Z Europy wprost na Ziemię?

– Nie jest to takie bynajmniej proste. Brat pana Moliera, Immanuel, był w sile wieku i wkrótce zmarł nieszczęśliwie, pozostawiając nowo założoną kolonię i dowództwo nad armią w rękach kapitańskich. Zanim jednak odszedł, odkrył potomków starych Atlantów żyjących w strasznym stanie podłego rybnego zezwierzęcenia w przydennych mułach. To oni wskazali nam przejścia i kanały łączące Europę<sup>46</sup> z Ganimesem. To oni pomogli nam w ewakuacji niedobitków pozostałych z trzech pierwszych pocisków, którym nie powiodło się założenie kolonii na Ganimesie. Od nich dowiedzieliśmy się o wrogo nastawionych wszelkiemu ludzkiemu istnieniu gluorach zamieszkujących ten podły, koszmarny świat, którzy wcześniej czy później zagroziłiby również Ziemi, gdyby się o niej jakimś sposobem na nowo zwiedzieli. Stary pan Molier pozostawił testament nakazujący odnalezienie brata i dopomożenie mu w zjednoczeniu wszystkich ludów układu solarne.

– Mówiąc o gluorach, ma pan na myśli lud legendarny i mądry?

– Niestety, ci akurat zapomnieli o pięknej tradycji. Wredne dzikusy zamieszkują najciemniejsze, zagrożone wstrząsami i kompletną izolacją obszary w szczelinach Moorcoola i Daywrooh, tych samych, które podejrzewa się o nieskończoną rozciągłość. Istoty te dysponują bowiem technologią genialnych pradziadów, która pozwala im na rozszerzenie średnicy księżyca aż o jedną trzecią. Wygląda wtedy, jakby sam zamieniał się w żywą, pulsującą tkankę wypełnioną symbiotyczną masą istot żywych wydmuchującą setki tysięcy sześciennych ton tlenu do ścieńczej atmosfery, która, jak wiecie, składa się tam wyłącznie z tego szlachetnego gazu.

– Tak, słyszałem. Dyskutuje się tę kwestię w towarzystwach astronomicznych całej Ziemi. Jeśli, jak pan mówi, gluorzy są tak groźni i prowadzą wojny na wszystkich księżycach Jowisza, musi istnieć jakaś droga, która łączy te światy?

– Musieliby przeciągnąć ze sobą jakieś militarne sprzęty – zauważył lord Duncan – i tym samym się oną maszyną zdradzić?

– Oczywiście tak, ale śledzenie ich jest trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Wspomniałem panu o naturalnych zaworach łączących solarne oceany. Być może są też inne drogi prowadzące do planet tak odległych, że aż niemożliwych do wyobrażenia. Zwykle skoncentrowane na obszarach Necrolotum zawory konekcyjne zostaną wszystkie wkrótce zbadane i niebawem wyprawimy się do jeszcze innych obcych światów. Na razie mamy tutaj wiele do zrobienia.

– Rozbudowa kolonii zajmie tysiące lat.

Oficer stojący nieopodal obserwował z uwagą moją minę. Miałem wrażenie, że myślą nie tylko marszczy mi czoło, ale dodaje zmarszczek na twarzy. Czyżby potrafił badać umysł i czynnie na niego wpływać na odległość?

– Ma pan rację, panie Ericu – głośno wtrącił się telepata. – Pozostaje jeszcze sprawa ludzkości. Czy ma być poinformowana o naszych nowych podwodnych preferencjach? Czy mamy prawo namawiać ją do porzucenia życia lądowego? A co za tym idzie angażować w nowych podbojach człowieka ziemskiego? Bo ja nie zgadzam się z ideą izolacji prezentowaną przez panów braci Molierów – wygarnął z nerwowym tikiem na twarzy, przestraszając nawet łagodnego Linfelda. Wydał mi się niemiecki do szpiku kości, bo akcent miał twardy, wyraźnie bawarski, jaki słyszałem u krewnych od strony wuja.

– A co jeśli ziemskie państwa i narody ustosunkują się wrogo do nowych kolonii i wielkie pociski z wysokoprocentową trucizną uderzą w nasze księżycy, zabijając wszelkie istniejące tu życie? – spytał drżący od białej gorączki lord Duncan, który zazwyczaj bezbłędnie wyczuwał chamstwo u ludzi udających niepospolitych.

– To prawda. Niewiele jest na Ziemi rozsądnych ludzi – przyznałem, natychmiast stając po jego stronie.

– Można dać szansę miliardom ludzi. Gnieźdzą się tam na coraz brudniejszych skrawkach lądu, miast dzielić się z nami radością bezkresu dostępnej wodnej przestrzeni. Trzeba powiedzieć wprost: człowiek lądowy był błędem ewolucji! Tylko morska jego odmiana może podbić wszechświat, a najlepiej jeszcze zgrabnie przystosowana do obu środowisk. To nie fair pozostawiać współbraci z dala od faktycznych osiągnięć naszej myśli cywilizacyjnej – mówił niemal jak marksista. – Poza tym żadna jowiszańska potęga nie mogłaby się zmierzyć z ziemską, gdybyśmy ruszyli zjednoczeni. Rozgnietlibyśmy na satelitach wielkiej planety wszelkie wszarstwo na miazgę.

Takie teraz zapanowało podenerwowanie w towarzystwie, że możliwe byłoby usłyszeć muchę z odległości stu metrów, gdyby takowa się tu znalazła. Zauważyłem raptem obok, za szybą wielkiego akwarium, gromadkę okazałych ryb o słusznej wadze bodaj ośmiu kilogramów i rozpiętości dziwacznie manifestowanego ciała około stu dwudziestu centymetrów. Jedna z nich podpłynęła bliżej. Nosiła się pewnie. Na ciele bowiem wyrysowane przez naturę czy też wytatuowane iluminacyjne płonie<sup>47</sup> świadczące o jej gnilnym oznakowaniu<sup>48</sup>. Rozpoznałem w niej już mi wcześniej opisywaną rybę gabinetową, taką ze złotym obramowaniem na krawędziach, wyglądającą jak zamknięta, pękata koperta. Nie wiem, czy to akwariowy obyczaj sprawiał, czy też one same spełniały tu jakąś służbę, bo kręciły się i zaglądały w każdy dostępny ze szklanego rurociągu kąt, a rozpiętość owego naczynia mnie

zaskoczyła. Zamurował mnie również fakt, że pozostawiony niebacznie dokument lub rozłożoną mapę ryby te jakby fotografowały jeszcze z dala. A oczu miały par kilka, łypiących jak u rozdeptywanej żaby.

Tymczasem doleciały mnie kwestie wypowiedane rozgoryczonym głosem spoza uchylonych drzwi biblioteki. Pan Molier mówił:

– Skończ pan z tym obwinianiem ningenów! Żaden z nich nie byłby w stanie zaprojektować i wznieść z pumeksowych materiałów podobnego technologicznego *optimum consilium*. Przypisałbym wykonawstwo komukolwiek, ale nie im. Toż to podwodne zero.

– Nie zbadał pan jeszcze wszystkich oceanów. Może być, że gdzieś istnieją tej rasy bardziej inteligentne odnogi.

– Jeśli tak, to niebezpiecznie jest się z nimi bratać.

– Można by podzielić interesy?

– Jak pan chce dzielić interesy w wodzie? Powtarzam, nie wolno nam oddać ani szklanki ziemskiego oceanu, nawet kropli nie należy proponować przybłędom z kosmosu!

– Wielce się pan irytujesz...

Po tej uwadze profesor się opanował, bo kontynuował już spokojniejszym tonem:

– Ależ proszę wyobrazić sobie ziemską scenę ewolucyjną. Niewiele jest w niej klasycznie pojętych form zwierzęcych. Większość to drobniaczki, a ogromną część zajmują mikroby. Spektrum ziemskiej ekosfery jest ściśle określone. Potencja rozwoju również. I teraz wyobraźmy sobie szczelinę, przez którą wydostaje się do swojej niszy nowy gatunek. Jest wielkości igielnego ucha. Już na wstępie jej ograniczoność wymiarowa, to jest pojemność wszelkich możliwych rozkrzewień, jest porażką. Słowem, gatunek ledwo na światło dzienne wydobyty jest już straconym. Być może inne ludy galaktyczne skorzystały z szerszej drogi ewolucyjnej. Być może stały się konglomeratem kilku symbiotycznych gatunków? Być może posiadały wielokanałową świadomość? Nigdy, powtarzam nigdy ziemskie rozumne zwierzę, jakim jest człowiek, nie dostąpi progów nieograniczonego rozwoju, jeśli nie rozpocznie eksperymentów z własną ewolucją. Dokona tego tylko wtedy, kiedy uwolni się od marazmu pozostałości bazy lądowej. Tego psiego charakteru oznakowania terytorialnego i kulturowego. Stanie się to tylko wtedy, kiedy garstka oderwie się od głównej grupy i rozpocznie własną, prywatną historię walki o lepsze jutro.

Ktoś popchnął drzwi i te samoczynnie się zatrzasnęły.

Załoganci patrzyli na gości z jakąś rosnącą nienawiścią, aż mnie ciarki przechodziły. Odchrząknąłem. Spojrzenia wszystkich wolno powędrowały w moją stronę.

– A skąd dobrodziej Ocearus dowiedział się o szczęśliwym wylądowaniu brata na księżycach jowiszowych?

– Atlanci zaopatrzyli staruszką w butle przypominające wielkie automaty. Owe pływające misterne mechanizmy, dobrze zaprogramowane, potrafiły bezbłędnie odnaleźć dowolną lokalizację w układzie słonecznym, a w Necrolotum poruszały się nad wyraz celnie. Butle one zostały z naszych miast atlantydzkich wymontowane i skradzione. Winimy za tę zbrodnię stronników Immanuela.

„Co rusz to pretensje” – pomyślałem z przykrością.

Drzwi się rozwarły. Obaj oponenty stali rozchełstani, jakby dopiero co przeszli walkę byków.

– Co teraz panowie zamierzacie? – zapytałem, patrząc z nadzieją na kapitana, a unikając oczu profesorskich, bo obaj obrzmiali od wściekłej czerwieni i spoceni od dyskusji wypełzli z niszy bibliotecznej.

– Właśnie wzięliśmy kurs na najbliższe Necrolotum – wyjaśnił oficer, z trudem opanowując drżenie dłoni na trzymanej szklance. – Wpłyniemy w prądy przekazania za najbliższe pół godziny. Proszę przygotować się na najcudowniejsze widoki głębi Hortimelusa. Europa jest dla nas, ludzi, miejscem o szczególnym pięknie. To największa w systemie słonecznym rafa koralowa rozgrzana siłami pływowymi Jowisza i podwodnym, statecznym wulkanizmem Spearsa Knochego. Niebawem wrócimy na Ganimedesa z flotą wojenną, by pouczyć tamtejsze rzesze i przegnać raz na zawsze do ich śmierdzących gniazd pod skałami warstw głębszych. Niestraszne są nam pancerniki gluorów! – zakrzyknął niespodziewanie, w czym z ochotą zawtórowała mu obecna na przyjęciu młodzież oficerska. – Poszukamy również pańskiej narzeczonej, panie De Waay. Ale dopiero wtedy, kiedy kurier lub pan sam przyniesie nam wieści z Kallisto.

Zgodziłem się bez słowa.

---

46 Europa to czwarty co do wielkości księżyc Jowisza. Jest pewnym, że pod jego lodową skorupą znajduje się potężny ocean ciekłej wody. Świadczą o tym liczne gejzery wyrzucające materiał mineralny ponad utwardzoną powierzchnię lodu, jak również potężne pęknięcia na pokrytej krą księżycowej powierzchni.

47 Płonie – zaszeregowanie, oznaczenie, fikcyjny znak iluminacyjny.

48 Termin fikcyjny. Ponieważ organizmy mogą się w oceanie komunikować, ryby te na odległość potrafią hipnotyzować ofiarę do tego stopnia, że doznaje ona samoistnego rozkładu. Jest to coś w rodzaju skrajnie symptomatycznej cukrzycy, kiedy odpadają pacjentowi palce stopy.

Potęzną szczelinę rozświetlały pozycyjne linie impregnowanych w skały kryształów. Pokładowe szperacze dodatkowo przeświecili najbliższą drogę. Przeszukujące snopy nawigacyjne to opierały się, to lizały burą skałę, a gdy miały sposobność, sięgały na kilometry w głąb nieco zielonkawej toni. Wkrótce wąwóz, w który byli wniknęli nasi eksploratorzy, począł się zacieśniać. Grzbiety po obydwu stronach wystrzeliły ku zenitowi, by w nieodgadnionym momencie zespolić się w jedną twardą opokę. Zdawało się, że ściany znów biegną ku sobie. Porastające je trawy wiły się lub kładły w wyniku wzbudzonego przepływem jednostki wodnego prądu. W najwęższym miejscu uwijały się pośród złomów setki robotniczych ciał. Kuli i drążyli kamień, który stale tutaj wzrastał, jakby przejawiając rozumną tendencję zaczipowania przejścia. Etatowi górnicy znosili urobek w workach do pływających wagoników, a te, sterowane zdalnym parowym zaworem, odwoziły z mozołem odkuty kamień w nieznanym kierunku dennym.

– To wcale nie znaczy, iż ten tunel dokądkolwiek prowadzi – referował znudzonym tonem Molier. – Może być ślepym końcem, zaułkiem bez wyjścia. Główna reakcja zachodzi w przestrzeni złożenia, przenikania się warstw różnych cieczy, których oryginalne pochodzenie powoduje powstanie prądu wstępującego Necrolotum. To on przenosi obiekt do nowej destynacji, co gorsza niekoniecznie znanej i niekoniecznie umożliwiającej szczęśliwy powrót.

Robotnicy dwoili się i troili. Z daleka można było rozpoznać podwodne, kolorowe turbany, z czego wywnioskowałem, że mieliśmy do czynienia z tanią siłą roboczą zatrudnioną jeszcze w kopalniach Ratnapura, prywatnej własności brata pana Moliera na Cejlonie. Mistrzowie zmianowi teraz najwyraźniej czuli się pewni swej roli i wiele jednoosobowych descenderów grawitacyjnych pilotowało nas w przeprawie. Taki gigant jak „Di Sollo” z trudem przeciskał się poprzez stale rozszerzaną, lokalną szczelinę Necrolotum. Podróż na Europę zabrała mu nie więcej niż pół godziny. Przeskok wodny zawsze był lepszy od nie wiadomo jakiej kosmicznej tułaczki i kłopotliwych zmian orbity.

– Panie Ocearusie, czy to aby nie jakowaś fenomenalna starożytna gwiazdna kultura jest odpowiedzialna za budowę owej magicznej transportacyjnej dziury umożliwiającej przeskok przestrzenny? – zapytałem, absolutnie zdumiony genialną funkcjonalnością bramy.

– No wie pan! Trudno mi odpowiedzieć na tak postawione pytanie – odparł dobrodziej poważnie zdenerwowany wykonanymi pracami. Widać było, że Von Settler nie tracił czasu i w kwestii łączności międzyplanetarnej odnosił coraz większe sukcesy.

Ocearus, sącąc leniwie whisky, spoglądał przymrużonymi ze zmęczenia oczyma na krajobraz za wielkim iluminatorem. Zapytany o powód tego stanu, machnął w zniecierpliwieniu ręką.

– Mniejsza o to, panie De Waay. Nie podoba mi się i już. Tak się nie czyni nawet w kolonialnym afekcie. Zbyt mało rozumiemy z otaczających nas dziwów. Nie stać nas na żadne wojny, na żadne irracjonalne podkopy. Nadal zbyt mało wiemy. Szkoda, że niektórzy tego nie rozumieją.

– Ma pan na myśli zniszczenie struktur pierwotnych?

– A jakżeby inaczej? – kontynuował już bardziej ożywionym tonem. – Wraz ze znakomitymi naukowcami hinduskimi i elitą innych braminów postawiliśmy tezę o pochodzeniu naturalnym Necrolotum. Oto sama wszechobecna Gaja w swym trudzie zakładania organicznych związków logicznych nie jest ograniczona do ziemskiej kuli, ale rozciąga swe panowanie na całe lokalne i dostępne Uniwersum. Widzi pan, pewne nieznane szerszej publice teorie hinduskiej wedy zgodne są z tendencją nauki współczesnej i wspierają teoretycznie słuszne twierdzenie o wbudowanych predyspozycjach dla życia biologicznego, tak zwanych pryncypiach antropicznych.

– Mówi pan o dominującej w Uniwersum tendencji do wspierania zjawisk życia?

– Tak, oczywiście, o tej. Wie pan doskonale z literatury fachowej, że to już od zarania powstania świata, jeszcze w fazie wielkiego wybuchu pojawił się wodór. A była to już połowa składników wody – płynu, dzięki któremu tak znakomicie prosperujemy: wytwarzamy ciepło, metabolizmy i w końcu myśli. Jesteśmy jak ta kropla oceanu przemierzająca samotnie przestrzeń lądu. Zraszany deszczami twór mający początek w oddechu oceanów. Od samych pradawnych początków nasze korzenie prowadzą od i do wody. Jak się okazuje, narodziliśmy się z bytu wszechogarniającego. Nasze życie nie musi poddawać się przypadkowej kosmicznej panspermii, ale kontaktowi powszechnemu i świadomemu poprzez magię wody.

Zamilkliśmy, chłonąc z nagła wyłaniający się obraz. Wieczne lodowce na niebie Europy świeciły własnym światłem. Zatapiały wielkie pływające miasto w cudownym miodowym świetle. Wokół swobodnie pływali ludzie. W dali rozbłyskiwały światłami inne europejskie miasta.

Zauważyłem, że nie tylko my podziwiamy ten cudowny, roztaczający się coraz szerzej krajobraz. Wszyscy obecni jęknęli w admiracji tego jedyne, świetnego ponad dziwami, podwodnego księżycowego pejzażu.

Ujrzałem miasto wznoszące się wysoko ponad lasem gigantycznej wysokości wodorostów europejskich. Niczym rzucone z rozmachem gigantyczne koło zabudowanej blokami mieszkalnymi konstrukcji płynęło spokojnym kursem ku południowi, gdzie dostrzeżono bodaj nie dalej niż tydzień temu gęste chmury

fitoplanktonu pożywnego tak dla ludzi, jak i domowych zwierząt: harpii, tuarami i fuildorów.

Ze zdumieniem oglądałem wznoszące się na wysokość często i kilometra kamienice czynszowe opasane girlandami wykutych mosiężnych kratownic, klamer, zapieć i złotych na nich kwiatów. Opierały się o siebie przepięknymi podwójnymi gzymsami, zapewne korynckimi, o morskim akcencie zdobniczym. W większości przypadków spajały owe wysokościowce mosty podwójne i potrójne, ale nie będące pomocą w pokonywaniu bariery, lecz miejscem na szerokie ławy, mównice i trunkowe stoły, skąd jak z potężnego balkonu można było podziwiać nieuporządkowane, aczkolwiek urocze komunikacyjne arterie. Pędziły po nich dorożki przypominające raczej szybkobieżne zakryte rydwany o opływowym wyścigowym kształcie, ciągnięte przez cofniętego w rozwoju chemią retro ewolucyjną konia biegacza lub szkółkę ryb wyścigowych typu ostroboka europejskiego – stwora o kształcie trójkątnego latawca, masywnego, dwumetrowego rybnego zbira o trzech nienawistnych paszczach w każdym rogu i trudnym do określenia ruchu własnym.

Co do konia – miast nóg miał ów rumak cudownie giętki tułów, miast końskiego włosa w ogonie energiczną płetwę dającą zwierzęciu nie tylko potężnego kopa kinetycznego, ale i stery.

Zdarzały się i tradycyjne karoce, ale te szły spokojnym rytmem tuż przy dnie, podobne w onym powolnym przesuwaniu do żerujących ślimaków. Wszystkie owe maszyny podrózne spoczywały na podwoziu opartym o wypełnioną powietrzem lub wodorem mosiężną beczkę nośną. Starczyło do niej podpompuwać gazu, by pojazd od razu mógł chodzić na niedozwolonych wysokościach. Bowiem przestrzeń ponad miastem, umownie zwaną niebem, zajmowały inne, znacznie potężniejsze maszynie.

Majestatycznie płynęły tam wypełnione na poły wodą, na poły powietrzem gigantyczne blaszane sterowce. Miast iluminatorów posiadały szerokie na kilkanaście metrów otwarte okna. Ich szczyty zdobiły też widokowe balkony, pełne ukwieconych donic i zdobionej kraty chroniącej przed ławicami ryb. I jeśli manewrującemu sternikowi przyszło do głowy lądowanie, nie zawahał się pojazdu w kontrolowanym ruchu zatopić i na lotniskowym pasie unieruchomić kotwicą porzewiałą i pękata od narastających szybko warstw ostrych muszli. Wtedy przestrzeń wypełniały chmury wypuszczanych gwałtownie srebrzystych bąbli, natychmiast rwących z sykiem ku odległej oceanicznej powierzchni pokrytej przeźroczystym od spodu lodem.

Jeśli chodzi o ludzi, to przeważali na ulicach biali dżentelmeni i Azjaci z najlepszych domów. Chodzili schludnie ubrani w gumowe płaszcze i kurty. Na głowach pojawiały się kapelusze najrozmaitszej modły, z blaszanymi wkładkami i mosiężnymi daszkami w cylindrach, z nalepkami wodnymi na stożkowych nakryciach azjatyckich. Pozwalali



sobie na rejsy w najwyższe kondygnacje, co napawało mnie nie tylko zdumieniem, ale i zachwytem.

Przecież w marzeniach nie pomyślałem o życiu tak łatwym i przyjemnym. Oto panicz podwodny, nie tylko że nie musiał palić w kominku i drżeć na widok pogodowej fochy, ale ciesząc się stałą temperaturą, mógł kontynuować życie beztroskie i powolne. Najbogatsi z nich posiadali w apartamentach pokoje powietrzne, w których urządzano huczne bale i poczęstunki. Nierzadko grillowano tam świeżo pochwycone ryby i skorupiaki. I chociaż formalnie było to zakazane, konsumowano w nieprzyzwoitych ilościach pokarm stały, a następnie łąjno pokątnie w mobilnych, nielegalnie płatnych toaletach wydalano.

Pan Molier rozbudził mnie nagle z rozmarzenia.

Potrząsnął me ramię i powiedział:

– Von Settler obiecał panu pomoc w poszukiwaniach dziewczyny. Proszę zatem udać się do oficera sztabowego po kartę pieniężną i zlecenie podróży na Kallisto. Trzeba panu kuć żelazo póki gorące.

W wielkim szpitalu na przedmieściach pływającego miasta, do którego zakotwiczonego pojazd, poddano nas na pisemny wniosek kapitana darmowej operacji wypełnienia ciała szklanego oka dodatkowym zestawem kryształów. Byłem zdumiony efektem, który objawił się zaledwie w cztery godziny po zabiegu. To samo się tyczyło mazi lewitacyjnej, którą natarto mi skórę. Sprawiała wrażenie dodatkowo zaaplikowanej gumy. Byłbym poszedł o zakład, że gdy tylko zechcę, będę potrafił bez użycia rąk czy nóg polatywać jak balon – to jest pływać niczym akwariowa złota rybka, mając w użyciu dowolnej pojemności pęcherz pławny.

Kapitan zaraz potem ogłosił w lecznicy listowną konskrypcję. Było tu mnóstwo wojskowych bez karty powołania, a on poszukiwał ochotników do powrotu na Ganimesesa. Miała takowa ekipa się tam udać na pokładzie mniejszej, pancerniej jednostki. A więc na zebraniu zaciągowym w hali ludowej, w piwnicznym pokładzie miasta, natychmiast podźwignąłem rękę, proponując kandydaturę własną.

– W przypadku gdybym utracił narzeczoną, pragnę mą rozpacz przełożyć na męstwo – wyjaśniłem na stronie zapisującemu nazwiska oficerowi Stantonowi, który przepatrzył mnie najpierw w roztargnieniu, a potem w zdumieniu. Nie w smak mu było widocznie czyjeś lekkomyślne bohaterstwo, bo się kwaśno skrzywił. Wzruszył potem ramionami, poprawił binokle, po czym się godnie na siedząco wyprężył.

– Po próżnicy tam nie pójdziemy – stwierdził. – Jak nic zbombardujemy kilka siedlisk ningonów. Wtedy srodze zapłacą za zniewagę dopuszczenia się gwałtu na niebodze.

– Da się je znaleźć?

– Czemu nie? Mieszka ich tam przy dnie tysiące.

Ujrzałem, jak podnosi się na sali lord Duncan. Jakoś nie potrafił mnie pozostawić własnemu losowi. Ucieszył mnie tą decyzją. Zżyłem się z łowcą, bo nie szczędząc sobie i zdrowia, pierwszy stawiał własny los w ryzyko.

– Misja to nieco niebezpieczna – ostrzegł nadchodzący od strony biur kapitan. – Otóż nie dalej jak miesiąc temu niewielka grupa zwiadowcza zaginęła w rejonie wspomnianych lokalizacji obcych. Zbyt długo przebywają tam bez zaopatrzenia mineralogicznego. Meldowali się na drodze radiowej. Początkowo wystąpił u nich świąd, miejscowe stwardnienie skóry, bóle stawów, by przejść w poważne konsekwencje, takie jak uszkodzenia układu nerwowego lub okresowy paraliż. Z zaburzeń dekompresyjnych, wynikłych z braku minerału, może wkrótce rozwinąć się pełna choroba ciśnieniowa kończąca się ślepotą, martwicą kości lub nawet śmiercią.

– To znaczy, że i my jesteśmy w owym niebezpieczeństwie?

– Reynash poddał wasze organizmy działaniu zbawczych mikstur o miesięcznym okresie ważności. Wystąpiło wynurzenie się i aktywacja narządów z dawien dawna odrzuconych. Możecie się po podobnym czasie spodziewać procesów odwrotnych i samoistnego, śmiertelnego w tych warunkach powrotu ciała do stanu lądowego. – Raptem przestał i udając, że się rozgląda, zapytał: – Szukam profesora Ocearusa, ale coś nie umiem dobrodzieja znaleźć. Nie wiecie przypadkiem, gdzie on jest? Chcę, żeby dołączył do mej elitarnej grupy dowodzenia.

– Nie wiedzieliśmy.

– A więc nie pozostaną owe zmiany na stałe? – nie wiadomo czemu pytałem z ulgą.

– Starożytne wedy wspominają o pismach tkankowych, które mogą być genialnym zapisem matki natury niejako programującym rozwój życia. Nikt ich jeszcze nie widział. Kod ów mógłby być odczytany w innym pożądanym przez operatora porządku. To tłumaczy łatwość owej metamorfozy.

– No dobrze, ale skąd filozofowie antyku mieliby o tych zapisach biologicznych wiedzieć, skoro dopiero niedawno, bo w roku 1858, Karol Darwin i Alfred Wallace odkryli i wyjaśnili w swojej opublikowanej pracy „O pochodzeniu gatunków” procesy ewolucyjne. Któż przed tysiącletkami potrafił tak wnikliwie i cierpliwie obserwować przyrodę?

– Byli tacy mędracy w starożytnym Kaszmirze – rzucił po chwili oficer konskrypcyjny Stanton, podczas gdy Von Settler rozglądał się za naszym profesorem. – I już wtedy manipulowali gruczołami zezwalającymi na tworzenie całych nowych organów przydatnych w bitwach lądowych. Proszę pamiętać, że ciało ludzkie naturalnie nie wytwarza owych substancji i nie alternuje tak łatwo kodu genetycznego. Nawet przebywający w lasach dennych Atlanci z trudem odnajdywali komponenty roślinne zezwalające im na przeżycie wahań przystosowawczych, to jest trudności w znoszeniu jowiszańskich pływów, a już o pradawnych narządach i ich moderacji współczesnej z przyzwoitości nie wspomnę. Wszystkiego nauczyli się na nowo od nas. Ludzie na Europie stworzyli bowiem cały przemysł produkujący nie tylko zestawy mineralogiczne dla ludzi i Kallistian, ale i szkła rozpuszczalne pozwalające na transport dźwięku na odległość, ślizg ostrza broni czy natychmiastową, zrozumiałą dla obydwu stron wodną translację myślową.

– Ślizg broni?

– Niech pan nie mówi, że nie wie. W przypadku użycia broni białej rozpuszczamy w ośrodku wodnym hirokopy. Mazie te automatycznie idące od ostrzy zwielokrotniają śliskość, a ta umożliwia zastosowanie niebywałej siły wzmocnionej hydrauliką wodną o niemal maszynowej szybkości uderzenia. Dla nawykłego do walki wręcz Ziemianina nie ma prawie różnicy, czy zabija w sztychu powietrznym, czy wodnym, tyle że

zwielokrotnia moc ciosu o hydrauliczne wspomaganie pracującej na jego zawezwanie cieczy.

– Zaraz, powiedział pan, że zestaw nurkowy działa tylko na określony czas, czyżby więc moja Abelia była narażona na zmiżdżenie ciśnieniowe?

– Niestety, na to wygląda. Jak wiem od profesora, nie minęły jeszcze dwa tygodnie od czasu pierwszych symptomów pojawienia się skrzeli na szyi hrabianki – wyjaśnił ciągle jeszcze obecny przy rozmowie kapitan. – W aplikacji początkowej pierwsze porcje wyzwalacza regresywnego nie wystarczają na długo. Nie wiemy też, w jakim rodzaju ośrodka wodnego przebywa panna. Mogą tam być rozpuszczone substancje, które przyspieszą regresję lub też wydatnie spowolnią. W najgorszym przypadku pańska wybranka już zupełnie pozbawiona możliwości podwodnego oddychania gdzieś się na boku udusi.

W moich oczach musiała wybuchnąć taka rozpacz, że wszyscy obecni się przerazili.

– Niech pan zaraz weźmie się w garść – rzucił lord Duncan, mocarnym uściskiem chwytając mnie za ramiona i ganiąc kapitana za szczerość. – Wyzwolimy z niewoli ningonów pannę. Widziałem tu na ścianach wiszące świetne sztuki broni podwodnej. Są sztucery na grube jak palec rolguły. Doprawdy, z takim sprzętem nie zginiemy. Głowa do góry.

– Proszę przypomnieć młodzieńcowi historię naszych świetnych lewitujących Gurków. Wojownicy ci bowiem, pomimo iż pozbawieni wielotygodniowego wsparcia minerałów, potrafili przetrzymać oblężenie dziesięcioletniej armii i wyjść z opresji z honorem.

– Lewitujących w wodzie? Przecież to nonsens – stwierdziłem nie bez racji.

– To dlaczego poddał się pan lewitacyjnej aplikacji, skoro w jej skuteczność nie wierzy? To są obecne standardy. Lewitować można w rzadkim, gęstym i bardzo gęstym ośrodku. Sam pan może doświadczyć stumetrowych warstw dennych mułów. Co wtedy? Wyplynie pan tak łatwo? Czyż nie lepiej umysłem pokierować ciało? Moi żołnierze nie obawiają się nawet miękkich skał osadowych, które dziwnym trafem potrafią przeniknąć. Zajmuje im to tygodnie, ale jednak. Nauczmy pana sztuk wszelakich. Wpierw z pomocą wprowadzenia wojennych mazi na ciało, potem poprzez naukę kontrolowanego powstrzymania prądów życia.

Dałem już spokój, o nic nie pytałem, przyganiony rozdrażnionym wzrokiem lorda Duncana.

– Kiedy odlot jest przewidziany? To znaczy chciałem powiedzieć: kiedy odbijamy?

– Wpierw musi pan uzyskać pozytywną odpowiedź finansową. Wróżba Kallistian powinna być czysta i zrozumiała, a wykonają oni prawidłowej jakości pracę tylko sownie wynagrodzeni. Otrzyma pan pakunki smakowo-zapachowe, które zaprowadzą nas do panny. Tyle że powrócić pan musi z Kallisto cały i zdrowy.

Nasz niewielki pojazd podwodny mieszczący na pokładzie najwyżej dziesiątkę w większości hinduskiej załogi, cztery przenośne działa polowe i dwie odpinane śruby napędowe, udał się poprzez prądy Necrolotum wprost na Kallisto. Sporo tu było jam i wykrotów zamieszkałych przez przedziwne stwory, zupełnie niepodobne do stworzeń, które znaleźliśmy z Ziemi, wszystkie w tym polu osłabłej grawitacji nadmiernie rozrośnięte i ruchliwe. Dochodziły jeszcze trucizny, którymi w nas tryskały lub elektryczne wyładowania powodujące szalone wskazania przyrządów.

– Czyżby wypełnianie przestrzeni załogowej wodą stało się już regułą? – zapytałem pilotujących pojazd motorzystów.

– Zwykle staramy się zbytnio nie igrać z przeznaczeniem. Oddychanie powietrzne jest nazbyt delikatne i kosztowne. Może dojść do zaburzeń reakcji i zakłóceń pracy kory mózgowej, których w ogóle nie znajdzie pan przy oddychaniu skrzelowym. Poza tym na stałe jest rozwiązany problem nie tylko picia, ale zarówno wyżywienia, jak i delikatnego, ciągłego wydalania – wyjaśnił towarzyszący nam starszy oficer pokładowy Eric Linfeld.

– Mój Boże... I do tego dochodzi?

– A jak pan sobie wyobraża życie?

– Przyznam, że dopiero teraz się w pełni zorientowałem.

– No cóż, my wszyscy, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, co dzień automatycznie polykamy kilograpy planktonu – opisywał obrazowo Eric. – Dbamy wobec powyższego o wyżywienie załogi. Dyskretnie wprowadzamy pokarm z silosów do obiegu pokładowego, gwarantując zdrowy i szybki metabolizm, bo po tym przełkniętym na zewnątrz nie może się pan spodziewać żadnych gwarancji. Raz będzie mięsisty, raz rzadki i cuchnący. Stąd wielu z nas nosi na twarzy filtry. Maski mają znaczenie nie tylko funkcjonalne, ale i magiczne, bo odstraszaają myślą bakterię niesymbiotyczną, agresywną. I chyba dlatego tak bardzo polubiliśmy Kallistian, którzy w onej sztuce przodują i hołdują usprawnieniom.

– Słyszałem, że filtry służą również do zaciemniania jaźni.

Eric uśmiechnął się tajemniczo.

– To prawda, ale tylko niektóre. Nikt z oficerów nie lubi, gdy ktoś chowa się ze swymi opiniami. Widział pan w rogach korytarzy umieszczone mieszadła roztworu soli fonicznej? Albo system parowy z dość sporym zaworem rozpryskowym?

– Coś zauważyłem – przytaknąłem, choć nie byłem pewny.

– Cały okręt podmorski jest objęty komunikacją ośrodka wspólnego. Wszyscy zaledwie po spojrzeniu się rozumiemy. Przez lata nad tym pracowaliśmy. Nikt nie

rozpytuje, jak pan z imć lordowską mością, o szczegóły gwintów atlantydzkich, technicznych ulepszeń lub danych geograficznych dostępnych w każdej przestrzeni kajutowej.

– Wspólnie myślimy?

– No, będąc całkiem szczerym, muszę nadmienić, że kadra oficerska chroni swoje rozmowy w innym roztworze, nieco rozrzedzonym, jednak obecnym w tej samej przestrzeni. Ale, ogólnie rzecz biorąc, tak – jakbyśmy dysponowali mózgiem o zgranej załogowej potencji. Tylko pan profesor Molier się z tej dobrze zorganizowanej puli jaźni wyłamuje i pozostaje zaciemnionym.

Umilkłem zawstydzony.

Z terenów dzikich Necrolotum przedarliśmy się przez na poły zawałone gruzem obszary Niecki Crivolskiej. Trzeba wiedzieć, iż stąd brały początek kolonizacyjnego marszu różnego rodzaju galaktyczne mięczaki, ślimaki i stonogi; nie wspomnę o masie bakteryjnej i planktonie, bo w milionach lub miliardach osobniczej braci zapewne penetrowały wszelkiego rodzaju nisze i pustostany napotkanych w kosmosie globów. Bowiem skały tu wyglądały na naruszone przed eonami dynamitem, w czym ręka ludzka bynajmniej nie brała udziału.

Przepełnęliśmy szczeliny i dotarliśmy na tereny otwarte równiny Soth witani jedynie pustką i pomroką. Stamtąd okręt mógł mocno przyspieszyć. Mimo to wolno weszliśmy w głębie najpiękniejsze, jakie dotąd spotkałem. Pochwyciły mnie dreszcze wzruszenia i emocji. Jeszcze tydzień temu nie wymarzyłbym sobie lepszej nagrody.

Nietknięty, naturalnie zbalansowany świat oceanów Kallisto wypełnił mą duszę samą radością. Tysiące ogromnych rozmiarów amonitów o krągłościach cudownych i tęczowych barwach sunęło w zgodnym rytmie ponad rozfalowanym kwieciami lasów wodorostów podobnych do rozłożystych paproci. Sztuki te osiągały wielkość czynszowej kamienicy i prędkość sporego parowca. Widziałem u wylotu muszli całkiem sprytne oczy, a ze sposobu zachowania wywnioskowałem, że niewiele im brakowało do poziomu reprezentowanego przez istoty rozumne. Co prawda nie budowały majątku trwałego, nie brały udziału w giełdach ani militarnych zmaganiach o teren, jednak potęgę reprezentowały znaczną, bo widziałem w milionach sztuk wędrującą, dobrze zorganizowaną kolonię. Niektóre z nich posiadały utwardzone kunsztownym metalem muszle, co dowodziło u nich istnienia potencji wytwórczej płatnerza.

Oglądałem też krótkie żyły pędzącej zygzakiem czerni. Widok przedstawiała okropny, magnetyzm budziła złowrogi oraz fale odległej, całkiem sporej statycznej elektryczności. Jak mi wyjaśniono później, należały do gatunku przybyłego tu z zewnątrz, z lokalizacji nieznanej, ale na pewno odległej o całe tysiące lat świetlnych.

Trudno mi było w to wszystko uwierzyć lub objąć nawet na krótko myślą.

Oto oczy po przebytej niedawno operacji, a potem kuracji natryskowej żelami wzmacniającymi, mimo że jeszcze mocno obolałe, wychwyciły tutaj dzienną porę. Nieprzebyte mroki ustąpiły na rzecz stonowanego, jedwabistego światła przelewającego się poprzez załamania skał, przeczesującego arealy porośniętej niskopienną roślinnością dennej sawanny. Światło nadchodziło wprost z zenitu. Mogło to być nasze nieszkodliwe w takich dawkach promieniowanie słoneczne bądź sam monstrualnie rozrośnięty Jowisz odbijający blaski z mocą kolosalnego zwierciadła.

Gdzieś w oddali zamajaczył zarys wznoszącego się niebotycznie górskiego łańcucha i to na nim rozbłysły uczone niczym girlandy miasta i mury niedobytej twierdzy Jaram Hollram. Tam skierowaliśmy dziób naszej rozkolebanej od zmiennych prądów łajby.

Zatrzymaliśmy okręt z daleka od głównego miasta. Zawisł nad polem leśnych cakarii. Wodorosty olbrzymie były dość rzadkie na jowiszowych księżycach, tutaj jednak osiągały rozmiary dwustu i więcej metrów wysokości, i rozpiętość do trzydziestu.

Z daleka ujrzeliśmy płynący do nas poczet.

Postaciom towarzyszyły ryby drapieżne idące w jakimś oddaleniu, jednak czujne i złowrogo łypiące potrójnymi ślepiami.

Kallistianin, którego poznałem jako pierwszego, przypominał raczej istotę rybną. Posiadał słabo wykształcone narządy chwytne zwane *toros* i głowę solidnie opancerzoną koroną z kości. Przestraszyłbym się na sam jego widok, tyle że porządne ubranie, które nosił, wiele dobrego o nim mówiło. Przypominało niedbale zarzucony frak gumowy z wypchanymi kieszeniami, w których jegomość nosił broń, amulety i raczej standardowe instrumenty miernicze. Pod spodem fraka ujrzałem bezbłędnie odprasowaną, minerałem fosforowym lśniąca koszulę z wodorostu zwanego tu *juumu*, krótki krawat gordyjski i wszędzie obecne na rękawie spinki; jak gdyby funkcją ich nie było spajanie krawędzi, a ich wielokrotne zdobnictwo. Podobno Kallistianie ubierali się tak tylko dla nas, ludzi, dla wizualnej osłody, bo sami w społeczeństwie propagowali zdrową dla podwodnej skóry nagość, okazałe ujędrnienie i prężną seksualność.

– Witam czcigodnych – wyrzekł Bastogon. Zrozumiałem, bo parą własnych *torosów* uczynił znak rozsypania prochów fonicznych. Dla niewtajemniczonych dodam, iż każda szczypta upuszczonych pudrów czyniła w środowisku wodnym na długie godziny telepatyczne nasączenie, w którym powstawały krótkookresowo sprzęgnięte kanały, podobne w zasadzie do ciekłych neuronów. Błyski świetlne idące od tego były przerażające. Jednak mogły poszczycić się taką stroną praktyczną, iż łączyły nas wszystkich we wspólnej świadomości.

Dla dobrego samopoczucia ustawiliśmy się wertykalnie, co umożliwiły nam rozwinięte w fazie obrotowej płetwy łopatkowe. Doprawdy nie wiedziałbym, jak się w tym świecie obrócić, bo trudno było czasem z oddali określić położenie brzegów lub dna, a samo ciążenie ze względu na jego księżycową słabość mnie dezorientowało. Dlatego zdecydowałem się w tej kwestii naśladować i zaufać gospodarzom. To oni doskonale odnajdowali się w relacji góra-dół. Mógł to być okręt, budynek czy pływający wielki porost, którego z racji braku doświadczenia nie dostrzegąłem. Ważne, by w konwersacji do mówiącego ustawić się godnie.

– Księżyc Kallisto posiada niewiele miejsc, w których stężenie soli fonicznej jest niezadowolające – dodał gospodarz, odczytując niewyraźny werbalnie prąd moich



myśli. – Rozsypaniem tylko restytuowałem czułość lokalnej przestrzeni. Ale swobodnie się pan tutaj dogada z każdą odmianą życia biologicznego. Z rybami i dennymi płazami tylko trzeba uważać. Zazwyczaj, natrafiając na osobnika większego od siebie, próbują kolektywnej hipnozy lub usypiania gnilnego. Słowa też, mimo że niezrozumiałe, mogą bardzo nieprzyjemnie wpływać na konstytucję jaźni, powodując mięśniowe zwiotczenia i apatię. W najbliższym sąsiedztwie prądów Necrolotum jednak wskazane jest zastosowanie wygłuszenia, gdyż niektóre rozmowy woda mogłaby przenieść w lokalizacje o lata świetlne odległe i niekontrolowane. Kto wie, jakie lichy stamtąd by przyciągnęły? Stałby się pana głos słyszalny nie wiadomo gdzie i tym samym niebezpieczne mogłyby nadejść dla mówiącego wiąchy.

– Wiąchy?

– Słowa rzucane na wodny wir, typu: „zgnij, zgnij, zgnij, w rozkładzie przepadnij”. A te wiadomo: robią w duszy i ciele dziury gnilne gorsze od rybich.

– Czyżby tak daleko w gwiazdy sięgała owa komunikacja?

– Nie można tego wykluczyć, panie De Waay. Sam się dobrodziej wkrótce przekona co do wagi tych odkryć i mocy przeniesień. A teraz proszę okazać mi ów czek otrzymany od instytucji finansowej...

Zapatrzył się biedak na liczby i przez moment nic nie mówił. Już obawiałem się, że kwota mu się nie spodobała, bo wahał się i podlegał coraz dłuższej rozterce. Wreszcie przemówił, zwracając się do pozostałych:

– Proszę pozwolić nam się oddalić. Udamy się z panem poszkodowanym do miejsca tajemnego. – I tu znacząco się do obecnych rozdziawił, a mnie pociągnął w odmęty.

Zanurkowałem za nim bez zastanowienia. Odczułem silny prąd jego rozpędu, którym mnie niby postronkiem ciągnął. Najpewniej z uprzejmości one wiry sam wytwarzał i ułatwiał mi prowadzenie kursu poprzez szczeliny i najciaśniej ułożone labirynty głazów. Gdy już dotarłem na miejsce przeznaczone, stanąłem niepomiernie zadziwiony maszyną tu w piasku zaparkowaną, która płataninę rur z siebie wypuszczała i zagrzebywała co chwilę w każdym z wystających kopców lub w mulistych podwodnych kałużach.

Okazało się, że mam do czynienia z urządzeniem do wypośrodkowanej wróżby lokalizacyjnej posługującej się czytałem myśli i zamiarów.

Kallistianin przywiódł mnie przed okazały pulpit, na którym widniały wskazówkowe zegary i dźwignie, i tam zaczął wypytywać o wiek ofiary, rozmiary cielesne ud i piersi, kolor oczu i wielkość obwodową otwartych ust. Podawałem owe dane automatycznie i bezbłędnie. Pytał, co lubiła hrabianka robić w czasie wolnym od zajęć i jakich używała perfum. Tu podał mi zestaw porównawczy na palecie telepatycznej wyjątkowej krasy. Interesowało go również, czym delectowała moja luba podniebienie.

Słowem – śledztwo całe przeprowadził, jednocześnie przełączając za każdym razem druty, ustawiając kolory na skalach i zmieniając odpowiednio pokręta w ich położeniach finalnych. Szukał na wszystkich możliwych zakresach.

– Do jakiej pracy maszyna będzie zaprzęgnięta? – spytałem, bo w jego przydługim milczeniu samotność już mi doskwierała. Lęk mną targał coraz sroższy, a jeszcze bardziej wyrzuty sumienia, niecierpliwość i gotowość do akcji.

– Otrzymuję przy pomocy węzłów komunikacji chemicznej wszelkie dane zmiany składu zupy wodnej. Hrabianka, najpodobniej do siebie, wybiera takie same zapachy i smaki. Niewiele znajdzie pan pośród ningenów dennych osobników tak dbających o siebie. Zazwyczaj smród i posmak kałów wodnych od nich bije, charakterystyczny dla rozkładającego się od dawna mięsa. Już wiem, iż pana wybranka nadal przebywa na Ganimesesie.

– Czyli z oddalenia potrafi pan wysledzić najdrobniejsze zabrudzenia? Nawet podwodne perfumy?

– Supersensorycznością da się wydolność moją nazwać. Z przekonaniem twierdzę, że hrabianka Abelia żyje. I że phologhony<sup>49</sup>, zwane przez was, ludzi, ningenami, więżą hrabiankę dla celów prokreacyjnych. Obsesję bowiem mają na punkcie mieszania gatunków.

W tym momencie poczułem, że brakuje mi powietrza. Jakbym nagle tonął. Gospodarz z trudem doprowadził mnie do porządku.

– Jakże taki potwór miałby spółkować z drobną dziewczyną? – pytałem, niemal płacząc. – Przecież nie da się o tym nawet pomyśleć?

– A potrafią, potrafią... Sławę uzyskali w umiejętności rozkochania. Wiele znam istot niewielkich pochodzących z dna ganimesedowego, które z tego obcowania z gigantami czerpią niezły grosz i sporo przyjemności.

Znów, jakby mi ktoś w pysk strzelił. Przecież nie ona! Ta drobina mi droga i w odmętach z miłości do mnie zgubiona!

– Przenigdy na to nie pozwolę! – ryknąłem w myśli. – Niech pan czym prędzej mnie do niej prowadzi!

– Poprawię wszelkie wykresy, wyprowadzę funkcje substancjalne i wkrótce dostarczę waszej oficerskiej kadrze wiąchy koordynatów jej przybliżonej lokalizacji chemicznej. Poprawić wynik mogą jeszcze diagramy horoskopowe, za które będzie trzeba uiścić dodatkową należność.

Wzruszyłem ramionami, bo żadnych pieniędzy europejskich nie posiadałem, a kont też nikt mi nie otworzył. Na to Bastogon rzekł:

– Nawet jednak najdokładniejsze wskazania mogą doprowadzić pana do ukochanej najbliżej za rok.

– Toż ona zemrze w tym czasie, po tysiackroć zbezczeszczona – jęknąłem, niemal sparaliżowany od cierpienia.

Dopiero później dobrotliwie mi imć jegomość wyjaśnił, że rok kallistański mierzony jest na innej niż słoneczna orbicie. Pokazał mi też sprzęt obserwacyjny zainstalowany w okazałym bunkrze na niewielkim wzniesieniu. Bunkier ten łączył się z innym, jeszcze większym, otwieranym okresowo, a wzniesionym w znoju i bezdechowym trudzie na odległej powierzchni księżycowej. Tam złożono lunety w kształcie potężnego peryskopu podążającego na ośmiu żeliwnych kółkach po okręgu na wybetonowanym placu. Sprzęt łączyły z operatorem długie na tysiące metrów liny i łańcuchy, ustawiające okular pod kątem precyzyjnym do obserwowanego obiektu lub powłoki chmur. Zaproszony do podziwiania widoków, zasiadłem do okularu dennego z bijącym sercem. Obok załączono kołowroty, którymi sprawnie kręcił obecny tu oficer stały.

Dał się słyszeć okropny dźwięk wybieranych łańcuchów.

Jakby kotwicę ciężko sprzęt dźwigał.

Przetarłem zamulone szkło.

Zajrzałem.

Oto ujrzałem widok przepiękny. Mistrzowie malarscy pękliby z zazdrości. Moi nowi znajomi opisywali mi wszystkie rodzaje powłoki chmurnej widocznej w warstwach atmosfery bliskiego Jowisza. Miałem je jak na dłoni. Z ich skomplikowanego układu, kolorytu i rozbiegania granicznej linii odczytywali znaki i przepowiadali przyszłość. Dedukowali również z układów księżycowych zlodowaceń i powierzchniowych wysięków nieodległej Europy, co się w najbliższych dniach święci. Oficer obserwacyjny zapytany o moje widoki na przyszłość oświadczył powściągliwie, że mogę być pełen nadziei. Ale nie chciał mi o szczegółach opowiedzieć. Karnet mój bowiem, zbyt skromny, nie opiewał na taką usługę.

Odchodziłem od instrumentu niechętnie. Takich cudowności obrazu się nie spodziewałem. Jowisz świecił najpiękniejszym pośród planet światłem. Wypełniał tutaj niemal całe niebo kobiercem kolorowych, majestatycznie idących chmur. Mógłbym tak siedzieć i podziwiać go całą wieczność.

---

<sup>49</sup> Termin fikcyjny oznaczający gigantyczne stworzenia myślące – zwykle mityczne – egzystujące w tym alternatywnym świecie.

Powróciliśmy tym samym kanałem na Europę.

Papiery wróżbity, opatrzone znaczkami i plombami, z rąk moich odebrano. Wiąchów w maleńkich dwóch słoiczkach nawet nie pooglądałem, a ponoć krwisty miały kolor i postać, i objętość zaledwie naparstka, i konsystencję smalcu. Oburzyłem się nieco na ów obyczaj, lecz oficer natychmiast na mnie naskoczył, cytując regulacje prawne, że ponoć kopie rachunków mu są potrzebne, że nie mam mieć obaw o spłaty czeku, ale na więcej prezentów nie mam co tu liczyć. A na wszelkie względy będę musiał sobie odtąd solidnie zapracować.

No cóż, zabrałem się do pracy załadunkowej. Na pokład naszej ratunkowej pancерnej łodzi znoszono coraz to nowe sprzęty. Zauważyłem, że coraz lepiej pracował mój wzrok. Z łatwością odnajdywałem się w nowym środowisku. Wieczne dotąd mroki wypełniła blada poświata. Gdybym się uparł, mógłbym w skąpym oświetleniu nawet czytać.

Jakby mnie ktoś w onym czasie zagadnął o zalety życia lądowego, zapewne nie potrafiłbym wymienić żadnej, tak byłem ogłupiały. Nie brakowało mi owych grymasów pogody, destrukcyjnych wiatrów i powodzi. Ciało po kuracjach mineralogicznych uzyskało wręcz rybią sprawność. Skóra jak nigdy wyglądała na zdrową. Od pochłoniętych fosforanów dostała takiego niesamowitego lśnienia, że meble w otoczeniu rzucały cienie. Sama woda była mi bliższa, niż kiedykolwiek była nią atmosfera. Nie tylko pozwalała mi na oddychanie, ale też dokarmiała mnie, chroniła i pielęgnowała. Poprzez zjednoczenie myśli czułem się wspólny wszelkim otaczającym mnie bytom. Doświadczałem zjednoczenia w gigantycznej zupie powiązań i wsparcia.

Owszem, widziałem tu wszelkiej maści drapieżniki, lecz unikały one konfliktów z wszelką formą wyższą czy też stadną. Zdaje się, że to organizacja je przerażała, a nie rozmiar czy uposażenie osobnicze. Wietrzyły kłopot biorący się z groźnej gatunkowej solidarności i na sam mój widok odstępowały, mimo iż nie celowałem do nich z żadnej broni.

Przez najbliższe dni wszystkich ogarnęło jakieś wojenne szaleństwo.

Pan Ocearus w asyście kapitańskich kurierów udał się do siedziby elitarnej jednostki Von Settlera, natomiast lord Bizzard wspólnie z hydrologiem Linfeldem zdecydowali się wziąć udział w ratunkowej wyprawie. To on, lord, zdecydował, w jaki wyposażyc ekspedycję dodatkowy osprzęt poszukiwawczy. Wielkiego ryzyka nie podejmowaliśmy, bo zaraz za nami udawała się potężna flota zdolna rozprawić się z każdym wrogiem i uspokoić go na wieki. Tak wtedy myślano.

Zresztą nie bez powodu.

A zabierano w ładunku floty karnej: piętnaście tysięcy ton bomb idących w głębinę na parowym odrzucie, siedemset torped, czterdzieści rumaków ciągnących armaty na bojach wojskowych, jak również inwentarz żywy, nie mniej groźny od technicznego.

Widziałem też płynącą w równych rzędach, umundurowaną niczym prosto od krawca piechotę nurkową z karabinami i bagnietami. Żołnierze posuwali się dość sprawnie, jakby oprócz płetw pływackich wyrosły im inne z kości ogonowej śruby. Niestety nie widziałem szczegółów, bo woda od tych ruchów potężnych jednostek pociemniała. Wzniosły się denne muły i potargane strzępy wodorostów.

W dokach spotkałem oficerów z kłapami pełnymi lśniących medali. Śmiali się głośno, podkręcali wielkiego podwodnego węża i opowiadali sprośne historie o węzownicach i syrenach oddających się śmiałkowi niby prostytutce. Obawiałem się podejść, ale przy jednym z nich, stojącym z brzegu, zatrzymałem się i ze szczególnym zainteresowaniem patrzyłem, co robił. Stroił on bowiem sporych rozmiarów tyczkę bynajmniej niesłużącą do podpierania, a pełną wokół ciasnej przestrzeni wewnętrznej wszelkiej mechanicznej drobnicy, takiej jak sprężyny, zębunki i druty o różnym przekroju i próbach złota. Nieopodal ujrzałem sporą ilość zasłuchanej rybniej ciżby. Trenował on bowiem wielkie ryby, a te, zahipnotyzowane brzękliwymi tonami narzędzia tyczkowego, odpowiadały zgodnymi pomrukami.

– Każda z tych ryb – mówił po moim uprzejmym nasoleniu fonicznym dzielącej nas przestrzeni – wytwarza napięcie wodne przechodzące w lekki prąd elektryczny.

– I pan nim kieruje?

– I jakżeby nie? Precyzyjniej, niż one same potrafią. Dlatego pójdą za mną choćby do piekła. – Woźnica myślał głośno ze szkockim akcentem, który nie wiem jakim cudem potrafiłem rozpoznać we własnej interpretacji. – Co lepsze, każdy ruch cielesny tej wielkiej ryby wywołuje telekinetyczną reakcję ośrodka. Stąd prąd powstaje ciągnący. Wir porywający masę, którym niczym po nici potrafi owo stworzenie pociągnąć za sobą każdy obiekt. W tym wypadku jest to niewielka blaszana gondola wspomagana wodorowymi bojami.

Tu pokazał mi śliczną, nastroszoną niby długimi igłami maszynę, jakich dookoła sprzętu wojskowego wiele stało zaparkowanych. Powiem szczerze, że byłem zachwycony, zarówno pomysłem, jak i rzemieślniczym wykonaniem.

– Obciążenie nie pozwala jej na ucieczkę ku powierzchni – dodał oficer powożący, gładząc krawędzie gondoli. – I może być regulowana ręcznie.

– A sama tyczka? – zapytałem, wskazując różne wsparte nieopodal o ścianę bogato zdobione drągi, najprawdopodobniej wykonane ze szlachetnych stopów.

– Wykorzystuje słaby prąd elektryczny, który wydzielanymi w indukcji impulsami wpływa na linię boczną ryby. Słucha ona rytmu podszywającego się pod głos stadny,

bo wynosi z drgania, iż to grupa cała na nią oddziałuje, wymuszając rytmy, wzór i szybkość. Drag posiada na końcu żarnik, który wystrzela naprzód długo idący, rozpalony do białości węgielek. Smuga odparowania idąca na flankę wroga jest znakiem wymagającym od szkółki rybnej bezwzględności posłuszeństwa. To ryby wojenne, szkolone od małości do wszelkich bojowych awantur.

– Po czym takie poznać?

– Po numerach bitych na boku i symbolu przynależności rodowej na czole. Najlepsze są skelsy, dzisiaj już bardzo rzadkie bestie pancerne strzelające racami gnilnymi na wielką odległość. Noszą się ze sprzętami przez siebie wytworzonymi.

– Ryby i sprzęty?

– Niech się pan nie dziwi. W brzuchach ganimedowe gadziny chowają przedziwne manualne instrumenty. Stąd skels zawsze w tajemnym ukryciu na głowę przywdziewa potężny żeliwny hełm zaopatrzony w trójkolorową okrągłą szybę. Łączą przyłbicę jak u nurka głębinowego z resztą ciała pulsujące żyły i kable, bynajmniej nie gumowe. Gdy widzę taką rybę, boję się patrzeć, taki do niej czuję respekt.

– I macie takie na stanie? – spytałem, zaintrygowany opisem.

– Czasami. Zazwyczaj używamy sprzętu tańszego. Powszechne w użyciu są te osobniki trójkątne, trójgłowe. Zna pan zapewne z praktyki?

Powozący pochwyił wielkiego ostroboka i pomimo iż ten bronił się, nieznosnie skwiercząc niczym przypalany, obrócił jeden z jego pysków ku mnie. Ujrzałem całkiem piękne herby we wszystkich znanych kolorach i tych mi nieznanymi. Linia ich była delikatna, jakby wyprowadzona jeszcze z genetyki lub z czasów pradawnych, nam ludziom nieznanymi, o bardzo subtelnych właściwościach iluminacyjnych.

– Ryba ta nosi się widać z godnością – stwierdziłem lakonicznie.

– Ma powody czuć własną wartość bojową. Struny magnetyzmów nosi bowiem w sobie mocarne, rywalizujące z grawitacją. Stąd niepotrzebny jej żaden pęcherz pławny.

Podziękowałem pięknie oficerowi i dyskretnie się oddaliłem, podczas gdy on ćwiczył swe stadko z oddalenia.

Weszliśmy w krąg Ganimedesa dość beztrudnie, żeby nie powiedzieć – z lekceważącym stosunkiem do panujących tu porządków. Winniśmy byli od razu zauważyć brak kilkuset pracujących tu przedtem przy poszerzaniu kanału zaworowego robotników. Zagadani i obojętni na skradające się zewsząd mroki, wpływaliśmy głębiej i głębiej w szczeliny Moorcoola.

Gluorowie ganimedzcy produkowali sztucznie pomrokę w sposób sobie tylko znany. Nie był to roztwór. Nie miała z tym związku szczególna rdza. Posądzano samą wodę, która straciła swoją przezroczystość pod wpływem szczególnie parszywych myśli. A już wiedzieliśmy, iż foniczne sole uruchamiają procesy niezwykle i tajemne. Nie wiadomo tylko było, czy obecność naszych umysłów nadawała tor myśli cieczy, czy może

cokolwiek uzyskujące przytomność w cieczy poprzez intryganckie podszepty nie kształtowało czasem naszej jaźni? Zlekceważyliśmy problem, a fakt ten stał się powodem druzgocącej naszej klęski.

Atak nastąpił w południe.

W szerokokątnym iluminatorze dziobowym ujrzałem nagle błyskawicznie wymykający się ze szczeliny skalnej podłużny kształt. Przepoławiał głębie szybkim i precyzyjnym cięciem. Wyszedł wprost na prawą burtę.

„Torpeda!” – pomyślałem.

Rzuciłem się w kierunku korytarza.

Jeszcze ułamek sekundy.

I już tam byłem...

Nie sam, a w ścisku i przepychance.

Syk otaczającej nas wody był nie do zniesienia. Eksplozja wyprodukowała jakiś gaz, którego bąble boleśnie nas poparzyły. Niewielki pojazd, niemal dokładnie rozczłonkowany, stracił impet. Rozpadł się i pod wpływem własnego ciężaru usunął się w ciemniejszą pod nim otchłań. Jakimś cudem pomimo bólu i wrzącej wokół cieczy zdołałem wydostać się na czas, doznając tylko niewielkich poparzeń. Wysunąłem się z wnętrza łamiącej się konstrukcji. Nauczony tak niedawnym doświadczeniem, uczepiłem się fragmentu tonącej burty i z uporem trzymałem. Nie chciałem, by ktokolwiek celujący z oddali mnie zauważył, a parująca i wytaczająca czarny olej konstrukcja spełniała świetnie rolę kamuflażu. Może dlatego szybciej niż inni usunąłem się z dynamicznego teatrum zdarzeń.

Ganimedzi nie poprzestali na ostrzale. Na wypływających w bojach ratunkowych ludzi ruszyły szkółki rybne. Patrzyłem na te sceny z przerażeniem z bezpiecznego oddalenia. Marynarze bronili się jak mogli, a że wprawieni byli w walce podwodnej, świetnie sobie na początku radzili. Dopóty, dopóki intruzi nie wprowadzili do akcji owych ostroboków dennych potrafiących uprzeć się i wytropić w wodnej kipieli obecność miniaturowej kropelki ludzkiego potu, śliny lub krwi. Wtedy już, rozszalałe, nie popuściły.

Ze zgrozą pomyślałem o ludzkim losie, o towarzyszach i biednym profesorze.

Mnie samego ogarnęła trwoga.

A jeśli kilka z nich zejdzie niżej i pociągnie wiąchy za opadającym wrakiem?

Dopiero teraz dotarł do mnie dźwięk straszliwego ujadania podobnego do psiego, z tym że krótszego, gwałtowniejszego i znacznie głośniejszego. Zdębiałem.

Czyżby Gluorowie potrafili w szczelinach skalnych umieszczać mieszadła roztworu fonicznego? Ale gdzież ja widziałem owe ostre szczyty? Chyba mi się w głowie pomieszało? Otaczała mnie tylko surowa głębia. Być może sunęły gdzieś w wodzie, w beczkach, nastawione na podsłuch myśli!

Dalej spadałem.

Znów lęk ogarnął mnie straszliwy.

Jakże ja życzyłem sobie w tej minucie już znaleźć się na dnie! Zagrzebać się pod mułem lub schronić pod skałą!

Jakby na życzenie, moje rozważania przerwał nagły łoskot.

Fragment, którego się przytrzymałem, rąbnął o denne kamieniste podłoże, odbił się i poszybował kilkaset metrów dalej, by zapaść się w błotach o nieznannej głębokości. Natychmiast straciłem zdolności oddechowe. Rzadki muł wtłoczył się w me usta i uszy, wypełnił nozdrza i zapaprał oczy. Odczułem niepokojący ruch jakby tysięcy wwiercających się we mnie robaków. Otaczały mnie zewsząd. Posykiwały lub w szeptach czegoś żądały. A ja, miarkując treść, wpadłem w kolejną panikę. Czyżby miały to być te same, które doprowadzały słowem tkanki ludzkie do gangreny? Raptem przypomniałem sobie o zdolności lewitacyjnej. Z trudem opanowałem drgające w panicznych skurczach mięśnie. Wpadłem w długi, trwający całe kwadrans bezdech. Uspokoilem ciało i hipnotyzując własną jaźń, zmusilem ją, by poddała się stanowi letargu poprzedzającego wszelkie lewitacje. Z góry dotarł do mnie odgłos kolejnych detonacji i potężny ryk przywodzący na myśl stada oszalałych przed bitwą rybnych ławic.

Powoli, oddziałując wolą hipnotyczną, spróbowałem ciało wznieść ponad bagno. Poddawało się z wielkim oporem. Pierwsze metry w górę pokonałem w przeciągu kilku godzin, ostatnie po upływie ziemskiej doby, bo siła ssąca rosła wprost proporcjonalnie do wkładanego wysiłku.

Wreszcie, krztusząc się i odkaszlując na wsze strony lepkie błoto, odetchnąłem pełnią możliwości. Szybko przemyłem totalnie zalepione oczy. Rozglądałem się przez chwilę, próbując naprawić zamglony wzrok i zorientować się w położeniu dennym.

Było fatalne.

Nieskończoność mazistej brei, na której uwijały się miliony robaków.

Ostry chłód wody.

I szept, jakoby wymykający się z nieskończonej ilości chciwych ust.

„Zgnij, gnij, niszczej”<sup>50</sup>.

Wokół trwał ten narastający pogłos, śpiew wierszoklety podobny do świstu niepokornego wiatru. Mrok czasami to gęstniał, to się rozrzedzał, a wraz z nim przekradał się najsroższy strach. Tylko z niezmiernej wysokości płynęło łagodne światło, nieco zafrasowane, rozfalowane, lecz dość stałe w zaopatrzeniu, przywodzące na myśl przesiąkający przez gigantyczne masy lodu ołowiany z filtracji blask Jowisza.

Kilkoma silnymi pchnięciami ramion wydobyłem ciało z rozległej niszy dennej obrzeżonej rudymi skałami i w karkołomnym, najszybszym z możliwych pływie na oślep dostałem się pomiędzy potężne głązy położone na wzniesieniu nieopodal. Tutaj



przycupnąłem i przemyłem fatalnie zabrudzony gumowy frak i ciasno opinające nogi nogawki wojskowych spodni. Muł z uszu wypłynął wprawdzie samoczynnie, ale pojawił się ból i popłynęła krew zmieszana ze śluzem.

Jak nic doznałem tam dawno niewidzianej infekcji.

Jednak po krótkiej chwili doszedłem do siebie. Skąły wokół wydawały delikatną luminescencję i w ich odblasku mogłem dojrzeć fragment wraku wehikułu. Leżał na powierzchni utwardzonej około sto metrów na wschód, sądząc po wskazaniach mego kompasu. Kilka trupów unosiło się swobodnie w wodzie w znacznym od niego oddaleniu. Po chwili odważyłem się sprawdzić, czy to czasem nie są ludzie.

Ale nie. Ze wstrętem poznałem panów Ganimedesa, przy których ciałach kręciły się już maleńkie pasożytnicze rybki. Zabici z wyglądu przypominali znane mi z ziemskiego padołu ropuchy, tyle że znacznej wielkości, z parą słabo wykształconych rąk i zbroją luminescencyjną na torsie. Zapewne posiadali sterowany wolał pęcherz pławny, stąd umieszczenie ich na piachu było niemożliwe.

Nagle usłyszałem kolejne nieukierunkowane szepty. Jakby nadchodziły ze wszelkich źródeł naraz. Czyżby wypowiadała je sama woda?

Zastygłem, nasłuchując.

I nic.

I znów dotarł do mnie niespokojny jazgot obcej jaźni.

Broniłem się przed słowami jak najlepiej potrafiłem. Odczyntałem i rymowałem, by zredukować ich siłę. Ale czy to samo z siebie znaczyło, że jeśli ich sens pojmowałem, to mogły odbić się na moim zdrowiu? Chyba tak, bo nadchodziły w formie natrętniej myśli, nakazów i opętania. A fizjologowie niejednokrotnie udowodniali, że stres, depresja i załamanie nerwowe przenika ciało i niszczy niczym prąd najgorszej trucizny. Aż mnie przeszedł dreszcz za dreszczem. Trwoga przejęła i słabość.

Wtedy zapragnąłem wokół siebie zagęścić wodę. Utworzyć jakąś skorupę lub wodną tarczę chroniącą przed rybami. Byłem zdumiony łatwością, z jaką dawała się dzielić na strugi, potem splatać i zamykać w węzły, a te poddawały się mej woli i formowały w ujednolicone stany. Powstał taki wokół mnie ujarzmiony wir, że aż ciągle się zdumiewałem, ze strachu wzdrygałem i zaczynałem od początku.

Rozglądając się ostrożnie, postanowiłem dopłynąć do resztek rozbitego okrętu. Może tam, pod powłoką grubego na łokieć żeliwa, uda mi się zagłuszyć nawoływanie? „Zgnij, gnij, niszczej”.

Dopłynąłem prędkim stylem. Zatrzymałem się, poszukując otwartego włazu. Ale sytuacja wyglądała nie najlepiej. Jedna z burt była całkowicie zniszczona, a wewnątrz do cna wypalone pociskami i eksplozjami. Zastanawiałem się, której części ja się trzymałem, tonąc w brei nie dalej niż godzinę temu?

Spróbowałem z innej strony.

Tak, tutaj powłoka żeliwna była rozpruta.

Przedostałem się na pokład łączności.

Ocalały obie kajuty. Jednak pomimo tej odporności materiału nie udało się uniknąć ofiar. Odnalazłem pływające ciała kilku zabitych Hindusów i uśmierconego tym samym pociskiem oficera. Z przejęcia zadrzałem. Znałem tych ludzi. Mogłem zginąć wraz z nimi. Zaraz, zaraz, gdzie ja wtedy byłem? Spojrzałem na korytarz za siebie. Tak, uratowało mnie niewiarygodne szczęście. Na ułamek sekundy znalazłem się w przestrzeni tak małej, że stała się jedyną możliwą, ciasną kieszenią przetrwania. Wróciłem wzrokiem do oficera. Upewniwszy się, że jest martwy, uznałem za stosowne go przeszukać. Zabrałem kilka drobiazgów. Najbardziej przypasał mi rewolwer i doborowy nóż, który zmieścił się w olstrze mojego pasa. Sprawdziłem ładunki w komorach srebrzystej broni. Była nabita.

Już w nieco lepszym humorze przedostałem się do sekcji szalupowej. Wszystkie kapsuły osobowe wyglądały na opustoszałe. Spostrzegłem jednak ruch w najdalszym rogu. Wymierzyłem z broni i czekałem na dalszy rozwój wypadków. Mogło to być cokolwiek, co zdążyło się już w resztkach mechanizmu zadomowić: meduza, ryba czy wielki wąż. Wszystko mogło tu czyhać na moje życie.

Nie poruszyłem się nawet o centymetr.

Czekałem.

Wciąż nic się nie pojawiało.

Straciłem cierpliwość.

Podpłynąłem bliżej.

Spoza filaru przytrzymującego strop magazynowy wyłonił się człowiek. Odbił się wdzięcznie i wypłynął w światło mineralogiczne bijące z nieodległej ściany. Rozpoznałem na nim mundur oficera.

---

<sup>50</sup> Choć może to się wydać nieprawdopodobne, naukowcy jeszcze do niedawna nie wiedzieli, co dokładnie dzieje się z martwym ciałem wrzuconym do oceanu. O ile fakt rozkładu takiego ciała przez podwodne organizmy był całkiem oczywisty, to już konkretne gatunki biorące udział w tym procesie nie były znane badaczom. Okazało się, że w słabo dotlenionych wodach dennych jako pierwsze przy ofierze pojawiły się krewetki, kraby i homary, a więc nasze smakowite owoce morza.

Wciąż próbował mi umknąć. Szok spowodowany wypadkiem zapewne nie pozwalał mu na prawidłową ocenę sytuacji. Czyżby brał mnie za jedną z tych przeklętych ropuch?

– To pan? – powtarzał przez jakiś czas Eric Linfeld, gdy go pochwyciłem i przez dobry kwadrans nim potrząsałem. Nic nie odparłem na pytanie, wciąż w jakiejś bolesnej malignie zadawane. Jeno się uparłem i na siłę wydostałem go z pomiędzy sprzętów, gdzie niewdzięcznik usiłował się na powrót skryć pod stosem kabli i śmiecia. Wreszcie wypłynął. Poobijany i potargany, wyglądał nadzwyczaj żałośnie.

– Linfeld, prawda? – upewniłem się.

– Tak, to ja.

– Czy ktokolwiek z załogi jeszcze ocalał? – spytałem, wskazując na puste miejsca po szalupach.

– Niech pan tylko nie krzyczy – ostrzegł Eric. – Czuję się mentalnie ogłuszony. Strumień gwałtownej komunikacji mnie zabija, ot co. Wszystko to od tropiących ślady ryb. – Przytykał uszy rękami, zamykał oczy, szeptał prędkie modlitwy niemające nic wspólnego z religią, słowem próbował odporu wszelakiego. – Wygląda na to, że wróg pozostawił wodę w stanie bardzo wysokiej fonicznej sensualności – wymamrotał. Rozejrzał się wokół. – Widać to po iskrzeniach obecnych w cieczy. Barwa myśli poniesie się stąd aż do naskalnych osiedli ganimedzkich, budząc w nich tropicieli. Czym prędzej się stąd wynośmy i płynmy ku najwyższemu światłu! – rzucił w panice Eric. – I na Boga, nie rozmawiaj pan więcej. Oni wszystko z nas wydłubią.

Poddałem się jego radzie. Pomogłem mu odnaleźć wyjście z rozbitego wraku i niebawem to ja musiałem z wysiłkiem dotrzymywać tempa, tak się łotr rozpędził. Będąc samotnym, może na innej rwałbym wodę szybkości, lecz teraz, będąc dobrze przestraszonym, zdawałem sobie sprawę z obserwacyjnego niebezpieczeństwa. Szedłem jak oślepy za panikującym Linfeldem.

Niebawem nadeszło otrzeźwienie.

Wspomniany klif, o którym była mowa kwadrans wcześniej, wydawał mi się za bardzo odległy. Widać pan Linfeld posiadał dobrą znajomość topografii terenu. Czuł się tu jak ryba w wodzie. Jednak pomimo tej wiedzy płynęliśmy następną godzinę i nic.

Klif wypotężniał. Ostrzej rozrysował krawędzie. Jakkolwiek zbliżył się, pozostał jednak odległym i niezdobyтым w swej niemal nieskończonej masywności.

Któż tam miał się zaczać na odległej wrębie? Gluorowie? Po cóż przeglądaliby to ogromne terytorium, u spodu porośnięte nieprzebyтым gąszczem równie wielkim jak ziemskie lasy? Kogóż ważnego mieliby szukać?

Leniwe dymy wznoszące się tam od grani brałem za wydmuch naturalny mułu, a nie za pył pochodzący od przenośnych źródeł mineralnych kociołków wykorzystujących spaliny w fonii cieczy. Doprawdy nie wierzyłem, jak mogłem dać się zbałamucić osobie trwającej w pourazowym szoku.

Płynąłem dalej rytmicznie i nieprzerwanie, ale już z mniejszym zapałem.

Eric tymczasem znacznie wysforował się do przodu.

Albo był silniejszy w nogach, albo w rękach.

Udało nam się po jakimś czasie wydostać z cienia rzucanego przez nieprzebrane granie skalne. Nie wiadomo, czym była masa kamienna: wyglądała na przerażająco martwą opokę, a była nieznaną człowiekowi świata przysłonecznego, twardą jak żeliwo żywą gąbką. Promieniowała najgorszym rodzajem magicznego mroku.

I znów doszły do mnie niezrozumiałe szepty, jakby setki wypowiedało je gardzieli. Jedno słowo. Tyle że pozostawało ciągle nieczytelne, groźne i zawieszane.

Szkoda, że już z dawna wiedziałem jakie.

Aż drętwiały jego brzmienia palce.

I rozlewały się uporczywe ścierpięcia niemające nic wspólnego ze znużeniem.

Dno wespół z rosnącym na nim kolczastym lasem też się oddaliło i zapadło w ciemnozieloną toń. Jakże z poprzednim wzrokiem byłem ośleptym, iż nie dostrzegałem w wodnych głębiach nic prócz zatrwazającej niejasności! Żadnych dostępnych percepcji kolorów, nijakich milionów rozświetleń? Jednakowo zielonkawa lub jednakowo czarna. Dzięki nowej światłoczułości trudniej tu było o noc niż na Ziemi. Gdzie by nie spojrzeć, wytwarzał się samoistny blask, a refleksy szły na kilometry, podobne w tym do świetlistej polarnej Aurory.

Gdyby zastosować w obserwacji podwodną hornettę 250 naszego dobrodzieja profesora, to kto wie, czy nie dopatrzyłbym się poprzez pęknięcia sedymentarnej skały i lodu samego mocarnego Jowisza?

Ale co stało się z Molierem?

Czyżby wraz z kapitanem Von Settlerem i dzielnym lordem Bizzardem popadł w niewolę? Jakim cudem tak wytrawni oficerowie jak Mick Stanton i Ian Struthers dali się tak łatwo wciągnąć w zasadzkę i mogli komukolwiek pozwolić na zaskakujący atak? Nie byli obecni na mostku? Gdzie był wtedy profesor z lordem? Gdzież się podział nasz hinduski spec od ewolucji regresywnej? Towarzystwo nasze miałoby się rozpaść w mgnieniu oka od błędu tak prostego?

Linfield przerwał moje rozmyślenia silnym szturchnięciem. Zawrócił i w panice ciągnął mnie na bok.

– Za późno – stwierdził, opadając bezradnie ku dnu. Na moje pytające spojrzenie wskazał ręką głębokie na setki metrów składowiska rzadkiego mułu, w których

zamierzał się ukryć. Oparłem się pokusie. Wciąż patrzyłem, nic nie rozumiejąc. Tymczasem on przekonująco nawoływał:

– Wypatrzyl nas, panie De Waay. Pędzą w naszą stronę watahy ostroboków.

Wciąż nie wydobyłem z siebie żadnej myśli, więc machnął na mnie ręką z lekceważeniem i począł na serio zmykać ku kryjówce. Ale widać sytuacja nie dawała mu spokoju, bo wciąż przystawał i wstecz patrzył. Zdecydowałem się go zignorować. Mógł trwać w swym pourazowym szoku tygodniami. Nikogo w błękitniejącej wodzie na przestrzeni kilometra nie widziałem, więc dalej zdecydowałem się płynąć na klif, podczas gdy on mocno się już był oddalił w stronę gwarantującego niewidzialność błota.

Widać wzrok miał lepszy od mojego, bo widział, podczas gdy ja próbowałem przepatrzyć mroki. Ujrzałem wreszcie zamazane kontury wielkiej, zmierzającej ku mnie postaci. Szedł na mnie zbrojnym pływem niby wyrzucony potężną siłą pocisk. Wokół rozsypywały się z tyraliery sztuki potężnych ganimedowych ostroboków i to one pierwsze zaczęły mnie z wolna okrążać. Ich ciała z lekka w wodzie parowały, jakby podgrzano je nie tak dawno na czarodziejskiej patelni. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej obraz mi się w jaźni mącił, a ja sam popadałem w coraz to większe odrętwienie i bierność. Znów porwałem się na hydromagię cieczy. Znów palcami rozpocząłem przeplatać i uwalniać strugi.

– Prędszej! – doszły do mnie z dołu myśli Erica. – Harty wodne krzyżują spojrzenia, bo blask skoncentrowany od pana promieniuje. Już wkrótce dotknie pana silna hipnoza. Lada moment ruszą i rozszarpią pana po kawałku, wrywając mięso nawet z mózgu – marudził w oddali.

Tymczasem ja uznałem, że niewiele mam do stracenia. Od dennych osadów w bocznej skalnej kieszeni dzieliło mnie jakieś czterysta metrów. Do tych wskazanych przez Erica siedemset. Za daleko jak na ostre nurkowanie.

A co potem?

Mam tam zgnić, gnić i niszczyć, i szczeznąć? Bo tak sobie życzą towarzysze z rybnej drobnicy?

Linfeld zatrzymał się gdzieś w połowie, obrócił się bokiem i począł przypatrywać mojej sytuacji z coraz większym przerażeniem. Wiedział, że za chwilę coś się wydarzy. Maleńki był w oddaleniu i niepozorny.

Tymczasem ja wciąż się rozglądałem. Poniżej strome zbocze opadało ku niemożonym głębiom, skąd lada chwila mogły poprzez Necrolotum nadejść nasze wojenne statki.

Nic jednak nie nadchodziło.

Tam też było głucho i ciemno.

Ujrzałem natomiast kręcące się dziko, migoczące srebrem łuski, zamykające mnie w ciasnym okrążeniu bestie. W maksymalnym zbliżeniu rozmiarami dorównywały słoniowi, w szybkości przewyższały żarłacza ludojada, a w sprycie charta aborygeńskiego znanego mi z Adelajdy. Naparłem na nie słupem wzburzonej wody, aż się przelękły, bo żadna zagęszczona fala nie była im znana, a piana już zupełnie je przerażała; tak zrobiło się wokół biało.

Wiedziałem, że ryby o trójkątnym kształcie, bez charakterystycznego dla fauny ziemskiej ogona, są częstym widokiem w oceanach Ganimedesa. Widywałem podobne, tyle że mniejsze, w odwiedzanej przeze mnie często szkółce armijnej na Europie. Teraz, obserwując je z coraz bliższego i niebezpieczniejszego dystansu, dochodziłem do przedziwnych wniosków natury mistycznej.

Dziwne jest takie wnioskowanie przed spodziewaną chwilą śmierci, prawda?

Ale cóż – każdy reaguje na ostateczność inaczej.

Ja wtedy poddałem się rezygnacji.

Ze spokojem czekałem na wyrok.

Zrzunowałem życie swoje i innych.

Oczekiwała mnie słuszna zapłata.

Tymczasem patrzyłem i medytowałem.

Otóż wiedziałem, że ostroboki wykorzystują inny, nieznanym człowiekowi rodzaj napędu zwanym odmagetyzmem wodnym. Ale czy miał on jakikolwiek związek z elektrycznością lub z termodynamiką? Nie wiem i nie jestem przekonany co do hipotez doktora Edmunda Hillbeerga z Księżycowej Akademii Europejskiej, który twierdził, że wytwarzany przez nie śrubowy wir promieniował z dowolnego końca ciała, jakby tkwiła tam niecodzienna prądnicą lub mentalna siła. Moc wydawała się tak ekonomiczną, iż potrafiła nie tylko odholować spore stadko cielaków, ale i osobniki stare, chore lub zniedołężniałe.

Nadawały się więc ostroboki idealnie do pracy zarobkowej.

Stąd już tylko krok do hodowli na skalę przemysłową i interwencji genetycznych. Teraz, znajdując się w położeniu tragicznym, tylko czekałem, aż obrócą na mnie owe wirniki i zabiją rozerwaniem z pomieszanych prądów. Nadal nic się nie działo.

Zebrałem się w sobie. Skupiłem wolę na ukierunkowanej myśli, czego nauczyłem się od europejskiego tresera, który patrzył na ryby, aż zaczęły się miotać w spełnianiu komend. Jeśli mam zaraz umrzeć, to z godnością – pomyślałem już śmiertelnie znużony.

Odepchnąłem je z lekka.

Ustały.

Wtedy wprowadziłem organizm w stan relaksu i jak na złość uległem ponownej lewitacji. Mógłbym teraz wyskoczyć ku powierzchni oceanu niczym korek z butelki.

Otrzeźwiła mnie ta nowa energia. Doznałem rozjaśnienia umysłu. Błysk jaskrawej przytomności pozwolił mi poddać sytuację trzeźwiejszej ocenie.

Spostrzegłem, że atakujący Ganimeda nie używa w nagonce ryb. Widać uniósł się honorem i za wszelką cenę pragnął się zetrzeć ze mną za pomocą nieznanej mi białej broni.

Ciekawe dlaczego? Najpewniej spostrzegłszy nas kręcących się na nizinach, nie pisał słowem kompanom klifowym o odkryciu intruza. Pragnie laury zwycięstwa zachować dla siebie. Widać dobrze wnioskowałem, bo nikt za nim nie podążał.

Ostrożnie sięgnąłem po broń. Wyrwałem z kieszeni i błyskawicznie wycelowałem. Pociągnąłem za spust. Aż mi ramię w wodzie odrzuciło.

Rozpędzone w eksplozji rolguły ani o milimetr nie zboczyły z kursu. Szły ku głowie. Rąbnięty w szczyt ropuszej czaszki aż poszły iskry i czarna krew, i jak to bywa z pociskami tego typu, rozpadły się na penetrujące wszystko metaliczne drobiny. Trafiły w niektóre ryby, aż te z piskiem myśli czmychnęły poranione w ciemną dal.

Miał się wróg z pyszna.

Nie spodziewał się takiej zdrady.

Ale za niski był mi stanem, by go honorowo traktować jak człowieka – usprawiedliwiałem się.

Dzieliło mnie od tego całego zamieszania niecałe pięć metrów. Wzbiłem się szybkim zwodem ponad scenę, więc mknące siłą rozpędu ciało zabitego otarło się tylko o moje stopy. Wystarczył mi rzut oka, by upewnić się w ocenie. Tak, zwierzęcy to był potwór. Jeszcze chwila i doznałbym obrzydzenia. Straszna ta poczwara przypomniwała mi najmroczniejsze sny o oceanie i jego głębinowych mieszkańcach. Palily się na jej torsie fosforowe krawędzie, jeżył rząd ruchomych żeber, stopy i ręce ciągnęły falbany oddechowe. Oczy? Oczy były zamknięte... Ale zapewne odnalazłbym w nich zwyczajowe dla mroków okrucieństwo. Gdy tak pomykał niby rzucona śruba, miałem okazję przyjrzeć się stanowi ganimedowych ostroboków. Najwyraźniej zmartwiła je śmierć poganiacza. Nie wiedziały, co robić. Sytuacja je przerosła. Zapragnęły zerwać umowy stadne. Większość rzuciła się do ucieczki.

Kilka pozostało na placu boju i zjeżyło groźnie kolce.

Z głębi nadpłynął ośmielony Eric. Sprawdził dryfujące ciało zabitego. Pewny już, że nie żyje, zaczął mu rabować kieszenie. Ani się zarumienił, gdy tak patrzyłem w zdumieniu na morale jego zepsute. Tylko zagadywał do mnie z odległości, jakby chciał mi dopomóc w rozprawie z krążącą po okręgu bezradną sforą.

– Ależ się pan sprawił! – zaczął z niedowierzaniem. – Nie wiedziałem, żeś pan zbrojny w tak ciężki arsenał – wyraził się z uznaniem o rewolwerze. – Już pan skończył? – dodał, widząc jak ostrożnie chowam rewolwer do tej samej kieszeni i

sięgam dla odmiany po nóż. – Nie obawia się pan ostroboków? Nie będzie pan strzelał do sfory?

– A powinienem?

– Niech się pan jak przedtem wprowadzi w bramiński stan skupienia i spróbuje zawładnąć stadem. Nie obrażają się bynajmniej za zabójstwo lejcowego. Jeśli go nie kochają, to dla nich drobnostka.

– Widać nie czują respektu przed trupem swojego pana bo się rozpływają – powiedziałem. – Ale schlebia mi zabieganie o ludzkie względy tych dwóch osobników z pomarańczowym uzębieniem.

– Te akurat krążą zbyt agresywnie. Widać mają ochotę posmakować ludzkiego mięsa. Tutaj zamilkł na moment, baczniej się przyglądając. Dodał po chwili: – Jednak nie, widzę wyraźnie, że się uspokajają. Właśnie pochowały maleńkie odnóża służące do wstępnego rozrywania ofiary.

– A zatem czy teraz trafia się okazja, żeby je ustrzelić? – spytałem.

– Coś pan? A jeśli pan spudłujesz? Czekać trzeba. Albo pozostaną obecne tak długo, jak długo uznają to za stosowne w taktyce zaskoczenia, a wtedy trach, bach – albo zaczną się przymilać i oswajać.

– Zastrzelę. Ubiję – ostrzegłem patrząc na nie złym wzrokiem, a ponieważ wciąż nic się nie działo, po przerwie zapytałem: – A więc myśli pan, że pójdą za mną gdyby co?

– A dlaczegoż by nie miały próbować? Pozbawiłeś je pan domu, postawiłeś w sytuacji bezdomnej, więc już uznały pana za aranżera. Brakuje nam tu tylko profesjonalnego drąga z nastawieniami na większą jednorazową rybną masę i łącząc się z promieniowaniem idącym od piasków tam w dole, zająłby pan ich umysły bez skrupułów.

– Może gdzieś tam mają gluatorowie na skale specjalistyczne narzędzia ukryte?

– Ruszę tam i sprawdzę – z ochotą stwierdził Linfeld, wskazując w kierunku nawisu skalnego, na którym przedtem widział dymy. Dziwiłem się tylko, że nie percypuje tam już obecności licznej zgrai, jak informował mnie wcześniej. – Może to wcale nie jest osiedle, a zwykłe parujące foniczne wzmocnienie terenu? – jawnie wątpił, odczuwając moje podejrzliwe napięcie i niezwerbalizowane myśli jako oskarżenie.

Zastanawiałem się chwilę nad jego dziwnym zachowaniem. Miałem ochotę strzelić mu w plecy, tak mi ten człowiek obmierzł. Nawoływał ciągle, śmiał się, zachęcał, cofał się dalej i dalej ku skale, pozostawiając mnie sam na sam ze zbliżającym się przewodnikiem stada. Czyżby spodziewał się ostatecznego ze mną rozrachunku? Bydłę, idąc tak w skrętach, nie wyglądało bynajmniej na przyjacielskie.

Tymczasem zwierz odważył się zbliżyć na tyle, iż drobne fragmenty jego łuszczącej się skóry zaśmieciły dzielące nas metry. Jakby mnie obdarowywał foniczną solą. Chcąc nie chcąc, musiałem tym świństwem się delektować; wdychając, filtrować. Zapewne



był to jakowyś symbol braterstwa lub poddaństwa, bo olbrzym łąsił mi się po minucie do boku, kontent z reakcji, wystawiając przy tym co chwila inną paszczę, bym ją w zagłębieniach ust mógł paznokciem poskrobać. W tym ruchu obrotowym własnego ciała przypominał mi karuzelę, bo porywał mnie swym powolnym obrotem i traktował niczym zabawkę. Zauważyłem, że inne ryby na ten czas odpłynęły, jakby oszołomione stopniem jego psoty. A partner najbliższy, dotąd sterczący u jego boku, zrejterował, widać nieskory się dzielić tym samym nowym panem.

Ostrobok pozostał sam.

I coraz bardziej ujmował zachowaniem.

Doszły mnie wprawdzie jego emocje. Zwykle wydaje nam się, że coś słucha naszych komend. Nie... to nieporozumienia. Uwagę zwraca zwierzę na intonację, a pies zwykle najbieglejszy jest w perfekcyjnym odbiorze skrywających się za słowem ekscytacji. Bardzo też obserwuje i merda ogonem, jakby zachęcając nas do wyrazu myśli. Stąd uśmiechamy się i zaczynamy być czuli na otaczające nas sympatie zwierza i względy.

I tak było i tym razem. Ryba całą sobą dawała do zrozumienia, iż ma mi coś ważnego lub najważniejszego do zaoferowania. Dotarły do mnie też pierwsze mocno poprzekręcane słowa - myśli, bo woda wokół nasączona była czułością foniczną do granic masy piątej, to jest najwyższej z możliwych.

– Kochanieńki, precyzjo ma szczerozłota, dwunogi wielmożo drogi – rymowała niby mi do ucha. No może trochę przesadzam i słów sens był inny. Jednak odczuwałem wyrazy jej myśli jako najpiękniejsze, subtelne w wyrażaniu słusznego wobec istoty ludzkiej respektu. – Czy twoja może mi uronić brzmienie swoje – nakłaniał, jakby mnie chciał w podnieceniu ugryźć. Wiem, że w onym czasie był ów przekaz kaleki, chrapliwym odgłosem rybiego myślenia zniekształcony i długo się zastanawiałem, jaką powziąć decyzję i jak nań zareagować. Najpewniej rozpytywał mnie o imię, stopień naukowy lub waluację lejcowego. Musiałem odpowiedzieć.

Bo czekał...

Obecnie używam formy uproszczonej, aby ewentualnego czytelnika mocno poprzekręcaną mową nie irytować. Niewielu bowiem z ludzi na Ziemi uwierzy mi w tę komunikację pomiędzy światami, a jeszcze mniej w rybie gadki, przyjaźń międzygatunkową i pomoc w podwodnej potrzebie. Ostroboki, jako że podobne w zachowaniu do ziemskich delfinowatych, towarzyszyły na Ganimedzie człowiekowi wyłącznie z pasji i zainteresowania. O żadnych smakołykach i karmieniu z ręki nie mogło być mowy, a już o grudkach cukru wtykanych pod język, w wielkie paszcze, w ogóle. Dochodził mnie więc pomruk korespondującej myśli, który interpretowałem raczej niż słyszałem. Ale tak też było ze słowem ludzkim. Trudnej wymagało od obcoplanetarnych obróbki.

– Nikt nie okazał się od panicza Oswalda dotąd lepszym – referował całkiem sprawnie ostrobok. Jak na rybę doskonale, chociaż wiedziałem, że to tylko doskonałość moja mózgową tak logiczne harce ze słowem rybim czyni. – Dokarmił mnie i dopieszczał, lżył, poganiał lub w złym humorze łoił. Klątwa kallistańska widać go dopadła, ot co. Bo jedzie od pana tamtejszą księżycową wodą. Znam ja się na wiąchach niezgorzej niż wróżbita tamtejszy.

Jakby na dowód tej zdolności manipulacją wszelaką fizyczną i metafizyczną ostoją, uruchamiał dziwaczny ruch wewnątrz srebrzystego, na poły przeźroczystego ciała. Wtedy coś tam drgało, przekręcało się i ze szpar w skórze niby z kieszeni poczęło wyłazić. Łapy wyposażone w potężne szpony widziałem, bo taką chwilową formę przybrały. Sflaczały po chwili i wtedy zdawał się być znów łagodnym i łasym na pieszczoty.

– Twoja jest bardzo czuła – stwierdziła ryba pod mym dotknięciem.

– Mam cię za rybę szczególną – odezwałem się mimowolnie wystraszoną myślą. Nie wiem, co mnie pokusiło, by gadać w ten sposób. Lecz wiadomą jest rzeczą, jak kontakt oddolny się przydaje. Ostrożnie wyciągnąłem rękę i poklepałem to, co przez chwilę było grzbietem, potarłem to, co nie tak dawno było karkiem. Rozpłomienił wówczas pod skórą fosforyczne tatuaże, aż blask poszedł od tego wkoło posępny.

Tymczasem ja patrzyłem na szpetne, przemykające niedaleko stwory, nie wierząc własnym oczom, bo towarzyszących ryb było więcej. Wyglądały, jakby dopiero co się wydostały z najkoszmarniejszego snu. Niektóre liczyły sobie po cztery metry długości, inne po pięć szerokości. O rozdziawionych paszczach już nie wspomnę, by samego siebie nie straszyć pamiętliwym obrazem. Wysuwane zęby o różnej długości przeżyły się niczym giętkie igły, a w wykwitach nagłych wzrostów wypełniały im całkowicie pyski. Wtedy warczały z gwałtownością zapuszczonego motoru.

– Przedstawić nam się wypada – rzuciłem myśl, wcale nie patrząc. Ale dobrze mnie rozumiał, bo szybko wyjawiał.

– Iurgee. Twoje brzmienie jakie?

– Jack De Waay – mówiąc, wskazałem siebie, co przyjął z objawem szacunku. Widocznie przypadły mu do smaku słowa, bo zaraz je kilkakrotnie w mózgu wymiętolił. Wskazałem mu nawis skalny i rozkazałem poprowadzić. W mig mnie zrozumiał. Pomknęliśmy jak na skrzydłach, doganiając Erica u samego celu.

Nigdy dotąd prądem wirowym odmagnetycznym ryby ganimedzkiej nie byłem ciągniony.

I każdemu bym tę praktykę odradził.

Dosłownie dech zapiera.

– Musisz pan być ostrożnym w obchodzeniu się ze sprzętem obcych – mówił Eric Linfeld, kiedyśmy przeglądali maszynię Ganimedów w towarzystwie obserwującego wielkiego ostroboka. Ryba ani na chwilę nie spuszczała z nas oka.

Kilkanaście potężnych pomp wodnych, wydając z siebie wytężone dźwięki, rozprowadzało wokoło drobiny dźwiękliwego kryształu. Oficer Linfeld wyglądał na złkniętego, jakby moje obserwowanie było mu nie na rękę. Spróbował wyłączyć potrzaskarki. Zastaniał całym ciałem czynione operacje.

Przypuszczałem, iż nie w smak mu była moja rosnąca wiedza, a już na pewno pochodząca z planety Ziemi znajomość mechaniki. Każdy był tu zazdrosny o znakomite ziemskie dyplomy. Zbyt szybko mógłbym przejąć to, co on sam zdobywał latami. W najlepszym razie mocnej redukcji uległaby różnica dzielących nas poziomów. Musiałby się wstydzić. A dobrych uniwersytetów i kadry magisterskiej było na Europie jak na lekarstwo.

– Dlaczego rozłącza pan obwody? – zapytałem, od razu się orientując, do czego zmierzają jego wysiłki. Zamieszał się, ale szczerze odpowiedział:

– Różne obecne w wodach meduzy lub kraby posługujące się językiem głębinowym mogą nas zaatakować z dowolnej pozycji skalnej. Wie pan, że zbiorem myśli przewodzonej przez wodę potrafią spowodować na odległość rozkład mięsa? Ograniczam zakres foniczności cieków do minimum, by się nam niespodzianki nie zdarzyły.

– A minimum to? – dociekałem niemal agresywnie.

Spojrzał na mnie z odrobiną rozdrażnienia.

– Trzy do czterech kilometrów sześciennych.

– To znaczy, że przedtem siedzący tu fehmistrz foniczny potrafił odebrać szelest z odległości kilkunastu lub więcej?

Skinął głową, potwierdzając me najgorsze przeczucia.

– I wiedział pan o tym?

– Tak. Najgorsze, że wiadomość o naszym ocaleniu mógł przetelegrafować gdzieś dalej.

Z pozycji szczytu skalnego roztaczał się rozległy widok na nieckę. Przywiódł mnie tu nie odstępujący mnie na krok ostrobok. Blask produkowany przez minerały zawarte w innej skalnej masie malującej się ponad nami w oddali niczym obłok na odległym niebie był pod koniec dnia jeszcze bardziej upiorny. Mogło nas dzielić odeń i dziesięć kilometrów, i więcej. Rozumiałem z map mi dostarczonych niegdyś przez kapitana, iż wewnątrz Ganimedesa nie jest tworem tak jednorodnym jak to znamy na przykład z

Europy, gdzie dominująca skorupa lodu i pomieszanych skał z kosmicznej sedymentacji opadowej oddziela bodaj najgłębszy w układzie słonecznym ocean od jego kontaktów z przestrzenią międzyplanetarną. Tutaj było inaczej. Z trudem dawało się rozgraniczyć warstwy, a zamkniętych oceanów głębokich na kilkadziesiąt kilometrów było kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt. Zupełnie nie rozumiałem powodów, dla których dumny kapitan i jego kolonia za wszelką cenę pragnęli wywalczyć dominację w tak odległym od normalności świecie.

Miał mnie jednak wkrótce ktoś w tej kwestii oświecić.

Otóż dalej z panem Ericem Linfeldem regulowaliśmy osprzęty, których skomplikowanie coraz bardziej mnie zdumiewało, gdy z mroków najdalszych z łoskotem i dzwonieniem nadleciał całkiem niespodziewanie mosiężny pocisk podróżny. Odbił się kilkakrotnie od skały pod naszym nawisem, przeokoziłkował po półce skalnej i załączywszy zespołem śmigieł na powrót dopiero co wyłączone napędy, opanował podwodny ruch na tyle, że zgrabnie się zatrzymał. Postawił się w pionie. Zasycał i wtem...

Kłapa odskoczyła, a ja już z daleka z ogromną radością rozpoznałem wygrzebującego się z uprząży człowieka. Miłą mi znajomą facjatę ucałowałbym z odległości kilometra.

– Ależ to lord Duncan! – zakrzyknąłem do Linfelda, gdy tymczasem tenże oficer nie wiedząc czemu się za zegarami i pompami olejowymi przed przybywającym schował.

– Niech pan nie ufa oprawcy! – zakrzyknął lord jeszcze z wysokości pojazdu. Podpływając z potężnym wymachem ramion, wkrótce mnie już ścisnął i ścisnął, i obłapiał. Brodę miał poklejoną i umorusaną towotami. Jego płetwy łopatkowe ledwo nadążały z utrzymaniem ciała w pionie, a potężny sztucer ciążył, przechylając całe ciało na bok prawy. Wkrótce zapał broń o biodro i wycelował, nie do śmiechu – w Erica.

– Co pan gada? Przecież to tylko oficer wodny Linfeld.

– Jeden czort! – krewko wyrzucił z siebie łowca. – Niech tu podejdzie, bo nie ręczę za siebie. Szlag mnie zaraz trafi!

– Proszę wyjść z ukrycia, panie Ericu! – A gdy obaj już tak na siebie nienawistnie patrzyli, poprosiłem: – Mówcie wreszcie.

– Byliśmy świadkami zamachu na nasze życie, Jack – ruszył z oskarżeniem Bizzard. – Otóż ten tu pański koleżka i inni zapragnęli naszej osobistej śmierci. Słusznie przypuścili, że nie odstąpimy od profesora Moliera w żadnej formie na krok, że go nie zdradzimy ani nie sprofanujemy jego dobrego imienia. Jego samego dzień wcześniej wprowadzono w kierunku nieznanym. Stąd nie był obecny na pokładzie.

– Azali to prawda? – powiodłem po obu wzrokiem i skupiłem spojrzenie srogie na zmieszonym oficerze.

– Nic panu drań nie powie – rzucił z nienawiścią Duncan. – Wszystko ukartował kapitan Von Settler, który nagle dowiedział się o pańskim sprzeczku kawitologicznym i

pewnej eksplozji, która ich wszystkich raz na zawsze odcięła od szlaku ziemskiego. Co gorsza, ów sprzęt zniknął wraz z naszym braminem.

Linfeld w odpowiedzi rozpiął połą płaszcz i sięgnął po portfel z małym słoiczkiem. Rozpoznałem charakterystyczny kształt kallistańskiego naczynia, a w nim kilka naparstków wiąż. Dwie z obecnych tam jeszcze fiolek wypełniał jakiś płyn. Reszta była pusta. Zaraz zrodziło się we mnie straszne podejrzenie, bo miał na twarzy ten sam wyraz triumfu, który nie tak dawno był pokazywał przy rabowaniu ganimedzkiej kieszeni. Wolno sięgnąłem po rewolwer ukryty w kieszeni, ale wciąż nie wyciągałem ręki. Wahalem się.

– Zanim pan wystrzeli, proszę przyjąć do wiadomości, iż to ja jestem w posiadaniu szczególnie cennych informacji dotyczących lokalizacji hrabianki Abelii – ostrzegł.

– A to skąd? Rozniosę cię z fiolkami na kawałki, padalcze! Gadaj! – ryknął pan Duncan. – Zrabowałeś oryginały, czy mydlisz nam oczy jakąś bezwartościową podróbką?

Szybko uspokoiłem arystokratę, chroniąc zjadłego oficera własnym ciałem, bo Duncan ruszył był z całym impetem. Sam pierwaj chciałem wiedzieć.

– Czyżbyś pan odgadnął, co zabity tropiciel mógł mieć przy sobie? – spytałem, obracając się do Lindfielda i mierząc go lodowatym spojrzeniem.

– Jak to zabity? – spytał lord Duncan. – O kimże mowa?

Eric zaśmiał się i odrzekł:

– Pan De Waay zastrzelił profesorskiego Ganimedeusa Oswalda.

– Zastrzelił gluora? Jakim sprzętem, do diaska?

– Z broni palnej.

– Masz pan taką przy sobie, panie De Waay?

Zmieszany, wysunąłem z kieszeni rewolwer.

– Toż to był zaufany traper imć Molierra ze specjalnymi poruczeniami! – niemal wykrzyknął pan Duncan. – Miał nas wszystkich zaprowadzić do pańskiej Abelii. A pan co chichoczesz, czemuż pozwoliłeś?! – rzucił wzburzoną uwagę do chemika. A do mnie jeszcze: – Ot, coś pan narobił tym próżnym bohaterstwem! – mędził. – Biada nam. Zapewne dumny pan jeszcze byłeś z celności strzału? Jack, nawet szansy nie miałbyś, gdyby Ganimeda na ciebie nastąpił. Zaatakowałaby pana z pasją, z chyżością błyskawicy i to ze wszystkich stron naraz, bo trudno u niego mówić o plecach.

– Jak to był zaufany? – bąknąłem pod nosem, jeszcze bardziej oszołomiony. – Co ja zrobiłem?! – Zgłupiałem i, kompletnie załamany, zamilkłem na dobre.

Tymczasem Linfeld, poprawiwszy gumowy surdut, perorował:

– Ampułki zawierają próbki wody, z analizy których później sporządzam mapy – tłumaczył. – Oficer z mymi kwalifikacjami chętnie zatrudniany jest na dowolnym podwodnym liniowcu. Zdołam wyprowadzić koordynaty z każdej sytuacji

potencjalnego zagrożenia. Nawet tutaj i teraz, w mroku przy najdalszym dnie. Każdy motorzysta pochwali się obecnością na pokładzie chemicznego kartografa. Dla słono opłacających rejsy ciułaczy stanowi on gwarancję dotarcia do celu. Necrolotum potrafi zwodzić błędzących miesiącami. Dodatkowo leje wodne i przeciągi są na księżycach normalne. A te zbierają roczne ofiary idące w setki – przekonywał. Widząc nasze wciąż ogłupione miny, zaproponował: – Ja znacznie więcej jestem panom gotów zaoferować niż ten zabity parszywy ropuch. Szczególnie iż już posiadam wiąchy wiodące do hrabianki po trosze rozpracowane.

Spojrzeliliśmy z Duncanem po sobie. Nie wiedzieliśmy, co czynić.

– Wytresowany ostrobok pójdzie po kursie chemicznym jak złoto. Osobiście zadbam o rybę – wciąż przekonywał. – Nie wiem nic o porachunkach, jakoby mających miejsce pomiędzy zwaśnionymi naukowymi głowami. I nic mi do tego – stwierdził bardzo poważnie.

– No dobrze, ale jeśli na waszych globusach wszystkie obszary są już zewidencjonowane, po co nowa wiedza kartograficzna jest komukolwiek potrzebna? – pytałem. – Czy do sporządzenia bardziej szczegółowych map? Czegóż dotyczą te drobiazgi? Ciągłe tu macie białe plamy i musicie zatrudniać w rejsach takich jak pan?

– Jakby pan zgadł, panie Jack. Wiedza geograficzna nie jest naszą dobrą stroną. I niczyją nie byłaby w Necrolotum. Otóż co rusz poznajemy nowe planety. Odkrycie goni odkrycie.

– Wybacz pan, ale ja wciąż nie rozumiem.

– Jeszcze w mieście na Europie, księżycu Jowisza, nagabywałeś mnie pan tym samym pytaniem. Widać wciąż nie dociera do pana prosty fakt, że mamy do czynienia z najbardziej skomplikowaną strukturą fizycznego wszechświata dotąd napotkaną przez człowieka. Okazuje się, że wszystkie wodne światy Galaktyki łączy wspólny ciek zwany Necrolotum. Korytarz jest przenikliwy i pozbawiony końców. Nazwa niewiele ma wspólnego ze śmiercią, raczej desygnuje ona bramę pośród wodnych szlaków życia kosmicznego. Ale jak tu odnaleźć drogę łączącą poszczególne oceany? Gdzie rozpoczynają się światy, a gdzie kończą? Przenikamy przez warstwy Necrolotum codziennie, nie zdając sobie praktycznie sprawy z przebiegu granic, bo jasny schemat połączeń nie istnieje, a dedukcja ogranicza się do przypadkowości lub wypadku.

– A więc jak udaje wam się nawigować pomiędzy księżycami?

– Tylko długotrwała analiza konkretnej wody daje odpowiedź na pytanie o lokalizację.

– Czyżbyście panowie nie dysponowali katalogami?

– Owszem, z tym że są one niekompletne. Większość pochodzi jeszcze z czasów prób kolonizacji Ziemi przez Atlantów.

– Atlanci je ewidencjonowali? A w jaki sposób?

– Opisowy lub używali pełnego spektrum milionów kolorów. W testach porównawczych nie da się wyróżnić wszystkiego. Ta sama pozornie lakmusowa zieleń odpowiadać będzie dziesiątkom różnych planet. Niestety niezbyt precyzyjny posiadamy zmysł wzroku.

– Ale co, jeśli okaże się, że nie ma odpowiednika charakterystyki próbki, a w bazie danych jej brakuje?

– W nazewnictwie oficjalnym tworzymy kolejną warstwę, nadajemy jej numer rozpoznawczy, określamy ilość odnóg, przelotów, wartości przenikliwości i inne szczegóły tak zwanej delty potencjałów. Na koniec наносimy poszczególne temperatury – to z kolei powinno powiedzieć nam sporo o kurczliwości cieczy. Często tam, gdzie podczas podróży przez Necrolotum pojawiają się znane nam zabarwienia wodne, powstrzymujemy prosty przelot, rozpoczynamy rekonesans na prędkościach wskazanych przez instrumenty kontrolne i gdy dysponujemy ochotnikami lub nadkompletem załogowym, dokonujemy próby kolonizacji.

– Kolonizacji?

– Bo być może już nigdy nasza rasa nie zdobędzie onej szansy pierwszeństwa pobytu w obcym świecie.

– Niesamowite.

– Ale i niesłuchanie trudne na poziomie decyzyjnym.

– Czyli dotąd nie pojawiła się żadna systematyka tych ogromnych zasobów?

– Dotąd nie. Być może kluczem wkrótce się stanie badanie tak zwanej propagacji bakteryjnej. Koncentracja i ciepłolubność pewnych sortów drobnoustrojów powiedzą nam często więcej niż woda, w której na stałe przebywają.

– Gdzie więc należy poszukiwać hrabianki Abelii? Tutaj czy na innych planetach?

Linfeld spojrzał zdezorientowany. Myślał, że odpowiedź jest oczywista.

– Ależ oczywiście, że tutaj, na Ganimedzie. Być może w norach lub zamulonych sztolniach, pośród krwawych bestii i dennych, cmentarnych złoczyńców. Trudnym jest zwodowanie się w cieki Necrolotum. Potrzebne są umiejętności i sprzęt wypornościowy. Prędkość własna i maszyny parowe, bo z paliwem w magnetyzmie wodnym problemów żadnych nie ma. Szukać należy hrabianki pośród degeneratów i eksperymentatorów. Często są to wyznawcy jakiejś genetycznej wiary poszukującej upiększeń dla gatunku. Nierzadko nękanie przymusem udziwnień bestie na poły tylko są rozumne. Na próżno w nich szukać jakichkolwiek uczuć i emocji.

Może w innym wypadku byłbym kompletnie przerażonym, ale w tym momencie kompletnego do życia zniechęcenia przyjąłem owe mrozące krew w żyłach wiadomości z zadziwiającym spokojem. A przecież można i trzeba było się niepokoić. Mieliśmy całą drużyną szukać hrabianki w nieustalonym gnieździe potwornych głębinowych mieszańców. Zadanie spadało na rybę o niepewnej reputacji tropiciela oraz na szpiega chemicznego i łachudrę w jednej osobie, Linfelda, i na dwójkę nierozłącznych przyjaciół skorych do oddania sobie każdej niebezpiecznej przysługi.

Profesor Ocearus jest porwanym, lord mocno wydaje się zgubionym, a Linfeldowi osobiście nie ufam. Przewodnika wywodzącego się najwyższej kasty gluorskiej sam zastrzeliłem. Co teraz? – myślałem.

Spojrzałem na dwóch towarzyszących mi dżentelmenów. Obaj raczej wglądali na zaciętych w gniewie i zajętych sobą. Wciąż dyskutowali i oskarżali siebie nawzajem o zdradę.

– Doprawdy, bomba? Czyżby była na nas zrzucona? Aaa, wystrzelona? I to może z granic innego królestwa? – irytował się chemik.

– Zaatakowano nas z ukrycia. Dobrze wiedzieliście, kto tam czyha. Jakoś robotników etatowych przy skalnej przerębli w porę wycofano?

– Tak jest, wycofano, bo pracują w gospodarce planowej.

– Wystrzelono lub z lokalizacji podpowierzchniowej zrzucono bombę.

– Bombę? Nonsens, zdążylibyśmy w porę pojazd odsunąć.

– Znalazłem fragmenty. Zainteresowały mnie, bom fanatyk pewnej unikatowej technologii. A mianowicie miał ów ładunek zainstalowany we wnętrzu ten sam grawitacyjny przyśpieszacz, co nasz descender. Bez wątplenia technologia to ludzka!

– Ależ panowie, dajcie spokój. Mieliśmy kogoś ratować.

– Tak, tymczasem ktoś nas chciał tu skrycie zabić – oskarżył pan Duncan po raz wtóry.

– Nie ja bynajmniej planowałem niecny czyn waszej likwidacji – ozwał się przerażony hydrolog, widząc mój gniew i mordercze spojrzenie Duncana, bo już nie widział sposobu dalszej ucieczki, przyparty do skalnej ściany. Lord dopadłby go bezsprzecznie kulą z każdego oddalenia. – Znalazłem się na pokładzie całkowicie przypadkiem. Brakowało na okręcie określonego sprzętu, którego kadra oficerska nie potrafiła zorganizować. Ponieważ znam się niezgorzej, postanowiono dokooptować mnie do załogi i zatrudnić w obsłudze mocno okrojonego laboratorium. Wiadomym było, że dam sobie radę. Tym bardziej że główny oficer pokładowy dzierżył w sejfie te same chemiczne duplikaty – dodał, wskazując słoiczek.



– Ma pan na myśli owe skomplikowane gradienty wodne kallistańskich wiąch? – zapytałem już w braku wszelkiej cierpliwości, bo młodzian, cokolwiek dumny w charakterze, sprowadzał mnie do stanu miotania gromów. Nie muszę dodawać, że nie tylko mnie.

– Widzi pan, panie De Waay, Necrolotum to jedna sprawa, a oceany na Ganimesesie to druga. Wody są ze sobą mocno zmieszane. Panują tu różne ciśnienia i z uwagi na niewielką średnicę globu dużo mniejsza od ziemskiej grawitacja. Całkiem więc skomplikowaną posiadają owe satelity budowę geologiczną, często wręcz sprzeczną z logicznym sensem. Pamiętam mapy, ułożenia skalne i wszelkie sedimentacje, które paleontologa wyodrębniła. Płyty litosferyczne leżą tu w kilkunastu poziomach i często się załamują, bo ośrodek pod nimi nijaki. Księżyc nie posiada ciekłego jądra i szalejącej magmy, więc na próżno tu mówić o dynamicznym wulkanizmie. Jednak potężne siły pływowe od strony Jowisza zastępują skutecznie wszystko inne. Robią tu nierzadko okresowe spustoszenia. Znam każdy rodzaj krążącej w przestrzeniach akwenowych wody. Wyprowadzę igłę pomocniczą z piasku, który posiadam. Z niej z dokładnością do setnej sekundy łuku potrafię ustalić, gdzie aktualnie się znajdujemy i w jakim stosunku magnetycznym pozostajemy do Necrolotum. A jak panowie doskonale się orientujecie, tylko stamtąd jesteśmy zdolni przedostać się do naszego domu, do oceanów Europy.

– A co z chemicznym tropem? Znajdzie pan hrabiankę?

Eric przybliżył się do mnie i poprzez dzielącą nas krystalizowaną wodę powiedział:

– Z powodzeniem pan sam przekona ostroboka do pójścia za wątlym portfelowym tropem. Bezwzględnie pana prośby wysłucha. My będziemy panu w każdej sekundzie towarzyszyć.

Zdawało się, że dopiero teraz pan Duncan zauważył krążącą od jakiegoś czasu kilkusetkilogramową sztukę.

– Czyżby to krążące rybne dziwadło należało do pana, panie De Waay? – zastanowił się głośno pan Bizzard. – Ostrobok to potężny i groźnie walający się po głębinach pancernik.

– To jest wszystko, co pozostało z całego stada – wyjaśnił wcale niepytany Linfeld.

– Czyżby? – ozwał się pan Bizzard. – W całej tej sprawie intryguje mnie nie pana bodaj tam przypadkowa obecność, ale to, skąd pozyskał pan informacje o Gluorze Oswaldzie, przewodniku imć pana dobrodzieja z dawnych czasów pierwszej wyprawy? Pan zdaje się dokładnie wiedział, kto zacz przybywa. A niby skąd? Podśluchiwałś lub miałś wgląd w tajne operacyjne dokumenty Von Settlera? Mogłś pan powstrzymać wystrzał. Ostrzec i uchronić nas wszystkich przed sromotą. Niech się ino dowiem, co się za tym wszystkim kryje, a głowa pana spadnie.

– Daj pan już spokój temu rzezimieszkowi z dalekiej kosmicznej prowincji – powstrzymałem lorda, który się już za bardzo zapędził we wściekłość, trzymając odbezpieczoną broń. Linfeld stęzał w oczekiwaniu na wystrzał. Jakież zrobił się zielony! Pożałował chwilowej emocji. Grdyka mu zadrgała pod gumową dżentelmeńską kokardą, jakby miał zapaść na samouduszenie. Nie chciałem, by został zabity. Któż wtedy zaprowadziłby mnie do uwięzionej ukochanej? – Moja to tylko wina, że się okazałem nie dość honorowy, by gościa spokojnie do walki wyzwać – usprawiedliwiałem się i brałem kornie odpowiedzialność. – Wydał mi się niegodny szacunku, nijaki i nazbyt zwierzęcy, by się przejmować jego śmiercią. Widać brak mi w charakterze szacunku do ludu prostego, kolorowego, czy by to był ziemski chłop, czy parszywiec międzyplanetarny.

Pan Duncan opanował się wreszcie, pokiwał z politowaniem głową i podjął:

– No cóż, bywa i tak. Sam przed dwunastoma laty czarnego służącego zamordowałem lichtarzem, bo mi grzebał niechcący w finansowych papierach. Niemniej jednak należy nam się zastanowić, co z tym chemicznym draniem zrobić.

– Dajmy mu szansę i czas na naprawę. Może doprowadzi nas do szlachcianki?

Lord Duncan zgodził się na ten pomysł i podjął się nowej mowy myśli:

– Jeszcze podczas naszego pierwszego zebrania w hali ludowej z kapitanem Von Settlerem w gremium powitalnym padła propozycja, aby wyprawić się na ratunek Morseusza Bloomberga i jego wysłanej nie tak dawno ekspedycji naukowej poprowadzonej w Głębie Molluckie. Przeznaczenie jednostki, opis badań i przebieg służby meldowniczej podano raczej mgliście. Jakoś automatycznie uniósł pan rękę i zgłosił własną kandydaturę. Rozumiem to zachowanie doskonale. Sam jestem porywczy, a sekrety jowiszańskie księżycy są dla mnie nie mniej intrygujące niż arcyciekawe ruiny miast Atlantów. Jednak opanowałem się w tamtej chwili. Wyszedłem na cygaro, a tu w kilka chwil potem w holu głównym gwardii narodowej profesor Ocearus Molier dopadł mnie i zakipiał gniewem. Usilnie szarpiąc za klapę surduta, wypomniał mi, czemuż wiedząc, że De Waay jest gorąca głowa, nie uchroniłem go od uczestnictwa w zebraniu otwartym? Oskarżał przez pół godziny, strofował i wyklinał, aby za chwilę uderzyć w inne tony i błagać o wytrwałość, o nieopuszczenie pańskiego towarzystwa i wieczną nad panem ochronę. Miałem niejasne przeczucie, że Ocearus cokolwiek obawia się o nasze życie i zamierza zepchnąć nas obu gdzieś na polityczne peryferie, poza niebezpieczne teatrum przepychanek personalnych i tory wojenne. Niecałe dwie godziny wcześniej uczeni, których mieliśmy na pokładzie naszego descendera za wybitnych fachowców, w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęli. Nie potrafiłem również odnaleźć grawitacyjnej windy descendera, której konstrukcja niezmiernie od samego początku mnie frapowała, a której mechanizm pragnąłem poznać i sztuką kierowania nią się poszczycić. I jeszcze jedno: uczyniłem

wszystko, żeby odszukać i spotkać naszego mineralnego mistrza. I wiesz pan co? Nigdzie go na tym ogromnym podmorskim statku nie znalazłem.

– Może brał udział wraz z uczonymi pańskimi w eksperymentach panu nieznanym? – zasugerował Linfeld.

– Mogło i tak być. Jednak wszystkim tym uczciwym dywagacjom zaprzecza fakt jawnego zamachu na nasze życie. Nieskuteczny się okazał zresztą plan, bo złośliwy los pograżył tylko obsługę. Ale obecnego tu Erica Linfelda nie drasnęło nawet nic odpryskiem metalu. – Lord znów począł się na chemiku skupiać. Tym razem podkreślił jeno wąsa. – Sam pan wie, jakież z pana pechowiec! Najpewniej poddawał się z innymi niecnym naprowadzeniem sterowca podmorskiego na plan miny. Sprawdziłem aparaturę. Skala dalmierza torpedy zatrzymała się na wysokości stu czterdziestu tysięcy metrów. Tyleż dzieliło nas do punktu odpalenia.

– Ocean Ganimedesa w tym miejscu miałby mieć aż taką głębię? – wątpiłem.

– Niech pan przymusi do wydania opinii obecnego tu fachowca – zwrócił się do mnie pan Bizzard, myśląc, że tylko do niego kieruję myśli, a nie chemika. – Panie Linfeld, azali prawda to?

– Owszem. Ten rejon podpada pod Ocean Dolny nazwany imieniem Humphreya Rossego. Mamy jeszcze pułap wyższy Gallupa mieszczący się ponad warstwą niemal solidnej skały z lodem. Jeszcze wyżej rozpościerają się obszary potężnych sztolni i komór wypełnionych jeśli nie wodą, to solankami pod wysokim ciśnieniem. Wszystko przykrywa skała sedymentacyjna złożona z kosmicznego pyłu i rozdrobnionego lodu. Wiele w niej rzadkich minerałów, glonów produkujących podmorski tlen i resztek chemii organicznej wrzuconych tu niemal przypadkiem z bardzo aktywnych wulkanów księżycy Io. Zaginęło tu mnóstwo statków, a i karawany idące zostały wciągnięte w wiry, których wytłumaczenie przejęłoby grozą fizyków.

– Karawany?

– Mamy zwierzęta juczne, jako żywo podobne do wielbłądów, które wspólny wir wodny tworzą ruchem odwłoków.

– Ha, te prądy mnie już od jakiegoś czasu intrygują. Lokomocja niesamowita – uznałem. – Mentalna.

Mówiłby Linfeld więcej, ale mu przerwałem. Niemiły mi się wówczas wydał, a sytuacja wyglądała na poważną, jeśli podejrzenia Lorda miałyby się okazać słuszne.

– Gdzie więc podział się nasz profesor? – spytałem. – Ktoś go w tę głębę uprowadził? Może wysłał na stracenie lub wrzucił w kajdany?

Chemik wyglądał na zdezorientowanego.

– Wydrę z pana te informacje – potwierdziłem, przesywając go kolejnym niemiłym spojrzeniem. – Najpewniej uznał pan moje morderstwo na przewodniku za rękojmię

własnego bezpieczeństwa. Teraz zdaje się pan triumfuje, wiedząc że nie mam wyjścia? Muszę polegać na pańskiej fachowości, jeśli chcę widzieć Abelię żywą, czyż nie tak?

Linfeld ze strachu zaniemówił. Za to odezwał się Duncan:

– Przypuszczam, że profesor Ocearus porwany znacznie wcześniej znajduje się w samym centrum przyszłej wojny. Być może jest nawet torturowany przez rozkładające mamrotaniem wodnym skorupiaki. Najpewniej pragnie kapitan wyciągnąć z niego bezcenne informacje dotyczące tajemnej wiedzy Atlantów. – Tu pan Bizzard wskazał głębie i falujące tonie ponad nami. – Von Settler mianował się bowiem imperatorem w tajemnicy przed braćmi Molier i nigdy nie poprzestał na jednym z księżyców, ale próbował zaanektować wszystkie. Wcześniej czy później z pomocą ziemską sięgnie po inne kolonie.

– Coś podobnego? – jęknąłem. Nagle całe to dziwne profesorskie zachowanie nabrało sensu.

Iurgee w przeciwieństwie do innych ostroboków moorcooluckich uchodził za myśliciela. Niechętnie szedł śladem ciągnących karawan. Nudziło go życie towarzysza jakiegoś podrzędnego urzędasza zajmującego się foniczną jakością wody. Mimo że reszta watahy skłonna była rzucić się w odruchu zemsty na dwóch przedstawicieli rasy ludzkiej, on sam zdecydował inaczej. To wystarczyło, aby reszta zrejterowała. Znali go przecież z niejednej rybiej jatki. Nigdy nie odpuścił przeciwnikowi. Gryzł i elektryzował ofiarę, aż ta wyzionęła ducha.

Tym razem osobnik ziemski całkowicie go ujął swym niepodważalnym walorem telepatycznym. Sprawiał wrażenie istoty pozbawionej prawidłowej przynależności do środowiska, jednocześnie będąc mocarzem potrafiącym poruszyć dziesiątki tysięcy ton wody. Biedak nawet nie zdawał sobie sprawy z idących w dziesiątki telepatonów prądów magnetycznych. Przepuszczał je, jak milioner traci fortuny. Lekką ręką pozwalał wymknąć się takiemu bogactwu. Iurgee sądził, że potrafiłby pokierować lepiej tymi zasobami, tylko uzyskując niewielki dostęp do jego przychylności. Zaskarbić sobie sympatię, o to chodziło mu najbardziej.

Po raz kolejny przyglądał się panu De Waay.

Jego gumowe odzienie sprawiało wrażenie niedopasowanego. Biologiczne przydatki zdawały się niewystarczającymi, a sam ruch wodny uszedłby w ocenie fachowca za powolny i nieuważny. Jednak człowiek ten potrafił wypromieniować w każdej sekundzie tyle dobrej energii, że zdawał się być sprawczym na całe otaczające ich kilometry podwodnej pustki. Ktoś taki był wydolny niejednym razem uruchomić wir wodny sięgający najwyższej lodowej skorupy i zbałamucić jeśli nie setki, to miliony rybnych stworzeń, aż po Necrolotum. Winien był tylko odnaleźć się pomiędzy zestawem odpowiednich narzędzi i trenerów.

Mógłby... być tytanem.

Jednak dziwna wada tkwiła w jego postawie.

Potężne pancerniki Ganimedów wychodziły z całkowitej ciemności Huluar na oświetlone pola szczeliny Daywrooh. Stojący przy sterach Ian Struthers naliczył ich bez mała czterdzieści. Rozwarte pokłady kanonierskie szykowały działa. Wewnątrz trwały prace amunicyjne, ustawiały się w uporządkowanych szykach drużyny pociskowe i wyciorowe.

Na okrętach ludzkich, do złudzenia przypominających opasane metalem pancernym podwodne sterowce, już kończyły się przygotowania. Zaciemniono linie iluminatorów sekcji pasażerskich. Spuszczono żeliwne ochraniacze burtowe. Wysunięto jedynie pokłady spiżowe. Tam doglądano artylerii.

Jednostki Obcych szły po kursie zachodnim, próbując manewru oskrzydlenia agresora. Dołem podkładały się szybkie statki marynarki szturmowej i to one lada moment mogły rozpocząć bitwę.

Nikt jednak nie wystrzelił.

Nikt nie kwapił się do poniesienia pierwszej ofiary.

Floty krążyły wokół siebie niczym mocarne drapieżniki, a nie padła nawet zaczepna komenda.

Von Settler był na tyle sprytny, by wyczuć podstęp. Czterdzieści jednostek bitewnych to było za mało jak na potencję militarną gluorów. Gdzie indziej kryła się cała reszta. I stamtąd mógł spodziewać się decydującego, najpewniej śmiertelnego sztychu.

– Niepotrzebnie tracisz pan sprzęt i ludzi. Ta inwazja jest nikomu niepotrzebna. – Słowa uwięzionego w fotelu Moliere nie zrobiły na kapitanie żadnego wrażenia.

– Jeśli powie mi pan, gdzie mieszczą się wysadzone niedawno przejścia wypływowe fantomowej wyspy, solennie przyrzekam rozpocząć pertraktacje. Nam, ludziom, wystarczy skromny korytarz komunikacyjny wiodący przez głębie jowiszowego księżycy. Nie będziemy niepokoić prawowitych mieszkańców na ich odwiecznych terenach łowieckich.

– Nie ma takiej umowy, która zagwarantowałaby pokój i bezpieczeństwo mieszkańcom podwodnym w przypadku inwazji z Ziemi. Dobrze pan o tym wie. Tym bardziej nie zabezpieczy się delikatnej równowagi w świecie flory i fauny jowiszańskiej, jeśli dotrą tu nasze walenie i foki. Przeżrą wszelkie zapasy planktonu w kilka miesięcy.

– Ależ Ocearusie, wykaż trochę sprytu. Przecież wymienione oddychają wyłącznie powietrzem atmosferycznym – zaśmiał się kapitan. – Zdechną tu od uduszenia.

– Gatunki denne, takie jak skutnice, niedźwiedzie mułowe i wieloryby denne, otrzymująienne dawki gazowe z przetwarzania pokarmów zielonych. Gwarantuję,

że w tutejszych lasach podmorskich wybitnie się rozguszczą. A wie pan doskonale, że człowieka nienawidzą z natury.

– Nie przesadzajmy. Zwierzęta i rośliny same znajdują właściwą równowagę – uspokajał kapitan.

– Jeśli będzie stał za nimi interweniujący człowiek, ucierpi fauna i flora autochtoniczna – upierał się profesor.

– Tylko na początku – ripostował Von Settler.

– W każdym przypadku straty będą nieodwracalne. A poza tym zaszkodzi pan sobie – oświadczył Ocearus.

– A to niby dlaczego?

– Znajdą się pośród przybywających do kolonii międzyplanetarnych inżynierów, naukowców i przemysłowców sprytniejsi od pana. Jak mawiał mój nieboszczyk brat, ludzkość od tysięcy lat wciąż w zaskakującym stopniu pozostaje niedojrzała. Niszczy i deprawuje wszystko, czego dotknie. Znajdzie sposób, by zniweczyć światy od milionów lat doskonałe.

– Pan się mylisz – oznajmił Niemiec. –. Od lat dwudziestu kilku księżyc jowiszański Europa jest naszym domem. Niestety legalnie stał się najświeższym nabytkiem kolonialnym korony brytyjskiej, o czym jej majestat najpewniej jeszcze nie wie. Chociaż prób obowiązkowej lustrzanej komunikacji kosmicznej z powierzchni satelity dokonano już kilkukrotnie i choć odpowiedzi nadal nie otrzymano, stale próbuje się kontaktu z centrum kosmicznym w Windsorze. Widać dwór innymi, przyziemnymi zajmuje się sprawami.

– Nikt w kierunku Jowisza nie spogląda. Wciąż są to tereny zbyt odległe. Żadne obserwatorium się bynajmniej nie spodziewa odnaleźć żywych ludzi w światach podwodnych. Zresztą, któż pana przekonał, iż Europa należy w całości do kolonii brytyjskiej? Mój brat? Mniemam, że komunikował się pan w sposób urągający dobremu imieniu dżentelmena, krzywiąc lustra i mieszając symbole, jako żeś pan zdrajca i sprzedawczyk innego imperium.

– A jakiego niby?

– Sługusem Bismarcka pan jesteś. Wyczuwam Prusaka na milę.

– Chcesz pan powiedzieć, że jestem Niemcem?

– Tak właśnie pragnę sprawę ująć.

– I wszyscy mi podlegli oficerowie niczego nie podejrzewają?

– Wybrał pan tylko garstkę, której od początku ufa. Kto wie, czy nie rekrutują się ze Szwabii.

– I przekonałem ich do idei globalnego zaangażowania?

– Europejczycy, czy by to byli Austriacy, Belgowie czy Francuzi, połakomią się na światłe podbijanie nowej życiowej przestrzeni. Rekrutuje więc pan ochotników z

rodzin emigrantów, których jakimś cudem losy zanosły na subkontynent indyjski.

– Znajdą więc w Necrolotum spełnienie wszelkich marzeń o galaktycznej cywilizacji.

– Jeszcze nie podbił pan Drogi Mlecznej.

– Nie, ale zamierzam. Teraz tutaj widzę przyszłość ludzkości, której broni pan wszelkiego dostępu.

– Wody jest na Europie pięciokrotnie więcej niż we wszystkich oceanach ziemskich, a spenetrował pan zaledwie jeden procent. Zapomina pan o niebezpieczeństwach: o nieznanym nam chemii, bakteriach i pomieszanych biologizmach formy – perorował Ocearus.

– Patrolujemy większość obszarów głębinowych. Potężne miasta, których posiadamy już sześć, wznoszą się i opadają zależnie od gęstości fitoplanktonu, którym żywią się mieszkańcy. Wyeliminowaliśmy głód i choroby. Pozbyliśmy się biedy.

– Pochwalam te osiągnięcia. Jednak prowadzi pan armię ludzką ku zgubie, kiedy liczy się tam, na Europie, każdy człowiek.

– To się dopiero okaże.

– Doprawdy? Populacja słabo wzrasta, jak zgaduję? A koszty społeczne wojen rosną? Działania, jakie pan prowadzi, już teraz nie pokrywają strat w materiale ludzkim.

– Ganimedes posiadał stałe tunele łączące go z Ziemią – kontynuował rozsierdzony Von Settler. – Używały ich najdawniejsze starożytne kultury Hipkraków i Dorry. Tamtędy wreszcie wyemigrowali Atlanci. Może pan otworzyć przejście osobiście i wręczyć królowej dokumenty przejęcia w jej imieniu nowych włości.

– Wie pan, jakoś mi się nie chce.

– A ja i tak dotrę do tych zapomnianych labiryntów, dzięki panu lub wbrew panu!

– Ma pan moje błogosławieństwo na drogę.

– Posiadam oryginalne odpisy map i kronik Hipkraków.

– I nikt żywy nie ostał się z dwóch kultur? Rasy te popadły w samounicestwienie? Czyż to pana nie zastanawia?

– Pokonały je międzygwiazdne choroby. Mój Boże, czemu pan się naprzykrza? Przecież pan wiesz, czytałeś i studiowałeś przeróżne dane.

– Wiem. Ludy, których królestwa zatopiło morze, próbowały umknąć z bogactwem cywilizacji na stały ląd. Brat mój używał map i tłumaczył pisma najstarsze, które odnalazł na księżycach wodnych. Zbyt wiele wydarzyło się tragedii, by przejść obok obojętnie.

– Stąd znał, przypuszczam, wszelkie odnogi spodziewanej delty Necrolotum. Wydedukował, śledząc pisma. Wyrysował, zamknął w wodoszczelnych tubach i gdzieś zakopał. Ale zanim to wszystko zrobił, tą cenną wiedzę podzielił się z panem. I ja wydrę z pana informacje.

Profesor Ocearus spojrział na rozmówcę ze zdziwieniem. Nic nie odpowiedział.



– Niech pan się nie obawia. Nie zabiję pana... jeszcze. Pragnę, aby doświadczył pan smaku goryczy, jaki towarzyszył mi przez życie u boku pańskiego brata. A długo przetykałem jego gorzką ironię. Co zrobiłem? Sprawa jest prosta. Otóż na początek z grona towarzyszących panu naukowców wybrałem dwóch i poddałem torturom, w wyniku których jeden z nich zmarł. Jednak drugi nie dość że przeżył, to jeszcze stał się człowiekiem bardzo przydatnym. Zaraz go pan posłucha, bowiem okazuje się, iż to inteligent mający wiele do powiedzenia.

Do sterowni przywleczono skrajnie osłabionego Godarda. Podpłynął bliżej. Nie wyglądał za dobrze. Widać było, że wielka część ran spowodowana była gnilnym komunikatem ryb dennych. Nie goiły się łatwo, a jątrzyły z byle powodu i ciekły.

– Proszę, niech pan rozjaśni zagadnienie – zwrócił się do nowo przybyłego kapitan. – Pan Molier chętnie posłucha hipotez, którymi uraczył mnie pan dzisiaj w mesie.

Godard spojrział na profesora spode łba. Widać było, że czuje się w wyniku tej zdrady niebywale podle. Szukał w twarzy przełożonego wybaczenia, w jego jasnych oczach nadziei.

– Niech pan mówi, Godard – zachęcił odważnie profesor Ocearus.

– Von Settler podjął się prowokacji – powiedział uczony.

– Jakiej znowu prowokacji?

– Dokonał jatki na „Ordorze”, niewielkim statku udającym się w sukurs zaginionej ekspedycji – wyrażał szybkie myśli Godard. – Okazało się, że nigdy takowa katastrofa nie miała miejsca. Blef posłużył do wywiedzenia pańskich przyjaciół, lorda Bizzarda i Jacka De Waaya, na oceany. Zabito ich, zanim dotarli do ganimedowego przewodnika.

Profesor pobladł. Usta mu zadrżały, a oczy zbłądziły. Nie uszły te zmiany pilnej kapitańskiej obserwacji. Von Settler wyraźnie triumfował. Staął, gotowy do rozrachunku z każdym oporem.

– Zapłaci mi pan za te ofiary – obiecał profesor.

– Sami się pchali.

– Ludzie to byli szlachetni – rzekł uczony z szacunkiem.

– Tak się panu tylko wydaje.

– Wiem, że w jatce stracił pan, kapitanie, wybitnego chemika – wtrącił Godard.

– Zbyt dużo pan wie jak na więźnia. Będę się musiał tym przypadkiem zainteresować – ostrzegł Von Settler, zwracając wzrok na oficerów. – Owszem, Linfeld był cennym nabytkiem, musiałem jednak w jakiś sposób zwabić spryciarzy na pokład. Lepiej niech pan mówi, o co pana od kwadransa proszę, bo nie ręczę za siebie.

Godard smutnym spojrzeniem spoczął na zaciętych ustach profesora. Molier właśnie poprzysięgał w duchu zemstę.

– Wspomniałem kapitanowi w rozmowie o zjawisku wyspy fantomowej – rzucił obojętnym tonem Godard. – Otóż na mapach ziemskich istnieje kilkanaście miejsc, w których odnajdowano niewielkie skrawki występujących z wód lądów. Przy późniejszym ich badaniu znikwały bez śladu, jakby zapadły się do samego dna piekieł. Znanym od starożytności obiektem tego typu była mityczna Wyspa Demonów leżąca gdzieś na morzu Śródziemnym. Dalej można wymienić choćby wyspy Thomsona i Bermeja...

– Wybacz pan, że przerwę, ale uzgodniliśmy poprzednio, że poda pan ich lokalizację geograficzną do stopnia i minuty dokładności.

– Chodzi panu o Ląd Crockera?

– Właśnie o ten.

– Trudno przypuścić z całą pewnością, iż wyspa posiada system wynurzenia podobny do mechanizmu zniszczonego przez profesora Ocearusa, lecz...

– Można to sprawdzić?

– Oczywiście tak. Komory wypełniające skały pumeksowe winny wykonywać podobną ssąco-tłoczącą pracę. Nikt dotąd nie zastanawiał się, czy dany skrawek lądu bądź wyspa posiada solidną podstawę skalną, czyli tak zwany filar, czy też pływa na poduszce gazowej. Zdawało się być faktem oczywistym, iż wyniosły ją trwające miliony lat procesy geologiczne. Dopiero odkrycie pana Moliera wprowadziło w środowisku melbourniańskich specjalistów kawitologii stosowanej sporo zamieszania. Wkrótce łodzie podwodne rozpoczęły szczegółowe badania i wyłoniono kilku kandydatów fantomowych. Rzeczywiście, niewielkim lądom pod potężną osłoną wodorostów brakowało wspierającego fundamentu. Unosiły się, że tak powiem, z nieznanego powodu na powierzchni, podobne w zasadzie do zainstalowanej tam celowo tratwy.

– Woda nigdy nie znosiła ich ku lądom w oceanicznym prądzie?

– Nie. Zdawały się być powiązane nieznanymi siłami magnetyzmów do miejsca zainstalowania w skorupie ziemskiej.

– Niebawem. Nigdy nie zdołamy poznać wszystkich tajemnic oceanicznych – westchnął kapitan.

– Czyli chce pan udać się aż na północną półkulę? – odezwał się profesor już niepanujący nad roznoszącymi go nerwami. Zamordowanie przyjaciół było dla niego szokiem. Nie potrafił pomieścić w twarzy odczuwanej nienawiści.

– Widzę, że zna pan to szczególne położenie lądowe z dokładnością do minuty stopnia geograficznego.

– Ależ to bzdura wierutna. Crocker? Peary? Wszyscy się z nich śmieją. Ten drugi zapragnął funduszy z kasy stanowej – warknął Ocearus.

– Ależ niech się pan tak nie unosi.

– W roku 1906 Robert Peary, członek chybionej ekspedycji udającej się na biegun północny, zaraportował dostrzeżenie lądu na północny zachód od wyspy Ellesmere – mówił profesor. – Nazwał ją Lądem Crockera na cześć bankiera z San Francisco, którego przez ten gest pan Peary miał nadzieje nakłonić na bezzwrotną pożyczkę zapewniającą dalsze finansowanie wypraw polarnych. Jednakże cały zamysł spalił na panewce, gdy miasto w tym samym roku nawiedziło potężne trzęsienie ziemi i pieniądze, zamiast do kieszeni oszusta popłynęły na fundusz odbudowy.

– Dotarłem do innych danych – z wątpliwej jakości uśmiechem odwdzińczył się pan Godard. Widać było, że dyskutanci zapalali do siebie akurat w tym temacie otwartą niechęcią, co ucieszyło Von Settlera. – W roku 1909, kiedy obaj, Peary i Frederick Cook, powrócili do cywilizacji z udanej wyprawy na biegun północny, przedstawili dokładne mapy z trawersu rzeczonego lądu. Zapamiętałem dokładne odpisy danych geograficznych.

– Czyli zakładając odpowiednią siatkę kartograficzną, powiedzmy na mapy podwodne Ganimedesa odpowiadające kartografom ziemskim, moglibyśmy dotrzeć do lokalizacji wyspy?

– Bezwzględnie tak. Oczywiście tylko wtedy, kiedy zastosujemy prawidłowe proporcje geometryczne.

– No to bierzmy się do roboty.

– Bardzo wątpię, czy złożony prąd Necrolotum księżycy jowiszowego wesprze pana w tym geometrycznym chaosie – wtrącił rozdrażniony niemal do nieprzytomności profesor Ocearus. – Nie może być tak, że w jednym miejscu krzyżują się wszystkie drogi wszechświata.

– Jeśli się nie uda, pozostanie jeszcze ostatnie wyjście.

– Jakie? – Oczy Moliera zdawały się przez chwilę z nienawiści wprost nieprzeniknione.

– Zainstalujemy w miejsca wysadzonych skalnych komór pańskiej pływającej wyspy potężne stalowe balony, które wypełnione najczystszy wodorem, na powrót pociągną wyspę ku powierzchni.

– Toż to będzie was kosztowało lata pracy. Potrzebna jest wprost niewyobrażalna energia, by sprostać zadaniu przez dłuższy czas.

– A kto powiedział, że mamy unosić ląd tak potężny na wysokość powierzchni oceanu? Wystarczy nam stumetrowa luka, którą da się po pewnym czasie wzmocnić konstrukcją żelbetową lub będzie można wykopać pod nią właściwy tunel.

Profesor Molier z trudem przełknął ślinę.

– Jeszcze pozostanie panu ją znaleźć.

– Proszę być pewnym, że wydrę z pana tę informację nie przebijając w środkach.

Potężne statki wojenne Ziemiaków dokonały zwrotu przez rufę i ruszyły na głębie.

Ganimedzi nie mogli wprost wyjść ze zdumienia. Przez dobry tydzień w ciasnej przestrzeni Moorcoola ludzie prowadzili sprytne akcje militarnych przegrupowań sprowadzające armie Gloarów do pozycji defensywnych. Niemożliwe, że oto nagle zdecydowali się odstąpić...

Niewielkie patrole natychmiast ruszyły za wycofującą się armią. Z oddalenia śledziły ginącą w mrocznej toni flotę. Ponad tysiąc kilometrów dalej zrezygnowane zawróciły.

Tymczasem ludzie rozdzielili siły. Zgrupowanie większościowe dotarło do osadów dennych przy niewielkim morzu wńukowym Torreya-Brahmsa, zarzuciło kotwice w błocie i postanowiło czekać. Jednocześnie cztery najlepiej wyposażone jednostki pełną parą ruszyły w kierunku spodziewanego wylotu Necrolotum północnowschodniego. Po tygodniu ganimedzkim wyraźnie zbliżyły się ku wyznaczonym celom. Ocean wydawał się tu płytszy i cieplejszy. Pojawiły się skały krystaliczne znane z niektórych okolic Europy: przezroczyste od wewnątrz, a szalenie rozplamione promieniowaniem magnetycznym od wewnątrz. Stąd ku zdumieniu wszystkich dostrzeżono poza grubym szklistym materiałem rozmazanego, potężnego Jowisza.

– A więc i tutaj starożytni Akronidzi docierali ze swymi optycznymi maziemi – zauważył dowódca.

– O czym pan mówi, kapitanie? – zapytał Godard, podczas gdy profesor Ocearus patrzył w zdumieniu na wyłaniające się w nieforemnym i brzydkim sklepieniu oceanu kosmiczne obrazy.

– Przed setkami tysięcy lat istniało na księżycach wspólne potężne imperium podmorskie. Pozostały po nim jedynie ślady kopalne, tak zwane dolnomułowe<sup>51</sup>. Wykonane ze stopów lawy wydrążone wewnątrz sferoidy zawierały magazyny pełne wszelakich trucizn. Zdawało się, iż rasa ta prowadziła wojny najgorszego typu, zanieczyszczając wodę najszkodliwymi wydzielinami na drogach międzygwiazdnych. Akronidzi znali się też wybornie na materiałach prowadzących do uzyskania przezroczystości przez materię stałą. Fraszką byłoby dla nich doprowadzenie jedenastocalowej blachy do klarowności szkła okiennego. Tutaj musieli zużyć chyba setki tysięcy litrów wtryskanego materiału, aby uzyskać w skale tak cudowną widoczność wiktoriańskiego okna.

– Miejsce musiało być specjalne.

– I w tym cała nasza nadzieja, doktorze Godard. Zdaje się, że pańska wyspa dokądś nas zaprowadzi. Moi chemicy odkryli właśnie odnogę bieżącego prądu idącego z Necrolotum Ganimedesa. Na pewno uda nam się przeniknąć do innego świata.

– Z tym że to wcale nie musi być Ziemia – zaśmiał się szyderczo profesor. Widać było, jak cały drży od emocji. Przez całą podróż przygryzał nerwowo wargi i zerkał na wskazania szalejących od oddziaływania Jowisza kompasów. Głębościomierze wskazywały rosnącą płyctinę.

Nagle dotąd rozedrgana maszyneria ucichła. Statek wydawał się przez długie sekundy zawieszony w próżni. Zniknęły z pola widzenia towarzyszące mu jednostki. Zapadła ciemność. Niebawem rozświetliły ją szybkie błyski sprawiające wrażenie przelatujących z ogromną prędkością klatek dziwnego filmu. Nagłe wstrząsy spowodowały gwałtowny bulgot idący spod podłogi. Płyn wypełniający wnętrze sterowni zdawał się rosnąć, zwiększać objętość.

Okrętem zarzuciło. Doznał nowych wstrząsów. Wtem wpadł w ostre, przenikające wodę promienie słońca.

– Cała wstecz – ryknął do maszynowni przerażony kapitan. – Biegi na luz. Włączyć łopatki prawej burty! Odciaż środek. Maszyny start. I znów cała wstecz. Powoli miarkuj! – ryczał do załogi oficer mostkowy. W ostatniej chwili odbili od wyostrzających się z przodu grzebieni skalnych idących w tysiące podwodnych szczytów. Zdawało się, że sprzyja im szczęście, bo powstrzymali opad na czas. O włos uniknęli następnego zderzenia.

– Uruchomić łopatki! Silnik wstecz! – dowodził kapitan. – Daj trochę sterem w lewo. Zawróć zgrabnie! Trzeba dać znak reszcie. Gdzie do cholery podziali się kapitanowie Renic i Masters na Xivio i Pantuarze?

Nikt nie odpowiedział. Los pozostałych był im w tym momencie obojętny.

Okręt ciężko zwrócił się przez rufę na wschód. Wypatrywali nerwowo nadchodzących pozostałych łodzi podwodnych, ale nic nie wskazywało, żeby którakolwiek miała się pojawić w polu optycznego celownika.

– Co jest? – z niepokojem pytał Von Settler.

Profesor Molier pogładził rozwianą w wodnych prądach brodę.

– Niechybnie zgubił pan swoich ludzi.

– Co ma pan na myśli? – Kapitan wciąż wypatrywał w wielkim oknie jakiegokolwiek śladu lamp pozycyjnych.

– Być może pańscy Akronidzi zainstalowali w przejściach jakieś liczniki ograniczenia masy. Przecież cokolwiek mogłoby tu wleźć, przejść lub nie i zaczopować otwór na dobry milion lat – wyjaśnił uczony. – Zapewne była im znana zasada aptekarskiej wagi?

– Jak to? Mieliby ograniczać przenoszone masy? Myśli pan, że odrzuciła pozostałe okręty jakaś niewidzialna bariera?

Widać było po profesorze, że odzyskuje humor. Tym bardziej że Godard i oficerowie wyglądali na coraz bardziej speszonych, a w nowej sytuacji wyraźnie

zdezorientowanych.

– Raczej sędzę, że doskonale wyważony strumień Necrolotum poniósł je wszystkie do diabła – zaśmiał się w odpowiedzi Ocearus – bo nie przypuszcza pan chyba odnaleźć tutaj fantomowej wyspy Crockera Niech pan sobie wyobrazi, iż dryfują teraz pana łódzie w innych nieznanym światach, a kapitanowie są wściekli, że nie pamiętają drogi do domu. Z nienawiścią myślą o panu, który ich porzucił na drodze bez wyjścia. Już widywałem takie chojrackie jednostki Obcych, którzy przybywszy w trujące wody, udusili się z braku tlenu.

– Kpi pan sobie?

– Nie, bynajmniej. Już widzę z daleka to ostre, błękitnawe światło pochodzące z obcego nieba. Czyżby to nie były ziemskie wody arktyczne? Czyżby słońce tego systemu było niebieskim olbrzymem?

Kapitan przyglądał się przez chwilę widokowi za oknem, a że bardziej niż fakty dotknęła go profesorska mina, rąbnął z całej siły pięścią w stół.

Von Settler zarządził natychmiastowe wynurzenie, co zważając na okoliczności było decyzją szczególnie niebezpieczną. Pomimo oporów grona oficerskiego zwodowano niewielki ponton z wyposażeniem do analizy atmosferycznej. Nie czekano zbyt długo. Już zapanowała gorączka. Wciągnięto aparaturę w tempie ekspresowym. Wyniki wskazywały, iż w swej kompozycji powietrze atmosferyczne posiada sporą domieszkę tlenu. Natomiast pozostałe gazy sprawiały wrażenie neutralnych. Ale czy aby na pewno analizy potwierdzała rzeczywistość?

– Nie chce pan chyba ryzykować oddychania w tych okolicznościach? Atramentowe słońce może być trujące promieniotwórczo. Może wybijać elektrony z ich orbit. Czynić oddychanie piekielnym. A co jeśli planeta nie posiada ochrony płaszcza magnetosfery, który pozwoliłby na zneutralizowanie uderzeń wysokoenergetycznych korpuskuł? – ze śmiechem wyraził swe obawy profesor. – Owszem, jest w kompozycji powietrznej obecny tlen. To dobrze i źle zarazem. Bo po przybliżonej wielkości czterdziestu ośmiu procent mamy podstawy sądzić, iż powstał w procesie bujnych i dynamicznych reakcji wytrącania go z węgla lub wapnia. Utrzymanie balansu tak kruchego jest zadaniem nad wyraz nieprawdopodobnym. Tlen bowiem silnie wchodzi w reakcje i szybko łączy się na powrót ze środowiskiem, wyzwalając przy okazji potworne ciepło. Pożary muszą tu szaleć trudne do wyobrażenia. A oddychanie może okazać się wręcz bolesne. Wahania procentowe są jednak normą. Nawet w geologicznej historii Ziemi na przeciągu ostatnich pięciuset czterdziestu milionów lat procent ten nie był stały. Wzrastał i katastroficznie malał, a towarzyszyły mu kryzysy w życiu biologicznym lub ekstremalne zlodowacenia. Zbadano kiedyś wulkaniczne skały, które potrafiły na eony uwięzić maleńkie bąble powietrza kambryjskiego w stygnącej lawie. Odnotowano spore różnice i wartość ta wahała się pomiędzy dziesięcioma a trzydziestoma procentami.

– A pan, panie Godard, co pan może doradzić? – zwrócił się kapitan do drugiego naukowca.

– Z pewnością nie jesteśmy na Ziemi ani na żadnej planecie naszego układu planetarnego. Obserwowana gwiazda jest zbyt duża, nawet przyjmując, iż znajdujemy się na orbicie dalszej niż umowna jednostka astronomiczna. Zdaje się, że planeta krąży na miejscu naszego Urana i rok równy tu jest stu sześćdziesięciu latom ziemskim.

– Po czym pan to wynosi?

– Po ogromie średnicy tutejszej gwiazdy centralnej. Niebieski olbrzym<sup>52</sup> zdaje się przerastać nasze żółte Słońce jak dziesięć tysięcy do jednego.

– Nie możemy znajdować się po prostu bliżej powierzchni gwiazdy

– Niech pan nie będzie śmieszny – skrzywił się Ocearus.

Tymczasem Godard perorował:

– Procesy, o których mówimy, i kolor gwiazdy sugeruje potężną masę, przewyższającą masę naszego Słońca być może o setki rzędów wielkości. Procentowa zawartość tlenowej atmosfery planetarnej być może jest zdolna przeciwdziałać szkodliwemu promieniowaniu, wytwarzając ozonową warstwę ochronną o niespotykanej wręcz na Ziemi grubości. Odczuwam też pewien opór podczas zwykłego ruchu pływającego.

– Cóż to może znaczyć?

– A nie domyśla się pan? Zaintrygowany zjawiskiem, zaraz po wynurzeniu w oceanie tego świata udałem się na personalną wagę w kajucie medycznej. I co odkryłem? Ciężar mojego ciała w nowym polu grawitacyjnym wzrósł o więcej niż trzydzieści procent.

– Czyżby miał pan na myśli pańską wagę ganimedową?

– Nie, ziemską. Mamy więc do czynienia z planetą o łącznej masie równej Ziemi i Marsowi, a to implikuje grubszą warstwę atmosferyczną, niesłychane, może wielowarstwowe skomplikowanie pogody i być może pewne problemy w formowaniu się właściwej perspiracji. Spodziewam się gwałtownych zmian synoptycznych w pasie nabrzeża i istnienia w głębi lądów potężnych obszarów pustynnych.

– I to wszystko wywiódł pan z tak minimalnej bazy danych?

Naukowiec potwierdził ruchem głowy i uśmiechnął się słabo do profesora.

– Zgadzam się z doktorem Godardem – wtrącił Ocearus Molier. – Trzeba z całą mocą podkreślić, iż te różnice nie pozwolą nam na szybką aklimatyzację. Na długie tysiąclecia pozostaniemy tu kalekami. Człowiek jest związkiem symbiontów, to jest organizmów, które stale przybywają z zewnątrz, aby wziąć udział w jego procesach życiowych. Co przyniesie obco-planetarna mikroflora i fauna? Krótki wdech może kosztować nas tu życie. Śmiertelną infekcję może spowodować nawet łyk skażonej wody. Sugerowałbym raczej pozostawienie ganimedowego płaszcza wodnego wewnątrz pokładów i niedaleką eksplorację wizualną. Wkrótce możemy nie być w stanie odnaleźć punktu zwrotnego.

– Straszy nas pan? Przecież już udowodniono, iż wszystkie te oceany łączą się w wielką galaktyczną całość. Stąd nasze życie jest możliwe na księżycach Jowisza i nie różni się wielce w formie. Dowodzą tego europejskie prace z dziedziny symbiontologii mikrobiologicznej. Układ immunologiczny musi pozostać wydolnym na każdej planecie, czy znajdzie się ona w naszej Galaktyce, czy w innej.

Profesor, nie dowierzając jawnej ignorancji, tylko pokiwał głową.

– Ostrzegam pana. Punkt Necrolotum zdaje się nie być tu związany z żadną konkretną lokalizacją. Prąd po prostu wmieszał się tu, jakby biegł znikąd. Zostaliśmy wyrzuceni na mieliznę jakiegoś przypadkowego świata.



– Z tym akurat się zgadzam – rzucił Godard. – Znaleźliśmy się w sytuacji niebezpiecznej, mogącej zakończyć się permanentnym zbłądzeniem.

Kapitan zdawał się zastanawiać.

– Dobrze, wystarczy mi waszych rad. Proponuję tu wytrzymać dobę i w porze nocnej sporządzić mapy gwiazdne. Spróbujemy zlokalizować to miejsce, bo być może nigdy więcej stopa ludzka nie trafi do tej destynacji. Moja decyzja podyktowana jest również troską o trzy podążające za mną łodzie. Co będzie, gdy zbłądzone jednak tu przybędą?

– Najrozsądniejszym wyjściem dla ich kapitanów będzie udanie się prądem wstecznym. Co jak co, ale bardzo sprawnie przesyła on obiekt do punktu nadawczego – uznał profesor.

Należało podziwiać kapitana za takie postawienie sprawy. Mimo swych oczywistych wad miał silny charakter i solidne motywacje. Pan Molier żałował, że nigdy nie udało się go przekonać co do wizji odosobnionych prądów rozwoju ludzkości.

\*\*\*

Niemal całkowicie wynurzony statek kołysała lekka bryza. Od dziesięciu godzin nic nie zapowiadało tu nadejścia nocy. Horyzont mocno pociemniał, ale spokojnie można było obwinić za to zbierające się tam chmury.

– Echosonda zidentyfikowała zbliżające się rafy, kapitanie – oznajmił oficer pokładowy. – Najwyraźniej idziemy z silnym prądem oceanicznym w kierunku północnowschodnim.

– Błękitne słońce przesunęło się na niebie o zaledwie dziesięć stopni. Może w ogóle nie zajdzie? – zaniepokoił się Godard.

– Podejrzewa pan obrót synchroniczny?

– Jak najbardziej odpowiadałaby mi podobna konkluzja. Jednakże przeczy temu niewielka zmiana kątowna. Raczej podejrzewam leniwy obrót i gigantyczny obwód planetarny. Być może nasza mineralna dieta nie pozwala nam odczuć realnej wartości naszej masy. Pamięta pan naszą obojętność wobec wzrostu ciśnienia słupa oceanicznej wody? Winien był nas rozgnieść na miazgę. – Zaadresował ostatnią uwagę w kierunku Ocearusa. Ten uśmiechnął się enigmatycznie i potwierdził skinieniem głowy.

– Zawracamy – zdecydował kapitan.

– Ziemia! Ziemia! Wyłania się przed nami ląd na horyzoncie – zaanonsował rozentuzjasmowany oficer pokładowy.

---

52 Błękitne olbrzymy osiągają temperaturę powierzchni rzędu 20000 stopni Celsjusza – w porównaniu powierzchnia Słońca wynosi ona zaledwie 6000 C – co powoduje, że znaczna część energii gwiazdy zostaje wypromieniowana w zakresie nadfioletu, niewidzialnego dla ludzkich oczu. Ponieważ są to gwiazdy dość masywne, ich czas życia jest stosunkowo krótki i trwa od kilkudziesięciu do kilkuset milionów lat. Obecne

teorie przewidują, że większość z nich zakończy swe życie jako supernowe. Przykładem takich gwiazd jest Hadar i Bellatrix. Jako ciekawostkę podam, że nasze Słońce, wydając się takim niepozornym w porównaniu do nadolbrzymów, zalicza się do grupy pięciu procent największych gwiazd w Galaktyce i jako takie jest dostrzegalne z odległości 6500 lat świetlnych. Jakże potężne muszą być gwiazdy, których promieniowanie dociera do nas z dużo dalszej odległości? Warto wiedzieć, że 95 procent gwiazd w naszej Drodze Mlecznej jest mniejszych od Słońca. Gwiazdy te, ze względu na swoją niewielką masę i powolność spalania paliwa wodorowego przetrwać mogą do stu miliardów lat. Tyle że bardzo wątpliwą sprawą jest istnienie wokół takich słońc pierwiastków cięższych od wodoru i helu, bowiem te cięższe powstają we wnętrzu termonuklearnego pieca i ulegają dystrybucji w wyniku wybuchów właśnie supernowych. Tak więc o zdolności wygenerowania życia będzie decydowała tak zwana metaliczność systemu słonecznego. W widmie naszej gwiazdy wynosi ona 0.0122, co oznacza, że trzy czwarte zawartości obiektu stanowi wodór, resztę hel i tylko 1.69 procent odpowiada domieszce pierwiastków obcych typu: tlen, węgiel, neon i żelazo, niebędących jeszcze produktem spalania termonuklearnego naszego Słońca. Przypomnę, że obecnie zamienia ono wodór w hel. Stąd zaliczamy je do obiektów gwiazdnych populacji pierwszej, zawierających w sobie pewien spopielony dowód ewolucji gwiazdnej. Pierwsze powstałe gwiazdy posiadały prawdopodobnie metaliczność zerową i pozostały do dziś ciałami o niewielkiej masie, dlatego na próżno przyjdzie nam szukać wokół nich planet skalistych. Takim niezmiernie ciekawym przykładem będzie tutaj gwiazda HD140283, ze względu na swą długowieczność zwana Matuzalemem. Położona w gwiazdozbiorze Wagi, w odległości 190 lat świetlnych od Ziemi, składa się ona prawie wyłącznie z wodoru i helu. Jej metaliczność osiąga zaledwie jeden procent metaliczności Słońca. Należąc w klasyfikacji do podolbrzymów populacji drugiej porusza się ona z zawrotną prędkością 1.3 miliona kilometrów na godzinę.

Trudno było wszystkim powstrzymać ciekawość. Oto przybyli do świata, którego najprawdopodobniej nikt nigdy nie będzie w stanie zlokalizować. Ten jedyny raz człowiek mógł postawić tu stopę. Ten raz odetchnąć powietrzem bogatym w rozliczne korzenne wonie i urzeczony urokiem roślinności, nie musiał zmuszać się do powrotu w podwodne światy.

– Zarządzam podjęcie radykalnych środków ostrożności, to jest zmianę warty co pół godziny i pełne uzbrojenie – zwrócił się kapitan do załogi. – Na pokładzie zewnętrznym pozostaną wszyscy ubrani we właściwe kombinezony z zaopatrzeniem tlenowym. Resztę poproszę do iluminatorów. Nie będziecie nam w chwili obecnej potrzebni. Zarządzam dla pozostałych czas wolny od zajęć.

Jego słowa powitane zostały z radością i poklaskiem.

– Nie zamierza pan chyba zachęcić jakiejś garstki śmiałków do pozostania?

Kapitan spojrzał ostro na profesora. Powstrzymał jednak atak gniewu.

– Otrzymałem właśnie sugestię, iż niewielka grupa ochotników chciałaby podjąć się funkcji kolonizatorskiej. Przyznam, że pomysł to szalony, ale świat wygląda na piękny i w swej zbalansowanej postaci spokojny. Zainteresowani otrzymają beczki z nasionami, sprzęt rolniczy, broń i niewielkie maszyny, które zabrane z Ziemi przez pańskiego brata są nam całkowicie zbyteczne. Wszystko to, co nam w podwodnym świecie już się nie przyda, przejdzie na ich własność.

– Immanuel zebrał to wszystko?

– Wiesz pan, że mam tego pełną jedną ładownię? Poza tym zapanowało pośród części załogi zmęczenie. Dieta mineralna jest skrajnie uciążliwa. Przebywanie z rybami tylko niektórym sprawia przyjemność. Bierze górę instynkt, a ten ciągnie nas do życia lądowego, jakby działało kołowrotem. Niektórzy ludzie nie wytrzymują parcia cieczy. Wybiorą wszystko, byleby dalej już nie nurkować. – Zwrócił się do nadchodzących wybrańców w kombinezonach: – Kto składa oficjalną prośbę o zezwolenie kolonizacyjne?

Odezwało się kilka głosów, a że kompania spodobała się Molierowi, sam też podniósł rękę.

– Gdzie się pan pcha? – warknął w jego stronę kapitan.

– Po prostu się mnie pan w kulturalny sposób pozbędzie – zasugerował profesor.

– Nie ma takiej opcji. Popłyńcie pan z nami. Poda mi pan lokalizację wyspy fantomowej na Oceanie Południowym, a następnie dopomoże w zbudowaniu systemu kontrolującego ten chaos. Potem może pozwolę panu odejść.

– Widzi pan, ja nigdy się nie zgodzę, aby ktokolwiek z ziemskiej tłuszczy dołączył do kolonizatorów Ganimedesa lub Europy. Ta garstka obecnych w dalekim kosmosie wybrańców ma wreszcie szansę coś w naszej historii zmienić. Uzyskaliśmy od losu jedną szansę na milion, aby zbudować społeczeństwo w pełni zaaklimatyzowane, jednorodne i zjednoczone z otaczającym je środowiskiem. Wróciliśmy do korzeni, ale jakże bardziej ubogaceni złym, lądowym doświadczeniem. Nowe pokolenia już nigdy więcej nie pogardzą otoczeniem, nie staną się fałszywie wywyższone i niemal obce naturze. Ziemskie pomyłone, obcojęzyczne towarzystwo ma to do siebie, że jest od kołyski zatrute i tą zarazą nas, i wszystkich innych obecnych w tych przezczystych oceanach zbruka i w końcu unicestwi w bratobójczych wojnach.

– A więc nie pomoże pan?

– Choćby miał mnie pan zabić, nie. I jeszcze coś... Zrobię wszystko, żeby za śmierć mych przyjaciół poniósł pan najwyższą karę.

Profesora Godarda z braku odpowiedniej kadry postawiono za sterami. Drugi oficer trzymał oko na Molierze, któremu poruczono sporządzenie szybkiej mapy z danych uzyskanych przez wypuszczoną sondę balonową. Kapitan Von Settler widać obawiał się, iż staruszkowi może przyjść do głowy najbardziej szalony pomysł. A nic gorszego nie mogło się przydarzyć niż kolonia pod obcą gwiazdą wiedziona jego ręką.

Przedstawione zamazane fotografie stanowiły wyzwanie nawet dla największego specjalisty. Znajdowały się w fatalnym stanie. Żeby cokolwiek odczytać, należało posłużyć się zestawem specjalnych lup micron 2000. Pan Ocearus z radością podjął się wyzwania. Tymczasem Godard rozpoczął skomplikowane lawirowanie pomiędzy rafami. Wkrótce dobił do nabrzeża i zarządził rzucenie kotwicy. Przy wyładunku ludzi i sprzętu na ląd nie pozwolono być obu panom obecnymi, więc robili wszystko, by obserwować całe wydarzenie przez peryskop.

Kolonizatorzy rozeszli się po wybrzeżu. Wyglądali na ludzi zadowolonych. Przez całą następną dobę ziemską trwały przygotowania do złożenia pierwszej stacji. Murarkę szybko zakończono. I gdy rozmieszczono składany dach na budynku, kilka innych drużyn rozłożyło rusztowania czterech powietrznych sterowców z zapasów Immanuela Moliera. Napelniono supermocne pokrowce wodorem otrzymanym bezpośrednio z wody morskiej i zmontowano kosze, mieszczące po pięćdziesięciu załogantów z rodzinami. Sterowce zaopatrzone w niewielkie przenośne działka dziobowe i sporą ilość amunicji wystarczającej do obrony bieżącej, jakkolwiek śmiesznej w przypadku wojny na pełną skalę. Tym sposobem niewielka kolonia uzyskała swobodę ruchu i wolność w wyborze miejsca osiedlenia. Nie musiały to być przybrzeżne skały, lecz raczej tereny bardziej odległe, przyrzeczne lub przyjeziorne.

Wkrótce kolejna grupa, zachęcona tym widokiem, wyraziła chęć pozostania na stałym lądzie. Nie wszystkim uśmiechała się trwająca całe życie dieta mineralogiczna, zupełny brak używek i wstrętny podwodny seks.

Pozostało w nowym świecie dwa tysiące dwustu pięćdziesięciu sześciu ludzi, wliczając w to kobiety i nędzne, pokraczne od diety wodnej dzieci. Te wracały chętnie z powrotem pod powierzchnie wodne, zażerając się smakowitymi nadbrzeżnymi skorupiakami.

Zaraz na wstępie zdecydowano o nazwie planety, a grupa wolnych po pracy murarzy rzuciła się do wznoszenia monumentu upamiętniającego lądowanie, z tablicą szczerozłotą wybitą pośpiesznie na tę okazję przez kapitana Von Settlera. Postawiono też obok tymczasową konstrukcję hali ludowej, a w niej powszechnej sypialni, gdzie

odbywać się miały posiedzenia i narady, a w porach odpowiadających wieczorowi ziemskiemu odpoczywano.

Po niecałym miesiącu czasu ganimedowego okręt od zagospodarowanych wybrzeży wreszcie odbił. Żegnały go zebrane tłumy. Cała kolonia wyległa na brzeg. Wkrótce gromadę pochłonęła mgła oddalenia, a podwodny mechanizm zaterkotał i pozwolił kolosowi zejść na głębię.

– Słusznie pan postąpił – odezwał się spoza sterów dotąd milczący profesor Molier do kapitana, gdy ten zajmował się składaniem fragmentów chemicznej mapy rozłożonej na rozległym stole oficerskiej messy. Adwersarz spojrział na niego niemal ze wzburzeniem. Obaj towarzyszący mu oficerowie również unieśli wzrok.

– Jak pan śmie odzywać się do mnie tym tonem?

– Nie nawykłem do karności, kapitanie Von Settler. Poza tym nie jestem zobowiązany do niczego innego. Po prostu nie pracuję pod pana komendą. Obowiązki przy sterach przejąłem ze zwykłej nudy i będę szczęśliwy, mogąc oddać je komukolwiek z panów oficerów w chwili do tego stosownej.

– Będzie pan tam tak długo, jak długo będę tego od pana wymagał. Nie mam zamiaru marnować talentów moich ludzi i zatrudniać ich do tak pospolitej funkcji. Tym bardziej nie pozwolę im biernie sterczeć przy kole, gdy w tym samym czasie mogę wykorzystać ich w innym dziale operacji taktycznej.

– O, to była nieprzyjemna uwaga – ironizował profesor Ocearus.

– Jesteś pan osobą nieprzyjemną z obycia, tak więc pana traktuję. Przy najbliższej okazji przeniosę pana na pokłady starowodne, gdzie w kajutach trzymam ryby denne polujące na ścierwo w komunikacji gnilnej.

– Czyżby to była groźba?

– Proszę już samemu odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jeśli dalej będzie się pan upierał przy milczeniu, wykończę pana tak samo jak pańskiego brata, nie pozostawiając strzępka dla uroczystego pochówku.

W Moliera wstąpił szal. Szarpnął się, by zdzielić czymkolwiek kapitana, lecz nie potrafił ruszyć się z miejsca. Stopy pozostały uwięzione w zesnurowanych z podłogą butach sterowniczych. Stał tylko z wyciągniętymi rozpaczliwie rękoma, usiłując wcielić w życie pragnienie zemsty. Na nic zdały się wysiłki.

– Byłem pewny, że za śmierć Immanuela odpowiedzialny pan jesteś – wysyczał w myśli.

– Było nas w tamtej misji o jednego za dużo. Pomyślałby pan, że to ja byłem autorem pomysłu wulkanicznego wykorzystania? To ja zaprojektowałem astronautyczne wyrzutnie i z całym pakietem rysunków trafiłem do jego biura? Jeszcze na Cejlonie wpadaliśmy sobie w słowo. Po prostu wreszcie, gdy nadarzyła się okazja, zginął

słabszy. I jak widzę, tak już jest w tej anemicznej rodzinie. Wkrótce podzieli pan jego los.

– Nigdy nie wskażę panu drogi na Ziemię! – uparł się profesor.

– Wiem, już to słyszałem. Znajdę jakiś inny sposób. Poddam szczegółowej eksploracji wielopoziomowe oceany Ganimedesa<sup>53</sup>. Zajmę się archeologicznymi odmulinami. Wiem, czego szukać. Odnalezienie łącza kosmicznego jest tylko kwestią czasu. A teraz proszę pana, żeby zajął się kołem sterowniczym na poważnie i więcej nie zawracał mi głowy. Mam tu szczególnie trudną łamigłówkę do poskładania.

Statek objęły gwałtowne wstrząsy. Molier wkrótce potrzebował pomocy. Okręt był za wielki i za sztywny, by swobodnie móc podróżować w mieszaninie tak skomplikowanych, często przeciwbieżnych wodnych prądów. Do profesorskich uszu co kilka minut dochodziły komunikaty o nowych analizach chemicznych wody i za każdym razem, widząc niezadowoloną minę kapitana, drażnił go sardonycznym grymasem.

Pod wpływem ostatnich wydarzeń zmienił się nie do poznania. W jego oczach na stałe płonął gniew. Ściągał brwi raz po raz. Gmatwał własne myśli. Myślał tylko o zemście. Zgarbił się bardzo i w ponurym nastroju obserwował krzątanie wokół przyrządów nawigacyjnych.

Kapitan stał nieopodal i miał nań baczne oko. Kilku oficerów dokonywało niezależnych testów, w których wydatnie pomagał profesor Goddard. Wciąż nie natrafiono na nić łączącą z upragnionym Necrolotum.

– Jak tak dalej pójdzie, pozostaniemy tu na zawsze – zadrażnił atmosferę rechoczący Ocearus. – Nie widać nawet śladowych wartości chemii przejścia.

– Niech pan nie sieje zwątpienia, panie Molier. Z pewnością natrafimy na węzeł.

– Tyle że do tego czasu może wam zabraknąć ganimedowego planktonu i paliwa.

– Wysadzimy więcej ludzi na ląd.

– I pozostaną tam z pustymi rękami? Przecież podarował pan wszystko pierwszej kolonii.

– Niech pan więcej nie jazgocze. Proszę trzymać się kursu. W swej gadatliwości zszedł pan aż o całe pięć stopni na południowy zachód. Jeszcze trochę, a oddam pana dennym rybom. Bardzo szybko stanie się pan ich przysmakiem.

Profesor zamilkł.

Dopiero po tygodniu analiz udało się ustalić, skąd nadchodzi prąd wodny o nieznacznym podwyższeniu tak zwanych wymienników charakterystycznego białka. Natura, nie dość że stworzyła gigantyczny system galaktycznej panspermii wodnej, to jeszcze z całą mocą protekcyjnych wskaźników dążyła do najefektywniejszego jego wsparcia. Wkrótce obecność czynników białkowych stała się znacząca a i mechanizm śluzu kontaktowej sam wciągnął statek.

Znaleźli się w lokalizacji przyjowiszowej dopiero po dobie. Zaświadczyły o tym obecne powszechnie drobnoustroje, a potem skorupiaki magnetyczne charakterystyczne dla oceanów Ganimedesesa.

Byli z powrotem w domu.

Pozostałe trzy zagubione jednostki nigdy nie wróciły.

---

53 Jeśli by przyjąć ilość szacowanej wody na Ziemi za jeden objętości, to księżyc Jowisza, Europa posiada jej 2.4 razy więcej, Ganimedes 6.2 razy więcej, a księżyc Saturna Tytan aż 11.4 razy więcej wody niż zawiera nasza rodzinna planeta. Szacunki te biorą pod uwagę średnie głębokości oceanów: 4 km na Ziemi, 100 km na Europie i 200 km na Tytanie. Inny szacunek podaje, że jeśli by natomiast wytoczyć całą wodę z ziemskiej skorupy, to uzyskana kropla miałaby średnicę 362 km, gdyby uczynić to samo z otaczającymi nas w systemie słonecznym księżycami planet, to: Enceladus uzyskałby kroplę o średnicy 107 km, Dione 230 km, Europa 425 km, Pluton 487 km, Tryton 564 km, Kallisto 868 km, Tytan 910 km, Ganimedes aż 1131 km.



Po powrocie na księżyc Kapitan Von Settler nie krył zawodu. Otwarcie mówił o karze śmierci dla złoczyńcy, bo obarczył odpowiedzialnością za skutki zagubienia nie pomysłodawcę wyprawy do świata błękitnego olbrzyma, Godarda, ale osobę biernie się przyglądającą. W tym przypadku był nią profesor Ocearus Molier.

Co więcej, postawił go przed sądem ludowym w kolonialnej stolicy na Europie.

– Czy przyznaje się pan do winy?

– Jakiej winy? Nigdy nikt mnie nie przekona, że korzystne dla kolonizacji układu słonecznego będzie dodatkowe zaangażowanie wielomiliardowej społeczności Ziemi. Przeniesiemy z naszej planety nie tylko zarazy i konflikty, ale i nasze rozterki. Tylko skutecznie odizolowani od niechlubnej przeszłości będziemy w stanie zbudować nową, lepszą cywilizację.

– Nie wie pan, że cierpimy na niedobór kadry inżynierskiej? Statystyki wróżą bliską katastrofę – uznał za stosowne wtrącić słowo prokurator z urzędu. – Nasze niewielkie społeczeństwo starzeje się. Rozrodczość spada. Ludzie giną nie tylko w nieszczęśliwych wypadkach, ale i od podwodnej zarazy. Albo uciekają w szaleństwo totalnej mutacji. Nigdy pan nie słyszał o rybokształcie? U niektórych osobników płci męskiej już na początku diety mineralogicznej występuje wydłużenie i zwężenie głowy.

– Nie słyszałem – skłamał profesor, ciesząc się z wywołanego wypowiedzią zamieszania.

– Notujemy spadek populacji w tempie czterystu par rąk na rok. Nikt ich nie zastąpi, a dzieci nie wiadomo czemu rodzą się słabe i częstokroć ograniczone psychicznie. Współczynnik umieralności wynosi siedemdziesiąt procent. Nie robi to na panu wrażenia?

– Są inne kolonie i inne kalkulacje.

– Jakie? Niech pan wskaże ku nim drogę. Może podzielimy się doświadczeniami?

– Nigdy nie przyłożę ręki do waszego sukcesu. Śmierć mojego brata niech nie będzie daremna. W listach mnie uprosił, abym zamknął na zawsze drogę powrotu na Ziemię i sumiennie wypełniłem jego wolę. Dlatego proszę o wymierzenie mi najsurowszej kary. Znacznie to uprości moje zadanie.

– Proszę odprowadzić więźnia i wykonać wyrok najdalej jutro – uznał sędzia ludowy, waląc mosiężnym młotkiem.

– A to cóż takiego? – wyraziłem zdumienie i spojrzałem wymownie na pana Duncana, aż ten zdecydował się odłożyć podwodną strzelbę i oprzeć ją o skałę. Podniosłem ze skalistego podłoża fragment półpancerza, który od biedy i ja mógłbym do torsu przyłożyć.

Linfield próbujący ciągle zdobyć naszą przychylność, zaraz podpłynął usłużnie i zawisł, biorąc delikatny wyrób do ręki. Pozwoliliśmy mu na tę impertynencję, bo sami mieliśmy wątpliwość o rzeczy pojęcie.

– Jest to bardzo rzadki przykład rynsztunku ochronnego Ganimedów olbrzymich – stwierdził ze znanstwem. – Jak widzę, skopiowali w nim całkiem udanie naturę światów głębinowych. Część zbroi wyglądającą na łuskową, wykorzystałbym do ochrony. Zewnętrzna warstwa, częściowo pokryta fotoforem, jest przekształcona w wieloogniskową soczewkę. Połączona z nią przesłona umożliwia regulację natężenia i kierunku emitowanego światła. Ten akurat pancierz jest tworem sztucznym, wyprodukowanym w jakimś podrzędnym warsztacie. U spodu widać kilkanaście pojemniczków wypełnionych po brzegi żelazem. Podobnie bywa u niektórych gatunków ryb, u których funkcje narządów świetlnych pełnią gruczoły wypełnione bakteriami luminescencyjnymi. Tutaj pozostały tylko zaśmierdłe galarety.

Obrzydził mi całą rzecz skutecznie.

– Czyli nie za bardzo pasuje do nich określenie prymitywnych bestii? – zastanowił się lord Bizzard.

– Chemiluminescencja bywa ostatnio bardzo popularna w nawigacji sterowców pracujących w przykopalnianych złożach – zacytował z pamięci chemik. I z tego samego podręcznika Casstolea dodał: – Bioluminescencja może być też zjawiskiem ubocznym towarzyszącym innym procesom chemicznym, jak na przykład ta spotykana u grzybów. Wykorzystanie fluoroforów bywa więc w przyrodzie powszechne. Natomiast półpancerz pozwalający na dowolną manipulację świetlnym promieniem jest wynalazkiem genialnym.

– Tak. Też jestem pod wrażeniem – pochwaliłem w przyływie sympatii do istot, których występowanie w stanie wolnym mieliśmy zwalczyć w imię humanitarnych celów, czyli wąsko pojętych interesów ludzkiej społeczności.

Przejrzeliśmy półkę skalną w poszukiwaniu innych intrygujących szczegółów natury technologicznej, ale oprócz porzuconych w nieładzie narzędzi nie znaleźliśmy niczego więcej, co dałoby się wykorzystać w najbliższej przewidywalnej przyszłości. Niewielki pojazd, którym przybył pan Bizzard, również mnie intrygował, lecz szybko odkryłem,

iż nie posiada więcej paliwa i nie będzie zdolny zaprowadzić nas do dennych siedzib poszukiwanych ningienów.

Znów ogarnęła mnie czarna rozpacz. Gdzieś tam cierpiała kobieta, którą obelżywie potraktowałem, której ideałom miłości się sprzeniewierzyłem i która poświęciła dla mnie wszystko, nie odmawiając nawet życia. A ja tkwiłem tu, beznadziejnie powstrzymany i zagadany przez wątpliwej jakości dżentelmena.

Tak myślałem wówczas o Linfieldzie. Tymczasem chemik zdecydował się przygotować wiąchy w sposób umożliwiający odczytanie ich przez czającą się nieopodal rybę. Ostrobok bowiem spoglądał na mnie i niecierpliwie od czasu do czasu poszturchiwał.

– Czy twoja rybna istota mogłaby popłynąć po tropie? – spytałem, głaszcząc go po pysku. Rozbudziłem go tą pieśczętą. Odburknął niewyraźnie, że by mógł.

– Niech pan tylko nie mówi mu jeszcze dokąd, bo się zawiesi – mruknął lord.

– Zapomina pan, że ostrobok czyta z naszych jaźni nie gorzej od nas. Wie już doskonale, na jakie naraża się niebezpieczeństwo – odparłem, pełen sympatii do zwierzęcia. – Jak on potrafi bezdotykowo za sobą holować ciężary większe od jego masy? – spytałem Erica.

Ale ryba niespodziewanie odezwała się pierwsza.

– Tak samo jak ty, Jacku De Waay, potencją swoją potrafisz poruszyć wody głębinowe.

Spojrzeliśmy wszyscy zaskoczeni. Tymczasem trójkątny zwierz kontynuował:

– Szkolono niegdyś ludzkie talenty w wykrzywianiu metalowych prętów, ale woda jest tworzywem dużo łatwiejszym do obróbki mentalnej. Potrafił będziesz, Jacku, zawładnąć potężnymi kolumnami cieczy, przy których mój odmagnetyzm podróżny wyda się niewartym wspomnienia.

Nasze pytające spojrzenia pobiegły ku chemikowi.

Ten przez moment milczał, bardzo zajęty, ale widać masa, nad którą pracował, uzyskała odpowiednią konsystencję, bo ruszył się i do nas podpłynął. Kazał gadzinie roztworzyć pyski i wszystkie je od wewnątrz czerwoną pastą wysmarował.

– Widzi pan tę paszczę? Szczęki wyglądają przy otwarciu jak zrośnięte uzębieniem. Przypomina to kratownicę założoną na uliczną kanalizację. Nie ma sposobu, by ten stwór był zdolny gryźć i przeżuwać, dlatego ewolucja przekwalifikowała go na gigantycznego ssacza. Ostrobok od urodzenia zasysa stały pokarm i natychmiast go szatkuje. Małe ryby przelatują przez to naturalne sito pocięte na łatwostrawne paski.

– I też nic nie wydala?

– Będąc całkowicie ekonomiczną rybą – nic.

– Mówi pan o karmieniu. Nie rozumiem zatem związku z moim pytaniem o napęd.

– Nie jest to bynajmniej proste zasysanie. Ryba ta, jak wiele innych gatunków na Ganimedzie, ma owo ssanie nieco inne niż wy znacie z Ziemi. Mechanizmy fizyczne rozpędzone w nieznanym odmagneźmie wodnym kreują w cieczy wicher podobny do atmosferycznego. Powstały prąd wodny nie tylko jest zdolny z oddalenia upolować ofiarę, ale w klasycznym współdziałaniu kilku sztuk z odległości stu metrów rozerwać na strzępy cokolwiek większego. W fazie kontrolowanej krótki prąd podwodny, niczym sprawny wektor lokalny, potrafi unieść i przenieść ciężary podążające za rybą. Jednak gwarantuję, że przepływ taki jest dla dżentelmena ubliżający. Niesie go we wszystkich kierunkach, tarmosi na strony jak śmiecia, miesza z brudami ryby i jest tak niebezpieczny, jak kąpiel przy wirującej okrętowej śrubie.

– Chyba rozumiem. Śruba napędzająca statek działa na zasadzie ukierunkowanego odpychania od cieczy.

– Niech się panu tylko nie zdaje, że tutaj jest odwrotnie, bo wszyscy naukowcy europejscy głowią się nad problemem od lat. Moce wyzwolone przez zasysanie mieszają się z tymi telekinetycznymi i psychicznymi. Ostrobok korzysta również z uniwersalnego łącznika, jakim jest w tym przypadku roztwór wodny, w którym się znajdujemy. Ten też jest pociągnięty w reakcję dynamiczną i staje się totalnie jej posłuszny.

– Nigdy nie pojmę mocy tak pięknie ukształtowanej natury – ozwał się, cośkolwiek wzruszony. – Ale gdzież pan instaluje tę wiąchową pastę?

– Postaram się rozłożyć ją równomiernie na powierzchni zębów. Jest to proces niebezpieczny, bo krawędzie są piekielnie ostre. Stamtąd zostanie pobrana przy zasysaniu i poddana obróbce bezpośrednio w rybijm mózgu.

Zdecydowałem się na nurkowanie bezpośrednio w prądach zasysających Iurgee'ego, co zostało przyjęte przez obu towarzyszących mi panów najpierw z niechęcią, a potem jawną irytacją. Panowie arystokraci chcieli płynąć osobno, a nie za brudasem. Z wielkim trudem udało mi się zażegnać konflikt, ustawiając ich w lokalizacjach najczystszej wody, gdzie złuszczone drobica skórna i muł z ostroboka nie dochodziły. Ruszyliśmy po niecałej godzinie treningu synchronicznego. I tu pojawił się pierwszy problem. Szalenie trudno przychodziło nam utrzymanie ciała w zasięgu strugi napędowej. Miał rację chemik, że będzie owo holowanie trudnym, ale żaden z nas nie przypuszczał, iż może być niewykonalnym.

Znalazłem więc krótką linę. Zawiązałem supeł i wsadziwszy do rybiego pyska, kazałem na wszelki wypadek trzymać, byśmy się nie pogubili, bo ostrobok zbyt mocno rwał w swym pędzie do przodu.

Po jakimś czasie się uspokoił i w zsynchronizowanym rytmie podróżowaliśmy już bez liny.

Miałem teraz czas na podziwianie krajobrazu.

Ujrzałem inne ostroboki idące w lekkim oddaleniu. Nie wiedziałem, czy poprzednio należały do tej samej gromady, czy też zaglądały tu z prostej ciekawości. Iurgee nawiązał z nimi kontakt elektroniczny i dowiadywał się głośno o koneksje, potem pokierował je w stronę głębin, tam gdzie i my się udawaliśmy, lecz nie wszystkim destynacja się spodobała, wiele nie posłuchało. Kilka najdorodniejszych sztuk zawróciło z drogi hipnozy i przymusu. Stadko popłynęło ku odległemu, rozjaśnionemu niezwykłymi minerałami sklepieniu.

Gdybym wtedy wiedział, jak postępować z onymi drapieżnikami, zapewne przejąłbym je silnym, modulowanym głosem i hipnozą. Były bowiem pośród środowisk księżycowych intratnym nabytkiem. Niewielka szkółka trójkątów kosztowała krocie, a sztuki dochodzące do dwustu kilogramów żywej wagi i z aktywnym płoniem gnilnym rozchwytywane były w miastach ludzkich i na pniu kupowane.

Dotarliśmy po jakimś czasie na dno. Tutaj rybnie było łatwiej nas holować. Jakimś cudem rozwirowany welon pędu jeszcze przyspieszył. Zadziwiające, jak potężny wzbijaliśmy obłok wolno opadającego mułu. Dno się pofałdowało, przecięły je gigantyczne, kręte wąwozy, by w moment potem znów runąć potężnym uskokiem w głąbię. Trzymaliśmy się skalnej ściany, mijali ostre granie zaledwie o centymetry i zapadli w nieprzebrane mroki coraz szybciej, z większą brawurą. Poczulem gwałtowny lęk.

Trwoga ogarnęła również Linfelda.

Tylko pan Duncan zachowywał właściwy dżentelmenowi spokój ducha.

W kilkanaście godzin później zatrzymaliśmy się na krótki postój. Ostrobok zgubił widać trop i wahał się, którą w tych fatalnych ciemnościach wybrać drogę.

Zapragnęliśmy go wspomóc radą. Zaaranżowaliśmy prymitywny stół. Na nim rozwarliśmy mały trójnóg kieszonkowy, który nosił ze sobą wszędzie lord Duncan. Następnie przemyliśmy każdą jego część z naleciałości lub podróżnego błota. Niezawodna, składana hornetta 250 spoczęła w trzymadle śrubowym. Poniżej ułożyliśmy kompas i ciśnieniomierz Morcocka. Udało nam się igłą magnesu ustalić kierunek, w stronę Jowisza, i wypatrzeć w niewiarygodnym wprost oddaleniu oceanicznym zaledwie pełgające światółko przypuszczalnej destynacji.

Pomyśleliśmy natychmiast o zagubionym wędrowcu i historiach zasłyszanych z ust przypadkowych majtków łodzi podmorskich, mianowicie o zdziwaczałych biologicznie osiedleńcach i niesionym przez nich złym fatum dennych organicznych miazg.

Bywało bowiem, że zagubiona ludzka horda, wędrując poprzez owe głębiny o niespotykanej gęstości – bliskiej trującym żelom – polowała na grubego zwierza, zanieczyszczając środowisko własnymi sfermentowanymi fekaliami. Niewielu marynarzy widziało dzikusów, ale coraz częściej mówiło się w miastach pływających o wyrzutkach Atlantów znanych z zamiłowania do złodziejstwa.

Po cichej rozmowie ze zwierzęciem postanowiliśmy udać się w kierunku pełgającego światła. Ostroboki miały to do siebie, że mocno się spłaszczą w obliczu niebezpieczeństwa. Jeżyły grzbietowe płyty, nabierały upiornego kolorytu charakterystycznego dla atakujących głębinowych stworzeń i wyostrzały szpony w przedłużeniu chowanych w kieszeni brzusznej kończyn. Brałem owe objawy za przygotowanie się do walki. Widać Iurgee spodziewał się najgorszego.

Po niejakej chwili znów daliśmy się w wir porwać. Tym razem szliśmy wolniej i to przy samych skałach, bojąc się unieść nawet ziarenko piasku ponad poziomy. Poruszaliśmy się w charakterystycznym dla ostroboków wydłużonym bąblu napędu

prądotwórczego. Strefa krystalicznej czystości ośrodka była ściśle odgraniczona od wód zewnętrznych, które wydawały się zimniejsze i na sztywno stojące. Wyciągnięta poza nią dłoń natrafiła na silny niemal do bólu opór. Pędziliśmy ponad dziesięć metrów na sekundę. Znow podeszliśmy za blisko do dna, znow wzniosły się potężne słupy wzburzonego ruchem mułu, jakby walczyły ze sobą gigantyczne homary.

Zbliżaliśmy się nieustannie.

Przyznam, że drgnęło we mnie boleśnie serce.

Przecież z mojej to winy ukochana ma cierpieć kaźnie.

Wyrzucałem to sobie i wyrzucać będę na wieki.

Z najniższego pułapu przydennego wielorodzinne gniazda ningenów jawiły się jako potężna forteca pełna zjeżonych wieżyc. Dotarliśmy w pobliże po kilku godzinach żmudnego kluczenia w labiryncie czarnych koralowców i ostów wysokich na całe metry. Pierwsza z budowli, nieco mniejsza i oszczerbiona u szczytu, dała nam wyobrażenie o skali konstrukcji. Przypominała mineralne wydmuchowisko wulkaniczne, któremu przypatrywałem się ongiś w podróży nurkowej jeszcze na Ziemi. Tyle że w przypadku ganimedowym były to większe, wprost niebotyczne formacje, najpewniej powstałe w konstrukcji sztucznej ze zlepionej spoiwem olejowym wypalanej cegły lub kamienia kawitologicznego uformowanego w gotowe, mocno przystające bloki. Wkrótce oglądaliśmy dwa następne gniazda. Dużo większe w obwodzie, bo dochodzące do czterystu lub sześciuset metrów. Wzniesione zapewne przed wiekami, tym razem w konstrukcji ceglanej, wspinały się ponad nas, niemal sięgając poza możliwości odbiorcze wzroku. W dalekiej głębi tego siedziska ciągnęły się rzędy następnych, zatkniętych w dnie niczym chorągwie budowli. Ogółem naliczyłem ich powyżej czterysta.

Pomiędzy nimi denna ziemia usłana była śmieciem, nierozpoznawalną miazgą lub ścierwem pozostałym z polowań lub biesiad. Eric wyjaśnił mi, że ningeny rzadko kiedy schodzą do fundamentów. Ich życie koncentruje się przy wylotach. Tam dochodzi do częstych rui i samczych paradnych spędów.

Architektura ta była zadziwiająca artystycznie: mroczną linię zdobień pokrywały filigranowe zrosty roślinności. Ujrzałem mrowia kroczących ostów, odłamujących się płatów grzybiczych narośli lub podróżujących z leniwym prądem wodnym lilii.

Ostrobok uznał, iż dostaliśmy się w pobliże ukrywanej hrabianki.

Powiem, że w gardle ze wzruszenia stanęła mi pokaźna gula. Drżałem cały. Myśli chodziły po mnie jak błyskawice. Raz po raz wyjmowałem rewolwer, odbezpieczałem i chowałem na powrót. Pociłem się strasznie albo tylko mi się zdawało.

Ostrobok, widząc moje roztrzęsienie, kazał za sobą wolno podążać, a sam rozpoczął nasłuchiwanie ścian. Po chwili z worków brzusznych wydobył długie ręce i począł nimi namacywać w kamieniu fałd i nieregularności. Wkrótce przebył kolejną setkę metrów,

tuż przy dennych osadach. W chirurgicznym skupieniu i z dbałością przepatrywał, poszukiwał nici i więzi, których nie rozumiałem. Zauważyłem też, że wytryskiwał z pyszczka wydzielinę klejącą się do ściany i czyniącą ją przezroczystą do pewnego stopnia dla myśli.

Sami mogliśmy z onych zamazanych wizji korzystać do woli.

A więc patrzyliśmy z rosnącym napięciem.

Ujrzeliśmy wnętrza wyposażone w piękne sprzęty. Towary najwyższej jakości i szkła dymne umieszczone były na półkach. W kredensach roilo się od broni białej, noży i kaleczących wszelką skórę drobiazgów. Dalej widzieliśmy ciasne pasztecziarnie podmorskie i wszelakiego rodzaju piwniczki do przechowywania co godniejszego żelu pitnego, który nalany do szklanych kubelków pozostawał na dnie po wsze czasy, jeśli wcześniej nie był zlizanym lub ze smakiem wysiorbanym.

Nieopodal, w jednej z wieżyc o masywnej podstawie żelbetonowej, odkryliśmy sprzęt zaskakujący, bowiem wyglądał, jakby zgromadzony został w celu dokonania inwazji. Najpewniej chodziło tu o rozpętanie żywiołów wojennych na Ziemi lub na planecie jeszcze dalszej, ale na pewno lądowej, gdyż potężne maszyny posiadały koła i wspinacze zupełnie niepodobne do gąsienic.

Przepełniliśmy chyba kolejny kilometr i otoczeni już całkowicie stłoczonymi kominami spojrzeliśmy na ostroboka z całkowitym zdumieniem, bo oto przygotowywał się do drążenia murów wyzwolonymi ciekami własnych prądów. Gdybym nie wiedział, że woda w jego operacji jest tylko narzędziem i telekinetycznym wyrazem jego potencjałów, uwierzyłbym w manipulacje czarcimi mocami, źródłowo niezwiązanymi z tym światem.

– Ważnym jest – powiedział rybostwór – aby nie uczynić zbyt wielkiej straty strukturalnej, bo wtedy masywny rozgniewany ningen nie będzie potrafił w gniewie staranować ściany. Musi konstrukcja pozostać w swej strukturze niewzruszoną, wtedy tłum ich pomknie do wierchów, gdzie jedyne znajduje się wyjście i wejście. Panie Jacku, niech pan obserwuje i sam rychtuje jaźń do rozróby w wodzie. Dysponujesz pan niecodzienną mocą. Zaczynaj od kropli.

– Kroplę mam ruszyć myślą? A gdzież ona? – zaśmiałem się.

– Pośród miliardów innych. Wszędzie. Znajdziesz ją najlepiej i z miejsca uformujesz. W tobie nasza nadzieja. Jeśli nie odnajdziesz własnej mocy, ningeny bez respektu nas zagniotą. Twoja osoba musi zmierzyć się z wyzwaniem. Uczyniwszy niewielką przeręblę, przekonamy bestie, iż to tylko początek agresji, uwierzą że większe siły planują inwazję i oczekują starcia na zewnątrz. Ruszą, by zetrzeć domniemane wrogie źródło z powierzchni dennej – mówiła ryba, tym razem spójnie i logicznie, co brałem za wynik naszego wspólnego, lepszego dostrojenia. – Pozwólmy im tak myśleć.



Pozostali panowie niech tu przy dziurce czekają i szykują się do własnej obrony, bo o ile włamanie będzie łatwe, ucieczka stąd może okazać się niemożliwą.

– A czemuż to? – spytał rozszłoszczony lord, gdyż nie podobało mu się, że rządzi nami i planuje przyszłość ryba. Poza tym, jak go znałem, intrygowały go piwnice i zawartość mebli kominowych widzianych przedtem na podglądzie. Na siłę pragnął się wepchnąć za nami.

– Mam same dobre wieści. Hrabianka tam czeka wyzwolenia. Jest przytomna i zdrowa na ciele. Są przy niej najstarsze osobniki patriarchalne. Będąc najbardziej masywnymi, naszej dziury nie spenetrują. Jednak pozostałe ningeny poniesione wściekłością i nadmiarem wyzwolonego jadu obronnego, ruszą ku wylotowi, by dopaść nas po przeciwnej stronie. Mamy tylko kilka minut zapasu.

– A mniejsze osobniki? – spytałem.

– Cielaki ze względu na prowadzone szkolenia zwykle czekają u wylotów.

– Dobrze. Róbmy coś, bo rozniosą mnie przeżywane stresy – odrzekłem, ganiąc wszystkich w myśli za opieszałość.

Na słowa me ostrobok zareagował jeszcze bardziej wyteżoną pracą. Pomagałem mu co sił i inni również nie stronili od wysiłku fizycznego, usuwając wykruszenia i demontując luźne partie kruszącej się ściany.

Rzucaliśmy wszystko za siebie, zanim nie przyuważyłem pewnej różnicy.

Oto dno pokrywały bowiem fragmenty jakiejś zrośniętej tkanki będącej zapewne izolatorem. Stanąwszy na niej, poczułem gwałtowne falowanie i śliskość, jakby skrywała pod sobą rozkładające się mazię. Natychmiast też coś przypominającego długie włosy tysiącami uniosło się z tworzących kobierzec nici i poczęło się wspinać i kleić do butów. Jeszcze chwila i tkanina by mnie wchłonęła, być może przekazując do dalszej konsumpcji bytom podskórnym. Zaniepokojony, uniosłem się na dobry metr ponad poziomy. Tutaj się uspokoiłem. Pod dnem podejrzewałem bowiem istnienie jeśli nie fabryki założonej rozumem, to zdziczałego pola błotnego ciągnącego się być może aż do nieznanych obcych światów.

Dalej kopaliśmy.

Trudno było mi się o cokolwiek zaprzeć, a w tylnych śmigłach nie czułem się lepszy. Patrzyłem tylko na ostroboka. Tam, gdzie rybostwór uparcie niuchał, zatopił też produkujące potworny żar myśli. Wiercił nimi i jednocześnie przenikał głębiej. Pomagałem mu w tym, pomny tego, co tak niedawno mi powiedział. Wkrótce potrafiłem poprowadzić cięcie wzdłuż złożenia linii budulca, tak że zaczął kruszyć się mur. Wypadały cegły. Spojrzałem na lorda zadowolony. Ten, jak nic zazdrosny, tylko wzruszył ramionami. Powstała dziura wycisnęła z wnętrza stare pasożyty, śluz i błony jakoweś, tak że z obrzydzenia tylko cofnęliśmy się o dobre parę metrów. Potem ostrobok bez zapowiedzi wdarł się w głąb, ciągnąc mnie prądem swoim za sobą,

czyniąc tam we wnętrzu zamieszanie, tumult równy nalotowi setki intruzów, budząc w bestiach ryk niespożyty i gwałtowny, pełen złości pęd ku górnym kłapom.

Spojrzałem ku odległemu wierzchołkowi. Komin piał się ku zenitowi na wysokość dobrych kilkuset metrów. Płonęły tam kaganki żarliwie rozpalonych kryształów. Żadna poczwara nie była w stanie w tej ciasnocie osprzętów, półek i zawieszonych mebli dokonać owej wspinaczki w pięć minut. Uśmiechnąłem się do swej myśli. Dopiero teraz zrozumiałem planowaną taktykę zwierzęcia. Poklepałem je po szorstkim pysku i pogratulowałem w myśli, co woda skrupulatnie doń poniosła.

Przypomniałem sobie lorda Duncana, gdy sekundę wcześniej podawał mi mój rewolwer przestawiony na krótką serię, a sam przygotował sztucer wodny do walki. Mówił i kierował lufę w stronę wyrwy, jakby spodziewając się czegoś okropnego, co za chwilę miało z niej wychynąć.

– Niech pan podąży szybko, trzyma się rybiego prądu. Tylko on pozwoli panu na maksymalny i bezkolizyjny przepływ. Szkoda każdej sekundy. Przykre byłoby, gdyby coś wam się stało – podpowiedział. Sam miałem podobne czarne myśli. Poczułem w tym momencie do ryby wielki sentyment za jej oddanie. Wsunąłem się tym radośniej do środka.

Kiedy wzrok przyzwyczyił się do ciemności, ujrzałem szybko oddalający się w stronę zenitu ruch wirowy, jakby ciecz gotowała się tam niczym taniec zdziczałego tłumu. Łatwo pojąć, że myśli, które snuły mi się po głowie, były mętne i niewyraźne. Z trudem przypominałem sobie, po co tu jestem. Włamanie, potem wlot w okropne, zatęchłe od dawnego niewietrzenia wody odbiły się na jakości z trudem chwytanego oddechu. Potem bolesny upadek i krótkie przychodzenie do siebie na śliskich kaflach. Wciąż czułem się zgubiony w ogromnej przestrzeni podłogi. Widziałem w mroku błyski i niewyraźne kształty. Poruszały się, zmierzając w moją stronę. Całkowity brak dźwięku nappełnił mnie nagłym przerażeniem, przecież nawykłem do jego bogactwa. Przeklinałem siebie za strach, poniżenie i za niezawinioną nieruchomość. Paraliżowała mnie czyjaś wola lub sytuacja. Wyzwalała w mej świadomości wizję groźnej przyszłości, która raz po raz objawiała się w całej okropności.

Niedostateczne oświetlenie nie pozwalało dojrzeć obydwu ścian naraz. W świetle pokracznym, idącym z kilku punktów muru, ujrzałem przycupniętą, ogromną postać ningena. Skradał się. Nie posiadał bynajmniej nóg, to tułów jego był zmarszczony i rytmicznie to się kurczył, to rozszerzał, przyczepiając w nowym punkcie ściany lub podłogi. Pomimo tej groteski chodu nie przestawał być groźnym. Jego stan wynikał być może ze starości. Pozbawiony kości, wietrzejących u tych bydłał z wiekiem, degenerat tak dziwnie był skrócony. Z trudem potrafił się ruchem robaka na kursie pomieścić, a chciał czegoś tu z desperacją własnym ciałem bronić. Zniedołężniały, z trudem kontrolował ruchy, które w sztywności wyrazu i prostoty mogłyby rodzić

podejrzanie bycia w swym źródle zmechanizowanymi. Być może posiadał multum maszynowych implementacji i cały chodził tylko na hydraulicznych wspomagaczach, wykorzystując do tego celu oceaniczne ciecze?

Popłynąłem w jego kierunku z rewolwerem pana Bizzarda, zabezpieczonym i wycelowanym, bo pewny byłem, iż zaatakuję i jedną kulą go rozniosę, gdy tymczasem z boku nadpłynął ostrobok i kazał mi go zignorować.

– Niechże pan nie będzie głupcem. W kropli znajdzie się więcej energii niż w ołowianej kuli – siorbnął. Forma ta była dla mnie nowa, ale być może spowodowana sztuczną tu w każdym względzie ciszą, dała się świetnie rozumieć. Jednocześnie wskazał drogę do pomieszczenia z boku. Było to zaledwie przepierzenie ze świeżo zmienianą wodą, która dolatywała tu jednym ciągiem z dwóch potężnych, elastycznych odprowadzeń.

Wpłynęliśmy do środka.

Już zadrzałem z niecierpliwości ujżenia mej pani.

I znowu nic.

Ale zaraz...

Stały tu w rzędzie misy, do których przywiązano ofiary. Sam zdrętwiałem, gdym w jednej z nich ujrział naszego pokładowego chłopaka cierpiącego nieprawdopodobne męki związania i cielesnego wykręcenia. Dzieża wyglądała jakby wytłoczona ze szczerolotej blachy, z rzeźbieniami dospawanymi dopiero później. Obrzeżały ją gęsto perły tak lśniące, że aż obrzydliwe. A pasy krępujące ofiarę wykonano ze szczerej nici platynowej, subtelnej i elastycznej, niezwykle trudnej do przecięcia.

Pośpiesznie rozsypałem foniczne sole.

Abelia miała na sobie owej nocy strój wykonany z metalicznych łusek. Ciasno opinał jej nabrzmiące kształty. Ze zdumieniem odkryłem jej stan błogosławiony. Jęknąłem w rozpacz, słusznie podejrzewając liczne gwałty. Najpewniej znajdowała się w stanie bliskim porodowi, bo jęczała, zaciskając sine usta z bólu. Mój Boże, zaledwie po miesiącu? Czegóż to obca fizjologia i diety denne nie potrafią zdziałać? Gdy skurcze brzuszne stawały się regularniejsze, była zdolna trzeźwo myśleć. Wystający, wielki brzuch miarowo pulsował, jakby zaraz miał pęknąć.

Wtedy mnie ujrzała.

Zaszarpała się w swej pułapce.

Przyznam szczerze, że taka żałość we mnie wstąpiła, iż byłem gotowy zawyc. Rozplątałem więzy krępujące i przyciągnąłem lubą do siebie.

– Mój Jacku – jęknęła, natychmiast mnie całując. Była tak bardzo szczęśliwa, rozdygotana i mdlejąca z rozkoszy, iż obawiałem się o jej zdrowie. A nuż spełniły się jej marzenia i skłonna była teraz poddać wolę przetrwania bólowi i wycieńczeniu, by umrzeć? Nie wiedziałem, co robić...

– Abelio? – zapytałem, upewniając ją co do prawdziwości świata i do obecności w nim mej osoby. Nie żalowałem wtenczas uścisków i pocałunków.

I nic.

Jakby zemdląca.

Zauważyłem jednak, iż wolno unosi piersi, że faluje na niej mechanizm szyjny.

Oddycha!

Bez namysłu spróbowałem ją unieść. Pociągnąłem. Rzuciłem się wraz z nią do tyłu. I jeszcze raz. Nie dało rady. Coś mój ruch powstrzymało. Spojrzałem z dziką furją. Sznur długi na kilka metrów zlepiony z łydką mej ukochanej więził ją w miejscu i prowadził w poplątanej linii do ściany. Rozpoznałem przewód prądowy, którym na Ganimedesie zamiast cesarki wspomagano trudne porody. Jedną ręką pannę utrzymałem, a drugą zacząłem rąbać ostrzem znalezionej grzewczej stali, aż tryskały w bąblach włókna i buchała para. W wodzie tylko tej sztuki mogłem popróbować.

Żar wytworzyłem tak straszny, że sam bałem się poparzenia. W potężnych parowych bąblach wzniosła się wrząca rosa, tryskała i pięła się ku górze, omijając nas o centymetry. Srebrna ta rzeka rozlewała się ponad nami, wypełniając dziwną pianistą substancją przestrzeń komina, aż ku odległym jego, postrzępionym końcom. Czułem, że prowadzę moją Abelię niby moczarnicę na postronku.

Wreszcie sznur parszywy uległ rozkruszeniu.

Przeszło mnie potwornie bolesne mrowienie. Spojrzałem w panice na własne, poruszające się w gorączce nogi. Czyżby uległy ugotowaniu? Nie. Były czyste, choć mrowienia je przechodziły okropne.

Abelia poruszyła się, a ja ze szczęścia zapłakałem.

Dopiero teraz się zorientowałem, że to mój ostrobok ponagła mnie niespokojnym biadoleniem i ono przedkłada się na fizyczne bóle. Słowa zaczerpnął pewno z gnilnej mowy, bo ogólnoustrojowe mrowienie zazwyczaj było jej wstępem. Cofnąłem się i gniewnie go szturchnąłem. Zaraz potem przyciągnąłem narzeczoną ku sobie i usiłując oczyścić jej nogę z kleju i z resztki sterczącego sznura, wypłynąłem na zewnątrz przepierzenia. Rozbudził ją ten ruch kompletnie. Usiłowała mnie powstrzymać, bo mknąłem już za rybą ku wyjściu.

– Musimy się śpieszyć! – prawie ryknąłem, bojąc się o los nasz i przyjaciół.

Gry światła i cienia na jej twarzy ułożyły się tymczasem na dźwięk mej myśli upiornie.

– Po tym, ile dla ciebie zrobiłam, winien mi jesteś choćby chwilowy posłuch – zaprotestowała prawie z płaczem.

– Przecież udawałaś pani mężczyźnę!

– Robiłam to nieumiejętnie. Każdy by się zorientował. Tylko ty bałeś się ośmieszenia.

No cóż, miała rację. Zrezygnowany całkowicie, zawróciłem tam, gdzie chciała. Sypałem z kieszeni solami, z trudem asekurując jej pośpiesznie wypowiedane słowa:

– Phologhon, który mnie zapłodnił, był przystojnym geodetą. Jego posiadłości kominowe ciągną się aż do Urwiska – dodała, ciągnąc mnie w stronę niedalekiej ściany. – Dorobił się na szlachetnym mule ściągającym tutaj w beczkach spod marsjańskiego oceanu. Posiada więc skarby nieprzebrane kruszców i magnesów o różnych promieniach. Musimy podejść do schowka, bo jedna niewielka szkatuła przynależy się mojej osobie za wykonane usługi.

– Dziewczyno, przez te kosztowności życie stracimy – próbowałem ją napomnieć i od zamiaru odciągnąć.

Nie dało rady.

Musiałem przez wzgląd na jej ból i kondycję do wskazanej ściany podpłynąć. Wygrzebała tam z przykręconej wielkimi śrubami komody niewielki metalowy pojemnik pełen drobiazgów. Wcisnęła pod pachę, co przyjąłem z ulgą z uwagi na skromne gabaryty szkatuły i odwróciła się uszczęśliwiona. Rozsypałem z kieszeni tyle soli fonicznej, ile pozostało, by poprawić nasze wzajemne zrozumienie i znów począłem nakłaniać ją usilnie do powrotu. Zauważyła, co czynię, i na szarpanie niecierpliwe odrzekła:

– Cóż mi czynisz, Jack? Toż to jawne marnotrawstwo. Sole winny były dostać się do ucha, gdzie mieści się naturalna nasza słuchawka. Poczekaj, mam coś. – Przystąpiłem na jej marudzenie, by oszczędzić nam zbędnej dyskusji, ale przyznam, nerwy we mnie już szalały i napięcie rosło. Przecież w głowie miałem te wszystkie gwałty i zбочzenia, a ona... jakby, ot tak, wychodziła sobie z ulubionego jej domu, miast uciekać, gdzie oczy poniosą! – myślałem z goryczą. Tymczasem Abelia odnalazła niewielkie puzderko gdzieś przy sobie, otworzyła i zaczerpnęła z niego jasnej maści, jakby smalcowej, i podała mi. Nie komplementowałem, nie zadrażniałem, tylko impregnowałem wnętrze ucha mazidłem, od razu znajdując w tym ulgę i zrozumienie. – I takie tutaj aplikuje się do kanału słuchowego żele, że woda staje się pośrednikiem i jasnym ośrodkiem niosącym nie tylko myśli, ale i doznania erotyczne. Całkiem ciekawe.

– Miałyby ciecz działać na zasadzie telegraficznego drutu?

– Nie inaczej. Ciągnie się od ucha do ucha na kształt nieskończonego kabla, jak się to dzieje w aparacie telefonicznym pana Bella. Nic więcej nie potrzeba. Dlatego taka głuchota cię tu ogarnęła zaraz po wejściu, bo panują tu wody bezfoniczne – przypomniła mi mój niedawny stan. – Teraz...

– Teraz stąd już wijemy, miła panno, bo minuty nasze będą policzone.

Znów mi się oparła i przyciągnąwszy do siebie, rzuciła:

– Większego od ciebie stukrotnie potrafiłam myśleć i śpiewem usidlić. I tobie dam radę, ty mój wybawco. – Przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała z radością i

czułością taką, że prądy życia mnie wszystkie na chwilę opuściły. Zdrętwiałem od tego i z rozkoszy prawie obumarłem. – Jeszcze chwilka i pójdziemy. Jack, musisz tylko zobaczyć jego kredensy! Są wyrabiane ręcznie, bowiem stworzenia te są niepomiaralnie manualnie uzdolnione. Ręce jak u człowieka! Obie zorientowane na prawo. W możliwości artystycznej i operatywnej przewyższają wszystko, co do tej pory widziałam.

– Abelio, nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa – perswadowałem, wciąż płynąc w ślad za nią. – Ale rozumiem, że być może obca ciąża robi ci szkodę. Kwasy płodowe, jakie zalewają ci krew hormonami, deprawują ludzki instynkt przetrwania.

– Tylko momencik – znów jęknęła.

Ujrzałem kątem oka, że ostrobok wraca i z rosnącą rozpaczą nas poszukuje.

– Meble są wyrabiane z kościanych desek. Wyobrażasz sobie tartaki, które owe potężne piszczele kroją i przycinają na równo? Potem idą w ruch ołówki kopiowe i dłuta. Potem stolarka i klejenie. Szyby wyrabia się z diamentów.

– Uciekajmy, Abelio. Ten ocean nie ma końca. Dopadną nas owe zamieszkujące tu bestie, jeśli nic nie zrobimy – panikowałem.

Znów wyglądała jak szalona. Podejrzewałem, że trapi ją nieznana gorączka.

– Ach, te niespotykane ziemskie głębie. Niebywałe to otchłanie – rzuciła jakby w zamyśleniu.

– Ależ mówię ci, nie jesteśmy na Ziemi.

– A gdzieżby indziej?

– Na księżycu Jowiszowym, Ganimedzie.

Po tym moim wyznaniu jakby słabość niespożyta ją ogarnęła. Omdlała i dała się już bezwolnie prowadzić. Porwałem ją w ramiona i tak, już niemocną, przed sobą niosłem. Ostrobok, piekląc się i sycząc, otworzył dla mnie swój napędowy kanał i migiem czmychnęliśmy na zewnątrz.

– W samą porę! – wykrzyknął do mnie pan Bizzard, oczekujący z naładowaną metalową strzelbą. – Miałem tu już do czynienia z murarzami dennymi, którzy gwałtem chcieli tam pana w środku замуrować. Ale oto widzę i innych szykujących się do poważnej ofensywy chwatów. – Tu wskazał spadające na nas z kilku stron bestie z twarzami pałającymi wewnętrzną energią. Rozświetlone w nich oczy pełne były zajadłej nienawiści. W wyciągniętych w naszym kierunku łapskach szczególne wydały mi się palce, a w nich szpony miast przyzwoitych paznokci, wijące się niczym rozpędzone wkręty.

I znów muszę pochwalić niezłomną postawę naszego ostroboka, który nie dość, że zajadle na nich naskoczył prądami rozwirowanymi, to jeszcze, nie szczędząc wysiłków, by nie wdać się w dalszą poważną awanturę, pokazał nam, jak sprytnie przemknąć pomiędzy wielorybimi potworami na wolną wodę i pozostawić zbyt masywne ningeny

daleko w tyle. Kazał mi sobie asystować. Tak potężny wywołałem prąd, że roztrąciłem cielska na boki. Potem posiałem po nich zagęszczone krople niezwykle gorącej wody, podobnej w swym lokalnym ciśnieniu do ostrych kryształów lodu, później zdefiniowanego przez uczonego jako osobliwy stan silnie zjonizowanej cieczy. Wirujące kryształki były czarne niczym drobiny węgla. Ich ciśnienie<sup>54</sup> wewnętrzne przekraczało wszelkie moje wyobrażenie.

Robiłem to po raz pierwszy w życiu.

Kto wie, czy nie wspomozony umysłem wielkiej ryby?

Skupiłem siły jeszcze mocniej.

Wytworzyłem korytarz, który wydawał się wolny od prądów bocznych.

Zassał nas leciutko do wnętrza.

Jednak nie dalej niż w kwadrans potem z boków napłynęły setki zaalarmowanych nieustannym trąbieniem Phologhonów. Już widziałem spienione pyski, usłyszałem bulgoty i pomieszane rozkazy powodujące rozstrojenie jaźni.

Puściliśmy się nurkowym trybem wirowego przyśpieszenia, zupełnie już ogołoceni z nadziei na ocalenie. Bo chociaż wydawały się nam te wody bez końca, szansa ucieczki przed potężniejszymi siłami wroga wydawała się marnieć z minuty na minutę. Całe to parszywe miasto budziło się do akcji. Zewsząd, gdzie by nie spojrzeć, napływało do tego pościgu brunatne lub szare wsparcie. W dali, z wież jeszcze wyższych, o szczytach zakrytych magiczną pomroką, ozwały się podwodne alarmowe trąby. W dole odpowiadały tumultem pościgowe masy i zazgrzytały złowieszczym dźwiękiem graniczne skały.

Jakież było nasze zdumienie i radość, gdy niespodziewanie natknęliśmy się na przybywającego z odsieczą zaginionego Reynasha!

Wciąż wąpiliśmy i nie wierzyli własnym oczom. Azali to był nasz Hindus albo wzrok nas mamił nadzieją? Ujrzelśmy raptem potężniejsze pozycyjne latarnie, wreszcie srebrzyście rozwirowane koło descendera z rurami wydmuchującymi to – niewiadome coś.

Reynash, też pełen radości z odnalezienia, rozpałił i puścił z pokładu parzące flary. Wycelował i wystrzelił w najgorsze skupiska skłębionych bestii burzące myśli zaćmienia. Ławice wrogich istot rozprysły się migiem. Widać wiedziały, co to gorąco. Miejsce po nich w jednej chwili wypełniło piekło gotującej się wody. Nasz dobroczyńca tkwił w łagodnie rozwirowanym kole descendera. Czekał i się w powabny sposób uśmiechał.

Doskonale wyczuł intencje ostroboka. Przybył dokładnie tam, gdzie zmierzała ryba. Jakby uznał już ten świat za swój i się na nim dokładnie poznał. A może to było coś innego? Czyżby woda w swej naturalnej fizycznej fazie ciekliwej potrafiła ponieść coś więcej niż dźwięki? Czyż nie była sama w sobie istnieniem najdoskonalszym? I czy tak

naprawdę całej tej magii życia nie była poświęcona od zarania? – dziwiłem się w milczeniu, przepatrując zielonkawe mroki.

Potem...

Z całej siły przytuliłem do siebie wciąż śpiącą ukochaną i popłynąłem wraz z nią ku ocaleniu.

---

54 Jest to odniesienie do okrytego niedawno stanu skrajnie zjonizowanej wody, uważanego za stan skupienia, nie będący ani cieczą ani ciałem stałym. W modelach teoretycznych taka właśnie woda najlepiej funkcjonuje w atmosferach planet olbrzymich – w tym Jowisza i Saturna.



Jak już wspomniałem poprzednio, w panice daliśmy się zepchnąć na rozległą głębię, gdzie z łatwością mogliśmy być dostrzeżeni i odłowieni przez rozwścieczonego wroga. Jakbyśmy porwali jakąś mityczną Helenę, córkę Menelaosa, takie ciągnęły za nami tłumy nienawidzących i do oblężenia pod domniemaną Troją skorych. Nie czułem się bynajmniej w swej roli Parysa dobrze, jednak wartość mej ukochanej wyceniałem na stukrotnie wyższą niż Heleny trojańskiej.

Jakież było me zdumienie, gdy odkryliśmy solidnie wirujące, wielkie koło dobrze nam znajomego descendera i pracującego na nim ręczną korbą Hindusa. Ucieszył się i on niepomiernie, widząc całą naszą trójkę całą i zdrową. Rozsypał pośpiesznie kryształy i zapowiadał, zanim jeszcze woda nabrała fonicznej krystaliczności:

– Szukałem panów z polecenia profesorskiego i miałem nadzieję odnaleźć przy uwięzionej hrabiance. Ale gdzież podział się nasz Oswald?

Tutaj mu przerwałem, cały się rumieniąc, i zaproponowałem użycie specyficznej pasty Abelii, skradzionej phologhom. Uskuteczniła ona wydatnie nasze porozumienie werbalno-intelektualne. Sole foniczne mogły się jeszcze w krytycznych chwilach przydać. Również pozostała dwójka przyjaciół z pastą się zaznajomiła. Po zastosowaniu ningeńskiego produktu poprosiłem Hindusa o kontynuowanie jego historii.

– Czekam tu już od tygodnia, przeżywając zarówno rozterki, jak i gorycze. Krąży wokół najdziwniejsze dziadostwo. Rośnie moja trwoga przed formami tak dzikimi, że obrażającymi chrześcijańskiego Boga stwórcy. Doprawdy cudowne zrządzenie losu sprawiło, że wszystko nam się udało – dopowiadał już ciszej, patrząc uważnie na boki.

– Proszę mi dopomóc z zawiązywaniem sznura, bo należy przewiązać końce wzdłuż maszyny.

– Co pan robi?

– Dla waszej ryby szykuję wiązadło – wyjaśnił.

– Nie, co pan tu w ogóle robi?

Na zmęczonej twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Kiedy dowiedziałem się o prawdopodobnym uwięzieniu profesorskiej głowy, natychmiast postanowiłem salwować się ucieczką. Znalazłem kuriera, który dotarł na Kallisto i opłaciwszy słono mistrza wiodącego, uzyskał kopie waszych portfeli zapachowych. Jeszcze gdy było to możliwe, dotarliśmy z wielmożnym panem Ocarusem do koordynatów. Kurier Oswald ruszył za wami pierwszy. Wtedy mości profesor zniknął w niebywały sposób. W mgnieniu z przestrzeni publicznej się ulotnił. Tylko mroczne ciekły pozwalają wyzwalać takie siły. A ja, zamiast poddać wydarzenie

inwestygacji, stchórzyłem i postanowiłem odszukać państwa, kierując się najbliżej jak to możliwe koordynatów domniemanego kursu. I oto jestem.

Byliśmy wszyscy wstrząśnięci. Abelia z wolna się rozbudziła w przynależnym jej krześle.

– Dlaczego kręcisz pan ręczną korbą? Ten wielki sprzęt nie słucha już grawitacyjnego dynamy – pytała jego lordowska mość, dobrze już poirytowana postawą sługi.

– To z uwagi na podejrzaną ciszę tu panującą. Aparatus w poziomie idzie bezszelestnie. Rwie w głębokiej wodzie, podobny do rzuconego z ogromną siłą bumerangu. Jednak kiedy idziemy w pionie, warczy w nim coś i piszczy. Tylko za pomocą korby ręcznej unikam hałasu.

– To znaczy, że ów napęd pozwala na zmianę głębokości?

– W niewielkim stopniu tak.

– Całkiem to zrozumiałe – zgodziłem się z przedmówcą.

– A jakiego rzędu to są prędkości? – drążył lord Bizzard.

– Około dziesięciu metrów na minutę.

– No, to też niezły jest wynik – przyznał, podchodząc do koła i umieszczając na mosiężnych pokrywach swoją potężną metalową strzelbę. Zapiął kolbę w mocowaniach zbrojnego sprzętu i wymierzył pod spodziewanym kątem, gdyby miało dojść do walki.

– Najpierw niech pan pouczy ostroboka, jak ma się zachować podczas podróży, bo ze znajomością maszyn ludzkich u nich kiepsko. Boją się ryby naszej technologii.

– Niech pan go zapyta, czy w ogóle chce gdziekolwiek z nami płynąć? – wtrącił swe trzy grosze Linfeld, patrząc lordowskiemu przedmówcy w oczy.

Pan Bizzard wzruszył ramionami.

– Nie moje to stado – odniósł się do uwagi.

– A czyje? – spytał Reynash.

– Ryby upatrzyły sobie w panu De Waay wodzireja. Pozwolił sobie na strzał z rewolweru, którym zamordował Ganimeda, więc niech teraz pokorniej przy bestiach i się im przychlebia.

– Jack zamordował naszego Oswalda? To jak tu trafiliście? Toż to w tych głębiach niemożliwa koincydencja.

Tu lord zreferował pokrótce naszą historię. Wskazując ciągle na zdrajcę chemika, oskarżył go o pomoc w nieudanym zamachu.

– Znakomicie się składa, iż ostroboki mogą pójść w tropy. Zauważyłem, że kallistańskie portfele zapachowe są nie najlepszej jakości, a dobre zwierzę podmorskie wyniucha zapachowy ślad nawet z garstki mułu – podsumował Reynash.

– Wydedukują obecność człowieka z wodnej elektryczności, a nawet przeświecą ściany – dodałem, wspominając z uznaniem nasze doświadczenie.

– Sami mielibyśmy problem cokolwiek wytropić. Choćbyśmy zatrudnili dziesięciu Linfeldów, zajęłoby nam to całe lata. – To mówiąc, pan Duncan spojrział na milczącego jak dotąd chemika i szczerze się zaśmiał.

– Co mam robić? – spytałem, sadowiąc się przy kole. Szafkę na descenderze odnalazłem w stanie nienaruszonym, zaplombowaną własnym sygnetem, a wodoodporne szpargały wewnątrz w dawnej pozostawały kondycji.

Skinąłem na ostroboka i kazałem mu też zatrzymać się przy samej pozycyjnej lampie.

– Należy do ryby przemówić – radził z fałszywym uśmiechem Eric. – Cały czas wyostrzonymi do granic receptorami słucha, ale nasz ludzki akcent jest tu myłony z czymś obrazoburczym, co ją onieśmiela.

Obserwowałem Iurgeego, a on, jakby przeczuwając me życzliwe intencje, sam pochwycił się wyciągniętymi w tym celu łapkami sznura i przyciągnął go do siebie.

Ruszyliśmy w szalony horyzontalny pęd. Descender wirował z lekka, przez co od razu poczułem się nieswojo. Przebyliśmy Urwisko i zapadliśmy w niesłychane, niepojęte głębie Marr Cobota. Woda wydała mi się dużo gęstsza niż ta obecna w Oceanie Gallupa pozostawionym wysoko ponad nami. Wiedziałem, że tutaj czarne mroki ukrywały stworzenia koszarne. Nawet nam, będącym po operacjach oczu i wprawieniu precyzyjnej zębarki korektora, minerał wzmocnienia percepcji wydawał się cieczą nieprzeźroczystą. Mgła jakowaś nas otoczyła i ogłuszyła. Z napięciem obserwowaliśmy zwierzę odpoczywające na kole, ale ono wydawało się spokojne i odprężone.

Po pokonaniu około dwustu kilometrów w kierunku zachodnim rozpoczęliśmy ręczne opadanie. Na zmianę kręciliśmy korbą. Kompas ustawiał się tu względem położenia Jowisza, wokół którego krążyła mała planeta, bo trzeba każdemu pamiętać, że Ganimedes jest największym w Układzie Słonecznym księżycem, większym od Merkurego i Plutona. Ciągłe nie byliśmy pewni, czy czasem nie zainstalowano w cieczy fonicznego podsłuchu i nie nasycono go gnilnymi komponentami. Obie te rzeczy byłyby nam w obecnej sytuacji nie na rękę. Schodziliśmy tak, kręcąc korbami, jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów na minutę, gdy ostrobok zaczął wykazywać oznaki zaniepokojenia. Sami zauważyliśmy w dole jakiś pełgający, niespokojny odblask. Niósł się od dalekich podmorskich gór aż po płaskie niziny pełne kolorowych mułów i jarów porośniętych czarnymi wodorostami wielkości ziemskich sekwoi.

Osiągnąwszy pułap około trzech tysięcy metrów nad poziomem dna, zdecydowaliśmy się na kolejny przelot horyzontalny, kierując się w stronę wzmagających się blasków. Nie wątpiłem, że są wynikiem działań sztucznych. Ktoś tam wykorzystywał naturalne ciepło minerałów, by je rozpałcić do nieprzytomnych mocy.

Obniżyliśmy nasz ślizg.

Z przymglonej dali wyłoniło się inne potężne miasto ningenów. Wysokie na setki metrów ceglane kominy zdominowały krajobraz. Nie przypuszczałem, aby mnie wzrok mylił. Widziałem setki, żeby nie powiedzieć miliony kłębiących się kosmicznych istnień. Podlegałem zatrważającemu uczuciu posiadania władzy ponad tym plemieniem. Mogłem myślał rozetrzeć je na pył.

Dotąd proszący o milczenie Hindus odezwał się przyciszonym głosem:

– Czytam pańskie myśli. Niech pan natychmiast się opanuje. Ci w dole tylko czekają na pańskie objawienie.

– Ma pan na myśli mój świeżo odkryty wodny magnetyzm?

– A cóż innego? Pozna pan tę siłę później, w stosownym miejscu.

Zgodziłem się na to postanowienie, tymczasem on kontynuował nasłuchiwanie:

– Odnajduję sporo bestii z poprzedniej lokalizacji. Zaskoczyły mnie. Widać dotarły tu przed nami. Dowodzi to jakiejś łączności podświadomej. Wiedziały, gdzie nas szukać.

– Czyżby tysiące namiotów w dole zasiedlały siły pościgowe? – spytałem równie konspiracyjnym tonem.

– Jako się patrzy. Obóz to przenośny, wzniesiony u ujścia najpotężniejszych prądów z Oceanu Jądrowego Ganimedesa. Kominy płócienne, które tutaj widzicie, nazywane czymnajami są jednorazowym architektonicznym złożeniem podobnym do ziemskiej pajęczyny. Takie campingi jak ten są siedliskami tych robaczywych bytów na podmorskiej przestrzeni idącej w tysiące mil sześciennych. Gnieźdzą się tam, siedząc po kilka lub kilkadziesiąt tysięcy na kupie. I to nie w jakiś uporządkowany, cywilizowany sposób, za stołem z naczyniami lub biurkiem z księgami i mapami. Wszystką tę kulturę pozostawili w domu. Tutaj, być może w pośpiechu lub z uwagi na tymczasowość rozwiązania lokalowego, umieszczono jednego lokatora na drugim. Wrzucono, śliną parszywą zlepiono i wystarano się dla niego o sen. W rejonie tym łatwo o foniczne zakłócenie tysięcznych ławic rybnych idących z rzek interplanetarnych, więc nie przejmowałbym się zbytnio czynionym hałasem.

– Przechodzą tranzytem?

– Jak wszystko. Można to przechwycić i uczyć, ale niebezpieczne potrafią objawiać międzygwiazdne ryby zdolności. To stąd Kallistianie odebrali pierwsze dotyczące pańskiej Abellii sygnały, zanim nie odtransportowano jej po porwaniu z Ziemi do oceanów wyższych – zwrócił się bezpośrednio do mnie, bo widział, że go obserwuję.

Jego ciemne hinduskie oczy miały w sobie sporo mroku przynależnego bytowi spirytystycznemu. Straszny potrafił być. Bo, jak już wspominałem, onegdaj przywoływał za pomocą kostki brukowej przechowywanej z dzieciństwa one zwidy zjedzonych przez ryby. Strach się było bać, tak parszywie i fragmentaryczne były to duchy.

– Musiałem tu przybić, bowiem stąd odchodzi jedyna znana mi droga wiodąca do lokalnego Necrolotum. I ningeny znakomicie sobie z mych słabości zdają sprawę. Wiedzą, gdzie nas oczekiwać i jak zastawiać pułapki.

Abelia znów znalazła się w porodowych bólach. Rozumiałem równie dobrze, jak wszyscy moi przyjaciele, iż znaleźliśmy ją w fatalnym stanie, że być może zemrze przy urodzeniu. Potworny byt w niej rosnący mógł nie pozwolić matce na przeżycie. Mógł być tak sprytnie złożonym, by całą ją w procesie wydzielenia pożreć. Aż mnie strach obleciał. Patrzyłem w te cudne, smutne oczy, w rysy tak szlachetne i piękne, w człowieka czarownego, którego swym pędem do sławy przywlokłem w sromoty.

– Co teraz? – pytałem rozgorączkowany, chociaż widziałem, jak przyjaciele ciężko przy korbach pracują. Nie chcieliśmy uruchomić głównego napędu z uwagi na jego hałaśliwą pracę mechaniczną. Ta od razu by nas wydała. Robiliśmy jednak wszystko, co tylko możliwe, aby jak najszybciej odpłynąć od tego rysującego się po horyzont parszywego obozowiska pościąganych zewsząd maskarnych bestii.

– Postaram się cośkolwiek zaradzić, jak tylko ningeny się uspokoją. Mimo że nas odkryły, minie pewien czas, zanim uruchomią na pełną skalę pościg. One też przeczuwają, że możemy się posunąć do rozwiązań radykalnych i zabić małeństwo w cesarce.

Wtem całe dotąd uśpione kotłowisko rozbudziły alarmowe zorze. Skąd potwory wiedziały, że jesteśmy w pobliżu? Błyskawicznie się wyszykowały. Wkrótce uformowały długie na setki metrów oddziały pościgowe. W równych odstępach oddalały się one w wyznaczonych przez dowodzących kierunkach.

Z naszej wysoko zawieszonyj perspektywy widzieliśmy onych krzykaczy najwyraźniej. Siedziało ich po kilku na najwyższych kominach, czepiając się metalowych uchwytów rękami. Rozdziawiali niemal ludzkie w kształcie usta i rozszerzali gardziele w ryku tak szeroko, iż zmieściliby i połknęli mały parowy statek. Brakowało im w paszczęce zębów, ale za to wodny roztwór potrafiły wytworzyć ich ślinianki, który nie tylko że kwaśny, ale sam w sobie żarłoczny i korozyjny do szczętu, wymykał się niby potężne podwodne splunięcie.

– Usilnie upraszam wszystkich o założenie maski syntetyzującej tlen! Woda tutaj śmierdzi! – Lord Duncan uznał zastosowanie sprzętu pierwszej pomocy za konieczne.

Pomagałem Abelii zapiąć dopiero co rozluźnione pasy i zakładałem sprzęt, gdy postyszałem jej krzyk:

– Wypatrzyli nas! I podążają!

Widząc kierujące się w naszą stronę ningeny, sam się przeląknęłam. Przytrzymałam z całej siły mdlejącą kobietę, gdy tymczasem towarzysze rozruszali maszynę do jej pełnej mocy, nie troszcząc się już o czyniony przez rozrządy hałas.

Zaniepokoiłem się nie na żarty, gdy i tego pędu wydawało się być za mało.

W tej szalonej ucieczce poprzez gmatwaninę komór, mórz i korytarzy oceanicznych pomagały nam prądy Necrolotum. Goniwę przynajmniej na chwilę zakończyło dotarcie do cieczy metalicznej, rozświetlonej delikatnym światłem bijącym od dwóch bardzo ze sobą związanych źródeł.

Dotarliśmy do wody spokojnej i tajemniczej, której nasz wodny spec Linfeld w żadnym razie nie potrafił określić i składnie zanalizować. Natychmiast założyliśmy nasze podręczne maski, bo porwał nas przymus wymiotów. Trucizny rozpowszechniały się bowiem w tych wodach błyskawicznie.

– Nie żebym był w temacie niekompetentny, ale pan sam jesteś, panie De Waay, fachowcem. Przecież ciecz tu daleka jest od nasycenia tlenem – odezwał się Eric.

– Jest fatalna – rzuciłem myśl przytłumioną przez me gwałtowne przechwytywanie oddechu.

– Ja bynajmniej nie kluczę i też nie posługuję się przypadkiem, panowie – odezwał się Hindus Reynash, który niewątpliwie, gdyby wówczas przebywał na powietrzu, ogromnie by się spocił od nieustannego kręcenia zaworami i pokrętłami, których, jak się okazało, descender grawitacyjny posiadał bez limitu. Wielkie, okrągłe skały i zegary ukryte pod klapkami i w miejscach nieoczekiwanych na pewno zaskoczyłyby nas niesamowitym podwodnym tykaniem, gdybyśmy tylko mogli pozwolić sobie na chwilę wytchnienia w tym biegu bez końca. – Pan Molier zastanawiał się bowiem, jakim to fortelem się posłużyć, iżby doprowadzić gadzinę wstrętą do śmierci z wycieńczenia lub na dobre ją zniechęcić i przestraszyć. Wybrał więc oceany najdalsze, ukryte za drogą krętą i bogatą w rozmaite przeskoiki, których wszystkich klucze spamiętał ów mechanizm najdoskonalszego automotonu... – Tu wskazał na nasz potężny, wirujący wolno okrąg, którego od godzin kilku nie tylko trzymaliśmy się z całych sił, ale i pomagali skutecznie jego kursową wytrwałość. – Tak dalece był pewny onej wody, że ukrył tutaj swój podwodny statek zaraz po rozładowaniu dynamitu i wytyczył mi doń niełatwą drogę, programując ją w mechanizmach zegarów. Uważał, że w razie niebezpieczeństwa możemy się w te oceany udać i przed intruzem na dobre schronić. Nie będzie tu wróg żaden w stanie oddychać. Jakies trujące procesy powodują tu bowiem śmierć fitoplanktonu i wielki niedosyt tlenu, więc żadna z form większych nie przeżyje.

– A atmosfera zewnętrzna?

– Byłbym osłem, gdybym profesora nie spytał. Oczywiście, jest tam piekielne białe słońce na niebie.

– Chce pan powiedzieć, że to układ obcy? Oddalony od Ziemi o całe lata świetlne?

– Spójrz pan tylko na odcienie cieczy, są całkowicie trujące. Jeśli jakkolwiek ningen się tu przywlecze, zastygnie jak w formalinie – rzucił lord Duncan, przyciskając mocniej maskę do twarzy. Przez to jego wypowiedź zdawała się być daleka od zrozumiałości, bowiem więcej werbalizował niż myślał. Na szczęście już dostatecznie dobrze poznałem przyjaciela, by doskonale obejść się bez słów.

– Gdzież nasz „Morrlitius” się podziewa? – zainteresowałem się, kiedy z toni przez długie chwile nie wyłaniało się nic godnego uwagi, a my czuliśmy się coraz bardziej nieswojo, skołowani, jakoś podświadomie zdając sobie sprawę z trucicielskiej właściwości ośrodka.

Minął następny długi kwadrans, zanim Hindus wskazał mi kierunek. Statek z daleka wyglądał niepozornie. Zagubiony pośród tych straszliwych toni, niemal się już wynurzał na powierzchnię. Dotarłszy do profesorskiego „Morrlitiusa”, z trudem rozwarliśmy włazy, takie w nas oczadzenie wstąpiło od oceanicznej zupy.

Reynash nie wypompowywał trzymanej na pokładzie od czasów ziemskich wody. Zgromadzona pod ciśnieniem w baliach bocznych, miała się bardzo przydać. Mieliśmy więc do porównania smaki Pacyfiku i odległego świata jakiejś przypadkowej, odległej gwiazdy. Zanim podjęliśmy się zadania przeprowadzki, Hindus wprowadził do cieczy właściwą proporcję gazów i wyostrzył foniczność, tak żeby możliwe było porozumienie bez nadużywania pasty ningeńskiej.

My tymczasem czekaliśmy na zewnątrz.

Nie mając nic lepszego do roboty, powstrzymałem oddech podwodny i zajrzałem ponad krawędź statku. Pochwyciłem się obicia kadłuba. Zaraz też podpłynęła do mnie Abelia i czule się przytuliła. Widziałem na jej twarzy potworne cierpienie. Bóle wciąż narastały.

Ponad nami wzbijały się i zapadały, niemal nas tykając, srebrzyste migoty, bańki i piany wszelakie. A tam, w dali, coś szarzało lub nawet błękitniało, gdy rozpraszały się pod wpływem wiatru chmury.

Już nie pamiętałem, kiedy raz ostatni oglądałem niebo. Odwróciłem się do dziewczyny. Odpiąłem aparat na sekundę. Musnąłem ustami jej wargi. Abelia spoglądała na mnie z tym samym uwielbieniem co niegdyś. Miałem bowiem szczęście nadal cieszyć się jej miłością, która pomimo przeciwności i cierpienia, i słownego znieważenia ciągle istniała i silnym uczuciem w nas płonęła.

Zanurzyliśmy się z powrotem, odczuwając rakotwórcze promieniowanie na skórze.

– Ani się pan waż płynąć do powierzchni – ostrzegł mnie Reynash, grożąc palcem i podpływając od strony otwartego włazu „Morrlitiusa”. – Silne występuje tam falowanie. Grzywacze piętrzą się i zderzają. Wichury szaleją. Nieziemska to forma pogody, niespokojna. A gazy atmosferyczne dalekie są w składzie od naszych. Śmierć wasza byłaby natychmiastowa.

Zawstydziliśmy się naszej próby i pragnienia. Już po chwili pomagaliśmy w dokowaniu wielkiego koła descendera do jego miejsca w pierścieniach kadłuba i w śrubowaniu ich do konstrukcji ozebrowania. Pozwoliłem cierpiącej Abelii oddalić się wraz Hindusem w stronę włazów. Sprawił się szybko. Potem otworzył najbliższą komorę przejściową na pokładzie statku i pomachał do nas ręką, byśmy przynagli ostroboka, bo gnuśny się zrobił na tej niezdrowej wodzie.

Bez zwłoki podpłynęliśmy i już wspólnie zamknęliśmy włazy. Pompa natychmiast usunęła parszywą ciecz i uzupełniła inną, pobraną z cystern głównych. Lord Duncan, znajdujący się na rzeczy, zabezpieczył wszelkie rygle i natychmiast uaktywnił urządzenia dokonujące saturacji tlenowej dostarczonej z zasobników wody pacyficznej. Jakaż to była odmiana po smakach parszywych!

– O powietrzu nawet tu nie może być mowy – rzucił Reynash, rozpuszczając kolejne garści uzdatniaczy foniczności. Patrzył na mnie z wyrzutem, choć ani ja, ani panna głosem nie wyraziliśmy takiego pragnienia. – Nie starczyłoby nawet na dobę oddychania.

– Jak uda się odpalić silniki, skoro brak panu tlenu do spalania paliwa? – zainteresowałem się tym problemem.

– Brat pana Moliera już pięćdziesiąt lat temu przewidział tę ewentualność i zainstalował w maszynerii uzdatniacz, uzyskujący gaz w niewielkich ilościach z samej wody. Aparatus całkiem podobny do pańskiego oxygenatora. Pozwoli nam on na rozpęd niewielki, ale skuteczny. Następnie w ruch pójdą nasze dynamy wytwarzające magnetyzmy kontroli pola grawitacyjnego. Z pewnością usprawnią transport.

Raptem dopadła mnie smutna refleksja. A więc to stąd brały się opory pana Moliera względem pomocy w otrzymaniu patentu i licencji. Uważał, że może nieświadomie pragnął odebrać odkrywcze trofea jego nieszczęśliwie zmarłemu bratu.

– A więc pojazd należał ongiś do sławetnego brata pana Ocearusa? – spytałem, by zabić w myśli smutny posmak.

– Tak. I po wskazówkach listownych otrzymanych w międzygwiazdnej butli morskiej odnalezionej w stanie Victoria udało się bratu jegomości machinę odnaleźć i do sprawności przywrócić.

– Uruchamiam śruby – ostrzegł pan Bizzard, zasiadając za sterami. Zdawał się nie być w ogóle zainteresowany tymi sensacjami. W swej zimnej kalkulacji oczekiwał zapewne od losu samych łutów szczęścia, bez ich logicznego i kompetentnego uzasadnienia. – A pan, panie Jack, w te pędy bierz pannę i udaj się do naszej prowizorycznej lecznicy.

– Jak to? Co sam poradzę? – pytałem przerażony. – Musi mi ktoś w odebraniu płodu potwornego pomóc! – ryczałem bezsilny jak dziecko. Bałem się o jej życie, a jednocześnie z trwogą myślałem o zamordowaniu czegoś upiornego, czym istnienie jej zaowocowało.



– Zaraz przyjdę – rzucił w naszą stronę zapracowany Reynash.– Nie ma obawy. Rodzimy w środowisku wodnym. Nawet miska i ręcznik panu nie będą potrzebne.

Nie zająknąłem się nawet, tylko zaraz pomknąłem.

Ułożyłem moją Abelię na łożu i umocowałem pasami. Była już bliska porodu. Hindus nadszedł w momencie, gdy cały proces się zaczął. W pierwszym momencie chciał się brać za cesarkę i tak zmasakrować płód, aby zupełnie nam nie zagroził, ale potem ujrzał, jak małeństwo wychodzi głową do przodu i zaniemówił z wrażenia.

Pokazała nam się twarz tak urodziwa, że wprost zdębialiśmy i zgłupieli do reszty. Prawdę mówiły legendy o morskich syrenach, że potrafiły uwieść nie tylko śpiewem, ale i niezwykłym powabem wrodzonej zmysłowości. Małeństwo oczy przepiękne we mnie wlepiło i usta cudne rozchyliło, więc nie potrafiłem się oprzeć chęci pokazania choćby na sekundę tej twarzyczki obolałej matce.

– Nazwiemy ją Lynete – wyszeptła cierpiąca po porodzie Abelia. Mimo niedawnego zniechęcenia, obrzydzenia, co ja mówię – wprost nienawiści do owocu gwałtu i cierpienia – teraz ma narzeczona z czułością patrzyła i komentowała: – Hej, dalej, małeńka... Zapłacz. – Malutkie, giętkie rączki jednak jak nieludzkie się składały. Wiele w nich było rybiej giętkości i ptasiego trzepotu. Ciało, długie na metr i zakończone klasycznym ogonem morświna, wiło się niewdzięcznie i ostro. Chociaż z całej siły współ z Hindusem ją przytrzymywaliśmy, wciąż się wymykała.

Linfeld stał tuż obok. Jak złośliwiec komentował, zamiast pomóc:

– Byłbym teraz podwójnie ostrożnym, bo zwykle po gwałtach przychodzą na świat komplety.

– Cóż pan rozpowiada? Przecież brzuch jej już jest płaski i brak w nim znamion obecności bliźniaka.

– Na Ganimedzie rodzą się maluchy współ z niańkami. Uważałbym więc podwójnie. Trzeba pamiętać, że życie jest to podmorskie i księżycowe, a przyroda tutejsza specjalnie zabezpiecza swoje gatunki na takie okoliczności. Stąd może was lada moment spotkać obecność pary glistowatej, bo sperma ningena posiada potencję wielogatunkową.

– Miałyby być ukryte w brzuchu jeszcze inne paskudy?

– Najpewniej są, zgrabnie złożone i śpiące. Być może skorzystają po przebudzeniu z okazji, by spożytkować już zbędne ciało matczyne na przekąski dla malucha.

– Co pan radzi?

– Zwykła sól kuchenna powinna je odstraszyć.

Hindus, będąc przesądnym z natury, od razu wypełnił biedny narząd kobiety roztworem minerału.

Ryk podmorski, jaki wydały kolejne rodzące się monstra, przywołał nas do rzeczywistości, bo oto wychynęły z wnętrza niby długie złote żmije, rozwinęły się i

spadły na podłogę, a z niej pomknęły ku ciemnym zakamarkom w korytarzu.

– Niech pan ją trzyma! Dalej! – zakrzyknął Eric, podbiegając. – Przerzńcie małej tchawicę.

Słyszając to, Abelia straszliwie wrzasnęła, potem popadła w płacz rozpaczliwy, niemal skowycząc. Desperacko zaprotestowała. Nie chciała śmierci dziecka za nic w świecie.

– Wyrywa się... Jest śliska! – panikowałem, czując pod palcami, jak owo coś wydziela z siebie parszywe żele. Ale słabłem z każdą chwilą, współczując całym sercem ukochanej. Wtem, sam sobie nie wierząc, uchwyt popuściłem.

– Prędko wiążmy małą liną – syczał Reynash, wskazując na przygotowane w misce konopie.

Maleństwo nie dało długo na siebie czekać. Wydzielina skórna na podobieństwo kisielu zlepiała nam palce. Dzieciak uderzeniem samego ogona z potworną siłą odrzucił nas na ścianę. Gdyby nie sprężystość wodna, roztrzaskalibyśmy się o meble. Z bulgotem straszliwym i iskrami, jakie sypały jej oczy, malutka umknęła ku maszynowni.

Zostaliśmy sami. Maluch w towarzystwie jednej glisty czmychnął pomiędzy naszymi nogami i tylko wirujący prąd wodny z krwistym śladem poporodowym pokazywał kierunek jego ucieczki.

Po kwadransie nie było nawet i po nim śladu. Wraz z rozbudzonym ostrobokiem próbowaliśmy wytropić stworzenie na korytarzu i w niewielkiej ładowni. Abelia tymczasem przychodziła do siebie.

– Czy to była mała serenida? – pytała z obłądnym wzrokiem. – Była przecudowna.

– Owszem, dziewczynką była z całkiem ludzką, przemiłą twarzą – rzucił obojętnie Hindus, który już pakował narzędzia operacyjne do samomyjącej skrzyni. – Okaz dziewiczej urody z długimi rączkami, z dłonią bodaj siedmiopalczystą, a palcami zakrzywionymi niczym szpony. Niczym by jej pani nie wykarmiła.

– Przecież dzieckiem mym jest – na to ozwała się Abelia.

– Piersią by pani chciała? – spytał jak zwykle złośliwy Linfeld. – Niech pani lepiej zapomni o córce tak potwornej. Maleńka odgryzłaby paniące piersi wraz z żebrami.

– Znam takowe podloty jeszcze z polowań na foki – wtrącił Reynash. – Podobnież dziesiątkami wylegiwały się, wmieszane w focze stada. A niech tylko jakiemuś wielorybnikowi zebrało się na seks, to już z żadnymi członkami nie powracał. Znajdowaliśmy poszatkowane zwłoki na wybrzeżach wszystkich lądów.

– Niech pan się opanuje, do licha, przecież doprowadzasz pan matkę do rozpacz – rzucił zaglądający do lecznicy lord Duncan. Wszedł, ciekaw zdrowia naszej dzielnej panny.

– Wcale nie – rzuciła dość przytomnym głosem Abelia. – Gwałtem na mnie wymogli stosunki. Spodziewałam się czegoś znacznie gorszego.

– Śmierci? – spytałem, głaszcząc jej omdlałą jeszcze z niedawnego bólu dłoń.

– Licho małe zapiszczowało tak przeraźliwie, że echo poniosło się w najdalsze odmęty – rzucił pan Bizzard. – Zobaczyłem ruch w polu lornety, więc przybyłem, by was ostrzec. Zupełnie zbędnym było nam to nawoływanie. Prześladowuje nas jak nic pech niecodzienny. Wierzę, że malec będzie szeptać tam gdzieś po kątach i wzywać ojców.

– A więc sądzi pan, że mała wzywała phologhona?

– Pewnie był to zew do swoich – stwierdził lord Duncan. – Tak jak to robią głodne wilki.

– Wobec tego wszyscy na miejsca – rozkazał Hindus zdecydowanym tonem, przejmując obowiązki dowódcy.

Zamknęliśmy lecznicę, a w niej śpiącą i bezpieczną Abelię. Chodziłem do niej na godzinne kontrole.

Tymczasem zajęliśmy wolne miejsca przy tylnej ścianie sterowni. Oparci o metal, poczuliśmy nagłe ciepło silników parowych i łagodną wibrację idącą od podłogi. Obok przysiadł Eric z zestawem analizatora wody oceanicznej. Siedział skupiony nad wykresami i prawie wcale nie zwracał uwagi na cudowny obraz roztaczający się za oknem, bo jakby nie było lord Bizzard lubił sobie w przyjemnościach pofolgować.

Wyłynął był na powierzchnię i momentami, gdy fala się pod nami gwałtownie załamywała, kierował okrętem na boki niby parowym ścigaczem. Wypatrując jakichkolwiek oznak lądu, pruł śrubą wodę do oporu. Gdy z grzmiotem potężnym poodrywały nas ku górze kolosalne grzywacze, mogliśmy te szczegóły przestudiować bliżej, ale cali drżeliśmy o wątpliwą wytrzymałość łajby. Innym razem okno frontowe celowało w niebo zasnuwane ciemnymi obłokami, które dwa słońca prześwietlały niby straszliwymi reflektorami, by po chwili na nowo mierzyć się ze wzburzoną pianą oceanu. Zapadała się woda i niemal do głębi nas przyciskała następna zwałająca się fala. Znów wyłoniony obraz pozwolił się zastanowić ponad palącymi się tu słońcami. Jedno z nich było mniejsze, natomiast na pewno szybciej stawało się gorętsze. Irytująco świdrowało śmiertelnie niebezpieczną energią. „Morrlitius” wysunął dwa składane kominy i uruchomiła się turbina, która pozwoliła nam rozwinąć niebywałą prędkość trzynastu węzłów. Od wody szły mgły, czasem tak gwałtowne, iż wydawało się, że tutaj powstają wszystkie wiatry: owe szkwały pędzące statki ku zagładzie lub ciskające nimi o surowe skalne wybrzeża gnały przez nas, wcale się nie oglądając.

– Zadziwiające – jęknąłem. – Nigdy dotąd żadne oko ludzkie nie widziało miejsca tak przeraźliwie obcego.

– Najpewniej, panie De Waay, najpewniej – mruknął pewny swego, stojący za sterami pan Bizzard. Zapierał czasem ster o zapadkę i kontemplował w podwodnej ciszy. Wtedy gładził brodę, żuł jakiś wodorost i widok za wielkim iluminatorem wytrwale komentował: – Ani stopa nie dotknęła tu lądu, ani zwierz nie przeżył minuty na tym

plugawym, zakopconym od wulkanów powietrzu. Mimo że wody tu w bród, trująca ona jak ostatnia świńska breja.

Może dłużej niż kilka godzin tak igraliśmy z burzą, bo strachu przed zamoczeniem, a tym bardziej utonięciem nie było w nas żadnego, gdy powoli zapadł zmrok i spoza horyzontu wyłoniła się potężna planeta z pierścieniem rozlśnionym od zachodu. Na niej ujrzelśmy palące się światła jakoweś, ale z całą pewnością nie były to wulkany, tylko źródła sztuczne, symetrycznie zgrupowane w długie linie i plamy.

Kiedy mrok nas przestraszył, to właśnie ta planeta, wspinając się na wysokość ziemskiej Wenus, wytwarzała w oceanie dodatkowe przyływy. Rozsądek kazał nam się schronić z powrotem w głębiny. Tam, w srebrzystych odblaskach gwiazdy porannej przenikających wody, ujrzelśmy raptem obraz niezwykle i wprawiający w osłupienie. Nieomal zderzyliśmy się z dziwadłem.

Gigantyczna machina unosiła się bowiem w oceanie swobodnie lub raczej tkwiła zakotwiczona na określonej głębokości, niczym nasz descender posługujący się podobną technologią grawitacyjnego dynamy. Ani na jotę nie zeszła na dno lub na centymetr nie posunęła się ku powierzchni. Utrzymując to swoje standardowe zanurzenie na głębokości stu sześćdziesięciu metrów, kazała sądzić, że jest zaprogramowana. Okręt nie poruszył się ani o piędź naprzód, chociaż opływaliśmy go uparcie, godzinami rozświetlając reflektorami fosforowymi Moliera.

Mechanizm jawił się nam niczym nieogarniony rozmiarami zwierz, zaśniedziały, z ranami w kilku miejscach jakby po postrzale. Jego linia konstrukcyjna nie przypominała żadnych znanych mi wzorów, chociaż wszelkie katalogi podwodnych pancerników miałem w jednym palcu. Zapytałem Linfelda kilkakrotnie o zdanie, mniemając, iż jego znajomość pojazdów jowiszańskich księżyców może być cokolwiek bogatsza. Wzruszył ramionami nasz inżynier wodny i milczał, zapatrzony w cudo za oknem, podwójnie nitowane i przepasane wzmacniającymi blachami niby zewnętrznym ożebrowaniem. Nawet Reynash wątpił w solarne pochodzenie struktury tak dziwnej, że wręcz dla morskich militariów szalonej. To dało nam do myślenia.

Zapraǳnęliśmy z panem Duncanem szeroko rozumianej inwestygacji.

Wody się uspokoiły, a po ningenach nie było nawet śladu.

Mieliśmy czas na wytchnienie.

Od samego momentu spotkania Obcego trapiła nas gorączka niecierpliwości. Azali natrafiliśmy tu na sojusznika? Emisariusza jakowejś wyższej rasy, który skłonny byłby zainwestować mamony we wsparcie naukowo-technologiczne biedaków z Ziemi? Już rwaliśmy się z Bizzardem do badań i kontaktów, zapominając o naszej świeżo poratowanej damie i maleństwie pływającym w części magazynowej. Również ponure myśli o pościgu ningenów odłożyliśmy na plan dalszy.

Ale nasz Hindus oponował. Wzywał nie bez racji do wykazania daleko idącego rozsądku. Poza tym bał się pozostawać na statku sam, z uwagi na dochodzący ponoć do jego uszu szept zgnilizny, idący od niańczących serenidę glist.

Sam w to chyba nie wierzył.

Obserwowałem jego zachowanie w szczegółach i z ukrycia przyłapałem go, jak po kątach otwiera puszki konserwowe, te jeszcze z zapasów ziemskich, i w wodzie będąc, rozrzuca mięso. Przyłapanany na karygodnym uczynku usprawiedliwiał się, że przecież maluch musi coś jeść. Inaczej przymuszony potrzebą sam sobie nas upoluje i obgryzie do kości.

Pan Bizzard natomiast chodził z blaszaną strzelbą i temu też nie przeczył:

– Przecież to syrenka o miłej dziewczęcej twarzy – perswadowałem, spoglądając z niepokojem na ciągle bolesną, śpiącą hrabiankę. Abelia bowiem znowuż popadła w depresję i słowa z siebie nie wydusiła, będąc skrajnie wyczerpaną i przybitą losem.

– Och, żeby pan widział, jak się owe syrenki zachowują na antarktycznych przybrzeżnych lokalizacjach! – odezwał się zirytowany moją łagodnością lord.

– Niech nam pan powie jeszcze raz. Azali znane są już takie formy podmorskich mieszańców?

– Od najdawniejszych czasów oceaniczne bestie pragną mieszać geny z lądowymi, bo marzą im się podboje. Potem takie śpiewne bestie wciągają śmiałków w przestwory morskie i w przypadku odmowy współżycia z premedytacją mordują. A upatrzwszy sobie miejsca, gdzie przebywają małe foki i pingwiny, mieszają się w stado doskonale, skąd z pełnego zaskoczenia potrafią omotać zgrabną figurą nie tylko dorosłych, ale i chłopców z zaledwie zaczątkiem zarostu. Ja sam nie dałbym tej syrence dożyć postaci dojrzałej – dodał cichaczem, by nie dał Boże matka nie posłyszała.

– Napchał pan do jedzenia trucizn? – spytałem Hindusa, kiedy przechodził.

– Jeszcze nie. Niech się ino rozzuchwali małe gównno, niech dobrze nad miską przysiądzie. – Spojrzał na mnie podejrzliwie, czy aby nie chcę zaskoczyć go prawym sierpowym. – Ale powtarzam, nie dam się tu pozostawić z tym pomyłonym inżynierem chemikiem i zgwałconą przez ningeny kobietą zupełnie sam. W porze nocnej nie zamierzam się cackać – ostrzegł.

Aż mnie skręcało, gdy go słuchałem. No cóż...

Któż widział w takiej wiekopomnej chwili się spierać?

Zmuszeni zostaliśmy pod jego słowem pozostawić sprawę do rana. Było bowiem dość niebezpiecznie wychodzić w taką poburzoną pogodę na zewnątrz i nazbyt strasznie, aby temu spotkaniu obcych, równie wyśmienitych ras nadać charakter pokojowej uroczystości.

Wymagało od nas również to spotkanie trochę przygotowań. Szkoda byłoby nie poświęcić więcej uwagi i ostrożności obiektowi tak dalece zawansowanemu.

Wieczorem zaniósłem mą lubą do koi w kajucie kapitańskiej i obok przysiadłem. Streściłem w kilku słowach całą historię. Abelia sama rwała się do eksploracji obcego wraku. Widać wydobrzała i dawny w niej ozwał się ogień i zainteresowanie. Poza tym odkąd zdradziła kobiecą słabość, za każdym razem, gdy mieliśmy się rozstać, płakała i narzekała.

– Znowu mam się przebrać, byś mnie zabrał na przygodę?

– Niepodobna, żeby tak inteligentna osoba jak pani miała się dobrowolnie wystawiać na ryzyko – mówiłem. – Przecież tylko próbujemy kogoś wspomóc i być może w niedoli poratować. Widać mechanizm im zasłabł z braku spalania w atmosferze beztlenowej i być może będziemy w stanie wesprzeć ich naszą wiedzą lub częściami zamiennymi. Baterie posiadamy całkiem niezłe na ten przykład.

– Tylko posłuchaj siebie, Jack – ripostowała. – Zawsze zamiast mnie po prostu okłamać, szydzisz ze mnie, sprawiając, że czuję się kompletną ignorantką. Przecież sam nie wierzysz w to, co mówisz, prawda?

Zmieszała mnie tym swoim przenikliwym spojrzeniem.

– Licho nie śpi. Tu będziesz pani bezpieczniejsza. Może gdy pokład opuścimy, mała się ośmieli i przyturla, spokojnie i zgubi w sobie charakterną bestię? W końcu jesteś dla niej matką. Nikogo bliżej nie poznała.

Na te słowa odstąpiła od nękania mnie i naciskania, a gdy położyłem się obok, zasnęła. Głaskałem i tuliłem ją do siebie, póki mnie samego sen nie zmorzył.

Rano, pomimo dalszych gwałtownych sprzeciwów i namów naszego Hindusa do zaniechania całej sprawy, wspólnie z panem Bizzardem udaliśmy się poprzez służby na zewnątrz. Potem, podejmując wszelkie środki ostrożności, popłynęliśmy dalej, do pozostawionego samemu sobie okrętu. Przedtem przygotowaliśmy broń i laski horglomu z krótkimi, pięciominutowymi lontami. Lord Duncan otrzymał od Hindusa profesorską hornettę 250, a ja trzymałem podręczne lupy i detektory medyczne.

Lord jeszcze z dala przepatrywał celownikiem metalowej strzelby kadłub jednostki. Nic się tam nie poruszyło ani nie uległo zmianie, mimo iż dawaliśmy w kierunku obcego wehikułu świetlne znaki.

Zdecydowaliśmy się po chwili na jeszcze bliższe podpinięcie.

Dotarliśmy w pobliże gigantycznego statku po niespełna kwadransie. To, co poprzedniego dnia wydawało się nie dość zwyczajne czy wręcz niepojęte, w świetle dnia okazało się być potężnym pojazdem o niesamowitym kształcie wydłużonej, ozłoconej gruszki. Śruby napędowe były tu dosłownie wszędzie. Odnaleźliśmy włazy, które zdawały się być nie do ruszenia. Zamglone od środka iluminatory nie pozwoliły nam nic zobaczyć. Dopiero poprzez zniszczoną burtę udało się nam dostać do mrocznego, wypełnionego wodą wnętrza.

Wewnątrz okręt został zbudowany na planie liniowca.

Większe pokłady posiadały potężne sale balowe oraz podniesienia, najpewniej dla dętej orkiestry lub chóru. Wokół pełno było pustej przestrzeni do tańca lub uroczystego przemarszu. Doprawdy zdumiony byłem rozmachem architektonicznym podwodnego monstrum.

Lord Duncan natychmiast rozgryzł kawałek fosforyzującego metalu w zębach i dał mi znak, abym i ja sam mógł oświetlić przed nami ciemne zaułki. Wołałem jednak nie kosztować tych specjalów. Po prostu nie odstępowałem go na krok. Próbowaliśmy się dostać na kapitański mostek. Przeciskaliśmy się korytarzem zawałonym sprzętem do nurkowania. Z boku minęliśmy komory napędowe, a w nich silniki o grawitacyjnym potencjale liczby dziesiątej lub być może dynamy o magnetycznej mocy przewyższające siłą udźwigu samą grawitację.

Wtem stanęliśmy jak wryci.

Porażeni widokiem, cofnęliśmy się pod sam strop i tam zawisnęliśmy w wodzie, obserwując widok zastygłych na podłodze ciał. Obcy, niczym zanurzeni w impregnującym roztworze na samym dnie naczynia, wypełniali wielką salę w zagęszczeniach wprost nieprawdopodobnych. Zdając się być zaledwie nie dalej jak

chwile temu żywymi, pochwycili się w przedśmiertelnym skurczu za nieprawdopodobnie długie odnóża będące może mackami. Spletli je i zacisnęli na sobie jak sznury. Śnięte ciała unosiły się w spokojnych prądach niczym tu niefiltrowanej wody. Tej samej, którą z takim obrzydzeniem porównywaliśmy do formaliny. To ona ich tu wszystkich zabiła. A należeli do podobnego podwodnego gatunku.

Lord krążył w oszołomieniu.

Sam się zachwiałem od ponurego wyrazu tych widoków. Pomimo użycia wszystkich możliwych filtrów mojej podręcznej maski odczuwałem coraz większą słabość przechodzącą w ospałość i znużenie.

Wypłynęliśmy na zewnątrz, ratując się przed promieniowaniem grawitacyjnego dynama. Zabraliśmy z mostka kilka ksiąg kursowych. Ja znalazłem błony dziwne wyglądających, nakładających się na siebie map. Wszystko to przekazaliśmy Ericowi, który mógł zrobić z materiałem porządek. Miałem wrażenie, iż każda z map odpowiada klasyfikacji warstwowej, jaką posługiwał się w nawigacji nasz inżynier chemik jeszcze na Ganimesie.

Płynąc w stronę naszego „Morrlitiusa”, lord Duncan wskazał ręką odległe głębie.

– Coś się tam w dole porusza – ostrzegł. A ja, poszedłszy śladem jego wzroku, natrafiłem w najdalszych, ciemniejących granatem otchłaniach na kształty najbardziej dynamiczne. Pomimo całego wysiłku, jaki włożyłem w skupienie się na odległej masie wód, nie potrafiłem ich zliczyć. Szły w zagęszczeniu niczym niezmordowana w napieraniu ściana. A może niczego tam nie było i wzrok płatał nam figle.

– Czy nie uważa pan – zareagowałem – że rozsądniej byłoby nie otwierać świecących żarem ust? – Miałem mu za złe jego lekkomyślność.

– Jest tam coś parszywego – upierał się.

Przyjrzałem się toniom po raz wtóry. I znów, nie dostrzegłszy żadnych różnic w kierunkach mi wskazanych, uznałem: – Zdawało się panu.

– Oby się pan nie mylił – rzucił Lord Duncan, ponownie mierząc wysuniętą ręką nieco dalej na północ względem busoli jowiszowej. I ja ujrzałem tam płynące cienie. Serce natychmiast podeszło mi do gardła. Potężne kształty wdzierające się gwałtownie w ocean od strony znanego nam lokalnego Necrolotum szły dokładnie śladem naszego wczorajszego kursu. Nie wyglądały bynajmniej na chore ani na przestraszone. Gorzej, zdawały się doskonale znać teren.

Może tu były stałymi bywalcami?

Zauważyłem, że wszystkie mają bardzo charakterystyczne zniekształcenia głowy. Po zbadaniu sprawy w polu powiększenia hornetty 250 doszliśmy do konkluzji, iż są to nasze ningeny, które w obliczu trującego środowiska przywdziały niemniej groteskowe niż one same potężne hełmy nurkowe z żeliwa hermetycznego.



Przyznam, że potem oglądałem ów sprzęt na wystawie technicznej w jednym z pływających miast Ganimedesa. Przód hełmu zajmowała kratownica z wyostrzonych prętów miedzianych. Wiadomo wszystkim, iż ningen w produkcji prądów wysokiego napięcia przoduje. Nic dziwnego, że owe moce potrafił przez siatkę przepuścić, ofiarę sparaliżować, by potem, przez kratę wciągając, poszatkować. Poddawał w ustach natychmiastowej kremacji wszystko, co mogłoby stanowić zagrożenie dla jego dobrego samopoczucia.

Pędem wróciliśmy na pokład. Lord Duncan pomagał mi w ześrubowaniu włączów, gdy tymczasem ja narzekałem na resztę załogantów i ponaglałem ich, by zajęli się czym prędzej uruchomieniem maszyny i opanowaniem sterów.

Nie było chwili do stracenia. Ningeny wzburzone naszą tu obecnością zaatakowały z nieznaną nam przedtem gwałtownością. Coś je w naszym działaniu rozwścieczyło, coś nadal jątrzyło. Dopiero później się zwiedziałem, co to być mogło...

I tym razem udało nam się umknąć ich zmasowanym ciosom. Traktowały nasz mały okręt jak żeliwną piłkę. I teraz, pędząc na najwyższych obrotach, pozostawialiśmy je w tyle.

– Jak tam, panie Linfeld? – zapytał lord Bizzard, patrząc młodemu specjalście od „kolb i mieszadeł” przez ramię. – Da się te filmy odczytać? – Ja sam podpłynąłem zaintrygowany, by przyjrzeć się rezultatom analizy map obcych.

– Niezaprzeczalnie pobłądziliśmy – powiedział. – Od kilku już oceanów przebywamy w wodach, których analiza w żaden sposób nie odpowiada tabelom znanych mi światów. Jeśli pan Reynash potrafi zastosować do pilotażu „Morrlitusa” te same koordynaty, jakie z pełnym sukcesem stosował w descenderze, niewątpliwie uda nam się odnaleźć drogę na Ganimeda. Jeżeli nie, podzielimy tu losy załogi obcego statku.

Nasze spojrzenia z wolna pobiegły na hinduskiego bramina, który swą rolą i losem zdawał się nie przejmować.

– Nie będzie to programowanie specjalnie proste – stwierdził. – Używam profesorskiego algorytmu i dotąd stosowałem go z pełnym sukcesem. Przypominam, że znajdujemy się w stanie oblężenia. Z łatwością przyjdzie nam rozpoznanie dróg wyjścia z matni. Wszystkie najpewniej będą obstawione przez namiotowe obozy polujących na nas ningenów. Dlatego nie spodziewam się w najbliższej perspektywie możliwości skorzystania z nich.

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Wypadałoby nam to sprawdzić.

– Spróbuję kilku manewrów.

– Nie na długo starczą nam zapasy pacyficznej wody i rozpuszczonego w niej żywnościowego planktonu.

– Z pewnością starczy ich na następny tydzień.

– Czy wobec tego nie będzie lepiej natychmiast zawrócić do punktu pierwotnego wniknięcia i podjąć walkę o zejście w Necrolotum?

– Zbyt wiele ryzykujemy. Jak do tej pory wszystko wskazuje, iż w swym ekwipunku nurkowym ningeny nie tylko czują się świetnie, ale i pędzą za nami, nierzadko wyrzucając ciała ponad powierzchnię oceanu. Widać niestraszne im powietrze i słońca, które nam, ludziom, w przeciągu kwadransa przepaliłyby skórę. Gdy jednak nadejdzie pora desperacji, wielkim ślizgiem spróbuję dostać się w miejsce przeskoku necrolotarnego i podjąć walkę.

Tak minęła pierwsza doba naszej ucieczki.

Zrezygnowaliśmy wszyscy z rozmów i usunęliśmy się w niewidoczne kąty. Linfeld rysował swoje mapy światów, studiował okrętowe księgi obcych i po raz kolejny wertował porównawcze katalogi chemiczne. Odnalazł sporo analogii. Najlepiej, że mapy gwiazdne odpowiadały nie tym układom, które dałoby się odnaleźć w naszej Galaktyce. Po prostu tamta posiadała znacznie więcej rozleglejszych ramion. Podczas gdy ja z uporem ojczyma szukałem w przestrzeni magazynowej serenidy uważanej przez Hindusa za dawno zdechłą, lord Bizzard czyścił swój podwodny blaszany sztucer i kątem oka rzucał czujnym spojrzeniem przez okno w dal.

Znów wróciłem z obchodu małego pojazdu. Przepląnąłem do kajuty medycznej.

– Nie ma jej? – spytała z żalem Abelia.

– Nie znalazłem nawet śladu.

– Musiał ją ten kopciuch udusić – syknęła, wskazując oczyma ścianę, za którą prawdopodobnie nawigował nasz Reynash. Szczęściem używaliśmy mikstury ningeńskiej, to jest pasty dousznej, a nie soli fonicznych i głos myśli poza kabinę nie wychodził, bo ciężko przyszyłoby mi tę zniewagę na własnej skórze odpokutować.

– Mam przecucie, że niemowlę żyje, tylko czai się, obawiając twojej trójgłowej ryby, która bez ustanku poluje tam w korytarzu na małe, zalęgłe w mechanizmach robaki.

Usiadłem przy Abelii i ujmując jej dłoń w swoją, postanowiłem ją zabawić tematem innym niż jej córka. Uwielbiała te rozmowy. Wracaliśmy wspomnieniem do Ziemi. Może czyniła to tęsknota, może niepodobna do opisanie odległość od rzeczy nam zwyczajnych, ale ja sam znakomicie bawiłem się tematem. Wspominając przy okazji kolory fruujących ponad przechodniami słonecznych parasolek, używanych przez jej ciotecznych krewnych i młode rozbrykane kuzynostwo, biegłem myślą do australijskiej pustyni i buszu. Zatrzymywałem się pamięcią na mej drodze Collins Street w Melbourne i patrząc na automobile lub dla odmiany kablowe tramwaje, biegłem ich drogą do portu, by spoglądać dla czystej rozrywki na odchodzące wodami Pacyfiku, zbrojne w potężne obrotowe działa parowce.

– Niech pan przejmie ode mnie stery – zawołał na mnie pan Bizzard, zaglądając do pokoju. – Widzę wyjście z sytuacji – rzucił z dodatkowym mrugnięciem oka.

Pośpieszyłem na mostek.

Potem, już nie dając rady, zawołałem do pomocy Hindusa i wszyscy razem zdecydowaliśmy się zwolnić kotły i wyjść ku istocie najdalej wysuniętej w pościgu z propozycją porozumienia.

Aż drżałem na samą myśl: „Cóż ja powiem biednej Abelii? Jak mam wytłumaczyć jej to nasze perfidne świństwo?”.

A oto co kilka chwil przedtem robił w sekcji komór wyjściowych, z konieczności w sekrecie przywróconej do zawartości powietrznej – nasz chemik, pan Linfeld:

– Idź precz, bestio! – z obrzydzeniem wołał w kierunku skradającej się po oślizłej podłodze serenidy.

Poczwara parszywa, ciągnąc tuż za sobą niewładne ciała wężowych niań otumanionych bodaj nadmiarem tlenu, wznosiła się na miękkim łokciu. Czasem opadała ku samej powierzchni i wachała przed sobą drogę jak ślepiec, aby w chwilę potem nagle wijącym się i urywanym ruchem posuwać się naprzód. Podświadomie zdawała sobie sprawę, iż oślizły klej, który wydziela dla uniknięcia tarcia, znacznie prędyżej zastyga na powietrzu niż w wodzie. Linfeld z kolei wiedział, że nic go tym razem nie uratuje, jeśli jej samej jak najprędyżej nie unieszkodliwi, bo już szły parszywe wiąchy na cały statek, zarażając nawet mnie, nieświadomego szkody i pozostającego w odizolowanej kabine medycznej z Abelią, potwornym swędzeniem i mrowieniem porównywalnym z bólem.

Eric nie miał kogo winić. Przecież wymyślił całą tę pułapkę. Przykazał przedtem Hindusowi, aby ten w tajemnicy przed moją osobą, to jest panem De Waayem i panną Abelią, pozbył się szkodnika, wypompowując wodę z podejrzanego o jego obecność sektora na zewnątrz.

Niestety serenida w przeczuciu nieuniknionej śmierci w otaczającej statek wodzie trzymała się pokładu i na nim uparcie się o sprzęty zapała, mimo że powietrze było dla niej czymś nowym, podejrzanym i przypuszczalnie szkodliwym.

Zaszczuta w nowym kącie, z trudem łapała oddech.

Postanowiła jednak powrócić do swej kryjówki. Ruszyła w kierunku rurociągów.

Wtem lord zagroził jej drogę. Ujrzał, jak serenida otwiera usta niby do ćwierkania, potem lepi je w lejkowaty pyszczek i cmoka. Delikatnie wypowiedane frazy pobłądziły w kierunku szeptów i modłów, bo w atmosferze szybko się nie rozchodziły, a wibracje spowodowane drżeniem ośrodka zamiast na ludzi, przeniosły się na meble. Stamtąd odbiły się i zaczęły gromadzić we krwi obecnych i niczym werbalna trucicielska komenda zdążyły do głowy.

Nie było chwili do stracenia.

Pan Bizzard i chemik Eric natychmiast popadli w panikę. Poczuli na przemian wydobywać z siebie dźwięki odczyniające frazy rzucane przez małą gnilną kanalię.

Byliby tu zmarli, gdyby raptownie nie zaszumiały pompy. Zewsząd poczęła się wściekle wdzierać woda balastowa, a dodatkowo otworzyły się też śluzy i komora wyjścia. Tam, ku rozbłyskanej toni, obaj panowie popchnęli zaskoczoną smarkulę. A

ponieważ udawali, że wraz z nią idą, wielkiego oporu nie stawiała. Potem się zreflektowała i zaczepiła nieskazitelnie pięknymi dłońmi o framugi. Tak trzymała. Lord nie potrafił opanować pragnienia pocałowania lubieżnych palców. Oszalał niemal od ochoty. Eric odepchnął go gwałtownie na bok, by otwór zatrzasnąć klapą. Lord zazarcie się oparł. Tak by się drażnili do czasu skończenia świata, gdyby mała nie ujrzała kątem pięknego oka potężnej sylwetki ojca ningena oczekującego na córkę ze słusznym pokarmem żelowym, któremu to widokowi smarkuła musiała ulec.

– Mała Lynete napędziła panu całkiem sporego pietra, czyż nie? – spytał ze śmiechem lord Duncan LINFELDA, gdy już wszyscy żeśmy po tych spotkaniach i napięciach ochłonęli w kapitańskiej mesie.

– W sytuacji podobnej znalazłem się już nieraz – odparł z lekka obrażony chemik. Jednak z wielkim bólem zakładał na ciało podwodne środki opatrunkowe. Skóra wciąż ulegała degradacji i odpadała płatami. Nie chciałem być złym wróżbitą, ale mogło się to dla niego źle skończyć. – Miałem już doświadczenie z osiedleńcami głębi – mówił LINFELD. – Bywałem chory tygodniami. I teraz też może nie być lepiej. Inni mieli jednak mniej szczęścia ode mnie. Ofiary rekrutowały się z wielorybników, a wiadomo, jak zażarty to naród. Zwykle wybierali się na odległe tułaczki wraz z całymi rodzinami, polując na skutnice podobne do foki, tyle że osiągające niebagatelne rozmiary siedemnastu metrów. Tłuszczu zwierzęcego używano w przemyśle, więc nic dziwnego, że można było dorobić się na nim niezłej fortuny. Nic też niespotykanego w fakcie, iż harpunnicy, pragnąc zabezpieczyć się przed bestiami, uciekali w niewidzialność. W tym celu przed podróżą pożerali minerały w ogromnych ilościach, na zapas. Nikt nie pragnął obudzić się człowiekiem lądowym w tak ponurych podwodnych okolicznościach.

– Znikali na całe tygodnie?

– Otóż to. Zaprzęgi niewielkich koni podwodnych ciągnęły dobytek i ładunkowe skrzynie na powietrznej poduszce. Tam nędzarze wozili filtry do żywności i niewielkie składane chaty.

– I jak po tym wszystkim wyglądali?

– Wbrew swoim oczekiwaniom narażali się na inne niebezpieczeństwo. Ciała nie radziły sobie z przedawkowaniem leków. Startowały w nich nieodwracalne metabolizmy, mutacje, perforacje, wystrzępienia i dziury. Często zdarzało się, że organizm już nie tylko nie wracał nigdy do równowagi, ale i w ogóle do formy ludzkiej. Kobiety nie donosiły ciąży, tylko ronily hoisty<sup>55</sup> miast dzieci. Mężczyźni nie potrafili spłodzić męskiego potomka.

– Lepiej nie traćmy więcej czasu. Odszukam rano najbliższy algorytm Necrolotum i ruszymy pełną parą. Pozostało nam już tylko ratować profesora z opresji.

---

<sup>55</sup> Termin fikcyjny – dotyczy zniekształconego pod wpływem księżycowego środowiska płodu.

Nie minęła doba, a Reynash wcielił swoje plany w życie.

W nocnej porze przestawił maszynę na pełną moc i pomknęliśmy po skosie w głąbie jeszcze nierozpoznane. Sam dzierżyłem koło sterowe i kontrolowałem szybkość na chronometrze wojskowym.

Towarzysze spostrzegli mój stan ducha. Trzęsły mi się ręce, ledwo wznosiłem do pionu ciało. Ramiona mi omdlewały, a nogi zwyczajnie z bólu odpadały. Nie zasnąłbym za skarby, mając taki ciężar wyrzutów na sumieniu. Przecież ktoś musiał o tym wszystkim powiedzieć schorowanej matce? Znając prawd o życiu już dostatecznie wiele, uznałem, iż bez wątpienia tylko jednej osobie przypadnie zaszczyt jej poinformowania – mnie.

Toń zdawała się bezbrzeżna. Lot w niej podobny był do niekontrolowanej zapaści. Bałem się tylko onych pływających wysp, których w oceanach tej zatrutej planety według Reynasha wznosiło się bez liku. Jeśli przy rozwijanej obecnie prędkości stanęłaby nam na drodze jakiegokolwiek skała, bylibyśmy zgubieni. Gorsze one były od pływających gór lodowych, bo jeśli te pierwsze zagrażały w określonym wymiarze, to te drugie mogły nie tylko być wszędzie, ale jeszcze poruszać się z niezwykle dynamiką.

Zapytałby ciekawski, na jakiej drodze wyzwały tak potężne zasoby energii? Odparłbym zarzuty o promieniotwórczość naturalną. Wtedy mechanizm nie byłby w takim stopniu rytmiczny, a wznoszenie się powtarzalne. Mieliśmy do czynienia albo z całkowicie sztucznym dynamem grawitacyjnym, albo z objawami nieznaney nauce ziemskiej formy życia. Gwałtowne procesy przemiany materii wypełniały bowiem owe pumeksowe kompozyty wodorem, który będąc najlżejszą substancją we wszechświecie, nie potrafił się poprzez dostępne pory i szczeliny skutecznie i na czas wydostać. Zatem wzrastał w sztolniach i zamkniętych wnękach do wartości potężnych ciśnień, które to albo unosiły kolosa ku górze, albo prowadziły do samozapłonu złóż gazu i dość gwałtownej podróży po odrzucie. Co ciekawe, opadając wyspy te zawsze kończyły w tym samym miejscu na dnie, jakby powstrzymane napięciem niewidzialnej liny.

Mechanika owego spalania zdolna była unieść potężne, kilkukilometrowe granie i ciskać nimi niczym zabawkami. Nawet raketowy silnik nie wypycha lepiej zeppelinu w górę i nie rzuca go na tysiące metrów prostego rozpędu. Osiągnąwszy bowiem powierzchnię wodną, nasza pumeksowa skała wyrównuje ciśnienia i traci tę łatwo uzyskaną dynamikę. Zapada się zaraz potem, by już na powierzchnię długo nie wypełzać. Runąwszy w otchłanie dna oceanicznego, zaciska transoceaniczne lub transplanetarne przejścia, zachowując przy tym pozory procesu całkowicie naturalnego. Doprawdy, przyroda potrafi zaskakiwać różnorodnością form.

Już widziałem zwycięską minę profesora, gdym mu obwieszczał własne odkrycie. Zapewne byłby dumny z potwierdzenia własnych obserwacji.

Przesiadłem się na wyższe krzesło.

Rozespanym wzrokiem zderzyłem się z pejzażem za potężnym frontowym oknem.

Reflektor oświetlał drogę na przestrzeni dobrego kilometra, jednak idąca na sprzężeniu grawitacyjnym maszyna zbyt szybko zapadała się w głębię, by pole wizualne miało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie bylibyśmy w stanie zahamować na czas, nawet spostrzegając przeszkody na przestrzeni kilkuset metrów. Skale na głębokościomierzu również zupełnie powariowały. Czasem wolno podchodziły do nastawionej na początku podróży poziomiczy wartości zerowej, innym razem odbijały się od niej i leciały do tysiąca, dwóch lub pięciu tysięcy metrów poniżej, nic sobie nie robiąc z zębatek programowania.

Porównałem liczby ze skalami na nieprzemakalnej mapie kursowej. Z moich pobieżnych wyliczeń wynikało, że sporo jeszcze nas dzieliło od domniemanej lokalizacji prądu głównego Necrolotum.

Jakieś banalne siedemset kilometrów.

Ale czy aby na pewno nie minęliśmy po drodze kilku mniej wartościowych odnóg? Gdybym w pełni ufał przyrządom, zaryzykowałbym twierdzenie, że delta Necrolotum prócz głównych bram przecieku posiadała wąskie lub bardzo wąskie odprowadzenia do niewielkich komór o przekroju dwudziestu lub więcej kilometrów. Taką kałużę, zamkniętą na przykład w jądrze pędzącej asteroidy, mógłbym percypować jako nasienie międzygalaktycznej panspermii o nieskończonym zasięgu. Nie uważam za słuszne przy tezie tej nadmiernie się upierać, ale co jeśli system jest tak rozległy, iż na drodze mikroskopijnych wysięków przenika wszelkie wszechświatowe wody stojące? Można by wtedy mówić o wspólnej nam wszystkim istocie, dla której ewolucja formy żywej jest sposobem na materiałowe opętanie świata.

Swoim krzątaniem i grzebaniem pośród drążków napędu rozbudziłem zawsze czujnego Hindusa. Obrzucił mnie złym spojrzeniem. Potem sam zajął się nawigacją. Teraz już obaj z napięciem wpatrywaliśmy się w krajobraz za oknem.

Raptem ujrzeliśmy przesuwające się dno. Hindus słynący ze znakomitego refleksu w samą porę poderwał maszynę. Ominęliśmy wyostrzony łańcuch upiornie postrzępionych gór zaledwie o metry. Wspięliśmy się na kilometr i stamtąd, nieco już uspokojeni wynikiem echolokacji, opadliśmy na siedemset metrów, utrzymując pozycję z dziobem wymierzonym w podwodne piaskowe miasto.

– Ooo, co ja widzę? Chyba zgubiliśmy tamto wędrujące stado? – spytał pan Linfeld, przecierając zaspane oczy.

Rozejrzałem się zaniepokojony. Rzeczywiście, od jakiegoś czasu byliśmy sami.



– Stary odebrał od nas malucha, ale żadnych dokumentów przejęcia lub zaświadczenia nam nie pozostawił – stwierdziłem z gorzką ironią. – Czyżby oczekiwały nas dalsze kłopoty?

– Panie De Waay, czy wydaje mi się, czy znów próbuje nas pan przestraszyć? – odezwał się Reynash.

– No cóż, wciąż nie opuszczają mnie złe przeczucia. Jakież pokraczne miasto się do nas przybliżyło! Światy podwodne nie przestają mnie zaskakiwać formami architektury.

– Zwykle zwierzęce gniazdo – wyraził się z lekceważeniem Reynash. – Pełno tu rybiej, dennej aktywności. Nie są te wody tak martwe, jak myśleliśmy. Ale oto i dostrzegam głębinową rodzinę.

Jakby na potwierdzenie jego słów ujrzelśmy w oddali niewyraźne kształty ningenów. Wszystkie dotąd kłębiące się u powierzchni bestie w sposób przynależny chyba tylko maszynie napędzanej ostrą parą militarną zapadły się w toni i w mgnieniu oka sięgnęły samego mulistego dna. Tu się zagłębiły w bagnie, podobne do żerującej na mięsie kolonii magotów. Z uwagi na różnice ciśnienia zwierzęta winny byłyby być martwe, ale one wbrew temu, co mówiła nauka, a potwierdzało fizyczne doświadczenie, rozplomieniły błota aż po horyzont potężnym blaskiem.

Przynajmniej wiedzieliśmy teraz, gdzie szukać drogi.

Niestety, zablokowały przejście.

Nie pozostało nam nic innego, jak tylko znowu się poddać ich supremacji. Wybraliśmy spośród nas reprezentantów i wysłaliśmy, aby negocjować warunki przepływu.

Byliśmy zgodni, że w tym charakterze najlepsi okażą się pan Duncan i Reynash.

Tylko oni obaj dysponowali odpowiednią wiedzą i doświadczeniem. Na mojej osobie i chemiku spoczął obowiązek zabezpieczenia ich polem ostrzału. Przyznam otwarcie, że wobec tak potwornych mas marną byliśmy rękojmią bezpieczeństwa.

Z pokoju medycznego nadpłynęła Abelia. Usiadła obok ciągle coś analizującego Linfelda. Przez następną godzinę z ogromnym napięciem obserwowaliśmy, jak maleńkie postaci naszych przyjaciół giną w nieprzeciętnej skali. Doprawdy, nam pozostałym na okręcie serce podchodziło do gardeł na widok majestatu przybywających na pertraktacje postaci. Ludzie wydawali się nazbyt mali jak na dumę swojego gatunku, który reprezentowali. Tym bardziej że potężne, dwunastometrowe noszone przez bestie uzbrojenie doprowadzało nas do jeszcze większej trwogi i rozterki. Widziałem je, kiedy z gracją podpływali.

Otóż hełm noszony przez istoty do bitwy wykonano z jednego żeliwnego odlewu. Posiadał zaledwie niewielki pojedynczy otwór na oczy, z którego wylewał się przynależny tej rasie jad spojrzenia napędzanego zupełnie mechanicznym źródłem. Trik niezrozumiały, lecz nieprzeciętnie w walce zbrojnej skuteczny. To samo tyczyło

się ich torsów upstrzonych zaśniedziałą baterią tlenowych butli i kabli o różnych przekrojach. Blask, jakim toczyły wokół z onego sprzętu, nie mógł być naturalnym. Wyzwalał z przestrzeni wodnej strzępy trujących mydlin i inne złowróżbne proroctwa.

Patrzyłem, jak ningeny schodzą niżej i osaczają dwójkę naszych załogantów. Myślałem, że już po nich, że zostaną zdruzgotani i do dna zostali przyparci.

Zaraz pochwyciłem za wyzwalacz działa.

Trwałem tak w nerwach przez następną godzinę

Wreszcie powrócili. Poprosiłem Abelię, aby naszego męskiego grona jeszcze nie opuszczała. Pochyliła głowę w niezmiernym smutku, bo przeczuwała, o czym będzie mowa, a mnie serce omal na ten widok nie pękło.

– Myślałem, że słowne dysputy już nigdy się nie skończą – konkludował z ulgą pan Bizzard. – Gdybyż tylko mógł pan widzieć ich nowoczesny sprzęt filtrujący! Te chodzące na wysokich ciśnieniach plecowe pompy i parowe odsysacze! W życiu całym tego nasze towarzystwo naukowe się nie dorobi. Toż to dopiero są patenty! A napięcie elektryczne wytwarzają wyższe od brazylijskich rzecznych węgorzy i, co gorsza, pospólstwo we wspólnej mocy potrafi się zjednoczyć i wytworzyć kumulatywne wyładowania kalibrów lokalnego gromu. Nigdy nie uznałbym tych bestii za rozumne, ale po tym, co widziałem, trudno mi się w mej dawnej opinii utrzymać.

– Lepiej niech pan powie, jakie uzyskaliśmy warunki, miast częstować nas tyradami o świetności wrogię oręża – słowami myśli usiłowałem go zmusić do opamiętania.

– Pan Reynash wpadł na przewyborny pomysł – oznajmił lord – aby przyznać się najbardziej tęgim ningenom, iż porwaliśmy hrabiankę Abelię tylko dla uzyskania okupu za jej ciężarną zawartość. I w dalszej konsekwencji źle oceniwszy nasze postępowanie, już oddaliśmy zgubę narodzoną we właściwe ojcowskie ręce.

– Co jak co, ale chciwość na pieniądze rozumieją najlepiej – wciął się Hindus. A widząc mój zniesmaczony wzrok, szybko dodał: – A teraz co? Córka panny Hurstbridge miałaby pójść w zamian za matkę? – Patrzył na mnie wyzywająco. – Chciałby pan się tanio obkupić – oskarżył.

– Czyż to nie zakrawa na farsę? – oburzyłem się na te słowa. – Przecież ja przenigdy Abeli nie oddam! Życie poświęcę... – zwróciłem się do lorda.

– Spokojnie, panie De Waay. Rozumie się samo przez się, że naszą uległość sfingowaliśmy – odezwał się pan Bizzard. – Owszem, gadaliśmy o pannie, ale zaledwie zaczęliśmy dysputy, oni od razu je zgasili. Był tam taki jeden mędrzec przez pana toporkiem bodaj potrącony. Wiedzą, żeś pan desperat i w dodatku wściekle zakochany. Gonić kogoś przez kosmiczne ostępy? Nawet u nich to niezwykle i szacunku godne. Wprowadziliśmy trochę dramatyzmu, ot co.

– A niech pana wszyscy diabli... Raczej by nam wszystkiego nie odebrali?

– Owszem, widziałem u niektórych takie zapędy, lecz mimo wszystko zdecydowali się postąpić honorowo. Pozostaliśmy bez żadnych podwodnych foliowych dokumentów w uzgodnieniach o oddanie dziecka, lecz uznali, że publiczne potępienie czynów pewnego zakochanego młokosa, naiwnego pomysłodawcy całej intrygi, zakończy nieporozumienia. A nadesłane od winowajcy foliowe przeprosiny będą dla nich wystarczająco satysfakcjonujące.

– Coś podobnego! I nie zażądali przypadkiem mojej głowy?

– Otóż okazuje się, że nie.

Wszyscy teraz skoncentrowaliśmy uwagę na Abellii, która słyszała naszą rozmowę i nie wiedząc z bólu matczynego, gdzie ma się podziać, spytała:

– Jak to? Oddaliście serenidę ojcu bez mojej zgody i wiedzy?

– Jej ojciec, wzięty geodeta, zagroziłby nam wszystkim śmiercią w przypadku niespełnienia jego warunków. Trzepnąłby nas ogonem i po sprawie. Odebrawszy dziecko, odpłynął.

– Wyglądała na najszczęśliwszą, Abelio – pocieszałem mą lubą. – Jak tylko rozwarliśmy śluzy, z radością puściła się za phologhonem w otchłanie.

– Bezwzględnie zależało im na dziecięciu, a już zupełnie nie na matce – sucho stwierdził Eric Linfeld. – Po to takiej drogi nadłożyli, po to uczynili aż tyle rabanu. A znam kreatury nie od dziś. Trującym moczem potrafią zapaskudzić nawet wielkie akwenty. Zmiotłyby nas swoją chemią w sekundy.

– Poza tym, moja pani – zaczął łagodnym tonem lord Duncan – trzeba ci wiedzieć, że po zakończeniu badań pełnym prokreacyjnym sukcesem los rodzicielki stał się im obojętny. Najpodobniej od tysiącleci zajmują się rozrodczością eksperymentalną. Nie ma u nich żadnej partnerskiej miłości.

Również Reynash dodał:

– Ten akurat przypadek, przy którym aktywnie się zaangażowali najbogatsi z ich kasty przydennej, przyniósł im łączny dochód pięciu milionów czystego zysku transferowego.

Tylko patrzyłem z bólem, jak bardzo ma Abelia ów kupiecki dialog męskich myśli przeżywa. Chciałem jej dopomóc, choć nie wiedziałem jak, bo ma miłość również bywała zaborcza i samolubna.

Wyobrażałem sobie, iż gwałt gwałtowi bywa nierówny. A co jeśli jakowaś więź pomiędzy partnerami z tej cielesnej zażyłości wynikała? Nie miałem czelności kpić sobie z odruchów serca. Ale też wciąż pamiętałem, z jakim sentymentem i wzruszeniem Abelia brała do ręki te wszystkie ozdoby, złote łańcuchy, naszyjniki z pereł i diamentów otrzymane w podarunku po obrzydliwych codziennych widzeniach. Akty dokonane po ich otrzymaniu wprost nie mieściły mi się w głowie. Jakież to skali

przyjemności można doznać w obcowaniu z potężną rybą? Gdzieżby miała się zmieścić w tym miłość, czułość, gdzie przyjemność z nagości?

– Jak to? Jakiego transferowego? Skąd pan o tym wie? – głośno się zdziwiłem, poirytowany własnymi wyimaginowanymi wizjami. Od nierządu w mej głowie aż na twarzy poczerwieniałem.

– Znam ich trochę lepiej. Wiem, gdzie podsłuchiwać i jak – odparł na to.

– Mieliby chęć mieszać ludzkie geny z ich zwierzęcą istotą i jeszcze czerpać z tego podłego proceduru zyski? – znów pytałem.

– Ależ oni handlują pomiędzy sobą pomieszanymi dziećmi, które idą w skupie jak rasowe źrebięta. W pierwszym rzędzie głos melodyjny stawiają, później pieśni, gibkość i pokusę w ruchu – śmiał się Hindus.

– Jest to zbezczeszczenie prawa boskiego! – oskarżałem, ganiąc samego siebie za rozstrojone nerwy.

– Przecież sam pan wie, że wiele twierdzeń z Biblii stało się już anachronizmem – uznał za stosowne przypomnieć mi pan Duncan. – Od wielu wieje nudą, a z naukowym opisem to już całkiem stoi ta księga na bakier. Nowo odkrywany świat stał się znacznie ciekawszy od tego bożego, nafaszerowanego pradawnym złem i grzechem – zaatakował mnie. Hindus będący z wiary sikhem, to jest wyznawcą religii obowiązującej w Pendżabie, a będącej syntezą wielu wierzeń głównych, czyli elementów islamu i hinduizmu, spojrział na niego prawie z oburzeniem.

– Nie wolno się naśmiewać z tak poważnych rzeczy – napomniiał lorda, stając zaraz po mojej stronie. Twierdził, czym pochwalił się w chwili prywatności, że istnieje możliwość łączności z Bogiem poprzez medytację prowadzącą do oświecenia duszy. – Maleńki procent zajmuje w świecie boskim Ziemia, a sam mało ważny człowiek znajduje się na szarym końcu łańcucha organicznej symbiozy jako banalny pasożyt i marnotrawca – ciągnął angielski panicz. – Reprezentujemy gatunek lądowy, w swej istocie całkowicie uzależniony od dostaw wody pitnej. Otrzymujemy transporty drogą powietrzną w chaotycznym procesie jej odparowania z mórz i oceanów. Zaledwie potrafimy tam, na ziemskim padole, egzystować i uprawiać coś w glinie. Stworzyliśmy cywilizację dla nielicznych, bo większości głód nie pozwala na uciechę z edukacji i wojaży. Jakże możemy mienić się dziećmi bożymi z tak podłą naturą nikczemników i barbarzyńskim obyczajem śmieciarzy?

– Czyli wolno istotom żywym na ich własnym danym im przez Boga ciele eksperymentować?

– Niech pan nie będzie śmieszny! Przecież pan sam, wsłuchując się w tego obecnego tu bramina indyjskiego, przy pomocy diety mineralogicznej wyprowadził ciało ludzkie z jego ciasnoty ewolucyjnej na szerokie wody przemiany gatunkowej.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową. „Takiż to łajdak?” – zaczępnie zmyśliłem.

– No dobrze, jeśli to takie moralne i warte pochwały, to może mam zaproponować łotrom pozaziemskim możliwość odpłatnej usługi? Niech nas wszystkich modernizują!

Obrażony Duncan popłynął do Linfelda, który już dawno zajął się higieną jego własnej dotkniętej gangreną skóry. Pomógł chemikowi zmienić niektóre opatrunki na bardziej lecznicze. Przemyślał widać wszystko przy tej czynności, bo postanowił wrócić i przeprosić.

Ningeny, jak wcześniej zastrzegły honorowym słowem, szczelnie oblepiły nasz pojazd własnymi ciałami. Nie wiadomo, czy manewr ten miał jakieś praktyczne znaczenie, czy tylko magiczne. Rozumieliśmy, iż w niektórych lokalizacjach galaktycznych system Necrolotum mógł stać się szczególnie wybiórczy, a to z powodu limitu masy, a to z racji zainstalowanych automatyzmów operującej nim lokalnie rasy. Przypuszczaliśmy, że z takim właśnie wariantem mieliśmy do czynienia obecnie, co starał się udowodnić nudnymi wywodami sam pomysłodawca, pan Bizzard. Uważał, że rozświetlona miastami planeta nisko zawieszona na nieboskłonie naszej wizytowanej „Mozorii” – nazwa pomysłodawcy – mogła mieć włodarzy doskonale kontrolujących podlegające jej wody. Stąd nasze gigantycznej wielkości phologhony zapragnęły uniknąć niepotrzebnych trudności natury technicznej i ukryć mechaniczne pochodzenie naszej łodzi przed kontrolnym okiem zaworu przepustowości. Wpuścił nas co prawda, ale nie znaczyło wcale, że miał nas wypuścić.

Zacisnęły na korpucie Morrlitusa ślimakowate cielska, aż zatrzeszczała na ożebrowaniu, a my poczuliśmy się jak umieszczeni w potrzasku. Mogły nas teraz łotry wyprowadzić na każdą mieliznę lub gorzej, wysłać w kosmiczną próżnię, a tam zgnieść i zabić. Nie pozostawiły nam żadnej możliwości wyboru, prócz bierności i zgody nie spodziewały niczego.

Tymczasem Hindus, nastawiwszy maszyny na koordynaty przelotowe Necrolotum, kazał nam wszystkim na powrót się zgromadzić w oficerskiej mesie. Powiedział:

– Z uwagi na ostatnie wydarzenia podjąłem ważną decyzję. – Gdy już załoganci znaleźli swoje miejsca i pytające spojrzenia zawisły na ustach mentora, oznajmił: – Może na samym wstępie wyjaśnię państwu, iż celem głównym pierwszej i oryginalnej misji brata pana profesora Ocearusa był Ganimedes. To w niego mierzyły największe w całej flocie jednostki. Każda z blisko pięciomilionową załogą, głównie narodowości hinduskiej. One jako pierwsze uderzyły w powierzchnię podczas manewru lądowania.– Mam pan na myśli katastrofę?

– Ależ nie. Pan Immanuel dysponował wielką wiedzą. Posiadał dyplomy niemal z każdej liczącej się wtedy uczelni i zastosował w iglicach pocisków międzyplanetarnych kawitacyjny zderzak własnej konstrukcji. Chociaż wiedza ta była wówczas w powijakach, urządzenie wykazało się zadziwiająco skuteczną, zamieniając w natychmiastową magmę pierwsze kilkaset metrów skały i lodu, a rozgrzewając resztę aż po podziemny ocean do stanu łatwej do penetracji papki.

– Ależ to nieprawdopodobna masa ludzka. Jak udało się dobrodziejowi skompletować tak potężną załogę?

– Główny jej trzon stanowiła brać robotnicza i górniczy, którzy w poszukiwaniu poprawy warunków egzystencji godzili się niemal na wszystko. Pan Immanuel z łatwością przekonał ich do cielesnej transformacji, tym bardziej że przeistoczenie owo podobne było do reinkarnacji i nie powodowało sprzeciwów natury religijnej, tak wszechobecnych w warstwach biedoty. Sprawnie zwodowane pociski posiadały po kilkadziesiąt łodzi podwodnych plus maszyny i sprzęt. Migiem udało się założyć zręby pierwszej kolonii. Co ciekawe, kapitan Von Settler pomimo poczynionych wysiłków poszukiwawczych nigdy nie dotarł do ich tajemnej lokalizacji. Tym bardziej że przybyły później na pokład innej jednostki pan Immanuel Molier starannie ukrył dowody ich egzystencji przed okiem chciwego oficera.

– A same pociski? Przecież muszą gdzieś istnieć ich pordzewiałe resztki. Czyżby na ich podstawie nie można było dociec prawdy?

– Pan Immanuel wskazał Von Settlerowi inne wraki i zasugerował pierwotną katastrofę.

– Tak bez dowodów, bez ciał, bez ładunku to udowodnił?

– Ważne, że Von Settler uwierzył. Musiał, bo brat pana profesora przerzucił winę na żyjących w wiecznej wojnie podwodnych Gloarów. A na tamten moment nikt nie wydawał się być na tyle szalonym, by wszczynać konflikt z miejscowym, dobrze prosperującym podmorskim imperium.

– Co tak nagle przesądziło o zmianie opinii Immanuela na temat kapitana? Dlaczego jeszcze na Ziemi nie pozbył się drania i ciasno z nim związanych decydentów?

– Przede wszystkim jego pochodzenie wyszło dopiero na jaw w kosmicznej przestrzeni. Musi pan pamiętać, że pośród nieprzeliczonych tłumów społeczeństwa uboższego miał starszy pan Molier do czynienia z blisko milionem osób, które szczyły się szlacheckimi korzeniami. Wszyscy oni okazali się być ludzkimi mętami, ale cóż zrobić, jeśli stanowili o społecznej inteligencji?

– Chce nam pan powiedzieć, że wie, gdzie jest ukryta druga ziemską kolonię o większościowo ludowym pochodzeniu? – spytał podniecony własną konkluzją lord Bizzard.

– Tak. Mam zamiar udać się w rejon jej przypuszczalnego położenia. I owszem, ma pan rację i w drugiej sprawie. Proletariat przejął tam rolę przewodnią. Nie zdziwię się, jeśli do podobnej rewolucji wkrótce dojdzie na Ziemi.

– A któż z motłochu ziemskiego miałby czelność sięgnąć po władzę i wyrwać ją w sposób krwawy burżuazji?

– Pięćset siedemdziesiąt milionów Rosjan lub czterysta Niemców?

– Wobec tego zrozumiałym jest zaborcza postawa kapitana i uwięzienie profesora. Nieszlachetnym tym czynem zapragnął prawdopodobnie wydrzeć z Moliera potrzebne

mu informacje, by sprowadzić tu karne armie nacjonalistyczne lub rewolucjonistów rosyjskich.

– Otóż to, panie Bizzard. I tu pojawia się moja niepoślednia rola. Kapitan wiedział, że zniknąłem wraz z descenderem na samym początku naszej podmorskiej misji. Nie oponował, nie wszczywał alarmu i nawet nie liczył do siedmiu, bo tyłuż należało się spodziewać załogantów. Dlaczegoż to? Prawdopodobnie uznał, iż lepiej będzie pozwolić biednemu słudze na ucieczkę, a następnie uknuć intrygę i spowodować katastrofę, z której niebywałym cudem uszedł z życiem pan Eric. Uważał, że wtedy przeciwności same się przyciągną. I miał rację.

– No dobrze, ale do czego mu był potrzebny Eric?

– Tylko on zna się na mapowaniu Necrolotum. Nikt z nas tu obecnych nie ma zielonego pojęcia o strukturach prądów. Ja sam z trudem obliczam algorytm, który mógłby mnie poprowadzić po wszystkich zaułkach.

– Myśli pan, iż Linfeld jest obecnym tu szpiegiem frakcji kapitańskiej?

– A jakżeby inaczej? Wodzi za mną szczywanymi ślepiami od samego początku – rzucił rozzłoszczony hinduski bramin prosto w twarz chemikowi. – A spojrzysz pan tylko na fizjonomię tego krętacza – domniemywał. – Linfeld? A może Linderdorf? Czemuż on taki zielony i śliski? Jakaż w nim płynie krew? A może już w nim wykluwa się genetyczna poczwara?

– Przesadza pan – zaprzeczył lord. – Zdrowy chłopak.

– Tyle że szpiegostwem może się dodatkowo parać – uznał Reynash. – Nic nie stoi na przeszkodzie.

– I mówi to pan tak otwarcie? W jego obecności?

– Chciałem tylko panów na sytuację uczulić, bo pan Linfeld, leżąc tam w kącie kapitańskiego mostka, ciągle fiolkami w ośrodku wodnym żongluje. Ma mnie za nic. Biorąc mnie za czarnego durnia, podaje wodę okoliczną do środowiska pokładowego.

Popatrzeliśmy z lordem na chemika z wcale nieprzyjemnymi minami.

– To znaczy truje?

– A nie robi pan tego? – zapytałem w odpowiedzi na jego obojętne wzruszenie ramion.

– Nic to z truciem nigdy nie miało wspólnego – stwierdził, całkowicie do nas wrogo usposobiony.

– O widzicie, sam się przyznaje!

– A niby dlaczego do chemicznych map waszego Reynasha sporo wkradło się błędów? – spytał. – Bo kluczy, wesz parszywa. Nie chce was do sekretnego celu doprowadzić! Gdzie niby miałem umieszczać trucizny?

– A w zbiorniku testowym przy dziobie statku, skąd pobiera się próbki do analizy, to co? – odpowiedział pytaniem na pytanie Hindus.



Spotkało go w odpowiedzi powtórne wzruszenie ramion.

– Ma tam łotr rosyjski dyskretny wężyk i dla odczynników doprowadzenie – zdradził z triumfem Hindus. – Tak, żeby prostować kursy tam, gdzie mają być krzywe. Bo my tu na „Morrlitiusie” na chemii analitycznej jesteście prowadzeni.

Spojrzeliliśmy po sobie zdumieni takim sprytem. Po Ericu jakby spłynął strumień zimnej wody.

– Rosyjski? Przecież mówił pan, że niemiecki? – zważyłem.

– Jak nie niemieckim, to musi być rosyjskim szpiegiem – oskarżył.

– Zastrzelmy go – zaproponowałem.

– Może udawajmy dalej, że nic się nie dzieje – szybko wtrąciła przestraszona pomysłem Abelia, która rozumiejąc już naszą sytuację w szczegółach, z wolna przychodziła do siebie. – Przecież mówił pan Reynash, że z trudem odnajduje drogę, a pan chemik Linfeld to niepospolity fachowiec i pomoże – założyła. – Prawda, panie Ericu? – Ten skinął w odpowiedzi. – Jak ty, Jack, doprowadziłbyś nas do drugiej ziemskiej kolonii? Posiadasz jakiegokolwiek podmorskie pojęcie?

Zamilkliśmy z wrażenia. Skąd u panny wzięła się taka sympatia do mendy?

– Właściwie to pan Ocearus zakazał mi tam płynąć – wyznał po chwili Hindus, pokrętnie się uśmiechając.

– Jak to? Po tym wszystkim, co nam pan tu napłócił, odmawia pan wskazania drogi do jedyne go bezpiecznego dla nas schronienia?

– Zażądał ode mnie na piśmie dobrodziej, abym panów dostarczył do stolicy na Europie, potem ukrył pojazdy, a sam się zaszł w jakiejś plebejskiej okolicy.

– I co dalej?

– Gdy sprawa odnalezienia panny ucichnie, miałem was odnaleźć i jeśli takie byłoby wasze życzenie, popróbować kontaktu z Kallistianami w sprawie waszego kosmicznego transferu na Ziemię w pojazdach pociskowych ich konstrukcji. Uważałem, że nie można ryzykować i ustawiać na przeciwwadze życia losów waszej trójki i milionów kolonistów.

– I pan się na to godziłeś? Na życie zaszczutego szczura?

– Wtedy mnie przekonał, dziś wątpię w jego racje – objaśnił prędko Reynash.

– Czy coś przesądziło o tej zmianie? – spytał całkiem nieuprzejmie lord.

– Myślę, że prędzej czy później dojdzie do konfrontacji z Gluorami, a rozpętana wojna z lokalnymi społecznościami zawsze wszystkim szkodzi. I nie widzę wtedy szansy na uchronienie drugiej kolonii przed niespodziewaną agresją na teren ich izolowanego oceanu. Skończyłoby się to jatką.

– Konflikt, notabene celowo wszczęty przez Von Settlera?

– Właśnie taki.

– A gdy już dotrzemy do kolonii, wie pan, co zrobimy potem?

– Poprosimy o pomoc i natychmiast wyruszymy w sukurs panu Molierowi. Niech on już sam rozsądzi, co jest właściwe, a co nie.

Wszyscy zgodnie przystaliśmy na ten pomysł. Eric wyraźnie się ucieszył. Było to jak najbardziej po jego myśli.

Linfeld po paru dniach doszedł całkowicie do siebie.

Rany się zagoiły, a on sam się uspokoił i w każdej wolnej minucie coś w swym kajecie foliowym gorączkowo spisywał.

Tymczasem już udało nam się pozełgować w oceany Ganimeda całkiem swobodnie. Zgubiły się gdzieś po drodze ostatnie stada ningenów. Towarzyszyło nam zaledwie kilka osobników idących pełną parą na przedzie. To one właściwie przeprowadziły nas przez pozostałe labirynty Necrolotum i już począłem się wraz z towarzyszami naradzać nad właściwym wykorzystaniem ich wiedzy, gdy raptem jakby rozplynęły się bez śladu.

Pozostaliśmy w przerażającej nocy kompletnie sami.

Chemik siedział w oficerskiej mesie pogrążony w niewesołych myślach. Reynash stał za sterowym kołem, a pan Duncan najzwyczajniej w świecie usnął przy lewarach.

Podpłynąłem do Erica. Uparcie rysował na błonach lokacyjnych i poprawiał coś przy swoich wykresach. Nanosił najświeższe skale i zdawało się, iż w pocie czoła tworzy nowy katalog. Zajrzałem mu przez ramię, odgarniając farfocle pływające w wodzie, gdy obrócił się ku mnie rozpromieniony.

– Jak pan się czuje? – spytałem, wcale nie rozumiejąc jego serdeczności.

– Jest lepiej – odparł. – Zastanawiam się, jak długo trwałaby rekonwalescencja skóry w środowisku lądowym na waszej Ziemi? Takie rany zapewne nigdy by się tam nie zasklepiły? Tutejszy niesiony z prądem wodnym ganimedowy żel i jego zbawienny wpływ na rany skórne został już wielokrotnie potwierdzony.

– Tak, to rzeczywiście jest cudowne ozdrowienie. Gdy pana po całej awanturze ujrzałem, muszę przyznać, że wątpiłem w pana szanse na przeżycie.

– Było aż tak źle?

– Wprost fatalnie.

Milczeliśmy przez chwilę, kiedy tymczasem on jakoś tak ostentacyjnie, że niby to obrażony za owo słowo o „zastrzeleniu”, pilnie spisywał dane i wprowadzał od czasu do czasu do grafów wyrysowanych wodnym ołówkiem punkty krzywej kolejnego wykresu.

– Praca pana nie wyczerpuje?

– Raczej sprawia mi przyjemność. – Tu przechylił się do mnie. – Widział pan żartownisia? Ten hinduski szkodnik wprowadzał zanieczyszczenia do punktu analizy. Od samego początku psuł bezcenne urządzenie.

– Nie może być, psuł?

– Tak. Tyle że ja jestem przyzwyczajony. W swojej karierze zawodowej napotkałem wielu analityków, którzy zachowują się podle, gdy poczują wiatr konkurencji.

– I co pan w takich przypadkach robi?

– Najpierw analizuję roztwór zanieczyszczający, a następnie wyprowadzam z analizowanej cieczy elementy ją skażające.

– I wtedy dopiero tworzy pan skorygowane mapy?

– Powiem panu w sekrecie, że zawsze mam do dyspozycji dwie. Jedną z danymi przed filtracją, drugą po. Zresztą proszę, niech pan zerknie. Rozbieżności są widoczne nawet dla nieprofesjonalnego oka, a pan, jak wiem, jest z wykształcenia hydrologiem.

Wzięłem do ręki niewielką folię i taka ogarnęła mnie wściekłość, że stłamsiłbym ją na miejscu, a szpiega podłego przy okazji udusił. A więc miał rację Hindus, by mężczyźni nie ufać. Chociaż nie był ten nasz Reynash bynajmniej ambitnym sługą i co więcej, rezolutnym, to nie kierował się wyłącznie własnym jadem i chorymi posądzeniami, które to cechy widziałem u Rosjanina. Spróbowałem jeszcze Erica podpytać o odległość do drugiej kolonii i tak przy okazji sprawdzić, czy wie, gdzie ona leży, bo jakoś od Reynasha nigdy nie mogłem się tego dowiedzieć. A ten wyjechał mi z teoriami, których rozumienie doprawdy odmieniło moje życie.

– A czymże jest owo Necrolotum? – spytał bezbrinnie, jakby oczekując ode mnie reprimendy. – Bo nie wiem, czy jego złożoność pan pojmuje.

– Magicznym prądem wodnym? Gwiezdną bramą?

Spojrzał na mnie uważnie, po czym odsunął pracę na plan dalszy i zaczął:

– Proszę sobie wyobrazić potężny pęd oceaniczny, ale nie płynący wzdłuż planety, lecz zapadający się i zasysający, podobny do potężnej trąby, tyle że niemającej powietrza w środku, jeno wody najskrytsze i najczystsze podążające od najdalszych części wszechświata ku innym nieskończonościom. Uniwersalny ów byt morski łączy wszelkie istnienie w przestrzeni ekspandującej w niespożytą jedność. Może być, że nawet w swym elektrycznym napędzie jonowym niesie wszechogarniającą świadomość będącą motorem wcale niełatwych przemian ewolucyjnych.

Milczałem wzruszony, gdy tak mówił. Wydał mi się nagle człowiekiem nie tylko światłym, ale i prawym. I znowu wątpiłem w hinduskie uprzedzenia. Nie powiem, że bym wszystko rozumiał, a nawet próbował spamiętać, ale taka mnie wzniosłość ogarnęła, że dla zasłuchanego nawet obecność lorda Bizzarda pozostała niezauważona. Widać i lordowi w tym ufał, bo zamieniwszy Reynasha przy sterach, pan Duncan z boku się celowo i otwarcie krzątał, przygotowując dla nas wszystkich przekąskę z zawartości worków planktonowych. Rozpuszczał ją w wodzie pacyficznego obszaru ponad stołem, skąd mogliśmy wygodnie i z przyjemnością danie wciągnąć nozdrzami.

– Coś mi się zdaje, że owe rewelacje są największą tajemnicą naszego Uniwersum – zagadnął, by nie wyjść na ignoranta.

– W samej rzeczy, panie Bizzard. Co więcej, napotkaliśmy w naszych badaniach dotyczących kartografii kallistiańskiej fragmenty wielkiej Księgi Podróżniczej. Według samych zainteresowanych w zamierzchłej przeszłości odbywano wyprawy ku światom

odległym. Stworzono nawet szczegółowy katalog prądów i ich chemiczne odzwierciedlenie na papierkach lakmusowych. Niektóre części opisów chemicznych zachowały się w znakomitym stanie. Pozwalają przypuszczać, że daleko wcześniej niż pojawił się na Ziemi człowiek, przedstawiciele rasy atlantydzkiej sięgnęli gwiazd, a nawet lokalizacji pozagalaktycznych.

– Dlaczego w takim razie my, ludzie posiadający tak potężne oceany, nigdy dotąd żadnego prądu Necrolotum nie odkryliśmy?

– Przypomnę panom, że jesteście skupieni na lądzie. Do oceanu wybieracie się jedynie po to, żeby go obrabować. Znacie co najwyżej pięć procent jego zasobów, nie mówiąc już o takich szczegółach jak prąd uniwersalny o przekroju co najwyżej dwustu metrów idący w zmiennej wodzie bieżącej od planety do planety.

– Więc brat pana Moliera znał owe międzyplanetarne przejścia?

– Nie. Immanuel odkrył ich obecność dopiero na księżycu jowiszańskim, Europie, i solidnie się zdumiał, gdy wskazali mu je sami Atlanci. Przypomnę tylko, że kilka lat wcześniej wylądował tam wraz z Von Settlerem w zupełnie standardowy sposób, to jest przebijając się potężnym uderzeniem kosmicznego pocisku poprzez zewnętrzne lody. Zachęcony podszeptami obecnego przy nim kapitana, zaczął badać atlantydzkie, jak się pierwiej zdawało, przejścia teleportacji wodnej. Ale dopiero ostatnia wyprawa profesora Ocearusa pozwoliła zaobserwować konkretne odgałęzienia, którymi posługiwał się Immanuel, podróżując na Ganimeda i z powrotem.

– A czyż nie mógł on, tęga głowa, użyć prądu Necrolotum, by dostać się z powrotem na Ziemię?

– Profesor Molier, czy Immanuel?

– Ten drugi, rzecz oczywista.

– Przecież wie pan, nie zdążył, pomarł.

– A pan Molier?

– Och, nie... Ten był tu obecny zaledwie rok, a to w badaniu oceanicznym jest na ułamek sekundy zaledwie rzuceniem oka. W czasie tym poszukiwał grobu brata. Uznał w końcu, że Immanuel został zamordowany, a szaleniec, którego o mord posądzał, zwierzył mu się ze swoich planów. Nic nie pozostało biednemu uczonemu, jak tylko wprowadzić w czyn testament brata, a było nim żądanie zamknięcia pływu ziemskiego. Ocearus powrócił do wspomnianego w liście butelkowym przejścia wysiękowego, którego przedtem użył, dostając się w jowiszańskie światy, i udał się z powrotem na Ziemię. Tam udało mu się sprawę komunikacji międzyplanetarnej cieczy w szczegółach rozpatrzyć. Następnie po latach pracy do swej drużyny dołączył panów. Później też, z waszą pomocą, skutecznie uszkodził jedyny sprawnie działający i dopiero co przez mistrza odkryty zawór przepływu.

– Może są jeszcze inne?

– Katalog światów jest tak bogaty, że trudno kontrolować ruch własnego przepływu. Zdawałoby się, że oceany najbliższe będą w nim umieszczone koło siebie. Jednak tak nie jest. Mamy do czynienia z szerokim, silnym prądem, zwanym „bramą” lub „delta”, i setką odnóg prowadzących do nowych źródeł i przejść. Dominuje zupełnie nam nieznaną metodologią przyporządkowań. Układy powiązań zdają się być sprzeczne logicznie. Miast dostać się na Ziemię, w lokalnym katalogu prądów może porwać pana nic zbliżonego chemicznie oceanu oddalonego od niej na przykład o dwadzieścia lat świetlnych. Może kiedyś będzie możliwa jakaś na tym polu systematyzacja, ale teraz nie dysponujemy odpowiednimi przyrządami mierniczymi.

– Pozostaje kierowanie się łutem szczęścia lub żmudne eksperymentowanie praktyczne, jak badanie każdej odnogi z osobna?

– No tak. Analizy porównawcze oraz dane uzyskane przez odwierty głębokościowe na elastycznych kilkukilometrowych kablach w okolicach lokalnych odnóg Necrolotum stają się głównym źródłem wiedzy. Czasem się udaje, a czasem wracamy z miesiące trwającej inspekcji z pustymi rękami. Tak jak to było w przypadku przeciągnięcia kabla telegraficznego z Europy na Trytona. Wydawało się wtedy, iż da się z łatwością wykopać tunel. Niestety prace okazały się jałowe, a kanał zawęził się niemal natychmiast, znikając całkowicie na głębokości zaledwie stu metrów – prawil Eric.

Długo pozostawałem pod wrażeniem tej rozmowy. Człowiek ten wydawał się być bardzo kompetentnym. Zaskoczył mnie kompletną wiedzą hydrologiczną, a wprowadzona w temat Abelia nie potrafiła wyjść z podziwu nad jego umiejętnościami rozróżniania cieków.

– Jak tylko ozdrowię, Jack, i wokół zajdą zmiany pozwalające na normalizację naszego życia, każę ci się zawieźć na wyeksponowane skały metamorficzne. Muszą gdzieś tutaj istnieć skamieniałości, o których nie śniło się filozofom. Czy potrafisz sobie wyobrazić te bogactwa, kochanie? – Jej oczy pały wprost nieprzeciętnym blaskiem.

– Masz na myśli skały osadowe w pobliżu Necrolotum? Hm, przyznaję, mogłyby zawierać przekroje drobnych organizmów pochodzących z dowolnych oceanów Galaktyki. Ale jaką zastosowałbyś systematykę, nie mówiąc już o stratyfikacji idącej w miliardy lat?

– Może dałoby się wówczas wyjaśnić źródła eksplozji kambryjskiej? Oj, już widzę minę Walcotta, gdy, dotarłszy na naszą planetę, dzielę się z nim własną teorią systematyki. Pękłby z zazdrości, gdybym mu opowiedziała, że odkryłam większe skarby niż jego Burgess Shale w kanadyjskich górach.

– Bywał ów panicz u was na herbatkach?

– Wielokrotnie. Przywoził mi ze swych wypraw całe paleontologiczne posagi. Stąd muzeum nasze w Melbourne posiada z darowizn bogactwo ekspozycji.

Pomyślałem, że zdrowieje. Ucieszył mnie ten fakt niezmiernie. Ale być może miała rację co do formacji skalnej. Projekt samego mnie uderzył celnością założenia. Wart był rozważenia, tym bardziej że następnego dnia wydarzyło się coś takiego, co nawet flegmatycznego Linfelda postawiło na nogi.

Otóż wpłynęliśmy nieoczekiwanie na dotąd niepoznane, tajemne wody oceanu ganimedowego Scollum Grae i lekko nań zachodzącego Vorticum, gdzie woda ulega samozapłonowi luminescencyjnemu i mieni się złocistymi wstęgami zawiesistości biologicznej.

– Toż najpiękniejszy samopłon, jaki w życiu widziałem – jęknął stojący za sterami chemik, widząc moją i Abellii obecność obok siebie. – Rzadka ta koncentracja idącego w ogromnej masie fitoplanktonu wyzwała takie blaski. Cudowna w barwie, urocza w odcieniach, potrafi z nocy uczynić dzień.

– Czy prąd ów niesie materiał od strony Necrolotum? – zdumiewała się hrabianka. Linfeld machnął niecierpliwie ręką i dalej jęczał nienasycony widokiem wciąż się przed nami otwierającym.

– Ganimedes jest globem znacznie lżejszym od Ziemi, stąd i geologia jego musi być lekka i łagodna w oddziaływaniach. Nie masz pani tutaj gorącego, płonącego magmą jądra, więc nie na powierzchni, nie w skorupie, a na przekroju mieszczą się płyty litosferyczne.

– Miałby się układać w kształt cebuli? – zagadnęła.

– Otóż to. Warstwy skalno-lodowe umocowane są jedna na drugiej i możliwe, iż w większej masie uległyby nierozzerwalnemu geologicznemu zespoleniu, lecz brakuje im na to siły w grawitacyjnym oddziaływaniu pływów jowiszowych. A wiadomo, że takiemu ogromowi masy i promieniowania nic nie da rady. Dlatego rozwarstwienie bywa katastrofalne, pozwalając wodzie penetrować przestrzeń pomiędzy masą skalną. W ciśnieniu własnym ciecz pracuje jak na poły zmrożony olej w łożysku. Stąd masy ciekliwe wypełniają luki. Ich grubość waha się od marnych kilkuset metrów do czasem i dziesięciu kilometrów. Ale wtedy ocean bierze górę nad skalną przeszkodą i pod prawem grawitacji tłamsi ją i dusi w kierunku księżycowego jądra.

Znowuż wyłonił się przed nami obraz przepiękny.

Na trzeci już okrzyk chemika jednocześnie wpadli na mostek lord Duncan i Reynash. Obaj przerażeni, bo spodziewający się kolejnej awantury z ningenami, a tego by już nikt nie przeżył.

Stanęliśmy wspólnie przed szafą kontrolną i z uwagą śledziliśmy wyłaniające się z całkowitej, chłodnej ciemni kolejne obrazy o nieprzeciętnym pięknie. Tego żaden sen nie mógł przynieść. Tego nie spodziewaliby się malarze współcześni, jak Drescot czy Paryzzi. Objawiła się przed nami gra subtelnych cieni, głębia i genialna przeźrocystość mająca swe źródło chyba w cudzie prawdziwym.

Pan Bizzard roztrzęsionymi rękoma przejął stery od zupełnie już nad sobą niepanującego Erica. Teraz jego pewnym dłoniom zawierzyliśmy nasz los, bo sami nie potrafilibyśmy przemoc porażającego wzruszenia.

Tymczasem straszne wiry opanowały wątry statek. Podobnież takowe chroniły wszystkie ważne miasta na Scollum Grae. Ale szlachcic dzielnie sobie radził. Załączył dodatkowe napędy, wyprostował kurs i wkrótce podwodny obraz widziany przez wielkie okno dziobowe na powrót kazał nam w zdumieniu przecierać oczy. Nigdy nie spodziewałbym się ujrzeć takiej podmorskiej potęgi po tej stronie kosmosu.

Pływające miasta drugiej ludzkiej kolonii osaczały nas ze wszech stron. W pełni zmechanizowane pojazdy holujące te monstra wydawały się konstrukcjami nie z tego świata. A pokryte bogactwem bujnych kwiatów i rozrośniętych perłowych drzew przedmieścia lśniły lustrzanymi odbiciami minerałów otaczających nas zewsząd świetlistym szpalerem, niby trzymane przez tłumy nieprzeliczonych latarników.

Zaraz też od powierzchni owych bogatych dzielnic oderwały się niby pływające ważki potężne pociski podróżne i balony sflaczałe, bo na poły wypełnione gazem. Podpłynęły też z bulgotem podobne do descendera jednoosobowe maszyny strażnicze. Okazało się, że na pokładach za sterami siedzieli nie tylko ludzie.



Przyjęto nas z wielkimi honorami.

Wiedziano tu, kim byli bracia Molier i jaką odegrali rolę w ufundowaniu kolonii ludzkiej na wodnych światach planet olbrzymich. Imię mocarzy otwierało przed nami każde drzwi, inspirowało ludzką solidarność i pomoc.

Otoczyły nas w drodze do namiestnika niezwykle podmorskie pojazdy. Potężne ich kadłuby spinały obręcze z solidnego złota. A nosiły niemożliwą ilość tychże metalowych wstęg, jakby bogactwo materiałowe przerastało uzasadnienie konstrukcyjne. Trudno było się w maszynach dopatrzeć okien, chociaż z całą pewnością tam były, więc deliberowaliśmy nad ideą przezroczystych jednostronnie burt. Również dziwna wydawała się nieobecność luków towarowych i kanonierskich otworów na wszelkie gruszkowate działa. Czybyśmy mieli do czynienia z flotą pokojową używaną wyłącznie w celach ekspedycyjnych lub pasażerskich? Jakąż naiwnością charakteryzowałaby się taka polityka! Ze zgrozą pomyślałem o planowaniu. Przecież chyba niebezpieczeństw było tu bez liku?

A co jeśli prawdę mówiły plotki i władzę przejął krótkowzroczny proletariats?

Dotarliśmy w eskorcie do pałacu, w którym większość sal wypełniona była najczystszym powietrzem i gdzie noszono się z suchą galanterią właściwą najpotężniejszym władcom, pojęliśmy nasze zbłądzenie. Druga kolonia obfitowała we wszelkie bogactwa i najrzadsze surowce w ilościach nieprawdopodobnych. Stać tu było najbiedniejszych na zamożność, a najzamożniejszych na wszelkie zbytki.

Oczywiście skorzystałem z szaf dla gości. Pierwej umyłem się tam i ogoliłem, a widok mojej dość zniekształconej głowy ze szczęką i nosem silnie wysforowanym ku przodowi kompletnie mnie zadziwił i wręcz zozydził patrzyenie. Używana w wodociągach woda wprost kleiła się od nadmiaru zawartych tam żelów. Mówiono, iż są one zdrowotne i przywracają balanse psychiczne. Zdecydowałem się na kąpiel i z przestachem zauważyłem, iż zmiany anatomiczne dotknęły również całego ciała. Owe otwory, podejrzewane przeze mnie o istnienie w nich skrzeli, rozwierały się na powietrzu z ohydym, cichym mlaśnięciem. Ujrzałem też dziury i nadgnicia w innych częściach ciała, a te w łydkach mnie zdumiały funkcjonalnością, opróżniając w pełni automatycznie połknięty gdzieś, kiedyś muł denny. Zauważyłem również, że z trudem wielkim oddycham w atmosferze powietrznej, a pierwsze cygaro spowodowało kaszel tak bolesny, iż okazał się nie do wytrzymania. Dziwne, że wcześniej nie pomyślałem o wyglądzie swoim zewnętrznym i poprawę wizualnych standardów zostawiłem na okazje niecodzienne. Co gorsza, nikt z bliskich przyjaciół, wliczając w to pannę, nie zwrócił na owe normy żadnej uwagi.

Po tych wszystkich uroczych czyszczeniach i poprawie fryzury, w pełni już przebrany w palto i świeżą oceaniczną koszulę, spotkałem w korytarzu moją cudownie wystrojoną Abelię. Woda w rzeczy samej zniekształcała w parszywej geometrii cieczy zarys jej głowy, bo i dama wypiękniała do granic. Owszem, cierpiała w środowisku atmosferycznym na kłopotliwe, podobne do mojego wydłużenie paszczęki i nadmiar wypustek skrzelowych. Pragnęła poddać je natychmiastowemu wycięciu, czemu się sprzeciwiłem, twierdząc, że inwestycji na poczet komfortu oddychania nigdy nie jest za wiele.

Jednak, co by nie powiedzieć o urodzie – narzeczona ma wyglądała przeuroczo w ganimedowej sukni po kostki, całej wykonanej z misternie tkanej bawełny podwodnej przeplatanej dla wzmocnienia co lżejszym złotem. Widziałem w nici grubej na czworo włosów diamentowe oka i szmaragdy najrzadsze. Wpięte we włosy miała diademy z kolekcji stołecznej, a na szyi zawieszono sznury olbrzymich niebieskich pereł z dyskretnie rozmieszczonymi medalikami wypożyczalni publicznej.

Wolałbym nie nosić takowych jubilerów, ale cóż – kobiety własną kierują się logiką.

Przeszliśmy do wykwintnej jadalni, a potem dżentelmeńskiej palarni, gdzie ujrzałem raczącego się cygarem i znakomitym księżycowym winem pana Bizzarda. W mankietach jego fraka zauważyłem olbrzymie złote spinki, a w dłoni kościaną laseczkę. Ja sam nie mogłem się poszczycić żadnym zdobieniem ani klasą ubioru. Mój ubiór był przeciętny, po prostu zapomniałem o strojeniach.

– Doprawdy, prezentujesz się pan wyśmienicie, sir – napomknąłem z czystej uprzejmości.

– Pan również wyglądasz niczego sobie – odrzekł lord, choć po gębie widziałem, iż go w tej materii zawiodłem. – Ciekaw jestem, kiedy nadejdą obaj nasi nadęci koledzy, bo już od godziny ważniaki obradują z oficerami przy stole bilardowym.

– Słyszę w głosie zazdrosną nutę? – zauważyłem, uśmiechając się.

– Raczej nie spodziewam się tu rozgłosu. Wielkich rzeczy nie dokonaliśmy i trudno liczyć na czyjąś wdzięczność.

No cóż, miał rację w onej konkluzji.

Doszliśmy do porozumienia z gospodarzami. Postanowiono nam pomóc. A jako że kasa państwowa świeciła pustkami, wielki tłuścioch, w jednej osobie generał i hrabia Boustou, obiecał nam uruchomić wszelką filantropię w narodzie. Sam z własnych kont bankowych dla militarnej wyprawy ratującej profesorskie życie wysupłał kilka milionów gorących ganimedowych franków. Wpierw jednak wysłano szpiegów na Europę i to w liczbie kilkunastu dysponujących podsłuchowym sprzętem i dalekowzrocznymi rybami. Z niecierpliwością oczekiwano powrotu tych ekip, zapewniając nam czas na wszelkie zbytki i środki na wydatki.

Pan Linfeld z Reynashem tak się nowymi trunkami rozpili, że przełuli ów majątek dany nam w bonach wodnych, przepuszczając go na zakładach w rozlicznych spelunach.

Tymczasem my z Abelią zainwestowaliśmy czas w poszukiwanie rozwiązań trapiących pannę od dawna, a tyjących palących zagadnień natury naukowej. Towarzystwo nasze zwińczył wierny nam w trzeźwości lord Duncan, który oka z nas nie spuszczał. Wiernie sekundował w każdym naszym wysiłku ostrobok Iurgee. Od rządowych geografów uzyskaliśmy mapy i grafy wszelakie informujące o lokalnych prądach. Tak że wkrótce, korzystając z transportu naszego uszczęśliwionego jakością wód ostroboka, udaliśmy się w kierunku głównych wirów Necrolotum.

Sam byłem z siebie dumny, kiedy okazało się, że powróciwszy z pertraktacji, trzymałem w ręku kilka komponentów niezbędnych do budowy kawitacyjnego promiennika. Zajął mi kilka dni ów montaż. Tydzień niespełna poświęciłem na odnalezienie właściwej baterii. Wkrótce pochwaliłem się lordowi, który aż cmoknął z zachwytu na widok sporej rury z wajchami. Urzekła mnie bowiem panna pomysłem eksploracji skalnej i poddała pewien pomysł.

Czułem jej szczęście, gdy tak przemierzaliśmy w towarzystwie ryby i pana Bizzarda to niewiarygodne pustkowia. Jakby ciecz potrafiła wypromieniować powtórnie nasze przeżyte już myśli. Z uwielbieniem patrzyłem na ręce ukochanej. Otóż cudowna ta kobieta nasmarowała dłonie subtelnym klejem, który po zaschnięciu przyciągał niewiadomym trafem plankton fosforyzujący samopłonia olbrzymiego. To nic, że mikroorganizmy szybko odkrywały falsyfikat – i tak ciągnęły do jej rąk jak pszczoły do miodu. Stąd mieliśmy światło buzujące wokół nas we wszystkich odmianach intensywności. Tym blaskiem panna ma sprytnie kierowała.

– Nie kieruje pan mocą, Jacku? – pytała mnie ryba. – Po co panu te wszystkie sprzęty? – wskazywała na kawitacyjne lufy.

– Nie miałem dotąd okazji parać się obróbką strugi. Tak szybko mijał czas. Stąd wolę pewniejsze przyrządy – odparłem, uśmiechając się serdecznie.

– Spróbuj uruchomić w sobie wolę stężenia cieczy, a szybko odkryjesz możliwość jej zagęszczenia do twardości diamentu. Wtedy rozpędzona kropla będzie bardziej niebezpieczna niż rewolwerowa kula – wysyłał komunikaty, które dziwnym trafem stawały się z chwili na chwilę coraz bardziej klarowne.

– Do czego znów namawia pana zwierzak? – zainteresował się zawsze spostrzegawczy lord.

– Uważa, iż posiadam jakowąś zupełnie wyjątkową moc, za pomocą której mógłbym, gdybym chciał, pokierować zmianami gęstości cieczy.

– Ha, tylko się słuchać takiego nauczyciela! Próbuj pan, próbuj.

Ostrobok poprowadził nas w rozpadliny o niespotykanej głębokości. Widać czuł się pewnie w ich niebezpiecznej strukturze, bo rozwijał prędkość ogromną, przy której my, marne drobiny, czuliśmy się rzućeni w żywioły. Szedł głębiej, bo jak mamrotał nam w myśli, wokół miejsc u podnóży rozsypane są wszelkie na poły metamorficzne skały. Były one na tyle ważne, iż opoka sedimentów w nich zawarta weszła poprzez okoliczności spiętrzeń i ciśnień w wysokie temperatury i nieznacznie stopniała, konserwując uchowane w nawarstwieniach skamieniałości.

Tam ujrzeliliśmy, na szczęście przelotnie, stworzenia, o których męskie towarzystwo już od jakiegoś czasu rozpowiadało nieprzyjemne historie. Były to ryby dość pokaźne z ludzkimi głowami, zwane tu hoistami. Zwykle unikały one człowieka, podobno wstydząc się swego kalectwa, lecz mawiano, iż zatruwają ciecz odorem natrętnej myśli. Sam, widząc je, doznałem szoku i zniesmaczenia. Abelia, ujrawszy mieszańca, w jeszcze większą wpadła w panikę. Odtąd już ciągle narzekała i namawiała do powrotu na Ziemię. Przecież za nic na świecie nie pragnęlibyśmy dochować się takiego potomka!

Zatrzymaliśmy się niebawem i począłem wyjaśniać zainteresowanemu lordowi Duncanowi niezwykle pomysł panny, skutecznie odwodząc nasze myśli od zapamiętanego widoku ujrzanych z oddalenia bestii:

– Panna hrabianka – mówiłem, używając kanału jaźni – uważa, że Necrolotum jest w stanie przenieść tysiące ton organicznej materii na ogromne odległości. Niektóre z nich to kompletne organizmy, ale być może doprowadzone do śmierci w okolicznościach im niezbyt sprzyjających. Stąd gromadzenie szczątków u wylotów prądów musi być nieuniknione.

Tutaj dotąd zajęta grzebaniem w śmieciach dennych panna podpłynęła i dopowiedziała swoje:

– Woda obecna w całym wszechświecie nas wszystkich łączy – wytłumaczyła. – Jesteśmy zaledwie fluktuacją w rozległym ośrodku. Jak gdyby osobnym organem w percepcji nam wszystkim wspólnej rzeczywistości.

I tu rozpoczął się ów pamiętny dialog dwóch mądrali, który nawet dzisiaj wspominam z rozrzewnieniem, bowiem pozostawił mnie, wrażliwego na wszelkie naukowe nowiny, całkowicie zdumionym nad znakomitym stanem umysłu mojej wybranki.

– Pani zdaje się jesteś opętana darwinizmem? – zagadnął, śmiejąc się, lord.

Ta spojrzała się na niego z politowaniem.

– Nie wiem, dlaczego akurat darwinizm wzbudza u pana tyle złej energii?

– Sam jestem darwinistą i socjalistą.

– Pan socjalistą? – zdziwiłem się. – Chyba arystokratyczną chimera – dodałem ze śmiechem.

– Tylko wspominam materialistyczny światopogląd.

– Ten, który pragnie zmiksować ludzkość ze światem zwierzęcym w sposób nierozpoznawalny?

– A miałyby kontrkandydata ulubieniec boski? To znaczy, czy uważa pan, iż przeciwieństwem poglądu o przynależności człowieka do świata zwierząt jest przekonanie o jego pochodzeniu od boskiego stwórcy?

– Ale przyzna pan, że świat miałby wtedy jakiś głębszy sens.

– W służbie Bogu? Wszystka natura miałaby mu się kłaniać? – natychmiast zaatakował moje przekonania pan Duncan. – Dlaczego organizm ludzki pragnie pan uprościć do dwóch składowych, to jest: duszy i ciała, skoro, jak panu wiadomo, układ pokarmowy nie działa bez obecności w nim flory bakteryjnej? To jest, mówiąc dobitnie, pozostają nasze flaki w stanie bezużytecznym! Nie chcę tutaj przynudzać i rozwijać tematu, ale jak się pan dowiedział w biegu naszego eksperymentu, to całkowicie zautomatyzowana chemia wydzielnicza jest odpowiedzialna za rozwój fizjologiczny, a ten, chcąc nie chcąc, formuje pana osobowość, stanowiąc o jej psychicznej i umysłowej dojrzałości. Czyli wpływają na pańską świetną duszę również wyniki pańskiego starczego uwiądu, czyli braki w wydzielniczości.

Tą ostatnią uwagą przepełnił kielich mojej goryczy, tym bardziej, że jeszcze na domiar złego poparła go moja wybranka:

– Musisz wiedzieć, kochanie – zwróciła się do mnie Abelia – że wielu filozofów gwinejskich niezbitnie w swych pracach dowodzi, iż gatunku naszego nie tworzą jeszcze istoty w pełni inteligentne. Zaledwie się ze zwierzęcego tła wyróżniają.

– Jakże to tak?

– Może pokrótce wytłumaczę. – Zaparła się panna o ciemną od porostów skałę, zastygła i poczęła opowiadać. A że potrafiła przekonywać, trwałem długo w nią zapatrzony, zasłuchany, a potem zamyślony. – Proszę sobie wyobrazić ziemską scenę ewolucyjną – mówiła. – Niewiele jest w niej klasycznie pojętych form zwierzęcych. Większość to drobnica, a ogromną część zajmują mikroby. Spektrum ekosfery ziemskiej jest więc ściśle określone. Potencja rozwojowa również. Jest nią gigantyczna misa bakteriologiczna.

– Różniłoby się owo spektrum od tego napotkanego kosmosie?

– Przyjmuję, że nie – stwierdziła.

– A widzisz, więc wszędzie tam zastosowany być może czynnik boski – przekomarzałem się.

– Niekoniecznie musi być spersonalizowany.

– Czyli niekoniecznie musi tam być obecny?

Tu ją poirytowałem.

– Ty, mój drogi, jak zwykle zaczynasz wszystko od początku. Przecież już wyjaśniliśmy sobie te sprawy.

– Państwo się w myśli zakrzyczycie – ostrzegł lord Bizzard, patrząc na nas z szerokim uśmiechem. Abelia jednak nie chciała odpuścić.

– Natura posiadałaby wszędzie nieskończoną inwencję, jednak okoliczności mogłyby w określonym przypadku jej zastosowania zawęzić. Mówilibyśmy o tak zwanym z góry określonym strumieniu projektowym.

– To znaczy, że mieszkańcy z innych planet potencjalnie mogą korzystać z dogodniejszych warunków ewolucyjnego startu? – spytał pan Duncan, śmiejąc się z refleksji, jakich natychmiast doznałem. A miałem wrażenie kolejnej boskiej obrazy.

– Otóż to, i owszem – zgodziła się Abelia i kontynuowała: – W przypadku Ziemi jest to doskonale widoczne. Są na niej obszary, w których różnorodność przystosowawcza jest ograniczona. Są też takie, gdzie ośrodek wprost buzuje inwencją. I teraz w tej ciasno upakowanej tkance odnajdźmy szczelinę, przez którą nowy gatunek wydostaje się do swojej niszy egzystencjalnej. Już na wstępie jest ograniczony jej rozmiarem, to jest płytkością inkluzji. Spektrum wszelkich możliwych udoskonaleń posiada, owszem, wartość różną od zera, ale odznacza się liczbą skończoną i niezmienną. Słowem – gatunek ledwo wydobyty, a już stracony. Żeby było śmieszniej, każda religia świata stawia człowieka w rzędzie ulubieńców Boga, co jest nie tylko idiotyczne, ale i karygodne. Bo z rozdysponowanych na ziemskim stole składników nie da się ulepić czegoś doskonalszego.

– Czyżby uważała pani, że nie jesteśmy gatunkiem inteligentnym w ścisłym tego słowa znaczeniu? – pytał lord.

– Zaliczyłabym ludzkość do rodzaju zwierzęcia jedynie rozumującego. O jego jakości świadczy bowiem zachowanie szczególne. Wystarczy tutaj spojrzeć na współczesną dawkę okrucieństwa, udręki i nienawiści do samego siebie. Głód i bogactwo. Zabór środków jedną ręką i wyrzucenie ich na śmietnik drugą. Handel i intratne interesy, w których liczy się wyłącznie spryt i umiejętność nabijania pozostałych w butelkę. A potem mordowanie i niszczenie do szczętu, gdy już skończą się argumenty. Tak nie postępuje istota moralna, a tym bardziej inteligentna.

– Też mówi pani jak socjalistka – nadął się lord Bizzard śmiesznie. – Ogólnoświatowa rewolucja się marzy. Masz pani propozycję zmiany zachowania na lepsze? Widzi pani alternatywy w wielkim kosmosie? Bo ja tak.

– Być może ci z innych planet skorzystali z szerszej drogi ewolucyjnej niż człowiek? Być może natura otworzyła przed nimi drzwi szerszej lub stworzyła kilka możliwości naraz i posiadają oni wielokanałową świadomość? Być może korzystają z odnawialnych źródeł energii, nie przejadając otaczającego ich bogactwa fauny i flory i nie zamieniając czyjś życia w fekalia dla zachowania własnego?

– Toż mówi pani o przemianach metabolizmu, na które w wieku obecnym nie mamy i nie możemy mieć wpływu. Ale proszę wspomnieć o potężnych maszynach parowych,

o promiennikach kawitologicznych kruszących łądy albo o sterowcach i innych maszynach latających, dzięki którym prześcignęliśmy ptaki.

– Aha, więc sądzi pan, jak wielu teoretyków, że istota może mienić się inteligentną, jeśli w odpowiedniej skali produkuje energię? Ależ proszę pana, jest to energia pochodząca ze źródeł naturalnych, że tak dosłownie stwierdzę: kopalna. To tak, jakby chuligana, który dostał się do składu z węglem, oskarżonego o celowe lub przypadkowe podpalenie, nazwał pan geniuszem! Niestety, możemy mówić o produkcji energii dopiero w przypadku, kiedy pochodzi ona na przykład z wykorzystania wiatru, wody czy innego ośrodka odnawialnego. Wówczas zresztą też ją podkradamy, lecz dzieje się to w sposób sprytny i godny. Gdybyż zdał sobie pan sprawę z energii zmagazynowanej w atmosferze lub z zasobów wodnych w niej skrzętnie ukrytych! Zbędne byłyby wszelkie rurociągi i kable. Niech pan sobie tylko wyobrazi maszynę piorącą wyzyskującą obecną w powietrzu parę wodną, a napędzaną silnikiem elektrycznym, którego końcówki przewodów pobierają prąd bezpośrednio z otoczenia. Ewolucja jeszcze nie doprowadziła nas do tegoż stanu świadomości i być może nigdy nie doprowadzi.

– Ewolucja, ewolucja... Pokaże mi pani jej niezbite dowody? Tak, żebym takich niedowiarków jak ten pani narzeczony mógł zaraz zbić z pantałyku?

– Czy te mieszaniny skamieniałej drobnicy nie przekonują pana dostatecznie?

– Wie pani, że nie. Wolałbym niezbitą, twarde dowód. Potrafi mi pani udowodnić, że zaszła ewolucja? Podać jakiś fakt. Rażący w jaźń niczym uderzenie obuchem, bo chociaż jestem ateistą i w duszy darwinistą, to samego trapią mnie wątpliwości.

Abelia zamyśliła się na chwilę, po czym kontynuowała, raptem olśniona:

– Jest coś, co groteskowo łączy wszystkie obecne na arenie środowiska naturalnego kręgowce. Prowadzi nas do wspólnego, niepokojącego atawizmem, upokarzającego w całym wymiarze punktu o całkiem sporym ciężarze własnym. Coś, na co nie wpadli jeszcze znani mi darwiniści.

– Co, moja droga, co masz na myśli? – spytałem, cały szyderczo roześmiany, bom pewnym był, że niczego takiego nie znajdzie.

– Plecy.

Spojrzeliliśmy z lordem po sobie, nie w pełni rozumiejąc bieg jej myśli.

– Otóż ciekawym będzie sprawdzenie owej hipotezy na przykładzie napływających z kosmosu resztek. Azali życie w nich zostało podobnie przygotowane? Czy w retrospekcji znalezisk napotkamy tę samą postawę biernej obrony i dozę podobnego przerażenia?

– Masz na myśli część grzbietową, kochanie? – zapytałem, markując zaskoczenie, aczkolwiek nie posiadałem nawet szczątkowej idei, w czym rzecz.

– Tak, oczywiście – oceniła pewnym siebie tonem. – Nie są istotne owe sprzeczki filozofów, o którą małą gałąź chodzi. Jaka szczeka dowodzi czego? Czy narzędzie zrewolucjonizowało umysł albo czy umysł był już poprzednio obecny? Należy skupić się na generalizacji, spektrum powszechnym. Co też u wszystkich występuje i co to właściwie symbolizuje? Trzeba znaleźć jeden pewny i całkowicie wiarygodny szczegół. No proszę. Co?

Obaj z lordem spasowaliśmy po jej słowach. Patrzyliśmy w jej piękne oczy i czekaliśmy. Nawet ostrobok się przybliżył i mimo że się sprawami tymi nie interesował, wynotował zapewne kontekst dotyczący i jego gatunku, i jego osoby.

– Jest faktem absolutnie pewnym, iż w przeszłości bardzo odległej nasz praprzodek chronił swoje vitalne części pod płaszczem grzbietu. Robił to zapewne instynktownie. Oto fabryka mojego jestestwa, oto cenne moje narządy, oto procesy, które zapewniają mi życie – przykrywam płaszczem gęstsze żelu, umięśnienia lub kości pancerza – przyklejam do pewnej opoki. Naturalnym jest, że pragnę je odizolować, zachować w nienaruszalnym i sprawnym stanie. Boi się ów osobnik i tężeje, a w skrajności przywiera do podłoża, stając się niemożliwą do oderwania lub nawet nierozpoznawalną jego częścią. Otacza się więc nasz praprzodek pewnego rodzaju płaszczem części mniej ważnej, a biorącej się z zaniedbania funkcjonalnego. Mówiąc obrazowo – jest ona jego piętą achillesową. Tyle że w otoczeniu odkrywamy powszechność występowania onej wady. Co więcej, dlaczego wszystkie znane nam zwierzęta kręgowce charakteryzuje ta sama budowa? Czyżby to było ewolucyjne niedopatrzenie, nedoróbka, konstrukcyjne zaniedbanie? Nie wiadomo. Tyle że z pełną odpowiedzialnością możemy stwierdzić, iż pochodzimy ze wspólnego pnia ewolucyjnego biorącego początek w najdalszej, zamierzchłej przeszłości życia. Nieważna jest tam jakaś gałąź czy nieistotna paszczeka. Naprawdę należymy do kumulatywnego prądu biologicznego rozwoju. Biegniemy myślą do pierwszego dnia, w którym nasz praojciec na dnie oceanu poczuł trwogę. I już wiemy, co robi. Przywiera do ziemskiej skały i odczuwa ulgę. Więcej, z biegiem czasu protoplasta dla obrony własnej wystawia twardy i nieczuły grzbiet. Dowodzi to już na wstępnym etapie rozwoju powstania osobowości zamkniętej w sobie, jej chęci izolowania się i oderwania od rzeczywistości bieżącej. Jesteśmy więc razem z nim od samego początku, chociaż wcale jeszcze nie jest człowiekiem. Jakże dobrze to rozumiemy? Oto multum występujących przez biliony lat gatunków obracało się do niebezpieczeństw świata tyłem. Oto przekazało nam ten sam trik. Nie chodziło tu wyłącznie o bezpieczeństwo, czasem do głosu dochodził powszechnie rozumiany symbolizm – ogólnie rozumiany język ciała. Rejterowanie. Poddanie się. Ustąpienie pola lub lekceważenie. Był też inny aspekt. Oto nagle rozumiemy naszą wspólną, łączącą nas z fauną planetarną nierozzerwalnie nić upokorzenia, dyshonoru i hańby,



obecną nawet u doprowadzonego do ostateczności szczura, który bez szans atakuje większego od siebie.

– I co jeszcze?

– Niech pan sobie wyobrazi jakiegokolwiek Boga stwarzającego istotę poślednią na świetne podobieństwo własne, a niepotrafiącego samemu skutecznie umyć sobie pleców. – Tu się zaśmiała panna. – Wyobraża ich pan sobie w raju, Adama i jego Pana, radośnie tarzających się po trawie?

– Raczej widziałbym tu świetny powód do stworzenia tego pierwszego...

Po tej raczej utemperowanej słownej sprzeczce zajęliśmy się wydobywaniem co większych skamielin, a ja, posługując się sprawnie promiennikiem kawitologicznym, przecinałem zamulone u wierzchołka skały na fragmenty odpowiednie do badania i docierałem do nawarstwień pierwotnych. Ostroboka użyliśmy tu jako zwierzęcia jucznego. Transportował odłamy z życzliwością dla istoty bardziej inteligentnej, choć być może sam nie widział sensu w przeszukiwaniu kamieni w celu wydłubania z nich niejadalnych resztek.

– Proszę tylko spojrzeć na ten znakomity odłam. Są tu zawarte fragmenty kilku nieznanymi organizmów. Jeden z nich, podobny do kambryjskiej opabinii, charakteryzuje się szeregiem dodatkowych odnóży ułożonych przeciwbieżnie. Wątpię, aby środowisko planetarne, z którego przybył ten niewielki organizm, było wyjątkowo przychylne istotom żywym, jednakże należy wziąć poprawkę na głupie generalizowanie, bo jak widać z pozostałych przypadków, posiadanie szerszej bazy fundamentów źródłowych otwiera różne opcje interpretacji.

– Byłby bieg ewolucji równoległy w tych światach?

– Nasuwa się szereg podobnych pytań. Czy można się posunąć do hipotezy, że wykształcenie odnóży wiązało się z określeniem konkretnego wektora przywiązania do podłoża, a co za tym idzie z narodzinami wspólnej nam wszystkim psychiki, takiej samej reakcji na bodźce środowiskowe? Bo to ukrycie się w skorupie, stężenie w strachu, oczekiwanie na ból i skupienie na gotowości odnóży do obrony własnej miało potem konkretne przełożenie na nasze charakterystyczne zachowanie. O proszę... – Rzuciła się w wodzie Abelia na niewielkie stworzenia pływające. – Marzenie me się spełniło. Oto żywy organizm, którego rodowodu należy szukać w odległym prekambryzie ziemskim – wyjaśniała, napędzając świetliste strumienie samopłonia nad znalezisko, aby lepiej się stało widoczne.

– Jeśli mnie wzrok nie myli, jest to maleńka leanchoilia uważana przez niektórych za przodka trylobita – rzuciłem z radością, którą pochwaliła we mnie natychmiast moja ukochana.

Tak nas prowadziła ta znakomita pani hrabianka poprzez skrajne światy, niczym roztargniony profesor bieżący po własnych szpargałach. Nigdy nie widziałem jej

przedtem ani potem tak uszczęśliwionej.

Znalazł się i sławetny anomalocaris, i piękna odaraia, o którą toczono bitwy, a sławny paleontolog Briggs miał z nią tyle problemów klasyfikacyjnych. Skarbów było więcej, tak że zostały nieprzepatrzzone i pozostawione na następny milion lat.

Kiedy i my na powrót zmienimy się w byt skamieniały.

W niecały tydzień później całe towarzystwo oddelegowało mnie do Rady Miejskiej, bym stawił się tam w sprawie funduszy poszukiwawczych profesora Ocearusa. Druga kolonia pojęła bowiem ogrom swojego błędu. Oto wtrącała się w polityczne waśnie. Oto ryzykowała szczęście własnych obywateli w imperialistycznej awanturze nieposiadającej perspektyw dla rozwoju społecznego. Rada Rewolucyjna obawiała się wszczynać grandę wojenną z wrogiem tak potężnym. Gdzieś w kularach postanowiono pozbyć się nas w sposób najprostszy.

Wyznaczono fundusze.

– Doszły nas słuchy, że pana Moliera uwięziono i natychmiast potem stracono – referował dżentelmen szpiegowski w nieforemnym podwodnym cylindrze. Stał w niewielkim boksie, zwykle przeznaczonym dla przesłuchiwanym, a na ten czas otwartym i pozbawionym krzesła.

– Jeszcze nie stracono. Mów pan szczerze. Sądzi się tylko – wtrącał się jego kompan, również obecny na przesłuchaniu. Ustawiał się nieco z boku, aby za rzucone słowa nie być odpowiedzialnym karnie.

– Ale moment jego egzekucji jest bliski – dodawał uparciuch, patrząc złym wzrokiem na gadatliwego sąsiada.

– Wciąż się wahają – znów zanegował jego towarzysz.

Spojrzałem z niepokojem na siedzących za wielkim trybunałem decydentów. Rozpatrywali sprawę z należyтым spokojem, ale widać było, że decyzja jest dla nich trudna.

Kurz zbierający się meblach i zaduch nigdy niewietrzonej szafy był w budynkach wypełnionych powietrzem codzienną zmorą. Myliłby się ten, kto uznałby oddychanie w takich warunkach za łatwe. Ja sam coraz częściej czułem w powietrzu ciężar nie do przełknięcia, choć niezmiennie głęboko tęskniłem za lądem: bieganiem, podskokami, jazdą konną i automobilem parowym pradziadka Rosvelta. Z trudem formułowałem wypowiedzi werbalne, tak bardzo przyzwyczailem się do przekazu myśli. A tradycyjny pokarm mięsny, taki jak wyroby wędzone, gotowane ryby czy pasztety wprost mnie irytował. Kuchnia stała się dla mnie irracjonalną, zwykłą stratą czasu.

– Skąd taka u nich zapiekła nienawiść do braci Molier? Bo słyshałem, że starszego zamordowali własnoręcznie – zapytałem.

– Być może chodzi tu o nacjonalizmy. Pan kapitan Von Settler jest Niemcem, choć w papierach wypisuje uparcie pochodzenie duńskie – wyjawiał sędzia odpowiedzialny za przydział funduszy, w którym natychmiast rozpoznałem osobę bardzo nam przychylną,

barona Boustou. Wyszedł z za stołu i stanąwszy przy mnie, począł mi sprawy przybliżać.

– To dlaczego fakt ten nie czyni was, panowie, automatycznie stronnikami molierowskich interesów? – dopytywałem się usilnie.

– Sęk w tym, że sami nie są bez winy. Mieli pecha panowie inwestorzy – odezwał się jeden z wielmożów siedzących na trybunie. – To oni podzielili tu ludzi na lepszych i gorszych.

Dzientelmen Boustou, stojący przy mnie, zaraz ręką gadułę uspokoił. Sam wyjaśnił:

– Zaraz po wylądowaniu i przetopieniu się przez graniczne warstwy skały i lodu Immanuel Molier dotarł ze swymi armiami na teren zajęty przez pierwotnych, upiornych jego mieszkańców. Po szeregu wygranych z tubylcami ciężkich wojen, podczas których dwa pływające, dopiero co odnowione miasta Atlantów runęły i zapadły się w najcieńszych mułach, ludzie miast sprawiedliwie otrzymać zdobyte bogactwa, chronili się w dennych strefach roślinności i cierpieli z głodu i bezdomności. Tam całkiem przypadkiem odkryli jeszcze inny łączący Ganimesesa z Europą kanał. Większość, a z nimi parszywy Niemiec, skrycie zbiegła do nowego oceanu, inni pozostali w starym. Brat pana Moliera znienawidził kapitana Von Settlera właśnie za nieposkromioną chciwość, żądzę władzy i pychę. Obwinił go za podburzanie, waśnie i wreszcie za trwałe rozdarcie społeczne kolonii. Ujrzał w nim nagle wroga, który za wszelką cenę, za pomocą środków niedozwolonych, niehumanitarnych i niehonorowych dokonuje bezprawnych podbojów. Aktywnie przeszkadzał mu w podporządkowywaniu sobie wszystkich księżyców Jowisza i zamieszkałych tam ludów. Wspierał też jak mógł nową kolonię na Ganimesesie.

– Przecież kapitan otrzymał najżyźniejszy z księżyców! Europa posiada najbogatsze złoża metali kolorowych. Leżą nawet na dnie w postaci najczystszej z możliwych. Eksperci przypuszczają, że owe konkracje manganowe zawierają co najmniej dwudziestokrotnie więcej miedzi i niklu niż wszystkie dotąd odkryte rezerwy tych metali – tu opowiedziałem, co usłyszałem od plotkujących w korytarzach pałacowych przemysłowców.

– Ciągle mu było mało – mówił baron. – Łotr niemiecki zapragnął połączyć wszystkie światy węzłami transportowymi z Ziemią, podporządkować nowe tereny gospodarce kapitalistycznej i przy pomocy Hamburgskiego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Parowych czerpać zyski, aż do zupełnego surowcowego wykrwawienia się źródła.

– I co, udał mu się zamiar? – spytałem.

– Jak dotąd spalił na panewce. Nikt dotąd w konkretnych szczegółach nie poznał znakomicie zaszyfrowanej systematyki głównych prądów Necrolotum. Nikt w sposób kontrolowany nie potrafi się posługiwać nawigacją. Dowolnych i przypadkowych skoków nie można przecież nazwać żegluga.

– Rozumiem, że tylko brat pana profesora Ocearusa odgadł kierunek nurtów? – zgadywałem.

– Nie bardzo. Raczej sprzyjała mu fortuna i wrodzony spryt. W mrocznej, nieeksploatowanej jeszcze części ganimedowego oceanu Scollum Grae odkrył antyczne, szczególnie bogate stanowisko Atlantów. Było to miasto zachowane w stanie wprost niewiarygodnym, z działającymi agregatami hydraulicznymi i własnym systemem energetycznym. W całkowitej tajemnicy przed Von Settlerem udało się wielmoży podnieść molocha z dna, uruchomić wirniki i przenieść kolosalną strukturę do nieznannej bliżej lokalizacji. Niemiec, gdy się dowiedział, wpadł w furję. Doskonale się orientował, jaką świetną nawigacją w Necrolotum dysponowali Atlanci. Stał wprost na głowie, by odnaleźć miasto. Umyślił zasadzki i na całej Europie postawił szpiegów w gotowości. Wyznaczył potężną nagrodę za inżynierską głowę. Nie dziwi fakt, że schwytał starszego Moliera po tygodniu, a potem nieopatrznie zabił.

– Jak należy się domyślać, pan Immanuel zabrał swą tajemnicę do grobu? – dowiadywałem się.

– Tak się stało – potwierdził Bustou.

– Skąd kapitan Von Settler wiedział o nawigacji Atlantów? – niestrudzenie pytałem.

– Pewnego dnia zupełnie przypadkowo odkrył w prywatnych szkatułach Moliera rysunki atlantydzkiego automatonu, żywo przypominającego oceaniczną butlę. Należy wyjaśnić, że w starożytności Atlanci wykorzystywali one potężne naczynia do komunikacji z Ziemią i niektórymi gwiazdami. Największe z nich pracowały niby windy, mniejsze zaledwie przewoziły listy. Wystarczyło prześledzić ich ruch, by odnaleźć kanał Necrolotum łączący Europę, Ganimedesa lub inny obiekt niebieski z trzecią planetą. Nikt jednak wtedy nie potrafił machinerionu uruchomić. Brat pana Moliera zdołał przed niespodziewanym zgonem wysłać automaton w kierunku Ziemi pod bokiem kapitana i jego świty. Jak mówi plotka, a jak pan wie w oceanie ma ona nieograniczone możliwości, dowiedziawszy się o tym fakcie Von Settler wpadł w nieopanowaną wściekłość. Porwał leżący nóż i wbił w serce naukowca. Nigdy potem sobie własnej głupoty nie wybaczył.

Profesor Molier z bólu prawie nie dowiedział. Postać rozsypująca złośliwe sole w jego celi wydała mu się istotą nie z tego świata. Jej luminescencyjne odnóża to wykręcały się w sposób niewiarygodny, to aż tańczyły w jakimś fantasmagorycznym rytmie. Z pewnością nie była człowiekiem. Europejczycy znani byli z zatrudniania najgorszych, na poły podwodnych, a na poły ptasich istot trudniących się magią soli i piasków – tak zwanych mentorów. Z tym że owe bestie fruwały w przestworzach gorszych od jowiszańskich i ciała ich pokryte były drzazgami podobnymi do leśnego igliwia, całkowicie trującymi w zetknięciu z ludzką skórą.

Ocearus patrzył ociężałym wzrokiem, jak jeden z oficerów prętem elektrycznym uspokaja troglodytę z innej planety, przegania wraz z dennymi rybami do kąta, a drugi, nadchodzący z grzejnym nożem, uwalnia z pęt profesorskie ręce. Ogólnoustrojowe mrowienie jednak nie ustąpiło.

Znak to był, że przeklęte ryby zrobiły już swoje.

Molier roztarł dłonie i spokojnie pozwolił się dryblasom odholować na korytarz. Stamtąd wraz z obstawą udał się do rozjaśnionej fotoforami sali konferencyjnej. Tam czekało na niego kilka znajomych postaci.

Twarz kapitana w mętnej wodzie konferencyjnej upodobniła się do pyska utopionego psa. Kędziory włosów i okazała broda skutecznie ukrywały znajome rysy. Wydłużone uszy sterczały, a w ustach uwijali się miniaturowi czyściciele jamy.

Zdumiony Molier dostrzegł coś jeszcze. Oznaki triumfu rzeczonoego Von Settlera były oczywiste. Płonęła w kapitańskich oczach zimna satysfakcja. Ruchy jego charakteryzowała pewność, a ton głosu sugerował stanowczość i zadowolenie z dopiero co podjętej decyzji. Do tego stopnia owe odczucia zbulwersowały naszego profesora, że aż przejęły go dreszcze i opanował smutek.

– Moi tropiciele, posługując się rybami wążaczami i mentorami piasków, wpadli na ślad czegoś niezwykłego. Odkryli mianowicie dziwne oceaniczne rozwarstwienia otaczające strukturami gigantycznymi księżycowe jądro. Skała tam nagle uzyskuje miękkość gąbki. Można ją dowolnie odginać i odkształcać. W głębi owego nieskalanego najmniejszym światłem samopłonia akwenu oczekiwała na nas prawdziwa sensacja. Ktoś sprytnie tam umieścił na poły przełamana platformę miasta Atlantów. Większość potężnych pływaków wypełniła woda, stąd kamienna płyta porusza się przy dnie, jakby żerowała, całkowicie niewidoczna pod tumanami wzburzonej mazi.

– Co z tego? Sam odnajdowałem podobne ruiny miast księżycowych. Niewiele wniosły do wiedzy o konstruktorach.

– Odnalazłem coś skrzętnie i sprytnie ukrytego, profesorska żmijo! – wyznał Von Settler z nagłym wzburzeniem. – Wiem, że zdajesz sobie sprawę z ważkości faktu. Możliwe nawet, że sam brałeś udział w tej mistyfikacji.

Na czoło Moliera wstąpiła mroźna śliskość. Czuł, jak drętwieje mu skóra, a mrowienie przechodzi w ciągły ból. Czyżby przeklętą wyspę zreperowały jakieś nieznane ludom lokalnym mentorskie bestie? Czyżby na powrót stała się bramą łączącą podwodne światy?

– Nie jest to bynajmniej twoja zasrana fantomowa wyspa. Nie, nie – uspokajał Von Settler. – Coś znacznie bardziej oryginalnego i trwalszego, coś, co twemu bratu nie dawało spać po nocach. Coś, co męczyło jego wybitny umysł przez całe lata. Dotarłem do tajemnicy, do klucza, którego istnienie próbował przed nami wszystkimi zataić.

– O czym pan mówi, kapitanie? – wymamrotał zagubiony w przypuszczeniach Ocearus.

– Badaliśmy podwarstwowy ocean Europy i tam przypadkiem zdarzył się cud. Ktoś zablokował całe pływające starożytne miasto Atlantów w szczelinie skalnej o grubości czterech kilometrów. Błądziło tam w przydennych mrokach, kręcąc się w kółko aż do wyczerpania energetycznych zasobów. Wiem, kim był drań działający na pohybel ludzkości, bo nie tylko że pozostawił listy, ale i całą konieczną do tej operacji dokumentację obsługi napędowych mostów starożytnego miasta.

– Immanuel?

– Tak, on właśnie – zatriumfował kapitan. – Zanim zdechł, wyposażył i przywrócił do świetności jedną z najpiękniejszych pereł starożytnej podmorskiej kultury, skutecznie ukrywając przede mną efekty swojej pracy.

Profesor uniósł zmęczone oczy. Spojrzał współprytomnie.

– Nie rozumiem związku z moją osobą – powiedział.

– Nie rozumiesz związku? Och, ależ prowincjusz z ciebie. To – proste i logiczne. Atlanci już przed tysiącami lat skonstruowali pływające swobodnie machinerium, na poły świadome, rozumne indywiduum z wbudowaną własnością automatycznej kartografii. Owe automatomy nie tylko świetnie zapamiętują, ale i samodzielnie wytyczają każdą drogę w przestrzeni kosmicznej Necrolotum. Od dzisiaj cała Galaktyka staje przed nami otworem! Ale nie tylko to. Otóż przede wszystkim na trwałe uruchomią naszą komunikację z Ziemią i z niej otrzymamy konieczne militarne wsparcie. A teraz stąd wypływamy – rozkazał ostrym tonem Von Settler, dając znak, by wyprowadzić więźnia.

Profesor ze smutkiem spuścił głowę. Pozwolił się wywieść na korytarz. Stamtąd kapitan kazał odprowadzić go do celi na pokładzie piątym.

Marynarze otworzyli zamulone, zielonkawe drzwi. W pomieszczeniu zaledwie pełgało światło.

- Proszę spojrzeć – rozkazał kapitan.
- No patrz, łotrze! – Ręka oficera towarzyszącego uniosła głowę osłabionego Moliera na wysokość wiszących na kleju rybnym zwłok.
- Poznaje pan? – spytał Von Settler. – To jeden z pańskich naukowców, profesor Santini. Również pozostał uparty. Natomiast z pańskimi nurkami i Godardem, jak pan już wie, nie miałem kłopotu. Współpracowali tak, że mogłem być z nich w pełni zadowolony. Pytanie tylko, po co ich pan zatrudnił? W ruch poszły wielkie pieniądze. Dlaczego Godard oprócz tytułów naukowych posiada dyplomy z kryptologii? Długo myślałem. I wie pan co? Zaraz przyszło olśnienie. Przecież zatrudniłeś ich pan w konkretnym celu. Pańska ekspedycja nie była dla nich zwykłą przejażdżką, bo wynajęcie kosztowało krocie, a dieta mineralna w skąpym występowanie składników środowisku ziemskim dodatkowe kilkadziesiąt tysięcy funtów na miesiąc. Powiązałem fakty. Przedstawiłem moim analitykom dodatkowe poszlaki. To oni w zaledwie dwa tygodnie odkryli ukryte miasto. To samo, z którego pochodziła pańska podmorska butla przesyłowa. Ominęło panów archeologiczne grzebanie i odczytywanie kodów obsługi nie z tego świata.



Potężne statki lawirowały nad masywną, wzniesioną ponad okoliczne dno podstawą miasta. Wyglądały z dystansu na większe niż w rzeczywistości.

Planowo rozmieszczony na okręgu kompleks wolno wirował. Jego część południową, o rozmiarach dwunastu kilometrów kwadratowych, wciąż pokrywały nagromadzone od przepływu muły. Sięgałyby dalej, ale w samym centrum ostre szczyty kilkudziesięciu piramid przebijały błoto i unosiły się na setki metrów wzwyż. Każda z budowli posiadała lśniące metalowe uwieńczenie służące za odgromnik – prądnicę. To stamtąd wydobywało się tajemne bladoniebieskie światło kładące się ponurym cieniem na resztę molocha. Tężało na wschód od piramid, gdzie uprzątnięto z gruzu i oczyszczono prądem wodnym ze stalowych samopompujących się węży place i gigantyczne widokowe mosty.

Budynkom miejskim sporo brakowało do doskonałości. Przede wszystkim w murach ziały ogromne dziury będące wynikiem toczonych wojen i inwazji.

Legendy wspominały o buntach automatonów i ich kawitologicznym szaleństwie. Nie zawsze uległy motłoch mechaniczny ograniczał się do wystrzałów z magmy w otaczającą wszystko wodę. Czasem celował w wytwory architektoniczne swych mistrzów, a nierzadko w pałace właścicieli. Gdyby spojrzeć powyżej, na piętra czynszowe, należałoby o staranność i troskliwość w pieczy nad budynkami posądzić zaprogramowane środowisko naturalne. Mieszkania pozostawały czyste i schludne od tysięcy lat. A wszystko to dzięki pracy uwijających się wewnątrz stad pracowitych ryb pokojówek.

Wzrok nasz musimy jednak skierować ponad ten mieszkalny blok. Tam, niczym lampiony upstrzone dzikim ogniem rozblasków, krążyły potężne statki. Od jednego z pływających kolosów oderwało się kilka descenderów.

Wszystkie jednostki dwudziestoosobowe miały wojskową załogę. W mniejszych, o średnicy pięciu metrów, siedzieli uczeni i oficerowie. Jeden z pojazdów osiadł na niewielkim placu, gdzie zakryte pod baldachimem z marmurowych płyt stały rzędy antycznych automatonów.

Płynący ludzie rozganiaли szwendającą się wszędzie gadzinę. Po zaułkach ukrywały się ryby zwane donicami. Żywiące się nalotem murarskim kreatury pomocne mogły się okazać w pracach restauratorskich. Najpodobniej brat pana Moliera, Immanuel, namieszał i zasymilował wokół parków otaczających place ich okazałe kolonie wraz ze ślimakami chodnikowymi, których też tu było w bród. Wszystkie one utrzymywały równowagę w zabałaganionym środowisku.

Ocearus postępował tuż za nurkami. Steepvelius i Drodén okazywali mu sporo szacunku, w przeciwieństwie do płynącego ponad wszystkimi Godarda, który od pewnego czasu zaczął go jawnie lekceważyć. Zatrzymali się przy maszynach atlantydzkich. Jeden z oficerów ustawił nieopodal stojak z dozownikami kryształów fonicznych. W kilka minut usprawniły komunikację.

– Jeszcze raz wam gratuluję, panowie – ozwał się kapitan Von Settler. – Jak się okazuje, mamy wielu oponentów w naszej misji kontaktu ze światem i zaangażowania jego mieszkańców w wielkim dziele kolonizacji Galaktyki. Jednak los nam sprzyja. Czy urządzenia napędowe odzyskały już zdolności operacyjne? – zwrócił się do oficerów.

Jako pierwszy odpowiedział osiadający na placu Godard. Jego bosa stopy skleiły się ze starożytnym brukiem, burząc naloty i unosząc je na kształt podwodnego kurzu.

– Dotarłem do sekretnych map opisujących w przystępny sposób warstwową budowę oceanów zarówno Ganimedesa, jak i Europy. Wiadomą rzeczą było, że ów system jest wysoce niestabilny i częstokroć w przeszłości podlegał okresowym kataklizmom. Pokłady zamrożonej skały czy okruchów zmieszanych z lodem załamywały się podobno po kilkaset razy na milenium i zamykały dojścia do potężnych akwenów. Tak stało się i tym razem.

– Stąd trudność w zlokalizowaniu miasta Atlantów, jak przypuszczam? – zapytał Niemiec.

– Zaświadczyły o jego istnieniu odpisy wyników prac remontowych wykonanych przez brata pana Moliera, w których w sposób szczegółowy udokumentowane zostały wszelkie dokonane rekonstrukcje. Myślę, że takich zabytków znajdziemy wkrótce więcej.

– A więc przy okazji odnaleźliście panowie drogę do nieznanego nam niszy oceanicznej? – pytał kapitan.

– Nie całkiem wygląda ona jak nisza. To świat wprost gigantyczny. Mówimy o średniej głębokości piętnastu kilometrów. Ustępuje jej nawet ocean wszechświatowy znany nam z Ziemi. Obszar jest zarybiony gatunkami nieksiężycowymi i posiada zaopatrzenie świetlne w rodzaju szybko się rozprzestrzeniającego samopłonia dziennego. Jest więc ów świat optymalnym dla kolonizacji ludzkiej. Odnajdziemy w nim spokój i harmonię.

– Wszystkie te oceany i przestrzenie człowiek współczesny będzie potrafił sobie wkrótce podporządkować – podsumował Von Settler. – Musimy tylko zaangażować społeczności ziemskie. Potrzebujemy więcej kolonistów. Takie narody jak Niemcy, Rosjanie czy Chińczycy znajdą tu swoje miejsce. Nie może być mowy o zamknięciu znanego korytarza na ziemskim Oceanie Południowym i pozostawienie łupu tylko w łapach brytyjskich.

– A więc o to panu chodzi? – rzucił się nagle profesor Molier. Pomimo strasznego zniweczenia fizycznego wznosił się ponad powierzchnię i pałając strasznym gniewem, przemówił: – Od razu wiedziałem, że nie jest pan rodowitym Duńczykiem. Ten pański obyczaj, zamiłowanie do kiełbasy i wrodzona pogarda do Hindusów wydały mi się dawno podejrzane – mówił, objawiając tę prawdę przed nurkami i samym Godardem, który jej nie znał, a jeśli o plotki o kapitańskim rodowodzie się otałał, to w nie wątpił. – Czyżby i nazwisko odziedziczył pan po bawarskich przodkach? Kapitan Von Settler zaśmiał się krótko.

– Jeśli już o to chodzi, to po pruskich – wyjaśnił. – Mój rząd będzie zainteresowany wysłaniem tu potężnej Krigsmarine, która zrobi z tym światem porządek w dwie i pół doby. Teraz już nic nie stanie nam na przeszkodzie.

– Ależ to niepodobne! – odezwał się wstrząśnięty Godard. – A więc naprawdę jest pan rodowitym Niemcem?

– A jakie to ma znaczenie? Niemcem, Japończykiem czy Żydem. Wszyscy mamy prawo reprezentować ludzkość na tym galaktycznym padole. I proszę już bez insynuacji. Jestem przekonany, że wspólnymi siłami uda nam się zgarnąć z galaktycznego tortu wszystkie najsmakowitsze dla człowieka kąski. A teraz podejźmy do pierwszego automatonu. Jak się go programuje, panie Godard?

Godard po ostatniej przemowie kapitana poczuł się dość nieswojo. Rzucił ukradkowe spojrzenia na wiązane ponownie pana Ocearusa Moliera, przesuwając wzrokiem po sztywno wyprostowanych oficerach, z których każdy wyglądał teraz na rodowitego Bawarczyka, by wreszcie spocząć wejrzeniem pełnym wzburzenia na twarzy kapitana Von Settlera.

– Niech pan mówi, do cholery. Zaciął się pan?

Dwaj nurkowie, również wynajęci dla dokonania ekspertyzy kryptologicznej, ponurym wzrokiem śledzili każdy ruch Godarda. Kiedy otwierał pokrywy i wyjaśniał budowę zegarów, rozkładał hydraulikę i opisywał poszczególne komponenty, nie potrafili ukryć grymasu wstrętu. Po dobrej chwili mówiący zamilkł. W milczeniu złożył dwumetrową żeliwną butlę i pomógł jej odpłynąć na stanowisko gniazda wysyłkowego.

– Dalej – zachęcił kapitan. – Niech pan sprawi, żeby to żelastwo odpaliło i odnalazło drogę do miejsca ziemskiego przeznaczenia. Poślę za nim swoich ludzi.

Tutaj zwrócił się do najbliższego oficera i nie kryjąc się już z zamiarami, rozkazał mu po niemiecku, aby jedna z podwodnych fregat przygotowała się do pójścia w gazowe tropy.

Godard otworzył bok butli podmorskiej i począł na tarczy wewnętrznej szukać ustawienia ziemskiego. Jednak symbolika pisma atlantydzkiego była mu słabo znana. Mógł co najwyżej przypuszczać i zgadywać. Powodowany złością, wybrał na chybił

trafił. Z przekonaniem pokiwał głową, uśmiechnął się i zażyczył sobie, by wybrany przez kapitana oficer wraz z korwetą trafili do wszystkich diabłów.

Pan Molier obserwował wszystko spod przymrużonych powiek. Ani jeden mięsień na jego twarzy nie drgnął, gdy Godard powiedział:

– Gotowe.

Kapitan dał znak korwecie. Niewielki żeleźniak obniżył pływ do wysokości dziesięciu metrów ponad płytą lądowiska. Na pokładzie wszyscy skupili się na porzewiałym automatonie, który wykorzystując bodajże pozyskiwany z wody, izolowany w komorze spalania wodór, potrafił rozwinąć prędkość do czternastu węzłów. Mógł skoczyć w mroki lada moment jak oparzony i nie dać się złapać.

Nic się jednak nie stało.

Starożytny złom ani drgnął.

– Co jest, do diaska? – zagrmiał kapitan, podejrzewając jawną dywersję. Przyskoczył do Godarda, łapiąc go za gardło i jednocześnie boleśnie wykręcając mu rękę.

– Niech pan go puści – odezwał się pan Molier. Oczy Von Settlera powędrowały w stronę zrujnowanego zdrowotnie profesora. – Miałem okazję zbadania podobnego machinerium. Zostało przesłane lata temu na Ziemię z listami, mapą i subtelnym kodem. To on doprowadził mnie do ganimedowej kolonii, zupełnie panom nieznaney i niezależnej. Mechanizm nie tylko reaguje na programowanie zegarowe, ale na coś jeszcze, w pierwszej instancji niezbędne.

Von Settler odtrącił Godarda i wolnym ruchem podpłynął do pana Moliera.

– Może postara się pan być tak miły i swej wielkopańskiej łaskawości podzieli się z oficerem wrogiej armii zdobyczami własnej nieogarnionej wiedzy?

Uśmiech Ocearusa był cierpki, jego bieżące na fali fonicznej myśli również.

– Ależ bardzo proszę. Mogę być zdrajcą. Potrzebne będzie panom użycie specjalnych kryształów fonicznych o dolnym zakresie spektralnym przekazu myśli. Praca przy ich kompozycji, to jest wytworzeniu, czyli krystalizacji wstępnej, zajmie mnóstwo czasu i będzie kosztowała sporo zachodu. Nie mówiąc o wypalaniu i długotrwałym chłodzeniu wzmagającym w efekcie końcowym proces rozpuszczenia. Co więcej, w pobliżu oceanicznej warstwy, na której pływa wasza kolonia, nie występują surowce do ich produkcji.

Trudno było nie zauważyć w profesorskiej twarzy grymasu satysfakcji, gdy Von Settler jawnie zmarkotniał i w fizjonomii poszarzał. Był to dla niego cios, po którym przez wiele godzin nie potrafił się otrząsnąć.

Z coraz większym niepokojem obserwowałem swój wygląd zewnętrzny. Słowem – nie podobałem się sobie. Miałem w pomieszczeniu piwnicznym prywatne lustro, na którym codziennie gromadziła się ohydna warstwa nalotu gnilnego. Ścierałem ją z obrzydzeniem, jednocześnie zdając sobie sprawę z przerażającej prawdy. Sam w owe naleciałości oceaniczne coraz bardziej się przyoblekałem.

Na przykład głowa nabrała przez te miesiące mineralogicznej diety kształtu wydłużonego jaja, a rosnące na niej bakenbardy stały się prześmiesznym kuriozum. Uwijały się pośród włosów jakieś mikroskopijne drobiny, których nie dawałem rady wyplenić. W ziemskiej atmosferze wziąłbym je za wszy, tutaj za aparat czyszczący bądź żywiący się resztkami mej łuszczącej się skóry. Również tors pozostawiał sporo do życzenia, jak gdybym się wydłużył i nabrał nowych rzędów żeber. Od stóp do głów osiągnąłem bodaj trzy metry dwadzieścia, kolana pokryły się ułuskowaniem lokalnym, a genitalia stały się marniejsze niż u dziecięcia. Unikałem jak mogłem ich dotykania, bo i funkcjonować – w sensie wydalania – całkowicie przestały.

Podobnie było z Abelią, której ciało jeszcze bardziej się zmieniło. Również schudła i wyrosła. Piersi jej napęczniały, uda zwiędły, a łono wyglądało na płaskie i mało interesujące. Dobrze, że w ciągłej pozostawaliśmy zażyłości i uczucie nadzwyczaj czujnie pielęgowaliśmy, bo nie zawaham się powiedzieć, że w tym stanie bym ją porzucił bez zbędnego zastanowienia.

Włosy tylko zachowała piękne, bo nigdy nieprzycinane, nabrały rudawo-czerwonego blasku i gdy przestawała płynąć, tylko tak zawisała niby anioł każący – rozczesywały jej fryzurę prądy i układały na kształt gorejącego, ognistego kwiatu. Cudowna się wtedy wydawała, z tym płonącym wzrokiem w wydłużonej mineralogicznie twarzy.

Lord Bizzard był między nami najmniej odmieniony. Ale i on zaledwie mieścił się w przeznaczonych mu gumowych myśliwskich ubraniach. Osiągnął długość czterech mocarnych metrów, a wszystkie te osiągi miał od ćwiczeń, szybkiego pływania i przetykania różnorodnej mieszaniny wód mineralnych i gorących solanek. Wiadomo to, na jakie wartości każdorazowo jest narażony pływak w warstwowych strukturach ganimedowej cieczy?

Zwykle spędzaliśmy wspólny czas, przebywając w ulubionej oficerskiej kantynie, w samym centrum pływającego miasta. Nieodmiennie towarzyszył nam tam Linfeld, którego dalej mieliśmy za zdrajcę i szpiega. Nigdy nie polubiłem hieny, więc po wstępnych uwagach gdzieś w powyższych rozdziałach do tematu jego osoby nie będę wracał ani nie spróbuję przybliżyć jego wyglądu i ogółem nieciekawej postaci. Tym

bardziej że pozostawał wobec mnie zgryźliwy i niemal chory z zazdrości o skarb mój najdroższy, Abelię.

– Niewiele pan załatwiłeś w magistracie – napomknął, zezując od ilości wchłoniętego napitku. Skrupulatnie przesiewał bowiem wielkie ilości kolorowej wody nawiewanej prądem zwrotnym od baru do stołu. Barman siedzący za kontuarem rozpuszczał pewne morskie, zakażone nałogiem używki i proszki o nieznanym rodowodzie. Chemik tylko bardziej od mikstur głupiał, pozostawiając w otaczającej nas wodzie nieprzyjemne smaki od własnego żołądkowego odbicia.

– Otrzymamy glejty, przekazy i sporą sumę lokalnej waluty – odparłem.

– Sami się państwo wyprawicie?

– Uważamy, że obowiązkiem naszym jest zadbanie o profesora. Inaczej wyrzuciłbym sobie ów brak honoru w postępowaniu na całe życie – wyjaśniłem, spoglądając na milczącą Abelię.

– Rozumiem – stwierdził kwaśno.

– Pan niewielkim zmianom anatomicznym się poddałeś – stwierdziłem, zastanawiając się nad jego wyglądem zewnętrznym. – Czy aby kontrolowałaś się lepiej?

– Pan również dbasz o siebie.

– Chyba żartuje pan sobie! To nazywa pan dbaniem? – Wskazałem dziury skrzelowe na całym ciele i sine pasma innej krwi, ciemniejącej w żyłach.

– Nie, wcale nie. Widzę, że niepokoją pana mutacje, te alarmujące zygzyki na skórze i dekoloryzacje. Nic to takiego wielkiego. Wiele takowych zmian pojawia się u nowo przybyłych. Szczególnie wodogłowie postępujące nagminnie występuje u najbardziej narażonych na wodne pływy. Podobno spowodowane jest pozycją pływacką, jaką przymusowo przyjmują i mnogością dziur skrzelowych na całym ciele.

– Nie ma na to rady?

– Po okresie rozszczelnienia czaszki następuje czas cielesnej konsolidacji. Wtedy twarz ludzka zaczyna przypominać fizjonomię atlantydzką, choć obie rasy różnią się od siebie diametralnie, szczególnie pod względem anatomicznym.

– Doprawdy?

– Nie wiem, jak to było w odległej przeszłości, ale ci z Atlantów, którzy przetrwali po dzień dzisiejszy posiadają podwójny kręgosłup, organy i gruczoły wydzielnicze w wielu niespotykanych rodzajach i nie są przeważnie praworęczni, lecz obie ręce mają dominujące, jak dzieje się to u ras zaawansowanych ewolucyjnie.

– Kpisz pan sobie chyba? Takie zwierzę jak koń miałoby być bardziej od nas zaawansowane?

– Zupełnie nie, ale przyznasz pan chyba, że się nie zastanawiałeś nad aspektami praworęczności u małp, papug lub pospolitych zwierząt domowych? – pytałem.

– Przyznam.

– Gdy więc mówimy o patriarchach atlantydzkich, wypada nam wspomnieć, iż w czasach antycznych ich łodzie podmorskie porywały często dziewczki ludzkie dla sportu lub handlu, bo mieszanie krwi tak zbliżonej do człowieczej wielmoży podniecało. Tym bardziej że kobiety greckie i fenickie za dostojnikami z Atlantydy wprost szalały.

– Czy powstała wtedy rasa mieszana?

– Nic mi o tym nie wiadomo, lecz powszechnie słyszałem i sam wielokrotnie widywałem zdegenerowanych atlantydzkich dzikusów ukrywających się po dennych dżunglach Europy w agresywnych hordach, i nie było mi do śmiechu, tak podobni byli do ludzi.

Niespodziewanie pojawił się baron Boustou i pan Duncan w mundurze oficera pokładowego. Obaj poprosili nas z Abelią na stronę. Tu, unosząc się ponad ozdobnymi donicami, pomachaliśmy do pozostawionego w samotności Linfelda. Po chwili niepewności Boustou zaprosił nas do oszklonych kabin. Nie było wątpliwości. Ktoś nas śledził. Od tłumu gości oderwały się trzy ciemne postacie i podążyły szybkim spływem do korytarza.

Zamknęliśmy się w odosobnieniu. Pan Duncan kazał nam użyć maści ningonów, całkowicie tu nieznannej i zapewniającej stuprocentową dyskrecję.

– A ta tu po co? – zapytałem, mając na myśli pływającą w pobliżu rybę kopertową.

– To moja własność – stwierdził z nonszalancją baron. – Mam do niej całkowite zaufanie. Zrelacjonuje panom szczegóły naszej rozmowy w każdym dowolnym czasie, jak również poprowadzi do dowolnej zaprogramowanej z góry lokalizacji.

– Jakiej lokalizacji? – wciąż pytałem.

– Nie przeciągajmy, panie De Waay. Mniejsza o to. Jestem w posiadaniu najświeższych wieści z frontu – rzucił z zagadkowym uśmiechem lord Bizzard. – Wszyscy tu odgrywają miłych i życzliwych, a w rzeczywistości życzą sobie najbardziej naszej śmierci.

– Nie w smak nam wojna – szybko wtrącił dotknięty tą uwagą do żywego baron. – Ludzie boją się, że przez takich jak wy i Linfeld nasza kryjówka zostanie odkryta i zniszczona.

– Dysponując militarną mocą kilkakrotnie przewyższającą siły marnego kapitana, wciąż się go obawiacie? – spytałem.

– Za wszelką cenę pragniemy uniknąć walki. Być może zostalibyśmy wciągnięci w szerszy konflikt. Nie wolno nam ryzykować.

– Z trudem odnalazłem życzliwą nam osobę – wyznał pan Duncan. – I ta twierdzi, że kapitan Von Settler właśnie przejął kontrolę nad dotąd skutecznie ukrytym miastem starożytnych Atlantów. Nie byłoby w tym nic niepokojącego, gdyby nie potencja techniczna zastanych tam urządzeń. Z łatwością pokonają dystans Jowisz-Ziemia. Stąd decyzja rządu Scollum Grae o natychmiastowym bombardowaniu tamtego miejsca.

- No, to chyba akurat doskonale wieści?
  - Nie bardzo. Bombardowanie zostanie wykonane w systemie zdalnie sterowanym. Nikt z ludzi nie weźmie w nim udziału. Przeprowadzą je tresowane ryby. Nic, nawet fakt przebywania tam profesora, nie powstrzymało tutejszych władz przed decyzją o całkowitym zniszczeniu miasta. Nam przydzielono strażę, które nie pozwolą na oddalenie się pod żadnym pozorem – przyznał pan Duncan.
  - Jesteśmy uwięzieni? – wciąż pytałem.
  - Nieformalnie. Rozkaz dopiero będzie dostarczony. Wkrótce zostaniemy uwięzieni, ale to stanowczo za mało powiedziane – mówiąc to, miał grobową minę. – Magistrat Ganimedowy zarządził zgładzenie zarówno Ocearusa, jak i całego jego wyjazdowego towarzystwa. Czyli nas również.
  - Cóż możemy zrobić w takiej sytuacji? – spanikowałem, spoglądając na równie przerażoną jak ja Abelię. Po prostu ciarki mnie przeszły na myśl o takiej bezwzględności.
  - Mamy dwie opcje – wyjaśnił Boustou. – Bierność lub działanie. Pragnę panów wspomóc w tym drugim, choć rozumiem doskonale przebiegłość mojego rządu.
  - Co ma pan na myśli? – spytałem.
- Baron nie zdążył z odpowiedzią, bo słów parę wtrącił lord:
- A nie zapyta pan, dlaczego bombardują miasto Atlantów? I dlaczego nas tam pierwszej pragną umieścić? Bo takim przebiegłym planem się szczycą.
  - Jest tam profesor, zgaduję? – rzuciłem rozgorączkowanym tonem.
  - Jest – potwierdził baron.
  - A nie chce im pan pozwolić na nasze tam doprowadzenie? Dlaczego nie mielibyśmy się poddać Von Settlerowi? Sam nas przy starcu umieści i wspólnie jakoś się z przygody wykaraskamy – dowiadywał się pan Bizzard.
  - Nie rozumie pan, że zakują nas tam do tego samego drağa i stracą? – oburzyłem się na taki pomysł. – Przecież kapitan pragnie profesorską duszę pogłębić. Być może wciąż myśli, że nas w zamachu zabił? Bo jeśli Linfeld nie potrafił się dotąd żadnym kanałem z nim skomunikować, Von Settler wciąż o naszym ocaleniu nic nie wie.
  - Czyli dla obu stron jesteśmy zbyt cennym balastem? Ale jedna nie wie o drugiej? – pytał lord.
  - Wiem, wiem, wiem. Zbyt to skomplikowane – przyznał baron. – Oficjalnie rząd ma dość obecności tego mąciwody Moliera. Nikt z nawigatorów Von Settlera nie zna drogi do naszych oceanów, a on sam bałby się je eksplorować z uwagi na obecność przeważających sił gluorów, z którymi my żyjemy w zgodzie.
  - Dlatego pragnę, żeby nam pan otwarcie wyjaśnił, kto jest zainteresowany naszym losem i dlaczego? – stawał na swoim pan Bizzard.



– Istnieje frakcja, którą ja właśnie reprezentuję i której oficjalna polityka rządu jest nie w smak.

– Zapewne macie panowie w tym własne interesy – zainteresowałem się, patrząc na niego przenikliwie.

– Bo starożytna kultura była na tyle mocno zaawansowana technologicznie, iż samodzielnie kontrolowała drogę do gwiazd, zgaduję – odezwał się lord.

– Przyznam otwarcie, że o to właśnie chodzi – potwierdził zupełnie oszołomiony takim obrotem sprawy baron Bustou. Widać w przekazie myśli stawaliśmy się obaj z lordem ekspertami. – Otóż niektóre place główne atlantydzkiego molocha posiadają gniazda wysyłowe do wszystkich znanych tej rasie punktów docelowych Necrolotum.

– Czyżby miał pan na myśli jakiś pas startowy dla potężnej butli, onegdaj tak szczegółowo przez pana Ocearusa opisywanej, a będącej w dyspozycji profesorskiej w jego tajemnym schowku na Cape Liptrap? – spytałem, nagle odkrywając zamysł i śmiejąc się głośno, aż przestraszyłem tym hałasem i bulgotaniem czającą się w okolicy jego własną rybę kopertową.

– Nie inaczej. Znajdują się tam tysiące zadokowanych w futerałach butli, a każda z osobna zaopatrzona w słoje z wytyczonym kursem i automatycznymi mapami na sążnistych kablach. Drogi otwierają do wszystkich wartych zachodu lokalizacji Drogi Mlecznej. Rząd wszelkimi sposobami pragnie drogę do nich przyblokować.

– Toż to skarb niesłychany – uznałem. – Nie tylko dla kryptologa gratka.

– Skarb to mało powiedziane – przyznał pan Duncan. – Już wiem na pewno, dlaczego rychtuje się rybia flota wojenna i dlaczego nie ma tam ludzi. Planowany jest natychmiastowy atak w zamiarze zniszczenia owej technologii.

– I za tym obstaje rząd drugiej kolonii? – spytałem dla pewności.

– Tak. Takie operacje finansuje.

Baron Boustou spojrział na nas krytycznym wzrokiem. W tym momencie nie podobała mu się nasza zaczepna solidarność.

– Myślałem o pomocy dla państwa. Pomocy w profesorskiej ucieczce, a nie oszczędzeniu zbędnych w tym momencie artefaktów – wtrącił. – Takich miast jest setki, jeśli nie tysiące na wszystkich sześciu oceanicznych księżycach.

Dreszcze mnie porwały od stóp do głów. „Jakich sześciu? – myślałem. – Przecież Jowisz posiadał generalnie tylko cztery olbrzymie satelity. Czyżby baron doliczał jeszcze jakieś dodatkowe księżyce Saturna i Urana?”

– O ucieczce? – zawrzał w pytaniu lord Duncan. – Gdzie uda nam się schronić? Ciągłe marnym jestem pływakiem i przy tych wszystkich Linfeldach i innych zabookich szpiegach nie mam szans. – Miał na myśli lokalnych. – A na obszarach dzikich siłą rzeczy szybko umrzemy.

– Ale nie chodziło mi w waszym przypadku o ucieczkę na inne morze czy w nowy, nieznany wam księżycowy ocean... tylko o powrót na Ziemię – rzucił przejmującym tonem baron.

– Ziemię? – zapytałem, poruszywszy prawie bezwiednie ustami i pozostawszy w rozrzewnieniu. Spojrzałem na Abelię, a ta na mnie, nie potrafiąc z zadziwienia wydukać słowa - myśli.

– A jak inaczej macie się stąd wydostać? Darzę was sympatią i zamiast widzieć was zamordowanych, wolę pomyśleć o żywych, oddalonych o miliony kilometrów, postawionych bezpiecznie na lądzie bliższym Słońca.

– Wydostać się spod orbity Jowisza? O czym pan mówi, do diaska? Przecież dzielą nas od rodowitej planety nieprzekraczalne bariery, a jedyne przejście jest zawałone po samą gardziel!

– A miejsce wysiękowe, którego lokalizację zna profesor jeszcze z czasów jego pierwszej wyprawy – wciąż zachęcał baron. – W bombardowaniu nietrudno o kompletne zamieszenie i bałagan – prawil Boustou. – Wiemy, że musimy odebrać tymczasową przewagę Von Settlerowi. Wiemy, że musimy w tym celu unieszkodliwić bezcenną maszynierię, bo lada moment sam wpadnie na pomysł, żeby wykorzystać ją do nawigacji ziemskiej.

– Ale ile czasu zajmie nam, ludziom, mapowanie Necrolotum? Tysiące, dziesiątki tysięcy lat będzie za mało. Czy oni są tam już wszyscy całkowicie nieprzytomni od nienawiści? – zapytała blada z przerażenia Abelia. – Absolutnie nie należy tego wszystkiego niszczyć!

– Zaraz, chce pan się podkraść i oszczędzić kilka z tysięcy komunikacyjnych butli? – zapytałem barona i lorda jednocześnie, bo ten drugi już szczyrzył do mnie zęby, jakby o wszystkim wiedział, tylko się szelmie zachciało udawać.

Uśmiechnęli się obaj i me domysły potwierdzili.

– A czemuż by nie? – zagadnął baron.

– Potrzebny będzie zestaw komend i pewne foniczne minerały, których komunikatów butle zazwyczaj się słuchają – poinformował mnie lord Duncan.

– No i...? – Posłałem im wyczekujące spojrzenie.

Milczeli.

– Uwolnimy profesora Moliera – rzuciłem, z nagłą olśniony.

Widocznie tej właśnie reakcji obaj oczekiwali, bo pan Duncan spojrzał na mnie rozpromieniony.

– I takie pomysły lubię – skonkludował ze śmiechem. – Uwolnimy Ocearusa. Nakłonimy go do współpracy i dopóki będzie się pochylał nad sprzętem, osobiście zaangażowany, dopóty wszyscy będziemy bezpieczni.

Postanowiliśmy działać.

Wpierw należało pozbyć się pływającego za nami ogona.

Linfeld drzemał za barem, obojętny na wszystko, co się dookoła niego działo. Dwóch dryblasów miało na niego oko. Trzeci płynął za nami.

Wyłynęliśmy do korytarza, uzbrojeni w noże. Baron Boustou się ulotnił. Nie chciał być zamieszany w morderstwo. Na odchodnym dał nam pieniądze i paliwowe kwity. Pożegnaliśmy się i przekradli do ciasnego przejścia. Pan Duncan podążał ostatni. Ja prowadziłem Abelię, która ścisnęła w kieszeni podwodny rewolwer.

Niestety, jak przypuszczaliśmy, stał tu uzbrojony szpicel.

Zbrodnia była mi obrzydliwą, więc próbowałem szpiegowskiego łotra oszczędzić, lecz wywiązała się nagła sprzeczka, a potem ostra walka, w której albo musieliśmy ulec, albo zwyciężyć.

Pomogłem Bizzardowi uprzątnąć ciało.

Pozostawiliśmy trupa przywiązanego do ciężkich przedmiotów, z dala od wszelkich oczu. Zajrzeliśmy na Linfelda. Ten jak gdyby nigdy nic rozbudził się i rozmawiał z dryblasami przy barze. Wyglądali na zajętych sobą. Dobijali jakiegoś targu.

Postanowiliśmy natychmiast uciekać. By zyskać na czasie, oderwaliśmy się od głównych arterii miasta. Dotarliśmy do granicznych dzielnic. Tutaj poważnie musieliśmy się zastanowić, co robić dalej.

Wodna przestrzeń ponad molochem była stale obserwowana przez przynależne jej służby, więc wybraliśmy inną drogę w płaszczyźnie zabudowań. Mocno zatłoczona, zdawała się być idealną na wyjście z okrążenia. Szwendało się tu mnóstwo pociągowych ryb. Wybraliśmy te kurierskie, idące w kierunku dzielnic satelitarnych. Ukryliśmy się w wirujących transportowych prądach pomiędzy przesyłkami.

Patrzyłem to w dół, to w górę. I nagle zobaczyłem potężny kształt interplanetarnego pocisku, jakby zwisał z nieboskłonu od tysięcy lat. Czyżby pozostał tak wbitym od początku w przepastny lód? Natychmiast szarpnąłem Abelię, a gdy ta spojrzała i zachłysnęła się widokiem, dołączył do nas Bizzard.

– Wiedziałem o tej rewelacji – powiedział do nas cichaczem, żeby przypadkiem nie przestraszyć okolicznych ryb, które superfoniczność mogą mieć wrodzoną. – Czy pan nie zauważył naszego ruchu wertykalnego? Mocno szliśmy w ostatnim rejsie pod górę. Nawet Hindus nie potrafił ukryć problemów z oddychaniem. Znajdujemy się w jednym z najbardziej zewnętrznych oceanów Ganimesesa, a jednak szczwanie ukrytym i niedostępnym od wewnątrz. Ta mroczna ściana na nieboskłonie to mieszanina lodu i

skały, a w nich wbity mocarnym cielskiem tkwi pocisk, który onegdaj dostał kopa wulkanicznego.

– Taką miałby siłę ze zwykłej eksplozji? – spytała panna.

– Zapewne jakieś silniki przeniosły go przez ten ogrom przestrzeni dzielący Jowisza od Ziemi. Ale niech pani więcej nie wątpi. Tak, eksplozja była nadzwyczajna. Nigdy w historii nowożytnej Ziemi nie było większej. Pan Immanuel jak widać zbudował niezłe cacko o obwodzie bez mała dwóch tysięcy metrów. A długość jego przypuszczalnie dochodzi do pięciu lub sześciu tysięcy, stąd najsampierw pływał na rozbitej krze, a potem zastygł zakleszczony. Wiem, że poczyniono próby wyjścia na powierzchnię. Starano się umieścić lustra komunikacyjne, by wysłać w kierunku Ziemi nawołujące sygnały. Nic z tego nie wyszło. A śmiazków zabiło promieniowanie Jowisza, podobno najszkaradniejsze ze znanych.

– Toż to złom ogromny. Gdzie dobrodziej wytopił tyle stali? – dziwiłem się.

– Jak to gdzie? W wulkanie.

– Toż te gigantyczne sprzęty musiały kosztować majątek – jęczałem.

– Niech pan nie żałuje kupca i wydrwigrosza. Na biednego nie trafiło. Podobno jak mało kto wiedział, jak robić pieniądze z niczego.

Minęliśmy rozległy wrak.

Jeszcze kilkakrotnie się odwróciłem.

Żał brał, że nie dało się żelastwa odpalić i znowu polecieć.

Odnaleźliśmy Reynasha pośród swoich. Przebywał w barakach słabo płatnej, a jednak bogatej dzięki zasiłkom braci robotniczej w slumsach Albartaeo. Obchodził wraz z nimi święto światła Diwali, które zazwyczaj wiąże się z bogami Ramą i Kryszną oraz boginią Lakszmi. Podczas Diwali zapala się lampki podwodne i zazwyczaj wymienia prezentami. Na Ziemi to święto przypadało na październik i listopad, lecz tu, na Ganimesie, obchodzono je w okresie szesnastej jowiszowej pełni.

Nasza wiadomość była dla niego zaskoczeniem. Widać już był pogodził się z myślą o losie swego dobrodzieja i śmierć jego uważał za oczywistą. Jedyne promyk nadziei, który wnieśliśmy, rozpałił jego miłość do pana na nowo. Biedak się rozszłochał.

– Musimy działać – szeptał, cały czarny od oliwnej zaprawy, bo aktywną był pokryty substancją, pełną luminescentów i fotoforów. – Rozumiem wasze obawy o przelot. Jakikolwiek byłyby przeciwskazania, poprę wasze starania o militarną pomoc w całej rozciągłości – gadał i gadał, nic nie rozumiejąc z kłopotów, w jakie popadliśmy. Bałem się, czy aby nie ma obstawy, ale moja i Abellii dotychczasowa obserwacja nie potwierdzała, że takową posiadał. Otaczał się zaprzyjaźnionymi rybami różnych sortów. Być może niektóre z nich były nam nieprzychylne, ale większość uzyskała opinię najwierniejszych na księżycu. Przypomniałem sobie o ostroboku, więc czym prędzej pognałem do pozostawionego przy naszej podwodnej łodzi Iurgego.

Przywitał mnie łagodnym pomrukiem. Widać było mu z Hindusem dobrze, bo nabrał jeszcze tuszowej wagi i szczególnego zdrowego lśnienia na krawędzi ostrego ciała. Przez dobrą chwilę tarłem jego przyuszne płetwy i szorowałem obszar ponad ustami. Byłby mnie połknął z radości.

Wybraliśmy się pod wieczór z rybą na przejażdżkę. Gdy już żywe łuny ukryły się w zagłębieniach skał i nadeszły mroki, dotarliśmy do owej specyficznej dennej doliny, do której mnie prowadził. Towarzyszyła nam Abelia i nie wiadomo czemu sam lord Duncan płynący z tyłu z marsową miną. To on oprowadzał nas po ponurych, piaszczystych łachach, w których sąsiedztwie czułem się co najmniej dziwnie, a które opisywał jako najniezwyklejsze we wszechświecie. Doły wypełniały bowiem płytkie kałuże czarnego oleju, który przy dotknięciu umykał i zdawał się być tylko rzuconym cieniem. Najstarsi powiadali, że są to żywe istoty, które poszukują ciała do symbiozy, a ponieważ odpowiedniego nie znajdują, błakają się i wszystkich żywych straszą.

Lord przestał mówić. Kazał nam stanąć i czekać.

Sam czegoś szukał i w dziwnym języku myśli nawoływał.

Znalazła się wkrótce obok okazała ryba o słusznej wadze bodaj ośmiu kilogramów i rozpiętości dziwacznie manifestowanego ciała do około stu dwudziestu centymetrów.

Nosiła się pewnie. Na ciele bowiem wyrysowane płonie świadczyły o jej gnilnym oznakowaniu, czyli opanowaniu niebezpiecznej i zdolnej do wypromieniowania komendy rozkładu. Rozpoznałem w niej znaną mi rybę gabinetową, taką ze złotym obramowaniem na krawędziach płetwy, tyle że większą i bardziej pękatą. Takie onegdaj świadcowały w każdej politycznej sprawie.

– Cóż to takiego? – mruknąłem niezadowolony na widok oczu, których miała par kilka, łypiących jak u rozdeptywanej żaby. – Otaczasz się pan organicznym podsłuchem? – Lord Duncan wcale się nie spieszył, tylko wyciągnął z zanadrza stary lekarski stetoskop z pordezewiałymi słuchawkami i kazał mi cierpliwie osłuchać rybę. Dziwiłem się stworzeniu, że pozostało w moim badaniu takie spokojne.

– I po co to wszystko? – narzekałem. – Przecież wiem, że zaraz szemranie ucichnie. Nie moglibyśmy zamiast osłuchiwania uprzyjemnić panie Abelii czasu w jej poszukiwaniu osadowych skał?

– Pański ostrobok dał mi onegdaj sporo do myślenia. Trafnie ocenił, iż w wodzie pański mózg ulega powiększeniu. Być może objętość pamięci oraz jaźni i tym samym zasięg władzy neurologicznej wypelza spod czaszki i zagarnia te wszystkie miliardy otaczających nas komórek, mianując je posłańcami własnych myśli, a wtedy łatwo o powstanie hybrydy.

– O czym pan mówi, bo pamięć mam krótką?

– Przecież zastanawiała się ryba, czy aby przypadkiem nie potrafi pan wolą samą zagęścić wody do jej stanu superzmrożenia, a potem w hydrospazmie nie posłać jakąś zdradziecką strugą na wroga. Uważa pana ostrobok za podmorskiego szamana potrafiącego przenosić wodne pływy na odległość.

– Zwykle rybnie bajdurzenie.

– Nie sądzę, bo słup wody wielkości stu metrów potrafi pan na średnicy metra podnieść o dwie stopy w górę. Sam sprawdzałem i w tajemnicy wraz z Linfeldem onegdaj przeprowadzałem na panu naukowy eksperyment.

– Doprawdy, panie Duncanie, takich się dowiaduję szczegółów o przyszłym mężu, że aż przebiega mnie gęsia skórka – roześmiała się Abelia.

– Chemik Linfeld doradził mi, abym sprawdził pańskie wypory. Dał mi nawet niewielki zegar mierzący, bo uważał, iż zdolny pan jesteś do odparcia ataków gnilnych jak nikt mu dotąd znany. A fakt ten jest na Ganimesie odczytywany jako predyspozycja do uprawiania magii hydraulicznej.

– Zatem dlatego pan sprawdza moje umiejętności, osłuchując denne stwory?

Pan Duncan poprosił inne zwierzę, by do światła wytworzonego dłońmi hrabianki się wtoczyło. Znacznie przewyższało wzrostem człowieka, więc tylko po części zostało oświetlone.

– Ale cóż to za stworzenie pan przyprowadził?

Przyjrzałem się z uwagą. Było długości około metrów trzech, o wadze słusznej, lecz stosownej. Jego luminescencyjne odnóża to wykręcały się w sposób niewiarygodny, to aż tańczyły w jakimś fantasmagorycznym rytmie. Z pewnością nie było ono ani rybą, ani kotem, ani ptakiem.

– Nie przestraszy mnie pan – zastrzegłem, jednocześnie czując, jak rośnie we mnie trwoga.

– Oto przesławny mentor – wyrzekł pan Bizzard, wskazując kosmicznego troglodytę.  
– Słono zapłaciłem bestii w lokalnej walucie, aby zbadał pańskie potencjalne talenty. Nie tylko on jest niezwykle, ale i miejsce, w którym się znajdujemy, należy do tajemniczych. W nim pokraki urzędują.

Rozejrzałem się bacznie wokół, a nie widząc niczego więcej prócz ciemniejących łąch piasku, a w tle dalekim krążącego ostroboka, jeszcze mocniej się zdziwiłem.

– Piaski. Same piaski.

– Piaski – potwierdził. – Tyle że wcale nie tutejsze. Nanoszą je prądy Necrolotum. A wraz z nimi przybywają niewydarzeńcy ze skórą podobną do leśnej ściółki. Panują nad wodą dogłębnie, wyszukując w cieczy tajemnicze nici i moce zagęszczenia nieznane w świecie powietrznym. Okazuje się, że władają nie tylko prostym dynamizmem wodnego ośrodka, ale również wciekającym w nasz świat czarnym sokiem najbrudniejszego z kolorów. Nikt z nas tej zarazy wkrótce nie będzie zdolny powstrzymać. Stąd mentorzy tak chętni są do wszelkich przeszukiwań ludzkich talentów.

– Mówił pan przedtem tylko o tajemnych gruntach.

– Lepiej będzie, gdy się pan tam już przemieści – mruknął pan Duncan i pchnął mnie zachęcająco.

Raczej kuszony przez mego ostroboka niż z inicjatywy własnej ciekawskiej duszy zrobiłem, jak mi kazano. Towarzyszył mi mroczny pan, dotykami wyzwalając w mej podświadomości chłód najbardziej parszywy. Poczułem, że oto znów lewituję, wznoszę się, a potem nad unoszeniem dalszym panuję, lecz ruch mój był sterowany bynajmniej nie przeze mnie, a przez obce igły, tak wzburzone na jego ciele, że aż czułem. Na pewno nie był rybą. I bezowocne pozostały moje poszukiwania na nim pleców.

Wskazał mi wiszące ponad nami wysoko ławice. Kręciły się tam lub spały setki tysięcy ryb.

Szarpnął mnie do działania.

Wtedy się przebudziłem.

Z marnej pasywności wezbrałem niby rzeka dotknięta najgorszą powodzią. Rozprysły się ryby w ławicy. Niektóre opadły martwe, inne tylko nieprzytomne wyłowiono w dalekich miastach. Mentor ani na krok mnie odstępował. Poruszał się w cieczy

skokami podobnymi do skoków świerszcza, budząc tym ruchem okropny podwodny jazgot.

– Akrobacja? – Słowo mego zapytania dotarło do oddalającego się po łuku lorda.

– Nie, to magia najczystsza – odparł, bo pomimo dystansu dosłyszał. – Zawsze pan jęczałeś nad zagadką fauny dennej. Medytowałeś, skąd swoje zdolności promieniotwórczego magnetyzmu biorą stworzenia tak niepozorne – i oto masz.

A za nim podążała Abelia, a zaraz potem nasza ryba.

– I ja teraz wiem, jaką mocą fluidu dysponowałeś, żeś mnie do siebie na życie całe przywiązał – zaśmiała się z oddali moja pani.

Rozejrzałem się po dnie. Obraz falował i gubił się w smolistej czerni. Jakby ktoś wyjątkowo złośliwy przywołał tu z gwiazd najgorsze z chemicznych ścieków i rozproszonych z budzącą odrazę satysfakcją. To, co ze sobą niosły kosmiczne brudy, nie dało się przyrównać nawet do znanego nam na co dzień z astrologii magnetyzmu Słońca czy Księżycy, który choć genialnie w chiromancji władny, dla materii ziemskiej nie jest tak szkodliwie promieniotwórczy.

Obcy, w połowie opadły piasek szczególnie wzmacniał władztwo duchowe i bodźce telekinetyczne, wobec czego stanie w jego pobliżu skutkowało przejęciem osobowym otaczającej wodnej przestrzeni. Ale było gdzieś więcej tej władzy i sztukmistrz uczył mnie cierpliwie, jak dłonią mam sensacje cieczy wyczuwać, gdzie zagęszczać, a gdzie zaciskać w strumień i rozpędzać.

Czymże bowiem jest jaźń, jak nie kontrolą ponad stanem materii?

A jej rozszerzenie poza zamknięcie czaszki w wodzie musi być możliwe, bo jak prawią najwięksi uczeni w pismach podmorskich, jedność stanowimy z przyrodą, a w niej mieści się mądrość niezgłębiona.

Mentor szturchnął mnie w złości.

Dotąd, nie wiedzieć czemu, nie reagowałem.

Pomógł mi uformować prąd wodny biejący znikąd. Patrzyłem, jak szedł po skosie. Uderzył w dno, burząc spokój mułu, potem odbił się i poszybował w dal, aż straciłem nad nim kontrolę. Spróbowałem innej strugi. Tym sposobem wycięty został w nieodległej skale otwór wielkości pięści.

Tu się już przeraziłem.

„Na co mi władza tak straszna?” – pytałem.

Wtedy mentor polecił mi przekierować oczy na gromadę zagubionych, płynących zewsząd ryb. Ławica, choć złożona z pomieszanych gatunków i różnych wiekowo przedstawicieli, zebrała się do kupy i wolno ruszyła w powtarzalnym rytmie moich falujących dłoni. Aż samego porwał mnie ten koszmarny taniec i kompletnie jaźń opanował słowami bynajmniej nie moimi.

Mentor tymczasem dał znać, że skończyły się pieniądze.



Tak mnie, już po kwadransie omdłałego i zimnego, Abelia porwała w ramiona, a lord siłą wzywał do opamiętania. Tłukąc mnie otwartą dłonią po twarzy i szarpiąc, na wszystkie sposoby wołał i przeklinał.

– Zgnij, gnij, szejnij na marność – powtarzałem w odpowiedzi, coraz agresywniej i butniej. Całkowicie nieprzytomny odtrącałem ich dłonie, ramiona i pomoc.

– Chyba zły miałem pomysł – uznał pan Duncan, załamując nade mną ręce.

Jednak następnego dnia, gdy wczesnym rankiem przemknęły pierwsze samopłonie i zrobiło się dzięki nim jasno, moje moce rozbudzone się przydały. Otóż Reynash z planów pomagania panu Molierowi zrezygnował. Próbowaliśmy go z całych sił nakłonić. I nic.

Odszedł do swoich nowych przyjaciół i śmiejąc się, nawygadywał o nas takie kalumnie, że chciało się ze wstydu wyć. Wreszcie, nie wytrzymując, wzięliśmy Hindusa na stronę i otoczyliśmy go z całkiem poważnymi minami. Niewątpliwie od obecnych tu wód mineralnych zwariował i całkowicie oderwał się od rzeczywistości. Dalej gadał, z czego nic kompletnie nie rozumieliśmy, wątpiąc w działanie tu jakiegokolwiek fonicznej soli lub transmisji logicznej zawartości jego myśli.

Zniecierpliwiony tym zachowaniem pan Bizzard wziął Reynasha na muszkę rewolweru i nie pozwalając na żadne dodatkowe manewry, zmusił, by ten odwrócił się we właściwym kierunku i kroczył pierwszy.

Hindus nawet się o cal nie ruszył, śmiejąc się do rozpuku.

Wtedy właśnie to ja wkroczyłem.

Podniosłem jego dłoń na wysokość oczu.

Polizałem powierzchnię zewnętrzną i wyszeptałem gnilne rozkazy tak, że z mrowienia prędkiego przeszły w bolesne ataki. Skóra się zaczerwieniła. Wysączyła krew, a potem ropę.

Odsunąłem się od zdrajcy.

– Mało panu życia pozostawię, jeśli natychmiast nie weźmiesz się za stery – ostrzegłem z upiorną, jak mówiła potem Abelia, miną.

Głowa moja, wydłużona i arbuzowata, była mu obrzydliwą. Ruch jej pełen był wzdrygów wcale nieludzkich, a wydawała jeszcze poskrzyp o wcale mu nieznanych źródłach. Przestraszył się nie na żarty.

Tak zaprowadził naszą trójkę na pokład „Morrlitiusa”.

– Wprowadź ostroboka – rozkazałem Hindusowi. – Ostrożnie – komenderowałem. – Teraz zamknij włazy – zażądałem.

Reynash nie oponował. Przejęła go tak potężna trwoga, że trząśł się na mój widok. Gdybym sam ujrzał wówczas swą paszczę i migot w niej ognia żywego, przeraziłbym się nie na żarty. Nawet pan Bizzard odstąpił mnie na długość kilku kroków, a Abelia pośpiesznie schroniła się w pokoju, takie ode mnie dobiegały bulgoty i wrzenia cieczy noszące się gdzie nie bądź. Hindus zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, bo wedle wiedzy, którą pogłębiał od lat, notowano przypadki podobnych nawiedzeń.

– Korzystanie z zapieczętowanej łodzi jest przestępstwem – marudził nieśmiało, rozpuszczając wokół nas fantazyjne foniczne sole, kto wie czy nie o szpiegowskim transmisyjnym brzmieniu. – Zerwanie plomb równa się biletowi na przydenne wygnanie – ostrzegał, spozierając na odległe forty i wymierzone z nich działa.

Jednak myliłby się ten, kto nie dostrzegłby w jego minie ulgi, gdy współ z porywaczami opuszczał stolicę. Przełożył stery bardzo sprawnie na kursy odpływowe i w chwilę potem znaleźliśmy się w kompletnie czarnej otchłani.

– Pan mnie bezgranicznie przerażasz – zwierzył się sponad instrumentów. – Dłoń ciągle mnie boli. Czy potrafi pan cofnąć symptomy? – prosił.

– Obawiam się, że nie będzie to możliwe – stwierdziłem zgodnie z prawdą. – Jestem po mrocznej stronie sił, których nie rozumiem.

– Jak to, chce pan zezwolić, bym kompletnie uległ gnilnej zarazie?! – wrzasnął na mnie rozwścieczony.

– Zasadniczo znasz składniki antidotum, więc spróbuj leczenia własnymi siłami. Ja mogę tylko sprawić, że poczujesz się znacznie gorzej. Przestrzegaj więc reguł, bo dopadnę cię przekleństwem na każdej odległości – zaśmiałem się dziko.

Lord Duncan obserwował naszą rozmowę z dystansu. Wcale nie uśmiechała mu się moja władza. Wywnioskowałem to z jego zatroskanej miny.

– Na jakie lokalizacje mam nastawić kursy? – spytał już całkiem przytomnie Hindus, widząc obok siebie pana Bizzarda.

– Posiadam opracowanie ostatniego położenia kapitańskiego okrętu. Mogę w każdej chwili przedstawić kwity nawigacyjne. Wiem również, jak otwiera się włazy do komór więziennych – dorzucił lord, nic nie wspominając o niepozornej rybie ukrytej w stajni ostroboka.

– Daję jedną szansę na tysiąc, że wam się uda – podsumował Reynash. – Nawet jeśli jest pośród was mentor tej klasy – dodał, skinieniem głowy wskazując moją osobę.

– I jedna na milion nam wystarczy, panie Reynash – zauważyłem.

Lord całkiem jawnie otworzył otrzymaną od admiralicji kopertę. Potargał skradziony rozkaz o naszym pojmaniu i straceniu. Następnie, studiując głośno pozostałe dokumenty, odnalazł bieżące numery lokalizacyjne i naprowadził „Morrlitusa” na nowy kurs.

Tymczasem my z Abelią kompletowaliśmy sprzęt potrzebny do prawdopodobnego starcia ze służbami więziennymi. Poddając inwentaryzacji dostępną w składziku podpokładowym broń, dużo rozmawialiśmy. Panna wciąż zachwalała moje możliwości hydromagiczne. Rozpamiętywała też ranę, jaką zadałem braminowi. Ostrzegała mnie przed zapomnieniem się i nadmiarem arogancji, do której, jak twierdziła, byłem skory od urodzenia. Wtedy ja ripostowałem i zgodnie z sumieniem obiecywałem opanowanie. Wielokrotnie powracaliśmy do analizowania ustalonego planu.

Dochodziliśmy do całkiem interesujących konkluzji i oboje w całej zaplanowanej w najdrobniejszych szczegółach operacji natrafiliśmy na kardynalny problem.

Zaraz też z naszymi rozterkami pomknęliśmy do szefa.

Pan Duncan siedział rozparty na mosiężnym parapecie okna i obserwował przesuwany się w dole krajobraz. Sam zauważyłem, że nieco się rozwidniło.

– Reynash, nie można szybciej?! – zakrzyknąłem do Hindusa, mierząc się z jego wrogim spojrzeniem.

– To zaledwie łódź, a nie statek transatlantycki – odparł zapytany, widocznie coraz bardziej znużony i rozsierdzony skierowanym na siebie wzrokiem. Zhardział widać po czasie i już raczej podejrzewał mnie o przesmarowanie dłoni nieznaną mu maścią niż o mentorskie uroki. – Nie była bynajmniej zaprojektowana do wyścigów.

Bizzard kiwnął ze zrozumieniem. Spojrzał na nas i w mig odgadł treść naszej wątpliwości.

– Zapoznawszy się ze szczegółami rozkazu, dochodzę do wniosku, że wszystko odbędzie się jednocześnie – uznał za stosowne podzielić się za nami. – Moment dotarcia naszej ślamazarnej łodzi zbiegnie się z czasem upadku pierwszej bomby.

– Zaraz – zorientował się Hindus. – Czy wy wszyscy poszaleliście? W co mnie pakujecie? Przepraszam, ale z całym szacunkiem, dlaczego uważacie mnie za głupka, który z własnej nieprzymuszonej woli podda się nalotom bombowym?

– Przecież sprzyja pan rządowi drugiej kolonii, czyż nie tak? Spotkał pan tam dawnych przyjaciół. – Widząc, że Reynash wciąż nie rozumie, lord dodał: – Te wszystkie rodziny sikhów i wspólnoty plemienne liczące miliony członków stanowiły gwarancję pańskiego niezaangażowania. Wobec czego decydenci uznali, że nie należy się panu żadna obstawa. A to chyba o czymś świadczy?

– A więc sądzi pan, że będę działał na waszą szkodę? Czyż nie tak?

– Tak właśnie myślę.

– Dlatego pan De Waay usiłuje mnie swymi szeptami zabić?

– A mamy jakieś inne wyjście?

– Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji? Przecież w tej misji wszyscy zginiecie. Nawet jeśli komuś z was uda się przeżyć, nigdy nie zazna spokoju. Dokąd chcecie uciekać?

– Na Ziemię.

– Na Ziemię? Przecież niemożliwością jest już dostanie się na tę planetę drogą morską.

– Jest jeszcze druga.

Tutaj pan Bizzard powstał z parapetu i w krótkich słowach wyjaśnił Hindusowi naszą bieżącą sytuację. Ten kiwał w zrozumieniu głową. Sam się zdziwiłem, jak wiele mój przyjaciel dowiedział się od zwykłej kopertowej ryby.

– Czyli twierdzi pan, że rząd drugiej kolonii nie zamierzał poinformować nikogo o miejscu przebywania profesora Moliera? – zapytał na koniec sternik.

– Tak twierdzą – przyznał lord.

– Celowo nas oszukali? – pytał tamten.

– No, nareszcie zaczyna pan myśleć – przyznał z ulgą lord Duncan. – Co więcej, wiedząc o bytności profesora Ocearusa na Ganimedzie, rząd pańskich mocodawców wydał rozporządzenie o intensywnym bombardowaniu starożytnego miasta, w którym się dobrodziej nie z własnej woli znalazł. Oto jakiej doczekał się wdzięczności naukowiec, którego brat zainicjował podbój międzyplanetarny.

– A czy tam, w stolicy, usunęliście wszystkich szpiegów? – zreflektował się Reynash.

– Powiedzmy, że zatłukliśmy jednego. Dwaj inni pozostali z Linfeldem.

– I żyją?

– Prawdopodobnie tak.

Reynash zdawał się być poważnie przestraszony.

– A więc uczyniliście mnie współnikiem zbrodni i przedmiotem zemsty, bo ten rosyjski szpieg wie, do której rampy przycumowałem.

– No, raczej tak – uśmiechnął się pan Duncan. – Musi się pan szybko opowiedzieć, po której jesteś stronie.

– Bo Linfeld przyjdzie tu zapytać o to samo?

– Chyba nie chciałby go pan tu widzieć.

– Istotnie, chyba nie. No więc dobrze, jak chcecie odnaleźć pana Moliera, skoro nie posiadacie bliższych informacji o miejscu uwięzienia dobrodzieja?

Lord wskazał na wejście do stajni i niesiedzącego bynajmniej w beznadziejnej samotności ostroboka. Towarzyszyła mu piękna ryba kopertowa.

– Oni nas zaprowadzą.

– Pokazali mi ów sposób rozświetlenia mroków biegli w kryształach robotnicy dołowi odpowiedzialni za prace murarskie w otworach Necrolotum i kanałach biegnących ku destynacjom Europy i Io. Byłem zdumiony, jak wielką potencję mogą wykazywać jednostki poddane edukacji – zachwalał nieustannie Reynash. Mimo okazywanej szczerości uśmiechał się fałszywie. – Genialna ta substancja, podobna do bardzo gęstego smalcu, wprowadzona na język i podniebienie potrafi sięgnąć kontrolowanym snopem blasku do dziesięciu metrów, a gdy dopisze organom wysokie krążenie krwi – nawet metrów pięćdziesięciu. Nic dziwnego, że najzdolniejszych z nich zatrudniono w dozorze i kontroli. Dla was, mili państwo, będzie to wielka podpora w nurkowaniu ku światom ziemskim, gdy przyjdzie czas na przedzieranie się poprzez szczeliny i bagna oceaniczne – zakończył.

Ani myślałem mu wierzyć. Mimo to sięgnąłem po portfel. Człowiek ten od pewnego czasu budził moje współczucie, gdy obserwowałem postępy zainicjowanej w nim przeze mnie choroby.

A co jeśli on zemścił się na mnie? Jeśli była w naparstkach umieszczona trucizna - lub coś gorszego - co mogłoby transformować człowieka zupełnie w rybę, taką pływającą ślizgiem zamiast węzowym ruchem? Widać coś w tym było, bo Hindus nie posiadał się z radości, gdy ów tajemniczy prezent przyjąłem i zryczałtowaną cenę zapłaciłem. Chowając naparstki próbek po kieszeniach gumowego surduta, ani myślałem ich używać.

Spoglądałem na sternika, jak się skupia i wypływa energicznie, odpychając się od mebli, i wraca do swojej pracy. Wypuszczał na każdym kroku jakieś dziko wirujące, wcale nie okrągłe, karłowate bąble powietrza lub innego gazu. Były to charakterystyczne symptomy dotknięcia wewnętrzną zarazą gnilną.

Łodzią targnęły nagłe wstrząsy. Zrazu pomyślałem o ostrzale lub ostrych podwodnych rafach, jednak wytłumaczenie okazało się banalne. Wpadliśmy w skomplikowane wodne turbulencje. Wytrawny sternik poprawił wirniki. Zeszliśmy z prędkości o całe siedem węzłów, ale dalej trzęsło. Tylko człowiek naprawdę biegły w sterach mógł wyprowadzić nas na stałe prądy. Temu pan Bizzard poświęcił życie, więc migiem wspomógł kopciucha.

W dwa dni później „Morrlitius” wszedł w jeszcze mroczniejsze, smołowate wody rozdzielającego akweny przesmyku oceanicznego. Prądy były tu wzburzone, związane z porami roku wiry przetransportowały nas dość gwałtownie do całkowicie dziewiczych obszarów, tam gdzie przed światem skrywało oblicze miasto starożytnych Atlantów.

Już z daleka ujrzeliśmy zgromadzone w zenicie wojenne sterowce. Niektóre mniejsze podwodne balony przemykały z chyżością, której nie powstydzilyby się ich odpowiednik z floty powietrznej. Były ich setki, jeśli nie tysiące. Podeszliśmy całkiem blisko. Ryzykowaliśmy, że w całym tym zamieszaniu „Morrlitius” może być zauważony i rozpoznany. Ale pomimo całej mej determinacji miałem poważne wątpliwości, czy aby cały nasz pisany w pośpiechu plan wypali. Widziałem w bocznym iluminatorze idącą żwawo rybią szkółkę. Poważnie wątpiłem, czy przewodnik stadka zna się na rzeczy. Rybom kopertowym dać się wodzić za nos bym nie pozwolił.

W ostatniej chwili lord się popisał.

Kazał mi z Abelią w mundury wojskowe się przebrać. Okazał glejty, fałszywe nakazy uwolnienia i papiery moje własne, które miałem w odpowiednim czasie przekazać więziennej straży. Rozrysował plany i obliczył czas każdej z grubsza opisanej operacji.

Szelma z właściwą sobie flegmą przyznał, iż oś pomysłu stanowi moja i Abellii osoba. Ostrobok, o poślednim znaczeniu w jego planie, miał nas doprowadzić możliwie blisko miejsca uwięzienia profesora, ale to nasza dwójka odegra tam wiodącą rolę. Byliśmy odpowiedzialni za wszystko: planowanie, osaczenie, a nawet, jeśli się to okaże konieczne, dokonane w dobrej wierze morderstwa, by na koniec w odpowiednim momencie ocalić profesorskie życie. „Coś podobnego! – myślałem oburzony. – Skąd dobrodziej takie pokładał w nas nadzieje? Gdzie szukał w nas fizycznych sił i sprytu? Czyżbyśmy oboje z wyglądu uchodzili za siłaczy?”

Usiedliśmy na stronie i poczęliśmy się naradzać.

– To całkowicie niemożliwe zadanie – zwierzyłem się dziewczynie. – Przecież nigdy nie występowaliśmy w żadnej spółce kryminalnej.

– Czytaliśmy różne awanturnicze historie – rezonowała dziewczyna, to mocno zaczerwieniona, to blada. – Rozmawialiśmy o tysiącu podobnych spraw. Sam opowiadałeś mi swe przygody, z których cudem tylko wychodziłeś cało. Ja to co innego. Tyle tylko wiem o siłowych rozwiązaniach, co słyszałam.

– Złożyć los własny na szali, to nie to samo, co ryzykować nieszczęście nas dwojga – zareagowałem, coraz bardziej zagubiony.

– A czy zdarza się to pierwszy raz?

– Tylko że tym razem przecucia mam okropne.

Wzruszyła na to ramionami. Podejrzywałem lorda, że widząc mnie takim ciapowatym, na siłę pragnął poprawić moje morale i z tych a nie innych powodów wzięła się ta wysoko płatna lekcja mentora. Wszystko już z góry ustalił, szelma zdradziecka.

- Wybacz, Abelio, ale chyba powiem panu Duncanowi, żeby wymyślił coś innego.
- Uspokój się, Jack – bulgotała. – Wykaż trochę wiary w siebie. Nie pierwszy raz nasze życie wisi na włosku. Damy radę – pocieszała.

Tymczasem lord Bizzard, jako że znał się na obsłudze łodzi, miał w czasie naszej eskapady dozorować coraz dziwniej się zachowującego Reynasha. Planował go uśpić ziołami wmieszanymi w otoczenie lub, gdy i to nie przyniesie skutku, kropnąć na miejscu. Kiedyśmy panu Duncanowi oznajmili, że rezygnujemy, kompletnie się załamał. Mówił, że owszem, plan zawiera nazbyt dużo niejasności i natłok improwizacji. Usprawiedliwiał się, twierdząc, że trudno mu było cokolwiek wymyślić zgrabniejszego, że się postara i rzecz całą na nowo ułoży. Słuchałem go, ale i tak twierdziłem, że aby jakikolwiek plan miał się udać, potrzeba więcej niż szczęścia.

I tak los przyszedł nam z pomocą.

Flota drugiej kolonii rozpoczęła zmasowane bombardowanie. Bomby przysły znikąd. Takiego obrotu sprawy nie spodziewali się okupujący strategiczne pozycje żołnierze Von Settlera. Czym prędzej zmykali do zacumowanych okrętów, pozostawiając miasto swojemu losowi.

Najeźdźcy nie wykazali najmniejszego zawahania. Jakby z góry skazali nieprzeciętnej wartości zabytki na zagładę. Widać było, że robili to z czystej nienawiści. Należeli przecież do gatunku wytresowanych ryb bombardujących. Ogromna płyta miasta trzeszczała pod naporem wybuchających pocisków. Coraz głębiej sięgały pęknięcia. Sejsmiczny ciąg wstrząsów fala za falą ogarniał sfatygowaną konstrukcję.

Wkrótce załamała się niczym most pod regularnym krokiem maszerujących. Wszystko to obserwowaliśmy, zbliżając się do sceny wydarzeń wraz z pędzącym ostrobokiem. Bestia nakazała nam trzymać się płetw brzusznych i możliwie harmonijnie z nimi współpracować. Byłem pewny, jak i on, że idziemy na rzeź, ale cóż zrobić? Ile razy mogłem się przed dumnym arystokratą wycofywać z raz danego słowa? Jak reagować przed obliczem damy, która widziała we mnie tylko zalety? Czyż nie lepsza była bohaterska śmierć niż gnuśnienie w jakiejś zgniłej podwodnej norze?

Wzburzona zewsząd woda ogarniała nas swoją gorączką, a lądujące w przypadkowych miejscach pociski nie przestawały wybuchać.

W tym całym zamieszaniu Iurgee odnalazł ostatni potężny okręt, który leniwie szykował się do odbicia, ześlizgując się z wąskiej żeliwnej redy. Podobny do wydłużonego cygara, wciągał wyrzucone na potężnych łańcuchach kotwiczne kule.

Zwierzak nie posiadał się z radości. Nie miał wątpliwości, że to tam przebywa profesor.

Kopertowa ryba ni stąd ni z owąd wysforowała się na prowadzenie. Nikt jej tu nie zapraszał.



Ogarnęła nas czarna rozpacz.

Albo zbyt wolno płynęliśmy, albo to statek, podkręciwszy solidnie obroty, z rąk nam się wymykał. Był tuż, tuż, aż tu nagle wielkie, pracujące na szczycie konstrukcji śruby jak nie brzękną, jak się rozwirują! Poderwały molocha naraz do góry. Spowodowały, że w tym ostrym wznoszeniu coraz szybciej się oddalał. Nie nadążaliśmy. Ręce nam opadły bezradnie. Już gubił się nasz okręt w mroku, już byłem pewny, że bezpowrotnie straciliśmy na nim wszystko, gdy oto potężna podpora pałacu ludowego wyrzucona z impetem wybuchu, wierzgnąwszy dziko, uderzyła w stalową burtę uciekiniera.

Znów wszystko wydawało się stracone, bo gigant pękł w tym miejscu i zadygotał na całej długości. Woda zaroła się od uciekających z pokładu marynarzy. Każdy z nich z obawą mierzył się z otaczającym go mrokiem, bowiem przestrzeń opuszczoną przez pojazdy przejmowały najgorsze drapieżniki.

Ostrobok ofiarnie skoczył do przodu.

Wysadził nas przy samych pękających blachach.

Napotykalismy zdziwienie na mijanych twarzach.

„Jak kto? Czy ktoś tu oszalał, pakując się do wrzących trzewi statku?” – pytali.

Mijaliśmy rozgorączkowanych strażników. Próbowano nas wzywać do pomocy przy wnoszeniu rannych, ale nie reagowaliśmy. Woleliśmy trzymać się z dala od oficerów, a już na pewno od szalejącego przy szalupach kapitana Von Settlera.

Tylko jedna kajuta pozostała zamknięta na cztery spusty.

I tylko obok niej sterczało grono panikujących, oczekujących ostatniego rozkazu mentorów.

Kazałem Abeli wycelować z broni palnej i mnie ubezpieczać.

Sam podpłynąłem.

Nawet na mnie nie spojrzali. W świetle wydzielanym przez ściany wyglądały jeszcze bardziej upiornie i zarazem biednie. Dziwiłem się, że za towarzystwo wybrały sobie ludzi.

Zauważyłem nagle ich zaszuchanie.

Jakby mój podświadomy umysł korelował ich jaźnie bez mojej wiedzy.

Tętnienie krwi niosło uspokojenie.

Rytm hipnozę.

Wzbudziłem pomiędzy nami prądy najostrzejsze, których ostrzami uderzyłem w stal broniącą dostępu do więźnia. Celowałem w drzwi, a trafiałem w ścianę podwójnie grubą, którą struga wodna cięła bez obróbki cieplnej. Nie musiałem ich straszyć, bo sami wiedzieli, iż drgnięcie jakiegokolwiek spowoduje nakierowanie strumienia na inne,

blizsze cele. Poruszałem dłonią zupełnie spokojnie, a jednak wzbudziłem zakłócenia, i przysły wokół lodowe perły.

Istoty cofnęły się wtedy niezgrabnie, jeszcze bardziej bierne niż przedtem.

– Zgnij, gnij, niszczej – szeptałem w ich stronę, aż z przerażenia się pochowały.

Jakież było moje i Abellii wzruszenie, gdy mogliśmy staruszka Moliera zobaczyć i odholować ku rozdartym partiom poszycia. Tylko tamtędy prowadziła droga ku wolności w otaczających nas wodach. Oczekujący przy burcie ostrobok już wziął się za naszą jak najszybszą ewakuację. Wręcz wyssał nas i pognął przed siebie z szybkością dla jego gatunku bez precedensu. Zapewne obawiał się trwających w ukryciu woźniczych lub w nieładzie porzuconych piekielnych, drapieźnych ryb, które porwały i rozszarpały biedną, towarzyszącą nam kopertówkę.

Miasto w dole gorzało.

Potężne, popękane fragmenty wolno zapadały się ku wiecznie rozedrganym od wewnętrznych ciśnień dennym mułom. Jeszcze chwila, a niektóre z dzielnic, niby niepozorne maleństwa, zalały nieskończone błota, w których prędzej trucizny można było się spodziewać niż dna.

Podebrał nas pan Bizzard na „Morrlitiusie”.

Zdolny ten człowiek migiem nas wprowadził na pokład i nie czekając, aż przywrócimy ciałom równowagę, rozkazał na pełnej mocy popłynąć w dół, z powrotem ku bazaltowym podstawom murów granicznych.

Przyznam, że w pierwszej chwili zdębiałem.

„Jak to, chwilę przedtem ledwo uszliśmy z życiem, a już pakowani jesteśmy w nowe bagno?”

Ale zrozumiałem jego tok myślenia zaledwie po kwadransie błądzenia podwodnej łodzi. Oto gdy „Morrlitius” zaledwie przysiadł i poddał inspekcji zalewane błotem place i uliczki, spoza świątynnych bazaltów doleciało światło.

Błysk zaledwie.

Lord Duncan nie zawahał się nawet na sekundę. Wprowadził pojazd ponad jeden z placów. Zrzucił obciążniki, zacumował do powierzchni i chociaż bombardowanie w oddali jeszcze trwało, kazał nam zbierać narzędzia i wypływać.

– Co pan robi? – zaniepokoił się dochodzący do siebie profesor.

– Za wszelką cenę pragnę uwolnić jedną z tych butli, by wskazała tym państwu drogę do domu.

Ocearus spojrział na nas z zagadkową miną. Widać ubolewał nad naszym wyborem.

– A więc wszystko tylko po to? – spytał z bolesnym uśmiechem. – Jesteście zawiedzeni?

– Nie potrafimy zaakceptować zmian biologicznych, sir – tłumaczyłem.

– Wszystko to przecież bywa przejściowe.

– Ale przyzna pan, że istnieją przypadki metamorfozy nieuleczalne. Z gąsienicy ludzkiej wypełza nieznaną formą, niekoniecznie podobną do motyla.

– Zawsze istnieje ryzyko.

– Pragniemy go uniknąć za wszelką cenę. Planuję stworzenie z moją narzeczoną rodziny pełnej ludzkich potomków. Nie mógłbym znieść obecności węzowych niań lub zwyrodniałych ludzkich hoistów zamiast dzieci. Poza tym oboje tęsknimy za powietrzem, za naszymi pocałunkami, za wilgotnymi ustami i zdrową pełnią naszych ciał.

Zapanowało milczenie, w którym słyszałem bicie własnego serca.

Rozjaśniłem panującą pomiędzy nami ciężką atmosferę odrobiną rozpuszczonej fonicznej soli. Nikt tu jednak nie dbał o jakość odbioru. Słowa - myśli pomimo swej nietrwałości grzmiały i powodowały podobny do echa dyskomfort.

– Poza tym nie potrafię przejść do porządku dziennego nad notorycznym pędem do zniszczenia. Nie rozumiem, dlaczego ktoś pozbywa się naszego dziedzictwa cywilizacyjnego. Skąd tyle nienawiści pośród kolonistów? Jak można tak lekką ręką marnować ludzkie zasoby? Być może utracimy jedyną szansę na zagospodarowanie tych wszystkich światów! Być może ofiara z pięćdziesięciu milionów ludzi pójdzie na marne. Pyta pan, czy chcę to oglądać? Nie. Wolę wrócić na Ziemię, gdzie panuje pokój, a może wkrótce i dobrobyt – mówiłem.

Stojący z boku, milczący Reynash wydał się w tym momencie aż nienaturalnie czarny. Cierpiał biedak katusze. Wyglądało na to, że zaszczepiona mu tak lekkomyślnie choroba robiła potworne spustoszenia.

– Czyżby rząd Drugiej Kolonii zapragnął pogrzebać mnie wraz z resztkami atlantydzkiej cywilizacji? – zapytał profesor. – Jak najbardziej praktyczne rozwiązanie.

– I dodał po chwili: – Prawda to, Reynash?

Hindus ze zmieszania nie potrafił wykrztusić słowa.

– Panie De Waay, nie mamy chwili do stracenia – wtrącił niecierpliwie lord Duncan.

– Niech ci dwaj pomiędzy sobą rozsądzą sprawę, a my czym prędzej udajmy się na tonącą platformę placu. Niech tylko ostrobok nam towarzyszy. Panna dla bezpieczeństwa niech pozostanie przy wciągarce. Ci dwaj w samotności gotowi jeszcze skoczyć sobie do gardeł – dodał, gdy zauważył że i panna Abelia się do wyjścia szykuje.

Wypuściliśmy się na szalejące prądy w ostatniej chwili. Od zamulenia w dole nadchodziły tak dzikie chmury, że niemal wątpiliśmy w powodzenie misji, bo szły niby żywe. A w zamieci ogólnej dostrzegaliśmy tu i ówdzie błyski srebrnej łuski. Niewątpliwym to był znak wmieszania się w żywioły bytów złośliwych, łasych na łatwy mięsny łup, drapieźników w rodzaju skuloi i pagmai.

Postanowiłem trzymać się płetwy brzusznej Iurgee'ego i nie opuszczać jego wirującego strumienia wodnego ani na chwilę. Lord również stronił od czarnych,

idących po skosach ścieków. W mroku mało co widzieliśmy.

– De Waay musi się bardzo śpieszyć – coś perswadowała w myśli ryba. – Czuję nadchodzącą zapaść. Wnęka się pod nami szykuje.

Nie miałem czasu analizować jej sensoryjnej percepcji, bo wydarzenia następowały szybko jedno po drugim.

Zeszliśmy już dobre siedemdziesiąt metrów w dół, gdy pan Molier widać oprzytomniał i kontrolując z przyzwyczajenia wszystko z pulpitu przy oknie, uwolnił obciążniki i posunął się zaraz za nami. Grzmotnęły w ziemię haki i zaczepiły się nawiernice, silne niby kotwice. Nie wiem czemu, ale czując nad sobą żeliwny ciężar „Morrlitusa”, poczułem się raźniej.

Łypnął ostrym światłem fosforowy reflektor.

Snop poszedł po bruku.

Rozejrzeliśmy się wokół. Zniszczenia były potworne. Punkty, gdzie ongiś ustawiono automaton, skruszałe ziały pustką. Pewnie poluźnione butle porwały już prądy albo same pognały ku nieznanym celom.

Zrezygnowany opuściłem ręce. Patrzyłem za płynącym Duncanem. Nie przestawał szukać. Arystokrata z racji płynącej w jego żyłach szlachetnej krwi posiadał niewyczerpane zasoby upor.

Ledwie za nim nadążałem. Przemykaliśmy przez spacerowe balkony, zaglądaliśmy w dół z widokowych platform, szukaliśmy na oślep w podpiwniczeniach. I nic. Tylko zewsząd zbliżała się złowroga pomroka.

Snop reflektora wciąż nam towarzyszył.

Wymykał się czasami i przeszukiwał.

Wracał i oświetlał drogę.

Nagle pan Bizzard, idąc jego tropem, wskazał stojący w rzędzie skruszałych butli przewodnich ocalały automaton. Obok sterczał drugi, w prawie nienaruszonym stanie. Oba tkwiły w zdrowej, niewzruszonej ramie wyrzutni startowej. Potrzeba nam było kluczy, by poluźnić wszystkie krępujące je śruby. Duncan rzucił na ziemię dotąd schowany portfel z narzędziami. Szybką mową znaków kazał mi brać się do pracy.

Nawet nie odkręciliśmy jednej nakrętki, gdy pociemniało. Z trudem oddychałem w gęstniejącym ośrodku wzburzonych mułów. Czułem, iż wraz z platformą tego przekłętego miasta zapadamy się w mazi bez końca. Ostrobok pojawił się w pobliżu, cały rozświetlony groźną luminescencją. Ostrzegał i napominał. Mówił, że czas zawracać. Szarpnąłem wiszącego niedaleko w wodzie Duncana za ramię. Na chwilę zaciemniała jego twarz. Dziwnie rozbłysły oczy. Spojrzał na mnie przelotnie. Ale tyle było w jego wzroku rozpaczy, pośpiechu i oddania, że dałem spokój.

Szybciej odkręcałem i na oślep podważałem luźne już części.

Wtem ujrzałem spuszczoną z „Morrlitusa” stalową linę. Toczyła po bruku niewielki hak. W lot pojąłem profesorski zamysł. Pociągnąłem ją kilkakrotnie, dając znak, by jeszcze trochę popuścić tam w górze z kołowrotu. Odsunąłem Bizzarda i przewiązałem butlę w górę. Silnym pociągnięciem zakomunikowałem tym w górze, by spróbowali unieść ciężar.

Szło opornie. Lina trzeszczała. Unosiły się z niej chmury rdzy i strzępiły się kawałki drucianego włókna, ale czułem, że da radę. Raptem coś trzasnęło.

– Tam do licha? – zakląłem.

Tylko górna połowa butli morskiej, rozerwanej tym upiornym ciągnięciem, poszybowała ku pokładowi. Reszta rozsypała się na kawałki i trysła starym olejem. Spojrzeliśmy z lordem po sobie.

Nie tak wyobrażaliśmy sobie demontaż.

Czekaliśmy na powrót haka, gdy tymczasem z ciemności ponad nami spłynęła w dół rozjaśniona blaskiem fotoforów sylwetka.

– Profesor Ocearus – szepnąłem. Miał dobrodziej gumowy surdut obsyty pięknym blaskiem. Guziki w nim błyszczały niczym przydymione żarówki. Prócz tego buty z dziwną podeszwą i pasujący do całości melonik z lupą na wysięgniku. Widać przygotowany był do pracy.

Mężczyzna w mętym świetle wydawał się roślejszy, niż był w rzeczywistości. Płynąc niemal bez wysiłku, błyskawicznie dotarł do innego nieoznaczonego automatonu.

Wszystkie one ustawione były w kluczu, w który widać tylko profesor miał wgląd. Uczony pochylił się, odkurzył co nieco miotłą pole skomplikowanego zapięcia i używając swoich prywatnych, podręcznych narzędzi, skoncentrował się na demontażu mechanizmu blokującego. Szło mu nieźle. Obok uzbierał się niezły kopczyk części. Kazał nam to wszystko zgarnąć do przyniesionych worków, a co nie weszło, upchać po kieszeniach.

Tymczasem wokół jeszcze bardziej zgęstniał mrok. Od sąsiadującej ulicy nadpłynęła pierwsza błotna fala. Podchodziła coraz bliżej jak żywa, gdy profesor z okrzykiem radości, bo on tu był triumfotorem, uwolnił jedną z maszyn. Z trudem wyłączył w niej pracujące wirniki, ale ta zaraz wyrwała się do rejsu. Gdyby nie szybki refleks naszego geniusza, niechybnie zaginęłaby w ciągnącym zewsząd mule. Stary wyłączył biegi i gdy automaton zaczął opadać ku powierzchni, wspólnym wysiłkiem pociągnęliśmy go w górę. Jednak cała nasza trójka męska nie dawała rady. Dopiero idący w sukurs ostrobok Iurgee wzbudził silny wir, wsysając nas wespół z machinerium do kokonu swojego pędu. Wydostaliśmy się na czyste wody. Niebawem już targaliśmy mechaniczną niemotę na próg „Morrlitusa”.

Tym razem wspomogłem wspólne wysiłki własną hydromagią.

– Odnajdując dobrodzieja na dole idącego z pomocą, nie wierzyłem własnym oczom – mówił radosnym i pełnym podziwu tonem lord Bizzard. – Pozostawić stery w rękach łotra? Znow ufa pan słudze? Mniemam, że doszłicie do owocnych konkluzji.

– Niestety, musiałem stery przewiązać sznurem na kilka nieznanym mu supełów – roześmiał się pan Ocearus. – Uparciuch z niego straszny. Od tego nadmiaru minerałów chodzi chyba na chemicznym głodzie. Poza tym nie wiem, czy zauważyliście, ale jest poważnie chory.

Obaj z lordem się zmieszaliśmy.

– A więc problem jest bardziej złożony?

– Nie wiem, czym go ostatnio karmiono, ale mniemam, iż korzystał z marnej diety robotniczej, którą zwykle mieszano z uzdatniaczami uległości i posłuszeństwa względem lokalnych polityków – rzucił pan Duncan, nic sobie nie robiąc z moich wyrzutów i odczuwanego wstydu. – Nie zdziwię się, jeśli swego kalectwa już się nie pozbędzie, a nam przyjdzie mieć się na baczności.

– Słyszałem, że te butle, z postumentem zespolone tylko słownym rozkazem, są możliwe do ruszenia – nadmieniał, dalej umykając od odpowiedzialności, bo mnie, tak jak i arystokracie, nie za bardzo zależało na losie sprzedawczyka.

– Dobrze pan słyszałeś, panie De Waay. Posiadam jednak minerały foniczne w sygnecie pozostawionym mi przez brata Immanuela, które określony układ słowny implementują w pobliże sensorów uwalniających. Pierścienia nie odnalazł nawet węszący wokół Von Settler, bo tkwi on na samej kości, pod skórą, na wskazującym palcu. – Tu mi pokazał pokraczny wyrostek. – Każdy z was może ujrzeć zgrubienie, lecz nie domyśli się pod nim istnienia klejnotu. Szczerze mówiąc, nic nie rozumiem z mamrotania diamentowego oka. Sekwencje te są nie do powtórzenia.

– Jak dostał się pan do minerału?

– No cóż, w całym tym galopie zdecydowałem się na delikatne nacięcie skóry.

– Niebawem. Jest więc pan naprawdę jedyną osobą na księżycu, która potrafi nam pomóc.

– Jeszcze nie zdecydowałem się na pomoc – zastrzegł profesor. – Gra idzie o bardzo wysoką stawkę. Jeśli trzeba, to nie tylko poświęcę dla sprawy własne życie, ale i wasze – ostrzegł.

– A więc o co chodzi?

– Jeśli mój Reynash stał się szpiegiem i służy rządów Drugiej Kolonii, to również wy wszyscy z powodzeniem mogliście dać się omotać przebywającemu z wami Linfeldowi.

Mógł was zwyczajnie napromieniować niewidzialnymi dla ludzkiego oka luminoforami. Takie będą widoczne przez lunetę z odległości kilku mil morskich.

– No wie pan! Skąd u pana takie przypuszczenie? Nawet nie pozwoliliśmy mu się do nas zbliżyć – zapewniłem.

– Ale obok łotra pan często siedziałeś, zgaduję?

– No zdarzało mi się. Prowadził ciekawe syntezы.

– A, no proszę – stwierdził przekonany do swego Ocearus. – Widzicie państwo, przyzwyczajeni do nieco innych praw rządzących rzeczywistością lądową, nie zdajemy sobie sprawy z delikatności równowagi otaczającego nas środowiska wodnego, a zapewniam was, że z łatwością można w nim zamieszać substancje prowadzące do rozpadu osobowości lub do totalnego szaleństwa. To Linfeld mógł was doprowadzić do owego stanu niezmożonej tęsknoty za światem ziemskim. To on mógł spowodować przyspieszenie lub niemal zdriczenie procesów waszej podwodnej metamorfozy. Te wszystkie krosty i dzikie odrosty skrzeli są wręcz chorobliwe.

– Uważa pan, że pozbawił nas też woli?

– Raczej będę się bacznie przyglądał, czy ktoś nie podąża naszym tropem. Mam tu na myśli maleńkie ryby kopertowe idące na programie zegarowym założonego w fałdę ciała pręta zadaniowego.

Wtem wszyscy jak na komendę spojrzeliśmy za siebie. Ryba pana Bizzarda zastygła przerażona. Tylko pan Ocearus mógł poszczycić się właściwym refleksem. Z wprawą ją pochwyił, przekręcił tułów i przełamał. Wyciągnął z żyjątką migoczący wojskowy blok magnetyczny o przekroju prostokąta. Dziw brał, że po tym wszystkim jeszcze żyła.

Postanowiliśmy jak najspieszniej oddalić się od bombardowanego miasta i zająć się szczegółowym badaniem zdobycznych mechanizmów. Na pierwszy ogień poszła oderwana połówka automatonu. Wyizolowane komponenty, wydobyte z czaszy górnej, leżały na stole sprawnie posegregowane. Naukowiec, biorąc do ręki każdy z osobna element, cierpliwie wyjaśniał nam jego przeznaczenie. Pochyleni, obserwowaliśmy wnętrze maszyny i sprawiała nam niemały kłopot różnorodność użytych technologii. Na pewno u źródła wyrosły one na bazie różnych kultur galaktycznych. Zwykle bowiem charakteryzował się rozwój techniczny ślepym przywiązaniem do narzuconych standardów. Podobnie jak myśl ludzka nie błędziła po wszelkich możliwych meandrach potencjalnych rozwiązań, tak wyrosła na klepisku tradycji cywilizacja obcych trzymała się liniowej formy rozwoju. Skąd w takim razie brało się takie mechaniczne zamieszanie? Było tego stanowczo za dużo. Zbyt polegano tutaj na rozziwie i chyba tylko przypadkowej zbieżności. Elektrotechnika i mechanika szły w parze z działami fizyki, o których nikt z nas nie miał zielonego pojęcia, a które zdawały się być mgliste teoretycznie nawet naszemu znamienitemu profesorowi. Nie zadał sobie jednak trudu, aby ukryć swoją niewiedzę lub próbować przybliżyć się do prawdy. Najpewniej uznał stan niewiedzy słuchaczy bezpiecznym dla siebie i swojej misji.

– Oto wirująca głowica. Posiada ona mechanizm sondujący wartości pola grawitacyjnego. Z łatwością więc odnajduje określone parametry w katalogu destynacji masy planetarnej. Wystarczy znać dokładną średnicę, a machinerium wykreśli zaraz kilkunastu kandydatów wraz z towarzyszącymi im słońcami.

– Toż to technologie, które nam, ludziom, nigdy nie będą dostępne – wątpię.

– I tu się pan mylisz. Społeczeństwa, którymi ja zawiaduję, zostaną tak wyedukowane, że pęd do pogłębienia wiedzy i rozwoju technologii nigdy tu nie przygaśnie.

– Dlaczego wobec tego rząd Drugiej Kolonii zdecydował się zniszczyć miasto, które mogło stać się kamieniem węgielnym na drodze postępu?

– Dlatego, że gdzieś w głębinach ukrytych oceanów mieści się cały potężny skład owych miast, ba – kontynent, na którym w podobnym do mechanizmu fantomowej wyspy zaworze podróżowali od milionów lat Atlantowie. To oni stali się zaczątkiem naszej ludzkiej cywilizacji. Od dwustu czterdziestu tysięcy lat władali naszą planetą. Mieszane społeczeństwo – bo utrzymywali stosunki z ziemskimi kobietami – wydało ośmiu królów i miliony szlachetnej krwi potomków. To oni stoją za naszą wrodzoną dżentelmeńską etykietą, erudycją i arystokratyczną godnością, którą posiadamy w odróżnieniu od czysto ewoluujących pachołków i klasy robotniczej. Nie dość, że wyciągnęli naszych przodków z jaskiń, to jeszcze pomagali im wznosić megalityczne



budowle, miasta i kompleksy świątynne, które pierwiej były źródłem edukacji niż chmurną instytucją ofiary. Wydatnie wspierali też kultury Egiptu i Sumeru. Sięgali swym znaczącym udziałem do Ameryki Środkowej i Azji, zanim nie zdecydowali się zakończyć dzieła i zniknąć raz na zawsze z areny ziemskiej.

– Podróżując w kosmos na litosferycznej płycie całego kontynentu?

– Właśnie tak. I dysponuję dowodami, iż całkiem sprawnie wciąż funkcjonują jako lokalna cywilizacja w jednym z oceanów Ganimedesa.

– Czy to ta pradawna rasa ma na koncie konstrukcję wszechświatowego mechanizmu Necrolotum?

– Z całą pewnością nie. Otóż gdyby się pan dokładniej zastanowił nad problemem pochodzenia procesu biologicznego, natychmiast doszedłby pan do konkluzji, iż doskonale wyskalowanie stałych fizycznych wspierających życie w całej jego rozciągłości posiadał wszechświat od samego swego zarania.

– Doskonale widzimy te przemiany w paleontologii – napomknęła Abelia.

– W paleontologii, mówi pani. Hm, a czymże jest paleontologia, jeśli nie zaledwie katalogowaniem zbiorów? – spytał zgryźliwie i zaraz się na dobre w temacie rozgadał.

– Wspomniałbym raczej geologię. – Tu rozsiadł się wygodnie w fotelu sternika. – Czym tak naprawdę zajmuje się geologia? Czyżby polegała wyłącznie na poszukiwaniu śladów przeszłości w złożach materii stałej? A cóż się stanie, gdy ośrodek ów nie będzie miał stałych punktów odniesienia? Fluid czy gaz nie dawałby odczytu. Kwantowość i nieoznaczoność miałyby być przeszkodą? Trzeba pamiętać, iż stan skupienia umożliwiający wszelkie życie jest jedynie tymczasowy. Ta rozbieżność charakterystyk płynów, gazów i części stałych bierze się z różnic w zachowaniu cząsteczek i atomów w określonej temperaturze, ciśnieniu i grawitacji. W geologii aktywnej planety wynajdujemy pełną różnorodność skał. Wszystkie różnią się raczej formą, a nie pochodzeniem. Biorą bowiem początek w aktywności wulkanicznej. Musimy tu pamiętać, iż u zarania historii naszego układu słonecznego sam system planetarny okazywał się być gorejącym wulkanem.

Tutaj do historii zapaliły się jego oczy. Poruszał rękoma, aż wzburzał ciec i produkował budzące grozę, wcale nie gazowe bąble.

– Wirujące krople materii pędziły po swych pierwszych orbitach. Zderzały się i stygły, a kolidując po raz wtóry, rozgrzewały się do stanu płynności lub gazu, i na powrót kamieniały. Wreszcie uformowały stały porządek, a było to cztery i pół miliarda lat temu. Uspokojone, zdążyły po orbicie, by wypełnić przeznaczenie. Na powierzchni masywnych planet, bo nie mówię tu o księżycach, było inaczej. Z uwagi na masę i zagęszczenie pozostawały one w stałym procesie formacji. W większości czasu były wulkanicznie aktywne.

– Nie wszystkie chyba – zaoponowałem.

– W większości... panie De Waay, w większości. Spotykamy więc na ich powierzchni zarówno świeże skały wulkaniczne, jak i metamorficzne lub osadowe. Zwykle aby określić ich wiek, sięgamy do naturalnej promieniotwórczości. Okres połowicznego rozpadu pierwiastka obecnego w materiale daje nam przybliżony wiek skały. Jeśli natomiast pragniemy i mamy okazję otrzymać wynik bardziej precyzyjny, sięgamy do zbiorów sedymentacji i skamieniałym organizmom B, które nie występują w osadach A, przypisujemy lokalizację w szczegółowym piętrze geologicznym.

– Co jeśli w wyniku niewyobraźalnego kataklizmu skały na planecie ulegną ponownemu przetopieniu? Jak określimy ich wiek? – zainteresowała się Abelia.

Ocearus uśmiechnął się pobłaźliwie. Okazywał w stosunku do naszej panny szczególną sympatię. Odpowiedział bardzo uprzejmie:

– Na próżno nam przyjdzie szukać wtedy wieku w gotującej się cieczy. Sięgnijemy więc w inne rejony wiedzy. Nasza nauka zaprowadzi nas na poziom analizy molekuly, a nawet głębiej, na piętro atomowe. Czy można uznać, że przedmiot jest tak stary, jak stary jest jeden z elementów jego budowy? Na przykład: średniowieczny mur powstały z antycznej cegły? Bo w przypadku skały wszystkie cegły na poziomie atomowym są starsze niż mur. Wtedy uznamy, że konstrukcja jest wiekowa niemal tak jak wszechświat. Najlepszym przykładem będzie w naszym teoretycznym doświadczeniu woda. Świeżo skroplona w postaci deszczu wydaje się być czymś nowym, natomiast tak naprawdę zmienia wyłącznie sposób własnej prezentacji. Występując w naszym środowisku, niemal równocześnie aż w trzech odmiennych stanach skupienia, jako wyjątek spośród chemicznych związków uznawana jest przez nasze jej postrzeganie za jedność. Któż kwapiłby się do wykreślenia w osadowych warstwach lodu geologicznych linii podziału? A jednak posiada swą własną historię. Gdzie w lokalizacji Słońca odnajdziemy jej najstarsze złoża? Przypuszczalnie na obrzeżach układu, zamknięte w potężnych lodowych bryłach, każda w wieku czterech i pół miliarda lat. Będzie najczystszy przykład procesu rafinacji z początkowej fazy życia planetarnego systemu. Ale powstaje pytanie, czy da się ten wynik obronić? Kiedy tak naprawdę ta magiczna dla życia substancja uzyskała obecną formę? Czy mogło się to zdarzyć w rozprężającym się obłoku pierwszej supernowej? Wtedy kropla byłaby tak stara, jak pierwsze historyczne zetknięcie się i związanie dwóch atomów wodoru i tlenu. Może już dwadzieścia miliardów lat temu takowe doszło do skutku i narodziło się nasze Necrolotum? Kto wie? Niestety, wydarzenie nie pozostawiło po sobie śladu możliwego do weryfikacji, jak to się ma w przypadku sedymentacji lub w kronikarskiej księdze.

– Wspomniał pan dawno temu o zasadzie antropicznej, to jest, jak pamiętam, regule sprzyjającej powstaniu życia we wszechświecie. Jak się ona ma do przedstawionych geologicznych faktów? – spytałem, próbując zablysnąć intelektem przy ukochanej.

– Wiemy, iż wodór pojawił się w pierwszych trzech sekundach powstającego świata. Jest więc najstarszym elementem stałym – to jest posiadającym masę dodatnią – obecnym w naszej rzeczywistości. Możemy śmiało przypuścić, że w przeciągu następnych kilkudziesięciu milionów lat powstawały następne fundamentalne składniki życia, pierwiastki takie jak krzem, tlen i węgiel, potrafiące wiązać się w kolejne bazowe substancje. Czy aby na pewno były pierwszymi? Co powodowało ich powszechność? Czyżby ów porządek rzeczy, i to od zarania dziejów, stanowił czyjś szczególny plan? Jak widzicie, nie bez powodu Necrolotum dziedziczy tę samą przypadłość przychylności życiu.

– Należymy więc do kompozycji całościowej?

– Niewątpliwie istoty wodne są jej domeną. Nikt i nic nie dzierży tu palmy pierwszeństwa, a sam proces zmierza ku z góry ustalonemu celowi.

– Którym jest...?

– Nieskazitelność organizmu. Ewolucja formy. Dążenie do doskonałości współistnienia. Niech pan nie myśli, że na lądzie było łatwiej. Tam też pan byłeś chodzącą kroplą morskiej wody. Tyle żeś nie słyszał pan własnego nieustannego chlupotania.

Profesor Ocearus ślęczał ponad danymi nawigacyjnymi od rana. Wstałem pierwszy. Nie muszę opisywać, jakim wstrętem przejmował mnie odpoczynek w stanie zawieszenia ponad koją, a zdarzał się taki coraz częściej. Dręczące sny potrafiły mnie oddalić od łóżka na całe cztery metry, pod śliską ohydłą ścianę. Nic nie miał ten ruch wspólnego z lunatyzmem, lecz aktywność mięśniowa w cieczy niosła podobne konsekwencje. Wbrew woli odrywałem się od łoża i dryfowałem gdzie nie bądź. Nie tylko moja to była przywara. Inni też często wędrowali. Najlepszą więc radą było przytulenie się do ulubionego ciała. Wtedy masa, jaką stanowiła śpiąca para, z trudem dawała się marom sennym unosić w wodne przestworza. Stąd z Abelią wymykaliśmy się do boksów rybnych w ładowni, gdzie potrafilismy w uzyskanej na chwilę prywatności przynajmniej porządnie się przytulić. Nierzadko towarzyszył nam sam lord Duncan mający od pewnego czasu serdecznie dość takiego odpoczynku. Tęsknił za twardym materacem, poduszką i żołnierskim przykryciem.

– Witam pana. – Pan Molier spojrział na mnie spoza okularów. Potrafił utrzymać doskonałą postawę wertykalną dzięki opanowaniu ruchu niewielkich płetw łopatkowych. Wspomagał się też małymi płetwami brzuszными. Z zaskoczeniem zauważyłem i w moim surducie wycięcie na takowe, choć wykazywałem się ich ciągłym brakiem.

– Dziwi się pan naszym różnicom anatomicznym?

– Czuję się nieswojo, odkrywając je. Kiedy się ta dehumanizacja skończy?

– Dehumanizacja, powiada pan. Nie sądzę, żeby proces ten czemukolwiek w naszym rozwoju psychicznym przeszkadzał. Nie powstają też znaczące dysproporcje.

– Jednak czuję się nieprzyjemnie.

– W misji kolonizacyjnej pozostają nam do wyboru dwie drogi, obie w jakiś sposób agresywne. Pierwsza to konfrontacja polegająca na siłowym poszerzeniu niszy adaptacyjnej i tę obserwujemy na Ziemi, druga – zachowawcza, ograniczona do zmian w genetycznym aparatusie hominidów wyższych, programowo adoptujących rasę do zastanych parametrów rzeczywistości. Podczas gdy w pierwszej możemy poczuć się na krótko wybrańcami, w drugiej definitywnie jesteśmy stałymi posiadaczami, udziałowcami i propagatorami.

– Namawia mnie pan do zmiany decyzji o powrocie na Ziemię?

– No przyznaję, że jest ona pewnym rozczarowaniem. Widzi pan, miałem dobre przeczucia względem pana i wydawaliście mi się z Abelią idealnym przykładem wybornej podwodnej rodziny osiedleńczej. Nie spełniliście państwo moich oczekiwań.

– Nie pomoże nam pan? – zaniepokoiłem się nie na żarty.

– Ależ pomogę, bez dwóch zdań. Widzi pan, aktualnie pochylam się nad mechanicznym aparatem naszego automatonu, w którym zachodzi proces rozpoznania. Posiada on wysoko rozwinięty układ sensoryczny pozwalający na błyskawiczną ocenę na podstawie masy planetarnej, bez szczegółowej analizy wodnej. Zdziwiał mnie doskonałością budowy. Ustaliłem parametry destynacji ziemskiej i jak pan myśli, jakiej dopatrzyłem się inicjacji chemicznej?

– Mówi pan o oczekiwanym progu analitycznym?

– Tak właśnie.

– Zapewne zgadza się z jakimś zabarwieniem pańskich oceanicznych pasków lakmusowych?

– Doskonale się pan orientuje w moich upodobaniach, panie De Waay. Owszem. Cytując formułkę: papierek wskaźnikowy nasączony roztworem substancji chemicznej będącej indykatorem po zwilżeniu roztworem wykrywanej substancji w słoju próżniowym zmienia swoje zabarwienie, jeśli substancja ta znajduje się w badanym roztworze.

– I do jakich wniosków prowadzą analizy? – radosnym głosem zapytała przez moje ramię rozbudzona Abelia.

– Do bardzo pozytywnych, przyszła pani De Waay. Otóż, jak pani zapewne wiadomo z opowieści narzeczonego, poprzednim razem przedsięwzięłem na prośbę mojego brata podobną wyprawę morską. Skorzystałem z tej samej fantomowej wyspy i znalazłem się w identycznym położeniu przymusowego tu pobytu, a jak wiecie, bardzo chciałem wrócić.

– Pragnął pan zniszczyć łącza konsolidujące jowiszańskie księżycy z Ziemią?

– Tak. Należało wykluczyć wszelkie miejsca, przez które ktokolwiek w światach Necrolotum potrafiłby się w sposób inwazyjny dostać na naszą planetę. Nigdy nie będziemy w stanie poddać się całkowitej izolacji. Formy bakteryjne pozostaną na zawsze przenikliwe. Chyba że Necrolotum uzna, iż istnieje coś w naszym ekosystemie, co w sposób poważny zagraża istnieniu życia w innych częściach wielkiego Uniwersum. Wtedy najpodobniej samo odetnie wszelkie łączące nas z nim kanały.

– Czyżby pańska mania zacierania śladów prowadziła do jakiejś obsesji? – pytała nieco zaniepokojona panna.

– Obawiałem się inwazji. Pisano o jej próbach w hinduskich Wedach. Niepotrzebny nam był kolejny łąd ambitnych Atlantów, zagnieżdżający się litosferyczną płytą na obszarze całego Pacyfiku. Niech sobie państwo wyobrażą bratającą się z obcą rasą Japonię! Jaką byłaby taka koalicja potęgą dla naszej spokojnej Australii! Nie chciałbym również widzieć sytuacji odwrotnej, ludzi degenerujących oceaniczne środowiska Galaktyki. Dlatego zdecydowałem się na założenie blokady. Robię to dla wspólnego dobra. Wobec powyższego konkluduję: moja analiza prowadzi do wniosku, iż istnieje

tylko jedna droga dostępna człowiekowi, a prowadząca na planetę Ziemię. Droga, którą udostępnię wam przez automat. Poprowadzi was bez trudu, jak po nitce do kłębka.

– Którędy? – dopytał się lord Duncan.

– To ta sama, którą ja onegdaj powróciłem, błędząc w najgłębszych jaskiniach kontynentu australijskiego. Droga, którą obieca mi pan, lordzie Bizzard, wysadzić w powietrze zaraz po waszym przejściu. Inaczej nie widzę dalszych perspektyw naszej współpracy.

Pan Duncan ruchem głowy oczywiście potwierdził ugodę.

– Gdzie mielibyśmy się udać? Czy to jest już wiadome?

– Droga niestety wiedzie wprawdzie na inny księżyc. Będzie nim ospały i pełny płytkich mórz Tryton. Zaraz przygotuję wytyczne dla sternika. Lecz wprawdzie chcę usłyszeć zapewnienie lojalności od wszystkich tu obecnych.

Zapadła w naszej fonicznej strefie kłopotliwa cisza. Kompletnie mnie zaskoczył swą propozycją. Coś się we mnie łamało. Wahalem się, czy przyznać mu we wszystkim rację. Przecież szaleństwem było ograniczanie człowieka ziemskiego. Wszystkim nam, ludziom, należał się dostęp do kosmosu. Abelia zgodziła się przestrzegać zasad dotrzymania tajemnicy po powrocie na Ziemię. To samo tyczyło się lorda. Ja nadal milczałem.

– Pan, panie De Waay, czemu się waha?

– Przecież za sto lub może więcej lat ludzie wylądują na powierzchni księżyców Jowisza, używając potężnych, nowoczesnych pocisków Mowiaszczenki lub Leroya, odkryją prawdę i może rozpoczną kolonizację powierzchniową.

– Być może nauczą się czegoś nowego od nas samych, będących tam już zasiedzonymi gospodarzami?

– A jeśli wrogo potraktują się wzajemnie?

– Nad tym będę pracował. Może uda nam się zmienić ludzką mentalność w tym czasie?

– Dobrze. Zgadzam się – odparłem po namyśle.

Unoszącą się butlę obserwowaliśmy z mrocznej sterowni. Wygasiliśmy wszystkie światła, by obserwować, jak rdzawa plama rozpęda się i podąży w stronę przypuszczalnego tymczasowego węzła Necrolotum kierującego masy wodne w stronę księżycy Neptuna. Stery dźwżył lord Duncan. Reynash obserwował nas wszystkich baczny, groźnym wzrokiem. Nieraz w oczach błysnęła mu nienawistna iskra. Najpewniej by nas zabił, pogrążony w tym mineralicznym uzależnieniu i gnilnej chorobie, gdyby nie wpojone od najmłodszych lat posłuszeństwo wobec Korony Brytyjskiej. Brzmi to nieprzyjemnie, jednak nie konkretny zły biały człowiek, ale zastane realia świata narzuciły mu takie zachowanie.

– Natarłem powierzchnię sondy materiałem bogatym w fotofory, inaczej byłaby teraz już niewidoczna – mówił rozgorączkowany Ocearus. – Ciągłe się rozpęda – komentował, mierząc prędkość.

– Jak mi nie mam, nasz „Morrlitius” jest sprawniejszy technicznie niż ten zabytkowy złom i nie pozwoli mu na samodzielne oddalenie? – upewniał się pan Bizzard.

– Zgadza się. Rozwijamy większą szybkość i jesteśmy lepsi w manewrowaniu.

– Wspomniał pan wczoraj o Trytonie?

– A tak. To, jak wiadomo, potężny księżyc Neptuna.

– Czy jest zamieszkały?

– W tym właśnie widzę problem. Nawiert musi być wykonany bardzo ostrożnie, inaczej autochtoni zareagują agresywnie, wysyłając tutaj swoje walczone grupy. To dzicy. Nieokrzesani używają technologii zamierzchłej, sami już nic nie produkując.

– A ten księżyc?

– Posiada podpowierzchniowe oceany większe i głębsze niż te, które mamy na Ziemi.

– Nie może być. Wszędzie jest woda?

– Tak, panie De Waay, wszędzie w naszym układzie słonecznym znajdzie się choćby wiadro tej bezcennej cieczy. Gdyby zebrał pan wszystkie morza występujące na powierzchni ziemskiej planety i umieściłby w kosmosie, powstałaby kula o średnicy siedmiuset trzydziestu kilometrów. Gdyby to samo zrobił pan z zasobami trytońskimi, otrzymana średnica wyniosłaby tysiąc sto kilometrów.

– Mój Boże, jest jej tam więcej niż na Ziemi? – jęknęła Abelia.

– Nieznane są wszystkie zasoby skorupy ziemskiej. Porównujemy ciecz powierzchniową Ziemi ze znanymi gabarytami oceanów solarnych księżyców.

– Jak przedstawia się sytuacja na orbitach jowiszowych?

– Rekordzistą jest znany nam Ganimedes. Średnica jego wody wyniosłaby w przybliżeniu dwa tysiące trzysta kilometrów.

- Czyli trzykrotnie więcej niż u nas?
- Tak. Z Kallisto dałoby się wycisnąć kulę o średnicy tysiąca siedmiuset, z Europy dziewięćset, z saturniańskiego mrocznego Tytana tysiąc osiemset. Z samego Plutona wyszłoby dziewięćset kilometrów wodnej średnicy. Nie mówiąc o maleńkich wartościach dwustu kilometrów dla Enceladusa i czterystu pięćdziesięciu dla Dione.
- Coś podobnego! Niech mi pan nie mówi, że wody te aż kipią bogatym i zróżnicowanym życiem.
- Ależ jak najbardziej. Necrolotum zadbało, aby najdalsza w Galaktyce bakteria mogła w mgnieniu oka przenieść się i zainfekować odkrytymi na drodze ewolucyjnej procesami przemiany materii dowolną przestrzeń kolonizacyjną.
- Ale skąd w takim razie pojawił się w ewolucyjnym środowisku ziemskim zastój trwający aż cztery miliardy lat? W tym okresie niewiele się działo. Gdyby Necrolotum funkcjonowało w naszym środowisku na zasadzie stałej bazy, implantowałyby gotowe organizmy z dalszych, znacznie bardziej rozwiniętych lokalizacji? – spytała całkiem reżolutnie panna.
- Doprawdy, zapędziła mnie pani w kozi róg. Jak najbardziej się z panią zgadzam. Widocznie na bazie wbudowanego programu nie ma możliwości stałej ingerencji prądów. System taki nie dawałby żadnych szans rozwoju osobniczego. Stąd wzięły się te samozamykające się kominy, które w sposób zdecydowanie logiczny izolowały od siebie różne drogi biologicznego rozwoju.
- Jak się orientuję, odkrycie procesów symbiotycznych stanowiło klucz w rozwoju wielokomórkowców. Może to zagadnienie stało się u podstaw introdukcji gatunków. Symbioza?
- Zgadza się, panno Abelio. Zespołowość wzięła górę nad samolubnym wzajemnym zjadaniem się. Każde z tych środowisk odnalazło drogę, wypełniło wszystkie dostępne nisze i wtedy dopiero dało sygnał do otwarcia się na zewnątrz.
- Imputuje pan świadomość?
- Raczej bym się wahał, ale kto wie, czy coś więcej za tym nie stoi?
- Automaton raptem skręcił w nieoświetlone przez „Morrlitusa” mroki. Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem. Lord spróbował błyskawicznie skorygować kurs.
- To nie wina sterów. Nie widzicie, że jesteście atakowani?! – krzyknął Reynash.



Poczuliśmy straszliwe uderzenie idące serią po burcie. Górą przepłynął potężny okręt z wygaszonymi iluminatorami. Zaraz po nim drugi, idący szybkim kursem za naszą zdalnie się kierującą butlą.

Kadłub „Morrlitiusa” zatrzeszczał i zaraz potem pękł. Okręt bezsilnie zakręcił się w miejscu. Wraz rozleciały się układy napędowe uderzone skoordynowanym strumieniem wyłaniających się znikąd mentorów. Rozlewało się paliwo i olej. Pękła szyba w wielkim oknie sterowni. Kule z broni maszynowej bezgłośnie trzaskały rykoszetami precyzyjne oprzyrządowanie sterowni.

Porwałem Abelię do pomieszczenia obok. Zajrzał ktoś za nami.

– Panie De Waay, prędko do działa! – ryczał szalejący z bólu Reynash. Jego lewa ręka pływała w strzępach. Docierały do mnie słabnące komendy, bo w rosnących plamach olejowych naturalna wodna foniczność raptownie zanikła.

Postanowiliśmy udać się do działa razem. Szybko i sprawnie przepłynęliśmy korytarz. Dopadłszy wjazdu do ładowni i odpornej armaty, chwilę żeśmy się z żelastwem siłowali. Stała tam nieopodal skrzynia z bronią. Wydarłem z niej parę podwodnych rewolwerów. Jeden oddałem Abelii, a z drugiego gruchnąłem w oba zamki zabezpieczające działą. Bezpieczniki odskoczyły, jakby były na sprężynie. Korbą ręczną szybko otworzyłem okno strzelnicze, a tymczasem z ciemności wychynął ostrobok. Roztwierał szybko i zamykał usta, niby usiłując coś powiedzieć. Niestety w zaolejonej, mętnej od śmieci wodzie żaden komunikat nie był w stanie się przebić.

– Trzymaj się ryby – rzekłem do dziewczyny, co zabrzmiało jak ostatecznie moje pożegnalne słowo. Zaprzeczyła gwałtownie i jeszcze silniej się mnie uczepiła. Odepchnąłem ją łagodnie i dałem znak rybie, by miała na skarby moje baczenie.

Abelia coś odkrzyknęła.

Ale nie dosłyszałem lub nie zapamiętałem, bo potężny kadłub obcego okrętu rąbnął w nas z impetem i przejechał ostrym spodem jak piłą po drzewie. Poleciałem do tyłu. Uderzyłem o coś głową. Zamroczyło mnie na kilka chwil. Ledwo się pozbierałem, a zauważyłem wokół siebie rój ciemnych, zdobionych liniami wojskowymi postaci. Rozpoznałem charakterystyczny kształt.

– Skelsy! – zawyłem z trwogi.

Błysnęły dziesiątkami złowrogich ślepi. Uderzały ogonami, jakby chciały mnie zatłuc kijami. Szły na zderzenie głową, ale unikałem tego, jak długo potrafiłem. Żadna nie pozwoliła sobie na rozwarcie uzębionej paszczy. Widocznie takie otrzymały w ciemnych piaskach rozkazy – żadnej krwi, żadnych ochłapów dla siebie – tylko zabij i odpłyn!

Nigdzie nie widziałem Abellii. W desperacji wymierzyłem z rewolweru. Lecz tutaj nadeszło opamiętanie. Za szkółką postępowali szczujący zwierzęta treserzy. To tych zapragnąłem upolować.

Wtem jeden z nich trącił mnie szpadą. Zdrętwiała mi ręka, jakby obumarła pod wpływem elektrycznego wstrząsu. Rewolwer z dłoni mi wypadł i w ciemności zaginął. Pozostały mi ręce. Odepchnąłem wroga kolanem i węzowym dzikim ślizgiem skoczyłem w kierunku wyjścia. A tam kotłowały się srebrzyste ciała. Następny wstrząs spowodowany rozdarciem „Morrlitusa” na multum pomniejszych części całkowicie pozbawił mnie czucia.

Ocknąłem się, niesiony gdzieś dzikim prądem eksplozji. Resztkami sił pochwyciłem się luźno pływającego kabla, podciągnąłem ciało do jaśniejących włazów zapadającego się w odmęty wraku.

Krzyknąłem z rozpacz, ale dałem radę wydostać się na wolne wody.

Spojrzałem w półprzytomnie.

Gdzież byli wszyscy?

„Czyżby nikt nie ocalał?” – pytałem, ledwo powstrzymując wątlą nić palącej się świadomości. Spojrzałem w dół na ginący w otchłani kształt statku.

„Morrlitius” dogorywał. Niewiele pozostało z wdzięcznej sylwetki podwodnej łodzi. Nie mogłem wiedzieć, że na pokładzie wraku ciągle jeszcze trwała walka. Z boku zauważyłem idące nowe rojowiska. Nadpływały magnuaty, suordy i pikwale. Nowe ryby miały krwiożercze pyski powstrzymywane stalowymi linami i siatkami grubymi na palec. Każda ważyła tonę. Była wściekła i zawzięta. Nie mieliśmy najmniejszych szans.

Odetchnąłem z ulgą, bo w tej samej minucie skrępowwały mnie czyjeś silne ręce.

Nie wiem, jak i kiedy znalazłem się wraz z profesorem Molierem, Abelią i Bizzardem w dobrze oświetlonej oficerskiej mesie. Z luksusowych pokładów wypompowano wodę, więc wsparty na osłabionych mięśniach poczułem się nieco ociężałe. Byłem głodny i obolały, jak to szczur lądowy przy wejściu na przymorskie bulwary.

– Kapitan Von Settler. Hm, trudno było w danej sytuacji spodziewać się kogoś innego – burknął profesor Ocearus niby do siebie, spoglądając z niejakim niedowierzaniem na Niemca. – Zabił mi pan bezcennego człowieka – oskarżył już głośniejszym, z metalicznym błyskiem w oku.

Szwab triumfował. Patrzył na nas z wyższością. Wyraźnie czuł się zwycięzcą.

– Pfe, ten ciemnoskóry bramin? Znam takich na pęczki i to z lepszej kasty niż pański. Poza tym sponiewierany był doszczętnie nadużywaniem fonicznej soli i chory na gnilca.

– Znał się na mineralogii jak mało kto.

– Nic wielkiego nie odkrył, a diety mineralne u nas wydaje się już w dodatkach prasowych. Kupi pan od ręki rewolucyjne mikstury w słoikach po dwa funty w złocie za sztukę. Po zażyciu niektórych człowieka niemożliwym jest odróżnić od głębinowej ryby. Tyle tylko, że wypływa z siebie foniczne sole i jak z nut włada wszelkimi oceanicznymi narzeczami. Mam już kilka takich sztuk ludzkich na służbie. Z przyjemnością panu tych kadetów pokażę.

Jeden z prowadzących oficerów nakazał nam trzymać się blisko ściany. W podłodze umieszczono rynienkę pozwalającą na odprowadzenie spływającej z nas wody. Uruchomiono pokojowe suszarki. Profesora wprowadzono na środek. Ustawiono na podwyższeniu dla raportujących, co samo w sobie było nie lada obelgą dla uczonego.

– Jest pan ordynarnym prostakiem – wyrzucił z siebie Molier w reakcji na zniewagę.

– Czyżby? Czekałem, czekałem, aż pan nabierze chamskich manier. Ta chwila widać nadeszła. Będziemy teraz mogli rozmawiać jak równy z równym.

– Nie mam z panem wspólnych tematów – zripostował gniewnym tonem Ocearus.

– Zdaje się, że nie ma pan wyboru. Wszystkie plany zostały pokrzyżowane i wraca pan z niczym. Tym razem pańscy niezłomni przyjaciele wpadli w moją sprytnie zastawioną pułapkę. Wydostali automat z gniazda programowego i dzięki pana wydatnej pomocy zainicjowali jego rozruch. Nie wydaje mi się, żeby w innych warunkach udało mi się zmusić pana do współpracy.

– Zgubił się na szczęście aparat w odmętach – stwierdził profesor, wskazując wielki, pusty iluminator oficerskiej mesy.

– Myli się pan, wciąż za nim podążamy. I niech pan będzie pewny, iż nie stracę go ani na sekundę z oczu. Niewątpliwie doprowadzi nas do prądów ziemskich. Takie mam mocne przeczucie.

– Pan wciąż o tym samym. Cóż za potwornej obsesji pan podlega?

– Podobnie zachowuję się jak pan, tyle że w odwrotnym porządku priorytetów.

Pan Molier przyjrzał się naszej trójce stojącej przy ścianie. Musieliśmy wyglądać żałośnie, ociekający wodą i pokrwawieni, bo szybko odwrócił wzrok. Zszedł z postumentu dla raportujących majtków. Podeszedł do siedzących za stołem oficerów i usiadł naprzeciw kapitana. Ten nie oponował. Czekał z zainteresowaniem, co też przegrany mokry pan pragnie mu zaoferować?

– Z danych analitycznych wynika, iż nasze atlantydzkie machinerium kieruje się prądami międzyplanetarnego przeskoku w kierunku Trytona – rozpoczął profesor. – Nie muszę przypominać, jak bardzo nieetycznie zachowują się Trytonidzi. Są istotami okropnymi, żywiącymi się krwistym lodem i kryształami z odzysku. Jeśli miałbym zaryzykować ocenę, uznałbym ich za umysłowo niereformowalnych. Wkrótce staną się niemałym zagrożeniem dla całej naszej rasy, tej pozostałej na Ziemi również. Nigdy nawet najkarniejsza niemiecka czy japońska flota nie zdoła ich przymusić do oddania pola. To istnienia krnąbrne i złośliwe, zdolne do każdej okupacji, nawet tej liczonej w milionach lat. I do prokreacji tak dziwacznej, że trwodze poddaje się umysł biologa.

– Niech już się pan o to nie martwi. Damy im radę.

– Nie w głębinach.

– W głębinach też.

Profesor zaśmiał się cynicznie.

– Zbliżamy się do Cao Bergenen – ciągnął. – Podejrzewam, że istnieje tam przejście na największej znanej mi płyciźnie – kontynuował. – Szczelina jest niewielka. Ma jakieś czterdzieści, góra sześćdziesiąt centymetrów średnicy. Wobec czego żadna z pańskich maszyn nie będzie w stanie pozwolić sobie na przejście. Co najwyżej może pan zrobić to sam, osobiście, korzystając z doborowego towarzystwa trójki moich przyjaciół i butli przewodniej.

– Ach tak, żeby mnie przy okazji zasztyletowali?

– Dla równowagi dobierze pan sobie odpowiednią obstawę.

– Przesadza pan, każdą dziurę można poszerzyć – ironizował kapitan.

Molier zachnął się w zniecierpliwieniu.

– Myślę, że nie całkiem pojął pan podstawowe pryncypia budowy systemu Necrolotum. Nie bez powodu tak niewiele aktywnych łączy prowadzi z satelitów jowiszowych ku Ziemi. Najpodobniej wiąże się to intensywnością przemian ewolucyjnych. Niektóre podlegające szybszemu zaangażowaniu biologicznemu globy zostają przyblokowane, a inne w zamian na innowacje przyrodnicze otwarte.

Środowisko ziemskie widać ocenione zostało przez tajemne gremia nadrzędne jako ciasno zapełnione i stąd niewiele oferuje się mu pomocy rozwojowej.

– Uważa pan, że Necrolotum jest przez kogoś kontrolowane?

– Przynajmniej nie zakładam, że powstało całkowicie na mocy nieprawdopodobnego przypadku.

– Tyle że bodaj celowo pomija pan ważne fakty – uznał za stosowne podkreślić kapitan Von Settler. Profesor wysłał mu pełne pogardy, zamglone spojrzenie. – Nie o Ziemię nam teraz chodzi. Bowiem w pierwszej fazie łączy Necrolotum skieruje maszyny pływające w stronę Trytona. Prosty fakt, a jakże istotny! Biegli w ocenie wypełnienia niszy ewolucyjnej kosmobiologii orzekli, iż neptuniański księżyc będzie od pozostałych globów bliskich Jowiszowi znacznie uboższy pod względem liczby gatunków. Suponuję więc, że pod wpływem odpowiedniego bodźca każdą prowadzącą do siebie szczelinę samoistnie potrafił będę rozszerzyć.

– Zbyt pan fantazjuje – ocenił profesor.

– Zawór odkrywa się samoczynnie, jak to dzieje się w migawce fotograficznego aparatu. Materiał organiczny ulega zassaniu i natychmiastowemu przetworzeniu w materiały wzrostowe i kumulacyjne. W okresie miesiąca można spodziewać się podobnej do eksplozji kambryjskiej rewolucji w ekosystemie Trytona. Proces panspermii przypomina bowiem łaknienie.

– Zależności, o których pan mówi, są znacznie bardziej skomplikowane – stwierdził Ocearus.

– No cóż, zdaję sobie sprawę z własnych ułomności. Nie czas teraz jednak na wykłady. Wkrótce odejdziemy, pozostanie pan sam i wobec faktów stanie się bezradny

– zaszydził kapitan.

– Druga kolonia liczy blisko trzydzieści milionów obywateli. Postaram się, aby zrobili wszystko, by nie dopuścić do waszej ekspansji – ostrzegł Molier.

– Niby ci sami, którzy podobno spisali pana na straty w ostatnim bombardowaniu? – zaśmiał się szydyczko Von Settler.

– Sami zreflektują się w błędzie.

– No cóż, nie ukrywam mojej do pana niechęci, jednak szlachetniej z mojej strony będzie darować panu życie, choćby na wspomnienie zasług pańskiego brata. Będzie pan cennym nabytkiem dla tamtejszych elit. A znając pana aż nazbyt dobrze, można się domyślać, że uczyni pan ich zachowanie wysoce przewidywalnym. – Tu zaśmiał się serdecznym, żywym tonem. – Elit już po trosze siedzących w mojej kieszeni.

– Wypraszam sobie – zezłościł się Molier.

– Wiem, co pana tak naprawdę gryzie. Niewielu znajdzie pan ochotników w Brytyjskiej Koronie zdecydowanych na stałe pozostanie w Imperiach Podmorskich. Niewielu z wielkich kapitalistów londyńskich zdecyduje się zainwestować w denne

błoto potężne sumy złotych funtów. Aby porwać się na gwiazdy, musi pan sięgnąć  
wpierw po narody mocniej zmotywowane, sprawniejsze i karne. Po obywateli tej samej  
Ziemi, lecz zdolnych do samopoświęcenia i walki o ideały ludzkości. A takich znajdzie  
pan tylko w szeregach imperialnych mocarstw Niemiec, Chin i Japonii.

Obserwowaliśmy posuwający się automat od blisko tygodnia.

Zbliżał się do naturalnego spłylenia podmorskiej krainy.

Nie był zwyczajną butlą. Błyskał z wnętrza tajemnymi seriami ciemnych pasm fioletu. Zdawał się być wtedy magiczną różdżką otwierającą oceaniczne szczyrozłote odrzwia. Chwilami w szybkim rytmie świateł czuliśmy bijącą odeń ostrą woń. Innym razem smakowaliśmy na wargach wynikłą z zapatrzenia, zagadkową słodycz.. A on, jakby na drodze jeszcze większej hipnozy, wyzwał w próżnym oczekiwaniu wrażenia boleści i pragnienia, by ciągnąć w jeszcze dalszą, jadowitą od czerni głębię.

Sam już wątpiłem: czy to my nastawiliśmy w nim zegarową destynację, czy to on w najgorętszym, tykającym szale znosił nas na tylko sobie znane mielizny?

Za okrętem flagowym szły jeszcze cztery inne. Wszystkie doskonale uposażone i ludne. Von Settler używał też kilku srebrnych descenderów i setek zaprogramowanych płytą magnetyczną ryb kopertowych idących w szykach ławicowych. Starał się ani na sekundę nie stracić kontroli nad starą atlantydzką maszyną. Kiedy zatrzymała się, zawisnąwszy ponad zwałami znanego nam skądinąd promienistego piasku, natychmiast wysłał tam swoich ludzi. Wodę przy samym dnie wypełniały zagęszczone drobiny kulek ciężkiego, srebrzystego gazu. Trącone stopami marynarzy, rozpuszczały się i cuchnęły niemożliwie. Zaraz też bąble poszły w górę, lecz po chwili, łącząc się w większe kule, opadły niby wyrobione w rtęci.

Atlantydzki robot opadł i wgryzł się natychmiast w grunta niczym drążący skórę kleszcz. Zniknął pod zwałami. Oświetlono pole i kilkunastu marynarzy rozpięło w miejscu zakotwiczenia automatonu przyrządy pomiarowe i wiertnicze. Sam kapitan nawoływał w fonicznej fali do zachowania skrajnej ostrożności.

Rozgrzebano miejsce, by od spodu monitorować przesuwanie podgruntowe.

Pozostałe jednostki pływające zajęły strategiczne pozycje obronne, a specjalistyczni nurkowie mułowi wyprowadzili w pola wodne wszystkie rozdysponowane wcześniej ławice. Tysiące ryb rozpoczęły dalekosiężny nasłuch i smakowe testy, bo skąd jak nie spod piachu musiał wydobywać się odległy fetor Trytona?

Von Settler zaprosił nas przed kapitański bulaj. Doskonale stąd było widać pracujących ludzi i zagłębiający się wolno w napływającym grząskim mule automaton Atlantów.

– Nie muszę chyba panom mówić, że zdecydowałem już o waszym losie – zwrócił się do nas, utkwivszy jednakże spojrzenie w twarzy profesora.

– Doprawdy? – mruknął Ocearus, udając obojętność.

– Pójdą pańscy towarzysze pojedynczo. Najsampierw uda się w głąb błota pan De Waay. Jeśli się od mułów udusi, bo profesorskie zamiary celowo i mylnie pokierowały maszyną w kierunku przejść wysiękowych, w ruch pójdzie pozostała para doświadczalnych królików.

– Nie wolno panu ryzykować ludzkiego życia w żadnym przypadku. Proszę pierwszej dokonać wszechstronnej analizy wód i gruntów.

– Tak się pan przestraszył?

– Pozwolę sobie przypomnieć, że idziemy w Necrolotum na kończącej się wici. Być może spoczniemy na Trytonie, ale nie jest to pewne. Indukcje tutejszej wody winny wykazać dane charakterystyczne znane mi z pierwszej wyprawy, odnotowane ze skrętnością co do opiłka metalu. Poproszę o te wykazy, a wtedy przekażę panu me rekomendacje. Koniecznie musi być pan pewny, czy destynacja jest prawdziwa. Poza tym Trytonidzi, stojąc tam po przeciwnej stronie, pilnie nasłuchują, sterczą w gotowości jak za drzwiami. To obłąkańcy o skrajnych motywacjach plemiennych. Nazbyt gwałtownie pan zrobisz przekopy i przybędą jak na komendę. Potraktują nas nie jako intruzów, ale jako bardzo niebezpiecznych odmieńców i surowo ocenią. Nie starczy panu złota, by się wykupić.

– Niech pan nie będzie aż tak bezczelnym. Mam grono doborowych analityków, którym pan z całą swą fachowością nie dorasta do pięt. To oni zadecydują, gdzie i kiedy mam wykorzystać pierwszego ochotnika. – Tu Von Settler roześmiał się w głos, wskazując za siebie. Jaskrawy kolor mundurów co poniektórych przywiódł mi na myśl doborowe oddziały armii drugiej kolonii.

Profesor zamilkł, dostrzegając w oficerskim tłumie zdrajcę rosyjskiego i socjalistę z przekonania, Linfelda, i innych znanych mu bywalców tamtejszych salonów. Ręce naszemu dobrodziejowi opadły. A więc wszystko stracone! – pomyślał całkowicie tym odkryciem zdruzgotany.

– Poza tym jakby mogli się tu dostać? Ta szczelina ma zaledwie pół metra średnicy – wątpił dalej kapitan. – Chyba że jest coś więcej, czego nie chcesz pan wprost wyjawić? – I tu zrodziło się w kapitanie podejrzenie. – Może znowu pan nakierowałeś butlę na zasadzkę?

Ocearus wysilił się na enigmatyczny uśmieszek.

– Wynajdą swoją drogę zemsty te bestie, a do swego świata nawet nie zezwolą pukać. Taki to naród – dorzucił obojętnie.

Po godzinie odprowadzono mnie pod włązy wyjściowe. Jeszcze przez chwilę mogłem nacieszyć się oddychaniem powietrznym.

Napełniano śluzy wodą, podczas gdy ja przez niewielki iluminator kontrolny mogłem z wysokości pokładu oglądać krajobraz.



Od wód niósł się charakterystyczny dla planet zewnętrznych, to jest tych spoza pasów orbitalnych Jowisza, niebieskawy poblask. Łącze musiało tu już dobrze przeciekać. Byłem pewny, że znaczącą rolę w produkcji światła odgrywały minerały foniczne, których było po tamtej stronie bez liku. Wielu z nich nie dałoby się chemicznie wyizolować. Większość nie posiadała oficjalnej nazwy.

Wkrótce wyprowadzono mnie na zewnątrz. Z niejaką obawą zacząłem w tych wodach oddychać. Na Trytonie mogło być tylko gorzej. Tlenu było tu jednak nad wyraz dużo i pomimo metalicznego czy kwaskowatego posmaku, jaki dawało wmieszane w ciecz powietrze, wdychanie mnie całkiem już oprzytomniło. Po kwadransie dopłynąłem z eskortą na miejsce. Spojrzałem za siebie, na potężny cień mający w niebieskawej toni. Dało się dostrzec stojące za szybą największego z iluminatorów postacie kapitana i moich przyjaciół. O przesłodkiej i zrozpaczonej Abelii już nie wspomnę. Miała mnie biedaczka za bohatera płynącego tam daleko, w wymyślonej dali, przy pędzącym ostroboku. Za szarzejącymi sylwetkami znajomych krzatali się inni. Wszyscy o surowych rysach, zapatrzonych w przywódcę germańskich oczach i prostych, nawykłych do wydawania komend ustach.

Pan Bizzard wyglądał na najbardziej nastroszonego. Wprost unikał mego wycelowanego weń spojrzenia. Wobec tego, całkowicie już zrezygnowany, odwróciłem głowę w stronę powiększającej się dziury, w której centrum zniknął przekopujący się uparcie w gruntach mechanizm. W dole aż kipiało. Miejsce pogłębiali robotnicy, ryby piaskowe i kamieniołomnice, to jest ryby łomiarskie. Wydobywano urobek i pakowano na rozstawione gwiazdźście taśmociągi. Stamtąd zsypywano do wielkich worów lub samopływających wiader, a te zawieszala osobna brygada na trzymadłach w pyskach pomagierskich ryb. Transporterki szybko się z gruzem uwijały; wyrzucały odłamki skał w oddali i powracały na koniec długiej kolejki. Ze zdumieniem odkryłem, iż udaje mi się w wodzie słyszeć każdy najdrobniejszy szelest, czy by to nie było metalicznie pobrzękujące narzędzie, czy też chrzęst zapadającego się piasku. Zadziwiająca też była jakość dźwięku, zupełnie nieodbiegająca od powietrznej. Udawało mi się usłyszeć uderzenia w membrany odległych bębnow. Rytm się od nich niósł wojskowy, może i wojenny?

Spojrzałem z niepokojem wokół.

Czyżby wydarzyło się coś w pobliżu?

Zauważyłem kilku mentorów, ale unikali mego sąsiedztwa i wycofywali się.

Skupiłem się najmocniej, jak potrafiłem.

Uczyliłem wokół siebie wodę diamentową, twardą jak kamień.

Potem stworzyłem słup wodny na wysokość tysięcy metrów.

I w dole usadziłem.

Czekałem, jakbym ukryty był w zbroi.

W najdalszej toni rodził się coraz groźniejszy pomruk. Nadbiegał ze wszystkich stron i potężniał. A ja go z radością ku sobie przyzywałem. Ze zdumieniem ujrzałem przepływającą na pełnej szybkości gromadę szczujnych dwutonowych żarłaczy. Wszystkie w ostatnim szeregu ciągnęły krwawiące, bezwładne odwłoki, jakby przed momentem dosięgła je z nagłą inna potworna ławica lub zupełnie im nieznaną okropną zmianą wodnego ciśnienia. I wtedy ziemia wokół zakipiała. Na przestrzeni kilometra kwadratowego załamała się jak lód, zapadła i pociągnęła wszystko ku dołowi. Wciągnęły mnie masy błota, pomimo iż w swej formie byłem niejadalny. Powstał potężny mazisty wir, kto wie, czy nie spowodowany dodatkowo szalejącą w skrajnych obrotach głowicą atlantydzkiego automatonu?

Zwierzęta z militarnej ochrony zabezpieczającej plac robót wprost oszalały. Nie słuchały treserskich komend. W panice zrywały struktury uporządkowania ławicowego i uciekały. Ciągnęły przy tym pourywane liny i pozrywane kagańce. Wypluwały krwiste wiązadła.

Oficerowie zamarli z przerażenia. Do nich też dochodził niemilkący zew gwiazdnych piasków. To, że tu wszędzie w układzie solarnym tak swobodnie osiadały, nie musiało być kwestią przypadku.

Więcej i więcej się ich wdzierano przez rozwarte skalne wrota.

Raptem się cofnęły i to wszystko nade mną, niby zagęszczony do granic możliwości taran, runęło w głąb rozwartej skalnej bramy.

W obliczu braku kontroli ze strony ludzi głupie pomagierskie ryby poczęły się trącać pyskami i na siebie sarkać. Gdzieś doszło do wzajemnego pożarcia. Robotnicy wypływali z rosnącej niecki z gorączkową paniką na obliczu. Zdawali się tonąć i rwać w gwałtownych wymachach ramion ku znikającym krawędziom rosnącego wykrotu. Odbijali się od wirującej coraz szybciej wody i niemal znikali w rozpędzającej się kalderze. Czasem niektórym udało się wzbić ciało w poszukiwaniu ocalenia. Unosili się na krawędzi gwałtownie rosnącego leja, by po sekundzie z okrzykiem przerażenia dać się wciągnąć do centrum, wpadając z wody do wody. Sam spokojnie poddałem się żywiołowi. W końcu był to po części mój bałagan. Po chwili, całkowicie przytomny, zdałem sobie sprawę, że współ z innymi płynę w całkiem nowym oceanie. Próbowałem wypatrzeć w granatowej toni jakichkolwiek znaków trytonidzkiego intruza.

Nic, nawet śladu.

Pędzący za nami wzburzony muł począł poddawać się uspokojeniu.

Pod moimi stopami otwierała się nowa otchłań.

Postanowiłem wrócić do własnej fizycznej formy.

I to mnie zgubiło.

Zauważyłem nadpływające kawałki jakiejś postrzępionej gąbki. Wkrótce ogarnęła nas, ratujących się po katastrofie, cała chmara wirujących strzępów. Wnikały wszędzie. Do nosa, uszu i ust. Przylepiały się do skóry i przy jakichkolwiek próbach oderwania jak cierń raniły ciało. Zamknąłem bezwiednie powieki, bojąc się o oczy, tak napierały. Prawie po omacku próbowałem z nimi walczyć i wtedy nieopatrznie zbyt szeroko otworzyłem usta.

Gąbczaste indywiduum rozsunęło zgrabnie me wargi. Wsunęło się pomiędzy nie całkiem delikatnie. Potem już agresywnym, drapieżnym napieraniem zajęło całą jamę gębową, szepiając się z gardłem czymś na podobieństwo elastycznego haka.

Poczułem falę nerwowych tików i raptem me szczęki zacisnęły się na przedmiocie, który zaraz rozpoczął ostrą wibrację, a potem gwałtowny wzrost. Co gorsza, twardniał i sprawiał wrażenie pomnożenia ciśnienia aż do stanu powodującego rozerwanie głowy.

Nie miałem okazji nawet krzyknąć. Wpadłem w taką panikę, że pozwalałem się wieść w kierunku, w którym podążając, najmniejszy odczuwałem powodowany przezeń ból.

A był to dół!

Parłem coraz głębiej!

Coraz dalej wnikałem w rozwierające się wierzeje innego świata!

Jakież było moje zdziwienie, gdy otworzywszy oczy uznałem, iż kieruje mym ruchem cienka nić. Ciągnęła mnie poprzez granatowe tonie ku platformom otwartych, przypominających wydłużone misy okrętów trytońskich. Tam układano nas w długich rzędach, traktując w najbardziej plugawy i surowy sposób. Kopniakami selekcyjując i pchnięciami rozstawiając w przynależnych kątach.

Widać znano się tu na wychowaniu, bo przydzielono mnie do sektora dla dżentelmenów.

Trytonidzi przedstawiali sobą byt okropny i obrzydliwy, otaczający się podobnymi sobie pływającymi kreaturami. Skąd wiedzieli o wiertłach? Dlaczego tak szybko się zjawili? Czymże doprowadzili do zapaści terenu? Podejrzewałem o intrygę profesora i jego nieznaną szerzej dynamit, ale jak dałby radę uruchomić w starożytnym narzędziu tej mocy eksplozję?

W dzień później doszło bodaj do regularnej bitwy Trytonidów z siłami niemieckimi, bo więcej w ogromnej, pordzewiałej czaszy nazbierało się jeńców. Przeważała marynarska brać, ale zdarzył się i panicz w nieskazitelnym podwodnym umundurowaniu. Nic nie zobaczyłem, bo już nas wprowadzono w niespożytej wielkości kanały. Widać Tryton światem był w organizmy ubogim i mechanizm Necrolotum nie szczędził trudu w rozwarciu spływów.

Ciemność następowała po ciemności.

Jakaż była jednak moja radość, gdy ujrzałem pośród pochwyconych pana Bizzarda i profesora. Byli traktowani z przynależnym im respektem i oddzieleni od pospólstwa siatką. Zaraz też dali mi znać na migi, że Abelia u boku wiernego ostroboka jest bezpieczna. Oddaliła się od incydentu zapaści dennej bodaj na całe kilometry, ale dała znać, że żywa i zdrowa.

Obaj panowie z trudem wielkim przychodzili do siebie, gdy ja, nieco już ozdrowiony, kręciłem się po trytonidzkim pokładzie. Strażników było zaledwie kilku, ale czemóż by mieli się obawiać o ucieczkę, gdy rozdysponowali ponad miejscem ławice łasych na ludzkie mięso żarłaczy i tropicieli? Poza tym, mając w ustach przekłętą gąbkę łowną, słowa zachęty do buntu nie potrafiłem wykrztusić, a krzątając się pośród rannych, pomagałem im, co widać docenili.

Przyjaciele powitali mnie z wyraźną ulgą.

Być może przypuszczali, że m przepadł na dobre, a spodziewając się po gospodarzach wszystkiego co najgorsze, uznali mnie za zamordowanego. Dałem im znać na migi, że popadliśmy w jeniecką niewolę i że zakrawa mi traktowanie na sprawiedliwe i honorowe. Najbardziej przytrzymają nas do czasu zakończenia działań wojennych, a potem zdecydują o naszym przyszłym losie, wchodząc na drogę pertraktacji z kimś, kto będzie wydolnym zapłacić nielichy okup.

Spytałem, co z stało się z Von Settlerem.

Obaj panowie uznali go za martwego, co jak dowiodą tego przyszłe zdarzenia, akurat mijało się z prawdą. W onym czasie przepełniło nas jednak ulgą i nadzieją.

Obaj dżentelmeni pozostawali skrępowani węzłami, co mnie zdziwiło, bo niewielu wokół było traktowanych w podobnie niegodziwy sposób. Ja sam poruszałem się swobodnie i nierzadko podpływałem do samej krawędzi, by móc spojrzeć na przesuwający się w dole krajobraz.

Przebyliśmy nieznanie ludzkim kolonistom łącze i znaleźliśmy się w wodach trytonowych<sup>56</sup>.

Kurs wytyczono na wysokości około dwustu metrów od średniego położenia morskiego dna, ale wody były tak rozświetlone i tak lazuruowe, jakby słońce lub Neptun najbłękitniejszy dopiero tu co zaglądał, przyozdabiając liczne koralowce i kwiaty o niezwykle pięknie w barwy i odcienie. Okręt szedł spokojnie wytworzonym przez własną obecność prądem, jakby ktoś, doskonale pojąwszy właściwości ściskania i rozprężania cieczy, potrafił spowodować jej ukierunkowane wyciskanie. Byłem zdumiony tą łatwością podmorskiego żeglowania.

Widać oddaliliśmy się od planet jowiszowych, bo gatunki fauny i flory uległy znacznemu zróżnicowaniu. Wychylałem się i natychmiast zauważałem, że gdy głowę ku odmętom wystawiał, masa gąbczasta mi w ustach tężała i próbując wzrostu, kierowała się ku przełykowi. Wtedy ustawałem i pokornie kryłem się za żeliwną, pordzewiałą burtą.

W kilka dni później zauważyłem w oddaleniu kształt ryby bardzo mi znajomej i chociaż trwało to chwilkę i oczom nie uwierzyłem, to znaczną natychmiast poczułem ulgę.

Jakiejż radości doznałem i zarazem zgrozy, gdy przepłynęła ponad pokładem dramatycznym ślizgiem inna postać. Rozpoznałem w niej znanego mi z nieprzyjemnych okoliczności phologhona. Potężny ningen, będący ponoć geodetą z wykształcenia, rykiem straszliwym idącym na wszelkich fonicznych zakresach wzbudził naturalną grozę i zamieszanie pośród pilnujących, bo towarzystwa onych potężnych, ciemnych postaci się po tej stronie kosmosu nie spodziewali. A roіło ich się w pobliżu sporo. Drugi taki przelot nie obył się bez konsekwencji i jedna z ławic treserskich ruszyła w sprawnym szyku. Tyle że ningen w gwałtownym manewrze ich pogubił i biegnąc zakosem jak najbliżej składu pływającego, dał mi się złapać za brzuszną płetwę. Zaraz jak się z bliskości żeliwa oderwałem, gąbczasta narośl spróbowała mnie na śmierć zadusić. Jednak, jak się okazało, miałem w pobliżu niezmiernie doświadczonego nurka, który bez zbytnich ceregieli od całej przynęty holowniczej jednym ruchem sprężystych palców mnie oswobodził.

Spojrzałem na tę osobę z prawdziwym zaskoczeniem. Wtedy zsunęła się z grzbietu pod brzuch pędzącego stworzenia inna postać i trzymając się ostro cugli ningenowych, przedstawiła mnie.

– A to córka moja, serenida Lynete – zaprezentowała. Uścisnąłem mą Abelię ze wszystkich sił, gdy już zatrzymaliśmy się w oddaleniu. Obok ujrzałem więcej tych serenidzkich istot, całkowicie mrocznych i zarazem mocarnych. Byli to bracia i siostry naszej Lynete, tak samo zrodzeni z plugawego gwałtu, tyle że jeszcze piękniejsi i ponętniejsi.

Serenidzi uzbrojeni byli w krótkie tyczki będące zapewne dmuchawkami służącymi wypuszczaniu całkowicie czarnej, trującej cieczy, którą produkowały w momentach

wojowniczego wzburzenia ich krwiste dźwięki. Wojowniczy ten naród wszędzie był otaczany szacunkiem i mówiono o nim z przestachem, bo wsławił się w swej mścicielskiej mocy.

– Na pokładzie pozostali pan Bizzard i profesor. Czym prędzej ich ratujcie, proszę – wyrzekłem wreszcie, walcząc z niemocą języka i ociężałością zmysłów wynikłą z toksyczności gąbki. Serenidzi ruszyli na znak mej przybranej córki. Wtenczas dopiero do mnie dotarła myśl o sile, jaką potrafi nas obdarzyć przychylny los.

Abelia była w nim przeznaczoną mi dobrą nimfą.

Po niejakej godzinie nadpłynął ostrobok wraz z naszymi uwolnionymi przyjaciółmi. Mądra ryba posmakowała trochę z otaczających mnie płynów, aż wreszcie po tym przywitaniu pomknęła, pociągając za sobą nas i całe to nasze powracające z potyczki zbrojne plemię.

---

56 Tryton jest największym księżycem Neptuna i jedynym w układzie słonecznym, który porusza się ruchem wstecznym. Został odkryty przez Wiliama Lassella w 1846 roku, zaledwie w siedemnaście dni po odkryciu samej planety przez Urbaina Le Verriera. Nadana mu nazwa pochodzi z mitologii greckiej i jest odpowiednikiem rzymskiego Neptuna. Satelita ten jako jeden z nielicznych posiada atmosferę, która w 99 procentach składa się z azotu, a w pozostałej części z metanu. Pod skalno-lodową skorupą niektórzy uczeni podejrzewają istnienie potężnych wodnych oceanów, porównywalnych z oceanami ziemskimi.

Zatrzymaliśmy się na postój w najbliższych dennych rozpadlinach. Wegetacja tu była bujna, a i okolice pozostawały od rana do wieczora hałaśliwe, stąd wyczulonym zmysłom nie dane nas było wysledzić. Osiadłem z Abelią na wielkim głazie. Nie mogłem się nadziwić, jak mnie odnalazła i jak poruszyła dzikich potomków morskich i skłoniła ich do pomocy aż na innych planetach. Opowiedziała mi wszystko w szczegółach, a że profesor Molier i lord Duncan szukali nas wzrokiem, obu do siebie przywołała.

Podpłynęli nieśpiesznie. Dopiero teraz ujrzałem uśmiechniętą twarz pana Ocearusa, który natychmiast otworzył ramiona do gorącego powitania.

– Zrządzenie losu to wprost niebywałe, żeby widzieć pana i tych wszystkich nam bliskich całych i zdrowych.

– Sam dopiero do siebie dochodzę.

– Nigdy bym nie oczekiwał takiej wytrwałości i odwagi w płci pięknej. Nie żałuję mej decyzji zaokrętowania boya ani trochę – zaśmiał się dziadyga.

– I ja również – dodał lord Bizzard, całując wierzch wyciągniętej dłoni panny. – Składam cały mój honor w podzięce.

– Przyjmując panią na pokład „Minerwy”, doznałem jakiegoś przeczucia o jej ważności, wręcz wizji. Ale że będę zawdzięczać pani życie, nigdy bym nie przypuścił. Los widać przekorne pisze scenariusze.

– Ale jak teraz dostaniemy się z powrotem na Ziemię, kiedy cały nasz misterny plan nie wypalił, a przewodnie maszyny zostały zniszczone? – spytała prosto z mostu Abelia, aż mi zrobiło się za nią głupio.

– Poprosimy ostroboka o odnalezienie pozostałych szczątków wraku „Morrlitusa” – zaproponowałem.

Pan Molier ani chwili się jednak nie zawahał i wraz pośpieszył z odpowiedzią:

– Będzie musiał się, niestety, sam pofatygować na Ganimeda. Tam w kokpicie, jak wicie, eksperymentowałem na częściach niekompletnego automatonu, z którego mózgu szczegółowe mapy możemy wydostać i wykorzystać w poszukiwaniu szczeliny podmorskiego przeskoku. W miejsce wskazane nam przez ostatnie prądy Necrolotum niestety nie możemy się udać, bo wrak rozbitego statku morskiego kapitana Von Settlera leży na wejściach. Skutecznie broni się tam on sam z resztkami pozostałej załogi. Nie sądzę, żeby ten uparty drań potrafił się powstrzymać i odstąpił od planów.

– A więc żyje?

– Tak przynajmniej donoszą serenidzi.

Czule pożegnałem się z Iurgee'em. Miałem co do niego złe przeczucia. A i on nie wyglądał na szczęśliwego, gdy nas opuszczał. Niestety pozostawał naszą ostatnią nadzieją.

Długo patrzyłem za nim i stałem zaparty na kamienistym zboczu dobrych kilka godzin, zanim już zupełnie zarys ryby nie zagał w otchłani trytońskich wód. Prześroczystość ośrodka szła w kilometry, a jego jaskrawość poprawiała każdy percypowany obraz.



Nasz ostrobok długo nie powracał, a w nowych wodach nie było za dużo planktonu, którym przywykliśmy się żywić. Cierpieliśmy głód i wszechogarniające zmęczenie.

– Co wobec zaistniałej sytuacji pan proponuje? – spytałem kręcącego się niespokojnie Ocearusa.

– Powrót.

– Mamy udać się w światy Jowisza? Teraz to wszystko porzucić, gdy jesteśmy tak blisko?

– Na Boga, czy was wszystkich лихо opętało? Przybędziemy tu lepiej w oprzyrządowanie zaopatrzeni, uzbrojeni i teoretycznie pouczeni.

– I mam zamienić się w tamtej brei w całkowitą rybę?

– Nie wykluczam, że pańska metamorfoza wiąże się z konkretnym akwenem, a nie samą w sobie reakcją organizmu. Proszę nie tragizować. Oboje państwo wyglądziecie na zdrowych fizycznie, więc możemy spodziewać się liczego i silnego podwodnego potomstwa. Jednak nie namawiam. Jeśli powzięliście wszyscy szaloną decyzję o powrocie i marzy wam się złożenie kości w suchej ziemi, to musimy zaryzykować ponowny przeskok na księżyc Jowisza.

– Nigdy nie odstąpię. Nazbyt kosztowne było moje tutaj dotarcie. Nie chciałabym tu za żadne skarby począć potomków. Widział pan, co minerały robią z płodami? Deformują nienarodzone ludzkie dzieci na kształt hoista, a gdy urodzą się wcześniakami, pozostawiają na długo bez rozumu. Nie chcę dziecka wielkości wielkiej sardynki z miniaturową ludzką głową.

– Nie deformują, tylko reformują. Wie pan, że poronienia na naszej planecie zbierają ostre żniwo? Tutaj przynajmniej nie wyrzuca się płodów do jakiegoś zsypu, tylko same dają radę przeżyć w niższej niż ludzka formie.

– Tylko do czego przystosowane? – pytała Abelia, krzywiąc się z powątpiewaniem.

– Do każdej dostępnej ekologicznej niszy. Wynajdują dla siebie szczęśliwe miejsce i basta.

– Czy ja też mam być dumny z łopatkowej płetwy? – spytałem wątpięcym tonem.

– Narządy te wspaniale ewoluują w postać późniejszych skrzydeł wodnych, które widział pan zapewne u wszelkich tu form naczelnych na Europie. Rozpędzają się owe ciała do prędkości torpedy i naśmiewają się z przeciwników, nawet jeśli byliby najokropniejszymi Trytonidami żyjącymi w najgłębszych solankach neptuniańskiego księżyca – odpowiadał niewzruszony profesor.

– Prędeż się zabiję niż tu zostanę – upierała się zdeterminowana Abelia. – Musi istnieć jakieś alternatywne wyjście.

– W pani przypadku upór jest najbardziej zrozumiały. Raczy pani jednak mieć wzgląd na fakt, iż nasz drugi przeskok na Trytona za jakieś dwa ziemskie lata będzie się różnił od tego, czym teraz dysponujemy.

– A cóż to, brakuje panu wrogów? Zapewne niejeden zaciera ręce po pańskim ostatnim zaginięciu. A młodociany rosyjski rewolucjonista, Eric Linfeld? Zapomniał pan o osobniku? Wyzwolony przez grono najbliższych przyjaciół, przejął kontrolę nad poważnymi siłami zbrojnymi. Wojna tam się szykuje i koniec z burżuazją.

– Dlaczegoż chce pan wracać na tamte księżyce, profesorze? – zapytałem z prostej ciekawości, bo upór jego wydał mi się niezwykle, podobny do postanowienia samobójczego.

– Jest więcej oceanów na Ganimedzie, niż ktokolwiek z pozostałych tam ludzi potrafi sobie wyobrazić, a w nich pływają uśpione miasta Atlantów. Rasa ta przybyła onegdaj z Syriusza i w oceanie ziemskim osiadła. Nieliczne grupy zdecydowały się skolonizować ziemskie lądy i w puli genów się zmieszały, stąd wzięła początek populacja ludzkiej arystokracji. Musi gdzieś tam istnieć pracujące machinerium i mapy, i książki naukowe. Wspólnie do nich dotrzemy.

– Czyżby więc obcy stali się naszymi przodkami? – zainteresowałem się.

– W żadnym z tych sensów, o których pan myśli, nie są obcymi, bo Necrolotum uniformizuje życie galaktyczne, sprowadzając je nie tylko do wspólnego mianownika, ale wywodząc z pnia znakomicie się rozkrzewiającego pośród wszystkich innych światów. Wspierające dalsze zróżnicowanie nici ewolucyjne doskonale się rozwidlają i na powrót splatają, a gatunki zazębiają. Należymy do jednego symbiotycznego organizmu rozciągniętego na obszarze zajmującym wszystkie nawzajem się kontrolujące wodne środowiska wszechświata. Oddaliśmy się, by zdobywać, a wracamy zawsze z łupem, bogatsi o większe doświadczenie. Oto życie w jego samodoskonalej się formie.

– Czekamy więc dalej?

– Czekamy jeden dzień, ale nie dłużej. Potem wszystko pójdzie po mojej myśli.

– Niech pan tylko się przysłucha... – rzucił do nas przepływający nieopodal Ocearus. Widać było, że nieustająca muzyka sfer robi na nim wrażenie.

Spojrzałem na Abelię. Ona odwdzieczyła mi się uśmiechem i poszła wiernie śladem mego wzroku.

Otaczały nas poszarpane, zjeżone skały. Mrok złowrogi się wlewał do dolinki. Ktoś spostrzegawczy mógłby zauważyć jakieś sterczące tu i ówdzie, na poły zagrzebane w piasku czaszki i kości stworzeń egzystujących na poziomach wyższych. Chrzęściły pod nogami szkieleciki drobin, a z wodnego nieba wciąż sypał się cementarny opad pełen kawałków i strzępków. Trafiały się też kadłuby rozszarpanych wielkich ryb lub fragmenty zdartych skór i łuski.

Budziły nasze obawy szept, bo pamiętaliśmy zasłyszane przedtem opowieści o gnilnych pieśniach istot wszelkich maści. Niósł się tu też bardzo odległy chór głosów będących u źródła być może enigmatyczną recytacją lub pozbawioną melodii ponurą pieśnią. Szumy przemykających ławic zdawały się przypominać te niosące się przez ziemskie lasy. Niespokojne rybnie nawoływania do złudzenia identyczne były z pohukiwaniem sowy. Dziwna była łatwość naszego kontaktu ze wszelkimi formami otaczającego nas życia. Pewny byłem, że z powodu naszej ignorancji zachowywaliśmy się dotąd nazbyt hałaśliwie, tak że przy słowach – myślach istoty wodne prawdziwie głuchły i natychmiast wobec nas pokorniały. Oceany Trytona cechowała nadzwyczajna foniczność, translacyjna wydolność sięgała znacznych natężeń.

Stąd profesor i pan Bizzard nakazywali szczególną czujność, bo i wróg czyhał na wszelkie niemile mu szelesty i chichoty. Milczeliśmy. Panował impas. I głód. Byłem pewny, że jeśli tak dalej pójdzie, zmuszeni będziemy się wycofać.

Wciąż rozglądałem się za naszą rybą. Tymczasem towarzysze odpoczywali. Molier swym zwyczajem mamrotał do siebie i drzemał. Lord przypatrywał się Abelii, która po niezwykle przeżyciach szczególnie zmęźniała i przypadła mu do gustu. A że obok niej pływała, wiła się i parskła nasza młodziutka serenida Lynete, wpadł był raptem na znakomity pomysł. Zaraz też zawołał mężczyzn do siebie, a gdy się zgromadzili i usiedli na wielkich głazach, rzekł:

– Profesorze, dostrzegam w pańskich badaniach pewną znaczną lukę – zaczął. – Otóż przypatrując się naszej obecnej tu pięknej pokrace, śmiem wysunąć przypuszczenie, że opowiadane na kuli ziemskiej legendy o tych stworzeniach powstały na bazie autentycznych zdarzeń.

– Wiem. Istnieje wiele mitów o syrenach.

– A czyż nie umknął panu fakt, że momenty ich występowania na obszarach kuli ziemskiej i lokalizacje mogą być ściśle skorelowane z warunkami otwarcia i zamknięcia nieznanymi otworów przepływu necrolatarnego?

– Co konkretnie ma pan na myśli?

– Otóż w mojej opinii istnieje pewien charakterystyczny rys lokalizacyjny. Jest kilka miejsc na planecie, w których aktywność serenid jest szczególnie wysoka.

– Mówi pan serio? Wierzy pan w te bzdury?

– Ależ profesorze, bzdurą zawdzięcza pan życie. Poświęcił się pan dla spraw, w które nikt na świecie nie wierzył.

– Jest pan pewny, że to te same?

– A jakżeby inaczej?

– Ja w każdym razie mocno wątpię – oznajmił Ocearus.

– Jeśli potrafiłyby ziemskie środowisko eksplorować ningeny, a na Ganimedzie mogła się pojawić ziemska fokka i polarny podwodny niedźwiedź, to czemu mielibyśmy wątpić w obecność innych dziwacznych form u wrót do naszych wybrzeży morskich? Pozwolą państwo, że przypomnę kilka faktów – podnieconym sposobem przekazywał myśli pan Bizzard.

– Proszę, jeśli czuje się pan fachowcem na tym polu – zgodził się profesor.

– Otóż szczególne miejsce zajmują syreny w tradycji ludu Shona w Afryce Zachodniej. Przekazują oni sobie opowieści o njuzu, na połę ludzkich, na połę rybich istotach zamieszkujących jeziora i rzeki. Shona uważają, że njuzu są świętymi nauczycielami tradycyjnych uzdrowicieli, nazywanych tam nganga. Nie określają tych istot jako bytów ze świata duchów. Są dla nich realnie istniejącymi stworzeniami, tyle że mądrzejszymi i doskonalszymi od człowieka.

– Widzę, że sięgnął pan po znajomych ze swego podwórka. Sporo pan podróżował po Afryce, polując na grubego zwierza – zauważył pan Molier.

– A tak – przyznał lord.

– Jakie miałyby to mieć przełożenie na naszą obecną sytuację? – pytał uczony.

– Widzę, że jak i ja podejrzewa pan istnienie podziemnej sztolni lub jaskini o niespotykanej głębokości – rzuciłem, równie mocno podniecony.

– Niech pan nie przesadza, na Boga – ozwał się profesor.

– Nie? Dobrze. Pójdę dalej – przekonywał lord. – W roku tysiąc sześćset ósmym Henry Hudson opisał spotkanie w okolicach Nowej Ziemi z istotą, która wedle członków załogi, Thomasa Hillesa i Roberta Raynara, miała jakoby plecy i piersi jak u kobiety, była wzrostu dorosłego człowieka i posiadała pokryty cętkami ogon przypominający ogon morświna. W roku tysiąc osiemset trzydziestym trzecim w pobliżu Szetlandów na pokład sześćosobowej łodzi wraz ze złowionymi w sieć rybami wciągnięto istotę wyglądającą na syrenę. Stworzenie nie było agresywne,

pomrukiwało jedynie tak żałośnie, że po kilku godzinach rybacy wypuścili je z powrotem do morza. Według nich górna połowa ciała syreny przypominała budową małpę, miała niskie czoło, krótką szyję, ale również policzki i pełne usta podobne do ludzkich. Syrena miała około metra długości. W tym samym roku na wyspie w archipelagu Hebrydów kilku mieszkańców zauważyło przy brzegu podobną istotę. Jeden z chłopców cisnął kamieniem, zabijając ją na miejscu. Wzburzone morze wyrzuciło ciało na brzeg. Mieszkańcy wyspy uznali, że skoro jest w połowie człowiekiem, to zasługuje na pogrzeb. Ciało włożono do trumny i pochowano. Ze spotkań z dziwnymi istotami słynie również Szkocja i Anglia. Zaś stworzenie widziane w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym w Ameryce Południowej, w okolicy jeziora Lacar, miało zdolność lewitacji nad źródłem wody i, jak przypuszczano, mieszkało w podwodnym ruchomym mieście.

– No dobrze, i chce mi pan tymi przykładami udowodnić, że można się gdzieś ku powierzchni ziemskiej przekraść niezauważonym? – upewniał się pan Molier.

– Oczywiście, nazbyt wiele się w morzach dzieje. Nie może istnieć tylko jedno przejście Necrolotum w rejonie Oceanu Południowego, a musi ich być znacznie więcej. Wszystkie napotkane istoty wydają się kropka w kropkę podobne do naszej kręcącej tyłeczkiem Lynete. Posiadają płaski brzuch, palce u rąk spięte błoną pławną, skórę bladą, włosy czarnozielone, ogon jak u morświna. Ramiona i nogi naszej serenidy wyglądają na krótsze niż u średnio zbudowanych osób. Poza tym zaobserwowane stworzenia miały coś w rodzaju grzbietowej płetwy delfina, a oczy wielkie i okrągłe. Irańczycy nazywają taką istotę „runan szach”. Mówią, że wody morskie robią się krystalicznie czyste, kiedy przebywa w nich przez dłuższy czas. I my wiemy dlaczego: bo to wody trytońskie!

– Podejrzewa pan foniczne sole wzmacniające dźwięk? Śpiew syren byłby tylko dlatego tak głośny?

– Właśnie. Mogę również sięgnąć pamięcią do wiedzy starożytnej po opowieść o innej humanoidalnej morskiej kryptydzie. Otóż w wieku dziesiątym złapano w Morzu Kaspijskim rybę, która pożarła coś większego od siebie. Ciało otwarto i pokazano księciu Salemowi, bowiem wewnątrz znajdowała się morska dziewczyna. Miała na sobie coś w rodzaju pantalonów zrobionych ze skóry jakby ludzkiej, sięgających do kolan. Od czasu do czasu podnosiła ręce do twarzy i włosów. Oddychała ciężko i żyła tylko kilka chwil, bo wewnątrz ryby zatruiły ją kwasy.

– Mój Boże, Atlanta – zareagował uczonec.

– A widzi pan. Teraz pan uwierzyłeś? – Lord zatriumfował.

– Cóż więc pan proponuje? – zaciekał się Ocearus.

– Chciałbym poprosić obecnych tu serenidów, tych najbardziej włochatych lub pokrytych mchem wodnym, aby wywąchali dla nas pod dnem morskim kanały

ciekliwe, wiedące być może do ziemskich stron. Podeszlibyśmy cichaczem jak najbliżej lokalizacji już przez nasz automat odkrytych i przekradli się z boku.

Profesor milczał chwilę, potem w zamyśleniu skinął głową.

– Dobrze, spróbujmy. Tylko jak to wszystko wytłumaczy pan Lynete, skoro jest za mała, aby orientować się we wszelkiej terminologii naukowej?

– Tak samo, jak przedtem skutecznie zrobiła to panna Abelia – z rozkoszną satysfakcją podsumował lord Duncan. – Wskazała jej poziomy, wyjaśniła pochodzenie strumienia wiąż ludzkich i z pozoru niemrawa niemowa nas z niewoli odratowała.

Okazało się, że Tryton ma własne tajemnice.

A serenidzi, zbyt widać pochłonięci własnymi sprawami, źle nas zrozumieli. Postanowili tu na miejscu szukać tego, co dla nas, ludzi, kryło się bardzo daleko. Przejęliśmy od nich uwolnioną z piachu butlę nawigacyjną z ogromnym respektem i kompletnym zaskoczeniem. Okazało się, że mieli rację i leżało tu onych artefaktów znacznie więcej.

Nie należały do konstrukcji atlantydzkiej. Były prostsze i krótsze. Wszystkie jakies dziwnie blade i zjawiskowe. Pierwszy odnaleziony automat na polecenie profesora został wcześniej z członu napędowego rozbrojony, zbędny nam był bowiem w tej wodzie jakikolwiek hałas. Przetransportowaliśmy urządzenie w spokojną i cichą okolicę, i tu szczególnie ostrożnie poddaliśmy badaniom. Nigdy przedtem nie widziałem mechanizmu o tak znacznym stopniu komplikacji. I pomyśleć, że wykonano go w czasach zamierzchłych, kiedy cywilizacja nasza była jeszcze w powijakach?

Ocearus nie reagował tak emocjonalnie, jak ja i Abelia. Badał części, a niektóre odkręcał i dokładnie przeglądał.

– Trytonidzi i tak tu uszkodzili urządzenie napędowe – stwierdził po namyśle.

– Przecież nawet doń nie dotarli.

– Uczynili to najpodobniej promieniowaniem przenikliwym lub nakierowanym promieniowaniem magnetycznym. Być może działając na fali ludowego rozporządzenia.

– A więc nigdzie nas ten przedmiot nie poprowadzi?

Profesor wzruszył ramionami.

– Zastanawiają mnie osady denne – rzekł, wskazując na czarny od smarów spód.

– Czyżby ich skład wydawał się panu znajomy?

Uczony spojrzał na dostępny mu, a prawdopodobnie jeden z ostatnich użytych papierków lakmusowych.

– Wszystko na to wskazuje. Dokładnie pamiętam komponenty w kwotach objętościowych. Identyczna chemia. Przypomina pan sobie, panie De Waay, nasze pierwsze spotkanie w gabinecie uniwersytetu?

– Tak, oczywiście. I wirujące w cieczy blaszki złota – potwierdziłem.

– Użyję kodów, którymi promieniuje mój podskórny pierścień. Spróbuję w głowicy automatonu zakodować te same nastawienia, co w butli atlantydzkiej. Musi odczytać charakterystyczny pasek stacji docelowej. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem i przez przejście wysiękowe dotrzecie do znanej nam groty ziemskiej, to czeka was kilkumiesięczna wspinaczka, która przy waszym stadium metamorfozy może

zakończyć się tragedią. Po prostu przez najbliższe tygodnie nie odzyskacie nawet w przybliżeniu ludzkiej formy wyjściowej – ostrzegał profesor, widać na próżno, by czyniło to na nas odwrotny skutek. Nie wierzyliśmy w ani jedno słowo.

– Skąd przypuszczenie, że dostaniemy się w te same podziemia? Jak chce pan doprowadzić nas na Ziemię? Przekopie pan to zawałisko piasków? – zapytałem, odnajdując temat intrygującym.

– Jest inny sposób – odpowiedział i znów uśmiechnął się enigmatycznie, jak to miał w zwyczaju.



Profesor od rana badał teren ręcznym kompasem. Poszukiwał rzadkich kopczyków mineralnych wznoszących się w mułach dorzeczy prądów północnych, złożonych z opiłków metalu nacechowanych magnetycznie, a ciągnących się pod to samo wzgórze, które złośliwie nazwał wzniesieniem Von Settlera.

Płyny uzyskane z bijących źródeł przypominały mi te poznane w czasach pierwszej styczności z kolonią europejską, na podstawie profesorskich doświadczeń z gęstymi, ciągnącymi się szlamami księżycy Saturna, Enceladusa. Wody morskie tego satelity przedstawiały sobą wielkie niebezpieczeństwo. Były wręcz przeładowane florą bakteryjną, którą niestabilny obiekt wystrzeliwał w gigantycznych gejzerach na orbitę wokółksiężycową. Stąd baliśmy się panicznie nawet stawać w pobliżu tych termalnych źródeł.

Poproszeni o pomoc serenidzi wyrysowali nam na piasku precyzyjną mapę miejsc, gdzie według nich mogłyby się znajdować zasysające otwory, najpodobniej prowadzące do wulkanicznych aktywności Trytona. Jakie było jednak nasze zdumienie, kiedy dowiedzieliśmy się z ich języka migowego, bowiem terminologia ich znajomości naukowej daleko odbiegała od naszej, iż niektóre z nich prowadzą znacznie dalej, nawet poza nasz układ słoneczny. Najprawdopodobniej do innych galaktycznych oceanów.

I oto wszechświat ukazał nam się w innym świetle – jako nieskończone naczynia połączone dzielące się wszelkimi możliwymi patentami na życie. Były więc te zasysające i te wydzielające, ze znaczną przewagą tych pierwszych.

Prądy północne zbierały owe depozyty i rozprowadzały po najbliższej okolicy, sprawiając, że linie dennych skał obrosły dziwnymi naroślami obcego pochodzenia.

– A więc suponujesz pan, że mamy tu do czynienia z dopływem materiału osadowego z księżyców innych niż solarne? – pytał lord.

– Nie tylko suponuję, ale jestem tego pewny – stwierdził Molier. – Wody są nazbyt charakterystyczne, aby je z czymkolwiek pomylić. Są to więc wentyle podobne do wulkanicznych, a prowadzące na Ziemię. Proszę tylko spojrzeć na gatunek rosnącego nieopodal koralowca. Czy to aby nie *montipora foliosa*? Bardzo popularny koralowiec twardy, spotykany w akwariach domowych?

Wszyscy spojrzeliśmy po sobie i zupełnie zmieszani przyjrzeliliśmy się organizmowi.

– No i przestaję się dziwić, że wam się tu nie podoba – ponownie mruknął profesor. – Nie potraficie obserwować. Wątpię jest również wasza baza edukacyjna. Tę samą fascynację skamienielinami mogłaby droga pani zainwestować w badanie koralowców i minerałów, które we wprost nieprawdopodobnej różnorodności występują na Trytonie.

– Czyli zbędna by się okazała nawigacja atlantydzka? Wystarczyłaby dogłębna wiedza biologiczna i dobra obserwacja? – spytała zupełnie zbita z tropu Abelia.

– Wprost przeciwnie. To byłby dopiero początek. Kanał posiada różnorodne wyjścia.

– Czyżby przypuszczał pan, że będziemy zdolni się w nich zmieścić? – pytał pan Bizzard, uciekając od tematu. Wskazywał źródła i z niepokojem myślał o naszych gabarytach.

– Powiem tyle: już raz próbowałem i nawet był pan świadkiem mojego sukcesu.

– Trudno mi było uwierzyć w pańską jaskiniową odyseję – roześmiał się lord.

– To dlatego ciągle pan pytał, skąd się wziąłem na tak niewyobrażalnych głębokościach? Czy nie przemawiały do pana wyjaśnienia faktu mego dotarcia w te otchłanne pokłady wprost z głębin oceanicznych? – dowiadywał się z przekornym uśmiechem Ocearus.

– Zupełnie nie brałem ich pod uwagę. Istnieje mnóstwo teorii o pustym środku Ziemi – stwierdził lord.

– I akurat w te ostatnie pan wierzy? – zaśmiał się profesor.

– Nie. Jednak bliższe mi były niż pańskie niestworzone opowieści o łączniku morskim z odległymi planetami.

– A więc wciąż pan w przyczynę mej obecności w tamtej otchłani speleologicznej wątpi?

– Tak – zadrażniał lord. – Ośmielę się przypuścić, że poszukiwał pan innego przejścia Necrolotum i zaśląbł pan w głębinach skalnych.

– A jeśli poprę ją dowodami?

– Wtedy owszem, uwierzę.

Wtedy Ocearus zwrócił do nas z objaśnieniem:

– Poinstruuje pana Bizzarda, gdzie miałby poszukiwać pozostawionego w jaskiniach sprzętu atlantydzkiego. Jest tam oryginalny pojazd i sporo sproszkowanej żywności. Bez tych zapasów nie przeżyjecie nawet tygodnia. A trzeba wam pamiętać, że pokarm skończy wam się natychmiast potem, jak wyjdziecie z wody na stały ląd. Chodźmy, lordzie, wszystko wyrysuję na skale.

Wrócili po kwadransie. Profesor przyniósł ze sobą głowicę odnalezionego przez serenidę automatonu.

– Spójrzcie proszę. Oto mechanizm lokalizacyjny automatonu. Niebieskie obszary odpowiadają najprawdopodobniej Ziemi. Są to, jak widzicie, fragmenty wręcz mikroskopijne.

– Jak się więc będziemy zdolni wykorzystać takie szparki? – spytałem.

– Myślę, że lord Bizzard, jako najsilniejszy z całej trójki, zdolny będzie odkręconą głowicę przed sobą trzymać. Ważnym jest, aby znaleźć prawidłowe ustawienie przyrządu względem osi Necrolotum, wtedy będzie działać na zasadzie podobnej do

kompasu. Gdzie leży owa oś? Nie wiem. Wierzę, że doświadczenie praktyczne, którego pan nabędzie, podyktuje panu właściwe rozwiązanie.

– Czy aby nie za wiele pan od nas wymagasz?

– Zupełnie nie wątpię, że dacie sobie radę.

– Szkopuł w tym, że niezbędne nam będzie niewielkie źródło zasilania – zauważył lord.

Wszyscy jęknęliśmy zawiedzeni. A więc to tak? Stąd u Moliera mina człowieka przekonanego o własnej wygranej. Pewnym był, że nigdzie nie pójdziemy.

– Chyba wiem – zaskoczyłem wszystkich.

– Cóż tam pan bredzisz, De Waay? – ze złością zareagował uczonec.

– Proszę. – I tu podałem mu mój zminiaturyzowany wodorowy oxygenator, który nosiłem w kieszeni i traktowałem od samego początku naszej podróży nie tylko jako niezbędny, ale moją prywatną świętość. – Mikroskopowe dynamo niewytwarzające elektrycznego prądu, ale magnetyzm o nieznanym funkcji, wybornie się nadające jako napęd. Wystarczy?

– Wystarczy – westchnął z rezygnacją profesor.

– Może zatem wybierzesz się pan z nami? – zaproponowałem, już całkiem od tego triumfu odmieniony.

– Najpewniej bym podążył z czystej ciekawości, jednakże proszę pamiętać o zawiłych sprawach politycznych drążących ekumeny jowiszowe. Pragnę zakończyć te bezsensowne wojny i poprowadzić społeczności ludzkie ku zjednoczeniu.

– A co, jeśli się zgubimy? – pytała Abelia podejrzewająca Ocearusa o złośliwość i chęć pogrzebania nas żywcem.

– Co jeśli napotkamy w szczelinach samego Von Settlera? Przecież sposobi się z innej strony do drogi? – dopytałem się.

– Daj Boże, żeby nie. Jeśli tak, przyjdzie wam stawić czoła bitnej zgrai. Najważniejsze, abyście na czas dotarli do pozostawionej broni i zapasów. Użyjcie tej samej drogi, na której ja o mało nie zginąłem przed laty. Jaskinie pod Melbourne są tak kolosalnej wielkości, że przerażają najbardziej zapalonego speleologa. Przerasta tam wszelką wyobraźnię rozmach natury. Zapewne łatwo się w nich przyjdzie zgubić i co do pełni sukcesu pewności nigdy nie będzie, ale cóż – musicie wziąć się z matką naturą za bary. Fortuna może okazać się w każdej sytuacji złudną. Nadzieja bezpodstawną. Wiedza zbędną. Dodatkowo w gorących źródłach, które tu widzicie przed sobą, jest sporo ślepych uliczek. Niektóre wydają się całkowicie wypełnione zagęszczonym, trującym mułem. Inne wiodą naprawdę do diabła. Dostawszy się raz w taką pułapkę, nigdy nie wrócicie.

Dość miałem tej przemowy.

– Wszyscy wiemy, że pańska pamięć może okazać się zwodniczą. Wolałbym, by oprócz zardzewiałej głowicy poprowadziła nas serenida.

– Musi pan wpierw jedną z nich do swojej misji przekonać – wbrew sobie zakpił Ocearus.

Uściskałem najmocniej jak potrafiłem Lynete. Prosiłem. Miałem co do niej mieszane uczucia. Podobnie jak to było przedtem z nieodżałowanym ostrobokiem, tak i teraz z nią. Czułem, że przebywanie w tym samym roztworze zbliża nas do siebie niepomierne, że stajemy się podobni jak dwie krople wody i powoli od siebie nierozróżnialni. Jej ojciec czekał cały ten czas spokojnie i w oddaleniu, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, dnem a powierzchnią. Trzymał nad nami pieczę, śledząc każdy najdrobniejszy szczegół otaczających miejsce piasków.

On też mógł nam pomóc.

Gdyby tylko zechciał.

I tak się stało.

Wskazał nam szczelinę rokującą największe nadzieje.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila powrotu na Ziemię. Jaka nie byłaby ta podróż nieszczęśliwa czy w efektach potencjalnie śmiertelna, prowadziła od nadziei na odmianę i wreszcie do normalności. Tęskniłem już za suchym ubraniem, chrzęstem piasku pod stopą czy zaczerpniętym radośnie, pełnym powietrza atmosferycznego oddechem. Brzydził mnie wieczny śluz na skórze, zielonkawy nalot na zębach i blokady narośli w gardle. Drażniły poklejone glonami oczy i już zupełnie zatkane nagromadzonymi pasożytami uszy.

Jednak patrząc na pozostawionego w tym świecie, całkowicie samotnego profesora Moliera, z trudem tamowałem łzy.

Smutek jego udzielił się i nam.

Rozglądałem się jeszcze za ostrobokiem.

Nie pojawił się i nie miał powrócić tu nigdy.

Schodziliśmy w głąb z przeczuciem, jakbyśmy przekraczali progi własnego grobu. Prowadziła Lynete.

Byłem pewny, że poszaleliśmy, bo w chwili gorzkiej od tęsknoty za Ziemią zdecydowaliśmy się na zakopanie żywcem. Rezygnując z kryształowo czystej wody na rzecz mazi, wykazaliśmy desperację, której wkrótce miałem już dość. Papka wdzierła się wszędzie, a wnosząc resztki jakiejś organicznej zupy, powodowała w ustach tylko odruch wymiotny. Czasem jej konsystencja rzedła, stawała się świetlista, jakby z grubsza filtrowana, by po chwili znów stać się gęstą. Myślałem, iż nie będę zdolny znieść jej potęgującego się smrodu choćby przez godzinę, a trwałem w nim dzień cały i jeszcze następny, aż mazie ustąpiły błotom, a te zmieszały się z drobnym żwirem.

O ile w pierwszych dwóch potrafiłszy jakoś płynąć, w tym ostatnim musieliśmy szukać oparcia w skale. Przebrnęliśmy przez potworne, żwirowo-błotne szczeliny, co rusz się zatrzymując, by z trudem przefiltrować odżywczy szlam. Tyle było w nim planktonu, co kot napłakał. Jednak cośkolwiek połknęliśmy dla strawy, a resztę zwracaliśmy z obrzydzeniem.

Tak tygodniami trwało owo kluczenie. Głowica automatonu zakleszczała się przejściach. Uwalnialiśmy go godzinami i próbowali kosztem potwornego wysiłku fizycznego przeprowadzić w inny kanał. Lynete zawróciła bez pożegnania. Widać było, jak trwoga ją paraliżuje. Była przecież tylko dzieckiem. Wybaczyłem jej natychmiast. Abelia godzinami szlochała.

Naprawiliśmy głowicę. Potem czekaliśmy z napięciem, aż starożytny system podejmie pracę pomiarową, by po kilkunastu godzinach znów się zablokować. Już myśleliśmy, żeśmy straceni, a tu pojawiły się pierwsze oznaki twardniejącego świata.

Wreszcie wypełzliśmy na dno jakiegoś jeziora, z radością witając krystaliczną wodę, a w niej luminescencję dna. Ostatkiem sił wygramoliliśmy się na brzeg.

– Całe szczęście, że wstrzyknięty w oko płyn jeszcze pracuje i wzmacnia to marne światło – z trudem wyraził swoją radość lord Duncan. Słowa wypowiedziane wydały nam się dziwnie pourywane i pozbawione głębszej treści.

– Inaczej byśmy tu trwali jak oślepli – rzuciłem również z trudem i bólem najwyższym.

– Posiada pan jeszcze w zanadru naparstki oświetleniowe Reynasha? – spytał lord.

– Myśli pan, że bezpiecznym jest ich użycie? Nie chcę skończyć jak on, kompletnie pozbawiony woli.

– Trzeba nam spróbować, bo w tych ciemnościach nie zrobimy nawet kroku.

– Niech najspierw jeden z nas się poświęci, bo ma pan rację – bez światła daleko po skałach nie zajdziemy. Proponuję użyć mej własnej osoby dla eksperymentu – rzekłem spoglądając z roztargnieniem na Abelię, która natychmiast poparła mnie mocnym uściskiem.

– Chyba się pan zapomniał, drogi Jacku. Ma pan dla kogo żyć, a oboje stanowicie parę idealną. Po mnie nikt nie będzie płakał.

– Nie, panie Duncanie. Jack weźmie na swoje barki los latarnika.

– Doprawdy, jest pani wodną nimfą w rozstrzygnięciach biorących początek w logice.

– A ja myślę o nas wprost z obrzydzeniem. Jak dama mojej arystokratycznej klasy może przypominać tak ohydłą glistę? – Na słowa Abellii parsknęliśmy wszyscy wesołym śmiechem. Widać powróciły nam humory, bo rześkie powietrze przypominało to znane z doświadczenia ziemskiego. Modliłem się w myśli, aby tak było, bo planeta mogła być każdą z katalogu galaktycznego o podobnej masie i grawitacji, o zawartości tlenu atmosferycznego już nie wspominając.

Pan Duncan spróbował po kryjomu oświetleniowej pasty, a że nic mu się nie stało, ja również się zdecydowałem na niewielką dawkę. Z duszą na ramieniu przełknąłem odrobinę substancji otrzymanej od Hindusa. Zaraz z ust moich wypłynęła gęsta mgła, która oślepiającym blaskiem się rozświetliła. Ukształtowałem ją na wzór potężnej smugi. Kierowałem nią niby pędzlem i lizałem odległe ściany i sklepienie, którego końca nie było widać. Azali była to grota najgłębsza, o której mówił profesor?

– Czy to aby na pewno Ziemia? – zapytał lord, jak gdyby w myśli odczytując me obawy.

– Musiałabym przeprowadzić badania paleontologiczne – rzuciła pewnym głosem Abelia. – Ale na tej głębokości odnalezienie jakichkolwiek szczątków może okazać się problematyczne.

– Właśnie rozpoznałem szczególny kształt potężnej jaskini wnekowej, tam po lewej – stwierdziłem ze znanstwem. – Obecne wszędzie bazalty i granity też są na swoim

miejscu. Warstwy metamorficzne muszę sprawdzić z bliska, jednak mam co do nich dobre przeczucia. No cóż, wszystko to będą zaledwie poszlaki.

– Pozostanie nam tylko ponownie stanąć na nogi – mruknął pan Duncan, jakby swe słowa adresował tylko do siebie.

Łatwiej to było powiedzieć niż zrobić. Doprawdy, męczyliśmy się całe popołudnie, jeśli uznać czas naszego wyjścia z wody za poranek, by chwiejnie oprzeć się na nogach pod wieczór. Nie mogło być mowy o żadnym marszu. Człapanie było nam przeznaczone. Zmuszeni byliśmy stać głodni i zziębnięci przez dobrych kilkanaście godzin pod ścianą skalną, by wreszcie móc skorzystać z dróżki wijącej się w stronę najbliższej szczelinowej jaskini, gdy z góry przestała łać się z szaloną energią woda. Spadały wraz z nurtem wielkie ułamki skalne i lód rozbity. Po pewnym wahaniu i Abelia postanowiła zażyć trochę świetlnego specjału. Powiem, że wyglądaliliśmy strasznie. Szczególnie wtedy, gdy oddawaliśmy się konwersacji. Błyskaliśmy nawzajem i oślepiali samych siebie. A wodząc w dal ginącym w toniach powietrznych snopem, dodawaliśmy doń parszywe, rybio brzmiące okrzyki, co wydawać się mogło dla postronnego świadka znakiem złowróżbnym i odpychającym.

Wkrótce ruszyliśmy pod górę stromą dróżką, wydeptaną przez zwierzęta jaskiniowe.

– Czyżby rozjeździły tu grunta jakieś bestie? – zapytała Abelia, strapiiona pozostawionymi trójkątnymi tropami bydląt.

– Droga ta zapewne wiedzie do wodopoju, zatem radziłbym udeptany trakt potraktować jako odpływ kondensującej się skalnej wody – poradził pan Bizzard. – Czy bardzo były dzikie? Tego nie wiem. Widzę pośród odcisków stopy humanoidalnej, czyli ludzkiej, ale są małe, niepozorne, więc z pewnością nie należą do śladów pozostawianych przez człowieka współczesnego. Zarys jej wygląda na prehistoryczny, a mnogość pozostawionych, chaotycznych śladów będzie dowodem przebywania tu pozostawionych samym sobie dzieci.

Abelia pochyliła się i wodząc białymi palcami po obrzeżach wskazanych przez lorda tropów, dokładnie je obrysowała, jakby wciąż miała problem z wyostrzającym się w powietrzu wzrokiem. Ja tymczasem zapatrzyłem się w ginący w górze mroczny szyb, pełen chłodu i tajemnych szelestów. Zatem stamtąd lada moment mogła spaść trująca strzała.

– Wygląda ten ślad na humanoidalny, zatem jak dotąd najpewniejszy to dowód na nasz powrót do domu. Nie wyobrażam sobie, aby gdziekolwiek indziej na Drodze Mlecznej mogła powstać w ewolucji lądowej podobna noga, a w niej stopa. Zbyt wiele musiałoby się na to złożyć niewiarygodnych przypadków.

– Profesor Molier wspominał coś o krajowcach zamieszkujących te pierwsze od jeziora poziomy, którzy pomimo groźnej sylwetki zachowywali się wobec niego dość przyjaźnie. Mówił, że bywali podobno wściekle agresywni wobec przybyszów

nadchodzących z powierzchni ziemskiej i niejedna ekspedycja nigdy stąd nie powróciła. Jednakże dla każdego, kto według nich nadchodził z otchłani wewnętrznej, żywili wprost nabożny szacunek – wyjaśnił lord Duncan.

– I w tym nasza nadzieja, żeby kurduple nas źle nie potraktowali – stwierdziłem z wrogością w głosie, bo zdałem sobie sprawę z braku jakiejkolwiek broni palnej.

– No tak. Proszę zauważyć, jak prezentują się odciski naszych stóp. Najpewniej dla postronnego nie wyglądają na typ ludzki. – Tu się zaśmiał serdecznie, bo wszyscy z głupia frant spojrzeliśmy na nasze złączone tymczasową błoną pławną palce. – Wezmą nas za aquatów, to pewne.

– Ale skąd biorą się ludzie na takich głębokościach i jak sobie tutaj radzą? – zainteresowała się Abelia.

– To być mogą pradawne plemiona aborygeńskie znęcone chłodem, bogactwem wody i ryb. Przez tysiące lat potrafiły przystosować się do dolnych warunków jaskiniowych. Najprawdopodobniej ich populacja idzie w tysiące. Jeśli jesteśmy na Ziemi, to teraz, moi mili państwo, musicie się wysilić na wspinaczkę. Ostrzegam, że nie będzie ona łatwa, bo do pozostawionej przez Moliera latającej maszyny dzielą nas tysiące metrów. Nie mamy butów, a zrosty pławne na palcach stóp i dłoni na pewno nam we wdrapywaniu się na granie nie pomogą.

– Zna pan okolicę? – pytała Abelia

– Tylko z opowieści Moliera.

– Zatem jak długo trzeba iść do jego zaopatrzeniowej bazy?

– Jeśli powiem pani, że znajduje się ona kilometr ponad nami, nic to nie da. Może marsz zajmie nam dzień, może dwa, ale z braku pożywienia wcale nie będzie on łatwy. Jeśli starego uczonego pognębiła podmorska skleroza i obóz narzędziowy znajduje się wyżej, też się nie zdziwię. A jeśli stary uparciuch kłamał i nigdy przez one muły się nie przedarł, to wynik takiego oszustwa okaże się dla nas wyrokiem śmiertelnym.



Dzień cały zajęło nam strome podejście. Strop mocno się obniżył, a skalna posadzka stała się śliska i zdradliwa. Co jakiś czas musieliśmy zawracać, bo dumny lord parł zbyt szybko do przodu, by po jakiejś godzinie błędzenia przyznać, że droga, którą wybrał, prowadzi donikąd. Przebyliśmy może dwieście metrów w kierunku wertykalnym i z przestachu i braku oddechu nie mogliśmy wykrztusić słowa.

Przecież w tych warunkach przejście do bazy zajęłoby nam pięć dni. Mogliśmy nie odnaleźć zapasów lub samo miejsce mogło się zapaść na wskutek częstych, krótkich i gwałtownych wstrząsów skorupy ziemskiej.

Przespawszy się nieco na twardym granicie, poczuliśmy nowe siły. Czym bowiem było dotychczas nasze spanie? Czyż można nazwać wypoczynkiem zawieszenie w wodnej brei, w jakimś dowolnie wybranym kącie, bez kołdry i poduszki pod głową? Nasze nocne posłanie i twardy sen były więc zapowiedzią lepszego życia i powrotu do normalności.

Drugiego dnia zrobiliśmy ponad sześćset metrów w pionie i na koniec Abelia boleśnie skręciła nogę. Nie pozostało nic innego, jak tylko wybrać jednego z nas i wysłać do wspomnianej przez profesora bazy zaopatrzeniowej. Wybór, rzecz oczywista, padł na lorda Bizzarda. Ja sam uznałem za stosowne nieść ulgę ukochanej i korzystając z rosnących niedaleko liści iluminacyjnych krzewów, robić jej kompresy.

Tymczasem nastąpiła noc i nic nie zapowiadało powrotu pana Duncana. Nasłuchiwaaliśmy z Abelią skrzypienia dziwnych owadów, a ja sam dziwiłem się owemu mineralnemu zaciemnieniu blasków, tak wspaniale imitujących pory mijającego dnia. Miejsce na sen wybrałem starannie w niewielkiej celi z otworem wychodzącym na gigantyczną sztolnię, smoliście mroczną u spodu i rozświetloną u najdalszych stropów. Mogła mieć i cztery bite kilometry długości. Podejrzałem, iż powstała w wyniku gwałtownego wyrzutu sporej ilości lawy, jeszcze u zarania planetarnej życia, w epoce zwanej hadeikiem.

– Co zrobimy, jeśli lord nie powróci?

– Jeśli nie odnajdzie żadnych zapasów, bo profesor zwyczajnie kłamał, to lepiej niech nie wraca. Spokojniej spędzimy ten czas przeznaczony nam aż do śmierci.

– Nie mów tak – rzuciła, po czym się zreflektowała i upewniła: – Umrzemy z głodu i wyczerpania?

– Najpewniej tak. – Nagle zamarłem.

Czyżbym posłyszał przeciągły szelest? Czyżby było tu dzikie zwierzę? Uniosłem się, szukając luźnego kamienia. Nasłuchiwałem, wstrzymując oddech. W sąsiedniej grocie coś się poruszyło? Bestia czy człowiek?

– Jakby kroki... – wyszeptała Abelia, idąc w sukurs mojej inwestygacji.

Dałem jej znak, żeby się uciszyła. Skoncentrowałem się na najmniejszym szmerze.

I nic.

– Kroków bosych stóp nie słysząc. Mogłyby to być tylko buty, a wtedy albo Bizzard dotarł do magazynku, albo...

– Albo zaskoczy was tu kto inny – wdał się w naszą rozmowę nowy głos. Przyznam, że straciłem możliwość wyartykułowania dźwięku. Natychmiast rozpoznałem ten twardy akcent. Zerwałem się z miejsca, a w moje ślady poszła Abelia. Staliśmy tak, bezbronni i zrozpaczeni, naprzeciw kogoś, kto gardłowo się śmiał i rechotał.

Kapitan Von Settler, bo on to był w swej przesławnej osobie, w świetle fosforowych latarni kazał nas swoim marynarzom związać i posadzić w nowym miejscu, tuż przy ścianie. Siedzieliśmy kompletnie załamani. Modliłem się, żeby w żadnym razie nie nadszedł pan Duncan i nie wpadł w tę samą zasadzkę, bo wtedy nasz smutny los byłby już na dobre przypieczętowany. Co jednak natchnęło mnie pewną otuchą, to obecność niewielkich skrzyń prowiantowych, które marynarze przynieśli wraz z bronią. Szybko poczęstowano nas pożywnymi sucharami z wodorostów, które były naszym pierwszym jak dotychczas pokarmem prawdziwie ziemskim i smakowały wprost niebiańsko.

– A więc spotykamy się po raz wtóry – zaczął Von Settler. Jego charakterystyczny twardy angielski akcent brzmiał inaczej niż w wodzie. Akustyka jaskini wyraźnie go wzmacniała. – Znalazłem was zaraz po tym, jak użyliście waszych luminescencyjnych soli. Mam podobne, ale używamy ich z pewną ostrożnością, w specjalnie zaprojektowanych zamkniętych kagankach. Nigdy nie wiadomo, jakie mogą pojawić się skutki uboczne dla dziąseł i zębów.

– Przyznaję, już niejednokrotnie udowodniliśmy naszą lekkomyślność – stwierdziłem przegranym głosem.

– Mniemam, że podzieli się pan informacjami na temat miejsca pobytu lorda Bizzarda, bo jak zdołałem podsłuchać wasze niosące się echem rozmowy, wysforował się biedak do przodu, aby zbadać drogę i nie tylko? – dowiadywał się kapitan, sadowiąc ciężki tyłek nieopodal.

– To lord dysponuje słownymi instrukcjami profesora, nie ja. Trudno mi określić kierunek, w którym się udał, bo już od kilku dni krążymy w kółko – stwierdziłem całkiem zgodnie z prawdą.

– Dobrze słyszałem. Mówił pan o zapasach.

– Mówiąc szczerze, wedle naszej wiedzy profesor Molier pozostawił tu gdzieś plecaki z suchym prowiantem.

– Broń, odzież, buty?

– Sam o tym marzę, kapitanie.

– Ale dokładnie pan nie wie?

– Nie.

– A czy zna pan lokalizację tego labiryntu? – A widząc, że nie rozumiem, dodał: – Pod jakim znajdujemy się kontynentem?

– Z danych przekazanych nam przez profesora Moliera wynika, że błota skończyły się pod Australią. Ale za wynik takiej prognozy nie ręczę. Wie pan, jak w praktyce wygląda żeglowanie po prądach Necrolotum?

– Wiem. Czyli zakładamy, że są to antypody.

– A pan? Skąd pan wziął się w szeregach oficerskich brata pana Moliera? Czy dokonano wówczas jakiś naborów dla potrzeb misji?

– Zgłosiłem się, bo chodziły słuchy o wyprawie międzyplanetarnej na niespotykaną skalę. Nie zawiodłem się. Projekt przeprowadzono wprost z genialną precyzją. Nie rozumiem do dzisiaj późniejszych obiekcji, ale myślę, że są one spowodowane typowym angielskim snobizmem.

– Co pan zrobi w obecnej sytuacji?

– Postanowiłem zainteresować możliwością przemieszczania się przez Necrolotum rządy Austrii i Niemiec. Poszukam marynarzy, którym udało się przeżyć atak ningenów na Oceanie Południowym. Dowiem się, gdzie leży wspomniana wyspa. Zatrudnię setki hinduskich braminów, aby pracowali nad wyodrębnieniem nowych, jeszcze doskonalszych mikstur i minerałów podwodnej metamorfozy. Niech zwycięży sansara. Niech zwycięży sanskryt. Jeśli jednak nie uda się nam dotrzeć drogą morską, postanowiłem poruszyć niebo i ziemię, by stać nas było na użycie technologii kosmicznej. Inwazja ludzka popłynie przez Galaktykę wkrótce strumieniem nieograniczonym. Zdobędziemy nie tylko wody, ale i lądy po same brzegi największych kontynentów. Przyszłość człowieka jawi mi się świetlana.

Nie wiem, co było w nim tej nocy, ale porwał mnie swą wizją i prawie przekonał. Nie rozumiałem lub zapomniałem wtedy, o czym opowiadał mi profesor. Czymże były owe wszystkie znakomite balanse i rasy zamieszkujące harmonijne światy? O jakie ważności mnie pytał, skoro dobro ludzkie powinno mi być najbliższym i najcenniejszym?

Rankiem odnalazłem go martwego, a strzałki, jakie wydmuchano na niego, roztaczały zapachy najgorszej znanej mi jaskiniowej trucizny. Ostrożnie spróbowałem podczołgać się do krawędzi ściany, by wyjrzeć i sprawdzić, co się dzieje. Jednak wprost rozpaczliwie powstrzymała mnie Abelia. Siedzieliśmy cicho niecałą godzinę, gdy szmery kroków i szepty poczęły się przybliżać. Niebawem spoza ściany wyłoniło się kilka niskich postaci. Dwie z nich podeszły do martwego, pozostali ujrzeni nas i ze straszliwym charkotem wymierzili bambusowe dmuchawki.

Abelia krzyknęła, ale gdy tylko otworzyła piękne usta, z wnętrza wydobył się hinduski blask i jego siła tak zaskoczyła intruzów, że zaraz cofnęli się w przestachu. Pojawszy w mig powód ich obawy, sam rozwarłem jamę gębową i począłem ziać na nich, wodząc

oślepiającym snopem od twarzy do twarzy niczym napotkana na najodleglejszym dnie głębinowa ryba.

Dzikich przybywało. Znęćeni ostrym światłem, ciekawi byli jego źródła. Gromadzili się i między sobą kłócili. Frakcja pozostawienia nas przy życiu bodaj zwyciężyła, bo zarzucili na nas kolejne krępujące liany i pomimo naszego oporu powiedli w głąb jaskini. Mijaliśmy zamordowanych w straszliwych męczarniach marynarzy. Nie dość, że dzikusy ich uśmierciły, to jeszcze pozbawiły głów, by spreparować je do wielkości pięści.

Pozostawiono nas tuż przy krawędzi znanej nam skądinąd sztolni. Byłem pełen złych przeczuć. Moja Abelia drżała, mocno do mnie przytulona. Jeśli coś planowali, to zapewne poddanie nas próbie sił przyrody.

Testem na naszą niewydolność mogło być proste zrzucenie w otchłanie. Jeśli nas dotąd nie zabili, to znaczy, że albo obawiali się klątwy z głębin, albo oczekiwali przybycia kogoś ważniejszego, kto zdecyduje ostatecznie o naszym losie. Jeśli to drugie, mieliśmy jeszcze trochę czasu.

Przyjrzałem się naszej obstawie. Dwaj wojownicy siedzieli wpatrzeni w nas niby zahipnotyzowani. Gdybym widział siebie w onym czasie, zapewne bym się im nie dziwił. Otóż wewnętrzne luminescencje jamy ustnej penetrowały całą moją głowę. Podświetlały tym samym upiornym mdłym blaskiem wszelkie kanały zatokowe oraz wydobywające się z nosa i uszu opary wydzielające zapach, który mógłby być trującym wyziewem. Robiły oczy czerwonymi i podobnym do rozgorzałych węgli.

Zaraz rozpoznałem w twarzach szerokie rysy, grube wargi i wielkie szczęki, tak charakterystyczne dla krajowców znanych mi z powierzchniowych obszarów buszu i pustyni. Mogliby też reprezentować Papuasów, z którymi niewielkie miałem kontakty, a którzy w znanych mi opowieściach trudnili się polowaniem na ludzi. To oni posiadali rozbudowany system wierzeń związanych z zaklętym w czaszce opiekuńczym duchem zmarłego.

Muszę przyznać, że w sytuacji znaleźliśmy się okropnej i wyjątkowej, bo coraz więcej schodziło się onych tubylców, by się zwyczajnie poprzyglądać. Przybywali z każdego zakątka w delegacjach, zwykle w liczbie kilkunastu, i każdy z nich dźgał nas ostrą bambusową tyką i kazał obracać głowę na wsze strony, by oświetlać najdalsze przedmioty.

Niebawem pojawił się człek nieco bardziej rośły i noszący się godnie. Miał na szyi zawieszane amulety, których widokiem nas zdumiał. Rozpoznaliśmy bowiem wiszące na rzemieniach trylobity i inne skorupiaki z gatunku bardzo rzadkiego i martwego na powierzchni, z rodzaju *anomalocaris*<sup>57</sup>. Posiadał również w zestawie kły i pazury, które kształtem i kolorem nie odpowiadały żadnym znanym u powierzchniowych bestii.

Gość ten usiadł w pobliżu i próbował do nas przemówić w narzeczu bonga lub innym, bliżej mi nieznanym. Poprosiłem go o uwolnienie z więzów. Uczynił to natychmiast, przecinając krępujące nas liany. Ostrzegł, że przy najmniejszej próbie ucieczki każe nas zepchnąć w otchłanie. Człowiek ten praktyczny widać od razu uznał nas za byty rzeczywiste, ludzkie, a nie wywodzące się z demonów. Pytał, skąd przybywamy. Wtedy opisałem mu krainy podziemne i podwodne, wskazując resztki płetw na plecach i błony pławne pomiędzy palcami. Wreszcie starał się odgadnąć źródło onego blasku, który rozprzestrzenił się z dna mojego gardła, kiedy wspomagałem gestykulację słowami.

Spojrzałem na Abelię. Miałem co do wodza dobre przeczucia, więc sięgnąłem do ukrytego naparstka. Delikatnie otworzyłem go i paznokciem nabrałem maści, po czym zamknąłem i schowałem w miejscu nań przeznaczonym.

Następnie poprosiłem o przyzwolenie i kazałem szamanowi otworzyć usta. Wsadziłem palec i przesmarowałem dziąsła pod językiem. On odsunął się ze wstrętem, bo maść parszywy miała smak. Sam się dziwiłem, że mi na to wszystko pozwolił. Roześmiałem się, by rozładować napięcie.

Nie zareagował.

Czekał.

Oczywiście fotofory musiała uaktywnić ślina, reakcja więc wymagała czasu.

Była to chyba najdłuższa minuta w moim życiu.

Wtem rozwarł usta i kiedy wybiegł z nich promień ostry, świeży i oślepiający, wszyscy nas obserwujący ryknęli ze szczęścia. Wódz cieszył się najbardziej. Poklepywał mnie po plecach i gratulował nie wiadomo czego. Zaraz też zażądał naparstka na własność i rozpoczął rozdawnictwo pośród swoich najbardziej zaufanych.

Spojrzałem na Abelię. Oboje odetchnęliśmy z ulgą.

– Uratowaliśmy skórę tylko na chwilę – mruknąłem z niedowierzaniem, obserwując, jaką furorę zrobił podarek. Dzicy biegali, krzycząc z radości, i rozplómiwszy jaskinię od światła, wspinali się zręcznie po skałach, oświetlając każde załomy i niewidoczne w mętnym świetle tajemne szczeliny.

– Z takich chwil składa się całe życie – nadszedł z boku czyjś szept.

Szarpnąłem Abelię za ramię i jeszcze sam będąc w szoku, kazałem jej szybko podążać za sobą. Lord Bizzard, bo on to był w swej jedynej i niepowtarzalnej osobie, kazał nam iść przed siebie po ciemku, drogą tak zawilgą i zawieszoną ponad przepaściami, że aż niemożliwą do przejścia. Abelia co rusz przystawała i tłumiała okrzyk grozy.

– Nie mamy chwili do stracenia, moi państwo – marudził idący przed nami. – Mam w komorach rewolweru zaledwie sześć pocisków, a dzikich na karku setki. Nie uwierzę, że nie zauważyli już waszej ucieczki – gadał, zatykając sobie gardło szmatą.

– Zapewne wkrótce naszym śladem podążą, a gdyby pan widział, jak rączymi i biegłymi są wspinaczami, to nie dałby pan nam żadnej szansy – mówiłem, wykorzystując do zaciemnienia własną dłoń.

– Dlaczego więc uciekamy? – rzucił ze śmiechem pan Duncan.

Raptem stanąłem jak wryty. Widok ten pozostanie na zawsze w moim życiu.

---

57 *Anomalocaris* – rodzaj żyjących w kambrze drapieżników morskich, spokrewnionych z opabinią. Były najgroźniejszymi i największymi zwierzętami wśród fauny z łupków z Burgess Shale w Kanadyjskich Górach w Brytyjskiej Kolumbii. Dopiero w roku 1986 dokonano rekonstrukcji zwierzęcia w obecnym rozumieniu tego słowa. Jego długość osiągała od jednego do dwóch metrów. Stworzenie żywiło się między innymi wielkimi trylobitami i było jednym z największych drapieżników epoki wczesnokambryjskiej.

– Dalej pan nie wierzy?

– Jestem zdumiony i równocześnie szczęśliwy z takiego obrotu sprawy – odrzekłem. – Zatem zaprawdę dotarliśmy do świata Ziemi.

– Oto królestwo profesorskich zapasów! – Wskazał skalną półkę, ku której zmierzały nasze kroki. – Jest tu wszystko, począwszy od książek aż po broń i jedzenie. Proponuję natychmiast przywdziać ziemskie ubranie. Nie grymasić, tylko zakładać zabłocone buty. Nie marnować nawet sekundy, tylko jak najprędzej ustroić łepetyny w cylindry lub meloniki. Bo zaraz tu obsiądą nas dzicy niby wściekłe małpy. Nacieszą się emitowanym światłem i jak się zreflektują, że na więcej można nas ograbić, przybędą i zabiją.

Był tam jeszcze jakiś wielki pakunek o średnicy bodaj siedmiometrowej, zawinięty w obszerny brezent. Pomogłem go odwinąć.

– A to cóż takiego? – spytałem, patrząc na porzdewiały, blisko czterometrowy mechanizm z kilkoma kominami przypominającymi wydechowe rury.

– Oto parowo-grawitacyjny pierwowzór descendera, poskładany z części przemyconych przed dwudziestu laty z podmorskich głębin. Wyobraża pan sobie trud i znój, by w kawałkach precyzyjnie przecisnąć to wszystko przez szczeliny? Z pierwowzoru atlantydzkiego skopiowany, własnoręcznie był przez pana Moliera złożony i użytkowany aż do czasu pierwszej awarii. Pozwoli pan, że i ja będę zdumiony? Cacko niepospolite! Czy wierzy pan teraz we wszystkie jego z takim żarem opisywane przygody?

– Przyznam, że jestem poruszony. Gdyby to jeszcze działało! Moglibyśmy uciec w jakieś bezpieczniejsze lokalizacje. Może udałoby się przelecieć do wysokości pierwszych drabin? – wyraziłem nadzieję.

– Przecież pan Molier pozostawił ów złom nie bez powodu. Zakleszczył i zablokował biegi, aby potem, ukrywając ważne części po okolicznych dziurach, pozostawić całość dla potrzeb przyszłej wyprawy i wtajemniczonego mechanika, na którego to wybrał moją osobę. Spodziewał się bowiem licznych użytkowników tej, powiedzmy szczerze, windy grawitacyjnej. Jeszcze na Ziemi przez cały czas oczekiwania na pańskie przybycie w melbourniańskim porcie dwoił się i troił, by rozwiązać zagadkę owej dziwnej kraksy. Ostatnio, będąc jeszcze na Trytonie, rozmawialiśmy o jego pobycie w jaskiniach. Wątpiłem w jakiegokolwiek błota. Co więcej, oskarżyłem go o fałszerstwo. Wtedy zawołał mnie na stronę i wyrysował dla mnie schematy i wyliczył schowki, gdzie w skałach poukładał komponenty, w razie gdyby nieprzyjaciel miał to znaleźć i polecieć. Potem obaj długo radziliśmy, jakby tu machinerium na powrót uruchomić.

Wreszcie metodę znaleźliśmy i spisana na kartce kazał mi dobrodziej w razie czego wbić sobie do głowy. Przybywszy w to miejsce, odnalazłem zaczopowane dysze i przeczyściłem przewodnice. Przeregulowałem mechanizmy, ale ich nie uruchomiłem, pomny hałasu, jaki czynią. Miałem na to sporo czasu, kiedy ujrzawszy kapitana Von Settlera z garstką jego ludzi, musiałem spauzować. Potem straciłem cierpliwość. Nie wiedziałem, co czynić. Morderstwo nie wchodziło przecież w rachubę. Zbyt wielu ich było na jednego.

– A więc dzicy wprost spadli panu z nieba.

– Boję się, żeby nie uczynili tego powtórnie – wyraził swoje obawy lord, poprawiając na nas wszystkie zapięcia i kołnierzyki, a na pannie krótką jak u cyrkówki spódniczkę.

– No, wyglądacie teraz jak ludzie. Ładunek jest umocowany w wewnętrznym pierścieniu. Pora na zapłon. Będzie sporo hałasu i mnóstwo dymu. Miejmy nadzieję, że gdzieś nas ten rozklekotany grat zanieśie.

Zapalił. Silnik chwilę pochodził i zaraz zamarł.

Hałas był tak potworny, że odbłaski ziejących światłem dzikusów na ścianach znieruchomiały, oni sami stanęli, bacznie nasłuchując.

Miałem potworne przeczucie.

Wiedziałem, że jeśli zerwą się nagle, będą tu za minutę, może dwie. Lord również gorączkowo sprawdzał wszelkie komponenty.

– Wody panu brakuje! – krzyknąłem, otwarłszy wlew do zbiornika. Niemal piszcząc z trwogi, poczęliśmy szukać butelek i wlewać po trochu.

– Wszystkie one jakieś ponumerowane. Może to próbki? – pytała Abelia, podając nam butelki, którymi pan Duncan ciskał niebacznie o ściany.

– Może ta międygwiezdna woda uratuje nam życie?

Zaśmiałem się z przypuszczenia. Bo profesor ciągle naiwnie wierzył w starożytne interwencje istot pozaziemskich. Stąd był przekonany, że podskórne, gigantyczne rezerwy wody ziemskiej mają swoje źródła w zaświatach takich jak Aldebaran lub Syriusz. Woda, woda przepychała się doń zewsząd. Uważał, że posiada niezbite dowody na to, że ta życiodajna ciecz pochodzi z Ziemi.

– Pal pan! Bo coś czuję nadchodzących naszych małych Aborygenów.

Aż mnie ciarki przeszły, gdy motor ruszył i nie zgasł. Poszedł taki dym i sadza, że aż się rozkasaliśmy. Ujrzałem nas wszystkich czarnych od wydmuchu, z lśniąco od iluminacji gardłami. Widok musiał być koszmarny, bo nadbiegający dzicy przystanęli jak wryci i obserwowali to wznoszący się, to opadający aparat i nas, całych w magicznej sadzy, wyjących z triumfu.

– Czym prędzej ponad szyb – ryknąłem, widząc, jak na wszelki wypadek zamierzają się z dmuchawek.



Lord przycisnął dźwignię. Wzlecieliśmy ponad otchłań mającą z pięćset metrów średnicy, ale albo moc była nieszczerólna, albo machineria dostała jakiegoś fałszywego paliwa, bo runęła w dół niczym bezwładne, pozbawione wsparcia cielsko.

Myślałem, że już po nas.

Oto uniknęliśmy może tuzinów wypuszczonych w naszym kierunku trujących strzał, by rozbić się śmiertelnie o te same denne błota, z których nie dalej niż tydzień temu się wydobyliśmy.

Nagle descender złapał był bieg drugi.

– Złej dźwigni użyłem! Miast ku górze, ku dołowi! – tłumaczył się pan Bizzard, próbując przekrzyczeć hałas. Rury wydechowe kopciły teraz od spodu. Wydmuch był tak silny, że niemal walił iskrami i ogniem.

– Gdzieś musi być grawitacyjne wspomaganie, bo na samym odrzucie daleko nie zajedziemy – rzuciłem w jego kierunku, przeszukując dostępne z mego siedzenia opisy i skale.

Właśnie minęliśmy okupujących skały dzikich, ale tak byli zajęci obserwacją, że żaden z nich nie poraził nas najmniejszym pociskiem.

W tym momencie lord Bizzard znalazł przełożenie. Szczęknał mechanizm i przejęła nas przemożna wibracja. Miałem wrażenie, jakby co sekundę przeszywało me trzewia tysiąc przeklętych woltów.

Minęła dobra godzina, gdy zauważyliśmy spadek wydajności silnika. Pan Bizzard zaraz odnalazł stosowną półkę skalną i tam wylądował.

Z wielką ulgą spojrzałem w czarną otchłań pod nami. Postanowiliśmy się solidnie pożywić i uzbroić. Lord Duncan odnalazł spory sztucer. Ja zadowolilem się jego rewolwerem, a Abelia sporym myśliwskim nożem. Zapaliliśmy olejowy kaganek. Zasiadliśmy przy kolacji, rozkoszując się pierwszą swobodną rozmową.

– Widziałeś, Jack, te ozdoby noszone przez szamana? – spytała dziewczyna. – Byłam pewna, że odnajdą się w głębinach ziemskich jakieś zaginione formy fauny paleozoologicznej. Szkoda tylko, że objawiły się w artystycznym rękodziele, a nie namacalnej rzeczywistości.

– No tak, ale o prawdziwym świecie zaginionym mowy być nie może. Środowisko musiałoby być nad wyraz złożone.

– Wierzę, że gdzieś tam istnieje. Szkoda, że głębiej się pochowały prajaszczury, takie jak iguanodony<sup>58</sup>.

– No cóż, panienko, nie może się pani spodziewać rozumu po wszystkich gatunkach, wtedy ewolucja nie miałaby sensu – wtrącił lord Duncan. – Co sprytniejszym projektom udało się umknąć z areny współzawodnictwa i ukryć głęboko. Ale jednocześnie usunęły się z areny lądowej konkurencji, tak jak teraz próbuje to zrobić podmorski Człowiek Braci Molierów.

Nic nie odpowiedziała.

– Trzeba spróbować naprawić aparat – rzuciłem, przeglądając poniszczone części. – Brakuje oleju i znów wody. Musi gdzieś istnieć nieszczelność. Nie wierzę w tak słabą ekonomikę pracy parowej.

– No cóż, nie mamy wyjścia. Do powierzchni pozostało nam około sześćdziesięciu kilometrów wspinaczki. Wiadomo, że nawet bez panienki wziętej na barana nie dalibyśmy rady. Jakoś to w końcu uruchomimy i pofruniemy, panie De Waay. Zatem do kluczy i najdalej jutro startujemy do drabin!

– Do drabin – zawtórowaliśmy radośnie oboje z Abelią.

---

58 Iguanodont lub diplodok – dinozaur żyjący w okresie od środkowojurajskiego do późnej kredy. Dorosłe osobniki osiągały wysokość do 2.7 m. Największą kolekcję skamieniałości odnaleziono w złożach belgijskiej kopalni w roku 1878 i między innymi to znalezisko przyczyniło się do ogromnej popularności dinozaurów. Co ciekawe, zainspirowało Benjamina Waterhousa Hawkinsa ( 1807 – 1894) do stworzenia sławnego w onym czasie parku jurajskiego rzeźby naturalnej wielkości dinozaurów w Crystal Palace na południu Londynu. Akuratność i ścisłe oparcie się na wiedzy naukowej tamtego okresu było sensacją na arenie międzynarodowej. Dzisiaj modele te tylko śmieszają naiwnym podejściem do tematu, przyciągając każdego roku tysiące gapiów zainteresowanych historią naturalną i jej przedziwnymi kolejami losu.

## EPILOG

*Rok 1914. Australia*

– Co się dzieje? – spytałem, próbując przekrzyknąć nagły, odległy stukot portowej artylerii. Mężczyzna biegnący z dzieckiem w kierunku doków był nie mniej przerażony niż ja. Za nim posuwali się inni. Po drugiej stronie wałów ujrzałem szybko przemieszczającą się w górę dzielnic północnych piechotę zmechanizowaną.

– Jak to? – odwrócił się do mnie. – To pan nie wie? Armady potężnych żeliwnych sterowców idą na nas od spalonego Sydney. Zrzucają na miasta toczące się samobieżne kule z trującym gazem. Nie oszczędzają kobiet ani dzieci. Nie ma miejsca na australijskiej ziemi, gdzie nie leżałyby trupy.

I tak oto się dowiedziałem.

Wybuchła ta najgorsza z dotychczasowych wojen. Pierwsza światowa, która miała pochłonąć życie aż sześćdziesięciu milionów<sup>59</sup> samych Australijczyków, obrócić w perzynę wielkie kontynenty Chin i Indii i oprzeć się murami Nowego Imperium Japonii o świat arabski. Przyniosła z sobą coś jeszcze gorszego, co dopiero po tygodniu mieliśmy w osłupieniu odkryć i czego skutków doświadczyć.

Bezwłocznie udaliśmy się poza miasto.

Po kilku godzinach dymy z płonących zgliszcz odsunęły się na tyle daleko, że mogliśmy się poczuć bezpieczni.

Wtedy stało się najgorsze.

Oto lord Bizzard prowadził nasz automobil pylistą drogą w kierunku Port Cambell, kiedy od strony zatoki i potężnego kanału łączącego tę część wybrzeża z odległą Mildurą dotarły do nas odgłosy przeprawy. Po lądzie ciągnięto łańcuchy i przyczepione do nich wielkie platformy, by połączyć je w wodzie śrubami i zaczepami. Już z daleka ujrzeliśmy japońskie flagi i wielkie, stojące na sześcionożnym podwoziu maszyny. Klapy ich odchylały się co chwila i z wnętrza wyglądały, co raz rażone ostrym promieniowaniem, od słońca białawe, niby oszronione wielkie gęby. Oczy tych stworzeń przypominały najgłębsze studnie, tylko pozbawione wody i jakiegokolwiek trwogi. Co gorsza, same trajkotały po japońsku, zanurzone po szyję w parującym garze na szczycie inwazyjnego trójnoga.

– Cóż to takiego? – warknął pan Duncan, przykładając sztucer do ramienia, bo na lufie miał wmontowany niezły okular zbliżeniowy.

– Ningen – wyszeptła ze zgrozą Abelia. – Widzę wyraźnie. Ningen w służbie inwazyjnej Japonii. Bestie śmieją się i gadają z ludźmi. Pewnie rozdzieliły pomiędzy siebie nasze ziemie i wody.

Pochwyciła lorda za ramię, oczekując od niego potwierdzenia obserwacji. Ten usunął się z niedowierzaniem w skrzypiący fotel kierowcy.

– To koniec... – stwierdziłem z rozgoryczeniem. – Chyba pozostał nam tylko powrót na morskie głębiny.

Ruszyliśmy z piskiem opon.

Automobil wspinał się po drodze. Jej kręta linia wiła się i ginęła w oddali.

Abelia spojrzała na mnie rozmarzonym, słodkim wzrokiem. Wiedziała, że zrobiłbym dla niej wszystko. Może fortunnie się zdarzyło, że miłość wywiodła ją daleko ku granicom układu solarnego, bo los na Ziemi mógł ją spotkać straszny. Podczas gdy przebywała w oceanach, rodzina jej poniosła śmierć z ręki najeźdźców, a spory majątek rozgrabiono i oddano w ręce samurajskich osiedleńców.

– Nie mamy tylko jak wrócić do morza – wyszeptała do mnie czule.

Lord Duncan na te słowa zatrzymał automobil nad urwiskiem oceanicznym i przesunął gogle z oczu na czoło. Odchylił połę mobilowej kurtki i wskazując na zatknięte w specjalnej kieszonce niczym cygara fiołki, powiedział:

– Mam tu zapas minerałów metamorficznych zakupiony w komplecie z miesięcznikiem europejskim „Przydenne Skarby”. Towar równie dobry, jak nie lepszy od tego dostarczanego przez Reynasha z Ziemi.

– Toż pan robi za reklamę kolonii Von Settlera! – zaśmiałem się, setnie ubawiony.

– Tylko jak znajdziemy podmorskie prądy Necrolotum? – spytała z obawą panna.

Lord skrzywił się lekceważąco. Zatknął pomiędzy zęby zapalone cygaro i spytał, wskazując maszerujące na dalekim horyzoncie ningeny:

– A jak one się tu dostają? Czyżby nie pamiętała pani moich sentymentalnych opowieści o rozśpiewanych syrenach?

– Gdzie zatem się mamy udać? – dalej niepewnie pytała.

Uśmiechnął się tajemniczo i odparł:

– Hm, to już będzie temat na inną historię.

KONIEC

---

<sup>59</sup> Autor opisuje świat alternatywny cierpiący z powodu przeludnienia już w roku 1910. W świecie tym, w biegu historii nie miały miejsca żadne tragiczne w skutkach epidemie. Na przykład Europę w okresie średniowiecza nie objęła zaraza czarnej ospy. W związku z powyższym populacja znacznie wzrosła już w wieku siedemnastym. I w tym właśnie okresie rozpoczęła się epoka wielkich odkryć naukowych, między innymi budowa pierwszych maszyn parowych i samolotów. Niestety, okres rozkwitu fizyki teoretycznej przypadł, podobnie jak w naszym świecie, na wiek dziewiętnasty i dwudziesty. Mowa tu o relatywistce i kosmologii.

Necrolotum

Copyright © Jan Maszczyszyn

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-354-7

epub ISBN 978-83-7995-355-5

mobi ISBN 978-83-7995-356-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Bożena Walewska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)